

James George Frazer

Złota gałąź

THE GOLDEN BOUGH

Wiersze przełożył WŁODZIMIERZ LEWIK

Konsultanci

JAN LUTYNSKI (Socjologia-Etnografia)

ZUZANNA STROMENGER (Biologia-Zoologia)

SPIS TREŚCI

Spis ilustracji

Sir James George Frazer i jego *Złota Gałąź* .

Rozdział pierwszy Król Lasu

Rozdział drugi Królowie-kapłani

Rozdział trzeci Magia sympatyczna

Rozdział czwarty Magia i religia

Rozdział piąty Magiczna władza nad pogodą

Rozdział szósty Czarownicy jako królowie

Rozdział siódmy Ludzkie wcielenia bogów

Rozdział ósmy Królowie sił przyrody

Rozdział dziewiąty Kult drzew

Rozdział dziesiąty Pozostałości kultu drzew we współczesnej Europie ...

Rozdział jedenasty Święte małżeństwo

Rozdział dwunasty Królowie Rzymu i Alby

Rozdział trzynasty Brzemie królewskiej władzy

Rozdział czternasty Niebezpieczeństwa zagrażające duszy

Rozdział piętnasty Czynności tabu

Rozdział szesnasty Osoby tabu

Rozdział siedemnasty Przedmioty tabu

Rozdział osiemnasty Słowa tabu

Rozdział dziewiętnasty Co zawdzięczamy człowiekowi dziękemu?

Rozdział dwudziesty Zabijanie boskiego króla

Rozdział dwudziesty pierwszy Królowie tymczasowi

Rozdział dwudziesty drugi Ofiarowanie syna królewskiego

Rozdział dwudziesty trzeci Zabijanie ducha drzewa

Rozdział dwudziesty czwarty Mit Adonisa

Rozdział dwudziesty piąty Adonis w Syrii

Rozdział dwudziesty szósty Adonis na Cyprze

Rozdział dwudziesty siódmy Rytuał Adonisa

Rozdział dwudziesty ósmy Ogródki Adonisa

Rozdział dwudziesty dziewiąty Mit i rytuał Attisa

Rozdział trzydziesty Attis jak bóg roślinności

Rozdział trzydziesty pierwszy Ludzkie wcielenie Attisa

Rozdział trzydziesty drugi Wschodnie religie na Zachodzie

Rozdział trzydziesty trzeci Mit o Ozyrysie

Rozdział trzydziesty czwarty Rytuał Ozyrysa

Rozdział trzydziesty piąty Oblicza Ozyrysa

Rozdział trzydziesty szósty Izysa

Rozdział trzydziesty siódmy Dionizos

Rozdział trzydziesty ósmy Demeter i Persefona

Rozdział trzydziesty dziewiąty Matka Zboża i Panna Zboża w Europie Północnej

Rozdział czterdziesty Podwójne wcielenie zboża jako matki i córki

Rozdział czterdziesty pierwszy Lityerses

Rozdział czterdziesty drugi Starożytne bóstwa roślinności jako zwierzęta . . .

Rozdział czterdziesty trzeci Spożywanie boga

Rozdział czterdziesty czwarty Zabijanie boskiego zwierzęcia

Rozdział czterdziesty piąty Prześlągiwanie dzikich zwierząt przez myśliwych

Rozdział czterdziesty szósty Różne typy sakramentów zwierzęcych

Rozdział czterdziesty siódmy Przenoszenie zła

Rozdział czterdziesty ósmy Publiczne wypędzanie złych duchów

Rozdział czterdziesty dziewiąty Publiczne kozły ofiarne

Rozdział pięćdziesiąty Ludzie jako kozły ofiarne w starożytności klasycznej .

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy Zabijanie boga w Meksyku

Rozdział pięćdziesiąty drugi Między niebem a ziemią

Rozdział pięćdziesiąty trzeci Baśń o Baldurze

Rozdział pięćdziesiąty czwarty Święta ognia w Europie

Rozdział pięćdziesiąty piąty Interpretacja świąt ognia

Rozdział pięćdziesiąty szósty Palenie istot ludzkich w ogniu

Rozdział pięćdziesiąty siódmy Baldur i jemiola

Rozdział pięćdziesiąty ósmy Dusza zewnętrzna w baśniach ludowych . . .

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty Zewnętrzna dusza w obyczajach ludowych .

Rozdział sześćdziesiąty Złota Gałąź

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy Pożegnanie Nemi

SIR JAMES GEORGE FRAZER I JEGO ŻŁOTA GAŁĄŻ

James George Frazer urodził się w 1854 r. w Glasgow w Szkocji w zamożnej mieszczańskiej rodzinie. Zgodnie z życzeniem ojca miał obrać karierę prawnika. Jednocześnie studiował filologię klasyczną. Stopień magistra (M. A. - Master of Arts) uzyskał na uniwersytecie w rodzinnym Glasgow, dalsze studia odbył na jednym z najstarszych uniwersytetów angielskich, w Cambridge. W 1879 r. przedstawił rozprawę na temat teorii Platona, w związku z czym został wybrany członkiem (fellow) Trinity College.

Stanowisko członka Trinity College, nie mające odpowiednika w uniwersytetach na kontynencie Europy, dawało wysoką pozycję w świecie akademickim. Trinity College było jednym z największych kolegiów, wchodzących w skład uniwersytetu Cambridge. Członek kolegium miał zabezpieczony byt materialny, jego zadania sprowadzały się przeważnie do obowiązków rozwijania określonej dziedziny nauki.

Frazer cenił sobie wysoko stanowisko członka kolegium, zachował je, mimo że przez pewien czas, właściwie zresztą nominalnie, był profesorem antropologii społecznej na uniwersytecie w Liverpoolu na utworzonej dla niego katedrze (1907-1922). Brał udział w życiu społecznym korporacji uczonych w Cambridge, w jego mieszkaniu w Trinity College powstał pomysł założenia znanego później pisma "Cambridge Review". Ścisły związek Frazera z kolegium znalazł wyraz w fakcie, iż wybierany był jego członkiem kilkakrotnie i pozostał nim do końca życia. Tytuł Fellow of Trinity College, Cambridge, widnieje wśród innych tytułów jako pierwszy po nazwisku na kartach tytułowych jego prac.

Związek z Trinity College i jego działalnością dydaktyczną uwidocznia się również w pracach naukowych Frazera. Pierwszą jego publikacją stanowiło krytyczne, szkolne wydanie Salustiusza, klasyka literatury łacińskiej (1884). Ten nurt działalności naukowej Frazer kontynuuje i później. Efektem jego były wartościowe, przeważnie wielotomowe publikacje, jak np. tłumaczenie z komentarzami i mapami opisu Grecji Pauzanasza (6 tomów, 1898 r.) czy komentarze i tłumaczenie *Fastii* Owidiusza (5 tomów, 1929 r.). Publikacje te, jak pisze E. R. Leach, miały przypominać kolegom Frazera z uniwersyteckiej korporacji, że pozostał on nadal wybitnym filologiem klasycznym, z którego to tytułu był niegdyś po raz pierwszy wybrany członkiem Trinity College.¹

Mimo jednak że Frazer pozostał wierny filologii klasycznej, dziedziną nauki, do której należą jego główne dzieła, nie jest filologia, lecz antropologia kulturalna (etnologia). Zainteresował się nią po przeczytaniu *Cywilizacji pierwotnej* E. B. Tylora. Pogłębienie tego zainteresowania i początek samodzielnych antropologicznych poszukiwań wiązały się z przyjaźnią i współpracą z Williamem Robertsonem Smithem. Gdy szkocki teolog, W. Robertson Smith, wybitny znawca języków, religii i kultów orientalnych, późniejszy autor *Wykładów o religii Szmیتów* (1889), popadł w konflikt ze swymi kolegami z powodu nieortodoksyjnych artykułów o Biblii i porzucił uczelnię, której był profesorem,

¹ Por. E. R. Leach, *The Golden Bough or Gilded Twig?*, "Daedalus", Spring 1961, s. 372.

zamieszkał w Trinity College. Tam w latach 1883-1885 zaprzyjaźnił się z młodszym odeń Frazerem. Będąc wydawcą IX wydania Encyklopaedia Britannica Robertson Smith wciągnął Frazera do pracy nad poszczególnymi artykułami. Między innymi Frazer opracował do encyklopedii dwa hasła z zakresu antropologii kulturalnej, mianowicie Tabu i Totemizm. Studia związane z przygotowaniem tych artykułów zapoczątkowały jego działalność jako antropologa.

Brytyjska antropologia kulturalna przeżywała wówczas okres szybkiego rozwoju. W rezultacie działalności takich uczonych, jak J. F. Mac Lennan, A. Lane-Fox Pitt Rivers, Sir John Lubbock (1844-1913), a przede wszystkim Edward B. Tylor (1832-1917), przekształciła się ona z niesystematycznej refleksji nad egzotycznymi ludami w uznaną naukę o akademickim charakterze. Sprzyjał temu fakt, że jej teoretyczną podstawę stanowiła mieszczańska doktryna postępu, niezmiernie popularna wówczas idea o powolnym i stałym podnoszeniu się ludów od stanu zbliżonego do zwierzęcej dzikości do stanu charakteryzującego się zdobyczami cywilizacji wiktoriańskiej epoki. Postęp ludzkości traktowany był przy tym najczęściej jako dalszy ciąg ewolucji w przyrodzie, której zasady sprecyzowali koryfeusze ówczesnej nauki i filozofii, Karol Darwin i Herbert Spencer. Antropologowie zajmowali się właśnie odtwarzaniem przebiegu postępu, a zwłaszcza jego wcześniejszych stadiów. W tym celu wykorzystywali dane pochodzące od współczesnych ludów niecywilizowanych, które powszechnie uznawano za przedstawicieli pierwotnej epoki w dziejach ludzkości, za naszych żyjących przodków.

Związek antropologii z akceptowaną powszechnie doktryną postępu w niemałym stopniu przyczynił się do tego, że stała się ona nauką bardzo popularną. Wyniki jej badań interesowały szersze kręgi wykształconych czytelników. Rosło stale grono specjalistów-antropologów, zajmujących się teoretycznie uogólnianiem informacji o odległych ludach, dostarczanych przez podróżników, misjonarzy, kupców i administratorów kolonialnego imperium Wielkiej Brytanii.

Cenionym specjalistą antropologiem stał się i Frazer. Na polu antropologii rozwinął on wkrótce ożywioną działalność. W 1890 r. opublikował pierwsze wydanie *The Golden Bough - Złotej Gałęzi*, książki, która po rozszerzeniu i uzupełnieniach stanowić miała najważniejsze dzieło jego życia i główny tytuł do sławy.

Praca nad tym dziełem trwała niemal do końca życia Frazera. Wydanie pierwsze, dwutomowe, zastąpiło w 1900 roku wydanie drugie, obszerniejsze, obejmujące trzy tomy. Zachowując zasadniczy wątek dzieła, który stanowi poszukiwanie wyjaśnienia dziwnego zwyczaju następstwa kapłanów Diany w Arycji, Frazer dodawał stale nowe materiały na poparcie swoich tez dotyczących magii, różnych kultów, formowania się władzy politycznej itp. Rozbudowa dzieła trwała i po ukazaniu się drugiego wydania. Poszczególne partie książki były rozszerzane i stawały się osobnymi publikacjami. Frazer połączył je następnie w wydaniu trzecim *Złotej Gałęzi* opublikowanym w latach 1911-1915 i liczącym 12 tomów. W 1922 roku przygotował poza tym wydanie skrócone, wielokrotnie przedrukowywane, które stanowi podstawę niniejszego tłumaczenia. Nadal zresztą gromadził nowe materiały. Wydał je w 1936 r.

pt. *Pokłosie (Aftermath). Uzupełnienie "Złotej Gałęzi"*. Do cyklu *Złotej Gałęzi* należy wreszcie kilka mniejszych publikacji, takich jak np. *Wykłady o pierwotnych dziejach instytucji królewskiej*².

Cykl publikacji związanych ze *Złotą Gałęzią* nie był bynajmniej jedyny. Drugi taki cykl, zapoczątkowany także w okresie współpracy z W. Robertsonem Smithem, tworzą prace poświęcone totemizmowi. Główną pozycję w tym cyklu stanowi czterotomowe dzieło *Totemizm i egzogamia* (1910 r.). Inny cykl poświęcony był zagadnieniom antropologicznym w Starym Testamencie (*Folklor w Starym Testamencie*, 3 tomy, 1918 r.).

Szereg antropologicznych publikacji Frazera nie wchodzi zresztą w skład tych trzech cykli. Obok wielu artykułów wymienić trzeba tutaj zwłaszcza pozycje książkowe, takie jak *Wiara w nieśmiertelność i część oddawana zmarłym* (3 tomy w wydaniu z 1922 r.), *Adwokat diabła* (1928 r.), książkę obejmującą również wcześniejszą pozycję pt. *Zadanie Psyche* (1909 r.) i *Antologia antropologiczna* (2 tomy, 1938 i 1939 r.).

Jak widać z tego niepełnego wyliczenia, dorobek Frazera jest nie tylko tematycznie zróżnicowany. Jest to jednocześnie dorobek objętościowo niezwykle obszerny. Świadczy o wielkiej pracowitości autora, zwłaszcza że w przeciwieństwie np. do Spencera obywatel się on bez sekretarzy i pomocników. Zasiadał po prostu codziennie przy biurku o 8 rano i pracował nie mniej niż 12 godzin dziennie.³ W tej pracy widział swoją życiową misję i powołanie.

Obok wielkiej pracowitości płodność Frazera znajduje wytłumaczenie w systemie jego pracy. Był uczonym gabinetowego typu, obcował nie z ludźmi, o których pisał, lecz z książkami. Nie prowadził sam badań antropologicznych, nie widział przypuszczalnie nigdy żadnego przedstawiciela ludów niecywilizowanych, którym poświęcił tyle dzieł.⁴ Czytał natomiast olbrzymią ilość prac, zwłaszcza opisów etnograficznych, w sześciu językach. Gdy natrafił na informację odnoszącą się do zagadnienia, które go interesowało, przepisywał ją lub robił notatkę. Wypisy, streszczenia i omówienia przytaczał następnie w swoich dziełach jako uzasadnienie dla ogólnych tez.

Obfity materiał opisowy zawarty w dziełach Frazera stanowi jednak nie tylko dokumentację ogólnych twierdzeń. Pełni on również samodzielną rolę. Frazer umiał przedstawić różne zwyczaje i wydarzenia w sposób bardzo plastyczny. Umiał uwydatnić ich psychologiczny, ludzki sens. W jego ujęciu stanowią one fragmenty dramatu ludzkiego bytowania, którego bohaterowie są w gruncie rzeczy tacy sami pod równikiem jak i w Europie, za czasów faraonów jak i we współczesnej epoce. Frazer był nie tylko uczonym, był jednocześnie artystą. Opierając się na naukowym materiale przedstawiał nie suche opisy i uogólnienia, lecz własną żywą wizję zjawisk.

Do swoich dzieł i zawartych w nich obrazów Frazer był niezmiernie przywiązany. Z tej racji był bardzo wrażliwy na krytykę. Po zapoznaniu się z ostrą i złośliwą recenzją A. Langa drugiego wydania *Złotej*

² Wykłady te ukazały się w języku polskim pt. *Czarownik, kapłan, król*, W tłumaczeniu I. Wajnberga (Warszawa 1911).

³ Por. E. O. James, *Sir James George Frazer*, art. w "The Dictionary of National Biography" 1941-1950, Oxford 1959, s. 275.

Gałęzi przerwał pracę na kilka miesięcy.⁵ Później w ogóle nie czytał krytyk swoich dzieł. Nie poświęcał też wiele uwagi uczonym, którzy pisali o tych samych co on sprawach. Nie lubił dyskusji, nie był polemistą. Unikał zresztą w ogóle wypowiedania się w kwestiach kontrowersyjnych. Dotyczy to przede wszystkim problemów religijnych. *Złota Gałąź* jest antropologicznym dziełem z zakresu religioznawstwa. Frazer uwypukla nieraz podobieństwa istniejące między opisywanymi przez niego pogańskimi kultami i wierzeniami a religią chrześcijańską. Nie wyciągał jednak nigdy na podstawie tych analogii antyreligijnych wniosków, zapewne dlatego, aby uniknąć krytyk i konfliktów.⁶ W starych murach Trinity College żył w odosobnieniu jak w wieży z kości słoniowej, żył w świecie książek i stworzonych przez siebie wizji. Wykładów miał niewiele, nie lubił ich. Był słabym mówcą. Nie dążył do kontaktów z szerszą publicznością i dlatego właśnie po jednym semestrze zajęć na uniwersytecie w Liverpoolu wrócił do Trinity College. Nie odpowiadały mu ani zajęcia profesorskie, ani pełne życia portowe miasto.

Frazer był człowiekiem bardzo skromnym, nie zabiegał o rozgłos ani o zaszczyty. Jednym z paradoksów w jego życiu było jednak to, że on właśnie spośród brytyjskich antropologów cieszył się największą popularnością i że jego obdarzono zaszczytami, które rzadko stają się udziałem uczonych. Swą popularność Frazer zawdzięczał nie tylko walorom naukowym swoich dzieł, lecz i ich walorom literackim. Styl Frazera porównywano niejednokrotnie do stylu poety J. Addisona i E. Gibbona, znakomitego historyka i pisarza angielskiego drugiej połowy XVIII stulecia.⁷

Z popularnością wiązały się zaszczyty. W 1914 r. Frazer otrzymał tytuł szlachecki. Był członkiem wielu naukowych towarzystw, między innymi Royal Society i Instytutu Francuskiego. Siedem uniwersytetów brytyjskich i zagranicznych nadało mu doktoraty *honoris causa*. Otrzymał wiele orderów i odznaczeń.

Niemalą była w tym ponoć zasługa lady Frazer, jego żony, Francuzki z pochodzenia, tłumaczki jego dzieł i literatki. Widziała ona cel swego życia w światowej karierze męża i przykładała do tego wiele starań. Była mu zresztą bardzo oddana. Pod koniec życia pomagała mu w pracy. Umarła w kilka godzin po jego zgonie, 7 maja 1941 r.

Frazer wywarł wielki wpływ na współczesnych i młodszych od siebie intelektualistów. Należą do nich i Anatol France, i Henryk Bergson, i Zygmunt Freud, O. Spengler, A. Toynbee i wielu innych. Odślonił on przed nimi nowy świat - świat zwyczajów i mitów różnych ludów, przedstawicieli obcych kultur, widziany oczyma uczonego i artysty. Niektórzy współcześni nam intelektualiści, zwłaszcza interesujący się religioznawstwem, jak E. O. James i Mircea Eliade, pozostają bezpośrednio pod jego wpływem.

⁴ Por. E. O. James, *loc. cit.*; E. R. Leach, *op. cit.*, s. 304-385.

⁵ Por. B. Malinowski, Sir James George Frazer: *A Biographical Appreciation in A Scientific Theory of Culture and Other Essays*, New York, 1960, s. 182-183

⁶ Frazer wychowany był w religijnej atmosferze surowego prezbiterianizmu. Ojciec jego codziennie czytywał Biblię całej rodzinie. Szacunek dla Biblii Frazer zachował do końca życia, choć oczywiście traktował ją raczej jako źródło antropologicznych informacji i dzieło literackie. W 1895 r. wydał pracę: *Ustępy z Biblii wybrane ze względu na ich piękność i walory literackie przez J. G. Frazera, M. A. członka Trinity College, Cambridge*. Praca ta była wydawana kilkakrotnie.

⁷ Por. zwłaszcza H. Weisinger, *The Branch that Grew Fuli Straight*, "Daedalus", Spring 1961, s. 390.

Oddziaływanie Frazera wyraźne jest i w dziedzinie, do której należy większość jego prac, w antropologii kulturalnej. Ocena jego dzieł i teorii dokonana przez antropologów nie jest jednak jednolita. Często nawet niepochlebna.⁸ Teorie Frazera nie spotkały się bynajmniej z powszechnym uznaniem wśród fachowców w przeciwieństwie do szerszych kręgów intelektualistów i czytającej publiczności. Dotyczy to także teorii sformułowanych w głównym dziele Frazera, w *Złotej Gałęzi*

Interesujący przykład różnic w ocenie dzieła Frazera stanowi dyskusja między brytyjskim antropologiem E. R. Leachem i amerykańskim historykiem literatury H. Weisingerem w nr 2 czasopisma "Daedalus" w 1961 r., a więc w dwadzieścia lat po śmierci Frazera. Odmienne oceny zawarte są już w tytułach artykułów. Tytuł artykułu E. R. Leacha brzmi: *Złota Gałąź czy poślaczana gałązka?* Replika H. Weisingera nosi tytuł: *Gałąź, która wyrosła bardzo prosto*. Leach odmawia Frazerowi wszelkich zasług jako uczonemu, poza zasługą zebrania materiałów. Weisinger przyznaje rację wielu jego zarzutom. Stawia jednak Frazera w jednym rzędzie z takimi uczonymi i myślicielami, jak Marks, Darwin i Freud. Uzasadnia to przekonanie w sposób następujący: "Mogę śmiało powiedzieć - pisze on - że trudno znaleźć poważnego pisarza czy krytyka..., który w mniejszym czy większym stopniu, bezpośrednio czy pośrednio nie przejął od Frazera tej rozległej geograficznej i historycznej perspektywy stanowiącej specyficzną cechę współczesnej samowiedzy."⁹

Weisinger ma niewątpliwie rację, chociaż stawianie Frazera w jednym rzędzie z Marksem i Darwinem budzić może wątpliwości. Frazer - i to stanowi jego wielką zasługę jako uczonego i humanisty - uprzytomnił współczesnym jedność kulturalną wszystkich ludów, niezależnie od występującego między nimi zróżnicowania. Wykorzystał w jednym dziele dane pochodzące z różnych kontynentów i z różnych epok. Współczesne ludy niecywilizowane, chłopci europejscy, starożytni Grecy i Rzymianie, ludy Wschodu, wszystkie te ludy występują obok siebie na kartach jego pracy z okazji omawiania jednych i tych samych zagadnień. Co więcej - Frazer przekonuje czytelnika, że wszystkie te ludy mogą występować razem, gdyż każdy lud stanowi tylko część jednej ludzkości. Specjalną wartość z tego punktu widzenia mają jego rozważania poświęcone "dzikim" i ich wkładowi do ogólnoludzkiej kultury.

Złota Gałąź musi być jednak oceniona i z innego punktu widzenia, ze względu na naukową wartość metody zastosowanej w tym dziele i występujących w nim teorii. Rozpatrując dzieło Frazera z tego punktu widzenia należy wskazać nie tylko na jego walory, lecz i istotne braki.

Frazer należał do młodszego pokolenia ewolucjonistów w antropologii. Przedstawiciele tego pokolenia przyjęli podstawowe założenia teoretycznego stanowiska E. B. Tylora, L. H. Morgana, B. Bastiana i innych, polegającego na rozpatrywaniu wszelkich zjawisk kultury jedynie jako fragmentów ogólnoludzkiego procesu rozwoju. Niektórzy z nich jednak próbowali zmodyfikować to stanowisko.

⁸ Por. zwłaszcza obok cytowanego artykułu E. R. Leacha ustępy poświęcone Frazerowi w R. H. Lowie, *The History of Ethnological Theory*, Nowy Jork 1937, s. 101- 104.

⁹ H. Weisinger, op. cit., s. 396.

Analizowali funkcję, którą badane zjawiska pełnią w kulturze każdego ludu. Interesowali się historią różnych zjawisk i kultur, ich rozmieszczeniem itp.¹⁰

Frazer nie należał do tych uczonych. Mimo że dożył drugiej wojny światowej, kiedy klasyczny ewolucjonizm należał już do przeszłości, pozostał ewolucjonistą w stylu XIX wieku. Jak słusznie pisze E. R. Leach: "...czytelnik, który spośród dzieł antropologicznych znalazłby tylko dzieła Frazera, mógłby wyciągnąć wniosek, że w okresie między opublikowaniem *Cywilizacji pierwotnej* Tylora (1871) a 1935 r. ogólna teoria wcale się nie rozwinęła".¹¹

Jakie są zasadnicze rysy metody i teoretycznego stanowiska Frazera w *Złotej Gałęzi* i dlaczego są one nie do przyjęcia we współczesnej epoce? Jak już wiemy, zasadniczą osnowę *Złotej Gałęzi* stanowi poszukiwanie wyjaśnienia dziwnej reguły następstwa kapłanów Diany w arcyjskim gaju. Wyjaśnienie to polega na wskazaniu analogicznych zwyczajów i związanych z nimi wierzeń u różnych ludów kuli ziemskiej. Zwyczaje te, wierzenia i mity składają się na większe kompleksy. Ukształtowały się one według Frazera we wczesnych etapach rozwoju ogólnoludzkiej kultury, w pełniejszej postaci występują u współczesnych ludów niecywilizowanych, zaś w postaci przeżytków w dawnych i obecnych społeczeństwach cywilizowanych.

Metoda Frazera polega więc na porównywaniu zwyczajów i wierzeń występujących u różnych ludów świata, wyszukiwaniu analogii i wyprowadzaniu tych różnych zwyczajów z jednego źródła, które stanowić ma kultura ludzkości w pierwotnej epoce. Jest to metoda porównawcza i ewolucyjna. Ewolucyjna - gdyż opiera się na założeniach ewolucjonistycznej teorii postępu, spośród których najważniejszą rolę pełni przekonanie, iż rozwój wszystkich ludów i ich kultury jest absolutnie jednakowy. Ewolucyjny charakter tej metody polega również na tym, że jej ostatecznym celem jest zbudowanie rozwojowych schematów, to jest ustalenie kolejności występowania w czasie kulturowych kompleksów z punktu widzenia różnych kryteriów, głównie prostoty i złożoności zjawisk oraz stopnia ich podobieństwa do kultury europejskiej.

W *Złotej Gałęzi* taki schemat przedstawiony został najpełniej w rozdziale ostatnim, gdzie Frazer magię uznaje za wcześniejszą od religii i nauki. Metoda ewolucyjno-porównawcza została odrzucona przez późniejszych badaczy. Twierdzenia, na których się ona opiera, są nie do przyjęcia jako ogólne założenia badawczego postępowania. Metoda ta lekceważy zasadę, że aby dojść do ustalenia regularności w przebiegu ogólnego rozwoju, należy najpierw zanalizować historię poszczególnych ludów i ich kultury. Tym właśnie nie zajmowali się ewolucjoniści. Dlatego też należy z dużą ostrożnością traktować ich rozwojowe schematy, w tym także schemat Frazera, który zresztą i z innych względów wzbudza niemałe wątpliwości.

Inną wadę metody ewolucjonistów z Frazerem włącznie stanowi schematyzm. Byli oni tak pewni, że rozwój różnych ludów szedł zawsze jednakowymi drogami, iż wszelkie podobieństwa traktowali jako

¹⁰ Por. zwłaszcza R. H. Lowie, op. *cit.*, rozdz. VIII, pt. *Progress*.

świadczenie przynależności do jednego kompleksu zjawisk. Tymczasem były to często tylko podobieństwa w zewnętrznych rysach danych zwyczajów, które poza tym mogły posiadać zupełnie odrębny charakter.

Schematyzm w traktowaniu kulturowych podobieństw nie jest obcy i Frazerowi. Opisując poszczególne zwyczaje czynił to możliwie dokładnie i nie ograniczał się do wskazania ich rysów wspólnych z innymi zwyczajami, jak to czynili często inni ewolucjoniści. Tam jednak, gdzie interpretuje różne zwyczaje i formułuje uogólnienia, postępuje często w sposób schematyczny. Wystarczają mu nieraz zewnętrzne podobieństwa, aby zaliczyć różne zwyczaje do jednego kompleksu i przyjąć jedną ich interpretację.

Przykładu takiego postępowania dostarczają m. in. analizy Frazera poświęcone zwyczajom żniwnym. Wielu czytelnikom znany jest zapewne polski zwyczaj symbolicznego wiązania przez żniwiarzy osób przechodzących obok pola, na którym odbywa się żniwo, przede wszystkim gospodarza. Wiązanie ma na celu uzyskanie datku. Sens tego zwyczaju według Frazera, podany zresztą za Mannhardtem, polega na symbolicznym schwyтaniu ducha zboża i zabiciu go. Frazer ustala ten sens łącząc na podstawie paru zewnętrznych podobieństw różne zwyczaje europejskich chłopów ze zwyczajami i mitami ludów z wschodniej części basenu Morza Śródziemnego i ludów pierwotnych. Celem powyższej interpretacji jest wykazanie, że u wszystkich ludów na wczesnych etapach rozwoju występowała wiara w duchy zboża, istniały określone obrzędy magiczne, mające zapewnić większe plony itp.

Taką interpretację polskiego zwyczaju wiązania osób przechodzących obok żniwiarzy trudno jest uznać za przekonującą, co wykazuje ni. in. Stanisław Bystron w pracy *Zwyczaje żniwiarskie w Polsce*.¹² Niesłuszne jest także łączenie tego zwyczaju w jeden kompleks z mitem o Lityersesie i z innymi obyczajami, z którymi łączy go powierzchowne podobieństwo.

Podobnie rzecz ma się z Frazerowską interpretacją takich zwrotów jak "wilki chodzą" w zbożu i podobnych, używanych u nas na określenie falującego zboża. Zwroty tego rodzaju według angielskiego antropologa również świadczą o wierze w ducha zboża i o istnieniu niegdyś całego kompleksu kultowo-magicznych zjawisk, charakterystycznych dla wczesnego etapu rozwoju ludzkości. Jak wykazują badacze, interpretację taką trudno uznać za przekonującą.¹³ Na nich zaś i na interpretacjach do nich podobnych, choć mniej rażących, opiera się pewna część wniosków Frazera. Uważny czytelnik spostrzeże, jak dalece są one hipotetyczne i dowolne.

Wskazując na błędy w interpretacji różnych zwyczajów w *Złotej Gałęzi*, związane z brakami metody ewolucyjno-porównawczej w ogóle, należy zastrzec się, że bynajmniej nie każde doszukiwanie się podobieństw między zwyczajami odległymi w czasie i przestrzeni należy uznać za wadliwe. Analiza

¹¹ E. R. Leach, op. cit., s. 375.

¹² Kraków 1916, s. 234-236

porównawcza zjawisk występujących w różnych kulturach przynieść może bardzo wiele również przy wyjaśnianiu tych zjawisk, co wiąże się z faktem, iż mimo odrębności różne kultury ludzkie mają ze sobą wiele wspólnego. Analiz takich nie brak u Frazera. Są to między innymi analizy różnych zjawisk kultury antycznej, rozpatrywanych w związku z obyczajami ludów niecywilizowanych.¹⁴

Ale dzieło Frazera zawiera nie tylko ewolucjonistyczne teorie o pierwotności magii, sformułowane jako wynik ewolucyjno-porównawczych analiz. Jego teoria magii obejmuje także koncepcję tej dziedziny zjawisk, przeciwstawiającą ją religii i nauce.

Frazerowska koncepcja magii, przedstawiona zwłaszcza w trzecim rozdziale w niniejszym wyborze, poddawana była niejednokrotnie krytyce. Wskazywano, że niesłuszne jest traktowanie magii jako pseudonauki, w czym Frazer wzorował się zresztą na Tylorze¹⁵, że błędne jest przeciwstawienie magii - religii, na co silny nacisk kładą przede wszystkim uczeni radzieccy, że magia sympatyczna Frazera nie obejmuje wszystkich możliwych gałęzi magii, że Frazer w niedostatecznym stopniu uwzględnił społeczną jej funkcję itp.¹⁶

Niezależnie od tych zarzutów koncepcja magii Frazera zawiera wiele cennych elementów. Należy zaliczyć do nich również krytykowany czasem podział na magię homeopatyczną i przenośną, który, choć niewyczerpujący, okazał się użyteczny w badaniach.¹⁷ Cenne jest następnie odróżnienie postawy błagalnej, którą Frazer uważa za charakterystyczną dla religii, od postawy znamiennej według niego dla magii, a polegającej na narzucaniu siłom nadprzyrodzonym swej woli, na zmuszaniu ich za pomocą zaklęć itp. do dawania rzeczy pożądanых.¹⁸ Istotne jest także w koncepcji Frazera to, że uwzględnia ona, aczkolwiek w sposób niedostateczny, społeczne funkcje magii. Frazer przywiązuje słuszną wielką wagę do magii płodności i magii wegetatywnej, odgrywającej istotną rolę w życiu produkcyjnym rolniczych i myśliwskich ludów. Zwraca także uwagę na rolę magii w procesie społecznego różnicowania się zbiorowości ludzkich, aczkolwiek proces ten pojmuje w uproszczony sposób.¹⁹

¹³ Por. St. Bystron, tamże, s. 3, 29. Por. także K. Moszyński, *Kultura ludowa Słowian*, cz. II, z. 1, s. 537-538, Kraków 1934, oraz St. Poniatowski, *Etnografia Polski* w encyklopedii "Wiedza o Polsce", t. 5/III, s. 314, Warszawa b. r.

¹⁴ J. Harrison zwraca uwagę, że dopiero Frazer przekonał wielu badaczy starożytności, iż zestawianie zwyczajów i wierzeń greckich i rzymskich z wierzeniami współczesnych ludów niecywilizowanych może przynieść dobre rezultaty (por. J. E. Harrison, *Reminiscences of a Student's Life*, London 1925, s. 82). I on jednak nie przekonał wszystkich. Wielu filologów klasycznych, zwłaszcza niemieckich, z oburzeniem patrzyło na stawianie w jednej płaszczyźnie Greków i Rzymian z "dzikusami" z Nowej Gwinei czy dorzecza Amazonki. Wybitny filolog klasyczny Ulrich von Wilamowitz-Mollendorf nazywał pogardliwie to, co robił Frazer, "*Botokudenphilologie*" – filologią Botokudów.

¹⁵ Por. E. B. Tylor, *Cywilizacja pierwotna*, przekład Z. A. Kowerskiej, t. II, Warszawa 1896.

¹⁶ Por. m. in. M. Mauss, H. Hubert, *Esquisse d'une theorie generale de la magie*, "L'Annee sociologique", 1902-1903, r. I; B. Malinowski, *Totemizm i egzogamia*, "Lud", t. XVIII, 1912 r., s. 31-40; tenże, *Magia, nauka, religia* w B. Malinowski, *Szkice z teorii kultury*, Warszawa 1958, s. 391-465; tenże, *Sir James George Frazer, op. cit.*; K. Moszyński, *op. cit.*, s. 267 i nast.; R. H. Lowie, *op. cit.*, s. 102-104.

¹⁷ Por. m. in. R. H. Lowie, *op. cit.*, s. 104. U nas podziałem tym posługiwał się m. in. St. Poniatowski (*op. cit.*, s. 263-264). Inny podział zjawisk magii, nawiązujący jednak do Frazerowskiej klasyfikacji, wprowadza K. Moszyński (*op. cit.*, s. 267-268).

¹⁸ Por. m. in. J. Wach, *Socjologia religii*, Warszawa 1961, s. 335-336, oraz Lowie, l. c.

¹⁹ Por. B. Malinowski, *Sir James George Frazer, op. cit.*, s. 189. Tenże, *Magia, nauka, religia, op. cit.*, s. 392.

Uwagi, które tutaj zostały przedstawione, nie zawierają oczywiście pełnej oceny koncepcji magii Frazera. Mają one jedynie na celu zasygnalizowanie czytelnikowi, że nie można traktować tej koncepcji jako ostatecznego słowa nauki. Trwały wkład Frazera do antropologicznej refleksji nad magią i religią stanowią nie rozwiązania, które przedstawił i które w całości nie mogą być zaakceptowane. Wkład ten polega przede wszystkim na tym, iż postawił on szereg problemów, nad którymi uczeni pracują często do dziś dnia, szukając lepszych ich rozwiązań. Dlatego właśnie *Złota Gałąź* jest dziełem klasycznym, dziełem, którego wpływ okazał się trwały i bardzo duży, o czym można się przekonać czytając choćby prace Malinowskiego poświęcone magii²⁰ czy niedawno u nas wydaną *Socjologią religii* J. Wacha. Dlatego też z dziełem tym powinien zapoznać się każdy, kto interesuje się zagadnieniami religioznawstwa.

Niezależnie od takich czy innych wad i zalet *Złotej Gałęzi*, jako dzieła z zakresu religioznawstwa i teoretycznej antropologii, posiada ono wielkie walory jako książka przedstawiająca obraz zwyczajów i wierzeń różnych ludów. Frazer "pojawia się [...] przed nami - pisze B. Malinowski - jako przewodnik kierujący naszą podróżą poprzez pustynie Australii, tropikalne dżungle Amazonki i Orinoko, przez stepy Azji lub wyżyny Afryki. Faktycznie przedstawia on opis zjawisk w ich kontekście, w opisie tym różne aspekty kultury i różne ludzkie sprawy są ze sobą powiązane; przygodne komentarze [...] cechuje intuicja w przedstawianiu ludzkich motywów. Nie byłoby trudne wykazać, że Frazer często zbliża się do psychoanalitycznego ujęcia nieświadomych i podświadomych motywów ludzkiego zachowania."²¹

W opisach Frazer wypowiada się może najpełniej jako artysta i uczo-ny-humanista, który umie dostrzec w zwyczajach i wierzeniach różnych społeczeństw ich ogólnoludzką treść, zbliżyć je do czytelników i uczynić zrozumiałymi przy zachowaniu całej ich egzotyki. Wartość tych opisów podnosi przy tym fakt, że powstały one w wyniku wyczerpującej - choć może nie zawsze dokładnej - analizy źródeł. Dość wspomnieć w związku z tym, że bibliografia wykorzystanych prac w pełnym wydaniu *Złotej Gałęzi* obejmuje około czterech tysięcy pozycji.

Obecna, wznowiona, publikacja *Złotej Gałęzi* (I wyd. - 1962 r.) jest pierwszym przekładem tego dzieła w języku polskim. Spośród osobno wydanych dzieł Frazera czytelnik polski miał możliwość zapoznać się tylko z wykładami o pierwotnych dziejach instytucji królewskiej pt. *Czarownik, kapłan, król*.²²

Lista polskich przekładów dzieł Frazera jest więc krótka. Nie świadczy to jednak o tym, że wpływ jego był u nas mały. Zaznaczył się on i w religionistyce, i w socjologii, i w etnografii. Wspominaliśmy już nazwiska etnografów polskich, którzy, często polemizując z Frazerem, znajdowali się jednak, przynajmniej częściowo, pod jego wpływem. Do uczonych, którzy najczęściej odwoływali się do Frazera, należy

²⁰ W zbiorze *Szkice z teorii kultury*, Warszawa 1958.

²¹ B. Malinowski, *Sir James George Frazer*, op. cit., s. 184.

²² Warszawa 1911. Przekład I. Wajnberga, jak zaznacza Stefan Czarnowski, aczkolwiek wierny, nie dorównuje stylem oryginałowi (por. S. Czarnowski, *Dzieła*, Warszawa 1956, t. V, s. 77-78).

zaliczyć jeszcze W. Klingera, badacza związków między kulturą starożytną a folklorem. Nie brak nawiązań do Frazera także u Stefana Czarnowskiego.²³

Niezależnie od tych związków Frazer wywarł na losy polskiej antropologii duży wpływ, wpływ - jeśli się tak można wyrazić - personalny. Lektura *Złotej Gałęzi* zadecydowała o zajęciu się antropologią przez Bronisława Malinowskiego, jednego z najwybitniejszych uczonych w skali światowej w tej dziedzinie wiedzy. Oto co pisze o tym wydarzeniu Malinowski, zwracając się do samego Frazera w czasie uroczystości ku jego czci w 1925 r.:

"Gdybym posiadał moc wskrzeszenia przeszłości, chciałbym przenieść Pana o jakieś dwadzieścia lat wstecz, do starego słowiańskiego miasta uniwersyteckiego - mam tutaj na myśli Kraków, dawną stolicę Polski oraz siedzibę najstarszego uniwersytetu w Europie Wschodniej. Mógłbym wówczas wskazać Panu pewnego studenta opuszczającego jeden ze średniowiecznych budynków kolegium. Młody człowiek, znajdujący się w stanie widocznego przygnębienia, niesie pod pachą książkę będącą jego jedyną pociechą w strapieniu - trzy zielone tomy z tak znanym złotym nadrukiem i pięknym rysunkiem jemioli - symbolu *The Golden Bough*.

Wówczas bowiem z powodu złego stanu zdrowia kazano mi przerwać na jakiś czas studia w zakresie fizyki i chemii. Pozwolono mi jednak kontynuować moje ulubione studium uboczne, toteż postanowiłem dokonać pierwszej próby przeczytania w oryginale angielskiego arcydzieła z tej dziedziny. Być może, moja duchowa rozterka byłaby mniejsza, gdybym mógł wówczas spojrzeć w przyszłość i przewidzieć dzisiejszą uroczystość...

Albowiem skoro tylko zacząłem czytać to wielkie dzieło, porwało mnie i zniewoliło bez reszty. Zrozumiałem wówczas, że antropologia, tak jak ją przedstawia sir James Frazer, jest wielką nauką, godną takiego samego oddania się jej, jak którekolwiek ze starszych i bardziej od niej ścisłych studiów pokrewnych. Tak to wstąpiłem na służbę Frazerowskiej antropologii."²⁴

Jak widać, *Złota Gałąź* wywarła niegdyś na młodego Malinowskiego magiczny wpływ. Lektura tej książki przekonuje, że mimo upływu lat zachowała ona jeszcze wiele ze swego uroku.

Obecne wydanie *Złotej Gałęzi* oparte jest o skrócone wydanie tego dzieła, przygotowane przez Frazera. W wydaniu tym Frazer pominał przypisy oraz usunął szereg partii opisowych. Mimo to wydanie skrócone jest jeszcze bardzo obszerne i w przekładzie polskim zaszła konieczność dokonania dalszych skrótów. Polegają one głównie na pominięciu szeregu przykładów, w związków z czym uległa zmniejszeniu ilość rozdziałów. Przy dokonywaniu selekcji miano na względzie znaczenie poszcze-

²³ Nie widać natomiast wielu śladów wpływu Frazera u Ludwika Krzywickiego, którego zainteresowania różniły się zresztą bardzo od zainteresowań angielskiego uczonego. Na marginesie warto zwrócić uwagę, że między Krzywickim i Frazerem występują uderzające, choć głównie powierzchowne podobieństwa. Należą oni do tej samej generacji, śmierć ich dzieli nie więcej niż miesiąc czasu. Obydwaj w pracach antropologicznych są ewolucjonistami, prace te ukazują się w epoce, gdy kierunek ten należał już do przeszłości. Wiąże się to z faktem, że obydwaj przez długie lata opracowywali pomysły, sformułowane w końcu dziewiętnastego wieku.

²⁴ B. Malinowski, *Mit w psychologii ludów pierwotnych. Dedykacja Sir Jamesowi Frazerowi w Szkice z teorii kultury*, s. 469.

gólnych partii książki dla odtworzenia ogólnego stanowiska Frazera i zasadniczego wątku jego dzieła. Brano pod uwagę także walory literackie poszczególnych opisów. Skrótów dokonał tłumacz, Henryk Krzeczkowski.

Przekład *Złotej Gałęzi* jest przekładem literackim. Tłumacz dążył do tego, aby zachować artystyczne walory oryginału. Jednocześnie jednak jest to przekład możliwie wierny. Tłumaczenie tekstu Frazera nastręcza wiele trudności. Pomijając już częściowo tylko ujednoliczoną w języku polskim pisownię nazw geograficznych, a zwłaszcza etnicznych, niełatwo jest przetłumaczyć niektóre terminy używane przez Frazera. Dotyczy to przede wszystkim terminów odnoszących się do magii, np. magia homeopatyczna (*homeopathic magie*), magia przenośna (*contagious magie* - inaczej magia zaraźliwa) i magia sympatyczna (*sympathetic magie*). Zwłaszcza ten ostatni termin w języku polskim budzi skojarzenia niewłaściwe w zestawieniu z sensem, który z tym terminem wiąże Frazer. Magia sympatyczna bowiem nie zakłada bynajmniej jakiegoś sympatycznego - w codziennym sensie tego słowa - sposobu postępowania. "Sympatia" u Frazera w odniesieniu do magii to ukryty związek zjawisk czy przedmiotów, który sprawia, iż oddziałując na jeden z nich, wywieramy wpływ i na drugi. Oddziaływanie to może mieć często charakter zgoła "niesympatyczny" w naszym rozumieniu, jak np. wykluwanie oczu na wizerunku wroga, którego chce się oślepić. Jednak ze względu na to, że termin "magia sympatyczna" uzyskał już prawo obywatelstwa w różnych językach, między innymi w literaturze polskiej, nie próbowano zastąpić go innym. W niektórych zdaniach, gdzie słowo "sympatia", czy "sympatyczny" może specjalnie razić, użyto innych słów, np.: "związek", "powinowactwo magiczne" itp. W ten sposób starano się zarówno zachować wierność w stosunku do terminologii Frazera, jak i usunąć to, co może razić czytelnika w literackim przekładzie.

Cudzysłowy w tekście, zachowane oczywiście w wydaniu polskim, są cudzysłowami Frazera, który często cytuje fragmenty z dzieł etnologów i podróżników. Cytaty te w skróconym wydaniu angielskim nie zostały rozszyfrowane. Szczegółową bibliografię i rozszyfrowanie cytatów podaje pełne dwunastotomowe wydanie *Złotej Gałęzi*.

Jan Lutyński

ZŁOTA GAŁĄŻ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KRÓL LASU

Któż nie zna obrazu Turnera przedstawiającego Złotą Gałąż? Scena tonąca w złocistej poświacie wyobraźni, w której kąpał się boski umysł Turnera i przemieniał nawet najpogodniejszy krajobraz, jest podobną do snu wizją ukrytego w lasach jeziora Nemi, "Zwierciadła Diany", jak je nazywali starożytni. Kto raz widział spokojne wody otoczone zielenią dolinki w Górach Albańskich, już nigdy ich nie zapomni. Ciszy, wręcz samotności tej sceny nie zakłócają dwie typowe wioski włoskie drzemiące nad brzegami jeziora i równie włoski pałac, którego ogrody stromymi tarasami opadają ku jezioru. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Diana wciąż jeszcze przebywała na tym bezludnym brzegu, gdyby wciąż jeszcze zamieszkiwała te leśne ostępy.

W starożytności ów leśny pejzaż był miejscem dziwnej i powtarzającej się stale tragedii. Na północnym brzegu jeziora, tuż pod przepaścistą skałą, na której osiadła współczesna wioska Nemi, znajdował się święty zagajnik i sanktuarium Diany Nemorensis, czyli Diany Leśnej. Niekiedy zwano je również jeziorem i zagajnikiem Arycji. Lecz miasteczko Arycja (obecna La Riccia) znajdowało się o trzy mile dalej, u stóp Góry Albańskiej, a od jeziora, leżącego na zboczu góry w małym zagłębieniu w kształcie krateru, dzielił je bardzo pochyły stok. W tym świętym zagajniku rosło drzewo, wokół którego można było dostrzec krążącą przez cały dzień i prawdopodobnie do późnej nocy mroczną postać. W ręce dzierżył ów człowiek nagi miecz i bez przerwy rozglądał się wokół, jak gdyby w każdej chwili mógł się spodziewać napaści wroga. Był to kapłan i morderca, wypatrujący tego, który go wcześniej lub później zamorduje i obejmie po nim urząd kapłana. Takie prawo obowiązywało w sanktuarium. Kandydat na kapłana nie miał wyboru. By objąć stanowisko, musiał zgładzić swego poprzednika, a urząd po nim piastował do chwili, gdy sam ginął z ręki następcy silniejszego i bardziej przemyślnego.

Ze stanowiskiem tak niepewnym związany był tytuł króla, ale z pewnością żadna inna koronowana głowa nie układała się do snu w większej niepewności i nie była nawiedzana przez koszmarniejsze sny. Rok po roku, latem i zimą, w słońce i niepogodę musiał stać samotnie na straży, a niespokojną drzemką mógł przypłacić życiem. Najdrobniejsza nieuwaga, najmniejsza słabość, ledwo dostrzegalne zmniejszenie sprawności we władaniu bronią oznaczały niebezpieczeństwo. Siwizna mogła przypieczętować jego los. Widok tego człowieka, być może, zaciemniał jasny pejzaż spokojnym i nabożnym pielgrzymom jak chmura, która nagle przesłania słońce w pogodny dzień. Nie pasowała ta surowa i ponura postać do sennego błękitu włoskiego nieba, do cienia letnich lasów, do skrzących się w promieniach słońca fal jeziora. Wyobrażamy sobie raczej tę scenę tak, jak widział ją spóźniony wędrowiec w jedną z owych strasznych nocy jesiennych, gdy martwe liście kładą się gęstym kobiercem,

a wiatr zdaje się żegnać żałobnymi pieniami umierający rok. Obraz to ponury, któremu towarzyszy melancholijna muzyka. Na tle chmurnego i burzliwego nieba rysuje się czarna, postrzępiona sylwetka lasu, w gałęziach skomle wiatr, pod nogami szeleszczą zwiędłe liście, zimna woda uderza o brzeg, a na pierwszym planie kroczy tam i z powrotem ciemna sylwetka, to ginąca w mroku, to znów pojawiająca się w poświacie księżyca przedzierającego się przez chmury i splecione gałęzie, by na chwilę zabłysnąć na stali miecza.

Nie znajdziemy w starożytności klasycznej analogii ani wytłumaczenia dziwnej reguły tego obrządku kapłańskiego. Trzeba sięgnąć głębiej. Nikt chyba nie zaprzeczy, że tego rodzaju zwyczaj pachnie wiekami barbarzyńskimi. Przetrwał do czasów cesarstwa i jak prehistoryczna skała stercząca na gładko strzyżonym trawniku osamotniony jest w cywilizowanym świecie ówczesnym, ale właśnie barbarzyństwo i prymitywizm obyczaju dają nam nadzieję na rozwiązanie zagadki. Ostatnie bowiem badania nad wczesną historią człowieka odsłoniły, iż mimo powierzchownych różnic umysł ludzki wypracowywał pierwszą prymitywną filozofię życia w sposób zasadniczo podobny. Toteż jeśli potrafimy dowieść, że tego rodzaju barbarzyński zwyczaj jak kapłaństwo w Nemi istniał gdzie indziej, jeśli uda nam się wysledzić motywy, które powołały go do życia, jeśli zdołamy dowieść, że motywy te występowały w szerokim zasięgu, a może nawet były powszechne w społeczeństwie ludzkim, wytwarzając w rozmaitych okolicznościach rozmaite instytucje, podobne jednak w swych źródłach; jeśli wreszcie uda nam się dowieść, że te właśnie motywy jak też pewne instytucje z nich się wywodzące funkcjonowały w starożytności klasycznej, wówczas będziemy mieli prawo przypuszczać, że w jakimś wcześniejszym wieku te same motywy zrodziły urząd kapłański w Nemi. Tego rodzaju wywód, wobec braku bezpośrednich świadectw o rzeczywistych początkach kapłaństwa w Nemi, nie może posiadać wartości dowodu, będzie jednak bardziej lub mniej prawdopodobny w zależności od stopnia, w jakim spełni warunki, które powyżej wymienilem. Celem tej książki jest przedstawienie możliwie prawdopodobnego wyjaśnienia kapłaństwa w Nemi.

Zaczynam od przedstawienia kilku faktów i legend, które do nas dotarły. Według jednego przekazu kult Diany w Nemi został wprowadzony przez Orestesa, który po zamordowaniu Toasa, króla Chersonesu Taurydzkiego (Krym), uciekł wraz z swą siostrą do Italii unosząc z sobą wizerunek Diany Taurydzkiej ukryty w wiązce patyków. Po śmierci szczątki jego zostały przywiezione z Arycji do Rzymu i pochowane przed świątynią Saturna na stoku Kapitolu obok świątyni Zgody. Krwawy rytuał, który legenda przypisuje Dianie Taurydzkiej, znany jest badaczom starożytności klasycznej. Legenda głosi, że każdy cudzoziemiec, który wylądował na tym brzegu, składany był w ofierze na jej ołtarzu. Rytuał ten po przeniesieniu go do Italii przybrał łagodniejsze formy. W sanktuarium Nemi rosło pewne drzewo, z którego nie wolno było łąć ani jednej gałęzi. Mógł to uczynić jedynie niewolnik, który uciekł od swojego pana. Gdy uciekinierowi udało się łąć gałąź, otrzymywał prawo stoczenia walki z kapłanem, a po zwycięskiej walce i zgładzeniu kapłana zostawał jego następcą otrzymując tytuł Króla Lasu (Rex Nemorensis). W powszechnym mniemaniu starożytnych owa fatalna gałąź arycyjska była

Złotą Gałęzią, którą Eneasza, posłuszny nakazowi Sybilli, ułamał wybierając się w niebezpieczną podróż do krainy umarłych. Ucieczka niewolnika, jak twierdzono, wyobrażała ucieczkę Orestesa, jego walka z kapłanem była reminiscencją ludzkich ofiar składanych niegdyś Dianie Taurydzkiej. Prawo następstwa, wywojowane mieczem, zachowało się po czasy cesarstwa. Wiemy bowiem, że gdy kapłan w Nemi zbyt długo już piastował swą godność, Kaligula wynajął silniejszego odeń gburę, by go zamordował, a pewien podróżnik grecki, który przybył do Italii w erze Antoninów, zanotował, że kapłaństwo było nadal owocem zwycięstwa w walce wręcz.

Kilka głównych elementów kultu Diany w Nemi da się jeszcze zrekonstruować. Jak wynika z wotywnych darów odnalezionych na miejscu widziano w niej przede wszystkim łowczynię, a także tę, która obdarza mężczyzn i kobiety potomstwem. Jej też zawdzięczały ciężarne matki lekki poród. Wydaje się, że ogień odgrywał zasadniczą rolę w rytuale albowiem w dzień jej święta, trzynastego sierpnia, w najgorętszej porze roku, w zagajniku płonęły niezliczone pochodnie, których rdzawe płomienie odbijały się w wodach jeziora. W tym dniu w całej Italii przy każdym domowym ognisku odbywały się uroczyste obrządki. Statuetki z brązu odnalezione w okolicy przedstawiają boginię z pochodnią w uniesionej prawej ręce, a kobiety, których próśb wysłuchiwała, przybywały dla wypełnienia ślubów do jej sanktuarium, przybrane wieńcami i trzymają w rękach płonące pochodnie. Jakiś nieznanymi ofiarodawca umieścił w małej kapliczce w Nemi wiecznie płonąca lampę modląc się o bezpieczeństwo cesarza Klaudiusza i jego rodziny. Terakotowe lampy znalezione w zagajniku służyły zapewne do podobnych celów ludziom skromniejszym. Jeśli tłumaczenie to jest słuszne, wówczas oczywistą staje się analogia z praktyką ofiarowywania świec w kościołach katolickich. Co więcej, tytuł Westy, który Diana z Nemi nosiła, wskazuje niedwuznacznie na wieczny płomień utrzymywany w jej sanktuarium. Wielki, okrągły postument w północno-wschodnim kącie świątyni, wznoszący się na trzech stopniach i noszący jeszcze ślady mozaiki, prawdopodobnie dźwigał na sobie okrągłą świątynię Diany jako Westy, podobną do okrągłej świątyni Westy na Forum Rzymskim. Tutaj zapewne dziewice-westalki czuwały przy świętym ogniu, odnaleziono bowiem głowę westalki z terakoty, a kult wiecznego płomienia, przy którym czuwały święte dziewice, był, jak się zdaje, rozpowszechniony w Lacjum od najdawniejszych do najpóźniejszych czasów. Podczas dorocznego święta bogini psy myśliwskie ozdabiano wieńcami i nie nękanymi zwierzyni. Młodzież przechodziła ceremonie oczyszczające ku czci bogini, a uczta składała się z wina, koźlęcia, gorącego ciasta podawanego na liściach i jabłek zrywanych prosto z drzew.

Diana nie rządziła jednak sama w swym zagajniku w Nemi. Dwa pomniejszych bóstwa dzieliły z nią jej leśne uroczysko. Jednym z nich była Egeria, nimfa przejrzystej wody wytryskającej z bazaltowych skał i spadającej wdzięcznymi kaskadami do jeziora w miejscowości Le Mole, zwanej tak, ponieważ stanęły tu młyny współczesnej wioski Nemi. Owidiusz, który często pijał tę wodę, wspomina szum strumyka spływającego po kamieniach. Kobiety ciężarne składały ofiary Egerii, ponieważ, podobnie jak Diana, mogła ona ulżyć im w porodzie. Według legendy nimfa była żoną czy też kochanką mądrego króla Numy, pojętą w zaciszu świętego gaju. Natchnieniu zrodzonemu w tym boskim związku zawdzięczali

Rzymianie prawa nadane im przez Numę. Plutarch porównuje tę legendę z innymi baśniami o miłości bogiń do śmiertelników, jak na przykład o zakochanych w pięknych młodzieńcach, Attisie i Endymionie, boginiach Cybele i Lunie (Księżycu). Zdaniem niektórych, miejscem spotkań kochanków nie były lasy Nemi, lecz gaj za ociekającą wodą Porta Capena w Rzymie, gdzie z ciemnej groty wypływało inne jeszcze źródło poświęcone Egerii. Westalki rzymskie codziennie czerpały tu wodę do mycia świątyni Westy; nosiły ją na głowie w glinianych dzbanach. Za czasów Juwenala nagą skałę wyłożono marmurem, a święte miejsce sprofanowali biedni Żydzi, którym, podobnie jak Cyganom, pozwalano szukać schronienia w gaju. Mamy prawo przypuszczać, że prawdziwym, pierwszym strumieniem poświęconym Egerii był ten, który wpadał do jeziora w Nemi, gdy zaś następnie osadnicy zeszli z Gór Albańskich nad brzegi Tybru, zabrali ze sobą nimfę i znaleźli jej nową siedzibę w gaju za bramami miasta. Pozostałości kąpieliska, odkryte w granicach świętego miejsca, jak też liczne terakotowe modele poszczególnych części ciała ludzkiego wskazywałyby na to, że wody Egerii używane były do leczenia chorych, którzy swe nadzieje czy też wdzięczność wyrażali w wotach dla bogini, zgodnie z obyczajem wciąż jeszcze istniejącym w wielu częściach Europy. Źródła, jak się zdaje, zachowały po dzień dzisiejszy swe lecznicze właściwości.

Drugim pomniejszym bóstwem w Nemi był Virbius. Według legendy Virbiusem był młody grecki heros Hippolytos, cnotliwy i piękny, którego centaur Chiron nauczył kunsztu łowieckiego. Dnie całe spędzał w zielonych lasach polując na dziką zwierzynę, a jedynym jego towarzyszem była bogini-dziewica Artemida (grecki odpowiednik Diany). Dumny z boskiego towarzystwa, wzgardził miłością kobiet i to stało się przyczyną jego zguby. Albowiem wzgardzona Afrodyta natchnęła miłością ku niemu jego macochę, Fedrę, gdy zaś Hippolytos zlekceważył jej występne zaloty oskarżyła go kłamliwie przed jego ojcem, Tezeuszem. Ten uwierzył w kalumnię i w modłach swych błagał Posejdona, by pomścił wymagowaną krzywdę. Gdy więc Hippolytos powoził rydwanem nad brzegiem Zatoki Sarońskiej, bóg morza wysłał z fal srogiego byka. Przestraszone konie spłoszyły się, zrzuciły Hippolytosa z rydwanu, po czym wlokąc go stratowały kopytami. Diana jednak, która kochała Hippolytosa, namówiła medyka Asklepiosa, by za pomocą swych ziół leczniczych przywrócił życie młodemu łowcy. Jowisz, oburzony tym, że śmiertelnik powrócił od bram śmierci, zesłał wtrącającego się w nie swoje sprawy medyka do Hadesu, lecz Diana ukryła swego ulubieńca przed rozgniewanym bogiem w gęstej chmurze, zmieniła rysy jego twarzy dodając mu lat, po czym zabrała go daleko, do lesistych dolin Nemi, powierzając go opiecz nimfy Egerii. Mieszkał tam samotny, nie znany nikomu, pod imieniem Virbiusa w gąszczu italskich lasów, sprawując władzę króla i ustanawiając uroczyszcze poświęcone Dianie. Jego urodziwy syn, noszący równie imię Virbiusa, nie dał się zniechęcić losem ojca i poprowadził zaprze ognistych rumaków, by wspomóc Latynów w wojnie przeciwko Eneaszowi i Trojanom. Virbius czczony był jako bóg nie tylko w Nemi, lecz równie w innych miejscowościach. Tak więc dowiadujemy się, że w Kampanii był kapłan specjalnie zajmujący się jego kultem. Do gaju i uroczyszcza arcyjskiego konie nie miały dostępu, ponieważ zabiły Hippolytosa. Nie wolno było dotykać

jego posągu. Niektórzy uważali go za słońce. "Prawdą natomiast jest - mówi Serwiusz²⁵ - że jest bóstwem powiązany z Dianą, tak jak Attis powiązany jest z Matką Bogów, Erichtonios z Minerwą i Adonis z Wenerą." Niebawem postaramy się wyjaśnić naturę tych powiązań. W tym miejscu warto zaznaczyć, że w swej długiej i urozmaiconej karierze ta postać mityczna wykazała niezwykle wręcz żywotność. Nie ulega bowiem niemal żadnej wątpliwości, że święty Hipolit z kalendarza rzymskiego, który zginął wleczony przez konie trzynastego sierpnia, a więc w dzień poświęcony Dianie, jest właśnie owym greckim herosem o identycznym imieniu, który zmarłszy dwukrotnie jako pogański grzesznik szczęśliwie został wskrzeszony w postaci chrześcijańskiego świętego.

Nie potrzeba skomplikowanych wywodów, by przekonać nas o tym, że opowieści wyjaśniające źródło kultu Diany w Nemi nie posiadają wartości historycznej. Należą one niewątpliwie do owej rozległej kategorii mitów, stworzonych, aby wytłumaczyć pochodzenie rytuału religijnego, i żadnych innych podstaw nie posiadają poza podobieństwem, prawdziwym lub wymagowanym, do jakiegoś cudzoziemskiego rytuału. Nieskładność tych mitów nemijskich staje się jeszcze bardziej oczywista, gdy weźmiemy pod uwagę, że początki kultu odnoszone są to do Orestesa, to znów do Hippolytosa, zależnie od tego, jaki element rytuału ma być wytłumaczony. Istotną natomiast wartością tych opowieści jest to, iż służą one jako ilustracja charakteru kultu, dostarczając wzoru dla porównań, a także pośrednio świadczą o szacownym jego wieku dowodząc, że prawdziwe jego źródła zaginęły w oparach starożytności bajecznej.

Stwierdziłem już uprzednio, że arcyjskie legendy o Orestesie i Hippolytosie, mimo iż nie mają znaczenia historycznego, posiadają jednak pewną wartość o tyle, o ile mogą nam pomóc w lepszym zrozumieniu kultu w Nemi przez porównanie go z rytuałami i mitami innych sanktuariów. Musimy wobec tego zadać sobie pytanie, dlaczego autorzy tych legend wybrali sobie Orestesa i Hippolytosa dla wytłumaczenia Virbiusa i Króla Lasu? Jeśli idzie o Orestesa, odpowiedź jest oczywista. Zarówno on, jak i wizerunek Diany Taurydzkiej, którą przebłagać można jedynie ofiarami krwi ludzkiej, potrzebni byli do wyjaśnienia morderczego trybu następstwa w arcyjskim kapłaństwie. Sprawa nie jest tak jasna w wypadku Hippolytosa. Sposób, w jaki zginął, tłumaczy co prawda powody niedopuszczania koni do gaju, ale to nie wystarcza, by zidentyfikować go z kultem. Musimy wobec tego sięgnąć głębiej, zarówno jeśli idzie o badanie kultu, jak i legendy czy też mitu Hippolytosa.

Posiadał on słynne sanktuarium w swym rodzinnym domu w Trezenie, położone nad ową piękną, odciętą prawie od morza zatoką, w której gaje pomarańczowe i cytrynowe, przebite cyprysami wyrastającymi jak ciemne wieże ponad ogrodem Hesperyd, pokrywają obecnie skrawek żyznej ziemi u stóp wyszczerbionych gór. Po drugiej stronie błękitnych wód zacisznej zatoki, chroniąc ją od otwartego morza, wyrasta święta wyspa Posejdona, której szczyty ukryte są w mrocznej zieleni sosen. Na tym pięknym wybrzeżu czczono Hippolytosa. W sanktuarium stała świątynia goszcząca jego starożytny

²⁵ S e r v i u s Maurus Honoratus (IV w.n.e.) - autor sławnych komentarzy pism Wergiliusza; nauczał retoryki i gramatyki

posąg. Nabożeństwa ku jego czci odprawiał kapłan, dożywotnio piastujący swą godność. Raz do roku odbywały się uroczystości połączone ze składaniem ofiar Hippolytosowi, co roku jego przedwczesną śmierć oplakiwały pienia żałobne niezamężnych dziewcząt. Młodzieńcy i panny przed ślubem składali w świątyni pukiel włosów. W Trezenie był jego grób, którego jednak ludzie nie chcieli pokazywać. Wielce prawdopodobna wydaje się hipoteza, że piękny Hippolytos, ukochany przez Artemidę, którego śmierć w kwiecie wieku oplakiwały co roku dziewczęta, jest jednym z tych śmiertelnych kochanków bogiń, tak często pojawiających się w religii starożytnej, których najpopularniejszym przedstawicielem jest Adonis. Rywalizacja o uczucia Hippolytosa między Artemidą i Fedrą jest odbiciem, jak twierdzą, rywalizacji Afrodyty i Prozerpiny o miłość Adonisa, Fedra bowiem jest jedynie sobowtórem Afrodyty. Nie wydaje się, by teoria ta wyrządzała jakąkolwiek krzywdę Hippolytosowi i Artemidzie. Artemida bowiem była początkowo boginią płodności, zgodnie zaś z zasadami wczesnej religii ta, która zapładnia przyrodę, sama musi być płodna, a wobec tego musi mieć męskiego partnera. Zgodnie więc z powyższym poglądem Hippolytos był małżonkiem Artemidy z Trezeny, a pukle włosów ofiarowane mu przez trezeniańskich młodzieńców i panny miały na celu wzmocnienie jego więzów z boginią, by w ten sposób zwiększyć płodność ziemi, bydła i ludzi. Pogląd ten w pewnej mierze potwierdza fakt, że w sanktuarium Hippolytosa w Trezenie czczono również dwa bóstwa kobiece, Damie i Auksesję, których związki z płodnością ziemi nie ulegają żadnej wątpliwości. Gdy w Epidaurusie zapanował głód, ludzie posłuszni wyroczni wyrzeźbili posąg Damii i Auksesji w świętym drzewie oliwnym, a gdy tylko to uczynili i wetknęli je w ziemię, ziemia natychmiast znowu zaczęła wydawać plony. Co więcej, w samej Trezenie, a prawdopodobnie również w sanktuarium Hippolytosa, odbywały się ku czci tych dziewic, jak je trezeńczycy nazywali, ciekawe uroczystości, podczas których rzucano kamienie, łatwo zaś dowieść, że podobne obyczaje stosowane były w wiek krajach jako zabieg dla otrzymania dobrych plonów. W opowieści o tragicznej śmierci młodego Hippolytosa możemy dopatrzeć się analogii z podobnymi baśniami o innych pięknych, lecz śmiertelnych młodzieńcach którzy życiem przypłacili krótkie ekstazy miłosne nieśmiertelnej bogini. Ci nieszczęśliwi kochankowie prawdopodobnie nie zawsze byli tylko miłami, a legendy, które ich przelanej krwi przypisują purpurą fiołków czerwień anemonów i rumieńce róży, nie były jedynie poetyckimi emblematami młodości i piękna, przemijającymi jak letnie kwiaty. Przypowieści tego rodzaju zawierają głębszą filozofię porównania życia ludzkiego do życia przyrody - smutną filozofię, która zrodziła tragiczne praktyki. Jaka to była filozofia i jakie to były praktyki, o tym dowiemy się później.

Teraz, być może, zrozumiemy, dlaczego starożytni identyfikowali Hippolytosa, małżonka Artemidy, z Virbiusem, który według Serwiusza pozostawał w takim stosunku do Diany, jak Adonis do Wenery czy Attis do Matki Bogów. Diana bowiem, jak i Artemida, była boginią płodności w ogóle, a w szczególności patronką porodów. W tej roli, podobnie jak jej grecki odpowiednik, potrzebowała partnera-mężczyzny.

Partnerem tym, jeśli Serwiusz się nie myli, był Virbius. W swej roli założyciela świętego gaju i pierwszego króla Nemi jest Virbius w sposób oczywisty mitycznym protoplastą względnie prototypem linii kapłanów, którzy służyli Dianie nosząc tytuł Królów Lasu i których, podobnie jak i jego, jednego po drugim czekała gwałtowna śmierć. Jest wobec tego rzeczą naturalną, iż zakładamy, że ich stosunek do bogini gaju był taki sam, jakim był stosunek do niej Virbiusa, czyli, krótko mówiąc, królową przy śmiertelnym Królu Lasu była sama Diana. Jeśli święte drzewo, którego strzegł z narażeniem życia, miało być, a wydaje się to prawdopodobne, jej szczególnym ucieleśnieniem, wówczas kapłan czcił je nie tylko jako swoją boginię, lecz również obejmował jako swoją małżonkę. Tego rodzaju przypuszczenie nie jest bynajmniej niedorzeczne, jako że nawet w czasach Pliniusza znamienity Rzymianin zwykł był traktować w ten sposób piękną brzozę w innym świętym gaju Diany w Górach Albańskich. Obejmował ją, całował, leżał w jej cieniu i polewał ją winem. Uważał widocznie tę brzozę za boginię. Zwyczaj fizycznego zaślubiania mężczyzn i kobiet drzewom nadal jest praktykowany w Indiach i innych krajach Wschodu. Dlaczego nie miał być w modzie w starożytnym Lacjum?

Ujmując w całości przytoczone świadectwa możemy wyciągnąć wniosek, że kult Diany w świętym gaju w Nemi był kultem o wielkim znaczeniu i datującym się od niepamiętnych czasów; że czczona była jako bogini lasów i dzikiej zwierzyny, a być może, również jako opiekunka bydła domowego i płodów ziemi; że przypisywano jej moc obdarzania mężczyzn i kobiet potomstwem i przynoszenia ulgi kobietom w porożu; że jej święty płomień, przy którym czuwały dziewice, płonął wiecznie w okrągłej świątyni wybudowanej na terenie sanktuarium, że związana z nią była nimfa Egeria, która spełniała jedną z funkcji Diany pomagając kobietom w porożu i która, jak to zakładało powszechne wierzenie, poślubiona była pewnemu staremu królowi rzymskiemu w świętym gaju; że Diana Leśna sama miała męskiego towarzysza imieniem Virbius, który pozostawał wobec niej w tym samym stosunku, w jakim Adonis był do Wenerzy względnie Attis do Cybele, i wreszcie, że w czasach historycznych Virbiusa reprezentowali kapłani znani jako Królowie Lasu, którzy zawsze ginęli od miecza swoich następców i których życie związane było w jakiś sposób z pewnym drzewem w gaju, ponieważ jak długo drzewo to było nie uszkodzone, oni sami byli zabezpieczeni przed napaścią.

Rzecz jasna, wnioski te nie wystarczają same przesię do wytłumaczenia wyjątkowej zasady następstwa kapłanów. Być może jednak, zatoczywszy szerszy krąg, przekonamy się, że zawierają one w załączku rozwiązanie problemu. Badaniem tego szerszego kręgu zajmiemy się obecnie. Będzie to praca długa i żmudna, ale, być może, zaciekawia nas ona i oczaruje jak podróż odkrywczą, w której zwiedzimy wiele dziwnych obcych krajów zamieszkałych przez dziwne obce ludy posiadające jeszcze dziwniejsze obyczaje. Wiatr jest w wantach, rozwińmy żagle i porzućmy chwilowo wybrzeża Italii.

ROZDZIAŁ DRUGI

KRÓLOWIE-KAPŁANI

Musimy przede wszystkim odpowiedzieć sobie na dwa pytania: Pierwsze, dlaczego kapłan Diany w Nemi, Król Lasu, musiał zabić swego poprzednika? I drugie, dlaczego przed dokonaniem tego musiał ułamać gałąź drzewa, którą starożytni uważali za Złotą Gałąź Wergiliusza?

Zajmiemy się na wstępie tytułem kapłana. Dlaczego nazywano go Królem Lasu? Dlaczego urząd jego nosił miano królewskiego?

Tytuł królewski był w starożytnej Grecji i Italii powszechnie związany z obowiązkami kapłańskimi. W Rzymie, jak i w innych miastach Lacjum, istniał kapłan zwany Królem Ofiar względnie Królem Świętych Obrządków, a żona jego nosiła tytuł Królowej Świętych Obrządków. W republikańskich Atenach drugi wybierany co roku urzędnik państwa zwany był Królem, zaś jego żona Królową. Oboje pełnili funkcje religijne. Wiele innych demokracji greckich posiadało tytularnych królów, których obowiązki, o ile wiemy, były głównie religijnej natury i skupiały się wokół Wspólnego Ołtarza państwa. W niektórych państwach greckich było nawet po kilku takich tytularnych królów, którzy piastowali swe urzędy równocześnie. W Rzymie, jak głosiła tradycja, urząd Króla Ofiar powstał po ustanowieniu republiki po to, by piastująca tę godność osoba składała ofiary, które dawniej składali królowie. Podobny pogląd na źródła instytucji królów-kapłanów dominował, jak się zdaje, również w Grecji. Pogląd ten bynajmniej nie wydaje się nieprawdopodobny i potwierdza go przykład Sparty, niemal jedyne czyste greckie państwo, które do czasów historycznych zachowało władzę królewską. W Sparcie bowiem ofiary państwowe składali królowie jako potomkowie boga. Spośród dwóch królów spartańskich jeden był kapłanem Zeusa Lakedemońskiego, drugi zaś Zeusa Niebiańskiego.

Łączenie obowiązków kapłańskich z władzą królewską jest znane powszechnie. Tak na przykład w Azji Mniejszej istniały rozmaite wielkie stolicy religijne, zamieszkałe przez tysiące świętych niewolników i rządzone przez arcykapłanów sprawujących równocześnie władzę duchowną i świecką, podobnie jak papieże w średniowiecznym Rzymie. Takimi miastami opanowanymi przez kapłanów były Zela i Pessinus. Królowie teutońscy w dawnych pogańskich czasach zajmowali, jak się zdaje, stanowiska i sprawowali władzę arcykapłanów. Cesarze chińscy składali ofiary publiczne, a obrządek regulowały szczegółowo księgi rytualne. Król Madagaskaru był arcykapłanem królestwa. Na wielkiej uroczystości noworocznej, gdy bóstwu królestwa składano w ofierze wołu, król stał nad ołtarzem odmawiając modlitwy i dziękczynienia, podczas gdy jego dworzanie zarzynali zwierzę. W monarchiach Gallów w Afryce Wschodniej, które nadal utrzymują niezależność, król składa ofiary na szczycie góry i kieruje zabijaniem ofiar ludzkich, a w mrocznym świetle przekazów tradycyjnych odnajdujemy podobny związek władzy duchownej i świeckiej, obowiązków królewskich i kapłańskich u królów w owej przepięknej części Ameryki Środkowej, której starożytną stolicę, pogrzebaną obecnie pod bujną roślinnością tropikalnych lasów, znaczą majestatyczne i tajemnicze ruiny Palenque.

Mówiąc o tym, że w starożytności królowie byli również zazwyczaj kapłanami, nie wymieniliśmy bynajmniej wszystkich religijnych aspektów ich urzędu. W owych czasach boskość wieńcząca króla nie była bynajmniej czczą formułką, lecz wyrazem trzeźwej wiary. Królów czczono w wielu wypadkach nie tylko jako kapłanów, to znaczy jako pośredników między człowiekiem a bogiem, lecz jako bogów samych, mogących zesłać swym poddanym i wiernym te dary, które według powszechnego zgodnego przekonania są poza możliwościami śmiertelników i o które jeśli się w ogóle prosi, to jedynie w modlitwie i ofiarach składanych nadludzkim i niewidzialnym istotom. Tak więc często oczekiwano od królów, że zesłają deszcz i pogodę we właściwej porze roku, że spowodują obfite plony i tak dalej. Nam te nadzieje mogą się wydać dziwne, były one jednak zupełnie zgodne z pierwotnym sposobem myślenia. Człowiek dziki nie potrafi wyobrazić sobie różnicy, jaką bardziej rozwinięte ludy widzą między światem rzeczywistym a nadprzyrodzonym. Dla niego światem rządzą w znacznej mierze czynniki nadprzyrodzone, to znaczy istoty kierujące się takimi samymi jak on motywami i impulsami, jak on skłonne reagować na odwoływanie się do ich litości, nadziei i obaw. W tak rozumianym świecie nie widzi on granic dla swych możliwości pokierowania biegiem rzeczy dla swego dobra. Modlitwy, obietnice, pogroźki mogą zapewnić mu sprzyjającą pogodę i bogate zbiory, a jeśli zdarzy się, jak to niekiedy wierzył, że bóg wcieli się w jego własną osobę, wówczas nie potrzebuje zwracać się do wyższych istot, ponieważ on sam, dziki, posiada w sobie wszystkie siły potrzebne dla pomnażania dóbr własnych i cudzych.

Oto jedna z dróg prowadzących do idei człowieka-boga. Ale istnieje jeszcze inna. Obok wizerunku świata opanowanego przez siły duchowe człowiek dziki posiada jeszcze inną, prawdopodobnie starszą koncepcję, w której możemy odkryć załączek nowoczesnej koncepcji prawa natury czy też poglądu na naturę jako na szereg wydarzeń powtarzających się w niezmiennym łańdzu bez ingerencji czynnika osobowego. Załączek przeze mnie wspomniany należy do owej magii sympatycznej²⁶, jakby ją można nazwać, która odgrywa poważną rolę w większości systemów przesądów. W społeczeństwie pierwotnym król bywa często nie tylko kapłanem, lecz również i czarownikiem. W rzeczy samej skłonni jesteśmy przypuszczać, że swą władzę osiąga dzięki rzekomej biegłości w białej i czarnej magii. Dlatego też w celu zrozumienia ewolucji władzy królewskiej i świętości, jaką urząd ten zazwyczaj jest otoczony w oczach ludów dzikich lub barbarzyńskich, jest rzeczą istotną zaznajomienie się z zasadami magii i stworzenie sobie pewnego pojęcia o tej niezwyklej władzy, jaką ów starożytny system przesądów posiadał nad ludzkim umysłem we wszystkich czasach i we wszystkich krajach.

²⁶ O specyficznym znaczeniu słowa "sympatyczna" w odniesieniu do magii u Frazera pisze autor Wstępu na s. 21.

ROZDZIAŁ TRZECI

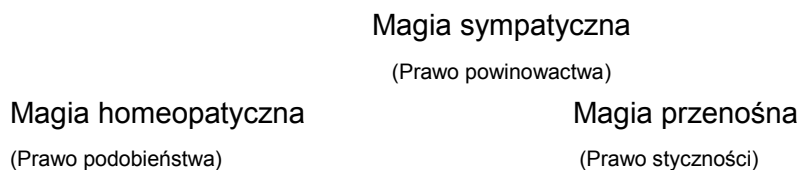
MAGIA SYMPATYCZNA

Analizując podstawy myślenia, na których opiera się magia, dojdziemy prawdopodobnie do dwóch zasad. Pierwsza zakłada, że podobne powoduje podobne względnie że skutek podobny jest do przyczyny; druga, że rzeczy, które kiedyś pozostawały w styczności ze sobą, nadal działają na siebie nawet wtedy, gdy kontakt fizyczny przestał istnieć. Pierwszą zasadę możemy nazwać prawem podobieństwa, drugą prawem kontaktu względnie przenośności. Z pierwszej zasady wyciąga czarownik wniosek, że może wywołać każdy skutek, jakiego tylko zapragnie, przez naśladowanie go. Z drugiej, że cokolwiek uczyni z przedmiotem materialnym, wpłynie to w taki sam sposób na osobę, z którą przedmiot ten kiedyś pozostawał w jakimś stosunku, bez względu na to, czy stanowił część jej ciała, czy też nie. Czary oparte na prawie podobieństwa można nazwać magią homeopatyczną względnie naśladowczą. Czary oparte na prawie kontaktu względnie przenośności można nazwać magią przenośną. Wygodniej określać tę pierwszą gałąź magii jako homeopatyczną, gdyż terminy "naśladowcza" i "mimetyczna" sugerują lub wręcz zakładają istnienie świadomego czynnika naśladowającego, tym samym zawężają zbytnio zakres magii. Odprawiający magię wierzy bowiem *implicite*, że te same zasady, które stosuje w swej sztuce, regulują funkcje przyrody nieożywionej. Innymi słowy, zakłada, że prawa podobieństwa i styku mają uniwersalne zastosowanie i nie ograniczają się tylko do działania ludzi. Krótko mówiąc, magia jest fałszywym systemem praw przyrody i równocześnie zespołem fałszywych wskazówek postępowania. Jest to zarówno fałszywa nauka, jak i zawodna sztuka. Rozpatrywana jako system praw przyrody, to znaczy przedstawienie zasad określających następstwo wydarzeń na całym świecie, może być zwana magią teoretyczną, natomiast jako zespół przepisów, którymi ludzie muszą się kierować, by osiągnąć zamierzone cele, może być zwana magią praktyczną. Należy przy tym pamiętać, że prymitywny człowiek praktykujący magię zna jedynie jej stronę praktyczną. Nigdy nie analizuje procesów myślowych, na których praktyka ta się opiera. Podobnie jak większość ludzi, logiką posługuje się *implicite*, a nie *explicite*. Rozumuje tak samo, jak spożywa swą stawę, to znaczy nie zdając sobie zupełnie sprawy z procesów intelektualnych i fizjologicznych, istotnych przy jednej i drugiej czynności. Krótko mówiąc, magia jest dla niego zawsze sztuką, a nie nauką. W jego słabo rozwiniętym umyśle idea nauki w ogóle nie istnieje. Do trudniących się filozofią należy prześledzenie toku myśli, leżącego u podstaw działań człowieka uprawiającego magię, i wyciągnięcie kilku prostych nici, z których składa się ta gmatwanina, oraz oddzielenie abstrakcyjnych zasad od ich konkretnego zastosowania, krótko mówiąc, przeprowadzenie granicy między fałszywą nauką a nieprawą sztuką.

Jeśli moja analiza logiki człowieka uprawiającego magię jest trafna, wówczas wynika z niej, że dwiema głównymi zasadami magii są po prostu dwa różne fałszywe zastosowania związku idei na zasadzie podobieństwa. Magia homeopatyczna opiera się na związku idei przez podobieństwo, magia przenośna na związku idei przez bliskość. Błędem magii homeopatycznej jest założenie, że przedmioty

do siebie podobne są identyczne, magia przenośna popełnia błąd zakładając, że rzeczy, które raz były z sobą w styczności, pozostają w styczności na zawsze. W praktyce obie te gałęzie magii często się łączą lub też, by wyrazić się bardziej ściśle: podczas gdy magia homeopatyczna, czyli naśladowcza, może być stosowana samodzielnie, magia przenośna zazwyczaj posługuje się również zasadą homeopatii, czyli podobieństwa. Być może, zrozumienie tych spraw przedstawionych w tak ogólnej postaci nie będzie łatwe, ale staną się one łatwo zrozumiałe, gdy przytoczymy dla ilustracji konkretne przykłady. Oba sposoby myślenia są w istocie niezwykle proste i elementarne. Nie może zresztą być inaczej, skoro zrozumiałe są w konkretnej, chociaż nie abstrakcyjnej, postaci dla umysłu prymitywnego nie tylko dzikiego, ale ludzi ciemnych i głupich na całym świecie. Obie gałęzie magii, homeopatyczną i przenośną, można łatwo ująć pod ogólnym terminem magii sympatycznej, jako że obie zakładają, iż rzeczy wpływają na siebie na odległość na skutek pewnego tajnego powinowactwa, a impulsy przekazywane są za pośrednictwem czegoś, co moglibyśmy określić jako swego rodzaju niewidzialny eter, podobny do tego, którego istnienie postuluje współczesna nauka dla ściśle identycznych powodów, a mianowicie, w celu wytłumaczenia, w jaki sposób rzeczy mogą na siebie wzajemnie wpływać poprzez przestrzeń, która zdaje się być pusta.

Być może, wygodnie będzie przedstawić gałęzie magii w następującym schemacie zgodnie z prawami myślenia, które leżą u ich podstaw:



Z kolei posługując się przykładami przedstawię dwie wielkie gałęzie magii sympatycznej zaczynając od magii homeopatycznej.

Najbardziej, być może, znanym zastosowaniem zasady, że podobne powoduje podobne, jest dokonywana przez wiele ludów w ciągu wielu stuleci próba okaleczenia lub zniszczenia wroga przez okaleczenie lub zniszczenie jego wizerunku w przekonaniu, że w ten sam sposób, w jaki ucierpi wizerunek, ucierpi również i człowiek i że gdy zginie wizerunek, wówczas zginąć również musi człowiek. Podamy tu kilka przykładów spośród wielu, by dowieść, jak szeroko rozpowszechnione były te praktyki na całym świecie i jak uporczywie utrzymywały się one w ciągu wieków. Od tysiącleci znane one były czarownikom starożytnych Indii, Babilonu i Egiptu, jak też Grecji i Rzymu i po dziś dzień stosowane są przez przebiegłych i złośliwych dzikich Australii, Afryki i Szkocji. Tak na przykład dowiadujemy się, że Indianie północnoamerykańscy wierzą, iż przez narysowanie postaci jakiejś osoby w piasku, popiele czy glinie względnie traktując jakikolwiek przedmiot jako ciało danej osoby, a następnie nakłuwając rysunek lub przedmiot ostro zakończonym patykiem czy też uszkodzając je w jakikolwiek inny sposób można uszkodzić w identyczny sposób samą osobę. Tak na przykład Indianin z plemienia Odżibuej, gdy chce komuś wyrządzić krzywdę, struga z drzewa mały wizerunek swego wroga i przebija serce lub głowę igłą

lub też trafia w te miejsca strzałą w przekonaniu, że gdy igła przebija względnie strzała trafia w wizerunek, wróg jego w tej chwili odczuwa ostry ból w odpowiednim miejscu swego ciała. Gdy zaś ma zamiar zgładzić daną osobę, wówczas spala lub zakopuje w ziemi kukłę wypowiadając przy tym pewne magiczne słowa. Indianie peruwiańscy lepili wizerunki osób nielubianych czy też takich, których się obawiali, z tłuszczu wymieszanego ze zbożem, po czym spalali je na drodze, po której osoba ta miała przechodzić. Nazywali to paleniem duszy.

A oto malajski przepis na tego rodzaju czary: wziąć ucięte paznokcie, włosy, brwi, trochę śliny, i tym podobne zamierzonej ofiary w takiej ilości, aby każda część jej osoby była przedstawiona, i za pomocą wosku z porzuconego ula ulepić jej wizerunek. Przez siedem nocy przypiekać z wolna wizerunek trzymając go nad lampą i powtarzając:

*Nie przypiekam wcale wosku,
Lecz przypiekam wątrobę, serce, śledzionę Takiego-to-a-takiego.*

Po siódmym dniu należy spalić figurkę, a wówczas ofiara umrze. Czar ten, jak widzimy, łączy zasady magii homeopatycznej i przenośnej, jako że wizerunek sporządzony na podobieństwo wroga zawiera rzeczy, które niegdyś pozostawały z nim w styczności, a mianowicie: włosy, paznokcie, trochę śliny. Inny sposób, jeszcze bardziej przypominający czary Odzibuejów, polega na sporządzeniu z wosku z opuszczonego ula wizerunku długości jednego kroku. Po przebicium oka wizerunku wróg oślepnie, po przebicium brzucha - zachoruje, głowy - będzie go głowa bolała, piersi - zachoruje na piersi. Jeśli chce się ofiarę po prostu zgładzić, wówczas należy przekłuć cały wizerunek od głowy w dół, potem owinać go w całun jak trupa, odprawić nad nim modły jak nad umarłym, a następnie pochować pośrodku drogi, którą będzie przechodził wróg, tak że z pewnością nań nastąpi. Aby zaś krew jego nie spadła na tego, który robił czary, należy powtarzać:

*To nie ja go pochowałem,
Uczylił to Gabriel.*

Tak więc wina spadnie na archanioła Gabriela, który znacznie lepiej potrafi dać sobie z tym radę.

W magii homeopatycznej, czyli naśladowczej, wizerunki stosowano zazwyczaj dla złośliwego celu, a mianowicie usuwania ludzi ze świata, chociaż, co prawda znacznie rzadziej, używane były również w dobrym celu, pomagania innym w dostaniu się na świat. Innymi słowy, używane były w celu ułatwienia porodu i obdarzenia kobiet bezpłodnych potomstwem. Tak więc na przykład u Bataków na Sumatrze kobieta bezpłodna pragnąca mieć potomstwo sporządzała z drzewa wizerunek dziecka i trzymała go na swym łonie wierząc, że dzięki temu spełni się jej życzenie. Na archipelagu Babar, gdy kobieta pragnie mieć dziecko, prosi mężczyznę, który jest ojcem licznej rodziny, by wstawił się za nią do Upulero, boga słońca. Sporządza się lalkę z czerwonej bawełny, którą kobieta trzyma w ramionach tak, jakby ją karmiła piersią. Następnie ojciec liczного potomstwa bierze kurę, trzyma ją za nogi nad głową kobiety i mówi:

"O Upulero, zrób użytek z kury; niech spadnie, niech zstąpi dziecko, proszę cię, błagam cię, niech dziecko spadnie i zstąpi w moje ręce, na me kolana." Potem pyta kobietę: "Zjawilo się już dziecko?", a

ona odpowiada: "Tak, już ssie pierś." Następnie mężczyzna ów trzyma kurę nad głową męża i mruczy jakieś słowa. Wreszcie kura zostaje zarżnięta i złożona z liśćmi betelu na domowym ołtarzyku. Gdy po zakończeniu ceremonii po wsi rozchodzi się pogłoska, że kobieta urodziła, przyjaciele przychodzą złożyć jej życzenia. Mamy tu więc przypadek, kiedy udawanie, że dziecko się urodziło, ma na celu zapewnienie drogą mimikry względnie naśladownictwa prawdziwych narodzin dziecka, próbując jednak uczynić rytuał bardziej skutecznym dodano element modlitwy i ofiary. Inaczej mówiąc, mamy tu wypadek połączenia magii z religią dla spotęgowania jej skuteczności.

U niektórych Dajaków na Borneo wzywa się w wypadku ciężkiego porodu czarownika, który próbuje ułatwić poród w sposób racjonalny, manipulując odpowiednio ciałem cierpiącej. Równocześnie inny czarownik, znajdujący się na zewnątrz pomieszczenia, wysila się, by osiągnąć ten sam cel środkami, które my uważalibyśmy za zupełnie irracjonalne. Udaje mianowicie, że sam jest ciężarną kobietą. Duży kamień, przytroczony do jego brzucha chustką owiniętą wokół ciała, przedstawia dziecko w łonie matki, po czym zgodnie z wskazówkami, które wykrzykuje jego kolega asystujący prawdziwemu zabiegowi, przesuwa pozorne dziecko, naśladowując dokładnie ruchy dziecka prawdziwego aż do chwili pojawienia się dziecka na świecie.

Ta sama zasada udawania, tak ulubiona przez dzieci, skłoniła inne ludy do zastosowania zabiegu symulowanego porodu jako formy adoptacji, a nawet jako sposobu przywrócenia do życia osoby pozornie zmarłej. Jeśli jakaś osoba udaje, że rodzi chłopca czy nawet dorosłego brodatego mężczyznę, nie posiadającego kropli jej krwi w swoich żyłach, wówczas w oczach prymitywnego prawa i prymitywnej filozofii chłopak ów czy mężczyzna staje się pod każdym względem synem tej osoby. Opowiada Diodorus, że gdy Zeus namówił swą zazdrosną żonę, by adoptowała Heraklesa, bogini położyła się do łóżka i przyciskając krzepkiego herosa do swego łona przesunęła go pod swoimi szatami i zrzuciła na ziemię naśladowując prawdziwy poród; jeszcze w jego czasach, dodaje historyk, ten sposób adoptowania dzieci praktykowany był przez barbarzyńców. Podobno jest on nadal stosowany w Bułgarii i u Turków bośniackich. Kobieta bierze chłopca, którego zamierza adoptować, i przepycha go względnie przeciąga przez swą suknię; od tej chwili uważany on jest za jej syna i dziedziczy cały majątek swych przybranych rodziców. U Berawanów z Sarawaku, gdy kobieta zamierza adoptować dorosłego mężczyznę lub dorosłą kobietę, sprasza znaczną ilość gości na ucztę. Adoptująca matka siedząca na nakrytym materią podwyższeniu, by ją wszyscy widzieli, pozwala adoptowanej osobie przeczołgać się od tyłu pomiędzy jej nogami. Gdy tylko osoba ta zjawia się z przodu, uderza się ją pachnącym kwiatem palmowym i przywiązuje do kobiety. Związani w ten sposób adoptowana matka i dziecko z trudem przechodzą do końca domu i z powrotem na oczach wszystkich widzów. Związek powstający w ten sposób między tymi osobami w wyniku plastycznego naśladowania narodzin dziecka jest bardzo silny. Wszelkie wykroczenie przeciwko dziecku adoptowanemu jest uważane za bardziej karygodne aniżeli przeciwko dziecku prawdziwemu. W Grecji starożytnej człowiek, którego przez pomyłkę uważano za zmarłego i po którym odprawiono już pośmiertne obrządki, tak długo uchodził w oczach społeczeństwa za zmarłego,

dopóki nie przeszedł przez formalności ponownych narodzin. Przesuwano go po łonie kobiety, myto, zawijano w pieluszki i oddawano niańce. Jedynie po dokładnym dokonaniu obrządku mógł swobodnie poruszać się między żywymi. W starożytnych Indiach w podobnych okolicznościach człowiek, który uchodził za umarłego, musiał pierwszą noc po swym powrocie spędzić w wannie wypełnionej mieszaniną tłuszczu i wody. Siedział w niej z zaciśniętymi pięściami nie wydając z siebie dźwięku, jak płód w łonie matki, a w tym czasie odprawiano nad nim te wszystkie obrządki, jakie zazwyczaj przysługują ciężarnej kobiecie. Następnego ranka wychodził z wanny i raz jeszcze powtarzał wszystkie rytualne ceremonie, w których już raz brał udział od najwcześniejszej młodości, ważne zwłaszcza było pojąć żonę lub zawrzeć ponowny ślub z dawną żoną, z zachowaniem pełnego rytuału.

Innym przykładem dobroczynnego zastosowania magii homeopatycznej jest leczenie względnie zapobieganie chorobom. Starożytni Hindusi leczyli żółtaczkę za pomocą skomplikowanej ceremonii opartej na magii homeopatycznej. Jej głównym założeniem było przepędzenie żółtego koloru na żółte zwierzęta względnie żółte przedmioty, na przykład na słońce, do którego kolor ten właściwie należy, i zdobycie dla pacjenta zdrowego, czerwonego koloru z żywego, pełnego energii źródła, a mianowicie z czerwonego byka. W tym celu kapłan recytował następujące zaklęcie: "Do słońca niech pójdzie twe zmartwienie i twoja żółtaczka, w kolor czerwonego byka spowijamy ciebie! Spowijamy ciebie w czerwone barwy na długie życie. Niech człowiek ten pójdzie stąd nietknięty i niech wolny będzie od żółtego koloru! Krowy, których patronką jest Rohini i które same są czerwone (*rohinih*), w ich kształt i ich siłę spowijamy ciebie. W papugi, w drozdy wkładamy twoją żółtaczkę, a co więcej, w żółtą pliszkę żółtaczkę twą wkładamy." Wymawiając te słowa kapłan podaje pożądanemu pacjentowi do picia wodę zmieszaną z sierścią czerwonego byka, by wlać w niego różowy kolor zdrowia, polewa wodą grzbiet zwierzęcia i każe choremu potem ją wypić, sadza go na skórze czerwonego byka i przywiązuje do niego kawałek tej skóry. A potem, by poprawić jego kolory przez zupełne usunięcie żółtości, postępuje w następujący sposób: najpierw zanurza go w żółtej kaszce zrobionej z turmeryku lub kurkumy (żółta roślina), sadza go na łóżku i żółtym sznurkiem przywiązuje do nogi łóżka trzy żółte ptaki, na przykład: papugę, drozda i żółtą pliszkę. Oblewa potem wodą pacjenta zmywając żółty kolor i niewątpliwie równocześnie żółtaczkę, a woda ta spływa z chorego na ptaki. Po czym, by nadać ostateczne kolory cerze chorego, bierze trochę sierści czerwonego byka zawiniętej w złoty listek i przylepia ją choremu na twarzy. Starożytni uważali, że jeśli osoba cierpiąca na żółtaczkę będzie uważnie patrzyła na kulona, a ptaszek na nią, wówczas chory zostanie uleczony. "Taka jest natura - mówi Plutarch - i taki jest temperament ptaka, że wyciąga i przyjmuje na siebie chorobę, wychodzącą poprzez oczy, jak strumień." Tak rozpowszechniona była wśród miłośników ptaków wiara w tę cenną właściwość kulona, że gdy mieli takiego ptaka na sprzedaż, ukrywali go starannie, by przypadkowo chora osoba nie spojrzała na niego i nie wyleczyła się za darmo. Zaletą ptaka nie był kolor upierzenia, ale oczywiście wielkie złote oko, które przyciągało żółtaczkę. Pliniusz opowiada o innym, a być może o tym samym ptaku, że gdy spojrzał nań

człowiek chory, choroba opuszczała go i zabijała ptaka. Wspomina również o kamieniu, który miał leczyć żółtaczkę, ponieważ kolorem przypominał skórę chorego.

Jedną z wielkich zalet magii homeopatycznej jest to, że pozwala ona na przeprowadzenie leczenia na osobie lekarza miast na osobie jego ofiary, która dzięki temu wolna jest od wszelkich kłopotów i niewygód, ma natomiast okazję oglądania swego znachora wijącego się przed nią w bólu. Tak na przykład chłopcy z Perche we Francji są przekonani, że długi atak wymiotów powstaje na skutek tego, że żołądek pacjenta zostaje, jak to mówią, odczepiony i wobec tego opuszcza się. W takiej sytuacji wzywa się lekarza, by przywrócił organ ciała na właściwe miejsce. Po zapoznaniu się z symptomami choroby znachor pada natychmiast na ziemię wijąc się w najstraszliwszych boleściach po to, by odczepić własny żołądek. Gdy mu się to wreszcie udaje, przyczepia żołądek na miejsce, czemu towarzyszy kolejna seria straszliwych grymasów i wykrzywień, a w tym samym czasie pacjent zaczyna odczuwać ulgę. Honorarium wynosi pięć franków. Zupełnie podobnie u Dajaków znachor wezwany w przypadku choroby zaczyna od tego, że kładzie się i udaje nieboszczyka. Tak też jest potraktowany. Rzekome zwłoki obwiązuje się matami, wynosi z domu i kładzie na ziemi. Po jakiejś godzinie inni znachorzy wyzwalają rzekomego nieboszczyka z mat i wskrzeszają go. Uważa się, że równocześnie z tym powrotem do życia człowiek chory powraca do zdrowia. Marcellus z Bordeaux, medyk nadworny Teodozjusza I, w swym ciekawym traktacie medycznym podaje następujący sposób leczenia tumoru, oparty na zasadzie magii homeopatycznej. "Należy wziąć korzeń werbeny, przeciąć go w poprzek, jeden koniec zawiesić na szyi pacjenta, drugi zaś w dymie nad ogniem. Tak jak werbena będzie wysychała w dymie, tak samo tumor przyschnie i zniknie. Jeśli pacjent nie okaże później wdzięczności dobremu lekarzowi, człowiek wprawny łatwo może się zemścić rzucając werbenę do wody, w miarę bowiem tego, jak korzeń będzie wchłaniał ciecz na nowo, powróci także tumor." Tenże sam przemądry autor zaleca w przypadku pryszczy wypatrywanie spadającej gwiazdy. W tej samej chwili, gdy gwiazda zlatuje z firmamentu, należy szybko przetrzeć pryszcze szmatką lub czymkolwiek, co jest pod ręką. Podobnie jak gwiazda spadnie z nieba, tak z ciała człowieka spadną pryszcze, należy jedynie wystrzegać się pocierania pryszczy gołą ręką, bo wtedy przejdą one na nią.

Homeopatyczna i w ogóle sympatyczna magia odgrywają wielką rolę w zabiegach pierwotnych myśliwych i rybaków, które mają na celu zapewnienie obfitego zasobu żywności. Wychodząc z zasady, że podobne powoduje podobne, człowiek taki wraz z swoimi przyjaciółmi robi wiele rzeczy, celowo naśladując rezultaty, które pragnie uzyskać. Równocześnie wielu rzeczy skrupulatnie unika, ponieważ mają one bardziej lub mniej wymyślone cechy podobieństwa do rzeczy mogących odegrać na prawdę katastrofalną rolę.

W nieurodzajnych okolicach Australii Środkowej przepisy magii sympatycznej na zapewnienie sobie zasobów żywności są przestrzegane tak skrupulatnie jak nigdzie na świecie. Plemiona podzielone są na szereg klanów totemicznych, z których każdy ma obowiązek pomnożenia totemu za pomocą ceremonii magicznych dla dobra społeczności. Większość tych totemów to zwierzęta i rośliny jadalne. Uważa się,

że rezultatem tych ceremonii będzie zaopatrzenie plemienia w żywność i zaspokojenie innych potrzeb. Obrządku polegają często na naśladowaniu skutków, jakie ludzie pragną osiągnąć, innymi słowy, magia ich jest homeopatyczna względnie naśladowcza. Tak więc w plemienu Warramunga wódz klanu, który ma za totem białe kakadu, usiłuje zwiększyć liczbę białych kakadu trzymając wizerunek ptaka i naśladowując jego ostry krzyk. U Aruntów ludzie z klanu mającego za totem larwę *witchetty*²⁷ organizują ceremonie pomnażania larw, które służą za pożywienie innym członkom plemienia. Jedną z ceremonii jest pantomimę przedstawiającą w pełni rozwiniętego owada wyłaniającego się z poczwarki. Długi szafas z gałęzi ma naśladować poczwarkę. W szafasie tym siedzi kilku mężczyzn, których totemem jest poczwarka; śpiewają oni o żyjątku w jego rozmaitych stadiach rozwoju, następnie wyłażą z szafasu kucając i śpiewając przy tym o owadzie wyłaniającym się z poczwarki. W ten sposób ma się pomnożyć liczba poczwarek. Dla zwiększenia liczby emu, bardzo ważnych jako pożywienie, członkowie klanu, którego totem stanowi emu, malują na ziemi święty wizerunek swego totemu, a szczególnie te części emu, które im najbardziej smakują, a więc tłuszcz i jaja. Wokół tego wizerunku zasiadają śpiewający mężczyźni, a następnie biorą udział w ceremonii, z głowami przybranymi w taki sposób, by przypominały małe główki i długie szyje emu; naśladowują zachowanie się ptaka, gdy stoi rozglądając się bezmyślnie na wszystkie strony.

Indianie Kolumbii Brytyjskiej żywią się głównie rybami, w które obfitują ich morza i rzeki. Gdy ryby nie pojawiają się we właściwej porze roku, a Indianie głodują, czarodziej z plemienia Nutka sporządza wizerunek płynącej ryby i puszcza go z wodą w kierunku, skąd spodziewane są ryby. Ceremonia ta, której towarzyszą modlitwy, ma zmusić ryby do natychmiastowego przybycia. Wyspiarze z Cieśniny Torresa posługują się modelami diugoni²⁸ i żółwi, by rzucić czary na te stworzenia i by je zniszczyć. Toradze z środkowego Celebesu wierzą, że rzeczy tego samego gatunku przyciągają się dzięki znajdującemu się w nich duchowi czy też witalnemu eterowi. Wieszają wobec tego w swoich domostwach szczęki jeleni i dzików, by duch przebywający w tych kościach ściągnął na łowieckie ścieżki żywe zwierzęta tegoż gatunku. Gdy na wyspie Nias dzik wpada do dołu specjalnie w tym celu przygotowanego, wyjmuje się zwierzę i naciera je dziewięcioma opadłymi liśćmi w przekonaniu, że na skutek tego zabiegu do dołu wpadnie dziewięć dzików, podobnie jak owe liście spadły z drzewa. Rybacy z wschodnioindyjskich wysp Saparoea, Haroekoe i Noessa Laut zabierający się do założenia niewodów w morzu szukają przedtem drzewa, na którym owoce są bardzo objedzone przez ptaki. Z drzewa takiego ścinają krzepką gałąź, która służy potem za główny pal dla sieci, wierzą bowiem, że podobnie jak drzewo skusiło wiele ptaków do swoich owoców, tak gałąź przyciągnie ryby do niewodu. Wśród zachodnich plemion brytyjskich Nowej Gwinei myśliwy pomaga sobie talizmanem polując włócznią na diugonia lub żółwia.

²⁷ *Witchetty* - tubylcza nazwa larw australijskich chrząszczy z rodziny kózkowatych, żywiących się korzeniami akacji.

²⁸ D i u g o ñ (*Halicore*) - rodzaj ssaka morskiego należącego do rzędu syren. Jego ciało, długości 3 do 5 m, przypomina fokę. Diugonie nigdy nie wychodzą na ląd, są wyłącznie roślinożerne i zamieszkują strefę przybrzeżną Oceanu Indyjskiego i Morza Czerwonego. Obecnie są już prawie wytępione.

Mały chrząszcz żerujący na palmach kokosowych zostaje umieszczony w otworze trzonka, w którym osadzone jest ostrze włóczni. Ma to rzekomo zapewnić mocne utkwienie włóczni w diugoniu lub żółwiu, podobnie jak żuk mocno przyczepia się skóry ludzkiej, gdy gryzie człowieka. Gdy myśliwemu w Kambodży nic nie wpada do sieci, wówczas rozbiera się do naga, robi kilka kroków, po czym wraca do sieci i udając, że jej nie dostrzega, daje się schwytać i woła: "Hola, cóż to znowu. Zdaje się, że dałem się złapać!" Po takim zabiegu nie ulega wątpliwości, że w sieci znajdzie się zwierzyna. Nasi szkoccy górale pamiętają jeszcze, jak podobną pantomimę odgrywano w ich stronach. Pastor James Macdonald, mieszkający obecnie w Reay w Caithness, opowiedział nam, że gdy w dzieciństwie łowił ze swymi towarzyszami ryby na Loch Aline i przez dłuższy czas ryba nie brała, wówczas udawali, że wrzucają jednego z rybaków do wody i następnie go z niej wyciągają, jak gdyby był rybą. Po takim zabiegu pstrągi lub młode czarniaki zaczynały brać. Indianin z plemienia Karrier, zanim zabierze się do zastawiania siideł na kunę, śpi przez jakieś dziesięć nocy samotnie przy ogniu z małym kijem przymocowanym do karku. Oczywiście po takim zabiegu kuna wpadnie w potrzask. Galelaryjczycy zamieszkujący jeden z rejonów północnej części Halmahery, wielkiej wyspy na zachód od Nowej Gwinei, trzymają się zasady, że ładując broń przed wyruszeniem na polowanie należy zawsze potrzymać kulę w ustach, zanim się ją załaduje. W ten sposób zjada się właściwie dziczyznę, po którą myśliwy właśnie się wybiera, wobec czego kula oczywiście musi trafić do celu. Malajczyk zastawiający sidła na krokodyla pamięta zawsze o tym, by jedząc *curry* w oczekiwaniu na łup zaczynać od trzech łyków ryżu jednego po drugim; dzięki temu przynęta łatwiej przejdzie przez gardło krokodyla. Uważa też równocześnie, by nie wyjmować żadnych kości ze swego *curry*, jeśli to bowiem uczyni, wówczas może być pewny, że wyostrzony kij, na który jest nabita przynęta, również się rozluźni, a wtedy krokodyl umknie wraz z przynętą. Wobec tego przezorny myśliwy, zanim przystąpi do jedzenia, zawsze prosi kogoś, by wyjął z jego *curry* wszystkie kości, i w ten sposób unika dylematu mogącego powstać w każdej chwili, gdy będzie miał do wyboru pomiędzy połknięciem kości a utratą krokodyla.

W tym ostatnim wypadku mamy przykład przepisu nakazującego myśliwemu powstrzymać się przed pewnymi czynnościami, w przeciwnym bowiem razie, wychodząc z zasady, że podobne powoduje podobne, może sam pokrzyżować swoje plany. Należy bowiem zwrócić uwagę, że system magii sympatycznej składa się nie tylko z nakazów pozytywnych, lecz zawiera również znaczną ilość nakazów negatywnych, czyli zakazów. Nakazy są czarami, zakazy - tabu. W rzeczy samej cała teoria tabu, a przynajmniej znaczna jej część, jest, jak się zdaje, jedynie szczególnym zastosowaniem magii sympatycznej, z jej dwoma wielkimi prawami podobieństwa i kontaktu. Mimo że prawa te z pewnością nie są tak wielosłownie sformułowane czy chociażby rozumiane abstrakcyjnie przez człowieka dzikiego, niemniej wierzy on ponad wszelką wątpliwość, że regulują bieg natury niezależnie od woli ludzkiej. Uważa, że jeśli postąpi tak, a nie inaczej, pewne konsekwencje muszą nastąpić na skutek działania jednego z tych praw, a gdy konsekwencje jakiegoś szczególnego postępku wydają mu się szczególnie nieprzyjemne czy niebezpieczne, wówczas oczywiście pilnuje się, by nie postępować w sposób, który

mógłby je spowodować. Innymi słowy, powstrzymuje się od czynienia tego, co zgodnie z fałszywymi wyobrażeniami o przyczynie i skutku mogłoby mu zaszkodzić. Krótko mówiąc, podporządkowuje się tabu. W tej więc mierze tabu jest negatywnym zastosowaniem magii praktycznej. Pozytywna magia względnie praktyka czarów głoszą: "Masz uczynić to, a wówczas tamto się stanie." Magia negatywna względnie tabu nakazuje: "Nie czyń tego, bo tamto się stanie." Celem magii pozytywnej, czyli czarów, jest spowodowanie pożądanego wydarzenia, celem magii negatywnej lub tabu jest uniknięcie niepożądanego. Ale w obu wypadkach zakłada się, że obie konsekwencje, pożądana i niepożądana, są rzekomo wynikiem praw podobieństwa i kontaktu. I podobnie jak upragniony skutek nie jest w istocie związany z przestrzeganiem ceremonii magicznej, tak również skutki niepożądane nie są wynikiem pogwałcenia tabu. Jeśliby przewidywane zło było konsekwentnym wynikiem złamania tabu, wówczas nie byłoby to tabu, lecz nakaz moralny czy zdrowego rozsądku. Powiedzenie: "Nie wkładaj ręki do ognia", nie jest tabu, jest nakazem zdrowego rozsądku, ponieważ zakazana czynność pociąga za sobą niebezpieczeństwo realne, a nie wymaginowane. Krótko mówiąc, te negatywne nakazy, które nazywamy tabu, są równie daremne i jałowe jak owe pozytywne nakazy, które nazywamy czarami. Są to jedynie dwa przeciwne bieguny jednego wielkiego fałszu - mylnej koncepcji związku pojęć. W tej fałszywej koncepcji czary są biegunem pozytywnym, tabu zaś negatywnym.

Spośród tabu przestrzeganych przez dzikich żadne chyba nie są równie liczne i doniosłe jak zakazy spożywania pewnych potraw. Wiele z tych zakazów wynika niewątpliwie z prawa podobieństwa, a zatem jest przykładem magii negatywnej. Podobnie jak dziki jada wiele zwierząt i roślin w celu nabycia pewnych pożądanых cech, które, jak wierzy, może tą drogą zdobyć, tak też unika spożywania innych zwierząt i roślin, by uniknąć nabycia pewnych niepożądanych cech, którymi w jego przekonaniu mogą one być skażone. Jedząc pierwszy rodzaj pożywienia stosuje magię pozytywną, unikając zaś drugiego rodzaju praktykuje magię negatywną. Z wieloma przykładami tego rodzaju pozytywnej magii spotkamy się w dalszym ciągu naszych wywodów, w tym miejscu pragnę podać jedynie kilka przykładów magii negatywnej, czyli tabu. Tak więc na Madagaskarze żołnierzom nie wolno spożywać wielu potraw, by nie nabyli pewnych niebezpiecznych względnie niepożądanych właściwości, które wiktuały owe rzekomo posiadają. Nie wolno więc żołnierzowi wziąć do ust mięsa jeża, ponieważ przestraszony jeż zwija się w kłębek, a jedząc jeża żołnierz może stać się tchórzliwy z usposobienia. Żołnierzowi nie wolno spożywać kolana wołu, by jego własne kolana nie osłabły jak u wołu i by nie stracił umiejętności maszerowania. Wojownik musi unikać mięsa koguta, który zginął w walce, czy też wszelkiego mięsa upolowanego włócznią, a gdy żołnierz jest na wojnie, nie wolno w domu jego zabijać żadnego zwierzęcia płci męskiej. Wydaje się bowiem rzeczą oczywistą, że jeśli będzie jadł koguta, który zginął w walce, zginie sam na polu bitwy, jeśli będzie jadł mięso zwierzęcia zabitego włócznią, sam od włóczni zginie, a jeśli pod jego nieobecność w domu zabiją jakiegoś samca, on sam zostanie zabity w podobny sposób, kto wie, czy nie w tej samej chwili. Żołnierz-Malgasz musi unikać jedzenia nerek, gdyż w języku malgaskim słowo "nerki" oznacza również "zastrzelonego", wobec czego z pewnością zginie od kuli, jeśli będzie jadł nerki.

Czytelnik zapewne zauważył, że w niektórych podanych wyżej przykładach tabu wpływy magiczne działają na duże odległości. Tak więc u Indian Czarnostopych żonie i dzieciom myśliwego polującego na orła nie wolno używać szydła, by orzeł nie zranił znajdującego się przecież daleko ojca i męża. W domu żołnierza-Malgasza, który wyruszył na wojnę, nie wolno zabijać zwierzęcia płci męskiej, gdyż to może spowodować śmierć samego żołnierza. Wiara w sympatyczne wpływy wzajemne ludzi lub przedmiotów działające na odległość jest istotą magii. Może nauka powątpiewać w możliwość działania na odległość, ale magia żadnych takich wątpliwości nie zna. Wiara w telepatię jest jedną z jej zasad elementarnych. Współczesny człowiek, uważający za rzecz możliwą wpływ jednego umysłu na drugi na odległość, nie miałby żadnych trudności w przekonaniu dzikiego, który wierzy w to już od dawna i który, co więcej, w swych postępkach kieruje się tym wierzeniem z logiczną konsekwencją, której, o ile mi wiadomo, jego cywilizowany brat, jak dotąd, w swym postępowaniu nie okazuje. Dzikie bowiem jest nie tylko przekonany o tym, że zabiegi magiczne oddziałują na ludzi i sprawy, od których dzieli ich znaczna odległość, lecz również, że uczynić to można przez najprostsze czynności codzienne. Stąd też przy ważniejszych okazjach zachowanie się krewnych i przyjaciół przebywających daleko często regulują mniej lub więcej skomplikowane przepisy, których zaniedbanie przez daną grupę ludzi może oznaczać nieszczęście, a nawet śmierć dla nieobecnych. W szczególności gdy grupa mężczyzn udaje się na polowanie czy na wojnę, ich bliscy w domu powinni czynić pewne rzeczy względnie powstrzymać się od innych po to, by zapewnić bezpieczeństwo i powodzenie przebywającym daleko myśliwym czy wojownikom. Dam teraz kilka przykładów tego rodzaju magicznej telepatii w jej aspekcie zarówno pozytywnym, jak i negatywnym.

W przekonaniu myśliwych polujących na słonie w Afryce Wschodniej niewierność żony podczas ich nieobecności daje słoniowi przewagę nad myśliwym, który wówczas albo ginie, albo odnosi ranę. Dlatego też, jeśli dojdą go pogłoski o niewierności żony, porzuca polowanie i wraca do domu. Jeśli myśliwemu z plemienia Wagogo nie wiadzie się albo gdy napadnie na niego lew, przypisuje to niewłaściwemu prowadzeniu się żony pozostawionej w domu i wraca wtedy do domu bardzo rozgniewany. Gdy mąż jest na polowaniu, żona musi dbać o to, by nikt nie przechodził za nią ani nie stał przed nią, gdy siedzi, w łóżku zaś musi leżeć na brzuchu. Indianie z plemienia Moszo z Boliwii uważali, że mąż, którego żona zdradzi podczas jego nieobecności, zostanie ukąszony przez węża albo napadnięty przez jaguara. Gdy taki wypadek zdarzał się, mąż karał po powrocie swoją żonę, częstokroć nawet śmiercią, bez względu na to, czy zachowała mu wierność, czy też nie. Myśliwi z Aleut są przekonani, że nie uda się im zabić ani jednego zwierzęcia, jeśli pod ich nieobecność żony zdradzą ich lub siostry nie zachowają cnoty.

Kaktusy pewnego gatunku, których spożycie wprawia ludzi w stan ekstazy, Indianie plemienia Huichol w Meksyku uważają za półbogów. Roślina ta nie rośnie w ich okolicy. Co roku mężczyźni muszą się wybierać na czterdziestotrzyniodniową wyprawę, by ją zdobyć. Przez ten czas żony, w trosce o ich bezpieczeństwo, nigdy nie biegają, a nawet nie chodzą szybkim krokiem. Robią też wszystko, by

zapewnić błogosławieństwa, które w postaci deszczu, dobrych plonów, i tym podobnych, mają spłynąć na nich w wyniku świętego przedsięwzięcia. W tym celu poddają się dobrowolnie surowym ograniczeniom, podobnym do tych, jakie okoliczności narzucają ich mężom. Do święta kaktusa obie grupy myją się jedynie w określonych okolicznościach, i to tylko wodą przyniesioną z daleka, z miejsca, gdzie rośnie święta roślina. Urządzają również długie posty, nie używają soli i są zobowiązani do najściślejszej wstrzemięźliwości. Każdego, kto naruszy te przepisy, czeka choroba, a co gorsza, może on w ten sposób zniweczyć wyniki, na które wszyscy czekają. Zbiory kaktusa wróżą zdrowie, pomyślność i życie, kaktus jest bowiem naczyniem boga ognia, ponieważ jednak ogień czysty nie może przynieść żadnych korzyści człowiekowi nieczystemu, kobiety i mężczyźni muszą przez ten czas zachować wstrzemięźliwość, a także oczyścić się z dawnych grzechów. Toteż w cztery dni po wyruszeniu mężczyźni po kaktus kobiety zbierają się i wyznają Dziadkowi Ogniovi, z jakimi mężczyznami miały stosunki od dzieciństwa do chwili obecnej. Nie wolno im pominąć ani jednego, gdyż wtedy mężczyźni nie znajdą ani jednego kaktusa. Dla wspomnienia pamięci każda z nich przygotowuje sznurek, na którym tyle jest węzłów, ilu miała kochanków. Z sznurkiem tym przychodzi do świątyni, staje przed ogniem i wylicza wszystkich mężczyzn zaznaczonych na sznurku, imię po imieniu. Zakończywszy spowiedź wrzuca sznurek do ognia, a gdy bóg pochłonie go w swym czystym płomieniu, grzechy zostają wybaczone i kobieta odchodzi w pokoju. Od tej chwili kobiety nie pozwalają zbliżać się mężczyznom do siebie. W podobny sposób oczyszczają swe sumienia poszukiwacze kaktusów. Każdy romansik ma swój węzeł na sznurku, po czym opowiedziawszy wszystko "na wszystkie pięć wiatrów" oddają sznurki wodzowi, który je spala w ogniu.

Na wyspach Kauai, na południowy zachód od Nowej Gwinei, gdy łódź wybierająca się do dalekiego portu zostaje spuszczone na wodę, część brzegu, na której dotąd łódź leżała, zostaje natychmiast pokryta liśćmi palmowymi i odtąd jest poświęcona. Dopóki statek nie wróci, nikt nie ma prawa przejść przez to miejsce, gdyż mogłoby to spowodować zaginięcie łodzi. Co więcej, przez cały czas trwania podróży trzy lub cztery specjalnie wybrane młode dziewczęta pozostają rzekomo w magicznej łączności z żeglarzami. Od ich zachowania zależy bezpieczeństwo łodzi i powodzenie wyprawy. W żadnym wypadku, chyba że jest to rzeczywiście konieczne, nie wolno im opuszczać wyznaczonego pomieszczenia. Ponadto, jak długo statek przebywa na morzu, muszą siedzieć w kucki bez ruchu na matach, z dłońmi złożonymi między kolanami. Nie wolno im zwracać głowy w prawo lub w lewo ani też czynić jakichkolwiek ruchów. Każdy ruch powoduje kołysanie się łodzi. Dziewczętom nie wolno spożywać nic lepkiego, na przykład ryżu gotowanego na mleku orzecha kokosowego, ponieważ lepkość strawy utrudni ruch łodzi po wodzie. Gdy, jak się przypuszcza, żeglarze dotarli już do miejsca przeznaczenia, przepisy stają się nieco mniej rygorystyczne, ale przez cały czas trwania podróży dziewczętom nie wolno jeść ryb, które mają ostre ości, na przykład płaszczy, gdyż dla ich przyjaciół na morzu oznaczałoby to ostre, dotkliwie tarapaty.

Nie powinno nas dziwić, że tam, gdzie panuje powszechna wiara w istnienie tego rodzaju więzi między ludźmi bliskimi, wojna przede wszystkim, nieubłagana a zarazem dojmująco odwołująca się do najgłębszych i najczulszych uczuć ludzkich, wywołuje u pozostawionych w domu osób bliskich, zaniepokojonych losem swych drogich, którzy w każdej chwili mogą się znaleźć w walce lub zginąć, pragnienie wykorzystania dla ich właśnie dobra owych sympatycznych więzi. Tak więc, by osiągnąć cel jakże naturalny i chwalebny, przyjaciele pozostali w domu częstokroć uciekają się do sposobów, które mogą wydawać się nam żalosne lub śmieszne, zależnie od tego, jak patrzymy na cele, do których dążą, względnie metody, jakimi się posługują dla ich osiągnięcia. W niektórych okolicach Borneo, gdy Dajak wybiera się na łowy głów, jego żona lub, gdy jest kawalerem, jego siostra dzień i noc muszą nosić miecz przy sobie, by myśliwy nigdy nie zapomniał o swej broni. Kobiecie nie wolno wtedy spać w ciągu dnia i kłaść się na spoczynek przed drugą w nocy, by jej mąż lub brat nie został zaskoczony przez wroga we śnie. U morskich Dajaków z Bandungu w Sarawak kobiety ściśle przestrzegają skomplikowanego kodeksu prowadzenia się, gdy ich mężowie wyruszyli na wojnę. Niektóre z przepisów są pozytywne, inne - negatywne, ale wszystkie opierają się na zasadach homeopatii magicznej i telepatii. Oto niektóre z przepisów: Kobiety muszą wstawać bardzo wcześnie i otwierać okna, gdy tylko zacznie się rozwidniać, jeśli bowiem tego nie uczynią, nieobecni mężowie zaśpią. Kobietom nie wolno smarować tłuszczem włosów, bo mężowie się poślizną. Nie wolno im także spać ani drzemać w ciągu dnia, bo mężczyźni będą senni podczas marszu. Muszą codziennie gotować kukurydzę i sypać ją na werandzie, dzięki temu mężowie będą zręczni w swych ruchach.

Mieszkanie musi być utrzymane w dużej czystości, wszystkie skrzynie umieszczone pod ścianami, jeśli bowiem ktokolwiek się o nie potknie, wówczas nieobecny mężczyzna przewróci się i będzie zdany na łaskę nieprzyjaciela. Przy każdym posiłku trochę ryżu należy zostawić w garnku, dzięki czemu przebywający daleko mężczyźni będą mieli zawsze coś do jedzenia i nigdy nie będą głodować. W żadnym wypadku nie wolno kobiecie dopuścić do tego, by jej ścierpły nogi, gdy za długo siedzi przy warsztacie tkackim, ponieważ wtedy nogi mężczyzn również zeszywnieją w stawach i nie będą mogli zerwać się dostatecznie szybko, by uciec przed wrogiem. Po to więc, by utrzymać mężczyzn w dobrej formie, kobiety często przerywają pracę przy wrzecionach i chodzą po werandzie. Nie wolno im także przesłaniać swych twarzy, ponieważ wtedy mężczyźni zabłądzą w wysokiej trawie lub w dżungli. Nie wolno kobietom posługiwać się igłą, bo mąż nastąpi na ostre kolce, które nieprzyjaciel powtykał na ścieżce. Jeśli żona zdradzi męża pod jego nieobecność, wówczas straci on życie w kraju nieprzyjaciela. Jeszcze kilka lat temu kobiety z Bandungu przestrzegały wszystkich tych przepisów i wielu innych, gdy mężczyźni walczyli po stronie Anglików. Ale niestety! Nie na wiele zdały się te środki czulej ostrożności. Wielu mężów, których żony wiernie czuwały w domu czekając na ich powrót, spoczęło w żołnierskich grobach.

Skłanianie roślin i drzew do owocowania we właściwej porze jest jednym z dobroczynnych zastosowań magii homeopatycznej, czyli naśladowczej, przez umysły w fałszywy sposób

wykorzystujące swą pomysłowość. W Turyngii mężczyzna siejąc len trzyma nasiona w długiej torbie, zwisającej mu z ramion po kolana, i idąc przed siebie robi długie kroki, tak żeby torba kołysała się w przód i w tył. Dzięki temu, jak głosi wierzenie, len będzie powiewał na wietrze. Na Sumatrze ryż sadzą kobiety z rozpuszczonymi włosami, ma to zapewnić bujny wzrost i długie łodygi rośliny. Podobnie postępowały kobiety w starożytnym Meksyku podczas obchodów ku czci bogini kukurydzy, czyli, jak ją nazywano, "długowłosej matki". Uroczystości rozpoczynały się, "gdy roślina dochodziła do pełnej wysokości, a włókna wychodzące z zielonej kolby wskazywały na to, że ziarno już dojrzało. W czasie uroczystości kobiety chodziły z rozpuszczonymi włosami potrząsając głowami podczas tańców, stanowiących główny element ceremonii, po to, by kitki kukurydzy rosły równie obficie, a ziarno było odpowiednio duże i płaskie, i by ludzie posiadali je w obfitości." W wielu okolicach Europy tańce i wysokie skoki są homeopatycznymi sposobami skłonienia roślin do rośnięcia wysoko. Tak na przykład w Franche-Comte twierdzą, że należy tańczyć w czasie karnawału, by konopie wyrosły wysoko.

Grecy i Rzymianie poświęcali ciężarne ofiary boginiom ziemi i zboża, miało to niewątpliwie na celu uczynienie ziemi żyzną i spowodowanie, by kłosa obfitowały w ziarno.

Gdy katolicki kapłan wypominał Indianom znad Orinoko, że pozwalają swym kobietom siać w upalnym słońcu z niemowlętami przy piersi, mężczyźni odpowiadali: "Ojciec się na tym nie zna i dlatego się gniewa. Przecież ojciec wie, że kobiety nawykły do rodzenia dzieci, a mężczyźni nie. Gdy kobiety sieją, wówczas jedna roślina kukurydzy przynosi dwie, a nawet trzy kolby, korzeń *juki* daje dwa albo trzy kosze plonu i wszystko mnoży się w odpowiedniej proporcji. A dlaczego? Po prostu, ponieważ kobiety umieją rodzić i wiedzą także, jak skłonić ziarno do rodzenia. Niechże więc sieją, my, mężczyźni, nie znamy się na tym tak dobrze jak one."

Tak więc magia homeopatyczna zakłada, że człowiek może wywierać dobry lub zły wpływ na roślinność w zależności od dobrej lub złej natury jego uczynków lub stanów: tak na przykład kobieta płodna czyni rośliny płodnymi, a kobieta bezpłodna czyni je jałowymi. Stąd też wiara w szkodliwą czy też przenośną właściwość pewnych cech osobistych i przypadków tkwi u źródła pewnych zakazów i nakazów unikania. Ludzie wstrzymują się od robienia pewnych rzeczy, by nie zarazić homeopatycznie płodów ziemi swymi niepożądanymi stanami czy sytuacjami. Wszystkie tego rodzaju zwyczaje wstrzeźliwości czy też przepisy unikania są przykładami magii negatywnej względnie tabu.

W przytoczonych wyżej przykładach mieliśmy do czynienia z ludźmi, którzy rzekomo wpływali homeopatycznie na roślinność. Człowiek narzuca drzewu lub roślinie pewne właściwości czy sytuacje, dobre lub złe, podobne do jego własnych względnie z nich się wywodzące. Ale wpływ ten jest z punktu widzenia zasad magii homeopatycznej wzajemny. Roślina w równej mierze wpływa na człowieka co człowiek na roślinę. W magii podobnie jak, o ile mi wiadomo, w fizyce akcja i reakcja są sobie równe i przeciwstawne. Czirokesi są szczególnie biegli w praktycznej botanice homeopatycznej. Tak więc pokręcone korzenie tefrozji są tak twarde, że mogą nawet zatrzymać pług w bruździe. Kobiety czirokeskie myją włosy w wywarze z tych korzeni po to, by wzmocnić włosy, a grający w piłkę myją się w

nim cali, by nadać tężyznę swoim mięśniom. U Galelaryjczyków panuje przekonanie, że gdy człowiek zje owoc, który spadł z drzewa, sam przewróci się i zacznie się potykać i wywracać; jeśli zje coś zapomnianego (na przykład zapomniany w garnku kartofel czy banana pozostawionego w ogniu), traci wówczas pamięć. Galelaryjczycy wierzą również, że kobieta, która zje dwa zrosnięte z sobą banany, urodzi bliźniaki. Guaranie w Południowej Ameryce uważają, że kobieta zostanie matką bliźniaków, gdy zje podwójne ziarno prosa. W czasach wedyjskich osobliwe zastosowanie tej zasady było czarem, który umożliwiał wygnanemu księciu powrót na swój tron. Musiał on w tym celu zjeść potrawę ugotowaną na ogniu z drzewa, które wyrosło ze świątego pnia. Moc odradzająca takiego drzewa przejdzie po pewnym czasie poprzez ogień i gotowaną na nim strawę na księcia, który jadł jedzenie ugotowane na ogniu z drzewa wyrosłego na świątym drzewie. Sundajczycy uważają, że gdy dom zbudowany jest z kolczastych drzew, wówczas życie ludzi, którzy w tym domu zamieszkają, będzie cierniste i pełne kłopotów.

Istnieje owocna gałąź magii homeopatycznej posługująca się zmarłymi. Skoro zmarli nie mogą widzieć, słyszeć i mówić, można na zasadzie homeopatii pozbawić ludzi słuchu, wzroku i mowy przez użycie kości zmarłych lub też czegokolwiek innego skażonego zetknięciem się ze śmiercią. Tak więc u Galelaryjeżyków, gdy młodzieniec wybiera się nocą na zaloty, bierze z sobą grudkę ziemi z jakiejś mogiły i posypuje nią dach domu swej ukochanej dokładnie nad miejscem, w którym śpią jej rodzice. W ten sposób, jak sobie wyobraża, uniemożliwia im obudzenie się, gdy on będzie rozmawiał z panną, jako że ziemia ta pogrąży ich w sen tak silny jak sen nieboszczyka. Od najdawniejszych czasów włamywacze w wielu krajach posługiwali się chętnie tego rodzaju magią, niezwykle pożyteczną w ich zawodzie. Tak więc włamywacz u południowych Słowian zaczyna niekiedy operację od przerzucenia kości nieboszczyka przez dom, wypowiadając z jadowitą ironią następujące słowa: "Tak jak ta kość może się obudzić, tak niech się obudzą mieszkańcy tego domu." Po czymś takim nikt oczywiście z mieszkańców domu nie jest w stanie otworzyć oczu. Podobnie na Jawie włamywacze biorą ziemię z mogiły i rozsypują ją wokół domu, który zamierzają ograbić, usypiając w ten sposób głęboko mieszkańców. W tym samym celu Hindusi sypią popiół ze stosu pogrzebowego przed progiem domu, a Indianie peruwiańscy proch z kości nieboszczyka. Włamywacze na Rusi Podkarpackiej usuwają szpik z puszczeli ludzkiej, napełniają ją łojem i, zapaliwszy ją, okrążają trzykrotnie dom. Ma to pogrążyć mieszkańców w sen podobny do śmierci. W tych samych stronach sporządzają również puszczalkę z kości goleniowej zmarłego i grają na niej. Ludzie słuchający tej muzyki stają się senni. Indianie meksykańscy posługują się w tym szkodliwym celu kością z lewego przedramienia kobiety, która zmarła w położu, rodząc swe pierwsze dziecko, ale kość musi być wykradziona. Uderzają nią o ziemię przed domem, który mają zamiar okraść. Na skutek tych czarów wszyscy znajdujący się w domu tracą mowę i władzę w członkach, są jak nieżywi, słyszą i widzą, ale są zupełnie bezsilni, niektórzy z nich jednak śpią naprawdę i nawet chrapią. W Europie podobne właściwości przypisywane były Sławnej Ręce, była nią zasuszona i zamarynowana ręka wisielca. Każdy człowiek, któremu pokazywano wetkniętą w Sławną

Rękę płonąca świecę, sporządzoną z tłuszczu powieszzonego zbrodniarza, tracił władzę w członkach i nie mógł nawet ruszyć palcem, jak gdyby już nie żył. Czasami świecą jest po prostu ręka nieboszczyka, a raczej pęczkiem świec, ponieważ zapala się wszystkie palce. Gdyby któryś z mieszkańców domu miał się obudzić, wówczas jeden z palców nie będzie się palił. Tego rodzaju niegodziwe światło może być zgaszone jedynie za pomocą mleka. Czasami, głosi przepis, świeca złodzieja ma być sporządzona z palca noworodka, a jeszcze lepiej z palca nie donoszonego płodu, niekiedy zaś uważa się, że złodziej musi mieć po jednej świecy na każdą osobę w domu, gdyby zaś jednej zabrakło, wówczas któryś z domowników się obudzi i go schwyta. Z chwilą jednak gdy świece te zapłoną, zgasić je może tylko mleko. W siedemnastym wieku rabusie mordowali ciężarne kobiety, by zdobyć tego rodzaju świece. Starożytni Grecy złodzieje i bandyci wierzyli, że można uciszyć albo przestraszyć i zmusić do ucieczki najgroźniejszego psa za pomocą głowni z pogrzebowego stosu. W Serbii i Bułgarii kobiety, którym zbyt dolega dyscyplina domowa, zabierają miedziaki z oczu nieboszczyka, zmywają je winem lub wodą, a płyn dają swym mężom do picia. Mąż po przełknięciu będzie miał oczy zamknięte na ich grzeszki, podobnie jak nieboszczyk, którego oczy tymi miedziakami przymknięto.

Zwierzęta również posiadają często zalety, które mogą się przydać człowiekowi. Magia homeopatyczna lub naśladowcza stara się różnymi sposobami przekazać te właściwości istotom ludzkim. Tak na przykład niektórzy Beczuanie noszą jako talizman łasiczkę, ponieważ zwierzątko to, mocno trzymające się życia, nie dopuści, by właściciel talizmanu zginął. Inni noszą przy sobie w podobnym celu pewne owady okaleczone, lecz żywe. Inni jeszcze Beczuanie wplatają sierść bezrogięgo wołu w swoje włosy i umieszczają żabią skórę na swych płaszczach, ponieważ żaba jest śliska, a wół bez rogów trudny do schwytania. Tak więc człowiek zaopatrzony w te talizmany będzie równie trudny do schwytania jak wół i żaba. Arab, gdy chce ściągnąć z powrotem niewolnika-zbiega, zakreśla magiczne koło na ziemi, w środek wbija gwóźdź i nitką przywiązuje do tego gwoździa chrząszcza, pilnując, by owad był tej samej płci co zbieg. Chrząszcz krążąc wkoło nawija nitkę na gwóźdź, skraca ją i zbliża się do środka za każdym okrążeniem. Tak samo dzięki magii homeopatycznej niewolnik, który uciekł, powróci do swego pana.

Gdy wśród południowych Słowian ktoś wybiera się na rynek, by coś zwędzić czy kogoś okraść, wystarczy, by spalił ślepego kota i szczyptą popiołu posypał człowieka, którego ma zamiar oszukać. Może wtedy zabrać z kramu, co mu się spodoba, a właściciel w niczym się nie połapie, ponieważ będzie tak samo ślepy jak ów spalony kot, którego popiołami go posypano. Złodziej może nawet śmiało zapytać: "Czy już za to zapłaciłem?", a oszukany kramarz odpowie: "Ależ oczywiście." Równie prostym i skutecznym sposobem posługują się tubylcy w Australii Środkowej, gdy chcą, by im urosła broda. Nakłuwają sobie policzki ostro zakończoną kością, a potem gładzą je starannie magicznym kijem albo kamieniem przedstawiającym szczura o bardzo długich wąsach. Właściwości tych wąsów przechodzą oczywiście na kij względnie kamień i z kolei już bez trudu na policzki, na których, rzecz jasna, wkrótce ukazuje się obfity zarost. Starożytni Grecy byli przekonani, że jedzenie mięsa czuwającego słowika nie

pozwała człowiekowi zasnąć, a nasmarowanie oczu osoby o słabym wzroku żółcią orła da jej orli wzrok, a także, że jaja krucze przywracają kruczą czerń siwym włosom. Ale osoba, która tą metodą pragnęła ukryć zmiany spowodowane wiekiem, musiała pilnie uważać, by w czasie smarowania swych czcigodnych włosów jajkami mieć pełne usta oliwy, inaczej jej zęby, podobnie jak włosy, zabarwiały się na kruczoczarny kolor i żadne mycie i szorowanie już ich nigdy nie mogło wybielić. Prawdę mówiąc, był to środek na porost włosów nieco zbyt silny i stosując go można było otrzymać zupełnie nieoczekiwane wyniki.

Zgodnie z zasadami magii homeopatycznej nie tylko rośliny i zwierzęta, lecz również i przedmioty nieożywione mogą być źródłem dobrodziejstw względnie nieszczęść zgodnie z ich własną naturą przyrodzoną, względnie w zależności od umiejętności czarodzieja powstrzymywania lub wywoływania potoku dobrodziejstw czy klęsk. W Samarkandzie kobiety dają niemowlętom do ssania łakocie z cukru, a dłonie smarują im klejem po to, by dzieci, gdy dorosną, słodko się wyrażały i by do rąk ich przylepiały się cenne rzeczy. Grecy uważali, że szata sporządzona z wełny owcy rozszarpanej przez wilka zaszkodzi temu, kto ją nosi, wywołując podrażnienie skóry, a nawet wysypkę. Byli również zdania, że wystarczy wrzucić do wina kamień pogryziony przez psa, by ci, którzy wino to wypiją, pogryźli się między sobą. U Arabów w Moabie kobiety bezdzietne często pożyczają suknie od kobiet wielodzietnych mając nadzieję, że w ten sposób przejdzie na nie płodność właścicielki stroju. Kafrowie z Sofala w Afryce Wschodniej straszliwie boją się uderzenia czymś pustym, na przykład trzcina lub słomką i znacznie bardziej wolą boleśniejsze razy wymierzone tęgą pałką lub żelaznym prętem. Uważają bowiem, że człowiek uderzony czymkolwiek pustym wyschnie na śmierć. Istnieje we wschodnich morzach duża muszla, którą Bugisi z Celebesu nazywają "starym człowiekiem" (*kadžawo*). W piątki przewracają oni owych "starych ludzi" do góry dnem i kładą ich na progach swych domów wierząc, że każdy, kto na taką muszlę nastąpi, dożyje późnego wieku. Chłopcy z kasty braminów powinni w czasie inicjacji nastąpić prawą nogą na kamień, a obecni powtarzają słowa: "Stąpnij na ten kamień, jak ten kamień bądź silny." Tę samą ceremonią przechodzi z towarzyszeniem tych samych słów panna młoda z tej kasty podczas uroczystości ślubu. Środkiem stosowanym przeciwko zmienności losu jest na Madagaskarze kamień, który się zagrzebuje pod głównym filarem domu. Powszechny zwyczaj składania przysięgi na kamień może poniekąd opierać się na wierzeniu, że siła i trwałość kamienia staje się potwierdzeniem przysięgi. Tak więc dawny duński historyk Saxo Grammaticus opowiada, jak "starożytni, gdy mieli wybrać króla, zwykli byli stawać na kamieniach zakopanych w ziemi i w ten sposób oznajmiać, na kogo oddają swój głos, by moc kamienia była zapowiedzią ich stanowczości". Ciężar i stałość nadają wszystkim kamieniom użyteczność magiczną, jednak specyficzne cechy magiczne przypisywane są szczególnym kamieniom w zależności od ich indywidualnych czy gatunkowych kształtów i barwy.

Starożytni przywiązywali wielką wagę do magicznych właściwości kamieni szlachetnych. Istnieją nawet wielce prawdopodobne hipotezy, że tego rodzaju kamienie używane były jako amulety na długo,

zanim zaczęto je nosić wyłącznie dla ozdoby. Tak więc Grecy nazwali kamień podobny pod pewnymi względami do drzewa agatem-drzewem i uważali, że dwa takie kamienie, przywiązane do rogów wołu zaprzęzonego do pługa względnie zawieszane na jego karku, zapewniają bogate zbiory. Zнали również kamień mleczny, który zapewniał kobietom obfitość mleka pod warunkiem, że kamień ten wypiją rozpuszczony w miodzie pitnym. Do dziś kamień mleczny jest używany dla tych samych celów przez Greczynki zamieszkałe na Krecie i Melos. W Albanii karmiące matki noszą te kamienie dla zapewnienia sobie obfitości mleka. Grecy wierzyli również w kamień leczący ukąszenia węża i stąd nazwa węzowego kamienia. Wystarczyło zemleć taki kamień i posypać nim ranę, by przekonać się o jego skuteczności. Ametyst koloru wina otrzymał swą nazwę, oznaczającą "Niepijany", ponieważ wierzono, że pozwala zachować trzeźwość człowiekowi, który go nosi, a dwóm braciom pragnącym żyć w zgodzie radzono nosić przy sobie magnesy, które przyciągając się wzajemnie zapobiegają wszelkim nieporozumieniom.

Starożytne księgi Hindusów nakazywały, by młode małżeństwo w dniu swego ślubu siedziało w milczeniu po zachodzie słońca do chwili, gdy pojawią się pierwsze gwiazdy. Gdy ukaże się gwiazda polarna, pan młody powinien pokazać ją swej małżonce i zwracając się do gwiazdy powiedzieć: "Jesteś stała! Widzę cię, stała gwiazdo. Bądźże więc stale przy mnie, o rozkwitająca!" Po czym zwracając się z kolei do żony powinien powiedzieć: "Dała mi ciebie Brihaspati; doczekawszy się ode mnie potomstwa żyj ze mną sto jesieni." Intencja ceremonii jest jasna: ma ona chronić ludzi przed zmiennością losu i niestałością ziemskiego szczęścia poprzez stały wpływ stałej gwiazdy. Życzenie to wyraził Keats w swym ostatnim sonecie:

*Chciałbym, o jasna gwiazdo, tak jak ty być stały,
A nie u szczytu nocy dumnie zawieszony [...]*

Ludzie zamieszkujący kraje nadmorskie są pod wrażeniem nieustannego przyptywu i odpływu, a stosując zasady tej prymitywnej filozofii sympatii i podobieństwa, którą się w tej chwili zajmujemy, skłonni są doszukiwać się subtelnych związków, tajnej harmonii między tymi zjawiskami a życiem człowieka, zwierząt i roślin. Przyptyw jest dla nich nie tylko symbolem, lecz i źródłem radości, pomyślności i życia, podczas gdy w odpływie widzą zarówno prawdziwe źródło, jak i smutny emblemat zawodu, słabości i śmierci. Chłopi bretońscy wierzą, że koniczyna zasiana podczas przyptywu będzie rosła dobrze, zasiana natomiast przy niskim poziomie wód lub podczas odpływu będzie marna, a co więcej, krowy, które będą nią karmione, pochorują się. Chłopki bretońskie wierzą, że najlepsze jest masło zrobione, gdy przyptyw właśnie się zaczyna, i że mleko pieniające się w maślnicy będzie się pieniało do chwili, gdy minie najwyższy stan wody, i że woda zaczerpnięta ze studni jak i mleko dojrzone podczas przyptywu wykipi z garnka i zaleje ogień. Niektórzy starożytni wierzyli, że skóra fok, nawet po zderzeniu ze zwierzęcia, zachowuje jakieś tajemne związki z morzem i marszczy się podczas odpływu. Inne starożytne wierzenie, przypisywane Arystotelesowi, głosiło, że wszelka istota żyjąca może umrzeć tylko podczas odpływu. To wierzenie, jeśli zaufać Pliniuszowi, w odniesieniu do ludzi zostało potwierdzone

doświadczalnie na brzegach Francji. Zapewnia nas również Filostratos, że w Kadyksie ludzie umierający nigdy nie wyzionęli ducha podczas przyływu. Podobna bajka przetrwała w niektórych częściach Europy. Na Wybrzeżu Kantabryjskim uważają, że człowiek umierający na skutek chronicznej czy ostrej choroby oddaje ostatnie tchnienie w chwili, gdy woda zaczyna się cofać. W Portugalii, wzdłuż całego wybrzeża Walii i w niektórych okolicach Bretanii istnieje powszechne przekonanie, iż ludzie rodzą się podczas przyływu, a umierają w czasie odpływu. Dickens potwierdza istnienie tego przesądu w Anglii. "Na wybrzeżu - mówi pan Peggotty - ludzie mogą umierać jedynie wtedy, gdy odpływ jest już porządnie niski, a nie rodzą się, dopóki przyływ nie jest już blisko, a tak naprawdę to się rodzą tylko podczas pełnego przyływu." Przekonanie o tym, że śmierć najczęściej następuje podczas odpływu, jest (jak mówią) rozpowszechnione wzdłuż całego wybrzeża Anglii od Northumberland do Kentu. Musiał je znać Szekspir, skoro każe Falstaffowi umierać "akurat między dwunastą a pierwszą, właśnie gdy morze opadać zaczynało". Z kolei natrafiamy na to wierzenie u plemienia Hidatsa zamieszkującego wybrzeże Pacyfiku w Ameryce Północnej. Gdy dobry Hidatsa ma umrzeć, widzi czółno, w którym siedzą jego zmarli przyjaciele, ci zaś przybyli z przyływem, by powitać go w krainie duchów. "Chodź teraz z nami - mówią mu - bo zaraz zacznie się odpływ i będziemy musieli odjechać." W Port Stephens w Nowej Południowej Walii tubylcy zawsze grzebią swych zmarłych podczas przyływu, nigdy zaś podczas odpływu, żeby uchodzące wody nie zabrały ze sobą duszy zmarłego do jakichś odległych krajów.

Inne zastosowanie maksymy o wpływie podobieństwa znajdujemy w wierzeniu Chińczyków, że losy miasta zależne są od jego kształtu i że zmieniają się w zależności od charakteru przedmiotu, który najbardziej przypominają. Tak więc głosi legenda, że przed wielu laty miasto Tsuen-czeu-fu, którego zarysy przypominały karpia, padało często ofiarą napadów sąsiedniego miasta Yancheng Xian zbudowanego w kształcie sieci i trwało to do tej pory, póki mieszkańcy pierwszego miasta nie wpadli na pomysł wybudowania w środku dwóch pagód. Pagody te, wciąż jeszcze górujące nad miastem, wywierały od chwili ich wybudowania niezwykle pomyślny wpływ na miasto, ponieważ przechwytywały wyimaginowaną sieć, zanim zdołała opaść na miasto i złapać w swe oka wyimaginowanego karpia. Przed jakimś czterdziestu laty mędracy Szanghaju dokładali wielu starań, by odkryć przyczyny lokalnej rebelii. Po skrupulatnych badaniach doszli do wniosku, że rebelia wybuchła z powodu nowej wielkiej świątyni, którą jak najniefortunniej zbudowano w kształcie żółwia, zwierzęcia o bardzo niedobrym charakterze. Trudność była poważna, niebezpieczeństwo za pasem. Zburzenie świątyni byłoby aktem bezbożnym, zaś pozostawienie jej równałoby się kuszeniu podobnych nieszczęść, a nawet ściągnięciu na głowę jeszcze gorszych. Wreszcie genialne umysły miejscowych profesorów geomancji przewyciężyły triumfalnie wszelkie trudności i usunęły niebezpieczeństwo. Przez zasypianie dwóch studni, które przedstawiały oczy żółwia, oślepieno to niesławne stworzenie i uniemożliwiono mu knucie dalszych zbrodni.

Czasami magia homeopatyczna, czyli naśladowcza, wykorzystywana jest do odwrócenia złego omenu przez mimikrę. Chodzi bowiem o to, by uniknąć przeznaczenia przez zastąpienie prawdziwego

nieszczęścia udawanym. Na Madagaskarze ten sposób oszukiwania losu sprowadza się do całego systemu. Na tej wyspie los każdego człowieka jest określony przez godzinę i dzień jego urodzenia i jeśli tak się zdarzy, że ktoś urodził się o niepomysłnej porze, wówczas los jego jest przypieczętowany, chyba że uda się usunąć zło przez odpowiedni substytut. Można tego dokonać w rozmaity sposób. Na przykład jeśli człowiek rodzi się pierwszego dnia drugiego miesiąca (lutego), wówczas dom jego spali się, gdy dojdzie do wieku dojrzałego. By uprzędzić to wydarzenie i uniknąć katastrofy, przyjaciele dziecka budują w polu lub na łące, gdzie pasie się bydło, szałas, który podpalają. Jeśli ceremonia ma być naprawdę skuteczna, wówczas dziecko i matka powinni znajdować się w szałasie, skąd wyrwie się ich w ostatniej chwili. Deszczowy listopad jest natomiast miesiącem łez, a człowieka urodzonego w tym miesiącu czeka smutne życie. Po to, by rozproszyć chmury gromadzące się nad jego przyszłością, wystarczy, by człowiek ten zdjął z kipiącego garnka pokrywkę i wymachiwał nią. Spadające krople spełnią przeznaczenie i zapobiegą temu, by łzy płynęły z oczu. Gdyby los tak zrządził, że młoda dziewczyna, niezamężna jeszcze, miałaby ujrzeć swoje nie urodzone jeszcze dzieci przed nią zstępujące do grobu, może zapobiec temu nieszczęściu w następujący sposób: Powinna zabić konika polnego i owinać go w szmatkę na podobieństwo całunu i oplakiwać go, jak Rachel oplakiwała swoje dzieci. Nic jej nie może wtedy pocieszyć. Ponadto łapie jeszcze kilka koników polnych, obrywa im skrzydełka i nóżki i kładzie je obok nieżywego owada. Odgłosy umęczonych owadów i ich gwałtowne ruchy symbolizują krzyki i grymasy żałobników na pogrzebie. Po pochowaniu zabitego owada pozostawia resztę owadów na grobie, dopóki ich śmierć nie wyzwoli z cierpień, a po uczesaniu rozpuszczonych włosów wraca od grobu wolnym krokiem i zgarbiona jak osoba pogrążona w żałobie. Odtąd może już spokojnie spodziewać się, że jej dzieci ją przeżyją, nie może bowiem tak się stać, by je dwukrotnie chowała i odprawiała nad nimi żałobę. Gdy zaś los napiętnował człowieka ubóstwem, łatwo temu może zapobiec kupując za grosze kilka tanich pereł i grzebiąc je w ziemi, któż bowiem poza ludźmi zamożnymi może pozwolić sobie na takie zbytki?

Dotąd rozważaliśmy głównie tę gałąź magii sympatycznej, którą można nazwać homeopatyczną względnie naśladowczą. Jak przekonaliśmy się, jej główna zasada sprowadza się do tego, że podobna przyczyna wywołuje podobny skutek, czyli, innymi słowy, że skutek podobny jest do przyczyny. Inna wielka gałąź magii sympatycznej, którą nazwałem magią przenośną, wychodzi z założenia, że rzeczy, które kiedyś były połączone, pozostają na zawsze, nawet jeśli są od siebie zupełnie oddzielone, w tego rodzaju stosunku sympatycznym, że to, co dzieje się z jedną częścią, musi wpłynąć w podobny sposób na drugą. Tak więc logiczną podstawą magii przenośnej jest, podobnie jak w magii homeopatycznej, fałszywe skojarzenie idei, zaś jej bazą fizyczną, jeśli w ogóle o czymś takim możemy mówić, jest, podobnie jak w magii homeopatycznej, jakiś materialny przewodnik, który na podobieństwo eteru we współczesnej fizyce jednoczy rzekomo odległe przedmioty i przekazuje od jednego do drugiego impulsy. Najbardziej znanym przykładem magii przenośnej jest magiczny związek istniejący między człowiekiem a jakąś oderwaną od niego częścią jego ciała, jak na przykład jego włosami czy

paznokciami, na skutek czego każdy, kto posiada włosy czy paznokcie człowieka, może z każdej odległości dowolnie oddziaływać na osobę, której te włosy czy paznokcie obcięto. Jest to przesąd powszechny na całym świecie, a przykłady związane z włosami i paznokciami napotkamy jeszcze w dalszym ciągu niniejszej książki.

U plemion australijskich istniał powszechny zwyczaj wybijania chłopcu jednego lub kilku przednich zębów podczas inicjacji, którą musi przejść każdy mężczyzna, zanim nabędzie prawa i przywileje dorosłego człowieka. Niejasne są źródła tych praktyk, nas interesuje w tym miejscu jedynie przekonanie, że magiczne powinowactwo między chłopcem a jego zębem trwa nadal po usunięciu zęba. U niektórych plemion nad rzeką Darling w Nowej Południowej Walii wyrwany ząb umieszczano pod korą drzewa rosnącego w pobliżu jakiejś rzeki lub zbiornika wody. Wszystko było dobrze, gdy kora zarastała nad zębem lub gdy ząb wpadał w wodę, ale gdy ząb pozostawał odsłonięty i przebiegały po nim mrówki, tubylcy wierzyli, że chłopak będzie cierpieł na chorobę ust. U Murringów i innych plemion Nowej Południowej Walii ząb przechowywał jeden ze starców, po czym przechodził z rąk jednego członka starszyny do drugiego, aż obszedł wszystkich i wtedy wracał do ojca chłopca, i w końcu do samego delikwenta. Przez cały jednak czas krążenia zęba z ręki do ręki nie wolno go było trzymać w worku zawierającym inne substancje magiczne, gdyż mogłoby to narazić właściciela zęba na poważne niebezpieczeństwo.

Basutowie pieczołowicie przechowują swe wyrwane zęby, żeby nie wpadły w ręce pewnych mitycznych istot, które nawiedzają groby i mogą za pomocą magicznych zabiegów wyrządzić krzywdę właścicielowi. W Sussex przed pięćdziesięciu laty służąca ostro sprzeciwiała się wyrzucaniu mlecznych zębów dzieci, twierdząc, że gdyby jakieś zwierzę je znalazło i pogryzło, nowe zęby dziecka będą podobne do zębów zwierzęcia, które pogryzło stare. Na dowód wspomniała starego pana Simmonsa, któremu w górnej szczęce wyrósł wielki świński kieł. Defektowi temu winna była, jak stałe wszystkich zapewniała, matka, która nieogłędnie wrzuciła jeden jego mleczny ząb do chlewa. Podobne wierzenia prowadziły do praktyk mających zgodnie z zasadami magii homeopatycznej doprowadzić do zastąpienia starych zębów nowymi i lepszymi. Tak więc w wielu częściach świata istnieje zwyczaj ukrywania wyrwanego zęba w miejscu, w którym może go znaleźć mysz, w nadziei, że dzięki związkowi sympatycznym istniejącym między zębem a jego uprzednim właścicielem ząb może nabyć twardości i świetności zębów tych gryzoni. W Niemczech na przykład panuje powszechny niemal zwyczaj wkładania wyrwanego zęba do mysiej dziury. Gdy będzie to ząb mleczny, który dziecko straciło, zabieg taki zabezpieczy je przed przyszłymi bólami

zębów. Albo trzeba pójść za piec i przerzucić za siebie nad głową ząb mówiąc przy tym: "Daj mi, myszko, twój żelazny ząb, dam ci za to mój kościany." Potem zęby już zawsze będą zdrowe. Daleko od Europy, na Rarotonga na Pacyfiku, wrywając dziecku ząb wypowiadano zaklęcie:

*Duży szcurze, mały szcurze!
Tu masz mój stary ząb,*

Daj mi za to nowy.

Po czym żąb wrzucano na strzechę domu, ponieważ szczury gnieździły się zazwyczaj w przegniłych strzechach. Tubylcy zwracali się do szurów, gdyż z wszystkich znanych im zwierząt one to posiadały najmocniejsze uzębienie.

Innymi częściami ciała, które w powszechnym przekonaniu pozostawały w związku sympatycznym z ciałem po ustaniu związków fizycznych, były: pępowina i popłód, włącznie z łożyskiem. Często uważa się, że związek ten jest tak ścisły, że dalsze losy człowieka zależą od tego, co się dzieje z tymi częściami jego osoby, tak więc jeśli jego pępowina i łożysko są zachowane i właściwie utrzymywane, będzie człowiekiem zamożnym, a gdy zostaną zagubione lub nie będą pod należytą opieką, wywoła to odpowiednio przykre skutki. Niektóre plemiona w Australii Zachodniej wierzą, że umiejętność lepszego lub gorszego pływania zależy od tego, czy matka wrzuciła przy porodzie pępowinę do wody. Tubylcy znad rzeki Penne-father w Queensland wierzą, że część duszy dziecka (*czo-i*) pozostaje w popłodzie. Dlatego babka dziecka zabiera łożysko i zakopuje je w piasku. Miejsce to zaznacza za pomocą kilku gałęzi, które wtyka tworząc kółko i łącząc wierzchołki w ten sposób, by tworzyły stożek. Gdy Andżea, istota powodująca poczęcie u kobiet przez umieszczenie w ich łonie niemowląt ulepionych z błota, przechodzi obok i widzi to miejsce, zabiera duszę i chowa ją w jednej ze swych kryjówek, mieszczących się w drzewie albo w dziurze w kamieniu, albo w lagunie, i tam dusza pozostaje przez całe lata. Wreszcie przyjdzie czas, gdy Andżea włoży z powrotem duszę w niemowlę i wtedy narodzi się ono ponownie na świat. Na Ponape, jednej z Wysp Karolińskich, pępowinę umieszcza się w muszli, którą chowa się w sposób najbardziej odpowiadający drodze, jaką rodzice obrali dla dziecka. Jeśli na przykład chcą, by umiało dobrze się wspinać, wówczas umieszczają muszlę z pępowiną na drzewie.

Plemię Baganda wierzy, że każdy człowiek rodzi się z sobowtórem, a sobowtóra tego identyfikują z łożyskiem, które uważają za drugie dziecko. Matka zakopuje łożysko przy korzeniach banana amerykańskiego, który odtąd, do czasu gdy owoce dojrzeją, staje się świętym drzewem, po czym owoce zrywa się i podaje podczas uroczystej uczyty rodzinnej. Czirokezi zakopują pępowinę dziewczynki pod moździerzem, w którym tłucze się kukurydzę, dzięki czemu będzie umiała dobrze piec, natomiast pępowina chłopca zawieszona jest na drzewie w lesie po to, by został dobrym myśliwym. Inkowie z Peru przechowywali pieczołowicie pępowinę i dawali ją dziecku ssać, gdy chorowało. W starożytnym Meksyku pępowinę chłopca oddawano żołnierzom, by pochowali ją na polu bitwy, dzięki czemu chłopak nabywał zamiłowania do wojaczki. Natomiast pępowinę dziewczynki zakopywano przy ognisku domowym, ponieważ wierzono, że w ten sposób wyrośnie na dobrą gospodynię, która będzie lubiła piec i gotować.

Nawet w Europie wielu ludzi nadal jeszcze wierzy, że los człowieka jest w większym lub mniejszym stopniu związany z pępowiną względnie łożyskiem. Tak więc w Bawarii nadreńskiej pępowina jest przez pewien czas przechowywana w lnianej szmatce, po czym, w zależności od płci dziecka, zostaje albo pocięta, albo pokłuta, by dziecko w przyszłości było dobrym robotnikiem albo dobrą krawcową. W

Berlinie akuszerka oddaje zazwyczaj wysuszoną pępowinę ojcu nakazując mu surowo, by przechowywał ją troskliwie, bo od tego zależy życie i zdrowie dziecka. W Beauce i Perche ludzie uważają, by nie wrzucić pępowiny do ognia ani do wody w przekonaniu, że gdyby tak się stało, dziecko albo się utopi, albo spali.

Ciekawe zastosowanie teorii magii przenośnej znajdujemy w powszechnym wierzeniu, że istnieje związek między człowiekiem zranionym a tym, który ranę zadał, wobec czego wszystko, co robi ów sprawca, względnie co się dzieje z przedmiotem, który ranę zadał, w odpowiedni sposób wpłynie dobrze lub źle na rannego. Pliniusz opowiada, że gdy się zraniło człowieka i żałuje się swego uczynku, wystarczy splunąć na rękę, która ranę zadała, a ranny natychmiast dozna ulgi. W Melanezji, gdy przyjaciele rannego znajdą strzałę, która go zraniła, przechowują ją w miejscu wilgotnym albo między chłodnymi liśćmi, ponieważ w ten sposób stan zapalny będzie ustępował i wkrótce zniknie zupełnie. W tym samym czasie nieprzyjaciel, który strzałę wyrzucił, stara się wszelkimi sposobami pogorszyć stan rany. Wraz z swoimi przyjaciółmi pije gorące, ostre soki i żuje liście wywołujące podrażnienie, co niewątpliwie wywoła zapalenie i podrażni ranę. Trzymają oni również łuk w pobliżu ognia, by w ten sposób rana, którą łuk zadał, była gorąca i w tym samym też celu, jeśli uda im się odnaleźć główicę strzały, wrzucają ją do ognia. Łuk pozostaje przez cały czas napięty i od czasu do czasu ktoś szarpie cięciwę, co z kolei drażni rannego i wywołuje ataki tęcza. "Stale słyszy się zapewnienia - mówi Bacon - że namaszczenie broni, która ranę zadała, uleczy samą ranę. Czyniąc to, zgodnie z relacjami ludzi wiarygodnych (choć sam nie jestem jeszcze w pełni skłonny w to wierzyć) należy zapamiętać następujące punkty: po pierwsze, by maść służąca do namaszczenia sporządzona była z rozmaitych składników, z których najdziwniejszymi i najtrudniej osiąganymi są mech rosnący na czaszce człowieka zmarłego i nie pochowanego oraz sadło dzika i niedźwiedzia zabitych w chwili rozmnażania się. Cenna ta maść złożona z powyższych i innych ingrediencji stosowana była, jak tłumaczy filozof, nie do rany, lecz do narzędzia, które ją zadało, nawet jeśli człowiek raniony znajdował się daleko i o zabiegu nie wiedział. Wypróbowano również, jak mówi, ścieranie maści z broni bez wiedzy osoby zranionej, a wynikiem były natychmiastowe straszliwe bóle, nie ustające, dopóki broń nie została ponownie namaszczona. Co więcej, "stwierdzono, że jeśli z braku owej broni włożycie do rany narzędzie drewniane lub żelazne, przypominające ową broń, tak żeby rana zaczęła krwawić, namaszczenie tego narzędzia również posłuży temu skutkowi". Zabiegi lecznicze tego rodzaju, które Bacon uważał za godne uwagi, nadal jeszcze są modne we wschodnich hrabstwach Anglii. Tak na przykład w Suffolk, jeśli człowiek zrani się sierpem albo kosą, pilnuje potem, by narzędzie utrzymane było w czystości, i oliwi je zapobiegając w ten sposób jątrzeniu się rany. Jeśli wbije sobie w rękę cierń, czy, jak to w tych stronach mówią, krzak, smaruje ten cierń po wyjęciu z ręki oliwą albo maścią. Do pewnego lekarza przyszedł człowiek, który wbił sobie cierń podczas strzyżenia żywopłotu. Gdy mu powiedziano, że rana jątrzy się, był zdziwiony: "A nie powinna, bo przecież natłuściłem krzak, gdy go wyciągnąłem." Parobcy w hrabstwie Cambridge uważają, że jeśli koń wbił sobie gwóźdź w kopyto, trzeba gwóźdź posmarować

sadłem albo olejem i schować go w jakimś pewnym miejscu, dopóki koń nie wyzdrowieje. Kilka lat temu wezwano weterynarza do konia, który zranił sobie bok o zawiasy w bramie. Po przybyciu na miejsce stwierdził, że nikt nie zajął się rannym koniem, natomiast chłop trudził się nad wyrwaniem zawiasów z bramy, bo chciał je natrzeć tłuszczem i schować, co, zdaniem mędrców z Cambridge, miało uleczyć zwierzę. Chłopi z Essex uważają, że jeśli człowiek, któremu zadano ranę nożem, ma powrócić do zdrowia, należy nasmarować tłuszczem nóż, którym rana została zadana, i położyć go w poprzek łóżka, w którym leży ranny. W Bawarii dla odmiany należy przewiązać natłuszczoną szmatką siekierę, którą się człowiek zranił, uważając przez cały czas, by była zwrócona ostrzem do góry. W miarę jak tłuszcz będzie wysychał, zaleczy się również rana. Podobnie w górach Harcu twierdzą, że przy zacięciu się trzeba nóż względnie nożyce nasmarować tłuszczem i odłożyć narzędzie w suche miejsce zaklinając je w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. W miarę jak nóż będzie wysychał, zaleczy się rana. Inni ludzie w Niemczech twierdzą natomiast, że powinno się wetknąć nóż w ziemię w jakimś wilgotnym miejscu i że rana zaleczy się, w miarę jak nóż będzie się pokrywał rdzą. Inni znowuż w Bawarii zalecają nasmarowanie siekiery czy innego narzędzia krwią i ukrycie go pod okapem. Związek sympatyczny istniejący rzekomo między człowiekiem a bronią zadającą ranę wynika prawdopodobnie z przekonania, że krew na broni czuje nadal wraz z krwią w człowieku. Z podobnego powodu Papuasi na Tumleo, wyspie leżącej w pobliżu Nowej Gwinei, pilnują, by zakrwawione bandaże, którymi ich rany były opatrzone, zostały wrzucone do morza, ponieważ obawiają się, by nie wpadły w ręce nieprzyjaciela, ów bowiem, posiadając je, może magicznie wyrządzić rannym krzywdę. Pewnego razu do misjonarzy zgłosił się człowiek z krwawiącą raną w ustach, a jego żona pieczołowicie zbierała całą krew, by wrzucić ją do morza. Koncepcja ta może nam wydawać się bardzo sztuczna i nienaturalna, ale jest nią, być może, w mniejszym stopniu aniżeli przekonanie o istnieniu magicznego powinowactwa między człowiekiem a jego odzieżą, tak że cokolwiek zrobi się z odzieżą, odbije się na jej właścicielu, jeśli nawet w tym czasie znajduje się daleko. W plemieniu Wotjobaluk w Wiktorii czarownik zdobywał czasem koc z oposów należący do jakiegoś człowieka, po czym smażył ten koc na wolnym ogniu wywołując w ten sposób chorobę właściciela. Gdy czarownik zgodzi się odczynić czary, zwraca wówczas koc przyjacielom chorego i nakazuje włożyć go do wody, "by zmyć ogień". Po tym zabiegu chory poczuje odświeżający chłód i prawdopodobnie wyzdrowieje. Na Tana na Nowych Hebrydach człowiek, który ma do kogoś jakąś pretensję i pragnie jego śmierci, stara się zdobyć materiał, który zetknął się z jego potem. Gdy mu się to uda, wciera starannie w ten materiał liście i gałęzie pewnego drzewa, związa i związuje materiał, liście i gałęzie razem w długi zwitek w kształcie kiełbasy i pali go powoli w ogniu. W miarę jak zawiniątko się spala, ofiara zaczyna chorować, a gdy już całe się spopieli, umiera. W tej ostatniej jednak formie czarów związek magiczny istnieje, być może, nie tyle pomiędzy człowiekiem a materiałem, ile jego potem wydzielonym z ciała. Wydaje się jednak, że w innych wypadkach wystarczy sama odzież, by czarownik zdobył władzę nad swą ofiarą. Czarownica u Teokryta, topiąc w ogniu wizerunek woskowy swego niewiernego kochanka, by on topniał z miłości do niej, nie zapomniała o tym, by wrzucić do ognia

nitkę z jego szaty, którą pozostawił u niej w domu. W Prusach twierdzą, że gdy nie można złapać złodzieja, należy zdobyć jakiś kawałek jego odzieży zgubiony w ucieczce i wystarczy tłuc go porządnie, by złodziej zachorował. Wierzenie to jest głęboko zakorzenione. Przed osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu laty w okolicach Berend przyłapano mężczyznę, który próbował kraść miód i uciekł pozostawiając za sobą swój płaszcz. Gdy usłyszał, że rozwścieczony właściciel miodu maltretuje jego płaszcz, tak się przestraszył, że rozchorował się i umarł. Można również poddawać człowieka wpływom magicznym nie tylko za pośrednictwem odzieży i poszczególnych części jego ciała oderwanych od niego, lecz również za pomocą śladów, jakie zostawił na piasku lub ziemi. Zwłaszcza rozpowszechnione jest przekonanie, że przez uszkodzenie śladu stopy można uszkodzić samą stopę, która ślad pozostawiła. Tak więc tubylcy w południowo-wschodniej Australii wierzą, że człowiek okuleje, jeśli położy na śladzie jego stopy ostry kawałek kwarcu, szkła, kości lub węgla. Bóle reumatyczne często są przez nich przypisywane podobnym przyczynom. Gdy Howitt²⁹ zapytał napotkanego Tatungolunga, silnie kulejącego, co mu się stało, usłyszał w odpowiedzi, że "ktoś wbił mu butelkę w nogę". Cierpiał na bóle reumatyczne, ale był przekonany, że to jakiś nieprzyjaciel odszukał jego ślady i zakopał w tym miejscu stłuczoną butelkę, której magiczny wpływ przeniósł się na jego nogę.

Podobne praktyki rozpowszechnione są w rozmaitych częściach Europy. W Meklemburgii uważa się, że wystarczy wbić gwóźdź w ślad stopy, by człowiek okulał, niekiedy wymagany jest do tego celu gwóźdź z trumny. Do podobnego sposobu wyrządzania krzywdy wrogowi uciekają się mieszkańcy niektórych okolic Francji. Opowiadają też, że w Stów w Suffolk żyła pewna czarownica. Jeśli ktoś idąc za nią wbijał nóż w ślad jej stopy, niewiasta nie mogła ruszyć się z miejsca, dopóki nie wyciągnięto noża. U południowych Słowian dziewczyna wykopywała zazwyczaj ziemię, na której odcisnięty był ślad stopy mężczyzny kochanego przez nią, i umieszczała ją w doniczce, po czym sadziła w niej nagietek, kwiat rzekomo nigdy nie więdnący. Tak jak złote kwiecie rośnie, kwitnie i nigdy nie więdnie, tak też będzie wzrastała i kwitła miłość jej kochanka i nigdy, nigdy nie zwiędnie. Tak oto czary miłosne działają na mężczyznę poprzez ziemię, na którą stąpnął. U Duńczyków stary sposób zawierania układów oparty był na tej samej idei magicznego powinowactwa między człowiekiem a odciskiem jego stopy. Strony układające się wzajemnie zraszały swą krwią odciski stóp zobowiązując się w ten sposób do wierności. W starożytnej Grecji rozpowszechnione były tego rodzaju przesady, uważano bowiem, że koń, który nastąpi na trop wilka, zdrętwieje, jedna zaś z maksym przypisywanych Pitagorasowi zabrania ludziom przebijać ślad stopy nożem lub gwoździem.

Na tym kończymy rozpatrywanie ogólnych zasad magii sympatycznej. Przykłady, którymi się posłużyłem, zostały przeważnie zaczerpnięte z tego, co można by nazwać magią prywatną, to znaczy z praktyk magicznych i zaklęć stosowanych dla dobra człowieka względnie dla wyrządzenia mu krzywdy. Ale w pierwotnym społeczeństwie spotykamy się ponadto powszechnie ze zjawiskiem, które możemy

²⁹ Alfred William Howitt (1830-1908) - angielski antropolog, podróżnik i odkrywca. Podróżował i prowadził badania

nazwać magią publiczną, to znaczy z czarami stosowanymi dla pożytku całej społeczności. W każdym wypadku, gdy tego rodzaju praktyki mają na celu wspólne dobro, jest rzeczą oczywistą, że czarownik przestaje praktykować prywatnie i staje się w pewnej mierze funkcjonariuszem publicznym. Rozwój tej klasy funkcjonariuszy odegrał poważną rolę zarówno w politycznej, jak i religijnej ewolucji społeczeństwa. Gdy panuje przekonanie, że dobrobyt plemienia zależy od tych magicznych obrządków, czarownik uzyskuje stanowisko bardzo wpływowe i szanowane i może łatwo zdobyć autorytet i władzę wodza lub króla. Nic więc dziwnego, że zawód ten przyciąga najzdolniejszych i najbardziej ambitnych członków plemienia, ponieważ kryją się w nim perspektywy zaszczytów, majątku i władzy, jakich żadna inna kariera dać nie może. Bystrzejsze umysły rozumieją, jak łatwo można oszukać swych słabszych braci i wygrywać ich przesady dla własnych korzyści. Nie oznacza to bynajmniej, że czarownik zawsze jest łotrem i oszustem, częstokroć jest szczerze przekonany, że posiada te cudowne siły, które przypisuje mu łatwowierność jego bliźnich. Ale im jest bystrzejszy, tym łatwiej rozeznaje się w fałszywości wierzeń, które narzucają się bardziej tępym umysłom, tak więc najzdolniejsi spośród uprawiających ten zawód muszą być w mniejszym lub większym stopniu świadomymi oszustami, i właśnie ci ludzie dzięki swym zdolnościom zazwyczaj robią kariery i dochodzą do najwyższych stanowisk, otoczonych największym szacunkiem i dających największą władzę. Wiele niebezpieczeństw czyha na zawodowego czarownika i tylko obdarzeni najbardziej zimną krwią i największym sprytem potrafią ich uniknąć. Należy bowiem pamiętać, że wszystkie bez wyjątku uroszczenia czarownika są fałszywe. Żadne z nich nie da się utrzymać bez oszustwa, świadomego czy nieświadomego. Tak więc czarownik szczerze wierzący w swoje możliwości jest narażony na znacznie większe niebezpieczeństwa i łatwiej może się potknąć w swej karierze aniżeli świadomy oszust. Uczciwy czarownik zawsze wierzy, że jego czary i zaklęcia dadzą oczekiwany skutek, a gdy zawodzą, nie tylko faktycznie, jak to się zawsze dzieje, ale w sposób oczywisty i katastrofalny, co się zdarza często, wówczas jest zaskoczony. Nie ma w pogotowiu, jak jego nieuczciwy kolega, prawdopodobnego tłumaczenia wyjaśniającego jego niepowodzenie i zanim zdąży powód taki wynaleźć, może dostać po łbie od swoich zawiedzionych i wściekłych pracodawców. Rezultat jest taki, że na tym szczeblu rozwoju społecznego władza najwyższa wpada zazwyczaj w ręce ludzi obdarzonych największą inteligencją, ale pozbawionych jakichkolwiek skrupułów. Gdybyśmy mogli zestawić szkody wyrządzone przez ich nieuczciwość z pożytkiem, jaki przynosi ich niezwykły spryt, stwierdzilibyśmy prawdopodobnie, że więcej znacznie czynią dobrego aniżeli złego. Jest bowiem rzeczą wielce prawdopodobną, że więcej szkody wyrządzili światu uczciwi głupcy na wysokich stanowiskach aniżeli inteligentne kanalie. Gdy bowiem bystry łotr osiągnie szczyt swych marzeń i żadnych już osobistych ambicji przed sobą nie ma, wówczas może, i zazwyczaj tak właśnie postępuje, zdolności swe, talenty i doświadczenie poświęcić społeczeństwu. Wielu ludzi, którzy władzę zdobyli w sposób jak najmniej rzetelny, bez względu na to,

czy władza, której pragnęli i którą osiągnęli, polegała na majątku, stanowisku politycznym czy też czymkolwiek innym, po osiągnięciu swego celu potrafili ją wykorzystać w sposób jak najbardziej pożyteczny. W polityce zdarza się, że chytry intrygant czy okrutny, bezwzględny zwycięzca kończy jako mądry i szlachetny władca błogosławiony za życia, opłakiwany po śmierci, podziwiany i chwalony przez potomność. Najbardziej jaskrawymi przykładami niechaj tu będą Juliusz Cezar i August. Ale głupiec zawsze głupcem pozostanie i im większą władzę posiadzie, tym bardziej katastrofalna może się ona okazać w jego rękach. Gdyby Jerzy III nie był uczciwym durniem, mogłoby nigdy nie dojść do największej katastrofy w historii Anglii - do zerwania z Ameryką.

Oficjalne uprawianie magii wpływało na ustrój społeczeństwa dzikiego sprzyjając przekazaniu władzy w ręce ludzi najzdolniejszych. Przesuwało to punkt ciężkości władzy z wielu na jednego, zastępowało demokrację, a raczej oligarchię starców monarchią, albowiem społeczność dzikich jest w zasadzie rządzona nie przez wszystkich dorosłych mężczyzn, lecz przez radę starszych. Zmiana ta, niezależnie od przyczyn, które ją wywołują, i od charakteru pierwotnych władców, była w zasadzie bardzo korzystna. Albowiem powstanie monarchii było, jak się zdaje, koniecznym warunkiem wyjścia ludzkości ze stadium barbarzyństwa. Żadna istota ludzka nie jest bardziej spętana zwyczajami i tradycją aniżeli demokratyczny dziki, a w związku z tym w żadnym innym stadium rozwoju społeczeństwa postęp nie jest tak powolny i trudny. Dawne wyobrażenie o dzikim jako o najbardziej wolnym człowieku jest przeciwieństwem prawdy. Jest on niewolnikiem, bynajmniej nie widzialnego pana, lecz przeszłości, duchów swych zmarłych przodków, które nawiedzają go od urodzenia do śmierci i rządzą nim żelazną dłońią. Ich postępowanie jest obowiązującym wzorem, nie pisanym prawem, któremu należy się pod porządkować ze ślepym posłuszeństwem. Dla ludzi bardziej uzdolnionych, pragnących zmiany na lepsze stanowi to maksymalne ograniczenie ich możliwości. Najbardziej utalentowanych spychają najslabsi i najtępsi, którzy oczywiście w takiej sytuacji są wzorami, nie mogą bowiem wznieść się wyżej, podczas gdy tamci mogą upaść.

Spółeczeństwo takie ukazuje na zewnątrz jednolicie martwe oblicze i fałszywe pozory równości, wynikające z zredukowania, tak dalece jak tylko na to pozwala natura ludzka, niezmiernych rzeczywistych różnic między wrodzonymi zdolnościami i temperamentami. Wszystko, co pomaga wyprowadzić ludzkość z tego podłego i biernego stanu, który demagogowie i marzyciele późniejszych epok zachwalali jako idealne państwo i Złoty Wiek, wszystko, co pomaga otworzyć drogę zdolnościom i ułatwia podział władzy według naturalnych zdolności człowieka, powinno być powitane życzliwie przez tych, którym dobro bliźnich naprawdę leży na sercu. Z chwilą gdy siły postępu zaczęły działać - a nigdy nie można ich stłumić na zawsze - cywilizacja zaczęła się stosunkowo szybko rozwijać. Wyniesienie jednego człowieka na najwyższe stanowisko pozwala w życiu jednego pokolenia przeprowadzić zmiany, których dawniej nie można by dokonać przez wiele pokoleń, a gdy, jak to się często zdarza, jednostka ta jest ponadto człowiekiem o niepospolitym umyśle i energii, skorzysta ona chętnie z okazji. Nawet kaprysy tyrańcy mogą być pomocne w zerwaniu kajdanów obyczaju, tak straszliwie ciężących

dzikiem. Plemię, które przestaje kierować się chwiejnymi i podzielonymi radami starszyny i poddaje się kierownictwu jednego silnego i zdecydowanego umysłu, staje się groźne dla swych sąsiadów i wkracza na drogę wielkości, która na wczesnym etapie rozwoju historycznego sprzyja często postępowi społecznemu, przemysłowemu i intelektualnemu. Rozszerzając bowiem swe panowanie częściowo siłą oręża, częściowo zaś dzięki dobrowolnemu podporządkowaniu się słabszych szczepów społeczność wkrótce zdobywa bogactwa i niewolników, co zwalnia pewne klasy od surowej walki o byt i daje im możliwość poświęcenia się bezinteresownemu zdobywaniu wiedzy, będącej najszlachetniejszym i najpotężniejszym narzędziem poprawy losu człowieka.

Postęp intelektualny, przejawiający się w rozwoju sztuki i nauki i rozpowszechnieniu bardziej liberalnych poglądów, nie da się oddzielić od postępu gospodarczego i przemysłowego, a dla tego postępu potężnym bodźcem jest podbój i władza imperialna. Nie jest przypadkiem, że najbardziej gwałtowne wybuchy ożywienia umysłu ludzkiego postępowały w ślad za zwycięstwami i że najwięcej dla postępu i rozprzestrzenienia cywilizacji uczyniły wielkie rasy, podbijające świat, lecząc w czasie pokoju rany zadane podczas wojny. Dowodzi tego w przeszłości przykład Babilończyków, Greków, Rzymian, Arabów. Być może, będziemy jeszcze świadkami tego rodzaju wybuchu w Japonii. Nie jest też przypadkiem, by cofnąć się do źródeł historii, że pierwsze wielkie kroki w kierunku cywilizacji dokonane zostały pod rządami despotycznymi i teokratycznymi, takimi, jakie istniały w Egipcie, Babilonie i Peru, gdzie władca żądał niewolniczego posłuszeństwa od swych poddanych w podwójnym charakterze króla i boga. Nie będzie żadnej przesady w stwierdzeniu, że w tych dawnych czasach despotyzm był największym przyjacielem ludzkości i - chociaż brzmi to paradoksalnie - wolności. W końcu bowiem więcej jest swobody w najlepszym znaczeniu tego słowa - swobody myślenia po swojemu i kształtowania swego losu - pod rządami absolutnego despotyzmu i najbardziej dławiącej tyranii aniżeli w pozornej wolności życia dzikiego, gdzie los jednostki od kolebki do grobu kształtują żelazne formy dziedzicznego zwyczaju.

Tak więc społeczna wiara w magię, będąc jedną z dróg wiodących najzdolniejszych ludzi ku władzy najwyższej, przyczyniła się do wyzwolenia ludzkości z kajdanów tradycji i stworzenia życia bardziej wolnego, swobodniejszego, o szerszych horyzontach. Niemała to zasługa. A jeśli ponadto weźmiemy pod uwagę, że w innym kierunku magia torowała drogę nauce, zmuszeni będziemy przyznać, że jeśli nawet czarna magia wyrządziła wiele szkód, to była również i źródłem dobra. I jeśli nawet była dzieckiem błędu, to przecież stała się matką wolności i prawdy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

MAGIA I RELIGIA

Przykłady zebrane w ostatnim rozdziale powinny wystarczyć do zilustrowania ogólnych zasad magii sympatycznej obu gałęzi, które nazwaliśmy homeopatyczną i przenośną. W niektórych przytoczonych wypadkach widzieliśmy, że tubylcy wierzą w działanie duchów i czynią próby pozyskania ich przychylności za pomocą modlitw i ofiar. Ale są to wypadki wyjątkowe, występujące wtedy, gdy magia zmieszana jest z religią. Gdy magia sympatyczna występuje w formie nieskażonej, wówczas zakłada, że w przyrodzie następstwo jest nieuniknione i niezmiennie i obywa się bez wpływu jakiegokolwiek czynnika duchowego czy osobistego: Tak więc podstawowa koncepcja jest identyczna w magii i współczesnej nauce, u jej podstaw leży wiara *implicite*, ale realna i stanowcza, w ład i jednolitość przyrody. Czarownik nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że te same przyczyny spowodują zawsze te same skutki i że odpowiednim praktykom, którym towarzyszyć będą właściwe zaklęcia, muszą towarzyszyć upragnione wyniki, chyba że zaklęcia będą udaremnione i zniweczone przez potężniejsze czary innego czarownika. Nie błaga on żadnej siły wyższej, nie zabiega o względy kapryśnej i nieobliczalnej istoty, nie korzy się przed żadnym straszliwym bóstwem. A jednak jego władza, mimo iż wielka w jego przekonaniu, bynajmniej nie jest absolutna i nieograniczona. Może ją sprawować jedynie wtedy, gdy przestrzega ściśle prawideł sztuki względnie tego, co można by nazwać prawami przyrody w jego rozumieniu. Nieposzanowanie tych przepisów, złamanie tych praw nawet w najmniejszym szczególe jest narażaniem się na niepowodzenie i człowiekowi niewprawnemu może grozić największymi niebezpieczeństwami. Gdy czarownik twierdzi, że ma władzę nad naturą, wówczas jest to władza ściśle ograniczona w swych możliwościach i sprawowana bez najmniejszych odchyłeń od starożytnego obyczaju. Tak więc analogia między magiczną a naukową koncepcją świata jest bliska. W obu zakłada się absolutnie regularne i nieuniknione następstwo wydarzeń, określone przez niezmiennie prawa, których działanie można przewidzieć i obliczyć dokładnie. Nie ma w przyrodzie miejsca na element kaprysu, przypadku czy niespodzianki. Oba te poglądy otwierają pozornie nieograniczone możliwości przed tymi, którzy znają przyczyny rzeczy i potrafią dotrzeć do tajnych sprężyn, wprawiających w ruch olbrzymi i skomplikowany mechanizm świata. Oto dlaczego magia i nauka w równej mierze pociągają umysł ludzki, oto dlaczego obie były potężnymi bodźcami do rozwoju wiedzy. Pociągają znużonego wędrowca, prowadzą błądzącego o zranionych stopach przez puszcę rozczarowań teraźniejszością, kusząc wizją wspaniałych perspektyw w przyszłości. Wprowadzają go na szczyt niezwykle wysokiej góry i pokazują mu pod ciemnymi chmurami i mgłami przepływającymi pod jego stopami wizję miasta niebiańskiego, dalekiego, być może, lecz jaśniejącego niezmierną wspaniałością, skąpanego w świetle snów.

Zgubnym błędem magii nie jest ogólna jej zasada o prawie rządzącym kolejnością wydarzeń, lecz zupełnie fałszywa interpretacja istoty poszczególnych praw rządzących tym następstwem. Gdy

analizujemy poszczególne przypadki magii sympatycznej przedstawione na poprzednich stronicach, które możemy uważać za uczciwie wybrane próbki całości, stwierdzimy, jak to już zaznaczyłem, że wszystkie one są błędnym zastosowaniem jednego z dwóch wielkich podstawowych praw myślenia, a mianowicie powiązania idei na mocy ich podobieństwa i powiązania idei ze względu na ich współwystępowanie obok siebie w czasie lub przestrzeni. Błędne powiązanie idei podobnych prowadzi do magii homeopatycznej lub naśladowczej, błędne powiązanie idei współwystępujących obok siebie prowadzi do magii przenośnej. Zasady kojarzenia są doskonałe same w sobie i, co więcej, absolutnie konieczne dla funkcjonowania myśli ludzkiej. Zastosowane w sposób właściwy, rodzą naukę, zastosowane niewłaściwie, rodzą magię, bękarcią siostrę nauki. Jest wobec tego czystym truizmem, niemal tautologią, stwierdzenie, że wszelka magia jest z konieczności fałszywa lub jałowa, gdyby bowiem miała kiedykolwiek okazać się prawdziwa i płodna, wówczas przestałaby być magią, a stałaby się nauką. Od najdawniejszych czasów człowiek zajmował się poszukiwaniem praw ogólnych, które pozwoliłyby mu pokierować porządkiem zjawisk naturalnych ku jego korzyści, a w tym długim poszukiwaniu nagromadził wielki zasób maksym, częściowo bezcennych, częściowo bzdurnych. Prawdziwe czy złote zasady stanowią wiedzę stosowaną; tę nazwę dajemy wszelkim umiejętnościom, z fałszywych składa się magia.

Skoro więc magia jest tak blisko spokrewniona z nauką, powinniśmy z kolei zbadać, w jakim stosunku pozostaje do religii. Jednak pogląd na ten stosunek będzie z natury rzeczy zabarwiony naszą osobistą koncepcją istoty religii, usprawiedliwione wobec tego jest żądanie, by pisarz przed przystąpieniem do badania stosunku magii do religii przedstawił swą koncepcję religii. Żadna prawdopodobnie sprawa na świecie nie jest źródłem poglądów tak odmiennych jak sprawa istoty religii i niewątpliwie nie jest rzeczą możliwą ustalenie definicji, która zadowoliliby wszystkich. Autor może jedynie powiedzieć jasno, co rozumie przez religią, po czym konsekwentnie w tym znaczeniu używać słowa tego w całej swej pracy. Przez religię rozumiem więc zjednywanie sobie czy zyskiwanie przychylności sił wyższych od człowieka, które zgodnie z wierzeniem kierują biegiem przyrody i życia ludzkiego. Zdefiniowana w ten sposób religia składa się z dwóch elementów: teoretycznego i praktycznego, a mianowicie, z wiary w siły wyższe od człowieka i z próby przebłagania ich czy zadowolenia. Z tych dwóch elementów nadrzędnym jest niewątpliwie wiara, jako że musimy wierzyć w istnienie istoty boskiej, zanim spróbujemy ją przebłagać czy zadowolić. Wiara jednak po to, by być religią, musi prowadzić do odpowiednich praktyk, w innym bowiem wypadku nie jest religią, lecz tylko teologią. Mówiąc słowami św. Jakuba: "Wiara, jeśli by nie miała uczynków, martwa jest sama w sobie." Czyli tylko taki człowiek jest religijny, który swe postępowanie w pewnej przynajmniej mierze reguluje bojaźnią czy miłością Boga. A równocześnie sama praktyka pozbawiona wiary religijnej również nie jest religią. Dwie osoby mogą postępować w taki sam sposób, a przy tym jedna z nich może być religijna, a druga nie. Jeśli jedna z nich kieruje się miłością do Boga lub strachem przed Nim, wówczas jest religijna, jeśli druga powoduje się miłością do człowieka lub strachem przed nim, wówczas jest moralna

względnie niemoralna, zależnie od tego, czy jej zachowanie zgodne jest czy też sprzeczne z dobrem ogółu. Dlatego wierzenie i praktyka czy też w języku teologicznym wiara i uczynki są równie ważne dla religii, która bez nich nie może istnieć. Nie jest jednak rzeczą niezbędną, by praktyka religijna zawsze przyjmowała formę rytuału, to znaczy, nie musi ona polegać na składaniu ofiar, odmawianiu modlitw i innych widocznych ceremoniach. Jej celem jest zadowolenie bóstwa i jeśli ono upodobało sobie miłosierdzie, dobre uczynki i czystość bardziej aniżeli oblacje z krwi, śpiewanie nabożnych pieśni i dymy kadzidła, wówczas czciciele jego więcej mu przyjemności sprawią czystością, dobrymi uczynkami i miłosierdziem wobec ludzi aniżeli padając przed nim plackiem na twarz, wyśpiewując jego chwałę i wypełniając jego świątynie kosztownymi darami, albowiem w ten sposób w miarę możliwości ułomnej istoty ludzkiej będą naśladowali doskonałość boskiej natury. Tę właśnie etyczną stronę religii nieustannie wpajali hebrajscy prorocy, natchnieni szlachetnym ideałem boskiej dobroci i świętości. Mówi Micheasz: "Pokażę tobie, człowiecze, co jest dobro i czego Pan chce po tobie: zaiste, żebyś czynił sąd, a miłował miłosierdzie, a z pilnością chodził z Bogiem twoim." [Proroctwo Micheaszowe, VI, 8] A w późniejszych czasach siła, dzięki której chrześcijaństwo podbiło świat, w znacznej mierze wywodziła się z tej samej wzniosłej koncepcji moralnej istoty Boga i obowiązków spoczywających na ludziach, którzy powinni się do niej dostosować. "Czystą i nieskalaną pobożnością wobec Boga i Ojca jest nawiedzanie sierot i wdów w utrapieniach ich i strzeżenie samego siebie od zmayı tego świata." [List powszechny błogosławionego Jakuba Apostoła, I, 27]

Gdy jednak religia obejmuje, po pierwsze, wiarę w nadludzkie istoty rządzące światem, a po drugie, usiłowanie pozyskania ich względów, zakłada ona wówczas, rzecz jasna, że natura w swym biegu jest w pewnej mierze giętka i może być zmieniona oraz że możemy przekonać potężne istoty nią rządzące, aby zmieniły tok wydarzeń w kierunku nam sprzyjającym. Tego rodzaju przeświadczenie o giętkości względnie zmienności przyrody jest sprzeczne z zasadami zarówno magii, jak i nauki, obie bowiem zakładają, że procesy natury są sztywne i niezmiennie w swym działaniu i że biegu ich nie mogą zmienić prośby i błagania, pogróżki i groźby. Różnica między tymi dwoma sprzecznymi poglądami na wszechświat sprowadza się do odpowiedzi na zasadnicze pytanie: Czy siły, które rządzą światem, są świadome i uosobione, czy też mają charakter nieświadomy i nieosobowy?

Religia jako zjednywanie sobie sił nadludzkich przyjmuje pierwszy człon alternatywy, wszelkie bowiem zjednywanie zakłada, że istota, której przychylności chce się zdobyć, jest czymś świadomym i osobowym, że jej zachowanie jest w jakiejś mierze niepewne i że można na nie wpłynąć w pożądanym kierunku przez właściwe odwołanie się do jej interesów, apetytów czy uczuć. Nigdy nie usiłuje się przebłagać rzeczy, które uważa się za nie ożywione, względnie osób, o których wie się, że ich zachowanie w danych okolicznościach jest określone z absolutną pewnością. Tak więc religia, przyjmując, że świat kierowany jest przez siły świadome, których zamiary mogą być zmienione siłą perswazji, jest fundamentalnie wroga zarówno magii, jak i nauce, obie bowiem uważają za rzecz pewną, że biegu natury nie określają namiętności lub kaprysy istot posiadających osobowość, ale działanie

niezmiennych praw funkcjonujących mechanicznie. W magii założenie to jest jedynie przyjęte *implicite*, ale w nauce jest sformułowane *explicite*. To prawda, że magia ma często do czynienia z duchami, które są siłami osobowymi tego rodzaju, jakie zakłada religia, ale gdy czyni to we właściwej formie, postępuje z nimi zawsze podobnie jak z siłami nie ożywionymi, to znaczy, ogranicza je i przymusza, miast starać się pozyskać ich względy lub przebłagać je, jak to robi religia. Przyjmuje w ten sposób, że wszystkie istoty zarówno ludzkie, jak i boskie podlegają tym nieosobowym siłom, które panują nad wszystkim, ale które przecież może podporządkować sobie ktoś, kto umie się z nimi obchodzić, za pomocą właściwych praktyk i zaklęć. Tak na przykład w starożytnym Egipcie czarownicy twierdzili, że potrafią nawet najwyższe bóstwa zmusić do posłuszeństwa, i faktycznie grozili im w razie nieposłuszeństwa zniszczeniem. Czasami, nie posuwając się tak daleko, czarownik wygrażał Ozyrysowi, że jeśli będzie krnąbrny, rozsypie jego kości albo ujawni jego święte legendy. Podobnie dziś jeszcze w Indiach nawet wielka hinduska trójca, Brahma, Wisznu i Sziwa, posłuszna jest czarownikom, którzy dzięki swym zaklęciom tak wielką władzę mają nad tymi najpotężniejszymi bóstwami, że muszą one pokornie wykonywać na ziemi i na niebie wszystkie rozkazy, jakie im tylko czarownicy wydadzą. W całych Indiach powszechne jest powiedzenie: "Cały wszechświat podlega bogom. Bogowie zaklęciom (*mantras*). Zaklęcia braminom. Dlatego braminini są naszymi bogami."

Ten ostry konflikt między zasadami religii i magii w dostatecznej mierze tłumaczy nieubłaganą wrogość, z jaką często duchowny prześladował czarownika. Zarozumiała samowystarczalność czarownika, jego arogancka postawa wobec sił wyższych, bezwstydną proklamowanie swej władzy musiały oburzać kapłana, który w poczuciu strasliwego majestatu boskiego, w głębokiej pokorze przed nim widział w tego rodzaju uproszczeniach i zachowaniu jedynie bezbożne i świętokradcze uzurpowanie prerogatyw należących wyłącznie do Boga. Czasami podejrzewamy, że niższe motywy szlifowały ostrze wrogości duchownego. Uważał się za właściwego pośrednika, prawdziwego orędownika człowieka przed Bogiem i niewątpliwie nie tylko jego uczucia, ale i jego interesy cierpiały na skutek działalności rywala, przepowiadającego pewniejszą i gładszą drogę do szczęścia aniżeli śliskie ścieżki łaski boskiej.

A przecież ten antagonizm, tak dobrze nam znany, pojawił się stosunkowo późno w historii religii. Na wcześniejszym etapie funkcje czarownika i kapłana często się łączyły względnie, wyrażając się ściślej, nie były jeszcze odseparowane. By dotrzeć do swego celu, człowiek starał się pozyskać dobrą wolę bóstwa lub ducha modlitwami i ofiarami uciekając się równocześnie do praktyk i zaklęć, które, jak się spodziewał, przyniosą pożądany skutek bez pomocy boga czy diabła. Odprawiał rytuały religijne i magiczne równocześnie, niemal jednym tchnieniem odmawiał modlitwy i zaklęcia, nie zdając sobie sprawy względnie nie przejmując się zbytnio teoretycznym brakiem konsekwencji w swoim zachowaniu, jak długo takim czy innym sposobem udawało mu się osiągnąć upragniony cel. Z tego rodzaju pomieszaniem względnie połączeniem magii z religią spotkaliśmy się już w praktykach Melanezyjczyków i innych ludów.

Tego rodzaju pomieszanie religii z magią przetrwało u ludów, które wzniosły się na wyższy szczebel kultury. Można je było spotkać w Indiach starożytnych i starożytnym Egipcie i po dziś dzień bynajmniej nie wygasło wśród chłopstwa europejskiego.

Tak więc dowiadujemy się, że we współczesnej Francji "większość chłopów wierzy nadal, iż ksiądz posiada tajną i nieodpartą władzę nad żywiołami. Przez odmówienie pewnych modlitw jemu tylko znanych i które on tylko ma prawo odmawiać, za co jednak musi potem prosić o rozgrzeszenie, może w wypadkach grożącego niebezpieczeństwa powstrzymać lub odwrócić na chwilę działanie praw wieczystych świata fizycznego. Rozkazuje wiatrom, burzom, gradowi i deszczowi, które są mu posłuszne. Podlega mu również ogień i płomienie, pożary gasną na jego słowo." Chłopi francuscy byli, a być może są jeszcze nadal przekonani, że księża mogą odprawiać w ramach specjalnego rytuału mszę Ducha Świętego, tak skuteczną, że nigdy nie napotyka żadnego oporu ze strony woli boskiej. Bóg musi spełnić wszystko, czego się żąda od Niego w tej postaci, bez względu na to, jak natrętna czy niestosowna jest prośba. W umysłach ludzi, którzy w jakichś krytycznych sytuacjach próbowali tą niezwykłą drogą wziąć szturmem królestwo niebieskie, zastosowanie tego rytuału nie kojarzyło się z bezbożnością czy brakiem szacunku. Księża świeccy zazwyczaj nie zgadzają się na odprawianie mszy Ducha Świętego, ale zakonnicy, szczególnie kapucyni, uchodzą za tych, którzy z mniejszymi skrupułami ustępują błaganiom strapionych i będących w potrzebie. A oto inny przykład, w wielu wioskach prowansalskich nadal żywa jest wiara, że ksiądz władny jest zapobiegać burzy. Nie każdy ksiądz cieszy się taką sławą, a w niektórych wioskach, gdy następuje zmiana na stanowisku proboszcza, parafianie pragną przekonać się, czy nowa osoba piastująca urząd posiada tę władzę, zwaną przez nich *pouder*. Gdy tylko pojawią się pierwsze oznaki nadciągającej wielkiej burzy, sprawdzają jego umiejętności, zwracając się do niego, by egzorcyzmami przepędził groźne chmury, a gdy wyniki spełnią ich oczekiwania, nowy kapłan ma zapewnioną sympatię i szacunek swej owczarni. W niektórych parafiach, gdzie wikary pod tym względem cieszył się większą sławą od swego proboszcza, stosunki między nimi stawały się do tego stopnia napięte, że biskup bywał zmuszony przenosić proboszcza na inne beneficjum. Chłopi gaskońscy wierzą, że źli ludzie, którzy pragną zemścić się na swoich wrogach, potrafią skłonić księdza do odprawienia mszy św. Sekariusza. Bardzo niewielu księży zna tę mszę, a trzy czwarte tych, którzy ją znają, nie odprawiają jej za żadne pieniądze ani dobre słowa. Tylko występni księża ośmielają się odprawić tę okropną ceremonię i możecie być przekonani, że surowo za to będą odpowiadali na sądzie ostatecznym. Żaden biskup, nawet arcybiskup z Auch nie może udzielić im rozgrzeszenia, uczynić to ma prawo jedynie papież w Rzymie. Msza św. Sekariusza może być odprawiona jedynie w kościele opuszczonym lub wałącym się, gdzie pohukują sowy, rozlegają się piski nietoperzy, Cyganie koczują w nocy, a ropuchy gnieźdzą się pod zbezczeszczonym ołtarzem. Tu zjawia się w nocy zły ksiądz ze swoją gamratką i za pierwszym uderzeniem zegara na godzinę jedenastą zaczyna mruczeć mszę na wspak kończąc dokładnie w chwili, gdy zegary zaczynają wydzwaniać północ. Jego kochanka służy mu do mszy, hostia jest czarna i ma trzy punkciki. Zły ksiądz

nie konsekruje wina, lecz miast tego pije wodę ze studni, do której wrzucono zwłoki nie ochrzczonego dziecka. Znak krzyża czyni na ziemi lewą nogą. I wiele jeszcze innych rzeczy robi, którym nie może się przypatrywać dobry chrześcijanin, gdyż oślepnie, ogłuchnie i oniemieje do końca życia. A człowiek, za którego msza ta zostaje odprawiona, powoli umiera i nikt nie wie, co mu jest, nawet lekarze nic na to nie mogą poradzić. Nie wiedzą bowiem, że przyczyną jego powolnej śmierci jest msza Św. Sekariusza.

Chociaż więc stwierdzamy, że magia łączyła się i stapiała z religią w wielu epokach i wielu krajach, istnieją podstawy do przypuszczenia, że fuzja ta nie była pierwotna i że istniał czas, gdy człowiek polegał wyłącznie na magii, pragnąc zaspokoić swe potrzeby wykraczające poza doraźne zwierzęce pragnienia. Przede wszystkim analiza elementarnych koncepcji magii i religii może nas skłonić do przyjęcia domysłu, że w historii ludzkości magia pojawiła się przed religią. Przekonaliśmy się, że magia jest niczym innym, jak błędnym zastosowaniem najprostszych i najbardziej elementarnych procesów myślowych, a mianowicie kojarzenia idei na podstawie ich podobieństwa czy zbieżności, a równocześnie stwierdziliśmy, że religia zakłada działanie sił świadomych względnie osobowych, ponadludzkich, ukrytych za widzialną zasłoną natury. Oczywiście, koncepcja czynników osobowych jest bardziej złożona aniżeli zwykłe rozpoznawanie podobieństwa lub zbieżności idei, a teoria zakładająca, że bieg natury określony jest przez czynniki świadome, jest bardziej zawiła i ciemna i zrozumienie jej wymaga znacznie wyższego szczebla inteligencji i refleksji aniżeli pogląd, że rzeczy następują po sobie po prostu na skutek podobieństwa. Nawet zwierzęta łączą idee o rzeczach podobnych lub takich, które znalazły obok siebie, i gdyby tego nie czyniły, nie przetrwałyby ani chwili. Ale czy znalazł się ktoś, kto przypisywałby zwierzętom wiarę w rzesze niewidzialnych zwierząt względnie jedno olbrzymie i wspaniale potężne zwierzę ukryte za kulisami, wywołujące zjawiska przyrody? Nie będzie to chyba bynajmniej z uszczerbkiem dla honoru zwierząt, jeśli założymy, że zaszczyt wynalezienia tej ostatniej teorii musi być zastrzeżony wyłącznie dla rozumu ludzkiego. Tak więc magia da się wydedukować bezpośrednio z elementarnych procesów rozumowania i jest w istocie błędem niemal spontanicznie popełnianym przez umysł, natomiast religia jest oparta na koncepcji, o której, trudno przypuścić, by świadomość zwierzęca mogła ją osiągnąć. Jest wobec tego rzeczą prawdopodobną, że magia powstała na wcześniejszym etapie ewolucji naszej rasy aniżeli religia i że człowiek próbował nagiąć przyrodę do swej woli wyłącznie za pomocą czarów i zaklęć, wcześniej zanim starał się udobruchać i ułagodzić skromne, kapryśne lub gniewne bóstwo modlitwami i ofiarami.

Wnioski, do których doszliśmy drogą dedukcji z analizy podstawowych koncepcji magii i religii, potwierdza indukcyjnie wynik obserwacji pierwotnych ludów australijskich, najbardziej prymitywnych dzikich, o jakich posiadamy dokładne wiadomości. Magia jest u nich stosowana powszechnie, religia natomiast w znaczeniu przebłagania sił wyższych jest niemal zupełnie nie znana. Upraszczając sprawę można powiedzieć, że w Australii wszyscy są czarownikami, ale nikt nie jest kapłanem. Każdy uważa, że może wpłynąć na losy bliźniego względnie na bieg natury za pomocą magii sympatycznej, ale nikt nie marzy o przebłagananiu bogów modlitwami i ofiarami.

Skoro więc na najbardziej zacofanych znanych nam stadiach rozwoju społeczeństwa obecność magii występuje tak wyraźnie, a nieobecność religii tak bardzo rzuca się w oczy, mamy prawo przypuszczać, że rasy cywilizowane świata również przeszły w swej historii taką fazę intelektualną, gdy usiłowały zmusić wielkie siły przyrody do posłuszeństwa, zanim pomyślały o pozyskaniu ich względów za pomocą ofiar i modlitwy. Zwięźlej: skoro w historii kultury materialnej wszędzie była epoka kamienna, to w historii kultury intelektualnej wszędzie powinna była wystąpić epoka magii. Mamy przesłanki do pozytywnej odpowiedzi na to pytanie. Dokonując przeglądu istniejących społeczeństw ludzkich od Grenlandii do Ziemi Ognistej czy od Szkocji do Singapuru stwierdzamy, że różni je od siebie wielka różnaitość religii i że podziały religijne nie są, że tak powiemy, zbieżne z globalnymi podziałami rasowymi, lecz sięgają głębiej, aż do małych części państw i wspólnot, co więcej, że przenikają do miast, wiosek, a nawet rodzin tak, że powierzchnia społeczeństwa na całym świecie jest popękana i porysowana, podmyta i podminowana szczelinami, bruzdami i ziejącymi przepaściami powstałymi na skutek rozkładającego wpływu sporów religijnych. A jednak gdy przebijemy się przez te różnice dotyczące głównie inteligentnej i myślącej części społeczności, znajdziemy pod nimi solidną warstwę intelektualnej zgody panującej między głupimi, słabymi, ignorantami, przesądnymi, którzy, niestety, tworzą olbrzymią większość ludzkości. Jednym z wielkich osiągnięć dziewiętnastego wieku było przebicie głębokich szybów do tych nisko leżących umysłowych złóż w wielu częściach świata, co pozwoliło na odkrycie zasadniczego powszechnie panującego podobieństwa. Złoża te leżą pod naszymi stopami, i to nie bardzo głęboko. Istnieją tu w Europie, w chwili obecnej, a wychodzą na powierzchnię w australijskiej głuszy i wszędzie tam, gdzie wyższa cywilizacja nie zepchnęła ich jeszcze pod powierzchnię. Wiarą uniwersalną, prawdziwie powszechną jest wiara w skuteczność magii. Podczas gdy systemy religijne różnią się nie tylko w poszczególnych krajach, ale i w tym samym kraju w poszczególnych epokach, system magii sympatycznej pozostaje wszędzie i zawsze podobny w głównych swych zarysach, zasadach i stosowanych praktykach. Wśród warstw nieuczonych i przesądnych współczesnej Europy jest on bardzo podobny do tego, jakim był przed tysiącami lat w Egipcie i w Indiach i jakim jest jeszcze teraz pośród najniżej stojących dzikich, którzy przetrwali w najdalszych zakątkach kuli ziemskiej. Gdyby dowodem prawdy była ilość podniesionych rąk czy liczenie głów, wówczas system magii mógłby odwołać się z znacznie większą słuszością aniżeli Kościół katolicki do dumnej dewizy: *“Quod semper, quod ubique, quod ab omnibus”*³⁰, jako świadectwa swej nieomylności.

Nie naszą jest rzeczą i nie miejsce po temu, by zastanawiać się nad wpływem, jaki może mieć dla przyszłości rodu ludzkiego stałe istnienie tak twardego złoża dzikości pod powierzchnią społeczeństwa, nie tkniętego przez zewnętrzne zmiany kulturalne i religijne. Bezstronny obserwator, któremu studia kazały sięgnąć głębiej, musi przyznać, że złoża to stanowi stałe zagrożenie cywilizacji. Wydaje się, że

³⁰ Który zawsze, który wszędzie, który od wszystkich (Iac).

poruszamy się po cienkiej skorupie, która w każdej chwili może być podmyta przez drżące pod nią podziemne siły. Od czasu do czasu rozlega się podziemny głuchy pomruk albo płomień wzbija się w nagłym wybuchu w powietrze przypominając nam o tym, co się dzieje pod naszymi stopami. Raz po raz oświecone społeczeństwo zatrzymuje się przerażone nad notatką w gazecie mówiącą o tym, jak w Szkocji znaleziono wizerunek nakłuty szpilkami, mający na celu usunięcie jakiegoś nie milego właściciela ziemskiego czy pastora, o tym, jak w Irlandii powoli smażono na śmierć czarownicę czy w Rosji posiekano na kawałki dziewczynkę, by sporządzić z ludzkiego tłuszczu świecę, przy których światło złodzieje mają nadzieję osiągnąć niewidzialność w ich wyprawach o północy. Nie jest jednak sprawą skromnego badacza przeszłości i teraźniejszości rozstrzygnięcie, czy ostatecznie zwyciężą siły stanowiące o dalszym postępie, czy też te, które grożą zniszczeniem wszystkiego, co już zostało osiągnięte; czy silniejszą okaże się energia mniejszości, prowadząca nas ku wyższym szczytom, czy też martwy ciężar większości, który ściąga nas w niziny. Pozostawmy te sprawy filozofom, moralistom i mężom stanu, orlim spojrzeniem sięgającym w przyszłość.

Nas w tym miejscu interesuje jedynie, w jakiej mierze jednolita, powszechna i trwała wiara w magię, w przeciwstawieniu do nieskończonej różnorodności i stale zmieniającej się istoty wierzeń religijnych, uprawnia do wysunięcia hipotezy, głoszącej, że magia stanowi prymitywniejszą i wcześniejszą fazę rozwoju umysłu ludzkiego, przez którą przeszły czy jeszcze przechodzą wszystkie rasy w drodze ku religii i nauce.

Skoro więc wszędzie, jak pozwałam sobie założyć, wiek magii poprzedził wiek religii, jest rzeczą naturalną, że chcemy dowiedzieć się, jakie przyczyny skłoniły ludzkość, a raczej część ludzkości, do porzucenia magii jako zasady wiary i praktyki i do zajęcia się miast tego religią. Zastanawiając się nad wielością, różnorodnością i złożonością faktów wymagających wyjaśnienia i skąpym zasobem wiadomości, jakimi dysponujemy, musimy przyznać, że pełne i zadowalające rozwiązanie tak trudnego problemu jest mało prawdopodobne i że przy obecnym stanie naszej wiedzy możemy w najlepszym wypadku zaryzykować mniej lub więcej wątpliwą hipotezę. Z wszystkimi więc należnymi zastrzeżeniami skłonny jestem wysunąć przypuszczenie, że spóźnione rozpoznanie fałszywej i jałowej istoty magii doprowadziło bardziej myślącą część ludzkości do poszukiwania prawdziwszej teorii przyrody i bardziej owocnej metody użytkowania jej zasobów. Bystrzejsze umysły musiały z czasem dostrzec, że praktyki magiczne i zaklęcia nie mają wpływu na skutki, których się po nich oczekuje i które w przekonaniu bardziej prymitywnych ludzi faktycznie wywołują. To wielkie odkrycie nieskuteczności magii musiało doprowadzić do radykalnej, chociaż prawdopodobnie powolnej rewolucji w umysłach tych, którzy byli dość rozumni, by tego odkrycia dokonać. Sprowadzało się ono do tego, że człowiek po raz pierwszy przyznał, iż nie jest w stanie dowolnie kierować pewnymi siłami przyrody, nad którymi dotąd w swoim przekonaniu sprawował pełną władzę. Było to wyznaniem ludzkiej niewiedzy i słabości. Człowiek zrozumiał, że to, co uważał za przyczynę, bynajmniej przyczyną nie było i że wszystkie jego próby wykorzystania tych fikcyjnych przyczyn były próżne. Daremnie trzymał się - w pocie czoła, bezcelowo

trwoniał swą przemyślność. Pociągał sznurki o nic nie zaczepione, zdawało mu się, że maszeruje prosto do celu, podczas gdy w istocie dreptał w kółko. Nie znaczy to bynajmniej, żeby skutki, które tak usilnie pragnął osiągnąć, nie następowały. Następowaly, ale nie dzięki niemu. Deszcz nadal zraszał spragnioną ziemię, słońce wędrowało w dzień, a księżyc w nocy po niebie, milcząco następowały po sobie pory roku, przynosząc światło i cień, chmury i promienie słoneczne. Ludzie nadal przychodzili na świat, by trudzić się i smucić, i po krótkim pobycie na tym padole wracać do swych przodków. Wszystko działo się jak zawsze, a jednak wszystko wydawało się inne dla oczu, z których spadły stare łuski. Nie mógł już bowiem człowiek dłużej żywić przyjemnej iluzji, że to on kieruje ziemią i niebem i że wystarczy, by odjął swe słabe ręce od steru, a natychmiast ciała niebieskie przestaną poruszać się po swoich torach. Śmierć jego przyjaciół i wrogów przestała być dowodem nieodpartej potęgi jego własnych czy też wrogich zaklęć. Wiedział już teraz, że zarówno przyjaciele, jak wrogowie ulegli sile większej od tej, którą mógł się posłużyć, że posłuszni byli przeznaczeniu, nad którym nie posiadał żadnej władzy.

Nasz prymitywny filozof opuścił pradawną zaciszną przystań i wypłynął na wzburzone morza wątpliwości i niepewności. Zachwiany w dawnej szczęśliwej wierze w swe własne siły, był zapewne w smutnej rozterce i spokój odzyskał dopiero, gdy po burzliwej wędrówce zawinął do portu nowej wiary i nowych praktyk, gdzie, zdawało się, odnalazł odpowiedź na dręczące go wątpliwości i, niepewny co prawda, substytut tej władzy nad naturą, z której tak opornie zrezygnował. Skoro więc wszystko na wielkim świecie toczyło się nadal jak zawsze bez udziału człowieka, muszą wobec tego być inne istoty, podobne mu, lecz znacznie potężniejsze, co, chociaż niewidzialne, kierują wszystkim i są przyczyną tych wszystkich różnorodnych zjawisk, które, jak dotąd przypuszczał, zależne były od jego własnej magii. Wierzył teraz, że to owe istoty, a nie on, każą dąć wichurom, świecić błyskawicom i huczeć grzmotom. To one położyły fundamenty pod stały ląd i zamknęły niespokojne morze w granicach, których nie mogło przekroczyć, one kazały jaśnieć wszystkim wspaniałym planetom niebios, one żywiły ptaki niebieskie i dawały drapieżnikom pustyni ich łup, one kazały żyznej ziemi rodzić bogate plony, przybrały wysokie góry lasami, kazały pniącym się strumykom wytryskać spod skał i spływać w doliny, a łąkom zielenić się nad spokojnymi wodami, one to tchnęły życie w człowieka i sprowadzały nań zniszczenie w postaci głodu, zarazy i wojny. Do tych potężnych istot, których dziełem było wspaniałe i bogate widowisko natury, zwracał się teraz, pokornie wyznając swą zależność od ich niewidzialnej potęgi i błagając, by w swej łaskawości obdarzały go wszystkimi dobrymi rzeczami, broniły przed niebezpieczeństwami i groźbami czyhającymi na nas wszędzie w naszym doczesnym bycie, i wreszcie prosząc, by nieśmiertelną duszę, wolną od brzemienia ciała, sprowadziły do świata szczęśliwego, do którego nie docierają smutki i bóle, gdzie będzie mogła spocząć przy swych bogach i przy duszach dobrych ludzi w wieczystej radości i szczęśliwości.

Taka lub podobna była zapewne droga głębszych umysłów od magii do religii. Ale i dla nich nawet zmiana nie mogła być nagłą, następowała prawdopodobnie bardzo powoli i trzeba było wielu wieków, zanim osiągnęła mniej lub więcej doskonałą pełnię. Nie od razu uświadomił sobie człowiek, że nie ma

wpływu na bieg natury, do przekonania tego doszedł stopniowo, nie mógł bowiem za jednym zamachem zrezygnować ze swej wymyślonej władzy. Krok po kroku wycofywał się ze swej dumnej pozycji, cał po calu oddawał z westchnieniem żalu teren, który dotąd uważał za swój własny. To wiatr, to znowu deszcz, słońce i grzmot wymykały się spod jego władzy; to, co niegdyś było królestwem, zaczęło zamieniać się w więzienie. Człowiek coraz głębiej odczuwał własną bezsilność i potęgę niewidzialnych istot, które, jak wierzył, otaczały go zewsząd. Tak więc religia, wyrastająca z powierzchownego i fragmentarycznego uznania sił wyższych od człowieka, w miarę rozwoju wiedzy skłaniała się do stwierdzenia zupełnej jego zależności od elementu boskiego. Dawna swobodna postawa ustępowała miejsca najpokorniejszemu padaniu na twarz przed tajemniczymi siłami świata niewidzialnego, a najwyższą cnotą stawało się poddanie się ich woli: *In la sua volonta.de e nostra pace*³¹. Ale pogłębiające się uczucie religijne, doskonalsze podporządkowanie się woli boskiej we wszystkich sprawach dostępne było jedynie umysłom wyższym, o horyzontach dostatecznie szerokich, by pozwalały zrozumieć wielkość wszechświata i małość człowieka. Małe umysły nie są w stanie ogarnąć wielkich myśli. Ciasne mózgi i tępe spojrzenia nie umieją dostrzec poza sobą nic wielkiego i ważnego. Takie umysły nie docierają prawie nigdy do religii. Przyuczone jedynie przez intelekty dojrzalsze do zewnętrznego dostosowania się do przepisów i werbalnego wyznawania zasad wiary, w sercach swych trzymają się kurczowo starych magicznych przesądów, których religia może zakazać, których może nie pochwalać, ale których nie potrafi wykorzenić, jak długo wrastają głęboko w umysłowość i naturę znacznej większości rodzaju ludzkiego.

Mógłby czytelnik zapytać, jak to się stało, że inteligentny człowiek wcześniej nie odkrył zwodniczości magii, jak mógł żywić nadzieje niezmiennie wiodące ku rozczarowaniom? Z jakim uczuciem uporczywie odgrywał czcigodną komedię, pozbawioną wszelkiego znaczenia i mrucał uroczyste i nie dające żadnego wyniku bzdury? Jakże mógł trzymać się wierzeń, którym w tak oczywisty sposób przeczyło życie? Jak śmiało powtarzać doświadczenia, które tak często zawodziły? Odpowiedzieć na to można, że niełatwo było odkryć zwodniczość magii, że rozczarowanie bynajmniej nie było tak oczywiste, jako że w wielu wypadkach, być może w większości, pożądany skutek rzeczywiście następował wcześniej czy później po zastosowaniu praktyk, które miały go sprowadzić, i że trzeba było nieprzeciętnie bystrego umysłu, by zrozumiał, że nawet w tych wypadkach praktyka magiczna bynajmniej nie była przyczyną. Po ceremonii mającej na celu sprowadzenie wiatru czy deszczu lub spowodowanie śmierci wroga wcześniej czy później następowało to zjawisko i należy wybaczyć człowiekowi pierwotnemu, że wypadek ten uważał za bezpośredni skutek praktyk i najlepszy dowód ich skuteczności. Podobnie zawsze będzie się wydawało, że obrządki poranne, mające sprowadzić słońce, czy wiosenne, mające obudzić ziemię z zimowego snu, zawsze będą uwieńczone powodzeniem, w każdym razie w strefach klimatu umiarkowanego, ponieważ słońce zapala tu swą złotą lampę każdego ranka i rok po roku ziemia

³¹ Nasz spokój zależy od jego woli (wł.).

wciąż od nowa pokrywa się bogatym płaszczem zieleni. Dlatego też praktyczny człowiek dziki, instynktownie konserwatywny, może puszczać mimo uszu teoretyczne subtelności człowieka wąpiącego, filozoficznego radykała, który ośmielił się podejrzewać, że wschód słońca i wiosna niekoniecznie muszą być wynikiem skrupulatnego przestrzegania pewnych codziennych czy też dorocznych obrządków i że słońce nadal będzie świeciło, a drzewa kwitły, nawet jeśli czasami praktyk się nie dopełni albo też zupełnie się je zarzuci. Tego rodzaju sceptyczne wąpliwości muszą naturalnie spotkać się z gniewem i oburzeniem, jako puste mrzonki podkopujące wiarę i jawnie przeczące zwykłemu doświadczeniu. „Czyż może być coś bardziej oczywistego jak to, że gdy ja zapalam świeczkę na ziemi, słońce rozpala wielki ogień na niebie? Chciałbym wiedzieć, czy kiedy ja wkładam wiosną moją zieloną szatę, drzewa nie czynią tego samego? To są fakty oczywiste dla wszystkich, na nich się opieram. Jestem prostym praktycznym człowiekiem, a nie jednym z tych teoretyków, którzy rozszczepiają włos na czworo i zabawiają się logicznymi igraszkami. Teorie i domysły mogą być na swój sposób dobre i nie mam nic przeciwko temu, by się nimi ludzie bawili, pod warunkiem, że ich nie będą wprowadzali w życie. Mnie proszę pozwolić trzymać się faktów, bo wtedy wiem, na jakim świecie jestem.” Dla nas błędność takiego rozumowania jest jasna, ponieważ odnosi się do faktów, co do których już dawno mamy wyrobione zdanie. Wystarczy jednak, by argumenty tej wagi zostały zastosowane do problemów wciąż jeszcze dyskusyjnych, a można spodziewać się, że publiczność angielska będzie oklaskiwała je jako rozsądne, a mówcę oceni jako człowieka statecznego, być może, niezbyt błyskotliwego i nie popisującego się, ale niewątpliwie rozumnego i wiedzącego, o co mu idzie. Skoro takie rozumowanie znajduje wśród nas aprobatę, jakże się dziwić, że dzicy tak długo nie potrafili sobie z tym poradzić?

ROZDZIAŁ PIĄTY

MAGICZNA WŁADZA NAD POGODĄ

Czytelnik, być może, pamięta, że w labirynt magii wkroczyliśmy analizując dwa różne typy człowieka-boga. To był ślad, który prowadził nas przez ten labirynt i w końcu wywiódł na wzniesienie, skąd po chwili odpoczynku możemy rzucić okiem na przebytą drogę i spojrzeć przed siebie na jeszcze bardziej stromą i długą ścieżkę, która nas czeka.

Poprzednie rozważania pozwalają nam odróżnić dwie kategorie ludzkich bogów, człowieka-boga religijnego i magicznego. W pierwszym wypadku istota różna od człowieka i wyższa od niego wciela się rzekomo na dłuższy lub krótszy czas w ciało ludzkie dając dowody swej nadludzkiej siły i wiedzy za pomocą cudów dokonywanych i przepowiedni ogłaszanych za pośrednictwem cielesnego przybytku, który bóg zaszczycił swą obecnością. Można to więc również określić jako natchniony czy wcielony typ człowieka-boga. W danym wypadku ciało ludzkie jest jedynie kruchą ziemską powłoką wypełnioną duchem boskim i nieśmiertelnym. Natomiast człowiek-bóg typu magicznego jest tylko człowiekiem wyposażonym w niezwykle siły, takie same, jakie w mniejszym stopniu przypisuje sobie większość jego bliźnich, albowiem w barbarzyńskim społeczeństwie niemal każdy zajmuje się magią. W pierwszym więc wypadku człowiek-bóg czerpie swą boskość z bóstwa, które zniżyło się do tego, by ukryć swą boską światłość pod posępną maską z ziemskiej gliny, natomiast człowiek-bóg drugiego rodzaju czerpie swe niezwykle siły z pewnego fizycznego powinowactwa z naturą. Jest on nie tylko pomieszczeniem ducha boskiego. Cała jego istota, ciało i dusza, są tak czule nastrojone na harmonię świata, że wystarczy dotknięcie jego ręki lub zwrot głowy, by drżenie przeniknęło cały wszechświat i wzajemnie - boski jego organizm wyczulony jest na tak nieznaczne zmiany w otoczeniu, że uszłyby one uwagi zwyczajnych śmiertelników. Ale linia podziału między tymi dwoma typami człowieka-boga, bez względu na to, jak skrupulatnie ją przeprowadzimy w teorii, rzadko da się prześledzić w praktyce i w dalszych moich wywodach nie będę się przy niej upierał.

Wiemy już, że w praktyce magia może być stosowana zarówno dla dobra jednostek, jak i całej społeczności i że zależnie od tego, któremu z tych celów ma służyć, określamy ją jako magię prywatną lub publiczną. Ponadto, jak już wskazałem, czarownik publiczny posiada stanowisko bardzo wpływowe, z którego, jeśli jest człowiekiem roztropnym i zdolnym, może krok po kroku wspiąć się ku władzy królewskiej. Tak więc zbadanie magii publicznej pozwala zrozumieć wczesną instytucję władzy królewskiej, jako że w społeczeństwie dzikim i barbarzyńskim wielu wodzów i królów zawdzięcza, jak się zdaje, swoją władzę w znacznej mierze sławie czarowników.

Spośród celów społecznych magii najważniejszym jest należyte zaopatrzenie w żywność. Przykłady zawarte na poprzednich stronicach mówią o tym, że dostawcy żywności - myśliwy, rybak, rolnik - wszyscy uciekają się w swych zawodach do magii, ale czynią to raczej jako osoby prywatne dla własnej korzyści i dla swych rodzin, a nie jako funkcjonariusze społeczni, działający w interesie całej

zbiorowości. Odmienne przedstawia się sprawa, gdy tymi praktykami nie zajmują się sami myśliwi, rybacy czy rolnicy, lecz zawodowi czarownicy, którzy je w ich imieniu wykonują. W społeczeństwie pierwotnym, w którym zasadniczo panuje jednolitość zajęć i nie rozpoczął się jeszcze podział na różne kategorie wytwórcze, każdy człowiek jest w mniejszym lub większym stopniu własnym czarownikiem. Stosuje czary i zaklęcia dla swego własnego dobra względnie by wyrządzić krzywdę swym wrogom. Wielkim postępowaniem jest pojawienie się specjalnej klasy czarowników, innymi słowy, wydzielenie pewnej ilości ludzi specjalnie po to, by swymi umiejętnościami służyli całej społeczności, niezależnie od tego, czy ma to być leczenie chorób, przepowiadanie przyszłości, regulowanie pogody czy też jakiegokolwiek inne zajęcie pożyteczne dla ogółu. Nieskuteczność środków, którymi większość tych ludzi próbuje osiągnąć swe cele, nie powinna przesłaniać nam niezwyklej wagi samej instytucji. Oto, w każdym razie na wyższych stadiach dzikości, mamy grupę ludzi zwolnionych od konieczności zdobywania środków do życia za pomocą ciężkiej pracy fizycznej, którym zezwala się, co więcej, których zachęca się do zajmowania się badaniem tajnych praw przyrody. We własnym interesie, a także w ramach swych obowiązków, powinni byli wiedzieć więcej od innych, zaznajamiać się z tym wszystkim, co mogłoby pomóc człowiekowi w jego zaciętej walce z naturą, poznawać wszystko, co mogłoby zmniejszyć jego cierpienia i przedłużyć mu życie. Właściwości leków i minerałów, przyczyny deszczu i suszy, grzmotów i błyskawic, zmiany pór roku, fazy księżyca, codzienne i coroczne wędrówki słońca, obroty gwiazd, tajemnica życia i śmierci, wszystko to musiało podniecać ciekawość tych pierwszych filozofów i pobudzać ich do szukania rozwiązania problemów, na które zwracali im uwagę w praktyczny sposób ich klienci, domagający się od nich natrętnie nie tylko rozumienia, ale i regulowania wielkich procesów przyrody dla dobra człowieka. Nie ich to wina, że pierwsze strzały padały daleko od celu. Powolny i nigdy nie kończący się proces zbliżania się do prawdy polega na stałym formułowaniu i wypróbowywaniu hipotez, przyjmowaniu tych, które w danej chwili zdają się odpowiadać faktom, i odrzucaniu innych. Poglądy prymitywnych czarowników na przyczynowość w naturze mogą nam się wydawać w sposób jak najbardziej oczywisty absurdalne i fałszywe, ale w swoim czasie były poprawnymi hipotezami, chociaż nie przetrzymały próby doświadczenia. Wyśmiewać i ganić należy nie tych, którzy te prymitywne teorie wymyślili, lecz tych, którzy uporczywie trzymali się ich po powstaniu lepszych. Żaden jeszcze człowiek nie miał tak silnych bodźców do poszukiwania prawdy jak prymitywny czarownik. Było rzeczą absolutnie konieczną utrzymanie chociażby pozorów wiedzy, wykrycie bowiem najmniejszej pomyłki mógł przypłacić życiem. Doprowadziło to niewątpliwie do oszustw mających na celu ukrycie niewiedzy, ale stwarzało również najsilniejsze pobudki do zastąpienia wiedzy fałszywej prawdziwą, jako że niewątpliwie najlepszym sposobem udawania, że się coś wie, jest faktyczne zdobycie potrzebnych wiadomości. Chociaż więc słusznie postępujemy odrzucając przesadne uroszczenia czarowników i potępiając oszustwa, jakich dopuszczali się wobec ludzkości, musimy przyznać, że powstanie tej kategorii ludzi przyniosło ludzkości niezliczone korzyści. Byli oni nie tylko bezpośrednimi poprzednikami naszych lekarzy i chirurgów, ale także badaczy i odkrywców we

wszystkich gałęziach nauk przyrodniczych. Rozpoczęli pracę, którą ich następcy w przyszłych stuleciach doprowadzili do tak świetnych i pożytecznych wyników, a jeśli nawet początki były skromne i znikome, należy to przypisać nieuniknionym trudnościom, które napotkali na drodze ku wiedzy, a nie wrodzonemu brakowi zdolności i świadomemu stosowaniu oszustwa przez tych ludzi.

Jednym z zadań, jakie stawia sobie czarownik w swej służbie dla plemienia, jest władza nad pogodą, a szczególnie zapewnienie dostatecznych opadów deszczu. Woda jest niezbędna dla życia i w większości krajów jej zasoby zależne są od opadów. Bez deszczu więdnie roślinność, ludzie i zwierzęta słabną i giną. Dlatego w pierwotnym społeczeństwie zaklinacz deszczu jest bardzo wybitną osobistością i częstokroć istnieje specjalna kategoria ludzi powołanych do regulowania zaopatrzenia w wodę z nieba. Metody, jakimi posługują się przy wykonywaniu swych obowiązków, są zazwyczaj, chociaż nie zawsze, oparte na zasadach magii homeopatycznej lub naśladowczej. Gdy pragną spowodować deszcz, naśladują go przez pokropienie wodą lub udawanie chmur; jeśli zadaniem ich jest powstrzymać deszcz i spowodować suszę, unikają wody i posługują się ogniem i ciepłem dla usunięcia zbyt obfitej wilgoci. Do tego rodzaju prób nie ucieka się wyłącznie, jak mógłby przypuszczać oświecony czytelnik, nagi mieszkaniec gorących łądów Australii Środkowej czy Wschodniej lub Południowej Afryki, gdzie często bezlitosne słońce miesiącami bez przerwy praży z błękitnego bezchmurnego nieba spaloną i wysuszoną ziemię. Są one, względnie były, dosyć pospolite wśród pozornie cywilizowanych ludów w wilgotniejszym klimacie europejskim. Podam teraz kilka przykładów zaczerpniętych z praktyk magicznych zarówno prywatnych, jak i publicznych.

Oto w wiosce w pobliżu Dorpatu, gdy nie było deszczu, trzech mężczyzn wdrapywało się na jodły w starym świętym gaju. Jeden z nich walił młotkiem w garnek albo kociołek naśladując grzmot, drugi pocierał dwie dłonie miotając iskry i naśladując w ten sposób piorun, a trzeci, zwany zaklinaczem deszczu, kropił wodą na wszystkie strony. We wsi Ploska, gdy trzeba położyć kres suszy i sprowadzić deszcz, kobiety i dziewczęta wychodzą nocą nago i polewają wodą granice wioski. Na Halmahera, czyli Gilolo, dużej wyspie na zachód od Nowej Gwinei, czarownik wywołuje deszcz zanurzając w wodzie gałąź specjalnego gatunku drzewa, po czym strząsa wodę na ziemię. W Nowej Brytanii czarownik zawija kilka liści czerwonego i zielonego pnącza w liść banana, moczy zawiniątko w wodzie i grzebie je w ziemi, po czym ustami naśladuje plusk deszczu. U Indian Omaha w Północnej Ameryce, gdy kukurydza marnieje z braku deszczu, członkowie świętego Stowarzyszenia Bizonów napełniają duże naczynie wodą i czterokrotnie tańczą w koło. Po czym jeden z nich nabiera wodę do ust i wydmuchuje ją naśladując drobny deszczyk lub mgłę. Następnie przewraca naczynie wylewając wodę, a wtedy tancerze kładą się na ziemi i spijają wodę rozmazując przy tym błoto po twarzy. Na koniec strzykają wodą w powietrze tworząc drobny deszczyk. W ten sposób kukurydza jest uratowana. Wiosną Naczezowie z Północnej Ameryki zwykli byli składać się, by kupić sprzyjającą plonom pogodę u czarowników. Gdy deszcz był potrzebny, czarownicy pościli i tańczyli trzymając w ustach fajki wypełnione wodą. Fajki podziurawione były jak sita polewaczek i poprzez te otwory zaklinacze deszczu

wydmuchiwali wodę w kierunku tej części nieba, gdzie chmury były największe. Gdy zaś potrzebna była piękna pogoda, czarownik włąził na dach swej chaty i z wyciągniętymi ramionami, dmuchając z całych sił, nakazywał chmurom się rozstać.

Arabski historyk Makrizi opisuje metodę wstrzymywania deszczu stosowaną przez pewne plemię koczownicze Alkamar w Hadramaucie. Ucinają tam gałąź pewnego drzewa na pustyni, podpalają ją i następnie skrapiają wodą. W ten sposób zmniejsza się siła deszczu, tak jak znika woda padająca na płonąca gałąź. Podobne praktyki stosują rzekomo Wschodni Angami w Manipurze we wręcz przeciwnym celu, a mianowicie dla sprowadzenia deszczu. Wódz wioski kładzie płonąca gałąź na grób człowieka, który zmarł od oparzenia, i modląc się o deszcz skrapia gałąź wodą. W tym wypadku gaszenie ognia wodą na podobieństwo deszczu spotęgowane jest wpływem zmarłego, który poparzywszy się na śmierć, będzie oczywiście pragnął deszczu, chłodzącego jego spalone ciało i zmniejszającego ból.

W czasie wielkiej suszy członkowie plemienia Dieri w Australii Środkowej, żaląc się głośno na głód i nędzę panującą w kraju, wzywają duchy swych dalekich przodków, które nazywają *mura-mura*, by dały im władzę ściągnięcia dużego deszczu. Wierzą bowiem, że chmury są ciałami, w których deszcz się rodzi dzięki obrządkom dokonywanym przez nich lub sąsiednie plemiona na skutek wpływów *mura-mura*. A oto w jaki sposób zabierają się do ściągania deszczu z chmur. Kopiają dół długości dwudziestu stóp i szerokości ośmiu do dziesięciu stóp i nad nim stawiają stożkowaty szałas z gałęzi i pni. Dwóm czarownikom, którzy rzekomo otrzymali specjalne natchnienie od *mura-mura*, stary i szanowany mężczyzna puszcza krew za pomocą ostrego krzemienia, a krew pobrana z ramienia powyżej łokcia spada na pozostałych mężczyzn plemienia, którzy siedzą skuleni w szałasie. Równocześnie obaj krwawiący mężczyźni rzucają dokoła garście pierza; część przylepia się do umazanych krwią ciał ich towarzyszy, reszta fruwa w powietrzu. W czasie ceremonii pośrodku szałas kładzie się dwa duże kamienie, które symbolizują zbierające się chmury i wróżą deszcz. Następnie czarownicy, którym puszczano krew, wynoszą kamienie do miejsca oddalonego o piętnaście mil i umieszczają je możliwie wysoko na drzewie. W tym czasie reszta mężczyzn zbiera gips, tłucze go na drobną mączkę i wrzuca do dołu na wodę. Gdy *mura-mura* to widzą, każą natychmiast chmurom pojawić się na niebie. W końcu młodzi i starzy mężczyźni gromadzą się wokół szałas, zginają się i uderzają weń głowami jak barany. Przebijają w ten sposób ścianę i wychodzą drugą stroną powtarzając ten zabieg, dopóki szałas zupełnie się nie zawali. Nie wolno im przy tym posługiwać się ani ramionami, ani dłońmi, ale gdy pozostają już tylko ciężkie pnie, mogą wyciągnąć je rękami. "Przedziurawienie szałas oznacza przedziurawienie chmur, zapadnięcie się szałas - spadanie deszczu." Umieszczanie kamieni symbolizujących chmury na wysokim drzewie ma najwidoczniej zmusić chmury do zebrania się na wysokim niebie. Dieri wierzą również, że napletek ścinany chłopcom podczas obrzezania posiada moc sprowadzania deszczu. Dlatego też Wielka Rada plemienia zawsze przechowuje mały zapas napleteków gotowych do użytku. Są one pieczołowicie ukryte w piórach oraz w tłuszczu dzikiego psa i

węża australijskiego. Takiej paczki nie wolno w żadnym wypadku otwierać w obecności kobiety. Po zakończonej ceremonii napletek zagrzebuje się w ziemi, ponieważ jego siła magiczna została wyczerpana. Gdy deszcze spadają, niektórzy członkowie plemienia poddają się zabiegowi chirurgicznemu, polegającemu na nacinaniu skóry na ramieniu i piersi za pomocą ostrego krzemienia. Następnie ranę drażni się tępym patykiem, by zwiększyć upływ krwi, po czym wciera się do rany czerwoną ochrę. W ten sposób uzyskuje się wypukłe szramy. Tubylcy twierdzą, że ma to być oznaką ich zadowolenia z deszczu, ale dowodzi to również przekonania o rzekomym związku między deszczem a szramami. Zabieg widocznie nie jest bardzo bolesny, skoro pacjent przez cały czas śmieje się i żartuje. Co więcej, widziano małe dzieci gromadzące się wokół dokonującego zabiegu i cierpliwie czekające na swą kolej. Po zabiegu biegną, wypinając wątle piersi, i śpiewają pieśń, w której wzywają deszcz, by na nich spadł. Nie były tak bardzo zadowolone następnego dnia, gdy rany goiły się i bolały. Na Jawie, gdy deszcz jest potrzebny, dwóch mężczyzn okłada się wzajemnie do krwi giętkimi prętami; ściekająca po plecach krew oznacza deszcz i niewątpliwie ma go sprowadzić na ziemię. Plemiona z Egghiou w Abisynii zwykły były co roku w styczniu rozpoczynać krwawe walki między wioskami w celu sprowadzenia deszczu, dopóki cesarz Menelik nie zakazał tego obyczaju. Gdy jednak następnego roku zabrakło deszczów, powszechne oburzenie było tak wielkie, że cesarz ustąpił i zezwolił na mordercze walki, ale tylko przez dwa dni w roku. Autor wspominający o tym obyczaju uważa, że krew przelana jest ofiarą dla prześlągania bogów zsyłających deszcz, ale być może, podobnie jak w obrządkach jawańskich i australijskich, krew jest naśladowaniem deszczu. Prorocy Baala, którzy sprowadzali deszcz zadając sobie krwawe rany nożami, prawdopodobnie kierowali się tą samą zasadą.

Powszechna jest wiara, że bliźniaki posiadają magiczną władzę nad przyrodą, szczególnie nad deszczem i pogodą. Dziwny ten przesąd panuje wśród niektórych plemion indiańskich w Brytyjskiej Kolumbii i doprowadził do nałożenia pewnych szczególnych zakazów i tabu na rodziców bliźniaków, chociaż dokładne znaczenie tych zakazów jest niejasne. Tak więc w przekonaniu, że bliźniaki mają władzę nad pogodą, Czjmsjanie, Indianie w Brytyjskiej Kolumbii, modlą się do wiatru i deszczu: "Stań się łagodny, oddechu bliźniaków." Uważają również, że życzenia bliźniaków zawsze się spełniają, toteż się ich boją, ponieważ mogą wyrządzić krzywdę człowiekowi, którego nienawidzą. Mogą też sprowadzać łososia, *eulachona*, czyli rybę-świecę³², stąd słowo "bliźniacy" oznacza w ich języku "sprowadzający dostatek". Kuakiutlowie wierzą, że bliźniaki są przemienionymi łososiami, dlatego nie pozwalają im zbliżać się do wody, by nie powróciły do dawnej postaci. W dzieciństwie potrafią one ruchem ręki przywołać każdy wiatr, mogą ściągnąć dobrą lub złą pogodę i potrafią leczyć choroby przez potrząsanie drewnianą kołatką. Indianie Szuswap uważają bliźniaków za krewnych niedźwiedzia grizzli i nazywają ich "młodymi grizzli". W ich przekonaniu bliźniaki zachowują do śmierci siłę nadprzyrodzoną, a szczególnie potrafią sprowadzić dobrą lub złą pogodę. Mogą ściągnąć deszcze, wylewając wodę z

koszyka w powietrze, i pogodę - potrząsając małym płaskim kawałkiem drzewa, umocowanym do patyka sznurkiem, a burze wywołują posypując pierzem końce gałęzi świerka.

W południowo-wschodniej Europie zachowały się do dziś obrządku mające na celu sprowadzenie deszczu, nie tylko oparte na tym samym sposobie myślenia, lecz nawet w szczegółach przypominające praktyki stosowane w tej samej intencji przez plemię Baronga z zatoki Delagoa. Grecy z Tesalii i Macedonii podczas długiej suszy urządzają procesje dzieci wokół okolicznych studni. Na czele procesji kroczy dziewczyna przybrana kwiatami, którą towarzyszki polewają wodą, a w każdym miejscu, w którym przystają, śpiewają inwokację zawierającą między innymi następujące strofy:

*Zioła skroś zroszone rosą
Dookoła świeżość niosą;
Gdy przez las cię wiedzie droga,
Tak się, człeczce, módl do Boga:
"Boże, niechaj Twoja wola
Ześle deszcz na nasze pola;
Niech się darzą łany żytnie,
Niech winnica szczodrze kwitnie –
Kłos niech będzie pełny, zdrowy,
A bogaci ludzie wsiowi."*

Serbowie w czasie suszy rozbierają dziewczynę do naga i odziewają całą w trawy, zioła i kwiaty ukrywając nawet twarz za welonem żywej zieleni. Dodola, tak bowiem nazywają przystrojoną dziewczynę, chodzi po wiosce z grupą dziewcząt. Zatrzymują się przed każdym domem. Dodola kręci się i tańczy, a dziewczęta tworzą wokół niej koło i śpiewają jedną z pieśni Dodoli, podczas gdy gospodynie wylewają na nią kubły wody. Jedną z tych pieśni brzmi następująco:

*Idziemy przez wioskę, wicher chmury pędzi
- przyspieszamy kroku,
chmury jeszcze prędziej,
prędziej jeszcze, prędziej jeszcze,
aż lunęły w żyto deszczem.*

W Puna w Indiach, gdy deszcz jest potrzebny, chłopcy przebierają jednego spośród siebie w same liście i nazywają go Królem Deszczu. Chodzą z nim od domu do domu, a w każdym gospodarz albo gospodyni skrapiają Króla Deszczu wodą i częstują dzieci. Po odwiedzeniu wszystkich domów dzieci zdejmują liście z Króla Deszczu i urządzają sobie ucztę.

Kąpiel jako czary sprowadzające deszcz znana jest w niektórych okolicach Rosji południowej i zachodniej. Niekiedy parafianie po nabożeństwie w cerkwi powalają na ziemię popa i polewają go wodą. Czasami kobiety nie zdejmując sukni kąpią się tłumnie w rzece w dniu św. Jana Chrzciciela, zanurzają równocześnie w wodzie kukłę zrobioną z gałęzi, trawy i ziół, która rzekomo przedstawia świętego. W guberni kurskiej, gdy deszcz jest bardzo potrzebny, kobiety chwytają obcego przechodnia i wrzucają go do rzeki albo oblewają wodą od głowy do stóp. Jak się później przekonamy, obcy przechodzień bywa często personifikacją bóstwa lub jakichś sił przyrody. W oficjalnych dokumentach zanotowano, że

³² R y b a - ś w i e c a - ryba Pacyfiku (*Thaleichtys pacificus*), bliski krewniak stynki. Jest ona wąska, długa i tak tłusta, że robią z niej świece przeciągając przez nią knot.

podczas suszy 1790 roku chłopci z Scheroutz i Werboutz³³, by wywołać deszcz, zgromadzili wszystkie kobiety i zmusili je do kąpeli. W Armenii czarem na deszcz jest wrzucanie żony księdza do wody. Arabowie w Północnej Afryce uważają za środek zaradczy na suszę wrzucenie do potoku świętego człowieka. W Minahassa, prowincji Północnego Celebesu, duchowny kąpie się, co ma być zabiegiem magicznym sprowadzającym deszcz. Na Środkowym Celebesie, gdy przez dłuższy czas nie ma deszczu i ryż zaczyna marnieć, wielu chłopów, szczególnie młodzież, wybiera się do pobliskiego strumienia i polewa się wodą krzycząc głośno albo spryskuje wodą przez bambusowe rurki. Niekiedy naśladują plusk deszczu uderzając dłonią o powierzchnię wody albo rzucając na wodę do góry dnem tykwę i stukając w nią palcami.

W niektórych miejscowościach panuje przekonanie, że kobiety mogą ściągnąć deszcz orząc lub udając, że orzą, tak na przykład plemiona Pszaw i Chewsur na Kaukazie mają ceremonię zwaną "oraniem deszczu", urządzaną w okresach suszy. Dziewczęta zaprzęgają się do pługa i ciągną go do rzeki, w której brodzą zanurzone po pas. Podobnie postępują w takich okolicznościach dziewczęta i kobiety w Armenii. Najstarsza kobieta lub żona duchownego ubrana jest w szaty kapłana, reszta zaś niewiast w męskich strojach ciągnie pług pod prąd. W Gruzji, gdy posucha trwa zbyt długo, dziewczęta mające wyjść za mąż wprzęgane są parami do jarzma na woły, duchowny trzyma lejce i prowadzi je przez rzeki, strumienie, bajorka i bagna. Zaprzężone dziewczęta modlą się, krzyczą, płaczą i śmieją się podczas całej tej procedury. W Transylwanii, gdy susza spali ziemię, rozebrane do naga dziewczęta prowadzone przez starą kobietę, również nagą, kradną bronę i zanoszą ją przez pola do potoku, w którym puszczają ją z wodą. Następnie siadają na bronie i w czterech jej rogach zapalają małe płomyki, które podtrzymują przez godzinę. Potem pozostawiają bronę w wodzie i wracają do domu. Podobne czary na deszcz praktykowane są w niektórych częściach Indii. Nagie kobiety ciągną w nocy bronę przez pola, mężczyźni zaś trzymają się z daleka, albowiem ich obecność mogłaby przerwać czary.

Niekiedy zaklinanie deszczu odbywa się za pośrednictwem zmarłych. W Nowej Kaledonii zaklinacze malują całe ciało na czarno, wykopują jakieś zwłoki, zabierają kości do jaskini, tam szczepiają je z powrotem i zawieszają szkielet nad liśćmi *taro* (kolokazja). Szkielet polewa się wodą, która spływa na liście. Panuje przekonanie, że dusza nieboszczyka wchłania wylaną wodę, przemienia ją w deszcz i zsyła z powrotem na ziemię. W Rosji, jeśli dać wiarę temu, co się powszechnie opowiada, jeszcze do niedawna chłopci w okolicy nawiedzanej przez suszę zwykli byli wygrzebywać zwłoki człowieka, który zapił się na śmierć, i topić je w, najbliższym stawie lub jeziorze w przekonaniu, że to zapewni im upragniony deszcz. W 1868 roku perspektywa złych zbiorów, spowodowanych przez długotrwałą suszę, skłoniła mieszkańców wioski w obwodzie taraszczańskim do wykopania zwłok raskolnika, który zmarł w grudniu poprzedniego roku. Jedni z uczestników bili zwłoki względnie to, co z nich jeszcze pozostało, po czasie wołając: "Sprowadź nam deszcz!", podczas gdy pozostali polewali je wodą przez

³³ Nazw tych nie udało się zidentyfikować. Chodzi tu o miejscowości w dawnej Galicji lub Bukowinie, wymienione w pracy:

sita. Lanie wody przez sito wydaje się w tym wypadku naśladowaniem deszczu i przypomina nam Arystofanowskiego Strepsjadesa, który wierzył, że to Zeus w podobny sposób robi deszcz.

W przekonaniu Chińczyków dusze ludzi nie pochowanych cierpią na skutek deszczu tak samo jak ludzie żywi, pozbawieni dachu i skazani na kaprysy niełaskawej pogody. Wobec czego nieszczęsne dusze starają się z wszystkich sił zapobiec deszczom, co też im się często udaje. Następuje wtedy posucha, klęska najstraszliwsza w Chinach, ponieważ w ślad za nią idą złe zbiory, drożyzna i głód. Dlatego też władze chińskie w czasie posuchy nakazywały w całym kraju grzebać kości nie pochowanych zmarłych, by w ten sposób położyć kres klęsce i ściągnąć z powrotem deszcz.

Zwierzęta odgrywają często poważną rolę w zaklinaniu pogody. Plemię Anula w Północnej Australii uważa, że między "ptakiem-dolarem"³⁴ a deszczem istnieje jakiś związek, i dlatego nazywa go ptakiem deszczu. Człowiek, którego totemem jest ten ptak, może wywołać deszcz we właściwej sadzawce. Musi schwytać węża i potrzymawszy go pod wodą po pewnym czasie wyjmuje, zabija i kładzie na brzegu wody. Splata następnie z trawy łuk w kształcie tęczy i ustawia go nad wężem, po czym zaczyna śpiewać nad wężem i imitacją tęczy. Po upływie pewnego czasu deszcz zacznie padać. Procedurę tę tłumaczą tubylcy następująco: dawno temu towarzyszem "ptaka-dolara" był wąż, który zamieszkiwał ten staw i umiał spowodować deszcz, plując w kierunku nieba tak długo, aż pojawiały się chmury i tęcza, i deszcz. Pospolitym sposobem wywoływania deszczu na Jawie jest kąpanie kota lub kociej pary, kotki i kocura. Czasami zwierzęta zanoszą się do kąpieli w procesji z muzyką. Nawet w Batawii można zobaczyć dzieci używające kota do tych celów. Po wykąpaniu go w wodzie puszcza się zwierzę na wolność.

Bliskie związki żab i ropuch z wodą zaskarbiły im powszechną sławę strażników deszczu, stąd też zawsze odgrywają one dużą rolę w czarach mających sprowadzić deszcz. Niektórzy Indianie znanad Orinoko uważali ropuchę; za boga czy pana wody i z tego powodu bali się ją zabijać. Znane są wypadki, że przechowywali żaby w garnkach i bili je prętami, gdy była susza. Ajmarowie rzekomo sporządzają często wizerunki żab i innych stworzeń wodnych, a w celu sprowadzenia deszczu umieszczają je na szczytach gór. Indianie znanad rzeki Thompsona w Kolumbii Brytyjskiej i niektóre ludy europejskie uważają, że zabicie żaby wywołuje deszcz. Ludzie niższych kast w środkowych prowincjach Indii, gdy pragną deszczu, przywiązują żabę do kija przybranego liśćmi i gałązkami drzewa *nim* (*Azadirachta indica*) i noszą ją od drzwi do drzwi, śpiewając:

*Ześlij, żabo, szybko klejnot wody,
By dojrzały na polach pszenica i proso.*

Niekiedy, gdy susza trwa zbyt długo, ludzie porzucają cały hokus-pokus magii naśladowczej i za bardzo rozzłoszczeni, by marnować czas na modlitwy, próbują groźbami i przekleństwami, a nawet wręcz siłą wymusić na nadprzyrodzonej istocie wodę z nieba, którą ona jak gdyby odcięła. W wiosce japońskiej, gdy bóstwo opiekuńcze długo nie dawało posłuchu modlitwom chłopów o deszcz, zdesperowani wierni wyrzucali wizerunek bóstwa na śmierdzące pole ryżowe przy akompaniamencie

głośnych i wyszukanych przekleństw. "Poleż sobie - wołali - a zobaczysz, jak się poczujesz po kilku dniach prażącego słońca, które spala życie na naszych polach." W podobnych okolicznościach Fulbejowie z Senegambii wyrzucają swe fetysze i wloką je po polach tak długo, dopóki deszcze nie spadną.

Specjalistami brania nieba szturmem są Chińczycy. Tak więc, gdy deszcz jest im potrzebny, sporządzają dużego smoka z papieru lub drzewa i noszą go w procesji, a gdy to nie odnosi skutku, smok jest bezczeszczony i darty względnie łamany na kawałki. Czasami wygrażają bogu lub biją go, gdy nie sprowadza deszczu, a niekiedy publicznie pozbawiają go rangi bóstwa. Natomiast gdy upragniony deszcz spada, specjalny dekret cesarski nadaje bogu wyższą rangę. W kwietniu 1888 r. mandaryni Kantonu modlili się do boga Lung-wang o wstrzymanie nieustannych deszczów, a gdy nie usłuchał ich próśb, zamknęli go w areszcie na pięć dni. Skutek był zbawienny, deszcz ustał, a bóg odzyskał wolność. Kilka lat wcześniej to samo bóstwo w czasie suszy zostało zakute w kajdany i przez wiele dni było wystawiane na promienie słoneczne na dziedzińcu swej własnej świątyni, by poczuło, jak bardzo potrzebny jest deszcz. Dlatego też mieszkańcy Syjamu, gdy potrzebują deszczu, wystawiają swe bożki na palące słońce; jeśli jednak pragną, aby było sucho, zrywają dachy ze świątyń, tak że deszcz leje się na bożki. Uważają bowiem, że przykrości, na jakie w ten sposób narazili bogów, skłonią ich do spełnienia życzeń wiernych.

Cała ta meteorologia Dalekiego Wschodu może wywołać uśmiech czytelnika, ale do identycznych sposobów sprowadzania deszczu uciekano się w chrześcijańskiej Europie jeszcze w naszych czasach. Pod koniec kwietnia 1893 roku brak wody wywołał bardzo krytyczną sytuację na Sycylii. Posucha trwała już sześć miesięcy. Słońce pojawiała się i zachodziło na niebie bez jednej chmurki. Więdnęły ogrody Conca d'Oro otaczające Palermo pierścieniem wspaniałej zieleni. Zaczynało brakować żywności. Ludzie byli przerażeni. Wypróbowano wszystkie uznane metody spowodowania deszczu bez najmniejszego skutku. Procesje szły ulicami i polami. Mężczyźni, kobiety i dzieci leżeli całymi nocami przed świętymi obrazami odmawiając różaniec. Po kościołach dniem i nocą płonęły świece, na drzewach, zawieszono liście palmowe poświęcone w Palmową Niedzielę. W Solaparuta, zgodnie z obyczajem, kurz zmieciony z kościoła w Palmową Niedzielę rozsypano po polach. W normalnych latach chroniło to plony, ale tego roku nie odniosło żadnego skutku. W Nikozji mieszkańcy miasta z obnażonymi głowami i boso obnosili krzyże po wszystkich dzielnicach miasta i bicowali się żelaznymi prętami. Wszystko na próżno. Nawet sam Franciszek a Paulo, który co roku dokonuje cudu deszczu i obnoszony jest w każdą wiosnę po ogrodach warzywnych, nie mógł czy też nie chciał przyjść z pomocą. Nic go nie mogło wzruszyć, a próbowano wszystkiego: mszy, nieszporów, koncertów, iluminacji, ogni sztucznych. Wreszcie chłopcy zaczęli tracić cierpliwość. Większość świętych skazana została na banicję. W Palermo postawili św. Józefa w ogrodzie, by sam na własne oczy zobaczył, co się dzieje, i zaklinali

³⁴ Ptak - dolar - australijski ptak (*Eurystomus pacificus*), zwany tak z powodu jasnej okrągłej plamki na skrzydle.

się, że go tu zostawią na słońcu, jeśli deszcz nie spadnie. Innych świętych postawiono twarzą do ściany jak niegrzeczne dzieci. Inni znowuż zostali pozbawieni swych pięknych szat, wypędzeni z parafii, obrzucano ich pogróżkami i wyzwiskami i wrzucano do sadzawek dla koni. W Caltanissetta zerwano archaniołowi Michałowi złote skrzydła i przyczepiono tekturowe, a purpurowy płaszcz zastąpiono szmatą. W Licata patronowi, św. Angelo, powiodło się jeszcze gorzej, rozebrano go bowiem do naga, obrzucono wyzwiskami, zakuto w kajdany i grożono utopieniem lub powieszeniem. "Deszcz albo strygzek", wył rozwścieczony tłum wymachując pięściami.

Czasami próba ma na celu wzbudzenie litości bogów. Gdy słońce spala kukurydzę, Zulusi szukają "niebiańskiego ptaka", zabijają go i wrzucają do sadzawki. Niebiosa topnieją z litości nad ptakiem, "opłakują go lamentami pogrzebowymi". W Zululand kobiety niekiedy zagrzebują swe dzieci w ziemi po szyję i odchodzą na pewną odległość, po czym zaczynają długo zawodzić. Niebo na ten widok ma stopnieć z litości. Następnie kobiety wykopują dzieci i przekonane są, że teraz już deszcz spadnie z pewnością. Mówią, że zwracają się do "pana na górze", i proszą go o zesłanie deszczu, a gdy deszcz spada, mówią, że to "spada deszczem Usondo". Podczas posuchy Guanczowie z Teneryty prowadzą swe owce na święte pole i tam odbierają jagniątka od matek, by ich żalosne beczenie wzruszyło serca bogów. W Kumaon dla powstrzymania deszczu wlewa się gorącą oliwę w lewe ucho psa. Zwierzę wyje z bólu, Indra słyszy to wycie i z litości dla psa wstrzymuje deszcz. Toradże natomiast posługują się niekiedy następującym sposobem ściągnięcia deszczu. Umieszczają lodygi pewnych roślin w wodzie i mówią: "Idź, proś o deszcz, a jak długo nie będzie deszczu, nie posadzimy cię z powrotem i tu zginiesz." Przywiązują również do sznurka kilka ślimaków, zawieszają sznurek na drzewie i zwracają się do ślimaków: "Idźcie, proście o deszcz, a jak długo nie będzie deszczu, nie zaprowadzimy was z powrotem do wody." Idą więc ślimaki i płaczą, a bogowie litują się nad nimi i zsyłają deszcze. Zabiegi te jednak są bardziej natury religijnej aniżeli magicznej, ponieważ mają również na celu wzbudzenie litości siły wyższej.

Kamieniom często przypisywane są właściwości sprowadzania deszczu. W tym celu muszą być albo zanurzone w wodzie, albo nią skropione względnie poddane jakimś podobnym zabiegom. W wioskach na Samoa był kamień troskliwie przechowywany jako przedstawiciel boga deszczu. W czasie posuchy noszono ten kamień w procesji i kapłani zanurzali go w strumieniu. W Sagami w Japonii istnieje kamień, który zawsze ściąga deszcz, gdy się go poleje wodą. Gdy plemię Wakondjo w Afryce Środkowej potrzebuje deszczu, posyłają ludzi do Wawambów, którzy mieszkają u podnóża śnieżnej góry i są szczęśliwymi posiadaczami "kamienia deszczowego". Za odpowiednią zapłatą Wawambowie myją cenny kamień, namaszczają go olejem i wkładają do garnka z wodą. Jest to niezawodny sposób na sprowadzenie deszczu. Apaczowie zamieszkujący suche pustynie Arizony i Nowego Meksyku usiłują spowodować deszcz czerpiąc wodę z pewnego źródła i wylewając ją w wyznaczonym miejscu wysoko na skale. W ich przekonaniu w niedługim czasie po takim zabiegu chmury się pojawią i deszcz spadnie.

Zwyczaje tego rodzaju nie są jednak wyłącznym przywilejem puszczy afrykańskich i azjatyckich czy też spalonych słońcem pustyń Australii i Nowego Świata. Praktykowano je również w chłodniejszym klimacie i pod szarym niebem Europy. W "dzikich puszczech Broceliandy" jest źródło zwane Barenton, cieszące się romantyczną sławą. W pobliżu tego źródła, jeśli wierzyć legendzie, w cieniu krzaku głogu wciąż jeszcze śpi czarownik Merlin, pogrążony w magicznym śnie. Tu udawali się chłopci bretońscy, gdy potrzebowali deszczu. Nabierali wodę do dzbana i wylewali ją na głaz znajdujący się w pobliżu źródła. Na Snowdonie jest samotne jezioro zwane Dulyn albo "Czarnym Jeziorem", leżące w "głębokiej kotlinie otoczonej wysokimi i groźnymi skałami". Do jeziora prowadzi szereg kamiennych stopni i gdy człowiek stanie na jednym z kamieni i chluśnie wodą tak, że zmoczy ona kamień najdalszy, zwany Czerwonym Ołtarzem, wówczas "tylko przypadek może zrzucić, że deszcz nie spadnie przed wieczorem, nawet jeśli dzień jest upalny". Prawdopodobnie, tak jak na Samoa, uważa się, że kamień obdarzony jest mniejszą lub większą siłą boską. Potwierdza to również zwyczaj, który czasami można zaobserwować, polegający na zanurzeniu krzyża w źródle Barenton w celu sprowadzenia deszczu, jest to bowiem oczywista chrześcijańska namiastka starego pogańskiego rytuału polewania kamienia wodą. Do niedawna w wielu okolicach Francji zanurzano w wodzie wizerunek świętego, by sprowadzić deszcz. Niedaleko starego opactwa Commagny znajduje się źródło Św. Gerwazego, do którego z okolicy ciągną procesje, gdy deszcze potrzebne są plonom. W czasie wielkiej suszy ludzie wrzucają do basenu fontanny starożytny kamienny posąg świętego, stojący zazwyczaj w niszy, z której źródło wytryskuje. W Collobrieres podobnym zabiegom poddawany jest św. Pons, a w Carpentras św. Gens. W wielu wioskach Nawarry z modlitwami o deszcz zwracano się do św. Piotra, a dla wzmocnienia skuteczności modłów ruszała procesja chłopów z wizerunkiem świętego ku rzece, gdzie trzykrotnie wzywano go, by się opamiętał i spełnił ich prośby.

Gdy to nie odnosiło skutku, zanurzali go w wodzie nie zważając na prośby kleru, który z nabożności, jak też i zgodnie z prawdą, podkreślał, że upomnienia i ostrzeżenia odniosą skutek identyczny. Po takim zabiegu nie ulegało wątpliwości, że deszcze spadną w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Zanurzanie świętych wizerunków w wodzie w celu sprowadzenia deszczu nie jest bynajmniej monopolem krajów katolickich. W Mengrelui, gdy brak deszczu zagraża urodzajowi, wizerunek, któremu przypisuje się szczególną świętość, jest codziennie zanurzany w wodzie, dopóki deszcze nie spadną. Na Dalekim Wschodzie Szanowie polewają wizerunki Buddy wodą, gdy posucha zagraża zbiorom ryżu. We wszystkich praktykach tego rodzaju u podstaw leży prawdopodobnie magia sympatyczna, chociażby była nie wiem jak ukryta pod pozorami kar czy gróźb.

Rzymianie i Grecy, podobnie jak inne ludy, usiłowali ściągnąć deszcz za pomocą magii, gdy zawodziły modlitwy i procesje. W Arkadii, gdy kukurydza i drzewa usychały z braku deszczu, kapłan Zeusa zanurzał gałąź dębu w pewnym źródle na górze Lycaeus. Woda, której spokój zakłócono, wysyłała mglistą chmurę, z której wkrótce spadał na ziemię deszcz. Podobny sposób sprowadzania deszczu praktykują, jak widzieliśmy, do dziś na Halmahera niedaleko Nowej Gwinei. Mieszkańcy

Krannon w Tesalii mieli rydwan z brązu, który przechowywali w świątyni. Gdy potrzeba było deszczu, potrząsali rydwanem. Grzechotanie rydwanu miało prawdopodobnie naśladować grzmot, a jak widzieliśmy już, naśladowanie grzmotu i błyskawic stanowi element zaklęcia deszczu w Rosji i Japonii. Legendarny Salmoneus, król Elidy, naśladował grzmot wlokąc za swym rydwanem kociołki z brązu albo przejeżdżając przez most z brązu i rzucając równocześnie zapalone pochodnie naśladowujące błyskawice. W ten bezbożny sposób usiłował naśladować grmiący rydwan Zeusa pędzący po sklepieniu niebieskim. Obwołał się nawet sam Zeusem i kazał sobie składać ofiary. W pobliżu świątyni Marsa za murami Rzymu przechowywany był kamień zwany lapis *manalis*. W czasie posuchy głaz wciągano do miasta i to rzekomo sprowadzało natychmiast deszcz.

Czarownik, który uważa, że może ściągnąć deszcz, wyobraża sobie również, że może nakazać świecić słońcu, a także przyspieszyć lub wstrzymać jego bieg. Odżibueje sądzili, że słońce jest gaszone podczas zaćmienia. Po to więc, by je rozpaścić na nowo, strzelali z łuku w powietrze płonącymi strzałami. Indianie Sencis w Peru również strzelali płonącymi strzałami podczas zaćmienia słońca, ale, jak się zdaje, czynili to nie po to, by z powrotem światło zapalić, lecz by przepędzić dzikie zwierzę, które, ich zdaniem, walczyło z słońcem. Czysto magiczny charakter miał obrządek stosowany w takich wypadkach przez Indian z plemienia Chilcotin. Mężczyźni i kobiety podkasywali szaty i podpierając się kijami, jak gdyby dźwigali ciężary, chodzili w koło aż do końca zaćmienia. Uważali widocznie, że w ten sposób pomagają zmęczonemu słońcu w ciężkim marszu po niebie. W starożytnym Egipcie król jako przedstawiciel słońca uroczystie obchodził mury świątyni dla zapewnienia normalnej wędrówki słońca po niebie, nie przerywanej zaćmieniem ani innymi katastrofami. Po jesiennym zrównaniu dnia z nocą starożytni Egipcjanie obchodzili święto "narodzin wędrownego kija słońca", zakładano bowiem, że w miarę jak planeta coraz niżej znajduje się na niebie, a jej światło i ciepło się zmniejsza, coraz bardziej będzie potrzebować kija, którym się podeprze.

Ofiary składane rano przez braminów miały wywołać słońce i dowiadujemy się, "że bez tych ofiar słońce z pewnością by nie wzeszło". W starożytnym Meksyku słońce uważano za źródło wszelkiej siły życiowej. Stąd też otrzymało ono nazwę Ipalnemohuani: "Ten, dzięki któremu żyją ludzie." Ale użyczając światu życia musiało je również odeń otrzymywać. A ponieważ serce jest siedzibą i symbolem życia, składano słońcu w ofierze krwawiące serca ludzi i zwierząt, by utrzymać jego siły i umożliwić mu przebieganie drogi przez niebo.

Tak więc meksykańskie ofiary składane słońcu miały raczej charakter magiczny aniżeli religijny, jako że celem ich było nie tyle przebłaganie i pozyskanie przychylności boga, ile fizyczne odnowienie jego siły, ciepła, światła i ruchu. Stałe zapotrzebowanie na ofiary ludzkie dla podsycenia ognia słonecznego było źródłem dorocznych wojen z sąsiednimi plemionami, z których wojska przyprowadzały jeńców zabijanych następnie na ołtarzach. Tak oto nieustanne wojny toczone przez Meksykańczyków i okrutny system ofiar ludzkich, najokrutniejszy z wszystkich nam znanych, wywodził się w znacznej mierze z fałszywej teorii systemu słonecznego.

Trudno znaleźć bardziej uderzający przykład tragicznych konsekwencji praktycznych czysto spekulatywnego błędu. Starożytni Grecy wierzyli, że słońce podróżuje po niebie w rydwanie, dlatego też Rodyjczycy, którzy czcili słońce jako swe bóstwo naczelne, co roku poświęcali mu rydwan zaprzęzony w cztery konie, które wrzucano do morza, by słońce mogło się nimi posłużyć. Widocznie uważali, że po całorocznej pracy stare konie i rydwan już są zużyte. Podobnym motywem kierowali się zapewne bałwochwalczy królowie Judy składając słońcu w ofierze rydwan i konie, tak jak i Spartanie, Persowie i Massagetowie, którzy ograniczali się tylko do ofiarowywania koni. Spartanie ofiary swe składali na szczycie góry Tajgetos, za której pięknym szczytem co wieczór skrywało się słońce. Dla mieszkańców doliny spartańskiej było to rzeczą równie naturalną jak składanie ofiar w morzu dla wyspiarzy z Rodos, którzy znowuż widzieli, jak słońce pogrąża się w morzu. Tak więc czy to na szczycie góry, czy w głębinach morskich świeże konie czekały na zmęczonego boga wtedy, gdy były mu najbardziej potrzebne, to znaczy u kresu jego całodziennej podróży.

Tak jak niektórzy uważali, że mogą słońce zaświecić lub przyśpieszyć jego bieg, podobnie znowu inni sądzili, że mogą je powstrzymać lub opóźnić. Na jednej z przełęcz peruwiańskich Andów stoją na dwóch przeciwnych szczytach dwie walące się wieże. W ich ściany wbito żelazne haki, na których zawieszano sieć przeciąganą od jednej wieży do drugiej. W tę sieć chwymano słońce. Opowieści o ludziach, którzy schwyтали słońce w pętlę, są szeroko rozpowszechnione. Gdy słońce udaje się jesienią na południe i coraz niżej schodzi po arktycznym niebie, Eskimosi z plemienia Iglulik bawią się w kocią kołyskę³⁵, by złapać je w oczka sznura i nie pozwolić mu zniknąć. Na wiosnę zaś grają wręcz przeciwnie, chwytając kulkę w drewniany kieliszek, by przyśpieszyć powrót słońca. Gdy czarny Australijczyk chce zatrzymać słońce aż do swego powrotu do domu, wkłada w rozwidlenie pnia drzewa, dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie słońce zachodzi, darń. Natomiast by przyśpieszyć jego zachód, sypie w powietrze piasek i dmucha w kierunku słońca, pragnąc, być może, popchnąć na zachód zwlekającą planetę i zagrzebać ją pod piaskami, w których, jak uważa, kryje się ona nocą.

Człowiek pierwotny uważa również, że potrafi wywołać i powstrzymać wiatr. Gdy dzień jest upalny, a Jakut ma przed sobą daleką drogę, bierze kamień, który udało mu się znaleźć we wnętrznościach zwierzęcia lub ryby, owija go końskim włosiem i przywiązuje do kija. Po czym kilkakrotnie wymachuje tym kijem i wypowiada zaklęcia. Wkrótce pojawia się chłodny wietrzyk. Po to, by wiatr chłodny wiał przez dziewięć dni, kamień musi być wpierw zanurzony w krwi ptaka lub zwierzęcia, a potem ofiarowany słońcu. W czasie składania ofiary czarownik trzykrotnie okręca się wokół własnej osi w kierunku przeciwnym do słońca. Gdy Hotentot pragnie, by wiatr ustał, bierze jedną ze swych najtłustszych skór i zawiesza ją na końcu pała w przekonaniu, że dmuchając w skórę wiatr się zmęczy, straci siłę i ustanie.

W Szkocji czarownice wywoływały wiatr zanurzając szmatę w wodzie, uderzając nią trzykrotnie w kamień i śpiewając przy tym:

³⁵ K o c i a k o ł y s k a - popularna zabawa dziecinna, polegająca na robieniu i spuszczeniu oczek ze sznurka.

*Praskam tą szmatą o kamień,
W imię czarta, wiatr niech wstanie -
I dmie na me zawołanie!*

W starożytności w Koryncie mieszkała rodzina, która cieszyła się sławą posiadania umiejętności uspokajania szalejącego wiatru. Nie wiem jednak, w jaki sposób członkowie tej rodziny spełniali tę pożyteczną funkcję, prawdopodobnie przynoszącą im poza sławą jeszcze inne, bardziej trwałe korzyści wśród żeglarskiej ludności przesmyku. Nawet w czasach chrześcijańskich, za panowania Konstantyna, niejaki Sopater został stracony w Konstantynopolu za związanie wiatrów za pomocą magii, albowiem tak się złożyło, że okręty wiozące zboże z Egiptu i Syrii zatrzymały się na pełnym morzu z powodu ciszy morskiej lub wiatrów wiejących w dzioby okrętów, co wywołało zamieszki głodnego motłochu bizantyjskiego. Fińscy czarownicy sprzedali wiatr żeglarzom, którzy utknęli w porcie z powodu braku wiatru. Wiatr zawiązany był na trzy węzły. Po rozwiązaniu pierwszego, zaczynał wiać łagodny wietrzyk, po drugim rozpętywał się sztorm, po trzecim - huragan. Estończycy, których od Finlandii dzieli jedynie odnoga morska, nadal wierzą w magiczne umiejętności swych sąsiadów z Północy. Zaciekle wichry dmące z północy i północnego wschodu, sprowadzające febrę i reumatyzm, przypisuje prosta ludność wiejska Estonii machinacjom fińskich czarowników i czarownic. Szczególnie obawiają się Estończycy trzech dni wiosennych zwanych Dniami Krzyżowymi, z których jeden wypada w wilię Wniebowstąpienia. W te dni ludność okolic Fellina obawia się wychodzić z domu, by mroźne wiatry z Laponii nie poraziły ich śmiertelnie. Ludowa pieśń estońska tak oto brzmi:

*O wietrze krzyża potężny, szumiący!
O, jakże ciężki skrzydeł twoich szum!
Wietrze niedoli i trosk - zawodzący,
Na twoich skrzydłach czarowników tłum.*

Opowiadają również, że w Zatoce Fińskiej żeglarze zmagający się z wichurą widzą niekiedy dziwny okręt wylaniający się za rufą, i szybko ich wymijający. Nadciąga w obłoku płócien, wszystkie żagle są rozwinięte, płynie prosto pod wiatr, przecina pieniające się bałwany i pruje dziobem zwały piany zalewające pokład, idzie z żaglami tak wydętymi, że, zda się, za chwilę pękną, z linami tak napiętymi, że omal nie trzaskają. I wtedy żeglarze wiedzą, że okręt ten przybywa z Finlandii.

Sztuka zawiązywania wiatru na trzy węzły w taki sposób, by za każdym rozwiązaniem węzłem wzrastała siła wiatru, przypisywana jest czarownikom w Laponii i czarownicom na Szetlandach, Lews i na wyspie Man. Szetlandzcy żeglarze wciąż jeszcze kupują wiatr w postaci związanych na węzeł chustek względnie nici od starych kobiet, które twierdzą, że panują nad sztormami. Do dziś istnieją rzekomo w Lerwick stare baby żyjące ze sprzedaży wiatru. Ulisses otrzymał wiatry w skórzanym worze od Eola, króla wiatrów. Motumotu na Nowej Gwinei uważają, że sztormy zsyła czarownik z plemienia Ojabu. Trzyma on wiatry zamknięte w bambusach, które otwiera, gdy mu się spodoba. Na szczycie góry Agu w Togo w Afryce Zachodniej mieszka fetysz zwany Bagba, któremu przypisują władzę nad deszczem i wiatrem. Jego kapłani trzymają rzekomo wiatry zamknięte w dużych garach.

Wichura uważana jest często za złą istotę, którą można przestraszyć, przepędzić, a nawet zabić. Gdy sztormy i niepogoda trwają zbyt długo i Eskimosom zaczyna brakować żywności, próbują zaczarować wiatr sporządzając długi bicz z trawy morskiej i tak wyposażeni udają się na brzeg, uderzają w kierunku wiatru i wołają: "Taba!" (dosyc). Pewnego razu, gdy wiatr północno-zachodni zbyt długo zatrzymywał lód przy brzegu i zaczynało brakować pożywienia, Eskimosi urządzili specjalną ceremonię, by go uspokoić. Rozpalono na brzegu ogień, wokół którego zebrali się i śpiewali mężczyźni. Następnie zbliżył się do ognia starzec i przymilnie zaprosił ducha wiatru, by przybył zagrześć się przy ogniu. Gdy już duch rzekomo przybył, wiadro wody, do którego każdy z obecnych wlał swoją część, wylał ów starzec na płomienie i natychmiast rój strzał popędził w kierunku miejsca, w którym było ognisko. Eskimosi uważali, że demon nie pozostanie w miejscu, w którym go tak źle przyjęto. By sprawę skutecznie doprowadzić do końca, strzelano z karabinów we wszystkich kierunkach, a kapitana europejskiego statku poproszono, by dał salwę z działka w stronę wiatru. Dwudziestego pierwszego lutego 1883 r. podobną ceremonię urządzili Eskimosi z Point Barrow na Alasce w celu zamordowania ducha wiatru. Kobiety pędziły demona ze swych domostw pałkami i nożami, którymi wymachiwały w powietrzu, a mężczyźni zebrani wokół ogniska palili do niego ze swych strzelb i zadusili go pod ciężkim głazem, w chwili gdy obłok pary wznosił się z tlejących głowni oblanych wodą.

W świetle podanych wyżej przykładów zupełnie prawdopodobną wydaje się historia opowiedziana przez Herodota, którą dotąd współcześni krytycy uważali za baśń. Twierdzi on, nie ręcząc za prawdziwość, że niegdyś w krainie Psylii, współczesnej Trypolitanii, wiatr wiejący z Sahary wysuszył wszystkie zbiorniki wody. Ludzie wobec tego po naradzeniu się wyruszyli razem na wojnę przeciwko południowemu wiatrowi. Ale gdy znaleźli się na pustyni, spotkał ich samum i pogrzebał wszystkich pod piaskiem. Mógł tę historię opowiedzieć naoczny świadek, który widział, jak wyszli w szyku bojowym z bębnami i cymbałami w czerwone chmury wirującego piasku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

CZAROWNICY JAKO KRÓLOWIE

Jak wynika z przytoczonych dowodów, w wielu krajach i u wielu narodów magia pretendowała do władzy nad potężnymi siłami przyrody, dzięki której mogła je wykorzystywać dla dobra człowieka. W takich okolicznościach ci, którzy tę sztukę uprawiali, musieli posiadać znaczne wpływy i odgrywać poważną rolę w każdym społeczeństwie dającym wiarę ich przesadnym uroszczeniom. Nic więc dziwnego, że dzięki sławie, którą się cieszyli, i nabożnemu lękowi, jaki budzili, niektórzy z nich potrafili dojść do najwyższej władzy nad swoimi łatwowiernymi bliźnimi. W rzeczy samej okazuje się, że czarownicy często zostawali wodzami lub królami.

W Afryce królem często zostawał czarownik, szczególnie zaklinacz deszczu. Do awansu jego zapewne przyczyniła się również bojaźń, która go otaczała, i bogactwa, jakie nagromadził wykonując swój zawód. Ale jeśli nawet kariera czarownika lub zaklinacza deszczu przynosi wielkie korzyści temu, kto zawód ten uprawia pomyślnie, to równocześnie na nieumiejętnego czy nie obdarzonego szczęściem artystę czyhają liczne zasadzki. Pozycja publicznego czarownika jest zaiste bardzo niepewna. Tam bowiem, gdzie ludzie wierzą, że od jego władzy zależny jest deszcz, światło słoneczne i plony ziemi, przypisują posuchę i nieurodzaj jego karygodnej niedbałości lub złośliwemu uporowi i odpowiednią mu wymierzają karę. W Afryce wódz, który nie sprowadzi na czas deszczu, często bywa skazywany na banicję lub zabijany. W niektórych okolicach Afryki Zachodniej, gdy modlitwy i ofiary składane królowi nie przynoszą deszczu, poddani związują go sznurami i siłą zaciągają do grobu przodków, by od nich uzyskał potrzebny deszcz. Bandzarowie w Afryce Zachodniej przypisują swemu królowi moc sprowadzania deszczu lub dobrej pogody. Jak długo pogoda dopisuje, zasypują go darami w postaci bydła i zboża. Gdy jednak długotrwała susza lub deszcze zagrażają plonom, tak długo maltretują go i biją, aż pogoda się zmieni. Gdy zbiory zawiodą lub gdy fala przy brzegu jest tak wysoka, że uniemożliwia połów ryb, lud Loange oskarża swego króla o "złe serce" i zmusza go do ustąpienia. Na Pieprzowym Wybrzeżu arcykapłan względnie król fetyszu, noszący tytuł Bodio, jest odpowiedzialny za zdrowie społeczności, płodność ziemi i obfitość ryb w morzu i rzekach. Jeśli natomiast kraj spotka klęska choroby lub nieurodzaju, Bodio jest pozbawiony swego urzędu. W Ussukuma, wielkim rejonie na południowym brzegu Jeziora Wiktorii, "problem deszczu i szarańczy jest ściśle związany z rządami sułtana. Musi on umieć zaklinać deszcz i przepędzać szarańczę. Jeśli wraz ze swoimi znachorami nie potrafi tych rzeczy dokonać, wówczas w okresach trudności grozi mu poważne niebezpieczeństwo. Zdarzyło się, że gdy tak bardzo upragniony deszcz przez długi czas się nie zjawiał, sułtan został po prostu przepędzony (w Ututwa, koło Nassy). Lud jest przekonany, że władca musi panować nad przyrodą i jej zjawiskami."

W wielu innych częściach świata uważano, że królowie powinni umieć regulować zjawiska przyrody dla dobra swych ludów, i gdy tego nie czynili, byli w odpowiedni sposób karani. Scytowie, jak się zdaje,

pęta króla, gdy brakło pożywienia. W starożytnym Egipcie święci królowie byli winni nieurodzaju, ale za siły przyrody były również odpowiedzialne święte zwierzęta. Gdy na kraj spadała na skutek długiej i okrutnej posuchy zaraza lub tym podobne klęski, kapłani wyprowadzali w nocy zwierzęta i wygrażali im, a gdy zło nie ustępowało, zarzynali je. Na wyspach koralowych Niue, czyli Sagave Islands, na Południowym Pacyfiku, rządziła dawniej dynastia królów. Jako że królowie byli również arcykapłanami, odpowiedzialnymi za urodzaj, rozgniewany lud zabijał ich w okresach głodu, aż doszło do tego, że nikt nie chciał zostać królem, i w ten sposób monarchia upadła. Starożytni pisarze chińscy podają, że na Korei za każdym razem, gdy deszcze zawodziły lub gdy ich było zbyt wiele i plony nie dojrzewały, winę zrzucano na króla. Jedni uważali wówczas, że należy go pozbawić tronu, inni natomiast, że powinno się go zabić.

Wiara w magiczne czy też nadprzyrodzone siły króla, dzięki którym może on użyźniać ziemię i obdarowywać innymi łaskami swych poddanych, była, jak się zdaje, powszechna wśród przodków wszystkich ras aryjskich począwszy od Indii aż po Irlandię, a jej ślady pozostały w naszym kraju do chwili obecnej. Starożytna hinduska księga praw, zwana "Prawami Manu", w następujący sposób przedstawia zalety rządów dobrego króla: "W takim kraju, w którym król unika zabierania własności śmiertelnych grzeszników, ludzie rodzą się we właściwym czasie i żyją długo. A plony gospodarza wyrastają tak, jak trzeba, każdy na swoim miejscu, a dzieci nie umierają i żadne potwory nie przychodzą na świat." W Grecji Homerowej królowie i wodzowie uchodzili za świętych lub boskich. Ich domy były boskie, a ich rydwany święte i uważano, że rządy dobrego króla powodują, iż czarna ziemia rodzi pszenicę i jęczmień, że drzewa uginają się pod owocami, trzody mnożą się, a morze daje ryby w obfitości. W wiekach średnich, gdy Waldemar I, król Danii, podróżował po Niemczech, matki przynosiły do niego swe dzieci, a gospodarze nasiona, by położył na nie ręce, uważając, że dzięki królewskiemu dotknięciu dzieci będą lepiej rosły; kierując się tym samym wierzeniem chłopci prosili go, by za nich siał ziarno. Starożytni Irlandczycy wierzyli, że gdy ich król przestrzega obyczajów przodków, wówczas pory roku są łagodne, plony bogate, bydło płodne, w wodach jest obfitość ryb, a gałęzie drzew trzeba podpierać, by nie łamały się pod ciężarem urodzaju. Kanon przypisywany św. Patrykowi wylicza między błogosławieństwami przypadającymi na rządy króla sprawiedliwego "piękną pogodę, spokojne morza, obfite plony i drzewa obładowane owocami". Równocześnie nieurodzaj, brak mleka u krów, złe zbiory owoców i nieudane żniwa były nieomylnym dowodem, że rządził zły król.

Być może, ostatnim przeżytkiem tych przesądów, ciągnących się za naszymi angielskimi królami, było przekonanie, że są oni w stanie przez dotknięcie leczyć skrofuły. Choroba ta była też znana jako "choroba królewska". Królowa Elżbieta często dokonywała cudownych uzdrowień, W dzień św. Jana 1663 r. król Karol I za jednym zamachem uzdrowił stu pacjentów w kaplicy królewskiej w Holyrood, ale dopiero za rządów jego następcy, Karola II, zwyczaj ten, jak się zdaje, osiągnął szczytowe nasilenie. Mówią, że w ciągu swego panowania Karol II położył ręce na sto tysięcy chorych na skrofuły. Ścisk, który wokół niego powstawał był straszliwy. Przy jednej takiej okazji sześciu lub siedmiu spośród tych

którzy przybyli, by ich wyleczyć, stratowano na śmierć. Rozsądny Wilhelm III pogardliwie traktował wszystkie te kosałki-opałki i nie brał w nich udziału, a gdy pałac jego otoczył jak zwykle śmierdzący tłum kazał ludzi odesłać obdzielwszy przedtem jałmużną. Gdy raz jeden nakłoniono go, by położył ręce na chorym, powiedział: "Niech ci Bóg da lepsze zdrowie i więcej rozumu." Czynności te jednak kontynuował, jak się tego można było spodziewać, tępy bigot Jakub II i jego tępą córką królową Anna.

Również i królowie francuscy uważali, że posiadają dar leczenia prze dotknięcie, który rzekomo odziedziczyli po Klodwigu czy św. Ludwiku podczas gdy nasi angielscy królowie otrzymali ten dar od Edwarda Wyznawcy. Podobnie uważano, że dzicy wodzowie Tonga mieli dar leczenia skrofułów i marskości wątroby przez dotknięcie nogą. Leczenie był ściśle homeopatyczne, ponieważ zarówno chorobę, jak i uzdrowieni uważano za wynik zetknięcia się z osobą królewską względnie z cymkolwiek, co do niej należało.

Wydaje się więc, że w zasadzie mamy prawo wyciągnąć wniosek, i w wielu częściach świata królowie są następcami dawnych czarowników lub znachorów. Z chwilą gdy specjalna klasa czarowników została wydzielona ze społeczeństwa i gdy powierzono jej wykonywanie obowiązków, od których, jak wierzone, zależało bezpieczeństwo publiczne i dobrobyt, ludzie ci stopniowo zaczęli skupiać w swym ręku bogactwa i władzę, a ich przywódcy przekształcali się w królów-pomazańców. Ale wielkiej rewolucji społecznej zaczynającej się w tym wypadku od demokracji i kończącej się na despotyzmie towarzyszy rewolucja intelektualna, wpływająca zarówno na funkcję, jak na wyobrażenie o królewskości. W miarę bowiem upływu czasu fałszywość magii staje się coraz bardziej oczywista dla bystrzejszych umysłów i stopniowo ustępuje miejsca religii. Innymi słowy, na miejsce czarownika przychodzi kapłan, który rezygnuje z prób bezpośredniego wykorzystania żywiołów przyrody dla dobra człowieka, próbuje osiągnąć ten sam cel pośrednio przez zwracanie się do bogów, by uczynili dla niego to, czego on sam nie jest już w stanie dla siebie zrobić. Tak więc król, który zaczyna swoją karierę jako czarownik, stopniowo zamienia praktyki magiczne na funkcje kapłańskie modlenia się i składania ofiar. I chociaż różnica między ludzkim i boskim nie jest jeszcze wyraźnie zaznaczona, często wytwarza się przekonanie, że ludzie mogą sami osiągnąć boskość nie tylko po swej śmierci, lecz jeszcze za życia dzięki temu, że chwilowo czy na stałe zamieszka w nich wielki i potężny duch. Żadna klasa społeczna nie odniosła tyle korzyści co królowie z wiary w możliwość wcielenia się boga w ludzką istotę. Doktryna tej inkarnacji, a wraz z nią cała teoria boskości królów w ścisłym znaczeniu tego słowa będzie tematem następnego rozdziału.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

LUDZKIE WCIELENIENIA BOGÓW

Przykłady, które we wcześniejszych rozdziałach zaczerpnąłem z wierzeń i praktyk ludów barbarzyńskich na całym świecie, wystarczą zapewne, by udowodnić, że człowiek dziki nie jest w stanie pojąć granic swej władzy nad przyrodą, tak dla nas oczywistych. W społeczeństwie, w którym każdy człowiek uchodzi za wyposażonego w siły nadprzyrodzone w mniejszym lub większym stopniu, jest rzeczą jasną, że granice między ludźmi a bogami są nieco zatarte, a raczej jeszcze się nie pojawiły. Koncepcja bogów jako istot nadludzkich, zasobnych w siły nie dające się w ogóle porównać pod względem potęgi, a nawet i rodzaju z siłami człowieka, rozwijała się powoli w historii. Ludy prymitywne nie uważają, że czynniki nadprzyrodzone znacznie czy też w ogóle przewyższają człowieka, mogą je bowiem zastraszyć i zmusić do posłuszeństwa. Na tym etapie rozwoju myśli ludzkiej świat pojmowany jest jako wielka demokracja. Wszystkie zamieszkujące go istoty, zwyczajne i nadprzyrodzone, znajdują się na szczeblu jakiejś takiej równości. Ale w miarę jak wzrasta jego wiedza, człowiek uświadamia sobie, jak rozległa jest przyroda i jak mały i słaby jest wobec niej. Uznanie jednak własnej bezsiły nie pociąga za sobą wiary w bezsilność tych nadludzkich istot, którymi człowiek zaludnia wszechświat. Wręcz przeciwnie, potęguje jeszcze jego przekonanie o ich potędze. Nie zaświtała mu jeszcze czy też nie zaciemniła jego horyzontów koncepcja świata jako systemu bezosobowych sił działających zgodnie ze stałymi i niezmiennymi prawami. Zarodek takiej idei na pewno już tkwi w nim i zgodnie z nią działa nie tylko w dziedzinie magii, lecz w życiu codziennym, ale nie rozwija się i jak dotąd, gdy próbuje objaśnić świat, w którym żyje, przedstawia go sobie jako przejaw świadomej woli i osobowego działania. Skoro sam jest tak słaby i niepozorny, jakże wielkie i silne muszą być istoty kierujące potężną machiną przyrody! Tak więc w miarę jak z wolna niknie dawne jego przekonanie o równości z bogami, coraz bardziej rezygnuje z kierowania biegiem natury własnymi siłami, bez niczyjej pomocy, i coraz częściej spogląda ku bogom jako jedynym siedliskom tych sił nadprzyrodzonych, które, jak niegdyś sądził, z nimi dzieli. Tak więc z postępem wiedzy modlitwy i ofiary stopniowo zaczynają zajmować przodujące miejsce w obrządku religijnym, a magia, która niegdyś prawowicie zajmowała równorzędne miejsce, stopniowo usuwa się na dalszy plan i przekształca się w czarną magię. Uchodzi teraz za próżne i bezbożne wdarcie się w domenę bogów i napotyka systematyczny opór kapłanów, których znaczenie i wpływy rosną lub upadają wraz z rolą ich bogów. Oto dlaczego w późniejszym okresie, gdy pojawiły się różnice między magią a religią, ofiary i modlitwy są wyjściem dla nabożnej i oświeconej części społeczeństwa, natomiast magia jest ucieczką ludzi przesądnych i ciemnych. Gdy jednak później jeszcze koncepcja sił elementarnych jako czynników osobowych ustępuje miejsca uznaniu praw natury, magia, oparta bezpośrednio na koniecznej i niezmiennej kolejności przyczyny i skutku niezależnych od woli człowieka, powraca z zapomnienia i lekceważenia, które ją otaczało, i przez badanie przyczynowości w przyrodzie toruje drogę nauce. Alchemia prowadzi do chemii.

Koncepcja człowieka-boga względnie istoty ludzkiej obdarzonej boską, czyli nadprzyrodzoną siłą należy w zasadzie do owego wczesnego okresu historii religii, w którym bogowie i ludzie uważani byli jeszcze za istoty równorzędne, zanim rozdzieliła je nieprzekraczalna przepaść, którą rozwarła między nimi późniejsza filozofia. Może więc wydawać się nam dziwna koncepcja boga wcielonego w postać ludzką, ale nie dziwiła ona wcale człowieka, widzącego w człowieku-bogu lub bogu-człowieku jedynie wyższy stopień tej samej nadprzyrodzonej siły, którą w absolutnie dobrej wierze przypisuje sobie. Nie istnieją również dla niego wyraźnie określone rozgraniczenia między bogiem a potężnym czarownikiem. Jego bogowie bywają często jedynie niewidzialnymi czarownikami, praktykującymi za zasłoną przyrody te same czary i zaklęcia, które człowiek-czarownik wykonuje w sposób widoczny i materialny wśród swoich bliźnich. A jako że według powszechnego wierzenia bogowie ujawniają się swoim wyznawcom w postaci wizerunków ludzkich, łatwo jest czarownikowi, posiadającemu rzekomo siły cudotwórcze, uchodzić za boga wcielonego. Tak więc czarownik lub znachor, który zaczął skromnie od zwykłego czarodzieja, przekształca się w króla i boga w jednej osobie. Tyle tylko, że mówiąc o nim jako o bogu musimy wystrzegać się wprowadzania do pierwotnych koncepcji boskości tych bardzo abstrakcyjnych pojęć, które wiążemy z tym określeniem. Nasze poglądy na ten złożony problem są owocem długiej ewolucji intelektualnej i moralnej i są tak odległe od mentalności człowieka prymitywnego, że nie byłby ich w stanie zrozumieć, nawet gdyby usiłowano mu je wytłumaczyć.

Boje toczono wokół religii niższych ras wynikały jedynie z wzajemnego nieporozumienia. Dziki nie rozumie sposobu myślenia człowieka cywilizowanego, a niewielu ludzi cywilizowanych rozumie sposób myślenia człowieka dzikiego. Dziki mówiąc o bogu ma na myśli określoną istotę, człowiek cywilizowany posługując się słowem "bóg", ma na myśli zupełnie odmienną istotę, a gdy, jak to się często zdarza, obaj nie są w stanie wzajemnie uznać swoich punktów widzenia, z dyskusji nie wyniknie nic poza zamieszaniem i nieporozumieniami. Gdy my, ludzie cywilizowani, nastajemy na ograniczenie imienia Boga do tej szczególnej koncepcji natury boskiej, którą sami stworzyliśmy, wówczas zmuszeni jesteśmy dojść do wniosku, że dziki w ogóle żadnego boga nie ma. Ale bliżsi będziemy historycznym faktom, gdy przyznamy większości dzikich znajdujących się na wyższym szczeblu rozwoju przynajmniej elementarne pojęcie o pewnych nadprzyrodzonych istotach, które można słusznie nazwać bogami, chociaż niezupełnie w tym sensie, w jakim my tego słowa używamy. Ta elementarna koncepcja jest zapewne zarodkiem, z którego ludzie cywilizowani wyhodowali stopniowo swe własne wysokie pojęcia o bóstwie, i jeśli potrafilibyśmy prześledzić cały bieg rozwoju religii, być może, stwierdzilibyśmy, że łańcuch wiążący nasze pojmowanie Boga z koncepcją człowieka dzikiego jest ciągły i nieprzerwany.

Po tych zastrzeżeniach i wyjaśnieniach przytoczę obecnie kilka przykładów bogów, którzy, jak wierzyli ich wyznawcy, wcielili się w żywe istoty ludzkie obojga płci. Osoby, w których ujawnia się bóstwo, bynajmniej nie zawsze bywają królami czy potomkami królów. Przypuszczalna inkarnacja może nastąpić nawet wśród ludzi najskromniejszego pochodzenia. W Indiach na przykład jeden z bogów wcielonych w człowieka rozpoczął żywot jako blecharz tkanin bawełnianych, inny zaś był synem cieśli.

Nie będę wobec tego czerpał moich przykładów wyłącznie spośród osób obdarzonych królewskim dostojenstwem, jako że pragnę zilustrować ogólną zasadę deifikacji istot ludzkich, innymi słowy, wcielenie się boga w kształty ludzkie. W społeczeństwach prymitywnych tego rodzaju bogowie wcieleni w ludzi są zjawiskiem pospolitym. Inkarnacja może być tymczasowa lub stała. W pierwszym wypadku inkarnacja, powszechnie znana jako natchnienie lub opętanie, przejawia się raczej w nadprzyrodzonej wiedzy aniżeli w nadprzyrodzonych siłach. Inaczej mówiąc, jej pospolitymi objawami są przepowiednie i prorocтва, a nie cuda. Gdy natomiast inkarnacja nie jest jedynie tymczasowa, gdy duch boski zamieszkał na stałe w ludzkim ciele, oczekuje się zazwyczaj od boga-człowieka, że złoży dowody swojej boskości dokonując cudów. Musimy jedynie pamiętać, że ludzie na tym szczeblu rozwoju nie uważają cudów za złamanie praw przyrody. Nie pojmując istnienia praw przyrody, prymitywny człowiek nie jest w stanie pojąć, w jaki sposób można by je przekroczyć. Cud jest dla niego jedynie niezwykłym przejawem zwykłych mocy.

Wiara w inkarnację tymczasową, czyli w natchnienie, jest rozpowszechniona na całym świecie. Niektóre osoby od czasu do czasu bywają opętane przez ducha lub bóstwo, a w tym czasie gdy trwa opętanie, ich własna osobowość jest jakby w zawieszeniu. Obecność ducha objawia się w konwulsyjnych dreszczach i drzeniu całego ciała, w dzikich ruchach, gestach i podnieconych spojrzeniach, nie przypisywanych samemu człowiekowi, lecz duchowi zamieszkującemu w nim i przemawiającemu jego ustami. Na wyspach Efate (Sandwich) król uosabiający boga wypowiadał wyrocznie boga z ukrycia za trzciniowym parawanem, ale na południowych wyspach Pacyfiku "bóg częstokroć wstępuje w kapłana, który, jakby napompowany boskością, przestaje przemawiać i działać z własnej woli, lecz wyłącznie pod wpływem nadprzyrodzonym. Pod tym względem istniało uderzające podobieństwo między prymitywnymi wyroczniami Polinezyjczyków i słynnych narodów starożytnej Grecji. Z chwilą gdy bóg wstępował w kapłana, stawał się on niezwykle podniecony i doprowadzał się pozornie do zupełnego szału. Mięśnie drżały konwulsyjnie, ciało nabrzmiewało, na twarzy pojawiał się straszliwy grymas, rysy były zniekształcone, a oczy spoglądały dziko i nienaturalnie. W tym stanie kapłan często tarzał się po ziemi, piana ukazywała się na jego ustach, jak gdyby cierpiał z powodu boskości, która go opętała, a ostre okrzyki, gwałtowne i często niewyraźne dźwięki ujawniały wolę boską. Kapłani celebrujący, znajdujący się na tajemnicach, odbierali i przekazywali ludowi oświadczenie otrzymane tą drogą. Gdy kapłan kończył ogłaszać odpowiedź wyroczni, gwałtowne paroksyzmy stopniowo uspokajały się ustępując względnemu opanowaniu. Bóg jednak nie zawsze opuszczał kapłana natychmiast po zakomunikowaniu swego orzeczenia. Niekiedy ten sam *taura*, czyli kapłan, bywał opętany przez duchy czy bóstwo i trwało to dwa lub trzy dni. Kawalek płótna specjalnego gatunku owinięty wokół jednego ramienia oznajmiał o natchnieniu względnie o obecności boga w osobie, która je nosiła. Uczynki tego człowieka w owym okresie były uważane za uczynki boga, dlatego największe znaczenie przypisywano jego wypowiedziom i całemu zachowaniu... Podczas *uruhia* (pod inspiracją

ducha) kapłan zawsze uchodził za równie świętego jak bóg i zwany był w tym czasie *atua*, bóg, chociaż normalnie zwany był jedynie *taura* - kapłanem."

Przykłady chwilowego natchnienia tego rodzaju są tak pospolite w każdej części świata i znane są obecnie tak dobrze dzięki książkom o etnologii, że zbyteczną byłoby rzeczą mnożenie przykładów tej ogólnej zasady. Warto jednak, być może, przytoczyć dwa szczególne sposoby wywoływania chwilowego natchnienia, ponieważ są one prawdopodobnie mniej znane od innych i ponieważ w dalszym ciągu będziemy jeszcze do nich wracali. Jednym z tych sposobów jest picie świeżej krwi poświęconej ofiary. W świątyni Apollina Diradiotesa w Argos raz w miesiącu, nocą, składano w ofierze jagnię. Kobieta, zobowiązana do przestrzegania czystości, piła krew jagnięcia i w ten sposób natchniona przez boga prorokowała lub przepowiadała przyszłość. W Egirze w Achai kapłanka ziemi piła świeżą krew byka, zanim zstępowała do pieczary, by wygłaszać proroctwa. Kuruwikkaranie, kasta łowców ptaków i żebraków w Indiach południowych, wierzą, że bogini Kali wstępuje w kapłana, który ogłasza wyrocznie po napiciu się krwi płynącej z otwartego gardła kozy. U Alfurów w Minahassa na Północnym Celebesie podczas specjalnej uroczystości kapłan rzuca się wściekle na zarżniętą świnię i pije jej krew. Potem odciąga się go siłą, sadza na krześle, a wtedy zaczyna przepowiadać, jak udadzą się w tym roku zbiory ryżu. Raz jeszcze dopada zabitego zwierzęcia i znowu pije krew, po raz drugi siłą sadza się go na krześle, po czym dalej ciągnie swe przepowiednie. Uważa się, że moc prorokowania posiada duch, który w nim zamieszkał.

Inny sposób wywołania chwilowego natchnienia, o którym tu wspomnę, polega na użyciu świętego drzewa lub świętej rośliny. W Hindukuszu rozpala się ognisko z gałęzi świętego cedru, a *dainyal*, czyli prorokini, z głową osłoniętą chustą, wdycha gęsty, gryzący dym, aż dostaje konwulsji i pada bez zmysłów na ziemię. Po chwili wstaje i zaczyna ostrym głosem śpiewać pieśń podchwytywaną i głośno powtarzaną przez słuchaczy. Podobnie prorokinie Apollina jadły święty laur i były nim okadzane, zanim rozpoczynały wieszczyc. Bakchantki jadły bluszcz, a niektórzy wierzyli, że ich natchniona furia wynika z podniecających i oszołamiających właściwości rośliny. W Ugandzie kapłan szukający natchnienia boskiego pali fajkę tak namiętnie, że wprawia się w stan zapamiętania, po czym zaczyna przemawiać donośnie i z podnieceniem, a głos jego uważany jest za głos boga przemawiającego przez niego. Na Madura, wyspie w pobliżu północnego wybrzeża Jawy, każdy duch ma swe własne medium, zazwyczaj kobietę, która przygotowując się na przyjęcie ducha wchłania opary kadzidła siedząc z głową pochyloną nad dymiącą kadzielnicą. Stopniowo opanowuje ją rodzaj transu, któremu towarzyszą krzyki, grymasy i gwałtowne spazmy. Uważa się, że w tej chwili wstępuje w nią duch, a gdy się uspokaja, jej słowa uchodzą za wyrocznie, ponieważ wypowiada je zamieszkujący w niej duch, natomiast jej własna dusza jest chwilowo nieobecna.

Utrzymuje się również wierzenie, że osoba będąca w chwilowym natchnieniu obdarzona jest nie tylko boską wiedzą, ale, niekiedy przynajmniej, również boską mocą. Gdy w Kambodży wybucha zaraza, mieszkańcy wielu wiosek zrzeszają się i udają się z orkiestrą na czele na poszukiwanie człowieka,

którego miejscowy bóg prawdopodobnie wybrał dla swego chwilowego wcielenia. Gdy człowieka takiego odnajdują, prowadzą go do ołtarza boga, gdzie następuje inkarnacja. Od tej chwili zaczynają składać mu hołdy i błagają go, by ochronił wioskę przed zarazą.

Pewien posąg Apollina, który stał w jaskini w Hyles koło Magnezji, obdarzał rzekomo nadludzkimi siłami. Święci ludzie przezeń natchnieni skakali w przepaście, wyrwali wielkie drzewa z korzeniami i przenosili je na własnych plecach po najbardziej stromych przejściach. Wyczyny natchnionych derwiszów należą do tej samej kategorii.

Widzieliśmy dotąd, jak człowiek pierwotny, nie umiejąc rozpoznać granic swej władzy nad siłami przyrody, przypisuje sobie i wszystkim ludziom pewne siły, które my nazwalibyśmy nadprzyrodzonymi. Następnie widzieliśmy, jak, niezależnie od tej ogólnej wiary w nadprzyrodzoność, niektórzy ludzie bywają przez krótkie okresy czasu natchnieni przez ducha boskiego, dzięki czemu chwilowo nabywają wiedzę i moc zamieszkującego je bóstwa. Od tego rodzaju wierzeń jest już tylko jeden krok do przekonania, że pewni ludzie są stale opętani przez bóstwo albo też w jakiś inny nieokreślony sposób wyposażeni w tak potężne siły nadprzyrodzone, że stawia to ich na szczeblu bogów i pozwala składać im hołdy i ofiary oraz modlić się do nich. Niekiedy ci bogowie w ludzkiej postaci ograniczają się wyłącznie do funkcji nadprzyrodzonych względnie duchowych. Czasami posiadają ponadto najwyższą władzę polityczną. W tym ostatnim wypadku są nie tylko bogami, lecz również królami, a rządy przez nich sprawowane - teokracją. Na Markizach lub Wyspach Waszyngtona istniała kategoria ludzi deifikowanych za życia. Uważano, że posiadają nadprzyrodzoną władzę nad żywiołami. Mogli sprowadzić obfite plony lub uczynić ziemię jałową i mogli także spowodować chorobę lub śmierć. Składano im ludzkie ofiary, by odwrócić ich gniew. Bywało ich niewielu, zazwyczaj jeden albo dwóch na każdej wyspie. Żyli w mistycznym osamotnieniu. Władza była czasami, ale nie zawsze dziedziczna. Pewien misjonarz opisał jednego z tych ludzkich bogów na podstawie obserwacji osobistej. Był to bardzo stary człowiek, który żył w dużym domu w miejscu ogrodzonym. W domu znajdował się rodzaj ołtarza, a z pułapu i drzew wokół domu zwisały szkielety ludzkie głowami w dół. Za ogrodzenie nie wchodził nikt poza osobami służącymi bogu i jedynie wtedy, gdy składano ofiary ludzkie, mogli zwykli śmiertelnicy przekraczać progi domostwa. Ten bóg w postaci ludzkiej otrzymywał więcej ofiar aniżeli wszyscy inni bogowie; często siadywał na czymś w rodzaju rusztowania przed domem i domagał się dwóch lub trzech ofiar ludzkich równocześnie. Zawsze mu je przynoszono, ponieważ wzbudzał olbrzymi strach. Wzywano jego pomocy na całej wyspie i ze wszystkich stron napływały ofiary. Na każdej wyspie Mórz Południowych był człowiek, który reprezentował względnie uosabiał bóstwo. Ludzi takich zwano bogami i mylono ich istoty z boskimi. Czasami bogiem-człowiekiem bywał sam król, częściej kapłan lub podwładny królowi wódz.

Starożytni Egipcjanie bynajmniej nie ograniczali kultu do kotów, psów i podobnych pomniejszych zwierząt, lecz bardzo szczerze obejmowali nim również ludzi. Jedno z takich ludzkich bóstw urzędowało we wsi Anabis, a na ołtarzach spalano mu ofiary, po czym, jak opowiada Porfirios, bóstwo

spożywało swój obiad, jak gdyby było zwykłym śmiertelnikiem. W starożytności klasycznej sycylijski filozof Empedokles przedstawiał siebie nie tylko jako czarownika, lecz wręcz jako boga. Zwracając się do swych współobywateli wierszem, mówił, co następuje:

*Druhowie, w tym tu mieście, co wspina się na skały
Fortecy Agrigentu, gdzie żywot pełen chwały,
Gdzie pieczy i schronienia udziela port przybyszom -
Witajcie! Między wami przechadzam się, wywyższon,
I przystroiwszy wieńcem szlachetne moje skronie,
Już nie śmiertelny człowiek - lecz bóstwo w gwiazd koronie.
Gdziekolwiek się obrócę - lud za mną idzie tłumnie,
Chcąc boską cześć mi oddać i uczyć chcąc się u mnie.
Ten błaga o prorocstwo, a ów, nękanym srodze,
Pociechy mojej pragnie na przykrej życia drodze.*

Utrzymywał, że potrafi nauczyć swych uczniów, jak wywołać lub uciszyć wiatry, jak zaklinać deszcz i słońce, jak przepędzać chorobę i starość, jak wskrzeszać umarłych. Gdy Demetrios Poliorketes przywrócił demokrację ateńską w 307 r. przed nar. Chr., Ateńczycy przyznali boskie zaszczyty zarówno jemu, jak i jego ojcu, obu podówczas jeszcze żyjącym, i nadali im tytuły Bogów-Zbawicieli. Wzniesiono Zbawicielom ołtarze i mianowano kapłana, który składał ofiary na ich cześć. Ludzie wychodzili na spotkanie swoim zbawcom z girlandami kwiatów i kadzidłami, urządzali libacje, ustawiali się wzdłuż drogi i śpiewali, że był ich jedynym prawdziwym bogiem, ponieważ inni bogowie spali, przebywali daleko albo w ogóle ich nie było. Według słów współczesnego im poety, które śpiewano publicznie i nucono w domu:

*Spośród bogów najwięksi, spośród bogów najdrożsi
Przybyli oto w nasz gród.
Razem przyniósł nam czas
Demeter z Demetriosem.
Ona przybywa na święto strasznych Dziewiczych Obrzędów,
On - wesół i uśmiechnięty,
Tak jak przystoi bogu.
Piękny to widok - dokoła druhowie,
On wśród nich, otoczony,
Oni jak gwiazdy,
A on jak Słońce.
Mężny syn Posejdona, syn Afrodyty!
Witajcie w naszym grodzie!
Inni bogowie mieszkają daleko
Albo nie mają uszu,
Albo ich wcale nie ma,
Albośmy dla nich nic!
Ciebie ogląda oko.
Nie boga lasów czy skał,
Lecz prawdziwego Boga!
Przyjmij więc nasze modły!*

Starożytni Germanie wierzyli, że jest coś świętego w kobietach, wobec czego uważali je za wyrocznice. Ich święte niewiasty wpatrywały się w wiry rzeczne i przysłuchiwały się szmerowi lub hukowi wód przepowiadając przyszłość z wyglądu i odgłosów wody. Często jednak cześć składana przez mężczyzn posuwała się dalej i wówczas czcili swe niewiasty jako prawdziwe i żyjące boginie. Tak więc za panowania Wespazjana niejaka Weleda z plemienia Bructeri uchodziła powszechnie za bóstwo i w

tym charakterze rządziła swym ludem, a władza jej była uznawana daleko i szeroko. Żyła w wieży nad rzeką Lippe, dopływem Renu. Gdy mieszkańcy Kolonii pragnęli zawrzeć z nią przymierze, ambasadorowie nie zostali dopuszczeni przed jej oblicze. Negocjacje prowadzone były za pośrednictwem kapłana, który występował jako rzecznik jej boskości i przekazywał jej wieszczę wypowiedzi. Ten przykład dowodzi, jak łatwo łączyły się u naszych prymitywnych przodków pojęcia boskości i królewskości. U Getów istniał rzekomo aż do początków naszej ery człowiek, który był uosobieniem bóstwa i zwany był przez swój lud bogiem. Mieszkał on na świętej górze i występował w charakterze doradcy króla.

Jak twierdzi historyk portugalski Dos Santos, Zambijczycy względnie Mozambijczycy, lud zamieszkujący południowo-wschodnią Afrykę, "nie czczą bożków i nie uznają żadnego boga, lecz miast tego czczą swego króla, którego uważają za istotę boską i mówią o nim, że jest najlepszy i najpotężniejszy na świecie. A król sam o sobie twierdzi, że jest jedynym bogiem na ziemi, wobec czego, gdy wbrew jego woli pada deszcz lub gdy jest za gorąco, strzela z łuku do nieba za to, że jest mu nieposłuszne." Plemię Maszona z Południowej Afryki opowiedziało swemu biskupowi, że mieli niegdyś boga, ale Matabelowie go przepędzili. "Pozostawało to w związku z dziwnym zwyczajem istniejącym w jednej wiosce, polegającym na trzymaniu u siebie człowieka, którego zwali swoim bogiem. Lud zasięgał u niego porad i składał mu dary. W dawnych czasach był taki bóg we wsi należącej do wodza Magondi. Proszono nas, żebyśmy nie strzelali z żadnej broni, bo go wystraszymy." Ów bóg Maszona był dawniej obowiązany składać roczną daninę królowi Natabele w postaci czterech czarnych wołów i jednego tańca. Pewien misjonarz widział i opisał bóstwo wywiązujące się z drugiej części swych obowiązków przed królewską chatą. Przez trzy straszliwe godziny, bez chwili przerwy, przy nieustannym brzęku tamburynów, stuku kastanietów i buczeniu monotonnej pieśni smagły bóg tańczył jak opętany, galopując jak na koniu, pocąc się jak świnia i skacząc wokół z żywością, która świadczyła o sile i sprężystości jego boskich nóg.

Bagandowie w Afryce Środkowej wierzyli w boga jeziora Nyanza, który czasami wchodził w mężczyznę lub kobietę. Tak wcielonego boga bali się straszliwie wszyscy, nawet król i wodzowie. Gdy misterium inkarnacji nastąpiło, człowiek, a raczej bóg, odchodził na milę albo półtorej od brzegu jeziora i tam oczekiwał nowiu księżyca przed przystąpieniem do spełniania swych świętych obowiązków. Od chwili gdy rożek księżyca zaczynał lekko zarysowywać się na niebie, król i wszyscy jego poddani słuchali rozkazów boskiego człowieka lub też, jak go nazywano, *lubare* (boga), który stawał się najwyższym władcą nie tylko w sprawach wiary i rytuału, lecz również wojny i polityki państwowej. Zasięgało u niego porad jako u wyroczni, jego słowo mogło uleczyć i przynieść chorobę, powstrzymać deszcz i spowodować głód. Gdy potrzebna była jego porada, składano mu znaczne dary. Wódz Urua, wielkiego kraju na zachód od jeziora Tanganika, "przypisuje sobie boskie przywileje i władzę i przechwala się, że przez trzy dni może nie jeść nie odczuwając bynajmniej głodu. Oświadcza wręcz, że jako bóg w ogóle może obyć się bez jedzenia, a spożywa je, pije i pali jedynie dla przyjemności, jaką mu to

sprawia." W plemienu Galla kobieta, której znudziły się obowiązki domowe, zaczyna mówić bez ładu i składu i zachowuje się dziwnie. Jest to znak, że wstąpił w nią święty duch Callo. Mążnek natychmiast pada przed nią plackiem, czci ją i odtąd nie nazywa jej skromnie "żoną", lecz "Panem", ona zaś porzuca zajęcia gospodarskie, a wola jej jest prawem boskim.

Ale żaden chyba inny kraj na świecie nie zna tylu bogów wcielonych w ludzi co Indie. Nigdzie na świecie łaska boża nie spada tak szczerze na wszystkie klasy społeczne od królów po mleczarzy. Tak więc u Todów, pasterskiego ludu w górach Nilgiri w południowych Indiach, mleczarnia jest świętym przybytkiem, a mleczarz, który się nią opiekuje, uważany jest za boga. Gdy zapytano jednego z tych boskich mleczarzy, czy Todowie składają hołd słońcu, odpowiedział: "Ci biedacy to czynią, ale ja - uderzając się w pierś - ja, bóg! Po cóż miałbym składać hołdy słońcu?" Przed mleczarzem skłaniają się wszyscy, nawet jego ojciec, i nikt nie ośmieli się odmówić mu czegokolwiek. Żadna ludzka istota nie śmie go dotknąć poza innym mleczarzem i wszystkim, którzy zwracają się do niego po radę, wieszczą głosem boskim.

W Indiach, "każdy król uważany jest prawie za boga". Hinduska księga "Praw Manu" idzie dalej i głosi, że "nawet dziecko królewskie nie może być pogardliwie uważane za zwykłego śmiertelnika, jest bowiem wielkim bóstwem w ludzkiej postaci". W Orissie istniała rzekomo jeszcze przed kilku laty sekta, która za życia królowej Wiktorii czciła ją jako swe główne bóstwo. Do dziś dnia wszyscy żyjący ludzie odznaczający się wielką siłą, cnotami czy rzekomymi cudotwórczymi właściwościami narażeni są na to, że mogą być czczeni jako bogowie. Istniała na przykład w Pendźbie sekta, która czciła bóstwo zwane Nikkal Sen. Owym Nikkal Senem nie był nikt inny, jak słynny generał Nicholson i żadne zarządzenia ani perswazje generała nie mogły zmniejszyć gorliwości jego wielbicieli. Im surowsze stosował kary, tym większą religijną czcią był otaczany. W Benares przed niewiele laty słynne bóstwo wcieliło się w pewnego hinduskiego dżentelmena, noszącego dźwięczne nazwisko Swami Bhaskaranandadźi Saraswati i przypominającego niezwykle kardynała Manninga³⁶, tyle tylko, że miał on bardziej niewinny wyraz twarzy. Spojrzenie jego wyrażało życzliwą przychylność ludziom, a składane przez jego ufnych wyznawców boskie hołdy przyjmował, jak opowiadano, z niewinną przyjemnością.

Jedna z hinduskich sekt, posiadająca wielu przedstawicieli w Bombaju i Indiach Środkowych, utrzymuje, że jej duchowymi przywódcami, czyli maharadzami, jak ich tu zwą, są przedstawiciele lub też wręcz ziemskie wcielenia boga Kriszny. A ponieważ Kriszna spogląda z nieba z największą łaskawością na tych, którzy zaspokajają potrzeby jego następców względnie namiestników na ziemi, powstał szczególny proceder zwany samopoświęceniem, który nakazuje wiernym wyznawcom oddawać swe ciała, dusze i, co zapewne jeszcze ważniejsze, swój doczesny dobytek jego czczonemu wcieleniu. Kobietom każe się wierzyć, że największym szczęściem, jakiego mogą doświadczyć one same i ich

³⁶ Henry Edward Manning (1808-1892) - przywódca katolików angielskich, kaznodzieja i kardynał.

rodziny, jest uleganie tym istotom, w których boska natura w tajemniczy sposób współistnieje z kształtami, a nawet apetytami zwykłych ludzi.

Chrześcijaństwo niezupełnie uniknęło plamy tych nieszczęsnych złudzeń. Często kazyły je dziwactwa samozwańców pretendujących do boskości równej, a nawet przewyższającej tę, którą obdarzony jest jego wielki Twórca. W drugim wieku Montanus Frygijczyk³⁷ głosił, że jest wcieleniem Trójcy jednocząc w swej osobie Boga Ojca, Boga Syna i Boga Ducha Świętego. Nie był to zresztą wypadek odosobniony i nie były to przesadne uroszczenia jednego tylko niezrównoważonego umysłu. Od najdawniejszych czasów po dzień dzisiejszy wiele sekt wierzy, że Chrystus, co więcej, że sam Bóg wcielony jest w każdego chrześcijanina, i sekciarze wyciągając ze swej wiary logiczne wnioski wzajemnie obdarzają się czcią boską. Tertulian zapisuje, że w drugim wieku zdarzały się takie wypadki wśród chrześcijan w Kartaginie. Uczniowie św. Kolomba³⁸ czcili go jako wcielenie Chrystusa, a w ósmym wieku Elipandus z Toledo³⁹ mówił o Chrystusie jako o "bogu między bogami" rozumiejąc przez to, że wszyscy wierni są równie prawdziwymi bogami jak sam Jezus. Wzajemna adoracja była przyjęta u albigensów i setki takich przypadków odnotowały akta inkwizycji w Tuluzie w pierwszej połowie czternastego wieku.

W trzynastym wieku powstała sekta zwana "braćmi i siostrami Wolnego Ducha", która utrzymywała, że dzięki długim i żarliwym kontemplacjom każdy człowiek może zjednoczyć się z bóstwem w sposób niewyraźny. Człowiek taki może zespolić się z źródłem i Twórcą wszechrzeczy, a wzniosłszy się w ten sposób ku Bogu, będąc wchłonięty przez jego błogosławioną istotę i stanowiąc część boskości, staje się Synem Bożym w tym samym znaczeniu i w ten sam sposób co sam Chrystus, wobec czego nie obowiązują go prawa boskie i ludzkie. Sekciarze ci, przepojeni wewnętrzną radością, zewnętrznie jednak swym wyglądem i zachowaniem robiący wrażenie istot obłąkanych, wędrowali z miejsca na miejsce, przybrani w najbardziej fantastyczne stroje. Żebrali wykrzykując dziko i odrzucali z pogardą każdą uczciwą pracę uważając, że stanowić ona będzie przeszkodę w boskiej kontemplacji i wstępowaniu duszy ku Ojcu duchów. Podczas wędrówek towarzyszyły im kobiety, z którymi byli jak najbardziej spoufaleri. Ci spośród nich, którzy wykoncypowali sobie, że doszli do największej biegłości w wyższym życiu duchowym, rezygnowali w ogóle z noszenia odzieży podczas swych zebrań, uważając skromność i przyzwoitość za oznaki wewnętrznego zepsucia, cechujące dusze wciąż jeszcze będące we władzy ciała i nie wzniesione do komunii z duchem boskim, jego ośrodkiem i źródłem. Niekiedy drogę ku tej komunii przyśpieszała inkwizycja, a wtedy ginęli w płomieniach bez śladu niepokoju, przepojeni triumfem i radością.

³⁷ Montanus Frygijczyk (II w. n. e.) - kapłan Cybele nawrócony na chrześcijaństwo, założył ok. 160-170 r. n. e. sektę montanistów, którzy wierzyli w stałą interwencję Parakleta, "tj. Ducha Św., objawianą środkami nadprzyrodzonymi i atakami ekstazy u nawiedzonych. Montanus głosił ascetyzm życia, co miało przygotować wiernych na przyjście Chrystusa. Miejsce i data śmierci Montanusa są nieznane, podobno popełnił samobójstwo.

³⁸ Św. Kolomba (Colombe) - męczennik urodzony w Cordue, ścięty przez Maurów w r. 853. Święto jego obchodzone jest 17 września.

³⁹ Elipandus z Toledo (717-808) - arcybiskup Toledo, hiszpański twórca herezji. Nauczał, że Chrystus był synem Boga nie przez naturę, lecz przez adopcję.

Około roku 1830 zjawił się w jednym ze stanów Unii Amerykańskiej, graniczącym z Kentucky, oszust; oświadczył, że jest Synem Bożym, Zbawicielem ludzkości, który wrócił na ziemię, by wezwać bezbożnych, niewierzących i grzeszników do skruchy. Zapowiedział, że jeśli nie poprawią się w określonym czasie, wówczas da znak, i w jednej chwili świat cały rozpadnie się w kawałki. Te niezwykle fantazje spotkały się z życzliwym przyjęciem nawet pośród ludzi zamożnych, zajmujących poważne stanowiska społeczne. Aż w końcu jakiś Niemiec pokornie poprosił nowego Mesjasza, by oznajmił o tej straszliwej katastrofie jego krajanom po niemiecku, ponieważ nie rozumieją po angielsku i szkoda by było, żeby zostali potępieni tylko z tego powodu. Niedoszły Zbawiciel odpowiedział z niezwykłą szczerością, że nie zna niemieckiego. "Co! - zawołał na to Niemiec - Syn Boży, a nie przemawia wszystkimi językami, nawet niemieckim. Jesteś oszustem, hipokrytą, wariatem, miejsce twoje w domu obłąkanych." Widzowie pośmieli się i rozeszli, zawstydzeni swą łatwowiernością.

Niekiedy po śmierci swego ludzkiego wcielenia duch boski przechodzi w innego człowieka. Tatarzy-buddyści wierzą w istnienie wielu żyjących Buddów, którzy występują jako wielcy lamowie w najważniejszych klasztorach. Gdy jeden z takich lamów umiera, uczniowie nie oplakują go, ponieważ wiedzą, że wkrótce pojawi się znowu, przychodząc na świat jako nowo narodzone dziecko. Jedyłą ich troską jest odnalezienie miejsca jego urodzin. Gdy zobaczą w tym czasie tęczę, uważają ją za znak dany przez zmarłego lamę i wskazujący im drogę do kołyski. Czasami boskie dziecko samo ujawnia swe istnienie. "Jestem wielkim lamą - mówi - żyjącym Buddą takiej to a takiej świątyni. Zabierzcie mnie do mego klasztoru. Jestem jego nieśmiertelnym przełożonym." Bez względu na to, w jaki sposób miejsce urodzenia zostaje odnalezione, czy to przez słowa samego Buddy, czy też przez znak na niebie, zwija się namioty, i uradowani pielgrzymi, na których czele staje często król lub jeden z najświetniejszych członków rodziny królewskiej, wyruszają, by odnaleźć i sprowadzić boga-dziecko. Zazwyczaj rodzi się ono w Tybecie, świętym kraju, i karawana tam podążająca musi często przebywać najstraszliwsze pustynie. Gdy wreszcie odnajdują dziecko, padają na kolana i składają mu hołd. Zanim jednak zostanie ono uznane za wielkiego lamę, którego poszukują, musi upewnić ich, że jest poszukiwaną osobą. Pytają je więc o nazwę Klasztoru, którego, jak twierdzi, jest przełożonym, jak daleko ów klasztor się znajduje, ilu w nim przebywa mnichów, musi także opisać obyczaje zmarłego wielkiego lamy i sposób, w jaki umarł. Po czym rozkłada się przed nim rozmaite przedmioty: modlitewniki, filiżanki na herbatę i dzbanki, a ono musi wskazać te, których używał w poprzednim życiu. Gdy uczyni to bezbłędnie, jego roszczenia zostają uznane i w triumfalnej procesji udaje się do klasztoru. Na czele wszystkich tych lamów stoi dalajlama z Lhasy, Rzymu tybetańskiego. Uważany jest za żyjącego boga, a po śmierci jego boska i nieśmiertelna dusza przychodzi ponownie na świat w dziecku nowo narodzonym. Według niektórych opisów odkrycie dalajlamy odbywa się podobnie jak w wypadku zwyczajnego wielkiego lamy. Inne relacje mówią o wyborach, podczas których ciągnie się losy ze złotego kubka. W tym miejscu, gdzie się rodzi dalajlama, drzewa i rośliny wypuszczają zielone liście. Na jego życzenie kwitną kwiaty i wytryskają źródła, obecność jego zsyła błogosławieństwo niebios.

Nie jest to bynajmniej jedyny człowiek występujący jako bóg w tych okolicach. Rejestr wszystkich wcielonych bogów imperium chińskiego prowadzony jest w Li fan yuan, czyli ministerstwie kolonii w Pekinie. Dotąd wyrobiło sobie koncesje stu sześćdziesięciu bogów. Tybet pobłogosławiony jest trzydziestu bogami, północna Mongolia raduje się posiadaniem dziewiętnastu, a południową Mongolię opromienia obecność aż pięćdziesięciu siedmiu. Rząd chiński z ojcowską troską o dobro swych poddanych zabrania rejestrowanym bogom rodzić się ponownie poza Tybetem, obawiając się, by narodziny boga w Mongolii nie miały poważnych konsekwencji politycznych, budząc uśpiony patriotyzm Mongołów, którzy mogą skupić się wokół ambitnego lokalnego bóstwa królewskiego pochodzenia i spróbować mieczem wywojować dla niego nie tylko duchowe, ale i doczesne królestwo. Poza tymi publicznymi względnie koncesjonowanymi bogami istnieje wielu małych prywatnych bogów lub osób praktykujących boskie rzemiosło bez koncesji, którzy pokątnie robią cuda i błogosławiają swój ludek. W ostatnich czasach rząd chiński przyryka oczy na powtórne przychodzenie na świat tych podrzędnych bóstw poza Tybetem. Z chwilą jednak, gdy już się na świecie znajdują, rząd pilnuje ich równie uważnie jak tych, które praktykują legalnie, i jeśli któreś z nich coś przeskrobie, zostaje natychmiast zdegradowane i zesłane do jakiegoś odległego klasztoru, z surowym zakazem ponownego przyjścia na świat w ludzkiej postaci.

Królowie egipscy byli deifikowani za życia, składano im ofiary, a specjaliści kapłani oddawali im cześć w specjalnych świątyniach. Niekiedy nawet kult królów przyćmiewał kult bogów. Za panowania Merenry wysoki dygnitarz oświadczył, że wybudował wiele świątych miejsc, by duchy króla, wiecznie żyjącego Merenry, mogły być częściej wzywane "aniżeli wszyscy inni bogowie". "Nigdy nie bywała podawana w wątpliwość faktyczna boskość króla: on był «wielkim bogiem», «złotym Horusem» i synem Ra. Pretendował do władzy nie tylko nad całym Egiptem, lecz nad «wszystkimi krajami i narodami», «całym światem wzdłuż i wszerz, na wschodzie i na zachodzie», «w całym kręgu wielkiego obiegu słonecznego», «na niebie i wszystkim, co się na nim znajduje, na ziemi i wszystkim, co się na niej znajduje», «nad każdym stworzeniem chodzącym na dwóch i na czterech nogach, latającym i trzepoczącym skrzydłami, nad całym światem, który ofiaruje mu swe owoce».

Wszystkie właściwości przypisywane bogu-słońcu były dogmatycznie przenoszone na króla Egiptu. Jego tytuły wywodziły się bezpośrednio z tytułów boga-słońca." Dowiadujemy się, że "w czasie istnienia władzy królewskiej królowie Egiptu wyczerpali wszystkie możliwe koncepcje boskości, jakie sobie Egipcjanie wymyślili. Będąc bowiem nadludzkim z urodzenia i dzięki swemu królewskiemu urzędowi stawał się król po śmierci deifikowanym człowiekiem. Tak więc sumowało się w nim wszystko, co wiadome było o boskości."

ROZDZIAŁ ÓSMY

KRÓLOWIE SIŁ PRZYRODY

Dotychczasowe badania dowiodły, że ten sam związek pomiędzy wykonywaniem świętych funkcji a tytułem królewskim, który napotykamy w wypadku Króla Lasu w Nemi, Króla Ofiar w Rzymie i urzędnika zwanego Królem Aten, można często odnaleźć poza obszarem starożytności klasycznej i że jest on powszechnym zjawiskiem w społeczeństwach na wszystkich stadiach rozwoju od barbarzyństwa do cywilizacji. Ponadto okazuje się, że kapłan królewski często bywa królem nie tylko z nazwy, lecz również faktycznie, władającym zarówno berłem, jak i pastorałem. Wszystko to potwierdza tradycyjny pogląd na źródła tytularnych i kapłańskich królów w starożytnej Grecji i Italii. Udowodniwszy zaś, że tego rodzaju połączenie władzy duchowej i świeckiej, o którym wspomnienia zachowały się w tradycji grecko-italskiej, rzeczywiście istniało w wielu miejscach, przekreśliłoby zarzut nieprawdopodobieństwa, jaki można by wysunąć wobec tego rodzaju tradycji. Wolno nam wobec tego zadać teraz pytanie, czy Król Lasu nie miał początków podobnych do tych, jakie wielce wiarygodna tradycja przypisuje Królowi Ofiar i tytularnemu Królowi Aten? Innymi słowy, czy nie mogli jego poprzednikami być królowie, których rewolucja republikańska pozbawiła władzy politycznej, pozostawiając im jedynie funkcję religijną i cień korony? Co najmniej dwa powody przemawiają przeciwko takiej ewentualności. Jednym z nich jest miejsce zamieszkania kapłana z Nemi, drugim - jego tytuł Króla Lasu. Gdyby jego poprzednikami byli królowie w zwyczajnym tego słowa znaczeniu, wówczas niewątpliwie rezydowałby, podobnie jak obaleni królowie Rzymu i Aten, w mieście, w którym stracił berło. Tym miastem musiałaby być Arycja, ponieważ w pobliżu żadnego innego miasta nie ma. Ale Arycja znajduje się w odległości trzech mil od jego leśnego sanktuarium na brzegu jeziora, miałyby więc rządzić nie w mieście, lecz w zielonym lesie? Po drugie, jego tytuł Króla Lasu przeczy hipotezie, że był on kiedykolwiek królem w pospolitym znaczeniu tego słowa. Znacznie bardziej prawdopodobną jest rzeczą, że był królem jednej szczególnej dziedziny przyrody, a mianowicie lasów, od których wywodził się jego tytuł. Gdybyśmy mogli znaleźć przykłady istnienia królów określonych sił przyrody, osób rządzących poszczególnymi siłami czy elementami przyrody, wówczas stanowiłyby one bliższą analogię do Króla Lasu aniżeli boscy władcy, którymi dotąd się zajmowaliśmy i których władza obejmuje całą przyrodę, a nie poszczególne jej działy. Otóż przykładów na istnienie takich królów "specjalistycznych" wcale nie brak.

Na wzgórzu w pobliżu Borna u ujścia rzeki Kongo mieszka Namwulu Wumu, król deszczów i burz. Niektóre plemiona zamieszkujące Górny Nil nie mają rzekomo królów w zwykłym znaczeniu tego słowa, a jedynymi osobami, które za takich uznają, są Królowie Deszczu, *mata kodou*; tym przypisuje się moc zaklinania deszczu we właściwej, to znaczy deszczowej porze. Zanim deszcze zaczną padać, to znaczy przed końcem marca, ziemia jest wypalona i kraj zamienia się w bezwodną pustynię. Bydło, stanowiące główny dobytek ludności, ginie z braku trawy. Wobec tego, gdy zbliża się koniec marca, wszyscy gospodarze wybierają się do Króla Deszczu i każdy ofiarowuje mu krowę, by sprowadził błogostawiony

deszcz i zwilżył brązowe i wysuszone pastwiska. Gdy deszcz nie spada, ludzie gromadzą się i żądają, by król go sprowadził, a gdy chmury nadal nie pojawiają się na niebie, rozpruwają mu brzuch, w którym, jak wierzą, ukrywa burze. Jeden z takich Królów Deszczu z plemienia Bari sprowadzał deszcz pokrapiając ziemię wodą z ręcznego dzwonka.

Szczepy zamieszkujące kresy Abisynii posiadają podobny urząd. Oto opis podany przez obserwatora: "Kapłaństwo *aljai*, zwane tak przez plemiona Barea i Kunama, jest bardzo dziwne. Ludzie wierzą bowiem, że kapłan potrafi zaklinać deszcz. Stanowisko to istniało uprzednio u Algedów i, jak się zdaje, nadal jest rozpowszechnione wśród Murzynów nubijskich. Aljai w Barea, do którego zwracają się o porady również północni Kunama, mieszka wraz ze swoją rodziną samotnie na górze w pobliżu Tembadere. Ludzie przynoszą mu ofiary w postaci odzieży i owoców i uprawiają duże pole będące jego własnością. Jest on pewnego rodzaju królem, a urząd przechodzi dziedzicznie na jego brata lub siostrzeńca. W powszechnym przekonaniu potrafi on sprowadzać deszcz i przepędzać szarańczę. Gdy jednak zawodzi oczekiwania ludności i nastaje wielka posucha, wierni kamienują go, a najbliżsi krewni muszą pierwsi rzucić w niego kamieniem. Gdy przejeżdżaliśmy przez ten kraj, urząd *aljai* sprawował jeszcze jakiś stary człowiek, ale słyszałem, że zaklęcie deszczu okazało się zbyt niebezpiecznym zajęciem, wobec czego zrzekł się swej władzy."

W puszczech Kambodży mieszkają dwaj tajemniczy monarchowie, znani jako Król Ognia i Król Wody. Sława ich rozchodzi się po całej południowej części olbrzymiego Półwyspu Indochińskiego, ale jedynie słabe jej echa dotarły na zachód. Do niedawna jeszcze żaden Europejczyk, o ile wiadomo, nie widział ich na oczy, można by więc całą tę sprawę między bajki włożyć, gdyby nie to, że jeszcze ostatnio utrzymywali stałe stosunki z królem Kambodży, z którym co roku wymieniali prezenty. Ich królewskie funkcje są natury czysto duchowej względnie mistycznej i nie posiadają oni żadnej władzy politycznej. Są to zwykli prości chłopcy żyjący z pracy swych rąk i z ofiar wiernych. Jak wynika z jednej relacji, żyją w zupełnym osamotnieniu, nie spotykając się wzajemnie i nie oglądając nigdy ludzkiej twarzy. Mieszkają kolejno w siedmiu wieżach wznoszących się na siedmiu górach i co roku przenoszą się do innej wieży. Ludzie przybywają ukradkiem i podrzucają wszystko, co im jest potrzebne do życia. Panowanie ich trwa lat siedem, tyle, ile trzeba, by zamieszkali we wszystkich wieżach, wielu jednak umiera przed zakończeniem tego okresu. Urząd jest dziedziczny w jednej, zaś według innych w dwóch królewskich rodzinach cieszących się wielkim szacunkiem, posiadających przyznane im dochody i wolnych od obowiązku uprawiania roli. Ale godność ta, oczywiście, nie jest upragniona i gdy otwiera się wakuujące miejsce, wszyscy mężczyźni nadający się na ten urząd (muszą być silni i mieć dzieci) uciekają i kryją się. Inna relacja potwierdzając niechętny stosunek do urzędu nie potwierdza doniesień o pustelnicznym życiu, mówi bowiem o ludziach padających na ziemię za każdym razem, gdy król pojawi się publicznie, w przekonaniu, że straszliwy huragan rozpęta się nad krajem, gdyby tę oznakę hołdu pominięto. Podobnie jak wielu innych pomazanych królów, o których będzie w dalszym ciągu mowa, nie mogą oni umierać śmiercią naturalną, obniżyłoby to bowiem ich reputację. Toteż gdy któryś z nich poważnie za-

choruje, starsi zbierają się na naradę i jeśli uważają, że nie uda się przywrócić mu zdrowia, zabijają go sztyletami. Ciało jego zostaje spalone, a popioły nabożnie zebrane i czczone publicznie przez pięć lat. Część ich otrzymuje wdowa, która przechowuje je w urnie i musi nosić na plecach, gdy udaje się do grobu, by opłakiwać swego małżonka.

Ważniejszy jest Król Ognia, którego siły nadprzyrodzone nigdy nie są podawane w wątpliwość. Celebryje on śluby, uroczystości i ofiary ku czci *yana*, czyli ducha. Podczas tych uroczystości wydziela mu się specjalne miejsce, a ścieżka, po której idzie, wyłożona jest białym płótnem. Godność królewską piastować może tylko jedna rodzina, ponieważ posiada ona słynne talizmany, które straciłyby swą moc lub znikły w ogóle, gdyby przestały być w jej posiadaniu. Są trzy takie talizmany: owoc pnącza zwanego *cui*, zerwany przed wiekami w czasie ostatniego potopu, ale wciąż jeszcze świeży i zielony, palma, również bardzo stara, ale wciąż jeszcze kwitnąca i nigdy nie więdnąca, oraz miecz zawierający *yana*, czyli ducha, który go strzeże nieustannie i dokonuje przy jego pomocy cudów. Duch należy rzekomo do niewolnika, którego krew padła przypadkowo na ostrze, gdy je wykuwano, i który zmarł śmiercią dobrowolną, by odkupić mimowolny grzech. Za pomocą dwóch pierwszych talizmanów Król Wody może wywołać powódź, która zatopi całą ziemię, a gdy Król Ognia wyciągnie miecz z pochwy na kilka cali, wówczas słońce się skrywa i ludzie, i zwierzęta zapadają w głęboki sen. Gdyby wyciągnął go zupełnie z pochwy, nastąpiłby koniec świata. Temu cudownemu mieczowi składane są w ofierze bawoły, świnie, ptactwo, jak np. kaczki, by sprowadził deszcz. Miecz leży zawinięty w jedwab i płótno, a wśród dorocznych prezentów nadsyłanych przez króla Kambodży znajdowały się bogate tkaniny do zawijania świętego miecza.

Zwłoki obu tych mistycznych monarchów są palone w przeciwieństwie do panującego w tym kraju obyczaju grzebania zwłok w ziemi, ale paznokcie i niektóre ich zęby i kości przechowywane są z religijną czcią jako amulety. Gdy zwłoki palą się na stosie, krewni zmarłego czarownika chronią się do lasu obawiając się, że będą wyniesieni do tej nienawistnej godności dopiero co zwolnionej. Ludzie udają się na poszukiwanie ich i pierwszy, którego kryjówkę odnajdą, zostaje Królem Ognia lub Wody.

Oto są więc przykłady tego, co określiłem jako "specjalistycznych" królów przyrody. Ale od lasów Kambodży i źródeł Nilu daleko jest do Włoch. I chociaż udało nam się odnaleźć Królów Deszczu, Wody i Ognia, musimy jeszcze odszukać Króla Lasu, który pasowałby do kapłana arycyjskiego piastującego ten tytuł. Być może, znajdziemy go gdzieś bliżej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

KULT DRZEW

W historii religii rasy aryjskiej w Europie kult drzew odgrywał poważną rolę. Trudno o coś bardziej naturalnego. Europa bowiem u zarania swej historii pokryta była potężnymi odwiecznymi puszciami, w których rozproszone polany musiały robić wrażenie wysp na oceanie zieleni. Lasy Hercyńskie rozpościerały się aż do pierwszego wieku przed naszą erą od Renu po nieznane i odległe granice. Germanie, których przesłuchiwał Cezar, wędrowali po nich dwa miesiące nie docierając do kresu. W czterysta lat później zwiedzał je imperator Julian i, jak się zdaje, samotność, mrok i cisza puszczy zrobiły olbrzymie wrażenie na jego czulej naturze. Oświadczył, że nie zna nic podobnego w swym imperium. W naszych czasach bory Kentu, Surrey i Sussexu są pozostałościami wielkiej puszczy Anderida, która niegdyś pokrywała cały południowy wschód wyspy. Na zachód, jak się zdaje, ciągnęła się aż do miejsca, gdzie stykała się z inną puszcza rozpościerającą się od Hampshire do Devon. Za panowania Henryka II mieszkańcy Londynu wciąż jeszcze polowali na tura i na dziki w lasach Hampstead. Nawet za Plantagenetów istniało sześćdziesiąt osiem lasów królewskich. Jeszcze w naszych czasach ludzie twierdzili, że w Lesie Ardeńskim wiewiórka może przebyć całe niemal hrabstwo Warwick przeskakując z gałęzi na gałąź. Odkopanie dawnych wsi na palach w dolinie Padu dowiodło, że na długo przed rozkwitem, a nawet przed założeniem Rzymu północne Włochy pokryte były gęstym lasem wiązów, kasztanów, a szczególnie dębów. Historia udziela w tym wypadku poparcia archeologii, klasycyści bowiem autorzy często wspominają lasy italskie, które potem znikły doszczętnie. Jeszcze w czwartym wieku przed naszą erą Rzym oddzielał od Etrurii straszliwy Bór Cyminiański, który Liwiusz porównuje do germańskich puszczy. Żaden kupiec, jeśli wierzyć rzymskim historykom, nie przebrnął przez te bezdroża, a zaślęzło to jako dowód wielkiej odwagi, gdy jeden z generałów rzymskich po wysłaniu dwóch zwiadowców dla zbadania czekających go powikłań w terenie wprowadził swą armię do lasu i przebijając się po stoku zalesionej góry dotarł do miejsca, skąd roztoczył się przed jego oczami widok żyznych pól etruskich. W Grecji nadal jeszcze zbocza wysokich gór arkadyjskich pokryte są pięknymi lasami sosnowymi i dębowymi zdobiąc swą zielenią głęboki wąwóz, przez który Ladon podąża ku świętemu Alfejos, i jeszcze do niedawna przeglądały się w ciemnoniebieskich wodach samotnego jeziora Fenejos. Ale są one jedynie szczątkami tych borów, które w starożytności pokrywały olbrzymie powierzchnie i które w jeszcze bardziej odległych epokach rozciągały się, być może, po całym półwyspie greckim od morza do morza.

Z badań nad teutońskimi słowami oznaczającymi świątynie Grimm⁴⁰ wysnuł wniosek, iż u Germanów prawdopodobnie najstarszymi uroczyszcami były lasy. Zachowało się wiele świadectw istnienia kultu drzew w wielkich europejskich rodzinach aryjskiego pochodzenia. Powszechnie znany jest kult dębu u druidów, a słowo oznaczające w ich dawnym języku uroczyszcze wydaje się mieć identyczne źródło i

znaczenie z łacińskim *nemus*, zagajnik lub polanka w lesie, które zachowało się w nazwie Nemi. Święte gaje były powszechnie znane u starożytnych Germanów, a kult drzew nie zaginał u ich potomków jeszcze do dziś dnia. O tym, jak poważny był to kult, świadczą okrutne kary przewidziane przez prawa germańskie dla tych, którzy ośmielili się zrywać korę z rosnących drzew. Winowajcy wykrawano pępek i przybijano go gwoździami do tego miejsca, z którego zerwał korę, po czym tak długo pędzono go wokół drzewa, aż jego kiszki okręciły się na pniu. Intencją kary było oczywiście zastąpienie zdartej kory żywym substytutem zdjętym z winowajcy. Było to życie za życie, życie człowieka za życie drzewa. W Upsali, starej kultowej stolicy Szwecji, istniał święty gaj, w którym każde drzewo było święte. Słowiańscy poganie czcili drzewa i gaje. Litwini zostali nawróceni na chrześcijaństwo dopiero pod koniec czternastego wieku i wtedy jeszcze kult drzew odgrywał u nich znaczną rolę. Niektórzy z nich czcili wielkie dęby, inni wielkie cieniste drzewa spełniające rolę wyroczni. Niektórzy utrzymywali wokół swych wiosek lub domostw święte gaje, w których nawet ułamanie gałęzi było grzechem. Uważali, że człowiek, który utnie gałąź w takim gaju, umrze nagle albo stanie się kaleką. Liczne są dowody kultu drzew w starożytnej Grecji i Italii. W sanktuarium Asklepiosa na Kos nie wolno było ścinać cyprysów pod karą tysiąca drachm. Ale nigdzie chyba na świecie nie zachowała się ta starożytna forma religii lepiej aniżeli w samym sercu wielkiej metropolii. Na forum, w ruchliwym centrum życia Rzymu, czczono święte drzewo figowe Romulusa aż do czasów imperium, a gdy zaczęło usychać, wzbudziło to niepokój w całym mieście. Na stoku Wzgórza Palatyńskiego rósł dereń uchodzący za jedną z największych świętości Rzymu. Wystarczyło, by jakiemu przechodniowi zdawało się, że drzewo usycha, a już podnosił straszliwy krzyk, który podchwytywali przechodnie, i po chwili zbiegał się na miejsce tłum ludzi z wiadrami wody, jak gdyby (mówi Plutarch) pędzili ugasić pożar.

Należy jednak nieco bardziej szczegółowo zbadać pojęcia, na których opierał się kult drzew i roślin. W rozumieniu człowieka pierwotnego cały świat jest w zasadzie ożywiony, a drzewa i rośliny nie stanowią pod tym względem wyjątku. Uważa, że mają duszę taką, jaką on posiada, i odpowiednio wobec tego je traktuje. "Twierdzą - pisze starożytny wegetarianin Porfyrios⁴¹ - że życie pierwotnych ludzi było nieszczęśliwe, ponieważ ich przesady nie ograniczały się do zwierząt, lecz dotyczyły również roślin. Dlaczegoż bowiem zarżnięcie wołu lub owcy miałoby być większym złem aniżeli ścięcie dębu czy jodły, skoro w tych drzewach również znajduje się dusza?" Podobnie Indianie Hidatsa w Ameryce Północnej wierzą, że wszystko w przyrodzie posiada swego ducha czy, mówiąc ściślej, swój cień. Cieniom tym należne są pewne względy i szacunek, nie wszystkim jednak takie same. Na przykład cień bawełnicy, największego drzewa w dolinie górnej Missouri, posiada w przekonaniu tubylców własny rozum i jeśli odpowiednio podejść, może dopomóc Indianom w pewnych przedsięwzięciach, ale cienie

⁴⁰ Jacob Grimm (1785-1863) - niemiecki filolog i pisarz. Wraz z bratem Wilhelmem opublikował *Deutsche Sagen* i pracował nad niemieckim słownikiem, wydał *Deutsche Mythologie* i *Deutsche Grammatik*.

⁴¹ Porfyrios (233-304 r. n. e.) - filozof grecki rodem z Tyru, uczeń Plotyna, przedstawiciel neoplatonizmu, jeden z ostatnich uczonych starożytności. Napisał m. in. *Życie Pitagorasa*, *Objaśnienie do "Odysei"*, *O powstrzymaniu się od spożywania zwierząt*.

krzaków i traw nie mają większego znaczenia. Gdy Missouri, wezbrana wiosennymi wodami, unosi część swych brzegów, a wraz z nimi kilka wielkich drzew, tubylcy twierdzą, że dusza drzewa płacze, jak długo korzenie trzymają się jeszcze łądu i aż do chwili, gdy pień z pluskiem wpadnie do wody. Indianie uważali dawniej, że nie wolno ścinać żadnego z tych olbrzymów, a gdy potrzebne były duże polana, używali jedynie drzew, które same się przewróciły. Do niedawna bardziej łatwowierni ludzie starszego pokolenia uważali, że wiele spośród klęsk, które spadły na ich ludy, wynikało z tego nowoczesnego lekceważenia praw bawełnicy.

Skoro drzewa posiadają duszę, to jest rzeczą oczywistą, że potrafią czuć, i wobec tego ścinanie ich staje się delikatnym zabiegiem chirurgicznym, który musi być dokonany możliwie ostrożnie z uwagi na cierpienia ofiary, mogącej zemścić się na niedbałym partaczu. W książkach chińskich, nawet w oficjalnych kronikach, często napotykamy drzewa krwawiące i wydające okrzyki bólu, gdy się je ścina lub pali. W Górnym Palatynacie starzy drwale wciąż jeszcze potajemnie zwracają się do dużego pięknego drzewa o przebaczenie, zanim je zetną. Tak samo w Jarkino drwal prosi drzewa o przebaczenie, zanim je powali. Gdy Ilaganie z Luzonu mają przystąpić do wyrębu w dziewiczym lesie lub na stoku góry, zaczynają od odmówienia kilku wersetów o następującej treści: "Nie rób nam przykrości, przyjacielu, ponieważ musimy ściąć to, co nam ściąć kazano." Czynią to w tym celu, by nie ściągnąć na siebie gniewu duchów zamieszkujących drzewa, które mogą zemścić się zsyłając choroby na tych, którzy je ranią po próżnicy. Basongowie w Afryce Środkowej uważają, że gdy drzewo jest ścinane, zamieszkujący je duch może w gniewie spowodować śmierć wodza i jego rodziny. Dla zapobieżenia takiemu nieszczęściu zasięgają rady znachora, a gdy otrzymają zezwolenie, drwal składa najpierw drzewu ofiarę z kury i kozy, po czym natychmiast po pierwszym uderzeniu toporem przykładą usta do drzewa i wysysa soki. W ten sposób powstaje braterstwo z drzewem, tak jak dwoje ludzi zawiera braterstwo krwi przez wzajemne ssanie krwi. Potem może już bezkarnie przystąpić do powalenia swego brata-drzewa.

Ale nie zawsze duchy roślinne traktowane są z szacunkiem i czcią. Gdy nie pomagają piękne słowa i uprzejme traktowanie, stosowane są niekiedy surowsze metody. Drzewo durian we Wschodnich Indiach, którego gładki pień wyrasta niekiedy do wysokości osiemdziesięciu lub dziewięćdziesięciu stóp bez jednej gałązki, rodzi owoce o najcudowniejszym smaku i najokropniejszym zapachu. Malaje kultywują te drzewa dla ich owocu i uciekają się do bardzo szczególnej praktyki, gdy chcą pobudzić ich płodność. Niedaleko Jugra w Selangu istnieje mały zagajnik drzew durian. Wieśniacy zbierają się tam w pewien określony dzień. Miejscowy czarownik bierze wówczas siekierę i zadaje kilka ciosów najbardziej jałowemu drzewu mówiąc przy tym: "Będziesz ty przynosił teraz owoce? Jeśli nie, zetnę cię." Drzewo odpowiada na to ustami innego człowieka, który wdrapał się na znajdujący się w pobliżu mangostin (na durian nie można się wdrapać): "Tak, będę już teraz rodził owoce; proszę cię, nie ścinaj mnie." Podobnie w Japonii, by zmusić drzewo do rodzenia owoców, posyła się do sadu dwoje ludzi. Jeden wspina się na drzewo, drugi zaś stoi u jego stóp z siekierą. Człowiek z siekierą pyta drzewo, czy da

obfite zbiory w przyszłym roku, i grozi, że jeśli tego nie uczyni, zetnie je. Na co drugi, ukryty w gałęziach, odpowiada w imieniu drzewa, że zaowocuje obficie. Mogą się nam co prawda wydawać dziwne te metody ogrodnictwa, ale mają one swe dokładne odpowiedniki w Europie. W wilię Bożego Narodzenia wielu południowych Słowian i Bułgarów grozi jałowemu drzewu siekierą, podczas gdy inni mężczyźni wstawiając się za zagrożone drzewo mówią: "Nie ścinaj mnie, wkrótce dam owoce." Trzykrotnie powtarza się groźba, trzykrotnie prośba wstawiającego się powstrzymuje cios. Po takim zabiegu przestraszone drzewo z pewnością zaowocuje następnego roku.

Skoro drzewa i rośliny są istotami ożywionymi, to oczywiście muszą posiadać płeć, nic więc dziwnego, że w konsekwencji takiej koncepcji traktowano je jako istoty płci męskiej i żeńskiej, które można między sobą kojarzyć nie tylko w przenośnym czy poetyckim znaczeniu. Nie jest to zresztą wyobrażenie czysto fantastyczne, ponieważ rośliny, podobnie jak zwierzęta, posiadają swe różnice płci i rozmnażają się w swoich gatunkach przez połączenie elementów męskich i żeńskich. U wyższych jednak zwierząt organy obu płci są rozdzielone pomiędzy odrębne osobniki, natomiast u większości roślin istnieją one równocześnie obok siebie. Nie jest to jednak zasada powszechna i w wielu gatunkach roślina męska różni się od żeńskiej. Różnicę tę, jak się zdaje, podpatrzyły niektóre ludy dzikie, dowiadujemy się bowiem, że Maorysi "znają się na płci drzew itd., i mają oddzielne nazwy dla męskich i żeńskich drzew niektórych gatunków". Starożytni znali różnicę między męską a żeńską palmą daktylową i zapładniali je sztucznie przez otrząsanie pyłku męskiego drzewa na kwiaty żeńskiego. Zapładnianie odbywało się wiosną. U pogan Haranu miesiąc zapładniania palm nazywał się miesiącem Daktyli i w tym samym czasie obchodzili oni święto zaślubin wszystkich bogów i bogiń. Od tych rzeczywistych i owocnych zaślubin palm różnią się fałszywe i jałowe zaślubiny roślin odgrywające tak wielką rolę w przesadach hinduskich. Gdy na przykład Hindus posadzi gaj mangowy, ani on sam, ani jego żona nie mogą skosztować owoców jakiegoś drzewa, dopóki nie zostanie ono zaślubione drzewu odmiennego gatunku, zazwyczaj tamaryszkowi rosnącemu w pobliżu gaju. Gdy brak tamaryszka, zastąpić go może jaśmin. Koszty takiego ślubu bywają znaczne, albowiem im więcej braminów przy tej okazji się ugaszczą, tym większa chwała spada na właściciela gaju. Znany jest wypadek, gdy rodzina musiała sprzedać wszystkie swe złote i srebrne drobiazgi, a nawet zapożyczyć się, by urządzić godną ceremonię zaślubin drzewa mangowego z jaśminem. W wilię Bożego Narodzenia chłopci niemieccy zwykli byli związywać razem słomianymi powrozami drzewa owocowe, by obrodziły, mówiąc, że w ten sposób drzewa są zaślubione.

Niekiedy zgodnie z wierzeniami dusze zmarłych zamieszkują drzewa. Plemię Dieri w Australii Środkowej uważa za bardzo święte pewne drzewa, w które mieli wcielić się ich przodkowie. O drzewach tych wyrażają się z szacunkiem i pilnują, by ich nie ścięto i nie spalono. Gdy osiedleńcy domagają się ścięcia tych drzew, protestują zawzięcie, twierdząc, że to pozbawiłoby ich szczęścia i mogłoby ściągnąć na nich karę za brak poszanowania dla przodków. Niektórzy wyspiarze filipińscy wierzą, że dusze ich przodków przebywają w pewnych drzewach, wobec czego nie ścinają ich. Gdy są zmuszeni takie

drzewo ściąć, proszą drzewo o wybaczenie tłumacząc się, że nakazał im to uczynić kapłan. Duchy najchętniej zamieszkują drzewa wysokie i potężne o szeroko rozpostartych gałęziach. Gdy wiatr szeleści liśćmi, tubylcy słyszą w tym głos ducha i nigdy nie przechodzą obok drzewa, by nie pokłonić się z szacunkiem i nie przeprosić ducha za zakłócenie spokoju. U Ignorotów każda wioska ma swe święte drzewo, w którym mieszkają dusze zmarłych przodków. Drzewu temu składa się ofiary, a każde uszkodzenie drzewa ma ściągać na wioskę niepowodzenia. Gdyby drzewo ścięto, wówczas nie ulega wątpliwości, że zginęłaby wioska wraz z wszystkimi mieszkańcami.

Na Korei dusze ludzi zmarłych przy drodze albo na zarazę i dusze kobiet, które umarły przy porodzie, zamieszkują z reguły drzewa. Takim duchom składa się na stosach kamieni, ułożonych pod drzewami, ofiary z ciasta, wina i wieprzowiny. W Chinach panuje od niepamiętnych czasów zwyczaj sadzenia drzew na grobach, aby w ten sposób wzmocnić dusze zmarłych i ocalić ich ciała przed zepsuciem; do tego celu wybierane są zwłaszcza sosny i cyprysy, ponieważ przypisuje się im większą żywotność niż innym drzewom. Stąd też czasami utożsamia się drzewa rosnące na grobach z duszami tych, którzy odeszli.

Nawet po ścięciu drzewa i sporządzeniu desek, użytych następnie do zbudowania domu, jest rzeczą możliwą, że duch leśny wciąż jeszcze przebywa w drewnie, toteż niektórzy starają się go przebłagać, zanim zamieszkają w nowym domu. Gdy nowy budynek jest ukończony, Toradźowie z Celebesu zabijają kozę, świnię albo bawołu i krwią tych zwierząt smarują wszystkie drewniane części domu. Jeśli budynek jest *lobo*, czyli domem ducha, wówczas zabija się koguta albo psa na kalenicy dachu tak, żeby krew spłynęła na obie strony. Dziwsze plemię Tanapoo w takich wypadkach składa ofiary ludzkie. Ofiara na dachu *lobo*, czyli świątyni, służy temu samemu celowi co smarowanie krwią drewnianych części zwyczajnego domu. Intencją jest przebłaganie ducha leśnego, który może jeszcze przebywać w drewnie. Po takim zabiegu duch jest udobruchany i nie wyrządzi krzywdy mieszkańcom.

Gdy drzewo przestaje uchodzić za ciało ducha drzewa, lecz staje się po prostu jego miejscem zamieszkania, które może w dowolnej chwili opuścić, myśl religijna dokonuje istotnego postępu. Animizm przechodzi w politeizm. Innymi słowy, człowiek przestaje uważać każde drzewo za żywą i świadomą istotę, a widzi w nim tylko martwą i bezduszną masę, zamieszkaną na krótszy lub dłuższy czas przez nadprzyrodzoną istotę, która swobodnie może przechodzić z drzewa na drzewo, przez co posiada pewne prawa własności do drzew i z ducha drzewa przemienia się w leśne bóstwo. Gdy tylko duch drzewa zostaje w ten sposób wyzwolony w pewnej mierze od każdego poszczególnego drzewa, zaczyna zmieniać kształty i wcielać się w postać człowieka na skutek ogólnej tendencji panującej w prymitywnym sposobie myślenia do oblekania wszelkich abstrakcyjnych istnień duchowych w konkretne ludzkie kształty. Stąd sztuka klasyczna przedstawia leśne bóstwa w ludzkiej postaci, podkreślając ich leśny charakter jakąś gałęzią czy równie wymownym symbolem. Zmiana kształtu nie wpływa jednak w sposób zasadniczy na istotę natury ducha drzewa. Władzę, którą posiadał jako wcielony w drzewo duch drzewa, zachowuje nadal jako bóg drzew. Spróbuję to bardziej szczegółowo wykazać. Wskażę więc

najpierw, jak drzewom uważanym za istoty ożywione przypisuje się władzę nad deszczem i słońcem, jak mogą one mnożyć trzodę i pomagać kobietom w połogu, i po drugie, jak te same siły przypisywane są bogom drzew, pojmowanym jako antropomorficzne istoty względnie rzeczywiście ludzkie wcielenia.

Po pierwsze więc, drzewa względnie duchy drzew mają sprowadzać deszcz i pogodę. Gdy misjonarz Hieronim z Pragi namawiał pogan Litwinów, by wycięli święte gaje, rzesza Litwinek błagała księcia litewskiego, by go powstrzymał, twierdząc, że wraz z gajem zniszczony zostanie dom boga, który zsyłał im zawsze deszcz i słońce. Szczep Mundarów w Assamie uważa, że gdy zetnie się drzewo w świętym gaju, leśny bóg okaże swe niezadowolenie wstrzymując deszcz. W celu sprowadzenia deszczu mieszkańcy Monjo, wioski w rejonie Sagajng w północnej Birmie, wybierają największy tamaryszek w pobliżu wsi i mianują go przybytkiem ducha (*nat*), który ma władzę nad deszczem. Po czym składają ofiary z chleba, kokosów, bananów i ptactwa duchowi opiekuńczemu wsi i duchowi, który sprowadza deszcz, i modlą się: "O Panie *nat*, zlituj się nad nami, biednymi śmiertelnikami, i nie wstrzymuj deszczu. Jako że szczerze składamy ci te ofiary, spraw, by deszcz padał dniem i nocą." Po tym następują libacje na cześć ducha tamaryszka, a jeszcze później trzy starsze niewiasty, ubrane w piękne szaty, obwieszane naszyjnikami i kolczykami, śpiewają Pieśń Deszczu.

Duch drzewa każe również dojrzewać plonom. Gallowie afrykańscy tańczą parami wokół świętego drzewa modląc się o dobre zbiory. Każda para składa się z mężczyzny i kobiety trzymających kij za oba końce. Pod pachami trzymają zieloną kukurydzę lub trawę. Chłopi szwedzcy wtykają gałąź z liśćmi do każdej bruzdy na polach, gdzie zasiali zboże, w przekonaniu, że to zapewni im obfity plon. Ta sama myśl leży u podstaw francuskiej i niemieckiej wiechy dożynkowej (*Harvest May*). Jest to duża gałąź, a nawet całe drzewo przybrane kłosami zboża, przywożone do domu z żniw i przytwierdzone do dachu domu lub stodoły, gdzie pozostaje do następnego roku.

W Szwabii wiecha dożynkowa umieszczana bywa na ostatnich snopach zboża pozostawionych w polu; w innych miejscowościach umieszcza się wiechę na polu i przywiązuje się do niej ostatni zżęty snopek.

Duch drzewa sprawia, że trzody rozmnażają się, i ma dobroczynny wpływ na kobiety posiadające potomstwo.

U niektórych plemion murzyńskich w Kongo kobiety ciężarne sporządzają sobie ubrania z kory pewnego świętego drzewa, ponieważ wierzą, że ocali je ono przed niebezpieczeństwem towarzyszącym porodowi. Podanie, że Leto, gdy miała urodzić boskie bliźnięta, Apollina i Artemidę, objęła ramionami drzewo palmowe i oliwkę czy też dwa drzewa laurowe, jest, być może, świadectwem, iż Grecy również wierzyli w skuteczność pewnych drzew jako ułatwiających poród.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

POZOSTAŁOŚCI KULTU DRZEW WE WSPÓŁCZESNEJ EUROPIE

Omówione dotąd dobroczynne właściwości przypisywane pospolicie duchowi drzew pozwalają nam z łatwością pojąć, dlaczego tradycja maika względnie "maja"⁴² była tak szeroko rozpowszechniona i odgrywała tak wielką rolę w ludowych obchodach europejskich chłopów. Wiosną, wczesnym latem lub nawet w dzień letniego przesilenia było i w wielu częściach Europy jest nadal w zwyczaju ścinanie drzewa w lesie, które następnie ustawia się pośród ogólnej uciechy we wsi. Czasami ścina się w lesie tylko gałęzie i przybiera nimi wszystkie domy. Intencją tego zwyczaju jest sprowadzenie na wieś i na każdy poszczególny dom błogosławieństw, których może użyzyć duch drzewa. Stąd właśnie bierze się zwyczaj istniejący w niektórych miejscowościach: polega on na ustawianiu przed każdym domem maika względnie na obnoszeniu go od domu do domu, by na każde gospodarstwo spadła odpowiednia część błogosławieństwa. Z olbrzymiej ilości przykładów wybraliśmy dla zilustrowania tego obyczaju jedynie kilka:

W hrabstwie Northampton istnieje zwyczaj ustawiania w dniu pierwszego maja przed każdym domem drzewka wysokości dziesięciu do dwunastu stóp w taki sposób, by zdawało się, że rośnie ono w tym miejscu. Drzewko i próg domu przybierano kwiatami.

W północnej Anglii istniał dawniej zwyczaj, że młodzi ludzie wstawali w dniu pierwszego maja tuż po północy i przy akompaniamencie muzyki i dęcia w rogi wybierali się do lasu. W lesie łamali gałęzie i ozdabiali je wiankami i wiązkami z kwiatów, po czym o świcie wracali do wsi i przybrane kwiatami gałęzie umieszczali nad drzwiami i oknami swych domów. W Abingdon młodzież chodziła dawniej rankiem pierwszego maja po wsi śpiewając pieśń okolicznościową, z której przytaczamy dwie zwrotki:

*Włóczyliśmy się całą noc
I prawie cały ranek –
I oto powracamy w dom
Wesoły niosąc wianek.
Z wesołym wiankiem skoro świt
Stoimy tu na dworze –
A że tak piękny na nim liść
To dzieło ręki bożej.*

W niektórych wioskach w Wogezach młode dziewczęta chodziły pierwszego maja od domu do domu śpiewając piosenkę, w której wspomniano o "chlebie i mące majowej". Na tych domach, w których otrzymywały pieniądze, umocowywały zielone gałązki, tam zaś gdzie odmawiano im datku, życzyły rodzinie wielu dzieci i by zabrakło chleba dla ich wyżywienia.

We Francji w departamencie Mayenne chłopcy nazywani *maili tins* obchodzili pierwszego maja gospodarstwa śpiewając pieśni okolicznościowe. Otrzymywali za to datki pieniężne i poczęstunek, w każdym domu pozostawiali małe drzewko lub gałązkę. W Alzacji, w pobliżu Saverne, ludzie chodzili z maikiem, przy czym jeden mężczyzna bywał zazwyczaj w białej koszuli i miał twarz posmarowaną

czernidłem, przed nim noszono duże "drzewko majowe", a każdy z uczestników miał mały maik w ręce. Jeden z kompanii niósł duży kosz, do którego zbierał jaja, boczek i tym podobne dary.

W czwartek przed Zielonymi Świątkami chłopcy rosyjscy "idą do lasu śpiewając, wyplatają wieńce i ścinają młodą brzożkę, którą ubierają w kobiecy strój albo ozdabiają wielobarwnymi szmatkami i wstążkami. Po tym następuje biesiada, na zakończenie zaś zabierają przystrojoną brzożę do swej wioski z pieśniami i tańcami i ustawiają ją w jednym z domów, gdzie pozostaje jako honorowy gość do Zielonych Świąt. W ciągu tych dwu dni składają wizyty w domu, w którym przebywa ich «gość», ale na trzeci dzień, to jest w niedzielę Zielonych Świąt, zanoszą brzożę do rzeki i wrzucają do wody", a w ślad za nią wieńce. Ten rosyjski zwyczaj ubierania brzozy w strój kobiecy dowodzi w sposób oczywisty, że mamy tu do czynienia z personifikowaniem drzewa, a wrzucanie go do wody jest według wszelkiego prawdopodobieństwa zaklinaniem deszczu.

W niektórych okolicach Szwecji w wilię pierwszego maja chłopcy chodzą z pękiem świeżych prętów brzożowych, pokrytych już częściowo lub całkowicie liśćmi. Przed nimi postępuje skrzypek wiejski i w ten sposób obchodzą wszystkie domostwa śpiewając pieśni majowe. Treścią tych pieśni jest prośba o dobrą pogodę, obfite plony i wszelkie dary ziemi i niebios. Jeden z chłopców ma kosz, do którego zbiera dary. Gdy gospodarze dobrze ich przyjmują, wtykają pręt z liśćmi w dach nad drzwiami domu. Ale w Szwecji letnie przesilenie jest głównym okresem dla tego rodzaju obrządków. W wilię św. Jana (dwudziestego trzeciego czerwca) sprząta się skrupulatnie domy i ubiera je w zielone gałęzie i kwiaty. Przed drzwiami i w innych miejscach ustawia się młode jodełki, a w ogrodach często buduje cieniste altanki. W Sztokholmie tego dnia sprzedaje się na targu tysiące "majów" (*Maj Stänger*) od sześciu do dwunastu cali wysokości, przybranych liśćmi, kwiatami, pasemkami kolorowego papieru, złożonymi skorupkami jajek zawieszonymi na słomkach itp. Na szczytach gór rozpala się ogniska, wokół których ludzie tańczą i przez które skaczą, ale głównym wydarzeniem dnia jest ustawianie "maja". Składa się on z prostego, wysokiego świerka ogołoconego z gałęzi. "Niektóre mają na sobie obręcze i inne kawałki drzewa przymocowane na krzyż, na innych natomiast zawieszają się łuki w taki sposób, by przypominały człowieka podpierającego się pod boki. Nie tylko sam *Maj Stang* ("maj"), ale obręcze, łuki itd., przybrane są liśćmi, kwiatami, najrozmaitszymi szmatkami, złożonymi skorupkami od jajek itp., a na szczycie umieszcza się dużą chorągiewkę względnie flagę." "Ustawianiem i przybieraniem «maja» zajmują się dziewczęta, a jest to zajęcie bardzo uroczyste. Ludzie ściągają ze wszystkich stron i tańczą tworząc duże koło wokół «maja»." Podobne obyczaje w związku z przesileniem letnim zaobserwowano w niektórych częściach Niemiec. W miastach Górnego Harcu ustawiano na placach wysokie jodły z korą odartą z dolnej części pnia, przybrane kwiatami oraz żółtymi i czerwonymi pisankami. Wokół tych drzew w dzień tańczyła młodzież, a wieczorem dorośli. W niektórych okolicach Czech ustawia się "maj" w wilię św. Jana. Chłopcy przynoszą z lasu wysoką jodłę lub sosnę i ustawiają na wzgórzu. Dziewczęta

⁴² W oryginale *May-tree* lub *May-pole* ("drzewko majowe" lub "słup majowy"). Używamy tu podobnych w tekście nazw polskich,

przybierają ją następnie bukietami, girlandami kwiatów oraz czerwonymi wstążkami. Po obchodach "maj" zostaje spalony.

Rzeczą zbyteczną jest rozodzić się nad obyczajami, związanymi z ustawianiem "maja" w dniu pierwszego maja, które przetrwały w różnych częściach Europy, jak na przykład w Anglii, Francji i Niemczech. Wystarczy kilka przykładów. Pisarz purytański Philip Stubbes, w swej *Anatomie of Abuses* ("Anatomii bezceństw"), wydanej po raz pierwszy w Londynie w 1583 r., opisuje z nie skrywanym obrzydzeniem, jak to w czasach dobrej królowej Bess ludzie zwykli byli ustawiać "maj". Jest to żywy obrazek wesołej Anglii dawnych czasów. "W maju, przed Zielonymi Świątami lub w innym czasie młodzi chłopcy i dziewczęta, starzy mężczyźni i kobiety włóczą się nocami po lasach, gajach, górach i pagórkach, całą noc spędzając na przyjemnych rozrywkach, a gdy rankiem wracają, przynoszą z sobą brzozy i gałęzie drzew, którymi potem przyozdabiają swe zebrania. I nic w tym dziwnego, ponieważ przebywa między nimi wielki Pan, jako nadzorca i pan ich zabaw i wyczynów, a mianowicie Szatan, książę piekieł. Ale głównym skarbem, jaki ze sobą przynoszą, jest ich «maj», który wprowadzają do swych domów z wielkim nabożeństwem. Mają dwadzieścia albo czterdzieści wołów w zaprzęgach, a każdy wół ma rogi przybrane pachnącym bukietem z kwiatów, a woły te ciągną do domu ów «maj» (a raczej ich śmierdzącego bożka) obwieszony kwiatami i ziołami, obwiązany od góry do dołu sznurkami, a czasami malowany w różne kolory, a dwie albo trzy setki mężczyzn, kobiet i dzieci idą za nim z wielkim nabożeństwem.

A kiedy go postawią z chusteczkami i flagami powiewającymi na szczycie, posypują wokół niego ziemię, przywiązują doń zielone gałęzie i ustawiają w pobliżu chatki, altany i gaiki. A potem zaczynają tańczyć, jak pogańskie narody czyniły to przy poświęceniu bożków, czego to jest doskonałym przykładem, a raczej rzeczą samą. Słyszałem od zasługujących na wiarę ludzi (i to *viva voce*⁴³), że bywa, iż czterdzieści, sześćdziesiąt lub sto dziewcząt idzie na noc do lasu i zaledwie jedna trzecia wraca do domu nie pohańbiona."

Istnieje również pouczająca kategoria przypadków, gdy duch drzewa przedstawiany jest równocześnie w formie roślinnej i ludzkiej. Obie te formy istnieją równolegle obok siebie, jak gdyby po to, by się wzajemnie objaśniać. W takich wypadkach ludzkim wyobrażeniem ducha drzew bywa czasami kukła lub lalka, czasami zaś jest to żywy człowiek, ale bez względu na to, czy jest to lalka, czy też żywa istota, zostaje umieszczona obok drzewa lub gałęzi, dzięki czemu osoba lub lalka i drzewo lub gałąź tworzą swojego rodzaju dwujęzyczne objaśnienie względnie tłumaczenie z jednego języka na drugi. W takim wypadku nie ulega żadnej wątpliwości, że duch drzewa jest rzeczywiście przedstawiony w ludzkiej postaci. W Czechach w czwartą niedzielę wielkiego postu młodzi ludzie wrzucają do wody kukłę zwaną Śmiercią, po czym dziewczęta udają się do lasu, ścinają młode drzewko i przywiązują je do

ponieważ zwyczaj analogiczny do opisywanych przez Frazera znane są w Polsce pod nazwami "maik", "maj" itp.

⁴³ z własnych ust, bezpośrednio (łac.)

kukły ubranej w białe szaty, tak żeby wyglądała jak kobieta. Z tym drzewem i kukłą idą od domu do domu zbierając datki i śpiewając piosenki, których refren brzmi następująco:

*Pędzimy oto ze wsi Śmierć,
Niesiemy do wsi Lato...*

Jak się o tym przekonamy dalej, "Lato" jest w tym wypadku duchem roślinności, powracającym względnie ozywającym na wiosnę. W niektórych okolicach Anglii dzieci chodzą prosząc o grosik z małymi imitacjami maika i pięknie przybraną lalką, którą nazywają Panią Maju. W tych wypadkach lalka i drzewko są niewątpliwie ekwiwalentami.

W Thann w Alzacji dziewczynka nazywana Różyczką Majową, ubrana w białą sukienkę, obnosi przybrany wiankami i wstążkami maik, a jej towarzyski zbierają dary u każdych drzwi i śpiewają przy tym piosenkę:

*Majowa Rózo, okręć się trzy razy!
Daj nam na siebie patrzeć bez obrazy!
Chodź, różyczko, chodź do lasa,
Będziem śpiewać, będziem hasać
Od samego maja - aż do samej róży!*

W piosence wypowiedziane jest życzenie, by tym, którzy nic nie dają, kuny pożarły kuny, by ich winnice nie obrodziły, drzewa nie dały orzechów, pola zbóż. Powszechnie uważa się, że zbiory zależą od darów ofiarowanych tym majowym śpiewakom. W danym, jak i w poprzednio wzmiankowanych przypadkach, pierwszego maja dzieci chodzą z zielonymi gałęziami i wiankami, śpiewają i zbierają pieniądze. Cały ten obrządek oznacza, że wraz z duchem roślinności sprowadzają one obfitość i powodzenie na dom i oczekują za to opłaty. Na Litwie rosyjskiej w dniu pierwszego maja ustawiano przed wsią zielone drzewo, a parobcy wybierali najładniejszą dziewczynę, koronowali ją, spowijali w gałązki brzozy, sadzali koło majowego drzewa i tańczyli wokół wołając: "O Maju! O Maju!" W Brie (Isle de France) "maj" ustawia się w środku wioski. Wierzchołek ozdabia się kwiatami, górną część liśćmi i gałązkami, a dolną dużymi, zielonymi konarami. Dziewczęta tańczą wokół tego drzewa prowadząc równocześnie z sobą chłopaka pokrytego liśćmi, którego nazywają Ojcem Majem. W małych miasteczkach gór Lasu Frankońskiego w Północnej Bawarii ustawia się drugiego maja przed karczmą drzewo *Walber*, wokół którego tańczy mężczyzna w chochole splecionym w taki sposób, że kłosa schodzą się nad jego głową tworząc koronę. Nazywają go *Walber* i zazwyczaj prowadzi on procesję po ulicach udekorowanych gałązkami brzozy.

U Słowian w Karyntii w dniu Św. Jerzego (23 kwietnia) młodzież przybiera kwiatami i wiankami drzewo ścięte w przeddzień, po czym obnosi je z muzyką i radosnymi okrzykami, a główną postacią pochodu jest Zielony Jerzy, młody chłopak przybrany od stóp do głowy w zielone gałązki. Zielonego Jerzego, to znaczy kukłę wyobrażającą go, wrzuca się do wody na zakończenie obchodów. Chłopak grający Zielonego Jerzego stara się zawsze tak sprytnie wyśliznąć ze swej zielonej szaty, a zamiast siebie podstawić kukłę, by nikt tego nie zauważył, w wielu jednak miejscowościach sam chłopak odgrywający rolę Zielonego Jerzego bywa zanurzany w rzece lub sadzawce, a oczywistym celem tego

jest zapewnienie deszczu i spowodowanie, by pola i łąki zazieleniły się na wiosnę. W niektórych miejscowościach nakłada się bydłu wianki na głowy i wypędza je z obór śpiewając przy tym:

*Niesiemy ciebie, Zielony Jerzy,
Za tobą cała gromada bieży.
Jeśli nam nie dasz paszy dla trzody -
Pójdiesz do wody, pójdiesz do wody!*

Widzimy w tych przypadkach, że te same siły, wywołujące deszcz i opiekujące się bydłem, przypisywane duchowi drzewa, są również przypisywane duchowi drzewa reprezentowanemu przez żywego człowieka.

U Cyganów w Transylwanii i w Rumunii uroczystości Zielonego Jerzego są najważniejszym świętem wiosny. Niektórzy z nich obchodzą je w poniedziałek wielkanocny, inni w dzień św. Jerzego (23 kwietnia). W przeddzień święta ścina się młodą wierzbę, przybiera liśćmi i wiankami i wtyka ją w ziemię. Kobiety w ciąży pozostawiają na noc pod drzewem jakąś część swej odzieży, a jeśli następnego ranka znajdą na niej listek z drzewa, wiedzą, że poród będzie lekki. Ludzie starzy i chorzy udają się wieczorem ku drzewu, spluwają na nie trzykrotnie i mówią: "Ty wkrótce umrzesz, ale spraw, żebyśmy żyli." Następnego ranka Cyganie zbierają się przy wierzbie. Główną postacią uroczystości jest Zielony Jerzy, chłopak cały skryty pod przybraniem z zielonych liści i kwiatów. Rzuca on kilka garści trawy zwierzętom należącym do bandy, by nie zabrakło im paszy w ciągu roku. Potem bierze trzy żelazne gwoździe, które przez trzy dni i trzy noce leżały w wodzie, i wbija je w wierzbę, później wyciąga je i wrzuca do strumienia, by przebłagać duchy wodne. Na zakończenie ludzie udają, że wrzucają Zielonego Jerzego do wody, ale w rzeczywistości wrzucają kukłę zrobioną z gałązek i liści. W tej wersji zwyczaju moc ulżenia w połogu i przelania sił witalnych na chorych jest ponad wszelką wątpliwość przypisywana wierzbie, natomiast Zielony Jerzy, ludzki sobowtór drzewa, daje strawę bydłu i zapewnia przychylność duchów wodnych związując je bezpośrednio z drzewem.

Jak dotąd, widzieliśmy, że duch drzewa względnie roślinności jest w zasadzie reprezentowany albo wyłącznie w postaci roślinnej, na przykład przez drzewo, gałąź lub kwiat, albo równocześnie w postaci roślinnej i ludzkiej, jak na przykład przez drzewo, gałąź i kwiat w połączeniu z żywą osobą lub kukłą. Należy jeszcze dowieść, że niekiedy zupełnie pominięte zostaje przedstawienie ducha w postaci drzewa, gałęzi lub kwiatu, a pozostaje jedynie żywa osoba. W takim wypadku charakter zastępczy człowieka jest zazwyczaj zaznaczony przez przybranie go w liście lub kwiaty, czasami świadczy o tym również imię, które otrzymuje.

Na przykład w niektórych okolicach Rosji w dniu św. Jerzego stroi się młodego chłopca w liście i kwiaty. Słoweńcy nazywają go Zielonym Jerzym. Trzymając w jednej ręce zapaloną pochodnię, a w drugiej pieróg wychodzi on na pola, a za nim idą dziewczęta śpiewające odpowiednie pieśni. Rozpala się następnie koło z chrustu i w środku umieszcza się pieróg. Wszyscy uczestnicy ceremonii zasiadają przy ognisku i dzielą się nim. W tym obyczaju Zielony Jerzy jest niewątpliwie identyczny z podobnie przybranym Zielonym Jerzym powiązanym z drzewem w zwyczajach przestrzeganych w ten dzień w

Karyntii, Transylwanii i w Rumunii. W Rosji znowuż widzieliśmy, że w Zielone Świąta ubiera się wierzbę w kobiece szaty i umieszcza ją na domu; w rejonie Pińska identyczny zwyczaj jest przestrzegany w drugi dzień Zielonych Świąt. Dziewczęta białoruskie wybierają najładniejszą ze swego grona i obwieszoną liśćmi brzozy i klonu oprowadzają po wsi.

W Ruhla, gdy tylko drzewa się zazielenia, dzieci zbierają się w niedzielę i udają się do lasu, gdzie wybierają jednego z swych towarzyszy na Małego Liścianego Człowieczka. Obłamują gałązki z drzew i oplatają nimi dziecko tak, że tylko buciki widać spod zielonego płaszcza. Robią otwory, przez które może patrzeć, i dwoje dzieci prowadzi go, żeby się nie potknął. Z tańcami i śpiewami prowadzą go od domu do domu prosząc o darowanie im jaj, śmietany, kiełbasy i ciastek. Na koniec skrapiają Liścianego Człowieczka wodą i urządzają sobie ucztę z zebranych wiktuałów. W Fricktal w Szwajcarii w Zielone Świąta chłopcy idą do lasu i jednego z obecnych oplatają gałązkami. Nazywa się go Zielonoświątkowym Ciurą, wsadza się go na konia z zieloną gałęzią w ręce i obwozi po wsi. Przy studni wszyscy zatrzymują się, zdejmują Ciurę z konia i zanurzają go w korycie; w ten sposób nabywa on prawa polewania wszystkich wodą, a z prawa tego korzysta głównie w stosunku do dziewczuch i urwisów. Bandy uliczników maszerują przed nim i proszą go, by ich oblał wodą.

Najpopularniejszym przykładem tych komediantów w Anglii jest Jack-in-the-Green - Zielony Jaś, kominiarz, który chodzi w stożkowatym kostiumie z wikliny, przybranym ostrokrzewem i bluszczem, z koroną z kwiatów i wstążek na szczycie. W takim stroju kroczy on tańcząc na czele kilku kominiarzy, którzy zbierają datki. W Fricktal przebranie takie nazywa się "zielonoświątecznym koszykiem". Gdy tylko drzewa zaczynają pączkować, wybiera się w lesie miejsce, gdzie w największej tajemnicy chłopcy wiejscy przygotowują ten koszyk pilnując, by nikt ich nie wyprzedził. Na dwóch obręczach oplata się liściaste gałęzie, jedna obręcz spoczywa na barkach, druga otacza łydki, specjalne otwory robi się dla ust i oczu, a duży bukiet z kwiatów wieńczy całość. W tym stroju wybrany chłopak pojawia się niespodziewanie we wsi w godzinie nieszporów, a przed nim kroczą trzej chłopcy dmąc w rogi sporządzone z wierzbowej kory. Głównym zadaniem całej kompanii jest umieszczenie zielonoświątecznego koszyka na studni wiejskiej i dopilnowanie, by chłopcy z sąsiednich wiosek nie skradli go i nie umieścili na własnej studni.

W tej kategorii przypadków, których przykłady podaliśmy wyżej, jest rzeczą oczywistą, że osoba, przybrana w liście jest synonimem "maja" względnie kukły majowej obnoszonej przez żebrzące dzieci od domu do domu. Jedno jak i drugie przedstawia dobroczynnego ducha roślinności, którego odwiedziny należy zrekompensować darami w pieniądzu lub żywności.

Częstokroć osoba przybrana w liście uosabiająca ducha roślinności nosi nazwę Króla lub Królowej. Bywają to często takie tytuły jak Król Majowy, Król Zielonoświąteczny, Królowa Maja itd. Tytuły te, jak

stwierdza Mannhardt⁴⁴, sugerują, że duch wcielony w roślinność jest władcą posiadającym szeroko i daleko sięgającą władzę.

W pewnej wiosce niedaleko Salzwedel ustawia się w Zielone Świąta "maj", do którego urządza się wyścigi chłopców, a ten, kto pierwszy dobiegnie, zostaje królem. Na szyi zawiesza się mu wieniec z kwiatów, a w ręce dzierży maik, którym przed procesją zmiata rosę. Przed każdym domem uczestnicy procesji śpiewają pieśń, w której życząc mieszkańcom szczęścia wspominają o "czarnej krowie w oborze dającej białe mleko i czarnej kurze składającej białe jajka" i proszą przy tym o darowanie im jajek, boczku i innych wiktuałów. W wiosce Ligocie na Śląsku urządza się w Zielone Świątki tak zwane Królewskie Wyścigi. Na łące ustawia się słup, do którego przypięto kawałek płótna, a młodzi mężczyźni pędząc na koniach usiłują je zerwać. Ten, któremu to się uda i zanurzy je w pobliskiej Odrze, ogłoszony zostaje królem. Słup jest tu oczywiście substytutem "maja".

W Hildesheim pięciu lub sześciu młodych chłopców chodzi po wsi w drugi dzień Zielonych Świąt trzaskając rytmicznie z długich batów i zbierając jajka po domach. Najważniejszą osobą w kompanii jest Król Liściany, chłopak tak starannie przystrojony w liście i gałązki brzozy, że spod kostiumu wystają mu jedynie stopy. Wysokie przybranie głowy z gałązek brzozy dodaje mu wzrostu. W ręce trzyma długi hak, którym stara się po drodze łapać zabłąkane psy i dzieci. W niektórych okolicach Czech w drugi dzień Zielonych Świąt młodzi chłopcy kładą na głowy wysokie czapy z kory brzozowej ozdobione kwiatami. Jednego z nich, w stroju Króla, ciągną w saniach na wiejskie pastwisko i jeśli po drodze trafi się sadzawka, niechybnie wywracają sanie. Przybywszy na pastwisko zbierają się wokół Króla, Herold wskakuje na kamień albo włazi na drzewo i odczytuje pamflety na każdy dom we wsi i na jego mieszkańców. Potem zrywa się czapę z kory i chłopcy chodzą po wsi ubrani świątecznie obnosząc maik i prosząc o dary. Czasami dostają ciastka, jajka i kukurydzę. W Grossvargula koło Langensalza istniał w osiemnastym wieku zwyczaj prowadzenia Króla Trawy w procesji zielonoświątecznej. Ukryty był on w piramidzie z gałęzi topoli, a na głowie miał koronę królewską z gałązek i kwiatów. Jeździł na koniu ukryty w liściastej piramidzie tak długiej, że sięgała ziemi i pozostawiano w niej tylko otwór dla twarzy. Otoczony kawalkadą młodzieży podjeżdżał w ten sposób do ratusza, plebanii itd., gdzie wszystkich podejmowano piwem. Potem pod siedmioma lipami w sąsiednim Sommerberg zdzierano z Króla Trawy jego zieloną powłokę, koronę wręczano burmistrzowi, a gałęzie wtykano na polu, na którym zasiano len, by rósł wysoko. W tym ostatnim szczególnie występuje naocznie użyźniający wpływ ducha drzewa. W okolicach Pilzna w Zielone Świąta stawia się pośrodku wsi budę z zielonych gałęzi w kształcie stożka bez drzwi. Do tej budy zjeżdżają się chłopcy wiejscy z Królem na czele. Ma on przypięty do boku miecz i na głowie stożkowaty kapelusz z sitowia. Świta jego składa się z Sędziego, Herolda i postaci zwanej Oprawcą Żab, czyli Katem. Ten ostatni spełnia rolę Błazna. Ma stary zardzewiały miecz i jedzie na nędznej szkapie. Gdy pochód dociera do budy, Herold schodzi z konia i obchodzi budę wokoło,

⁴⁴ Wilhelm M a n n h a r d t (1831-1880) - niemiecki badacz mitów i legend. Napisał m. in. *Germanische Mythen, Wald*

szukając drzwi. Nie znajdując ich mówi: "Zapewne jest to zaczarowany zamek, czarownice włożą przez liście i nie potrzebują żadnych drzwi." Następnie wyciąga miecz i wyrąbuje sobie drogę do budy. W środku stoi krzesło, na którym siada i rozpoczyna wierszem krytykować dziewczęta, gospodarzy i parobków z okolicy. Po tej ceremonii przychodzi kolej na Oprawcę Żab, który pokazawszy najpierw klatkę z żabami ustawia szubienicę i wiesza na niej wszystkie żaby po kolei. W okolicy Pląs ceremonia różni się w kilku szczegółach. Król i żołnierze są całkowicie przystrojeni w korę przybraną kwiatami i wstążkami. Wszyscy mają przypięte do boku szable i jadą na koniach, również przybranych zielonymi gałązkami i kwiatami. Gdy w zagajniku krytykuje się wiejskie niewiasty i dziewczęta, Herold w ukryciu szczybie i szturcha żabę, aż zacznie rechotać, a wtedy Król wydaje wyrok śmierci na żabę. Kat ucina jej łeb i rzuca skrwawiony tułów między widzów. Zabawa kończy się na tym, że żołnierze przepędzają Króla z sąsiedztwa i ścigają go. Jak stwierdza Mannhardt, szczypanie i ucinanie głowy żabie jest niewątpliwie sposobem na zaklinanie deszczu. Widzieliśmy już, że niektórzy Indianie znad Orinoko biją żaby specjalnie po to, by sprowadzić deszcz, a zabijanie żab jest europejskim czarem na deszcz. Duch roślinności wiosennej jest często uosabiany przez Królowę zamiast Króla. W okolicach Libchovic (Czechy) w czwartą niedzielę postu dziewczęta w białych strojach, z pierwszymi wiosennymi kwiatami, jak fiołki i stokrotki, wpiętymi we włosy, prowadzą po wsi dziewczynę, która nazywa się Królową i nosi koronę z kwiatów. W czasie uroczystej procesji wszystkie dziewczęta muszą bez przerwy kręcić się w kółko i śpiewać. W każdym domu Królowa obwieszcza nadejście wiosny i życzy mieszkańcom szczęścia i powodzenia, za co otrzymuje podarki.

Czasami ducha roślinności reprezentuje zarówno Król, jak i Królowa, Pan i Pani albo para narzeczonych. Napotyamy tu znowu paralelizm między antropomorficznym i roślinnym wyobrażeniem ducha drzewa, albowiem, jak widzieliśmy, niekiedy żeni się również między sobą drzewa. W Halford, w południowej części hrabstwa Warwick, w dzień pierwszego maja dzieci chodzą od domu do domu parami z Królem i Królową na czele. Dwóch chłopców nosi "maj" wysokości jakich sześciu lub siedmiu stóp, ozdobiony kwiatami i zielenią. Na szczycie "maja" przytwierdzone są dwa drążki zbite pod kątem prostym. One również przybrane są kwiatami, a z końców drążków zwisają w podobny sposób udekorowane obręcze. Dzieci chodzą po domach, śpiewają pieśni majowe i otrzymują pieniądze, za które później, po południu, urządzają sobie podwieczorek w szkole. W pewnej wiosce czeskiej koło Hralec Kralovs (Kóniggratz) w drugi dzień Zielonych Świąt dzieci grają w "grę królewską", w której Król i Królowa maszerują pod baldachimem, Królowa w wiankach, a najmłodsza dziewczynka niesie za nimi na tacy dwa wieńce. Towarzyszą im chłopcy i dziewczęta zwani druwnami i družbami. Chodzą od domu do domu zbierając podarki. Na Śląsku stałym punktem zabaw ludowych na Zielone Świąta były i do pewnego stopnia są jeszcze nadal zawody o tytuł królewski. Zawody przybierały rozmaite formy, ale celem zawsze był "maj". Niekiedy młodzieniec, któremu udało się wspiąć po gładkim słupie i zdjąć

leżącą na szczycie nagrodę, był ogłaszany Zielonoświątkowym Królem, a jego wybranka Królową. Po proklamacji Król z maikiem w ręce udawał się wraz z całą kompanią do karczmy, gdzie zabawa kończyła się tańcami i biesiadą. Młodzi chłopcy i parobcy często urządzali wyścigi konne do "maja" przybranego kwiatami, wstęgami i koroną. Ten, kto pierwszy docierał do "maja", zostawał Zielonoświątkowym Królem i przez resztę dnia wszyscy musieli mu być posłuszni. Najgorszy jeździec zostawał Błaznem. Przy "maju" wszyscy zsiadali z koni i brali na ramiona Króla. Król zwinnie wspinał się na słup i zdejmował maik i koronę znajdujące się na szczycie. W tym czasie Błazen śpieszył do karczmy i jak najszybciej starał się połknąć trzydzieści bułek i wypić cztery kwarty wódki. Za nim nadciągał Król z maikiem w ręce i reszta towarzystwa. Błazen, jeżeli już uporał się z bułkami i wódką, witał go przemówieniem i szklanicą piwa, a Król regulował rachunek. Błazen, który nie spełnił powyższych warunków, musiał sam płacić za siebie. Po nabożeństwie cała kompania w uroczystej procesji ciągnęła przez wieś. Na czele jechał Król przybrany kwiatami trzymając w ręce maik. Za nim podążał Błazen w ubraniu wywróconym podszewką na wierzch, z przyprawioną długą lnianą brodą i koroną zielonoświątkową na głowie. Za nimi jechało dwóch jeźdźców przebranych za gwardię przyboczną. Procesja zatrzymywała się przed każdym gospodarstwem, dwóch gwardzistów schodziło z konia, zamykało Błazna w domu i domagało się od gospodyni haraczu na zakup mydła dla umycia brody Błaznowi. Zwyczaj zezwalał im zabierać wszelkie wiktuały, które nie były pod kluczem. Wreszcie przybywali do domu, w którym mieszkała wybranka Króla. Witano ją jako Zielonoświątkową Królową i otrzymywała odpowiednie podarki, na przykład barwną szarfę, obrus i fartuch. Król dostawał w nagrodę kamizelkę, krawat i tym podobne rzeczy i miał prawo ustawienia maika względnie drzewka zielonoświątkowego przed obejściem swego pana, gdzie pozostawało ono do następnych Zielonych Świąt. W końcu procesja udawała się do gospody, gdzie Król z Królową rozpoczynali tańce. Niekiedy Zielonoświątkowy Król i Zielonoświątkowa Królowa obejmowali urząd w inny sposób. Na wozie drabiniastym przywożono chochoła naturalnej wielkości z czerwoną czapczką na głowie. Siedział on między dwoma mężczyznami uzbrojonymi i przebranymi za strażników. Odstawiano go do miejsca, gdzie miał się odbyć nad nim żartobliwy sąd. Po oficjalnej rozprawie skazywano go na śmierć i przywiązywano do słupa wystawionego w miejscu egzekucji. Młodzież z przewiązanymi oczami starała się go przebić dzidą. Ten, któremu się to udawało, zostawał Królem, a jego bogdanka Królową. Chochoł nosił imię Goliata.

Widzieliśmy już, że obrządki, które w innych krajach związane są z Zielonymi Świątami lub dniem pierwszego maja, w Szwecji przypadają zazwyczaj na dzień przesilenia letniego. W niektórych okolicach szwedzkiej prowincji Blekinge zachował się jeszcze obyczaj wybierania Królowej "letniego przesilenia", której niekiedy wypożycza się "koronę kościelną". Wybrana dziewczyna sama wyszukuje sobie narzeczonego, po czym odbywa się zbiórka na młodą parę, którą przez ten czas uważa się za młode małżeństwo. Pozostali młodzieńcy również wybierają sobie narzeczone. Podobne ceremonie, jak się zdaje, istnieją jeszcze nadal w Norwegii. W okolicy Briancon (Delfinat) pierwszego maja chłopcy ubierali w zielone liście jednego z wiejskich kawalerów, którego rzuciła bogdanka wychodząc za mąż za

innego. Kładzie się on na ziemi i udaje, że śpi. Po czym dziewczyna, która go lubi i chce za niego wyjść za mąż, przychodzi, budzi go i podaje mu swe ramię i kij. Razem udają się do karczmy i są pierwszą parą, która rozpoczyna tańce. Para musi się pobrać w ciągu roku, a jeśli młodzi tego nie uczynią, będą traktowani jako stary kawaler i stara panna i nie będą dopuszczeni do towarzystwa młodzieży. Kawalera nazywają Majowym Narzeczonym. W karczmie zrzuca on z siebie swój liściasty kostium, z którego podczas tańców jego partnerka robi bukiet przepleciony kwiatami i nosi go następnego dnia na piersi, gdy narzeczony ponownie prowadzi ją do karczmy. Podobny zwyczaj przestrzegany jest w Rosji w rejonie Nerechty w czwartek przed Zielonymi Świątami. Dziewczęta idą do brzozonego gaju i tam przewiązują wokół dużej brzozy pasek albo wstążkę, a dolne gałęzie uginają w ten sposób, że tworzą wieniec, po czym te dziewczęta, które się przez wieniec ucałują, nazywają się przyjaciółkami. Następnie jedna z dziewcząt naśladuje człowieka pijanego, rzuca się na ziemię, tarza w trawie i udaje, że mocno zasypia. Budzi ją inna dziewczyna pocałunkiem, a potem cała gromadka, śpiewając głośno, wije wianki, które następnie rzuca na wodę. Z tego, jaki los spotka wianki, wróżą sobie dziewczęta przyszłość. Rolę śpiącego niewątpliwie musiał kiedyś odgrywać chłopiec. W obyczajach francuskim i rosyjskim występuje opuszczony narzeczony, zaś w obyczaju opisanym poniżej - opuszczona narzeczona. W środę popielcową Słoweńcy z Górnej Krainy wloką przez wioskę słomianą kukłę pokrzykując wesoło. Topią ją następnie w wodzie albo palą, a z wysokości płomienia wróżą obfitość najbliższych plonów. Za hałaśliwym tłumem kroczy przebrana niewiasta ciągnąc na sznurku dużą deskę; udaje, że jest porzuconą narzeczoną.

Z powyższego można by wyciągnąć wniosek, że budzenie śpiącego oznacza prawdopodobnie w tych zwyczajach przebudzenie roślinności na wiosnę. Ale niełatwo jest zinterpretować rolę porzuconego narzeczonego i dziewczyny, która budzi go ze snu. Czy śpiący oznacza las bezlistny i nagą ziemię w zimie? Czy dziewczyna, która go budzi, jest świeżą zielenią czy też ciepłym słońcem wiosennym? Na te pytania trudno nam odpowiedzieć na podstawie posiadanych materiałów.

Na Pogórze Szkockim przebudzenie się roślinności na wiosnę było plastycznie przedstawiane w dzień św. Brygidy, pierwszego lutego. Tak więc na Hebrydach "gospodyni i służba w każdej rodzinie biorą snop owsa, przybierają go w kobiecy strój, umieszczają w dużym koszu i kładą obok drewnianą pałkę, a wszystko to nazywają łóżem Brygidy. Po czym gospodyni i służba wołają trzykrotnie: «Przybyła Brygida, witamy Brygidę.» Czynią to tuż przed udaniem się na spoczynek, a gdy rano wstają, szukają w popiele śladu pałki Brygidy; jeśli potrafią ślad taki odnaleźć, wówczas wróżą z tego, że rok będzie urodzajny i pomyślny, jeśli śladu nie ma, oznacza to zły omen." Inny świadek tak oto opisuje identyczny obyczaj: "W wilię Matki Boskiej Gromnicznej istnieje zwyczaj siania w jednym kącie domu łóżka zbożem i sianem i przykrywania go kilkoma kołdrami. Gdy już jest gotowe, jedna z obecnych osób wychodzi i powtarza trzykrotnie: «Brygido, Brygido, chodź do środka, łóżko już posłane.» Obok pozostawia się na całą noc jedną lub kilka świec."

Nie ulega wątpliwości, że św. Brygida pełni w tych zwyczajach funkcję starożytnej bogini płodności, przybranej w bardzo cienki chrześcijański strój. Prawdopodobnie jest ona nikim innym jak Brigitą, celtycką boginią ognia, a widocznie także i plonów.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ŚWIĘTE MAŁŻEŃSTWO

Istniało rozpowszechnione wierzenie, oparte zresztą w pewnej mierze na faktach, że rośliny rozmnażają się przez seksualne połączenie elementów męskich i żeńskich i że można rzekomo pobudzić je przez homeopatyczne, czyli naśladowcze zabiegi magiczne, polegające na rzeczywistym lub udawanym małżeństwie ludzi, którzy w tej chwili odgrywają role duchów roślinności. Tego rodzaju dramaty magiczne stanowiły ważny element obrządków ludowych w Europie i ponieważ są oparte na bardzo prymitywnej koncepcji praw przyrody, niewątpliwie musiały być przekazane z bardzo odległej starożytności. Nie popełnimy więc błędu, jeśli założymy, że wywodzą się one z czasów, gdy przodkowie cywilizowanych narodów Europy byli jeszcze barbarzyńcami wypasającymi swe trzody i uprawiającymi zboże na polach olbrzymich borów, które podówczas pokrywały większą część kontynentu od Morza Śródziemnego po Ocean Lodowaty Północny. Skoro jednak te stare zaklęcia i czary mające spowodować wyrastanie liści i kwiatów, traw i pąków, i owoców przetrwały do naszych czasów w postaci sztuk pastoralnych i ludowych festynów, czyż nie byłoby rzeczą słuszną przypuszczać, że istniały one w bardziej zwartej postaci przed dwoma tysiącami lat wśród cywilizowanych narodów starożytnych? Względnie, ujmując sprawę inaczej, czy nie jest rzeczą prawdopodobną, że pewne święta u starożytnych stanowią odpowiednik naszych majówek, Zielonych Świąt i obchodów letniego przesilenia, z tą tylko różnicą, że w owych czasach uroczystości te nie sprowadzały się jeszcze do zwykłych widowisk i zabaw, lecz były religijnymi czy też magicznymi rytuałami, w których aktorzy z całą powagą odgrywali role bogów i bogiń? W pierwszym rozdziale tej książki znaleźliśmy powody, by przypuszczać, że kapłan, który nosił tytuł Króla Lasu w Nemi, miał małżonkę, boginię gaju, samą Dianę. Czyż on jako król, ona zaś jako królowa nie mogli być odpowiednikami wesołych komediantów, którzy grali Króla i Królowę Maja i Zielonoświątecznych Narzeczonych we współczesnej Europie? Być może, ich związek był co roku obchodzony jako teogamia, czyli boskie małżeństwo. Tego rodzaju dramatyczne zaślubiny były, jak w dalszym ciągu zobaczymy, obchodzone jako uroczyste rytuały religijne w wielu częściach starożytnego świata, toteż nie należy wykluczać możliwości, że święty gaj w Nemi mógł być sceną tego rodzaju dorocznej ceremonii. Nie posiadamy dowodów bezpośrednich, ale analogia przemawia za takim postawieniem sprawy, co postaram się obecnie udowodnić.

Diana była zasadniczo boginią lasów, podobnie jak Ceres boginią zbóż, a Bakchos bogiem wina. Jej sanktuaria znajdowały się zazwyczaj w gajach. Co więcej, każdy gaj był jej poświęcony i w napisach pamiątkowych imię jej często występuje w połączeniu z leśnym bogiem Silvanusem. Niezależnie jednak od tego, jakie były jej początki, Diana nie zawsze była jedynie boginią lasów. Podobnie jak jej grecka siostra Artemida, przekształciła się ona w personifikację wrzącej życiem przyrody, zarówno zwierzęcej, jak i roślinnej. Jako pani borów uchodziła oczywiście za właścicielkę zwierzyny, dzikiej i oswojonej, przemierzającej lasy, czającej się na swe ofiary w ich mrocznych głębiach, zrywającej świeże listki i

obgryzającej młode gałązki, karmiącej się soczystymi ziołami w dolinach i na polankach. Tak więc z czasem zapewne stała się patronką myśliwych i właścicieli trzód, tak samo jak Silvanus stał się patronem nie tylko lasów, ale i bydła. Podobnie w Finlandii dzika zwierzyna przebywająca w lasach uważana była za trzodę leśnego boga Tapio i jego pięknej i majestatycznej małżonki. Bez zezwolenia boskich właścicieli nikt nie miał prawa polować na tę zwierzynę. Dlatego myśliwy modlił się do leśnych bóstw i obiecywał im sute ofiary, jeśli napędzą mu zwierzynę. Bydło również, jak się zdaje, cieszyło się opieką duchów leśnych, zarówno gdy było w oborach, jak i gdy wędrowało po lesie. Gayowie na Sumatrze uważają, że muszą posiadać zezwolenie niewidzialnego Pana Lasów, gdy wybierają się z psami, by polować na jelenie, dzikie kozy i dziki. Zezwolenia tego udziela człowiek wyspecjalizowany w magii leśnej i polowaniu. Kładzie on kawałek betelu przed słupem wyrzeźbionym na podobieństwo Pana Lasów i uczyniwszy to modli się do ducha, by dał znak przyzwolenia czy odmowy. W swym traktacie o polowaniu Arrian⁴⁵ opowiada nam, że Celtowie zwykli byli składać doroczne ofiary Artemidzie w jej dzień urodzin zakupując zwierzę ofiarne z kar, które wpłacili do jej skarbu za każdego lisa, zająca czy łanię zabite w ciągu roku. Zwyczaj jasno dowodzi, że zwierzyna należy do bogini i że trzeba jej wynagrodzić stratę.

Ale Diana była nie tylko patronką dzikich zwierząt, panią lasów i dolin, samotnych dolinek i szumiących rzek. W postaci księżycy, a szczególnie żółtego księżycy pory żniw, zapełniała stodoły i spichrze rolnika dobrymi płodami i wysłuchiwała próśb kobiet w połogu. Widzieliśmy, jak to w swym świętym gaju w Nemi czczona była specjalnie jako bogini porodów, obdarowująca kobiety i mężczyzn potomstwem. Diana, podobnie jak grecka Artemida, z którą stale była identyfikowana, może być określona jako bogini przyrody w ogóle, a szczególnie płodności. Nie dziwny się więc, że w swej świątyni na Awentynie przedstawiona była w postaci wizerunku skopiowanego z wielopierśnego bóstwa Artemidy Efezyjskiej, z wszystkimi licznymi emblematami niezwyklej płodności. To pozwala nam również zrozumieć, dlaczego starożytne rzymskie prawo, przypisywane królowi Tullusowi Hostiliusowi, nakazywało kapłanom w wypadku popełnienia kazirodztwa składanie ofiary w celu przebłagania bogów w gaju Diany. Wiemy bowiem, że w powszechnym mniemaniu zbrodnia kazirodztwa pociąga za sobą nieurodzaj, stąd też pokuta za grzech powinna być ofiarowana bogini płodności.

Skoro więc istniała zasada, że bogini płodności musi sama być płodna, Diana winna była mieć męskiego partnera. Jej małżonkiem był, jeśli można zaufać świadectwu Serwiusza, ów Virbius, którego przedstawiciel, a raczej wcielenie, przebywał jako Król Lasu w Nemi. Celem tego związku byłoby wspomaganie płodności ziemi, zwierząt i ludzi i można było naturalnie uważać, że cel ten będzie z większą pewnością osiągnięty, gdy święte zaślubiny obchodzone będą co roku, a rolę boskich małżonków odegrają bądź to ich wizerunki, bądź też żywi ludzie. Żaden pisarz starożytny nie wspomina o tego rodzaju uroczystościach w gaju w Nernj, ale tak mało wiemy o obrządkach arcyjskich, że brak

⁴⁵ Arrian (Flavius Arrianus) z Nikomedii w Bitynii (95-175 r. n. e.) - oficer Hadriana, na starość osiedlił się w

informacji w tej szczególnej sprawie nie może stanowić poważnej przeszkody dla naszej teorii. Teoria ta z braku bezpośrednich świadectw musi z konieczności opierać się na analogii z podobnymi obyczajami praktykowanymi w innych miejscach. Tutaj skupimy uwagę na ich odpowiednikach w czasach starożytnych.

Imponująca świątynia Baala, z ośmiu pięter wzniesionych jedno na drugim, wyrastała jak piramida nad Babilonem. W najwyższej wieży, do której docierało się po schodach wijących się wokół całej budowli, znajdowała się wielka świątynia, a w niej wielkie łoże przykryte wspaniałą narzutą i poduszkami, obok zaś znajdował się złoty stół. W świątyni nie było żadnego wizerunku i nikomu nie wolno było spędzić w niej nocy wyjątkiem pewnej kobiety, którą, jak twierdzili kapłani chaldejscy, bogowie wybrali spośród wszystkich niewiast Babilonu. Utrzymywali oni, że bóstwo samo zjawiało się w nocy w świątyni i spało na wielkim łożu, a kobiecie, jako małżonce boga, nie wolno było mieć żadnych stosunków z jakimkolwiek śmiertelnikiem.

W Tebach w Egipcie w świątyni Ammona sypiała kobieta jako małżonka boga i, podobnie jak żona Baala w Babilonie, nie utrzymywała rzekomo żadnych stosunków z śmiertelnikami. Teksty egipskie często wspominają o "boskiej małżonce" i zazwyczaj była nią sama królowa Egiptu. W przekonaniu bowiem Egipcjan ich władcy byli potomkami boga Ammona, który na krótki czas wstępował w osobę rządzącego króla i w tej postaci utrzymywał stosunki z królową. Boskie poczęcie jest bardzo szczegółowo wyrzeźbione i namalowane na ścianach dwóch najstarszych świątyń w Egipcie, w Deir el Bahari i Luksorze, a napisy, którymi rzeźby są opatrzone, nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do znaczenia przedstawionych scen.

W Atenach bóg wina Dionizos co roku poślubiał królową, a podczas uroczystości odgrywano, jak się zdaje, zaślubiny i konsumację małżeństwa. Nie wiadomo jednak, czy rolę boga odgrywał człowiek, czy też wizerunek. Od Arystotelesa dowiadujemy się, że obchody te odbywały się w oficjalnej rezydencji króla zwanej Oborą i stojącej w pobliżu Prytaneion, czyli ratusza, na północno-wschodnim stoku Akropolu. Nie ulega wątpliwości, że celem tych zaślubin było zapewnienie płodności winnej latorośli i innych drzew owocowych, których patronem był Dionizos. Zarówno pod względem formy, jak i znaczenia ceremonia ta odpowiadałaby zaślubinom Króla i Królowej Maja.

W wielkich misteriach eleuzyńskich, które odbywały się we wrześniu, związek boga niebios Zeusa z boginią zboża Demeter bywał, jak się zdaje, przedstawiany w postaci związku hierofanta z kapłanką Demeter, którzy odgrywali rolę boga i bogini. Stosunek ich jednak był jedynie symboliczny względnie dramatyczny, ponieważ hierofant chwilowo pozbawiał się męskości zażywając cykuty. Po wygaszeniu pochodni para schodziła do ciemnego miejsca, a wierni czekali w pełnym obawy napięciu na wyniki mistycznego związku, od którego, jak wierzyli, zależało ich zbawienie. Po pewnym czasie hierofant ukazywał się z powrotem i w oślepiającym blasku pokazywał zebranym kłos zboża, owoc boskiego

związku, po czym głośno oznajmiał: "Królowa Brimo spłodziła świętego chłopca Brimosa", co oznaczało: "Potężna spłodziła potężnego". W istocie Matka Zboża urodziła potomka, zboże, a w świętym dramacie odgrywano cierpienia połogu. Ukazywanie zebranych kłosa było, jak się zdaje, punktem szczytowym misterii. Tak oto zza uroków, którymi w następnych stuleciach otoczyły obrządki te poezja i filozofia, wyziera, jak skąpany w słońcu odległy krajobraz zza mgły, zwykła wiejska uroczystość, której celem było sprowadzenie bogatych plonów na rozległą dolinę eleuzyńską przez zaślubienie bogini zboża bogu niebios, który spragnioną ziemię użyźnia dobroczynnymi deszczami. Co kilka lat mieszkańcy Platei w Beocji urządzali uroczystości zwane Małymi Dedaliami, podczas których ścinano dąb w starym lesie dębowym. Z drzewa rzeźbiono posąg, który przebierano w strój panny młodej, umieszczano na wozie zaprzężonym w woły i obok sadzano druhnę. Następnie, jak się zdaje, posąg zawożono nad brzegi rzeki Ezop i z powrotem do miasta w towarzystwie tłumu tańczącego i grającego na fujarkach. Co sześćdziesiąt lat cała Beocja obchodziła uroczystość Wielkich Dedaliów, a wówczas wszystkie posągi, a nagromadziło się ich czternaście z mniejszych uroczystości, ciągnięto na wozach do Ezopu, a potem na szczyt góry Kithairon, gdzie je spalano na stosie. Opowieść tłumacząca obyczaj głosi, że obchodzono w ten sposób uroczystości zaślubiny Zeusa i Hery, uosobionej w dębowym posągu przybranym w weselny strój. W Szwecji co roku naturalnej wielkości wizerunek Freya, boga płodności roślinnej i zwierzęcej, był wożony po kraju w towarzystwie pięknej dziewczyny, którą zwano jego małżonką. Pełniła ona również funkcję jego kapłanki w wielkiej świątyni w Upsali. W każdej miejscowości, do której przybywał wódz z wizerunkiem boga, ludzie tłoczyli się, by go powitać i składać ofiary prosząc o obfite plony.

Tak więc zwyczaj zaślubiania bogów bądź to wizerunkom, bądź też ludziom był rozpowszechniony w starożytności. Zwyczaje te są oparte na tak prymitywnych pojęciach, że nie możemy mieć wątpliwości co do tego, iż cywilizowani Babilończycy, Egipcjanie i Grecy odziedziczyli je po swoich barbarzyńskich lub prymitywnych przodkach. To przypuszczenie umacnia się, gdy odnajdujemy podobne obrządki u ras niższych. Tak na przykład dowiadujemy się o tym, jak to niegdyś Wotiacy z małmyżskiego okręgu w Rosji zaniepokoiili się cyklem złych urodzajów. Nie wiedzieli, co począć, aż wreszcie doszli do wniosku, że ich potężny, a przy tym złośliwy bóg Keremet widocznie pogniewał się za to, że pozostawiono go w stanie bezzennym. Ruszyła więc delegacja starszyny do Wotiaków z Kury, by z nimi się w tej sprawie porozumieć. Po powrocie do domu przygotowali duży zapas wódki, barwnie przystrojony drabiniasty wóz zaprzężony w konie i dzwoniąc dzwoneczkami ruszyli procesją do uroczyszczu w Kurze, jak to czynią, gdy przywożą do domu pannę młodą. Tam jedli, pili i weselili się całą noc, a następnego ranka wycięli duży kawał darni na uroczyszczu i zabrali go ze sobą do domu. Odtąd wiodło się co prawda dobrze mieszkańcom Małmyżu, ale źle się potoczyły sprawy mieszkańców Kury, w Małmyżu bowiem zboże obrodziło, a w Kurze nie. Winę zrzucono na tych z Kury, którzy zgodzili się na zaślubiny, i oburzeni mieszkańcy wsi poturbowali ich. "Jaki miał być cel ceremonii zaślubin - pisze autor tego doniesienia - trudno

sobie wyobrazić. Być może, jak uważa Biechtieriew⁴⁶, mieli zamiar ożenić Keremeta z dobrą i płodną Mukilcyną, żoną-ziemią, po to, by nakłoniła go do dobrego uczynku." W Bengalu, gdy kopią studnię, sporządzają z drzewa wizerunek boga i zaślubiają go bogini wody.

Oraoni w Bengalu czczą Ziemię jako boginię i co roku obchodzą jej zaślubiny z bogiem słońca Dharma, w okresie gdy kwitnie drzewo *sal*. Ceremonia ma następujący przebieg: Wszyscy kąpią się, po czym mężczyźni udają się do świętego gaju (*sarna*), a kobiety w tym czasie zbierają się w domu wioskowego kapłana. Po złożeniu ofiary z kury bogu słońca i demonowi gaju mężczyźni jedzą i piją. "Następnie silny mężczyzna zanoszą kapłana na ramionach do wsi. W pobliżu wsi kobiety czekają już na mężczyzn i umywają im stopy. Bijąc w bębny, śpiewając, tańcząc i skacząc wszyscy udają się do domu kapłana, który przybrano liśćmi i kwiatami. Następnie odbywa się zwyczajna ceremonia ślubu między kapłanem a jego żoną, symbolizująca, jak się zdaje, związek Ziemi ze Słońcem. Po ceremonii wszyscy uczują i weselą się, tańczą i śpiewają nieprzyzwoite pieśni, a w końcu pozwalają sobie na najbardziej wyuzdane orgie. Wszystko to czyni się w tym celu, by ziemia była płodna." Tak więc Święte Małżeństwo Słońca i Ziemi, personifikowanych w osobach kapłana i jego żony, ma być czarem, który zapewni płodność ziemi, i w tym samym celu, na zasadzie magii homeopatycznej, ludzie pozwalają sobie na wyuzdane orgie.

Warto zaznaczyć, że nadprzyrodzona istota, którą kobieta zaślubia, bywa często bogiem albo duchem wody. Bóg Jeziora Wiktorii, Mukasa, którego plemię Buganda starało się zawsze przebłagać wybierając się w dłuższą podróż, otrzymywał dziewice za żony. Podobnie jak westalki ślubowały one czystość, ale w odróżnieniu od westalek rzadko dochowywały wierności. Zwyczaj ten trwał aż do czasu, gdy plemię Mwangi zostało ochrzczone. Akikuju w Brytyjskiej Afryce Wschodniej czczą węża zamieszkującego pewną rzekę i co kilka lat wydają za niego kobiety, szczególnie młode dziewczęta. W tym celu na rozkaz czarownika buduje się chatę, w której czarownik konsumuje małżeństwo z łatwowiernymi bigotami. Jeśli nie dosyć dziewcząt udaje się dobrowolnie do chaty, wlecze się je siłą w objęcia bóstwa. Ojcostwo mistycznego potomstwa przypisuje się Bogu (*ngai*) i nie ulega wątpliwości, że wśród Akikuju są dzieci uchodzące za potomstwo Boga. Opowiadają, że gdy pewnego razu mieszkańcom Cayeli na Buru - wyspie w Indonezji - groziło zniszczeniem stado krokodyli, przypisywali oni to nieszczęściu namiętności księcia krokodyli do pewnej młodej dziewczyny. Zmusili wobec tego ojca dziewczyny do ubrania jej w ślubny strój i oddania w szpony krokodylego kochanka.

Słyszymy o istnieniu podobnego zwyczaju wśród mieszkańców wysp Malediwy, zanim nawrócono ich na islam. Słynny podróżnik arabski Ibn Batuta opisał ów zwyczaj i sposób, w jaki został zniesiony.

Zapewniali go zasługujący na wiarę tubylcy, których nazwiska podaje, że gdy ludność wyspy była jeszcze bałwochwalczą, co miesiąc pojawiał się między dżinnami zły duch, który przybywał zza morza w

⁴⁶ Władimir Michajłowicz Biechtieriew (1857-1927) - wybitny rosyjski neuropatolog, psychiatra i psycholog, twórca tzw. refleksologii. Jest on także autorem etnograficznej pracy pt. *Wotiacy, ich kultura i stan współczesny*, która ukazała się w języku rosyjskim w 1880 r. w czasopiśmie "Wiestnik Jewropy".

postaci okrętu z zapalonymi lampami. Obowiązkiem mieszkańców było natychmiast po dostrzeżeniu okrętu wybrać młodą dziewicę, przystroić ją odpowiednio i odprowadzić do stojącej na brzegu pogańskiej świątyni, której jedno okno wychodziło na morze. Pozostawiali ją tam na noc, a gdy przychodzili rano, nie była już dziewicą i nie żyła. Losowanie odbywało się co miesiąc i ten, na którego los padł, oddawał swą córkę dżinnowi morza. Ostatnią z tych ofiar uratował nabożny Berber, który recytując Koran przegnał dżinna z powrotem do morza.

Opowieść Ibn Batuty o kochanku-demonie i jego śmiertelnych narzeczonych przypomina żywo dobrze znany rodzaj opowieści ludowych, których odmiany odnaleziono od Japonii i Annamu na wschodzie po Senegambię, Skandynawię i Szkocję na zachodzie. W szczegółach różnią się one między sobą, ale wspólna wersja jest następująca. Pewien kraj jest nawiedzany przez wielogłowego węża, smoka czy innego potwora, który grozi zniszczeniem wszystkich ludzi, jeśli co pewien czas nie otrzyma ludzkiej ofiary, zazwyczaj dziewczicy. Wiele ofiar ginie, aż wreszcie los pada na córkę królewską. Wydana zostaje potworowi, ale bohater bajki, najczęściej młodzieniec skromnego pochodzenia, staje w jej obronie, zabija potwora i w nagrodę otrzymuje rękę księżniczki. W wielu opowieściach potwór, przedstawiany czasami jako wielki wąż, zamieszkuje wody jakiegoś morza, jeziora albo strumienia. W innych wersjach jest to wąż albo smok, który objął w posiadanie źródło wody i zezwala ludziom na korzystanie z niej jedynie za cenę składanych mu ofiar.

Byłoby prawdopodobnie błędem uważać wszystkie te baśnie za czysty wymysł bazarza, możemy raczej przypuszczać, że odzwierciedlają one prawdziwy zwyczaj składania w ofierze dziewcząt lub kobiet jako żon duchom wodnym, które wyobrażano sobie jako wielkie węże lub smoki,

ROZDZIAŁ DWUNASTY

KRÓLOWIE RZYMU I ALBY

Dotychczasowy przegląd zwyczajów i legend pozwala nam na wyciągnięcie wniosku, że święte małżeństwo sił zarówno roślinności, jak i wody, obchodzone przez wiele prymitywnych ludów, miało na celu zwiększenie płodności ziemi, od której w ostatecznym wyniku zależy życie zwierząt i ludzi, i że w tego rodzaju obrządkach rola panny młodej lub pana młodego jest często odgrywana przez mężczyzn lub kobietę. Dowody te mogą w pewnej mierze uzasadnić przypuszczenie, że w świętym gaju w Nemi, w którym siły roślinności i wody przybierały piękne kształty cienistych lasów, spadających kaskad i lustrzanej powierzchni jeziora, małżeństwo tego rodzaju, jak naszego Króla i Królowej Maja, było dorocznie obchodzone przez śmiertelnego Króla Lasu i nieśmiertelną królową lasów - Dianę. W związku z tym ważną rolę odgrywa w gaju. nimfa wodna Egeria, którą czciły kobiety ciężarne, ponieważ, podobnie jak Diana, mogła zapewnić im lekkie rozwiązanie. Stąd też można bez większego ryzyka wyciągnąć wniosek, że źródło Egerii, podobnie jak wielu innym źródłom, przypisywano moc ułatwiania zarówno poczęcia, jak porodu. Wota znalezione na miejscu, wyraźnie odnoszące się do narodzin dzieci, były prawdopodobnie poświęcone Egerii, a nie Dianie. Powinniśmy raczej powiedzieć, że nimfa wodna Egeria jest jedynie inną postacią wielkiej bogini przyrody Diany, pani zarówno szumiących rzek, jak i cienistych lasów, mieszkającej nad jeziorem i przeglądającej się w jego spokojnych wodach, której greckie wcielenie, Artemida, lubiło nawiedzać jeziora i źródła. O tym, że Egeria i Diana to jedna i ta sama osoba, mówi również Plutarch, gdy stwierdza, że Egeria była jedną z tych nimf dębu, które, jak to wierzyli Rzymianie, panują nad każdą zieloną dąbrową. Diana bowiem, będąc boginią lasów w ogóle, uchodziła za patronkę dębów, w szczególności w swym świętym gaju w Nemi. Być może, Egeria była nimfą źródła, które wypływało z korzeni świętego dębu. Tego rodzaju źródło było podobno u stóp wielkiego dębu w Dodonie, a z szmeru jego wód kapłanka czerpała swe przepowiednie. Grecy wierzyli, że łyk wody z pewnych świętych strumieni i źródeł daje moc przewidywania przyszłości. Tłumaczyłoby to nadludzką mądrość, którą, jak głosiła tradycja, obdarzała Egeria Numę, swego królewskiego męża czy też kochanka. Gdy przypomnimy sobie, jak często w pierwotnych społeczeństwach król był odpowiedzialny za deszcz i urodzaj, wówczas nie będziemy chyba uważali za zbyt śmiało przypuszczenia, że w zaślubinach Numy i Egerii można odkryć reminiscencje świętego ślubu, zawieranego regularnie przez królów rzymskich z boginią roślinności i wody dla umożliwienia im wykonywania funkcji magicznych względnie boskich. W takim rytuale rolę bogini może odgrywać wizerunek lub kobieta, a gdy już jest to kobieta, to prawdopodobnie bywa nią sama królowa. Jeśli domysły nasze są w jakiejś mierze uzasadnione, wówczas możemy przypuszczać, że król i królowa Rzymu przebierali się podczas ślubu za boga i boginię, tak samo jak to, zdaje się, czynili król i królowa Egiptu. Legenda o Numie i Egerii wskazywałaby raczej na to, że sceną małżeńskiego związku był gaj, a nie dom, a obrządek był obchodzony co roku, podobnie jak zaślubiny Króla i Królowej Maja czy też boga

wina i Królowej Aten, jako zaklęcie dla zapewnienia płodności nie tylko ziemi, ale również ludzi i zwierząt. Otóż, jak wynika z pewnych podań, sceną małżeństwa był właśnie święty gaj w Nemi i na podstawie zupełnie niezależnych dowodów jesteśmy skłonni przypuszczać, że w tym samym gaju Król Lasów poślubił Dianę. Zbieżność tych dwóch oddzielnych kierunków badania sugeruje, że legendarny związek króla Rzymu z Egerią mógł być odzwierciedleniem czy powtórzeniem związku Króla Lasu z Egerią lub jej odpowiednikiem, Dianą. Nie oznacza to bynajmniej, by królowie Rzymu kiedykolwiek pełnili funkcje Królów Lasu w arcyjskim gaju, lecz jedynie, że początkowo mogli oni być obleczeni w świętość tego samego rodzaju i że sprawowali władzę na podobnych warunkach. Mówiąc ściślej, jest rzeczą możliwą, że ich władza nie była dziedziczna, ale wynikała z rzekomej boskości, właściwej im jako przedstawicielom względnie ucieleśnieniom boga, i że w tej postaci poślubiali boginię i winni byli od czasu do czasu dawać dowody tego, że potrafią spełniać swe boskie funkcje, podejmując ciężką walkę fizyczną, która często mogła się dla nich fatalnie skończyć pozostawiając koronę zwycięskiemu przeciwnikowi. Zbyt mało wiemy o rzymskiej instytucji królów, abyśmy mogli ufać tym hipotezom, ale istnieją rozproszone aluzje wskazujące na podobieństwo pod wszystkimi wymienionymi względami między kapłanami w Nemi a królami rzymskimi lub raczej pomiędzy ich dalekimi poprzednikami w ciemnych wiekach, które poprzedzały świt legendy.

Zdawałoby się więc przede wszystkim, że król rzymski był uosobieniem samego Jowisza. Albowiem aż po czasy imperium zwycięscy generałowie święcący swój triumf i urzędnicy prezydujący podczas igrzysk w cyrku nosili strój Jupitera, wypożyczany specjalnie na tę okazję z wielkiej świątyni na Kapitolu, i zarówno starożytni, jak i współcześni uważali z wielką dozą prawdopodobieństwa, że naśladowali w tym tradycyjny strój i insygnia królów rzymskich. Jeździli przez miasto rydwanem zaprzężonym w cztery uwieńczone laurem konie, podczas gdy wszyscy inni szli pieszo; mieli na sobie purpurowe szaty haftowane lub obszyte złotem, w prawej ręce trzymali gałązkę lauru, a w lewej berło z kości słoniowej, na szczycie którego był orzeł, na głowie mieli wieniec laurowy, twarz była uróżowana, a nad nimi niósł niewolnik ciężką koronę z masywnego złota zrobioną na podobieństwo liści dębowych. Najbardziej oczywistymi znamionami upodobnienia się człowieka do boga są tu: orzeł na berle, ukuta na podobieństwo liści dębowych korona i uróżowana twarz. Orzeł był bowiem ptakiem Jowisza, dąb jego świętym drzewem, a lica jego posągu, stojącego na zaprzężonym w cztery konie rydwanie na Kapitolu, były w podobny sposób różowane podczas uroczystych obchodów. Różowanie było zabiegiem tak ważnym, że jednym z pierwszych obowiązków cenzora było nakazanie dokonania tego zabiegu. W związku z tym, że triumfalna procesja zawsze kończyła się w świątyni Jowisza na Kapitolu, było rzeczą szczególnie odpowiednią, by głowa zwycięzcy uwieńczona była koroną z liści dębowych, nie tylko bowiem każdy dąb poświęcony był Jupiterowi, lecz, jak twierdzono, świątynia kapitolinińska boga zbudowana została przez Romulusa obok świętego dębu, czczonego przez pasterzy, na którym król zawieszał łupy zdobyte na nieprzyjacielskim generale w bitwie. Stwierdzano wyraźnie, że korona

dębowa poświęcona była Jupiterowi Kapitoliańskiemu, Fragment z Owidiusza dowodzi, że uchodziła za specjalny emblemat boga.

Zgodnie z tradycją, której nie mamy potrzeby odrzucać, Rzym został założony przez osiedleńców z Alba Longa, miasta położonego na stoku Gór Albańskich wznoszącym się nad jeziorem i Kampanią. Skoro więc królowie rzymscy twierdzili, że są przedstawicielami względnie wcieleniami Jupitera, boga niebios, grzmotu i dębu, można naturalnie przypuszczać, że królowie Alby, których założyciel Rzymu uważał za swych przodków, mogli już przed nimi rościć sobie tego rodzaju pretensje. Otóż dynastia albańska nosiła nazwę Silvii, czyli Lasy, i nie może być bez znaczenia to, że Wergiliusz, poeta i miłośnik starożytności, malując podczas wizyty w podziemiach przed oczami Eneasza wizję chwały Rzymu przedstawia dynastię Silvów uwieńczoną dębem. Mógłby więc diadem z liści dębowych stanowić część insygniów dawnych królów Alba Longi i ich następców, królów Rzymu. W obu wypadkach oznaczał on, że monarchowie są śmiertelnymi przedstawicielami boga dębu. Rzymskie kroniki notują, że jeden z królów Alby, imieniem Romulus lub Remulus czy też Amulius Silvus, mianował siebie bogiem równym Jupiterowi a nawet większym od niego. Dla przekonania i zastraszenia swych poddanych konstruował maszyny, które naśladowały łoskot grzmotu i płomień błyskawicy. Diodorus donosi, że w porze dojrzewania, gdy grzmoty są częste i donośne, król nakazywał swym żołnierzom zagłuszać huk niebieskiej artylerii waleniem mieczami o tarcze. Ale zapłacił za swą bezbożność, albowiem wraz ze swym domem zginął od uderzenia pioruna podczas straszliwej burzy. Jezioro Albańskie wezbrało od deszczu i zatopiło jego pałac. Wciąż jeszcze, mówi starożytny historyk, gdy poziom wody jest niski, a powierzchni nie marszczy wietrzyk, można na dnie przejrzystego jeziora zobaczyć ruiny pałacu. Podobnie jak w opowieści o królu Salmoneusie z Elidy, legenda ta mówi o obyczaju faktycznie przestrzegającym przez pierwszych królów Grecji i Rzymu, którzy, podobnie jak dzisiaj jeszcze ich koledzy w Afryce, zobowiązani byli zaklinać deszcz i grzmoty dla dobra zbiorów. Król-kapłan Numa uchodził za osobę szczególnie wprawną w sztuce ściągania piorunów z nieba. Jak wiemy, pozorowanie grzmotów stosowały różne ludy jako czary na deszcze jeszcze we współczesnych czasach, dlaczego więc nie mieliby tego robić w starożytności królowie?

Jeśli więc królowie Alby i Rzymu naśladowali Jupitera jako boga dębu nosząc koronę z liści dębowych, wydaje się również, że naśladowali go jako boga pogody, udając, że wywołują grzmoty i pioruny. A skoro tak czynili, jest rzeczą prawdopodobną, że jak Jupiter w niebie i wielu królów na ziemi, występowali oni również jako publiczni zaklinacze deszczu wyżywający przy pomocy czarów deszcze z ciemnego nieba, gdy tylko wypalona ziemia spragniona była odświeżającego dżdżu. W Rzymie służy niebieskie otwierane były za pomocą świętego kamienia, a ceremonia, jak się zdaje, stanowiła część rytuału Jupitera Eliciusa, boga, który ściągał z chmur pioruny i deszcz. A któż lepiej nadawał się do wykonania tej ceremonii aniżeli król - żywy przedstawiciel króla nieba?

Jeśli królowie Rzymu małpowali Jowisza Kapitoliańskiego, to ich przodkowie, królowie Alby, prawdopodobnie starali się naśladować wielkiego Jupitera Łatyńskiego, którego siedziba wznosiła się

nad miastem na szczycie Góry Albańskiej. To podobno Latinus, legendarny przodek dynastii, miał zamienić się w Latyńskiego Jupitera po tajemniczym zniknięciu ze świata w sposób właściwy starożytnym królom latyńskim. Sanktuarium boga na szczycie góry było religijnym ośrodkiem Ligi Latyńskiej, podobnie jak Alba była stolicą polityczną do czasu, gdy Rzym wywalczył sobie supremację nad swym dawnym rywalem. Prawdopodobnie żadnej świątyni w naszym rozumieniu tego słowa nie wystawiono Jupiterowi na tej świętej górze. Jako bóg nieba i grzmotów, odbierał hołdy swych wiernych na otwartym powietrzu. Masywne mury, których szczątki otaczają obecnie ogród klasztoru pasjonistów, były, jak się zdaje, częścią świętego ogrodzenia, którym Tarkwiniusz Pyszny, ostatni król Rzymu, zamknął przestrzeń przeznaczoną na doroczne uroczyste zebrania Ligi Latyńskiej. Najstarszym sanktuarium boga na tym wysokim szczycie górskim był gaj, a pamiętając nie tylko o tym, że dąb był szczególnie poświęcony Jupiterowi, lecz również o tradycyjnej koronie z liści dębowych królów albańskich i analogii z Jupiterem Kapitolijnem w Rzymie, możemy przypuszczać, że był to gaj dębowy. Wiemy, że w starożytności góra Algidus, leżąca poza Górami Albańskimi, pokryta była mrocznym dębowym lasem i że pośród plemion, które w czasach najdawniejszych należały do Ligi Latyńskiej i uprawnione były do części mięsa białego byka składanego w ofierze na Górze Albańskiej, istniało jedno, którego członkowie zwali się Mężami Dębu, niewątpliwie ze względu na lasy, w których mieszkali.

Mylilibyśmy się jednak, wyobrażając sobie, że kraj cały pokryty był w historycznych czasach nieprzerwanym lasem dębowym. Teofrast⁴⁷ pozostawił nam opis lasów latyńskich w czwartym wieku przed Chrystusem. Opowiada on: "Kraj Latynów jest cały wilgotny. Na nizinach rośnie drzewo laurowe, mirt i wspaniałe buki; ścinają tam tak wielkie drzewa że jeden pień starczy na kil tyrręńskiego okrętu. W górach rosną sosny i jodły. To, co nazywają krajem Circe, jest wyżynnym przylądkiem, gęste pokrytym dębami, mirtami i wspaniałymi drzewami laurowymi. Tubylcy twierdzą, że mieszkała tu Circe, i pokazują grób Elpenora, na którym rosną takie mirty jak te, z których robi się wianki, natomiast wszystkie inne są wysokie." Tak więc widok, jaki roztaczał się z Góry Albańskiej, w początkach Rzymu, musiał pod pewnymi względami bardzo różnić się od tego, jakim jest dzisiaj. Fioletowe Apeniny, pogrążone w odwieczne, ciszy, po jednej stronie i wiecznie niespokojne, migotliwe Morze Śródziemne po drugiej wyglądały zapewne tak jak i w naszych czasach, bez względu na to, czy kąpały się w promieniach słonecznych, czy też plamiły je cienie przelatujących obłoków. Ale zamiast posępnych brązowych przestrzeni nękaną spiekotą Kampanii ujętej w długie linie walących się akweduktów, przypominających złamane łuki mostu w *Wizji Mirzy*⁴⁸ oko wędrowało zapewne po lasach ciągnących się milami we wszystkich kierunkach, aż ich przeplatające się barwy zieleni i jesienne czerwieni i złoto topniały niepostrzeżenie w błękitcie dalekich gór i morza.

⁴⁷ Teofrast (Theophrastos) (327-287 p. n. e.) - filozof grecki, uczeń Arystotelesa, wszechstronny uczonek, autor historii filozofii i prac botanicznych m. in. *Pet. fytón ajtión* (O pochodzeniu roślin) i *Peri fytón istorias* (O badaniu roślin); cytowany fragment pochodzi z tej ostatniej pracy.

⁴⁸ Mowa o eseju Josepha Addisona pt. *Wizja Mirzy*, opublikowanym w "Spectatorze" z dn. 1 września 1711 r., w którym wizja mostu z połamanymi przęsłami jest metaforą żywota ludzkiego.

Jupiter nie rządził sam na szczycie świętej góry. Była przy nim jego małżonka, bogini Junona, czczona pod tym samym co na Kapitolu rzymskim imieniem Monety. Ponieważ na Kapitolu korona dębowa była poświęcona Jupiterowi i Junonie, mamy prawo przypuszczać, że i tu tak było, ponieważ z Góry Albańskiej wywodził się kult kapitoliański. Tak więc bóg dębu powinien mieć swą boginię dębu w świętym gaju dębowym. W Dodonie boga dębu Zeusa kojarzono z Dioną, której imię jest niczym innym jak odmienną, dialektową formą Junony. W podobny sposób, jak to już widzieliśmy, był on poślubiany co pewien czas dębowemu wizerunkowi Hery na górze Kithairon. Jest rzeczą prawdopodobną, chociaż nie możemy tego dowiedzieć z całą pewnością, że wszystkie ludy łatyńskie uroczystość obchodzili co roku zaślubiny Jupitera i Junony w letnim miesiącu nazwanym na jej cześć (Junius - czerwiec).

Jeśli Rzymianie rzeczywiście obchodzili w jakiegokolwiek porze roku święte małżeństwo Jupitera i Junony, podobnie jak Grecy święcili zaślubiny Zeusa i Hery, to mamy prawo przypuszczać, że w czasach republiki obrządku tego dokonywano między dębowymi wizerunkami boskiej pary względnie że odgrywali ją flamen Dialis i jego żona flaminica. Flamen Dialis był bowiem kapłanem Jowisza i, co więcej, starożytni i współcześni autorzy uważali go z wielkim prawdopodobieństwem za żywy wizerunek Jupitera, ludzkie wcielenie boga niebios. Oczywiście w dawniejszych czasach król rzymski jako przedstawiciel Jupitera odgrywał rolę niebiańskiego małżonka w świętym małżeństwie, podczas gdy królowej przypadła rola niebiańskiej oblubienicy, tak jak w Egipcie król i królowa przebierali się za bóstwa czy też jak w Atenach, gdzie królowa co roku poślubiła boga wina Dionizosa. To, że król i królowa Rzymu odgrywali role Jowisza i Junony, wydaje się o tyle naturalniejsze, że bóstwa te nosiły królewskie tytuły.

Niezależnie od tego, czy było tak, czy też inaczej, wydaje się, że legenda o Numie i Egerii zawiera reminiscencje z czasów, gdy król-kapłan sam grał rolę boskiego oblubieńca, a ponieważ znaleźliśmy dostateczne powody, by przypuszczać, że królowie rzymscy uosabiali boga dębu, zaś o Egerii wiadomo z pewnością, że była nimfą dębu, historia ich związku w świętym gaju pozwala nam wysunąć hipotezę, że w Rzymie królewskim obchodzono regularnie uroczystość analogiczną do tej, jaką w Atenach urządzano aż do czasów Arystotelesa. Zaślubiny króla Rzymu z boginią dębu, podobnie jak małżeństwo Królowej Aten z bogiem wina, musiało mieć na celu przyspieszenie wzrostu roślinności za pomocą magii homeopatycznej. Nie ulega wątpliwości, że rzymski rytuał jest starszy i że na długo, zanim najeźdźcy z północy zetknęli się z winną latoroślą nad brzegami Morza Śródziemnego, ich przodkowie zaślubiali boga drzewa z boginią drzewa w rozległych dębowych lasach Europy Środkowej i Północnej. W dzisiejszej Anglii lasy przeważnie wyginęły, a jednak na wiejskim pastwisku i na wielu wiejskich drózkach przetrwały w wiejskich obrzędach majowych wyblakłe wspomnienia świętych zaślubin.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

BRZEMIEŃ KRÓLEWSKIEJ WŁADZY

Na pewnym etapie rozwoju pierwotnego społeczeństwa królowie względnie kapłani często uchodzili za osoby obdarzone siłami nadprzyrodzonymi lub za wcielenie bóstwa. Zgodnie z tym wierzeniem uważano, że sprawują oni większą lub mniejszą władzę nad siłami przyrody i że są odpowiedzialni za złą pogodę, nieudane plony i tym podobne klęski. Wydaje się, że w pewnej mierze zakładano, iż władza króla nad przyrodą, podobnie jak władza jego nad poddanymi i niewolnikami, jest sprawowana dzięki określonym aktom woli. Wobec tego, gdy nastaje posucha, głód lub zaraza, gdy nadchodzą burze, lud przypisuje te klęski niedbałości lub przewinieniu króla i odpowiednio karze go cięgami i więzieniem, a gdy trwa w uporze, pozbawieniem tronu i śmiercią. Czasami jednak dopuszcza się możliwość, że bieg natury, chociaż zależny jest od woli króla, jest też od niej częściowo niezawisły. Osoba jego uważana jest, jeśli wolno nam tak to sformułować, za dynamiczne centrum wszechświata, z którego promieniują ku wszystkim stronom nieba linie sił. Tak więc każdy jego ruch, zwrot głowy, uniesienie ręki - wpływa natychmiast na jakiś element przyrody i może wywołać w niej poważne zakłócenia. Jest on tym punktem oparcia, na którym spoczywa równowaga świata, i najmniejsze niedopatrzenie z jego strony może tę delikatną równowagę zachwiać. Sam musi wobec tego zachowywać jak największą ostrożność i należy go otaczać jak najbardziej pieczołowitą opieką. Całe jego życie, do najmniejszego szczegółu, musi być uregulowane w taki sposób, by żaden jego uczynek, świadomy lub nieświadomy, nie naruszył lub nie zburzył ustalonego ładu przyrody. Przykładem klasycznym monarchy tego rodzaju jest, a raczej był duchowy władca Japonii, mikado czyli *dairi*. Jest on wcieleniem bogini słońca, bóstwa rządzącego wszechświatem, bogami i ludźmi. Raz do roku wszyscy bogowie składają mu wizytę i spędzają miesiąc na jego dworze. W ciągu tego miesiąca, noszącego nazwę miesiąca "bez bogów", nikt nie odwiedza świątyń, ponieważ panuje powszechne przekonanie, że bogowie je opuścili. Lud nadają mu tytuł "widocznego" lub "wcielonego bóstwa". Tytuł ten przyjmuje on w urzędowej proklamacji i używa go w dekretach oznajmiając, że sprawuje ogólną władzę nad bogami Japonii. Tak na przykład dekret rządowy z r. 646 nazywa cesarza "bogiem wcielonym, który rządzi wszechświatem".

Przed około dwustu laty powstał następujący opis trybu życia mikada: "Do dziś jeszcze książęta pochodzący z jego rodziny, a szczególnie ci, którzy zasiadają na tronie, uważani są za osoby święte, za papieży z urodzenia. W celu utrzymania tych korzystnych dla nich wyobrażeń umysłowych poddanych muszą dbać niezwykle o swe święte osoby i zachowywać się w sposób, który w oczach innych narodów uchodziłby za śmieszny i niestosowny. Warto przytoczyć kilka przykładów. Mikado uważa, że byłoby to wielkim uszczerbkiem dla jego godności i świętości, gdyby dotknął ziemi stopami, toteż jeśli się gdziekolwiek wybiera, musi być noszony na barkach ludzi. A poddani nie zgodzą się już zupełnie, by wystawił swą świętą osobę na świeże powietrze, słońce zaś nie jest godne tego, by świecić nad jego głową. Taką świętość przypisuje się wszystkim częściom jego ciała, że nie ośmiela się obcinać włosów,

brody lub paznokci; żeby jednak nie stał się zbyt brudny, wolno myć go w nocy podczas snu, ponieważ, jak twierdzą, to, co odjęte zostaje z jego ciała w tym czasie, zostało mu ukradzione, a tego rodzaju kradzież nie jest uszczerbkiem dla jego świętości i godności. W czasach starożytnych musiał siadywać codziennie rano na tronie przez kilka godzin z koroną cesarską na skroniach, ale siedzieć jak posąg nie ruszając ręką ani nogą, głową ani oczami, a właściwie żadną częścią ciała, ponieważ uważano, że w ten sposób może zachować pokój i spokój w swoim cesarstwie. Gdyby bowiem na nieszczęście zwrócił się w jednym lub w drugim kierunku albo zbyt długo spoglądał w stronę jednej ze swych posiadłości, wojna, głód, pożary albo inna jakaś klęska mogłaby spaść niebawem na kraj. Skoro jednak w późniejszym czasie odkryto, że cesarska korona stanowi palladium, zapewniające swą nieruchomością pokój w cesarstwie, postanowiono, że będzie rzeczą wygodniejszą wybawić jego cesarską mość, oddaną wyłącznie próżnowaniu i przyjemnościom, od tego uciążliwego obowiązku, i obecnie sama korona spoczywa każdego ranka przez kilka godzin na tronie. Pożywienie mikada musi być przyprawiane za każdym razem w nowych garnkach i należy je podawać do stołu na nowych półmiskach. Zarówno garnki, jak i półmiski są bardzo czyste i ładnie ulepione, ale są zrobione ze zwykłej gliny, tak więc bez większych kosztów można je wyrzucać lub tłuc po tym, gdy już raz jeden posłużyły swojemu przeznaczeniu. Zazwyczaj tłucze się je, by nie dostały się w ręce zwykłego śmiertelnika, wierzy się bowiem święcie, że gdyby człowiek taki ośmielił się jeść z tych naczyń, jedzenie napęcznieje w jego ustach i poparzy mu jamę ustną i gardło. Równie groźne konsekwencje czekają zwykłego człowieka, który ośmieli się bez wyraźnego zezwolenia czy rozkazu cesarza włożyć święte szaty *dairiego*. Wywoła to opuchliznę i bóle we wszystkich częściach ciała."

Z podobnymi kapłańskimi, a raczej boskimi królami można było się spotkać na niższym szczeblu barbarzyństwa na zachodnim wybrzeżu Afryki. W Shark Point w pobliżu przylądka Padron na Dolnej Gwinei żyje samotnie w lesie król-kapłan Kukulu. Nie wolno mu dotknąć kobiety ani opuszczać swego domu, a właściwie nie wolno mu nawet ruszyć się z krzesła. Musi spać na siedząco, jeśli bowiem się położy, wówczas ustanie wiatr uniemożliwiając wszelką żeglugę. Miarkuje burze i w ogóle utrzymuje sprzyjającą i równomierną pogodę. W Togo na górze Agu przebywa fetysz względnie duch zwany Bagba posiadający niezmiernie znaczenie dla całej okolicy. Tubylcy przypisują mu moc ściągania i wstrzymywania deszczu, jest panem wiatrów, włącznie z Harmattanem, suchym gorącym wiatrem wiejącym z środka kontynentu. Jego kapłan mieszka w domu na najwyższym szczycie góry. Przechowuje u siebie wiatry zamknięte w dużych dzbanach. Do niego zwracają się ludzie z prośbami o deszcz, a poza tym prowadzi ożywiony handel amuletami z zębów i pazurów pantery. Chociaż ma wielką władzę i jest faktycznym wodzem kraju, prawa fetyszu zabraniają mu opuszczać górę i całe życie musi spędzić na szczycie. Jedynie raz do roku może zejść na dół, by zrobić zakupy na rynku, ale i wtedy nie wolno mu przekroczyć progu chaty żadnego śmiertelnika i jeszcze tego samego dnia musi powrócić do swego miejsca wygnania. Wioskami rządzą podlegli wodzowie, których on wyznacza. W zachodnioafrykańskim królestwie Kongo żył arcykapłan zwany *chitome*, względnie *chitombe*, którego

Murzyni uważali za boga na ziemi i wszechmogącego w niebie. Zanim przystępowali do spożywania nowych płodów, ofiarowali mu pierwsze owoce obawiając się, że naruszenie tej zasady może spowodować na nich straszliwe nieszczęścia. Gdy opuszczał swą rezydencję, by zwiedzić inne miejscowości leżące w jego jurysdykcji, wszystkie pary małżeńskie musiały przestrzegać ścisłej wstrzemięźliwości przez cały czas jego nieobecności, panowało bowiem przekonanie, że każde naruszenie tego przepisu może mu zaszkodzić. Tubylcy wierzyli również, że naturalna śmierć arcykapłana musi pociągnąć za sobą koniec świata, a ziemia, istniejąca jedynie dzięki jego władzy i zasługom, zostanie natychmiast zniszczona. Pośród półbarbarzyńskich narodów zamieszkujących Nowy Świat w okresie hiszpańskiego podboju istniały hierarchie i teokracje podobne do tych, jakie rządziły w Japonii, szczególnie bliskim odpowiednikiem mikada wydaje się arcykapłan Zapoteków. Ten wielki władca duchowy, będący potężnym rywalem samego króla, rządził jednym z głównych miast królestwa, Yopaa. Trudno sobie więc wyobrazić cześć, jaką był otoczony. Uważano go za boga, którego ziemia nie jest godna nosić a słońce niewarte tego, by świecić nad nim. Dotykając stopą ziemi profanował swą świętość. Funkcjonariusze noszący na swych barkach jego palankin należeli do najświetniejszych rodzin, nie zaszczycał swego otoczenia nawet spojrzeniem, a wszyscy, którzy go spotykali, padali na twarz obawiając się, by sam widok jego cienia nie pozbawił ich życia. Kapłanów Zapoteków obowiązywała wstrzemięźliwość, a dotyczyło to szczególnie arcykapłana, ale "co roku w pewne dni obchodzone uroczyste ucztami i tańcami arcykapłan się upijał. W tym stanie, gdy, jak się zdawało, nie należał ani do nieba, ani do ziemi, przyprowadzano mu najpiękniejszą dziewicę spośród dziewcząt oddanych na służbę bogom." Jeśli potomek tego związku był synem, wychowywano go jako księcia krwi, a najstarszy z synów był następcą ojca na tronie arcykapłańskim. Nie istnieje wykaz nadprzyrodzonych sił przypisywanych temu kapłanowi, jest jednak rzeczą prawdopodobną, że przypominały one właściwości mikada i *chitome*.

Tam gdzie, podobnie jak w Japonii i Afryce Zachodniej, uważa się, że ład natury, a nawet istnienie świata związane jest z życiem króla czy kapłana, musi on być, rzecz jasna, traktowany przez swych poddanych jako źródło zarówno niezliczonych błogosławieństw, jak też niezmiernych niebezpieczeństw. Ludzie muszą dziękować mu za deszcz i słońce, które pomagają dojrzewać płodom ziemi, za wiatr, który sprowadza okręty do ich brzegów, a nawet za ziemię, po której stąpają. Ale może również odmówić użyczenia tych darów i tak ściśle powiązana jest przyroda z jego osobą, tak delikatna jest równowaga systemu sił, którego jest ośrodkiem, że najmniejsze naruszenie ładu z jego strony może spowodować drżenie, które poruszy ziemię w posadach. A skoro najmniejszy nieumyślny uczynek króla może zakłócić prawa natury, łatwo wyobrazić sobie, jakie wstrząsy może spowodować jego śmierć. Jak widzieliśmy, panowało przekonanie, że naturalna śmierć *chitome* pociąga za sobą powszechną katastrofę, toteż jest rzeczą jasną, że w interesie własnego bezpieczeństwa, któremu zagraża każde pochopne pociągnięcie króla, a jeszcze bardziej jego śmierć, lud domaga się od swego króla lub kapłana ścisłego trzymania się tych przepisów, których przestrzeganie wydaje się niezbędne dla jego

własnego przetrwania, a co za tym idzie, przetrwania ludzi i świata. Hipoteza, że pierwotne monarchie były despotyczne i że lud istniał w nich jedynie dla swego monarchy, absolutnie nie da się zastosować do monarchii przez nas omawianych. Wręcz przeciwnie, władca istnieje w nich jedynie dla swych poddanych, jego życie posiada wartość jedynie tak długo, jak długo wykonuje obowiązki, jakie nakłada na niego stanowisko, kierując biegiem natury dla dobra swego ludu. Z chwilą gdy zawiedzie pod tym względem, cała troska, opieka, poświęcenie, wszystkie hołdy religijne, których mu dotąd nie szczędzono, zostają wstrzymane i ustępują miejsca nienawiści i pogardzie. Zostaje sromotnie pozbawiony swego stanowiska i może być wdzięczny, jeśli uda mu się ująć z życiem. Czczony jednego dnia jako bóg, następnego ginie jako pospolity zbrodniarz. Ale w tej zmianie postawy ludu nie ma śladu kaprysu czy braku konsekwencji. Wręcz przeciwnie, tego rodzaju postępowanie jest bardzo logiczne. Skoro król jest bogiem, powinien się nimi opiekować, a jeśli tego nie robi, musi ustąpić miejsca takiemu, który to uczyni. Jak długo jednak spełnia ich nadzieje, opieka, jaką go otaczają, i troska o własną osobę, do której go zmuszają, nie znają granic. Król taki żyje ogrodzony ceremonialną etykietą oraz siecią zakazów i przepisów; zadaniem ich nie jest pomnożenie jego godności czy wygód, lecz powstrzymanie go od zachowania, które przez zakłócenie harmonii natury może ściągnąć na niego, na jego lud i na cały wszechświat katastrofę, kładącą kres wszystkiemu. Przepisy te hamując na każdym kroku jego swobodę działania pozbawiają go wolności i częstokroć czynią właśnie to życie, które mają na celu chronić, brzemieniem i tragedią.

O królach Loango, obdarzonych nadprzyrodzonymi siłami, powiadają, że im potężniejszy jest król, tym więcej zakazów go obowiązuje. Zakazy te regulują jego zachowanie, mówią o tym, jak ma stać i jak chodzić, jak jeść i pić, jak spać i jak się budzić. Następca tronu podlega tym restrykcjom od niemowlęstwa, ale w miarę upływu lat wzrasta liczba rzeczy zakazanych i obrzędów, które musi wykonywać, aż "w chwili gdy wstępuje na tron, tonie w oceanie rytuałów i zakazów". W kraterze wygasłego wulkanu otoczone zielonymi stokami leżą rozproszone chaty i pola słodkich ziemniaków Riabby, stolicy tubylczego króla Fernando Po. Tajemnicza ta istota zamieszkuje najgłębsze miejsce krateru, otoczona haremem z czterdziestu kobiet, i cała jest okryta, jak twierdzą, starymi srebrnymi monetami. Nagi ten dziki ma większą władzę nad wyspą aniżeli gubernator hiszpański w Santa Isabel, w niego bowiem wcielił się tradycyjny duch Boobich, to jest pierwotnych mieszkańców wyspy. Nigdy nie widział białego człowieka, zgodnie bowiem z niezachwianym przekonaniem wszystkich tubylców widok bladej twarzy spowodowałby jego natychmiastową śmierć. Nie wolno mu spojrzeć na morze, co więcej, nie wolno mu nawet rzucić nań okiem z daleka i dlatego spędza całe życie w półmroku swej chaty mając nogi zakute w kajdany. Jest rzeczą pewną, że nigdy dotąd stopa jego nie stanęła na brzegu morza. Z wyjątkiem muszkietu i noża nie używa żadnej rzeczy pochodzącej od białych, europejska tkanina nie tknęła jego ciała, gardzi tytoniem, rumem, a nawet solą.

Morze jest fetyszem u Eyeów na północnym zachodzie od Dahomeju. Kapłani grożą im oraz ich królom śmiercią, jeśli kiedykolwiek ośmielą się spojrzeć na morze. Panuje przekonanie, że król Cayoru

w Senegalu niechybnie umrze w przeciągu roku, jeśli przekroczy jakąś rzekę lub zalew morski. W Maszonie do niedawna wodzowie nie przechodzili przez pewne rzeki, a w szczególności Rurikiwi i Nyadiri, i jeden co najmniej wódz przestrzegał tego zakazu jeszcze w ostatnich latach. "W żadnym wypadku wódz nie przejdzie rzeki. Jeśli musi to uczynić, zawiązuje mu się oczy i przenosi się go przy akompaniamencie śpiewów i okrzyków; gdyby sam przeszedł, oślepliby lub umarł, a już z pewnością stracił swe wodzostwo."

Królom Egiptu składano cześć boską, a ich porządek dnia był do najmniejszego szczegółu ujęty w dokładne i niezmiennie przepisy. "Życie królów Egiptu - mówi Diodorus - nie było podobne do życia innych władców, nie ponoszących odpowiedzialności i mogących czynić, co im się spodoba. Wręcz przeciwnie, wszystko ustalało prawo, obejmujące nie tylko ich obowiązki urzędowe, lecz również każdy szczegół ich życia codziennego [...] Ustalane były godziny dnia i nocy, w których król miał robić nie to, na co miał ochotę, lecz to, co było mu przepisane. [...] Nie tylko bowiem wyznaczone były pory załatwiania spraw publicznych i sprawowania sądów, lecz również godziny spaceru, kąpieli i spania z żoną, krótko mówiąc, każdy szczegół był z góry ustalony. Zwyczaj nakazywał skromne posiłki, z mięsa mógł jeść jedynie cielęcinę i gęsinę, a pić tylko określoną ilość wina." Mamy jednak powody przypuszczać, że przepisy te nie były przestrzegane przez starożytnych faraonów, lecz przez królów-kapłanów, którzy rządili w Tebach i Etiopii pod koniec dwudziestej dynastii.

Charakterystycznym przykładem tabu obowiązujących kapłana jest regulamin dnia flamera Dialisa, kapłana Jowisza w Rzymie, którego uważano za żywy wizerunek Jowisza względnie za ludzkie wcielenie ducha nieba. Zakazy były następujące: kapłanowi Jowisza nie wolno jeździć konno ani dotykać konia, nie wolno mu patrzeć na uzbrojonych żołnierzy, nosić obrączki, szaty jego muszą być utkane z jednej nici, z jego domu nie wolno wyciągać żadnego ognia z wyjątkiem ognia świętego, nie wolno mu nawet spróbować mąki pszennej ani chleba na drożdżach, nie wolno mu dotykać ani nawet wymówić nazwy kozy, psa, surowego mięsa, fasoli i bluszczu, nie wolno mu przechodzić pod winną latoroślą, nogi jego łóżka muszą być wymazane błotem, włosy może mu obcinać jedynie człowiek wolny, i to nożem z brązu, a ścięte włosy i paznokcie muszą być zakopane pod szczęśliwym drzewem. Nie wolno mu dotykać zwłok ani wejść do pomieszczenia, gdzie zwłoki zostały spalone, nie wolno mu przyglądać się ludziom pracującym w dni świąteczne, nie wolno mu obnażać się na wolnym powietrzu; jeśli do jego domu zostanie sprowadzony człowiek spętany, należy zdjąć z niego pęta, a sznur musi być przeciągnięty przez specjalny otwór w dachu i wyrzucony na ulicę. Jego żonę flaminikę obowiązywały wszystkie niemal te same zakazy, a poza tym były jeszcze inne, wyłącznie jej dotyczące. Nie wolno jej było wstąpić po więcej jak trzech stopniach tak zwanych greckich schodów, z okazji pewnych świąt nie wolno jej było czesać się, skóra, z której sporządzano jej obuwie, nie mogła pochodzić ze zwierzęcia, które zdechło, a jedynie z takiego, które zostało zarżnięte lub złożone w ofierze, gdy usłyszała łoskot grzmotu, była objęta tabu, do chwili gdy złożyła ekspiacyjną ofiarę.

Kapłana ludu Grebo mieszkającego w Sierra Leone porównuje się na niezbyt przekonujących podstawach do arcykapłana Żydów. Mianowany on jest zgodnie z orzeczeniem wyroczni. Podczas skomplikowanej ceremonii wprowadzania go na urząd bywa namaszczany, na kostkę nogi nakłada mu się pierścień, który jest oznaką jego urzędu, a drzwi jego domu skrapiane są krwią złożonej w ofierze kozy. Opiekuje się on publicznymi talizmanami i bożkami, które karmi ryżem i oliwą przy każdym nowiu, oraz w imieniu miasta składa ofiary zmarłym i demonom. Nominalnie władza jego jest bardzo wielka, ale w praktyce ograniczona, nie ośmieli się bowiem zlekceważyć opinii publicznej i odpowiada, nawet głową, za wszelkie klęski, które spadają na kraj. Do jego obowiązków należy powodowanie obfitych plonów, utrzymywanie ludzi w zdrowiu, odpędzanie wojny i zapobieganie czarom. Życie jego skrupowane jest zakazami i tabu. Wolno mu nocować tylko w jego oficjalnej, rezydencji, zwanej "domem namaszczonym" od ceremonii namaszczania podczas wprowadzania go na urząd. Nie wolno mu pić wody na gościńcu. Nie wolno mu jeść, gdy w mieście znajdują się zwłoki, i nie wolno mu nosić żałoby po zmarłych. Gdy umiera podczas sprawowania urzędu musi być pochowany późną nocą, niewielu ludzi może wiedzieć o jego pogrzebie i nikt nie może nosić po nim żałoby, gdy śmierć jego zostaje podana do wiadomości. Jeśli nie wytrzyma próby trucizny, tj. wypici, dekoktu z drzewa *sassywood*⁴⁹, jak je nazywają, musi być pochowany pod strumieniem.

Święty mleczarz u Todów w Indiach południowych, spełniający funkcje kapłana świętej mleczarni, skrupowany jest szeregiem rozmaitych przykrych i uciążliwych restrykcji przez cały czas trwania wieloletniej niekiedy kadencji. Musi więc mieszkać w świętej oborze i nigdy nie wolno mu bywać u siebie w domu lub w zwykłej wiosce. Musi zachować celibat, a jeśli jest żonaty, musi porzucić żonę. Zwyczajny człowiek nie może w żadnym wypadku dotknąć świętego mleczarza lub świętej obory, tego rodzaju dotknięcie kała jego świętość i wówczas traci on swój urząd. Jedynie dwa dni w tygodniu, a mianowicie w poniedziałki i czwartki może zwykła świecka osoba podejść do mleczarza, w inne dni, jeśli ma do niego jakąś sprawę, musi stać z daleka (jakieś ćwierć mili) i wykrzykiwać, o co jej idzie. Ponadto święty mleczarz nie obcina włosów ani paznokci, jak długo piastuje swą godność, nie przechodzi przez most, lecz musi przechodzić przez rzekę w bród w określonych miejscach i tylko tamtędy. Gdy w klanie jego ktoś umiera, nie wolno mu brać udziału w żadnych uroczystościach pogrzebowych, chyba że przedtem zrezygnuje ze swego urzędu i zstąpi z wysokiego stanowiska mleczarza do poziomu zwykłego śmiertelnika. Wydaje się, że w dawniejszych czasach musiał składać pieczęcie, a raczej wiadra swego urzędu, gdy któryś z członków jego klanu rozstawał się z życiem. Zaznaczyć jednak należy, że te dotkliwe ograniczenia nakładane są jedynie na mleczarzy najwyższej klasy.

Uciążliwe obowiązki związane z urzędem kapłańskim lub królewskim doprowadziły do skutków, jakich można się było spodziewać. Ludzie bądź to odmawiali przyjmowania urzędu, który w ten sposób stopniowo wygasał, bądź też, przyjmując go, załamywali się pod jego ciężarem zamieniając się w

⁴⁹ *Sassywood* - drzewo rosnące w Zachodniej Afryce (*Erytrophloeum queneense*), o trującym drewnie i korze.

bezduszne kreatury, w odludków odciętych od świata, a z ich niedołączonych rąk stery rządu wyslizgiwały się wpadając w twarde dłonie ludzi kontentujących się często władzą realną, chociaż pozbawioną tytułu. W niektórych krajach to rozszczepienie władzy najwyższej pogłębiło się przechodząc w pełną i stałą separację władzy duchownej i świeckiej, przy czym stary dom królewski zachowywał czysto religijne funkcje, natomiast rządy świeckie przechodziły w ręce rodu młodszego i energiczniejszego.

A oto kilka przykładów. Widzieliśmy uprzednio, jak w Kambodży często trzeba zmuszać niechętnych następców do przyjmowania władzy Króla Ognia i Wody, a na wyspach Savage monarchia wygasła, ponieważ nikogo nie można było skłonić do przyjęcia tego niebezpiecznego zaszczytu. W niektórych częściach Afryki Zachodniej, gdy król umiera, zbiera się tajna rada rodzinna, by ustalić, kto będzie jego następcą. Człowieka, na którego padł wybór, chwyta się niespodziewanie, wiąże i wrzuca do domu fetysza, gdzie trzymany jest tak długo, dopóki nie zgodzi się przyjąć korony. Niekiedy następcą znajduje sposoby uniknięcia narzucanego mu zaszczytu. Znany jest przypadek bitnego wodza, który stale chodził uzbrojony i zdecydowany był siłą odeprzeć wszelkie próby posadzenia go na tronie. Dzicy Timmowie w Sierra Leone, obierający swego króla, zastrzegają sobie przywilej bicia go w przeddzień koronacji; niekiedy tak serdecznie korzystają z tego konstytucyjnego przywileju, że nieszczęsny monarcha niedługo zasiada na tronie. Gdy więc główni wodzowie mają urazę do jakiegoś człowieka i chcą się go pozbyć, wybierają go na króla. Dawniej, zanim ktoś był proklamowany królem Sierra Leone, zwyczaj nakazywał zakuwać go w kajdany i sprawiać mu lanie.

Następnie kajdany zdejmowano, wybrańca ubierano w szaty królewskie i wręczano mu insygnia królewskiej godności, a był to po prostu topór katowski. Nie dziwny się więc, gdy czytamy, że w Sierra Leone, gdzie takie obyczaje panowały, "z wyjątkiem Mandingów i Suzi, niewielu królów pochodzi z krajów, którymi rządzą. Tak odmienne są ich poglądy od naszych, że mało kto zabiega o ten zaszczyt i rzadko słyszy się o współzawodniczeniu."

Cesarze Japonii już dawno, jak się zdaje, uciekli się do wybiegu polegającego na tym, że zaszczytami i ciężarami najwyższej władzy obarczano niemowlęta, a pochodzenie szogunów, którzy przez długi czas sprawowali doczesną władzę w kraju, przypisuje się abdykacji pewnego mikada na rzecz swego trzyletniego syna. Jakiś samozwaniec odebrał władcy-dziecku władzę suwerena, a wówczas za mikada ujął się Yoritomo, człowiek odważny i przedsiębiorczy, który obalił samozwańca i przywrócił cesarzowi pozory władzy zachowując w swym ręku faktyczne jej sprawowanie. Wywalczoną godność przekazał swym następcom i w ten sposób został założycielem pierwszej dynastii szogunów. Do drugiej połowy szesnastego wieku szogunowie byli energicznymi i umiejętnymi władcami, ale spotkał ich ten sam los co cesarzy. Zaplątani w tę samą powikłaną sieć obyczajów i praw, ulegli degeneracji i zamienili się w zwykłe manekiny, które rzadko opuszczały pałac i zajęte były stale nie kończącymi się błahymi ceremoniami, podczas gdy prawdziwa władza przeszła w ręce Rady Państwa. W Tonkinie los monarchii był podobny. Król, zniewieściały i leniwy, został przepędzony z tronu przez ambitnego awanturnika Macka, który od zwykłego rybaka doszedł do stanowiska wielkiego mandaryna.

Ale brat króla, Tring, obalił uzurpatora, przywrócił władzę królowi zatrzymując jednak dla siebie i dla swych następców stanowisko dowódcy wszystkich wojsk. Odtąd król, posiadający co prawda tytuł suwerena i otoczony należną mu pompą, przestał rządzić, izolowany w swych pałacach, natomiast całą władzę polityczną sprawowali dziedziczni generałowie.

W niektórych częściach Afryki Zachodniej rządzi obok siebie dwóch królów, król fetyszowy albo religijny i król świecki, ale faktycznie wyższą władzę posiada król fetyszowy. On to panuje nad pogodą i wielu innymi zjawiskami. Gdy kładzie swój czerwony pastorał na ziemi, nikt tą drogą nie może przechodzić. Na podział władzy między władcę duchownego i świeckiego możemy natrafić wszędzie tam, gdzie kultura murzyńska nie przeżyła żadnych wstrząsów, tam natomiast gdzie murzyńska forma społeczeństwa nie zachowała się w swej pierwotnej postaci, jak na przykład w Dahomeju i u Aszanti, występuje tendencja skonsolidowania obu władz w rękę jednego króla.

W niektórych częściach wschodnioindyjskiej wyspy Timor spotykamy się z podziałem władzy przypominającym podział istniejący między królem fetyszowym a królem świeckim w Zachodniej Afryce. Niektóre z plemion timoryjskich uznają dwóch radzów, zwykłego, czyli świeckiego, który rządzi ludźmi, i fetyszowego, czyli radzę tabu, który sprawuje władzę nad wszystkim, co dotyczy ziemi i jej płodów. Ten ostatni ma prawo uznać jakąkolwiek rzecz za tabu; bez jego zezwolenia nie wolno uprawiać nowych gruntów i musi on dokonać pewnych niezbędnych ceremonii, gdy przystępuje się do robót polowych. Jeśli susza lub zaraza zagraża plonom, wzywa się jego pomocy dla uratowania zbiorów. Chociaż posiada niższą rangę aniżeli radza świecki, wywiera jednak olbrzymi wpływ na wszystkie wydarzenia, ponieważ jego świecki kolega zobowiązany jest radzić się go we wszystkich ważniejszych sprawach. Na niektórych wyspach sąsiednich, jak na przykład Roti i wschodnim Flores, istnieją podobni władcy duchowni pod różnymi nazwami, wszystkie one jednak oznaczają: "pana ziemi". Podobnie w rejonie Mekeo Brytyjskiej Nowej Gwinei istnieje podwójne wodzostwo. Lud podzielony jest na dwie grupy w zależności od rodzin i każda z tych grup ma swego wodza. Jednym z nich jest wódz wojenny, drugim wódz tabu. Urząd tego ostatniego jest dziedziczny. Jego obowiązkiem jest nakładanie tabu na wszelkie plony, na przykład orzechów kokosowych czy areca, gdy uważa, że należy zakazać ich używania. W urzędzie jego możemy, zdaje się, wyśledzić początki dynastii kapłańskiej, ale, jak dotąd, funkcje jego wydają się mieć charakter raczej magiczny aniżeli religijny, ponieważ są bardziej związane z kontrolą plonów aniżeli z prześląganiem sił wyższych.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

NIEBEZPIECZEŃSTWA ZAGRAŻAJĄCE DUSZY

Z dotychczasowych przykładów dowiedzieliśmy się, że uciążliwe restrykcje i zakazy często ograniczają urząd świętego króla względnie kapłana. Głównym ich celem jest, jak należy przypuszczać, zachowanie życia boskiego człowieka dla dobra jego ludu. Skoro jednak celem tych zakazów jest ochrona jego życia, wówczas powstaje pytanie, w jaki sposób cel ten one osiągają? By to zrozumieć, musimy poznać naturę zagrażającego życiu króla niebezpieczeństwa, przed którym te dziwne ograniczenia mają go chronić. Musimy wobec tego zapytać: Co rozumie pierwotny człowiek przez śmierć? Jakim przyczynom ją przypisuje? I w jaki sposób można się przed nią, jego zdaniem, chronić?

Podobnie jak proces natury nieożywionej człowiek dziki tłumaczy sobie zazwyczaj jako działanie istot żywych ukrytych w zjawiskach lub poza nimi, podobnie też wyjaśnia sobie samo zjawisko życia. Skoro zwierzę żyje i porusza się, to znaczy, że w środku jest małe zwierzątko, które je porusza. Zwierzęciem w zwierzęciu, człowiekiem w człowieku jest dusza. Podobnie jak czynności człowieka czy zwierzęcia tłumaczyć można obecnością duszy, tak też nieobecność jej tłumaczy odpoczynek we śnie lub po śmierci. Jeśli więc śmierć jest stałą nieobecnością duszy, wówczas można się przed nią uchronić nie dopuszczając do tego, by dusza opuściła ciało, skoro zaś je opuści, zrobić wszystko, by zapewnić jej powrót. Środki ostrożności podejmowane przez dzikich dla uzyskania jednego z tych celów przyjmują postać pewnych zakazów lub tabu, które są niczym innym, jak przepisami mającymi zapewnić bądź to stałą obecność, bądź też powrót duszy. Krótko mówiąc, są one środkami zachowania lub ochrony życia.

Pewien europejski misjonarz zwracając się do australijskich ciemnoskórych tubylców powiedział: "Nie jestem jeden, jak wam się zdaje, lecz jest nas dwóch." Odpowiedzieli na to śmiechem. "Możecie się śmiać do woli - ciągnął dalej misjonarz - ale mówię wam, że jest nas dwoje w jednym, bo wielkie ciało, które widzicie, to jedno, a w środku jest inne, małe, którego nie widzicie. Wielkie ciało umiera i zostaje pochowane, ale małe ciało odlatuje, gdy wielkie umiera." Na to kilku ciemnoskórych tubylców odpowiedziało: "Tak, tak. My także jesteśmy podwójni i w środku mamy małe ciało." Gdy zapytał ich, dokąd udaje się małe ciało po śmierci, niektórzy odpowiedzieli, że poza busz, inni, że do morza, a jeszcze inni, że nie wiedzą. Huronowie uważali, że dusza ma głowę i ciało, ręce i nogi, krótko mówiąc, że jest małym modelem człowieka. Eskimosi wierzą, że "dusza ma ten sam kształt co ciało, do którego należy, ale że jest bardziej subtelnej i zwiewnej natury". Według Nutków dusza ma kształt małego człowieczka i mieści się w czubku głowy. Jak długo dusza stoi prosto, jej właściciel jest zdrow i cały, ale gdy z jakiegoś powodu zmienia tę postawę, wówczas człowiek traci zmysły. Plemiona Indian nad rzeką Lower Fraser wierzą, że człowiek posiada cztery dusze, z których główna ma kształt człowieczka, podczas gdy trzy pozostałe są jego cieniami. Dla Malajczyków dusza jest małym człowieczkiem, najczęściej niewidocznym, wielkości kciuka, o proporcjach, a nawet kolorze cery człowieka, w którego ciele przebywa. Człowieczek ten jest cienki i niematerialny, chociaż dostatecznie wyczuwalny, by

spowodować zmiany, gdy przechodzi w jakiś fizyczny przedmiot. Może poruszać się szybko z miejsca na miejsce, chwilowo opuszcza ciało podczas snu, transu i choroby, na stałe zaś po śmierci.

Podobieństwo człowieczka do człowieka, innymi słowy, duszy do ciała jest tak wielkie, że tak samo, jak istnieją ciała grube i szczupłe, tak też istnieją dusze grube i szczupłe. Podobnie jak istnieją ciała ciężkie i lekkie, długie i krótkie, tak też istnieją odpowiednio ciężkie i lekkie, długie i krótkie dusze. Mieszkańcy wyspy Nias uważają, że przed urodzeniem każdego człowieka pyta się go, jaką długą i jak ciężką chciałby mieć duszę, i zgodnie ze swym życzeniem odpowiednią duszę otrzymuje. Najcięższa dusza ma ważyć 10 gramów. Długość życia proporcjonalna jest do długości duszy. Dzieci wczesnie zmarłe miały krótką duszę. Koncepcja duszy jako człowieczka występuje wyraźnie na Fidżi w tradycyjnych obrządkach związanych z śmiercią wodza plemienia Nakelo. Po jego śmierci, gdy leży namaszczone i wystrojony na pięknej macie, zjawiają się ludzie, którzy dziedzicznie piastują godność przedsiębiorców pogrzebowych. Zwracają się do niego w następujący sposób: "Wstań, Panie i Wodzu, pójdziemy. Dzień nastał nad łądem." Następnie przenoszą go nad brzeg rzeki, dokąd przybywa łodzią przewoźnik z zaświatów, by przewozić przez rzekę dusze zmarłych Nakelo. Towarzysząc swemu wodzowi w jego ostatniej podróży członkowie szczepu trzymają nisko wielkie wachlarze, by, jak to jeden z nich wyjaśnił pewnemu misjonarzowi, ochronić go, bo "jego dusza jest tylko małym dzieckiem". Mieszkańcy Pendżabu, którzy się tatuują, wierzą, że po śmierci dusza, "mały mężczyzna lub kobietka", znajdująca się dotąd w śmiertelnej powłoce, uda się do nieba udekorowana tymi samymi wytatuowanymi wzorami, które zdobiły ciało za życia. Niekiedy jednak, jak się w dalszym ciągu przekonamy, dusza ludzka przedstawiona jest nie w postaci ludzkiej, lecz zwierzęcej.

W powszechnym przekonaniu dusza opuszcza ciało przez naturalne otwory, najczęściej przez usta i nos. Stąd bierze się istniejący na Celebesie zwyczaj przytwierdzania haczyków na ryby do nosa, pępka i stóp chorego człowieka, żeby złowić i zatrzymać duszę, która może próbować ucieczki. Hindusi zawsze pstrykają palcami, gdy ktoś ziewa w ich obecności, w przekonaniu, że w ten sposób uniemożliwiają duszy wyjście przez usta. Markizanie zatykali usta i nos umierającego człowieka, by zachować go przy życiu nie wypuszczając duszy z ciała, taki sam zwyczaj istniał w Nowej Kaledonii i z podobną intencją Bagobowie na Filipinach nakładają pierścienie z mosiężnego drutu na palce i przeguby ludzi chorych. Itonama, Indianie Południowej Ameryki, zatykają oczy, usta i nos umierającemu człowiekowi, by dusza jego nie wyszła i nie porwała innych ludzi. Z podobnych powodów ludy Niasy, obawiające się dusz niedawno zmarłych i identyfikujące je z oddechem, starają się zamknąć duszę w jej ziemskim przybytku zatykając nos i związując szczęki nieboszczyka. Wakelburowie z Australii zwykli byli przed porzuceniem zwłok kłaść im w uszy żarzące się węgle zatrzymując duszę w ciele dosyć długo, by zdążyli uciec. Popularne zwroty w językach narodów cywilizowanych, jak na przykład: mieć serce w gardle, duszę na wargach, w nosie, na ramieniu, dowodzą, jak naturalnym jest pogląd, że życie względnie dusza mogą uciec przez usta lub nos.

Dusza bywa często przedstawiana w postaci ptaka gotowego do lotu. Ta koncepcja pozostawiła prawdopodobnie ślady w większości języków i przetrwała jako metafora w poezji. Malajczycy ujmują koncepcję ptaka-duszy w wiele dziwnych sposobów. Jeśli dusza jest ptakiem w locie, wówczas można ją zwabić ryżem i w ten sposób bądź to powstrzymać od odlotu, bądź też zwabić z powrotem z niebezpiecznej ucieczki. Na Jawie, gdy dziecko pierwszy raz zostaje postawione na ziemi (chwila, którą ludy pierwotne uważają za szczególnie niebezpieczną), umieszcza się je w kojcu, a matka wydaje dźwięki podobne do gdakania, jak gdyby przywoływała kury. W Sintangu na Borneo, gdy mężczyzna, kobieta lub dziecko spadnie z dachu domu lub z drzewa, po odniesieniu ofiary do domu żona względnie inne krewne pośpiesznie udają się na miejsce wypadku, sypią tam ryż zabarwiony na żółto wypowiadając przy tym następujące słowa: "Cip! Cip! Duszo! Taki-to-a-taki jest już w domu z powrotem. Cip! Cip! Duszo!" Po czym zbiera się ryż do koszyka i zanoszą do cierpiącego i tutaj sypiąc mu ryż na głowę woła się ponownie: "Cip! Cip! Duszo!" Intencja tego zabiegu jest jasna: chodzi o to, by zwabić wałęsającego się ptaka-duszę i umieścić ją z powrotem w głowie właściciela.

Dusza śpiącego opuszcza rzekomo jego ciało, by rzeczywiście odwiedzić różne miejsca, spotkać się z ludźmi i wykonać czyny, o których śpiący śni. Tak na przykład, gdy Indianin z Brazylii lub Gujany budzi się z twardego snu, jest głęboko przekonany, że dusza jego rzeczywiście polowała, łowiła ryby lub ścinała drzewa czy też czyniła to, o czym śnił przez cały czas, gdy ciało jego leżało bez ruchu w hamaku. Całą wioskę Bororo ogarnęła panika i mieszkańcy jej omal nie opuścili swych domów, ponieważ komuś śniło się, że widział nadciągających nieprzyjaciół. Słabowity Indianin z plemienia Makusi, któremu się śniło, że jego pracodawca kazał mu ciągnąć czółno pod prąd przez szereg trudnych katarakt, gorzko wyrzucał następnego dnia swemu panu, że nie ma serca, skoro zmusza biednego chorego człowieka, by wychodził z domu i pracował nocą. Indianie z Gran Chaco opowiadają często najbardziej nieprawdopodobne historie jako coś, co sami widzieli lub o czym sami słyszeli. Obcy, którzy ich bliżej nie znają, mówią pochopnie, że ci Indianie są kłamcami. W istocie Indianie są głęboko przekonani, że mówią prawdę, albowiem wszystkie te wspaniałe przygody są po prostu snami, których nie odróżniają od rzeczywistości na jawie.

Nieobecność duszy podczas snu grozi oczywiście niebezpieczeństwem, gdyby się bowiem tak złożyło, że z jakichś powodów dusza zostanie zatrzymana na stałe poza ciałem, wówczas osoba pozbawiona jej musi umrzeć. Istnieje niemieckie wierzenie, że dusza uchodzi z ust człowieka śpiącego w postaci białej myszki lub małego ptaszka i że przeszkodzenie tej myszce lub ptakowi w powrocie kończy się fatalnie dla śpiącego. Stąd też w Transylwanii mówią, że nie wolno pozwolić dziecku spać z otwartymi ustami, by dusza nie uciekła w postaci myszki, gdyby się to bowiem przytrafiło, dziecko nigdy się nie obudzi. Wiele przyczyn może zatrzymać duszę śpiącego. Może na przykład dusza spotkać duszę innego śpiącego i pobić się z nią. Gdy Murzyn z Gwinei budzi się rano obolały, uważa, że jego duszę pobiła we śnie inna dusza innego śpiącego. Może też dusza spotkać duszę zmarłego, która ją ze sobą zabierze, dlatego też mieszkańcy wysp Aru nie śpią w domu, w którym ktoś zmarł, ponieważ

dusza zmarłego przebywa tam jeszcze i obawiają się, że mogą ją spotkać we śnie. Duszy śpiącego może się zdarzyć wypadek i może też być powstrzymana siłą od powrotu do ciała. Dajak, który śni, że wpadł do wody, uważa, że rzeczywiście wypadek taki zdarzył się jego duszy. Posyła wówczas po czarownika, który za pomocą ręcznej sieci łowi duszę w zbiorniku wody tak długo, dopóki jej nie wyłowi, a wtedy zwraca ją właścicielowi. Santalowie opowiadają, jak to pewien człowiek zasnął, a gdy ogarnęło go wielkie pragnienie, dusza jego opuściła ciało w postaci jaszczurki i weszła do dzbanka z wodą, by się napić. Tak się właśnie zdarzyło, że w tej chwili właściciel dzbanka przykrył go, dusza nie mogła wrócić do ciała i człowiek zmarł. Gdy przyjaciele zbrali się, by pochować zmarłego, ktoś zdjął pokrywkę z dzbanka, by zaczerpnąć wody. Jaszczurka skorzystała z okazji i powróciła do ciała, a wówczas człowiek ów zbudził się i zapytał przyjaciół swoich, dlaczego płaczą. Powiedzieli mu, że myśleli, iż umarł, i mieli już zamiar spalić jego ciało. Odpowiedział im, że udał się do studni po wodę, ale z trudem się z niej wy dostał i dopiero co powrócił. Wówczas wszystko zrozumieli.

Wśród ludów pierwotnych jest rzeczą powszechnie przyjętą, że nie należy budzić śpiącego, gdyż dusza jego jest nieobecna i może nie mieć czasu na powrót, człowiek zaś, który obudzi się bez swej duszy, zachoruje. Jeśli obudzenie śpiącego jest absolutnie konieczne, należy to czynić z wolna, by dusza miała czas powrócić. Słyszano, jak pewien Fidżyjczyk na Matuku, zbudzony nagle z swej drzemki, gdy ktoś nastąpił mu na nogę, płakał i błagał swą duszę, by powróciła. Śniło mu się właśnie, że był daleko w Tonga, i bardzo się przestraszył, gdy się nagle obudził i odkrył, że ciało jego jest na Matuku. Groziła mu śmierć, jeśli nie uda mu się skłonić duszy, by pośpieszyła poprzez morza i ożywiła z powrotem opuszczone ciało. Człowiek ten prawdopodobnie umarłby ze strachu, gdyby nie znalazł się na miejscu misjonarz, który go uspokoił. Jeszcze bardziej niebezpieczną rzeczą w przekonaniu człowieka pierwotnego jest przeniesienie śpiącego w inne miejsce lub zmienienie jego wyglądu, dusza bowiem po powrocie może nie poznać ciała, a wtedy człowiek umrze. Minangkabauowie uważają za rzecz wysoce niewłaściwą zabrudzenie lub uczernienie twarzy śpiącego, gdyż dusza może nie chcieć wrócić do tak zniekształconego ciała. Malajczycy z Patani wierzą, że gdy się pomaluje twarz człowieka śpiącego, dusza nie rozpozna go, a wówczas będzie on spał tak długo, dopóki nie umyje się jego twarzy. W Bombaju pomalowanie twarzy śpiącego w fantastyczne kolory lub dorysowanie wąsów śpiącej kobiecie uważane jest za równoznaczne z morderstwem, dusza bowiem po powrocie nie rozpozna ciała, a wówczas osoba śpiąca umrze.

Dusza może jednak opuścić ciało człowieka nie tylko we śnie. Gdy zdarzy się to na jawie, wówczas konsekwencją będzie choroba, obłąd lub śmierć. Tak na przykład członek plemienia Wurunjeri w Australii leżał wydając ostatnie tchnienie, ponieważ opuściła go dusza. Znachor wyruszył na jej poszukiwanie i udało mu się schwytać ją wpół, w chwili gdy miała dać nura w łunę zachodzącego słońca, będącą światłem, którym promieniują dusze wchodzące i wychodzące z zaświatów, dokąd słońce udaje się na spoczynek. Po schwyтaniu zabląkanej duszy znachor przyniósł ją z powrotem pod

swą oposową derką, położył się na umierającym i przywrócił mu duszę. Po pewnym czasie człowiek ów powrócił do życia.

Karenowie w Birmie stale obawiają się, by ich dusze nie ruszyły w drogę, skazując tym samym na śmierć ich właścicieli. Gdy człowiek ma powody przypuszczać, że dusza jego ma takie straszne zamiary, urządza się uroczystość zatrzymania względnie przywołania jej, w której musi wziąć udział cała rodzina. Przygotowuje się posiłek złożony z kury, koguta, specjalnego gatunku ryżu i pęku bananów. Głowa rodziny bierze następnie misę, w której zazwyczaj płucze się ryż, i uderzając nią trzykrotnie o drabinę prowadzącą do mieszkania mówi: "Prr! Wracaj, duszo, z powrotem, nie włócz się po dworze! Zmokniesz, gdy spadnie deszcz, zgrzejesz się, gdy będzie słońce. Komary cię pogryzą, pijawki pokąsają, tygrysy pożrą, piorun cię skruszy. Prrr! Wracaj, duszo! Tutaj będzie ci dobrze, niczego ci nie zabraknie. Chodźże, zjesz coś, osłonięta od wiatru i burzy!" Następnie rodzina zasiada do posiłku i ceremonia kończy się tym, że wszyscy obecni przywiązują sobie na prawym przegubie sznurek zaklęty przez czarownika.

W indyjskiej opowieści król przekazuje swą duszę zwłokom bramina, a garbus przenosi swoją w opuszczone ciało królewskie. Garbus jest teraz królem, król braminem. Z kolei jednak garbus ulega namowom, by popisać się swymi umiejętnościami, i przenosi duszę do ciała nieżywej papugi, a wtedy król, korzystając z okazji, odzyskuje swe ciało. Podobną opowieść z odmiennymi szczegółami, można znaleźć wśród Malajczyków. Pewien król nieostrożnie wcielił swą duszę w małpę. Skorzystawszy z okazji wezyr umieścił swą duszę w ciele króla i zawładnął jego królestwem i żoną, podczas gdy prawdziwy król wegetował na dworze w zewnętrznej postaci małpy. Ale jednego dnia fałszywy król, który zwykł był uprawiać gry hazardowe, przypatrywał się walce baranów i tak się złożyło, że zwierzę, na które postawił swe pieniądze, padło. Wszystkie próby wskrzeszenia zwierzęcia zawodziły, aż wreszcie fałszywy król ulegając instynktowi prawdziwego hazardzisty przeniósł swą duszę w ciało padłego barana wznawiając dzięki temu walkę. Prawdziwy król w ciele małpy wykorzystał okazję i z niezwykłą przytomnością umysłu wcielił swą duszę z powrotem w ciało, które wezyr pochopnie opuścił. Tak oto wrócił do swej prawdziwej istoty, a uzurpatora w baraniej skórze spotkał zasłużony los. Grecy opowiadali, jak to dusza Hermotimusa z Kladzomenai zwykła była opuszczać ciało i odbywać dalekie wędrówki, z których przynosiła przyjaciołom w domu wiadomości o tym, co widziała na świecie. Aż pewnego dnia, gdy dusza jego przebywała za granicą, wrogowie skorzystali z okazji i wrzucili opuszczone ciało w płomień.

Nie zawsze opuszcza dusza ciało dobrowolnie. Wbrew własnej woli mogą ją wyrwać z ciała duchy, demony lub czarownicy. Dlatego też Karenowie przywiązują swe dzieci za pomocą specjalnego sznura do pewnej części domu, gdy przechodzi kondukt pogrzebowy, żeby dusze dzieci nie opuściły ciał i nie weszły do niesionych obok zwłok. Dzieci pozostają uwiązane w ten sposób, dopóki kondukt nie zniknie z pola widzenia.

Na Uwea (Uea), jednej z Wysp Lojalności, przypisuje się duszom zmarłych moc wykradania dusz ludzi żywych, gdy bowiem ktoś zachoruje, znachor udaje się w licznym towarzystwie na cmentarz, gdzie mężczyźni grają na fletach, a kobiety gwizdzą cicho, by przywołać duszę z powrotem. Trwa to przez pewien czas, po czym formuje się procesja powracająca do domu przy akompaniamencie fletu i gwizdania, w której uczestnicy łagodnie, z otwartymi dłońmi, prowadzą zabłąkaną duszę z powrotem. Po wejściu do mieszkania chorego głośno nakazują duszy wstąpić w ciało.

Uwiedzenie duszy ludzkiej przypisuje się często demonom. Chińczycy uważają, że drgawki i konwulsje bywają zazwyczaj dziełem pewnych złośliwych duchów, które wyciągają dusze z ciał ludzkich. W Siamenszy (Amoy) duchy, które w ten sposób przysługują się dzieciom i niemowlętom, noszą dźwięczne tytuły "sił niebiańskich siodłających galopujące konie" i "dyplomowanych literatów rezydujących w połowie drogi do nieba". Gdy dziecko wije się w konwulsjach, przestraszona matka śpieszy na dach domu i wymachuje bambusowym kijem, do którego przymocowany jest jakiś szczegół garderoby dziecka, przy czym woła kilkakrotnie: "Dziecko moje - iw tym miejscu wymienia imię - wróć, wróć do domu!" A w tym czasie innym mieszkańiec domu uderza w gong, w nadziei że zwróci uwagę zabłąkaną duszę, która rozpozna znajomą odzież i wśliznie się do niej z powrotem. Odzież, w której znajduje się dusza, zostaje umieszczona przy dziecku lub na nim i jeśli ono nie umrze, wówczas z pewnością wcześniej czy później wyzdrowieje. W podobny sposób łowią niektórzy Indianie duszę w buty i przywracają ją ciału nakładając je na nogi.

Nie tylko duchy i demony mogą wyciągnąć duszę z ciała lub przetrzymać ją podczas jej wędrówek, potrafią tego również dokonać ludzie, szczególnie czarownicy. Na Fidzi, gdy przestępca nie chciał przyznawać się do winy, wódz kazał przynosić szarfę, za pomocą której "złowi duszę łotra". Wystarczy widok szarfy, a nawet sama wzmianka o niej, by winowajca natychmiast wyznał wszystko. W przeciwnym bowiem wypadku wywijano szarfą nad jego głową tak długo, dopóki nie schwytano w nią duszy, po czym starannie składano ją i przybijano do czółna wodza. Przestępca pozbawiony duszy usychał w chorobie i w końcu umierał. Czarownicy na wyspach Pukapuka (Danger) zastawiali sidła na dusze z silnego pnącza długości od piętnastu do trzydziestu stóp z pętlami różnej wielkości na obu końcach, odpowiadającymi rozmaitym rozmiarom dusz, dla dusz tłustych były duże pętle, dla szczupłych małe. Czarownicy, gdy zachorował człowiek, do którego czuli urazę, zastawiali sidła na duszę w pobliżu jego domu i czekali, aż się dusza jego pojawi, a jeśli udało im się złowić ją w postaci ptaka czy owada, wówczas człowiek musiał umrzeć. W niektórych okolicach Afryki Zachodniej czarownicy stale zastawiają sieci na dusze opuszczające ciała podczas snu, a jeśli schwytają jakąś, zawieszają ją nad ogniem. W miarę jak kurczy się dusza, właściciel zapada na zdrowiu. Czarownicy nie kierują się żadnymi pretensjami do osoby cierpiącej, jest to po prostu ich zajęcie zarobkowe. Nie obchodzi ich, do kogo dusza należy, i chętnie zwracają ją właścicielowi za odpowiednią zapłatą. Ludzie, którzy zgubili lub zapodzili gdzieś swoją duszę, mogą zawsze kupić sobie zastępczą za zwyczajową opłatą u czarowników, którzy posiadają normalne przytułki dla zabłąkanych dusz. Do właścicieli tych

prywatnych przytułków i ludzi, którzy zastawiają sidła na duszę, nikt nie ma pretensji - taki jest już zawód tych ludzi, a wykonując go nie powodują się przecież niezyczliwością. Ale są również nędznicy, którzy z czystej złośliwości lub dla nieuczciwych zarobków zastawiają pułapki na duszę jakiegoś specjalnie wybranego człowieka. Na dnie garnka, pod przynętą, układają noże i ostre haki, które ranią i torturują biedną duszę, zabijając ją na miejscu albo do tego stopnia się nad nią znęcają, że jej właściciel, gdy duszy uda się uciec i do niego powrócić, zapada na zdrowiu.

Sztuka uprowadzania dusz ludzkich nigdzie chyba na świecie nie jest bardziej pieczołowicie kultywowana i z większą doskonałością praktykowana jak na Półwyspie Malajskim. Czarownik posługuje się tu najrozmaitszymi metodami i przeróżne są również motywy, jakimi się kieruje. Czasami chce zniszczyć wroga, czasami znowu pozyskać miłość zimnej lub nieśmiałej ślicznotki. Oto przykład czarów stosowanych w tym ostatnim przypadku, gdy celem ich ma być zdobycie duszy osoby, która powinna zapalać gwałtownym uczuciem. Należy wyjść na dwór, gdy księżyc, który dopiero co wzeszedł, wisi czerwony nad wschodnimi krańcami horyzontu, i stojąc w poświacie księżycowej, przykrywszy duży palec lewej stopy dużym palcem prawej stopy, zwinąwszy prawą dłoń w trąbkę wyrecytować następujące słowa:

*Wypuszczam strzałę - księżyc za chmurą,
Wypuszczam strzałę - a słońce gaśnie.
Wypuszczam strzałę - gwiazdy za mgłą!
Lecz ja nie strzelam ani do słońca,
Ni do miesiąca, ani do gwiazd -
Ale wprost w serce dziecięcia bractwa
Jak - mu - tam jest.
Ko! ko! Duszyczko czyjaś - chodź się ze mną przejść!
Usiądźmy razem, duszko,
Jedną podzielmy się poduszką -
Ko, ko, ko, ko!*

Powtórzyć to należy trzykrotnie i po każdym powtórzeniu trąbić przez dłoń złożoną w rurkę. Albo też można złapać duszę do turbanu, a czyni się to w następujący sposób. Wychodzi się na dwór przy pełni księżyca i przez dwie następne noce. Trzeba usiąść na mrowisku twarzą w stronę księżyca, palić kadzidło i recytować takie zaklęcie:

*Niosę ci betel do żucia!
Spryskaj go wapnem - Straszliwego Księcia
Dla jednych, a dla innych Córkę Księcia Szatu!
Niech ktoś o wschodzie słońca oszaleje dla mnie
I o zachodzie słońca niech też oszaleje!
Tak jak pamiętasz rodziców - pamiętaj i o mnie,
Jak dom pamiętasz i schody - tak pamiętaj o mnie.
Gdy dudni grzmot - pamiętaj o mnie.
Gdy świszczę wiatr - pamiętaj o mnie.
Gdy pluszcze deszcz - pamiętaj o mnie.
Gdy pieje kur - pamiętaj o mnie.
Gdy ćwierka ruzdzik - pamiętaj o mnie.
Gdy patrzysz w słońce •- pamiętaj o mnie.
Gdy patrzysz w księżyc - pamiętaj o mnie,
Bo na księżycu jest i mój dom!
Ko, ko - duszyczko czyjaś, chodź tu, chodź!*

*Nie chcę ci oddać mojej duszy -
Niechaj ku mojej przyjdzie dusza twa!*

Potem należy każdej nocy siedmiokrotnie pomachać turbanem w kierunku księżycy. Powróciwszy do domu trzeba turban schować pod poduszkę, a jeśli chce się go nosić w świetle dziennym, należy zapalić kadzidło i powiedzieć: "To nie turban noszę na pasku, ale duszę czyjąś."

Indianie znad rzeki Nass w Kolumbii Brytyjskiej wierzą, że lekarz może przez pomyłkę połknąć duszę pacjenta. Lekarz, którego o to podejrzewają, zostaje zmuszony przez swych kolegów, by stanął nad pacjentem, a wówczas jeden z nich wkłada mu palce do gardła, drugi ugniata mu brzuch palcami, a trzeci klepie po plecach. Jeśli w końcu okaże się, że dusza ta jednak nie w nim się znajduje, a zabieg ten, powtarzany na wszystkich po kolei znachorach, nie przynosi pożądanego skutku, wówczas dusza musi się widocznie znajdować w skrzynce głównego lekarza. Do jego domu udaje się kompania lekarzy, którzy żądają, by pokazał im zawartość swej skrzynki. Gdy to już uczyni i rozłoży wszystko na nowej macie, delegacja chwyta poświęconego Asklepiosowi delikwenta za nogi, głowę jego umieszczając w otworze znajdującym się w podłodze. W tej pozycji myją mu głowę, a "wodę, jaka pozostaje po tej ablucji, zabierają z sobą i wylewają na głowę chorego". Zagubiona dusza niewątpliwie znajduje się w wodzie.

Człowiekowi dziękuję grożą jeszcze inne niebezpieczeństwa duchowe poza tymi, które dotąd wyliczyłem. Uważa on często własne odbicie lub cień za swą duszę, a w każdym razie za ważną część swej istoty, wobec czego są one źródłem zagrożenia. Jeśli bowiem ktoś nadeptnie na cień lub odbicie, uderzy je lub przebije nożem, wówczas człowiek odczuje to tak samo, jak gdyby rana została mu zadana osobiście. Umrze zaś, jeśli oderwie się je od niego zupełnie (a wierzy, że jest to możliwe). Na wyspie Wetar są czarownicy, którzy potrafią wywołać chorobę u człowieka przekuwając jego cień grotem lub tnąc go mieczem. Jak twierdzi legenda, po zlikwidowaniu buddystów w Indiach udał się Sankara do Nepalu i tam pokłócił się z wielkim lamą. By dowieść swej siły nadprzyrodzonej, uniósł się w powietrze, a wtedy wielki lama zobaczywszy jego cień chwiejnie poruszający się na ziemi wbił weń nóż. Sankara spadł na ziemię i skręcił kark.

Na Wyspach Banksa stoją dziwnie wydłużone kamienie noszące nazwę "duchów pożerających", ponieważ istnieje przekonanie, że zamieszkują je pewne potężne i niebezpieczne duchy. Gdy cień człowieka padnie na jeden z tych kamieni, duch wyciągnie duszę i człowiek umrze. Kamieni tych używa się do pilnowania dobytku wstawiając je w mury domu. Wystany przez nieobecnego gospodarza posłaniec zbliżając się do domu wykrzykuje imię człowieka, który go wysłał, by czujny duch nie pomyślał, że przybywa ze złymi zamiarami, i nie wyrządził mu jakiej krzywdy. W Chinach podczas pogrzebu, gdy wieko ma być umieszczone na trumnie, większość obecnych z wyjątkiem najbliższej rodziny cofa się o kilka kroków, a nawet wychodzi do drugiego pokoju, gdyż według powszechnie panującego wierzenia zdrowie człowieka może ucierpieć, jeśli przypadkiem cień jego zostanie zamknięty w trumnie. A gdy trumna ma być opuszczona do grobu, obecni cofają się na pewną

odległość, by cienie nie wpadły do grobu. Wróż i jego pomocnik stoją po stronie grobu, na którą nie padają promienie słońca, a grabarze i tragarze, którzy niosą trumnę, mocno przywiązują swe cienie do siebie kawałkiem materiału ciasno opasanym na biodrach. Nie tylko zresztą człowiekowi można wyrządzić szkodę za pośrednictwem jego cienia. W pewnej mierze kłopoty takie mają również zwierzęta. Istnieje przekonanie, że mały ślimak spotykany w okolicy wapiennych gór Peraku wysysa krew z bydła za pośrednictwem ich cienia. Bydłota chudną i niekiedy giną na skutek utraty krwi. Starożytni wierzyli, że gdy hiena w Arabii stąpnie na cień człowieka, wówczas traci on mowę i zdolność poruszania się, a gdy hiena stanie na cieniu psa, który w księżycową noc znalazł się na dachu, wówczas pies spada jak ściągnięty sznurem. Rzecz jasna, w podanych przykładach jeśli nawet cień nie jest równoznaczny z duszą, to w każdym razie uważany jest za żywą część człowieka lub zwierzęcia, a krzywdę wyrządzoną cieniowi człowiek lub zwierzę odczuwa tak, jak gdyby została mu zadana osobiście.

Na odwrót, jeśli cień jest ważną częścią człowieka lub zwierzęcia, dotknięcie przez cień może być w pewnych okolicznościach równie niebezpieczne jak zetknięcie się z człowiekiem lub zwierzęciem. Tak więc dziki z zasady unika cienia pewnych osób, które z różnych powodów uważa za źródło niebezpiecznych wpływów. Do kategorii niebezpiecznych najpowszechniej zaliczają się żałobnicy i kobiety w ogóle, a w szczególności teściowe. Indianie Szuswap są przekonani, że cień żałobnika wywołuje chorobę, jeśli padnie na człowieka. Kurnajowie z Wiktorii ostrzegają nowicjuszy, by podczas obrządków inicjacji wystrzegali się cienia kobiety, gdyż jeśli na nich padnie, uczyni z nich ludzi leniwych, chudych i głupich. Jak twierdzą, pewien tubylec australijski omal nie umarł ze strachu, ponieważ cień jego teściowej padł na niego, gdy leżał śpiąc pod drzewem. Strach i nabożny lęk, jakimi otacza swą teściową nieuczony dziki, są powszechnie znanymi faktami w antropologii. Przepisy zakazujące szczepom Juin (Yuin) w Nowej Południowej Walii wszelkiej styczności z matką żony były bardzo surowe. Członkowi plemienia nie wolno było nawet spojrzeć w jej kierunku. Gdy cień jego padł przypadkowo na teściową, był to powód do rozwodu. Musiał w takim wypadku rozstać się z żoną, która wracała do swych rodziców. W Nowej Brytanii nie potrafią sobie nawet wyobrazić rozmiaru i charakteru nieszczęść, jakie mogą wyniknąć z tego, że człowiek przypadkowo odezwie się do matki swej żony. Prawdopodobnie nie pozostaje im nic innego, jak tylko, by jedno z nich względnie oboje popełnili samobójstwo. Najbardziej solenna przysięga Nowobrytyjczyka brzmi: "Panie, jeśli nie mówię prawdy, niech uścisknę dłoń mojej teściowej."

Skoro cień jest tak ściśle związany z życiem człowieka, że utrata jego pociąga za sobą chorobę lub śmierć, jest rzeczą naturalną, że zmniejszanie się cienia wywołuje niepokój i troskę, jako oznaka równoczesnego zmniejszania się energii życiowej właściciela. Na Ambon i Uliase, dwóch wyspach w pobliżu równika, gdzie oczywiście w południe cień jest znikomy względnie nie ma go zupełnie, ludzie z zasady nie wychodzą o tej porze z domów, ponieważ wyobrażają sobie, że mogliby utracić cienie swych dusz. Mangaianie opowiadają o potężnym wojowniku Tukaitawie, którego siła rosła i zmniejszała się

wraz z długością jego cienia. Rano, gdy cień był najdłuższy, siła jego była największa, ale w miarę skracania się cienia ze zbliżaniem się południa kurczyła się, a w samo południe osiągała najniższy swój punkt, wracając, gdy po południu cień zaczynał z powrotem się wydłużać. Pewien bohater wykrył tajemnicę siły Tukaitawy i zamordował go w południe. Dzicy w Besisis z Półwyspu Malajskiego obawiają się grzebać swoich zmarłych w południe, ponieważ wyobrażają sobie, że krótkość ich cieni w sposób sympatyczny wpłynie na skrócenie ich własnego życia.

Zapewne jednak nigdzie nie występuje zrównanie cienia z życiem względnie duszą tak silnie, jak w niektórych zwyczajach praktykowanych po dziś dzień w południowo-wschodniej Europie. We współczesnej Grecji istnieje zwyczaj nakazujący przy zakładaniu fundamentów zabić koguta, barana albo jagnię. Krew zwierzęcia spływa na kamień węgielny, pod którym następnie grzebie się zwierzę. Celem tej ofiary jest przydanie mocy i trwałości budowie. Ale czasami budownicy zamiast zabić zwierzę zwabia człowieka do kamienia węgielnego, sekretnie wymierza jego ciało lub część ciała względnie cień, po czym miarę grzebie pod kamieniem węgielnym. Niekiedy też układa się kamień węgielny na cieniu człowieka. Istnieje przekonanie, że człowiek taki umrze w przeciągu roku. Rumuni w Transylwanii przekonani są, że człowiek, którego cień został zamurowany, umrze w ciągu czterdziestu dni. Zdarza się, że osoba przechodząca obok domu będącego w budowie może usłyszeć okrzyk: "Uważaj, bo zabiorą ci twój cień!" Jeszcze do niedawna istnieli handlarze cieniami, którzy dostarczali budowniczym cienie potrzebne dla zabezpieczenia stawianych przez nich murów. W takich przypadkach miara cienia uchodzi za ekwiwalent samego cienia i pochowanie miary równoznaczne jest z pochowaniem duszy względnie pogrzebaniem życia człowieka, który musi umrzeć. Tak więc zwyczaj ten zastępuje dawną tradycję zamurowywania żywej osoby w ścianie lub przygniataania jej kamieniem węgielnym, by budowla była silna i trwała czy też, mówiąc ściślej, by rozgniewany duch straszył w tym miejscu i strzegł jej przed wdarciami się wroga.

Podobnie jak niektóre ludy wierzą, że dusza człowieka przebywa w jego cieniu, tak inne (a nawet i te same) uważają, że znajduje się ona w jego odbiciu w wodzie lub lustrze. "Andamanie uważają za swe dusze nie cienie, lecz swe odbicie (w jakimkolwiek lustrze)." Motumotu z Nowej Gwinei widząc po raz pierwszy swe odbicie w lustrze uważali, że są to ich dusze. W Nowej Kaledonii starzy ludzie uważają swe odbicie w wodzie lub lustrze za swe dusze, młodszy natomiast, wychowani przez księży katolickich, utrzymują, że jest to jedynie odbicie, podobnie jak odbicie palm w wodzie. Dusza-odbicie znajdująca się poza człowiekiem jest narażona na tyleż niebezpieczeństw co dusza-cień. Zulus nigdy nie pozwoli sobie na spojrzenie do ciemnej studni, ponieważ uważa, że przebywa w niej zwierzę, które zabierze jego odbicie i w ten sposób przyprawi go o śmierć. Basutowie wierzą, że krokodyle potrafią zabić człowieka wciągając jego odbicie pod powierzchnię wody. Gdy w plemieniu zdarzy się wypadek śmierci nagłej i pozornie niewyjaśnionej, krewni utrzymują, że to zapewne jakiś krokodyl porwał cień nieboszczyka, gdy ten przechodził przez rzekę. Na wyspie Saddle w Melanezji jest małe jezioro, "w które jeżeli ktokolwiek spojrzy, umrze; złośliwy duch porywa życie ofiary poprzez jej odbicie w wodzie".

Możemy już teraz zrozumieć, dlaczego zarówno w starożytnych Indiach, jak też i w Grecji istniał zakaz przyglądania się własnemu odbiciu w wodzie i dlaczego Grecy uważali za omen śmierci, gdy się człowiekowi śniło, że widział swe odbicie w wodzie. Obawiali się, że duch wodny wciągnie odbicie człowieka względnie jego duszę pod wodę i w ten sposób pozbawiwszy go duszy pozbawi również życia. Takie jest prawdopodobnie źródło klasycznej baśni o pięknym Narcyzie, który cierpiał i zmarł patrząc na swe odbicie w wodzie.

Tłumaczy to nam również szeroko rozpowszechniony zwyczaj zasłaniania luster i odwracania ich do ściany w domu żałoby. Istnieje bowiem obawa, że dusza opuszczająca osobę w postaci jej odbicia w lustrze może zostać porwana przez ducha zmarłego, który, jak się powszechnie uważa, pozostaje w domu do chwili pogrzebu. Mamy tu więc do czynienia z obyczajem ściśle przypominającym obowiązujący na wyspach Ar u zakaz spania w domu, w którym ktoś umarł, z obawy by dusza opuszczająca ciało we śnie nie spotkała ducha, co mógłby ją porwać. Wyjaśnia to również zwyczaj zakazujący chorym przeglądania się w lustrze i nakazujący zasłaniać zwierciadła w pokoju chorego. W czasie choroby, gdy dusza tak łatwo może uciec, jest rzeczą szczególnie niebezpieczną, by za pośrednictwem odbicia w lustrze znalazła się poza ciałem. Zasada więc przy tym obowiązująca ściśle odpowiada zasadzie przestrzeganej przez pewne ludy, które nie pozwalają osobom chorym spać. We śnie bowiem dusza opuszcza ciało i tym samym zawsze powstaje ryzyko, że już nie powróci.

Podobnie jak z cieniami i odbiciami ma się sprawa z portretami. Często uważa się, że zawierają one duszę osoby portretowanej, toteż, rzecz jasna, ludzie w to wierzący nie pozwalają, by sporządzano ich podobizny. Jeśli bowiem portret jest duszą lub w każdym razie ważną częścią osoby portretowanej, to każdy, kto znajdzie się w jego posiadaniu, będzie mógł wpłynąć w sposób fatalny na oryginał. Eskimosi z Cieśniny Beringa wierzą, że osoby zajmujące się czarami potrafią ukraść cień człowieka, bez którego zachoruje on i umrze. Pewnego razu w wiosce leżącej nad dolnym biegiem rzeki Jukon podróżnik nastawił aparat fotograficzny, by zrobić zdjęcie ludzi kręcących się przy swych domach. Gdy nastawił obiektyw, podszedł do niego wódz wioski żądając, by pozwolono mu zajrzeć pod czarną chustę. Po otrzymaniu zezwolenia wpatrywał się uważnie przez minutę w poruszające się na matówce postacie, po czym nagle odskoczył i krzyknął na cały głos do ludzi: "On ma wszystkie wasze cienie w swej skrzynce." Wybuchła panika i w mgnieniu oka wszyscy uciekli na łeb i szyję do swych domów. Tepehuanie z Meksyku bali się śmiertelnie aparatu fotograficznego i trzeba ich było przez pięć dni przekonywać, by zgodzili się pozować. Gdy wreszcie na to przystali, wyglądali jak skazańcy na chwilę przed egzekucją. Byli przekonani, że fotograf po wykonaniu zdjęć może zabrać z sobą ich dusze i zjeść je w chwilach wypoczynku. Twierdzili, że gdy zdjęcia dotrą do jego kraju, oni umrą albo przydarzy im się jakieś inne nieszczęście. Gdy dr Catat ze swymi towarzyszami odbywał podróż badawczą po kraju Bara, na zachodnim wybrzeżu Madagaskaru, w pewnej chwili ludzie zaczęli zachowywać się wobec nich wrogo. W przeddzień bowiem, nie bez trudności, podróżnicy sfotografowali rodzinę królewską, a obecnie oskarżano ich o to, że zabierają ze sobą dusze tubylców po to, by je następnie sprzedać we Francji. Na

próżno próbowali przeczyć. Zgodnie z obyczajami kraju musieli schwytać dusze, umieścić je w koszyku i następnie na polecenie dra Catata zwrócić je właścicielom.

Niektórzy chłopcy w Sikkim zdradzali żywy strach i ukrywali się, gdy tylko zwracano w ich kierunku obiektyw aparatu fotograficznego, czyli, jak go nazywali "złe oko skrzynki". Uważali, że wraz ze zdjęciami zabiera się ich dusze i oddaje do dyspozycji właściciela zdjęć, który w ten sposób może rzucać na nich uroki; utrzymywali również, że fotografia pejzażu wywiera zgubny wpływ na krajobraz. W Syjamie do panowania ostatniego króla nie bito monet z wizerunkiem króla, "ponieważ istniały silne przesady przeciwko wizerunkom wszelkiego rodzaju. Jeszcze dziś wystarczy, by Europejczyk podróżujący po dżungli skierował obiektyw na tłum, a natychmiast ludzie się rozbiegną. Gdy zostaje sporządzona podobizna twarzy człowieka i zabierają mu ją, część jego życia uchodzi wraz z portretem. Jedynie monarcha obdarzony latami Matuzalema mógłby sobie pozwolić na rozdanie swego życia w małych kawałkach wraz z monetami."

Tego rodzaju wierzenia utrzymały się jeszcze w rozmaitych częściach Europy. Nie tak dawno, bo przed kilku laty, stare kobiety na greckiej wyspie Karpathos gniewały się, gdy rysowano ich podobizny, uważając, że .pociągnie to za sobą chorobę i śmierć. W zachodniej Szkocji są osoby, które "nie pozwalają sporządzać swych podobizn, gdyż to może przynieść nieszczęście, i przytaczają szereg przypadków, gdy ich znajomi nieustannie chorowali po sfotografowaniu się".

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

CZYNNOCI TABU

Koncepcje duszy i niebezpieczeństw jej zagrażających nie były bynajmniej własnością jednego tylko ludu czy kraju; odnajdujemy je w najrozmaitszych wariantach na całym świecie i, jak się o tym przekonaliśmy, przetrwały we współczesnej Europie. Wierzenia tak głęboko zakorzenione i tak szeroko rozpowszechnione musiały, rzecz jasna, wycisnąć swe piętno na formach wczesnej władzy królewskiej, jeśli bowiem każdy człowiek tyle wysiłku wkłada w ochronę swej duszy przed niebezpieczeństwami zewsząd na nią czyhającymi, o ileż bardziej musi być chroniony ten, od którego życia zależy dobrobyt, a nawet istnienie całego narodu, i którego ochrona leży we wspólnym interesie wszystkich? Należy wobec tego spodziewać się, że życie króla chronione będzie przez jeszcze liczniejsze i bardziej drobiazgowo obmyślane środki ostrożności aniżeli te, które w prymitywnym społeczeństwie każdy człowiek stosuje w ochronie własnej duszy. Tak też się dzieje faktycznie. Jak już widzieliśmy i jak wkrótce przedstawię jeszcze bardziej szczegółowo, życie króla reguluje bardzo ścisły kodeks postępowania. Czy wobec tego nie wolno nam wysunąć przypuszczenia, że przepisy te są w istocie środkami ostrożności mającymi na celu ochronę życia króla? Analiza tych przepisów potwierdza nasz domysł. Okazuje się bowiem, że niektóre z przepisów obowiązujących króla są identyczne z tymi, których przestrzegają osoby prywatne dla ochrony swych dusz, a nawet z tych, które wyłącznie odnoszą się do króla, większość daje się najłatwiej wytłumaczyć na podstawie hipotezy, że ich celem jest ochrona jego życia względnie bezpieczeństwa. Przedstawię obecnie kilka owych przepisów względnie tabu królewskich zaopatrując je w komentarze lub wyjaśnienia, które pozwolą ukazać we właściwym świetle pierwotną intencję przepisu.

Jako że celem królewskich tabu jest izolowanie króla od wszelkich źródeł niebezpieczeństwa, zmuszają go one w sumie do przebywania w osamotnieniu, mniej lub więcej zupełnym, w zależności od ilości i surowości przepisów, których przestrzega. Żadnego źródła niebezpieczeństwa człowiek dziki nie obawia się tak bardzo jak magii i czarów, a przy tym podejrzewa wszystkich ludzi obcych o praktykowanie tych ciemnych sztuczek; toteż elementarną zasadą ostrożności, którą dyktuje rozsądek dzikiego, jest ochrona przed zgubnymi wpływami, które świadomie lub nieświadomie ludzie obcy wywierają. Tak więc tubylcy często odprawiają pewne ceremonie, zanim pozwolą ludziom obcym przekroczyć granice zamieszkanego przez nich rejonu albo przynajmniej zanim zezwolą im na swobodne kontaktowanie się z mieszkańcami. Celem tych ceremonii jest pozbawienie obcych ich magicznych sił, przeciwdziałanie zgubnym wpływom, które z nich emanują, dezynfekowanie, że tak powiem, zatrutej atmosfery, którą są oni rzekomo otoczeni. Gdy ambasadorzy cesarza Justyna II, imperatora Wschodu, wysłani do Turków w celu zawarcia pokoju, dotarli do celu swej podróży, powitali ich szamani, którzy poddali ich ceremonialnemu oczyszczeniu mającemu rozproszyć wszelkie złe wpływy. Wyłożywszy w otwartym miejscu towary przywiezione przez ambasadorów czarownicy krążyli

wokół nich z dymiącym kadzidłem, bijąc w dzwony i uderzając w tamburyny, rżąc chrapliwie i wpadając w stan szału, a wszystko to, by przepędzić złe moce. Następnie oczyszczono samych ambasadorów przeprowadzając ich przez płomienie. Na wyspie Nanumea na Południowym Pacyfiku przybyszom z okrętu lub innej wyspy nie pozwalano stykać się z mieszkańcami wyspy, dopóki wszyscy, względnie ich przedstawiciele, nie zwiedzili wszystkich czterech świątyń wyspy, gdzie zanoszono modlitwy, błagając boga, by unieszkodliwił wszelkie choroby względnie podstępny, które obcy mogli ze sobą przywieźć. Na ołtarzach składano ofiary z mięsa z towarzyszeniem tańców i śpiewów ku czci boga. Podczas trwania tych ceremonii wszyscy mieszkańcy wyspy z wyjątkiem kapłanów i ich pomocników ukrywali się.

Podróżując po Ameryce Południowej Crevaux⁵⁰ znalazł się w wiosce Indian Apalai. Wkrótce po jego przybyciu kilku Indian przyniosło mu na liściach palmowych wielkie czarne mrówki, których ukąszenie jest szczególnie bolesne. Po czym zgłosiła się do niego ludność wioski, bez różnicy płci i wieku, domagając się, by przykładł mrówki do ich twarzy, nóg i innych części ciała. Czasami, gdy ukąszenie mrówki było zbyt łagodne, wołali: "Więcej, więcej", i nie byli zadowoleni, dopóki skóra nie pokryła się drobnymi bąbelkami jak po uderzeniu pokrzywą. Cel tej ceremonii wyjaśnia zwyczaj przestrzegany na wyspie Ambon i Uliase, gdzie chorych ludzi skrapia się dobrze przeżutymi ostrymi korzeniami, jak na przykład imbirem i goździkami, po to by przepędzić demona choroby, który ucieknie przed nieprzyjemnym pieczeniem. Na Jawie popularnym sposobem *leczenia* podagry i reumatyzmu jest wcieranie hiszpańskiego pieprzu w paznokcie u rąk i nóg chorego; podagra i reumatyzm nie są w stanie znieść ostrości pieprzu i uciekają pośpiesznie.

Jest rzeczą prawdopodobną, że sam strach przed obcymi jest w większym stopniu niż chęć złożenia im hołdu motywem pewnych ceremonii powitalnych, chociaż intencja ich nie jest jasno wyrażona. W Afganistanie i niektórych okolicach Persji podróżnika przed wkroczeniem do wsi witają często ofiarami ze zwierząt, żywności, ognia i kadzidła. Afgańską Misję pograniczną witano często w wioskach afgańskich ogniem i kadzidłem. Niekiedy pod kopyta konia podróżnika rzuca się żarzące węgle wypowiadając przy tym słowa powitania. Wkraczającego do wioski w Afryce Środkowej Emina Paszę⁵¹ powitano ofiarą z dwóch kóz. Ich krwią pokropiono ścieżkę, po której wódz szedł, by powitać Emina. Niekiedy strach przed obcymi i ich magią jest tak wielki, że nie pozwala na żadne powitanie. Tak więc gdy Speke⁵² zjawił się w pewnej wiosce, tubylcy zamknęli przed nim swe domy, "ponieważ nigdy dotąd nie widzieli białego człowieka ani blaszanych pudeł, które ludzie nosili. «Kto wie - mówili - może te skrzynie są niczym innym jak przemienionymi grabieżcami Watuta, którzy w tej postaci przybyli, by nas zabić?» Nie pomogły żadne perswazje i trzeba było ruszyć do następnej wioski."

⁵⁰ Jules Nicolas C r e v a u x (1847-1882) - francuski podróżnik odkrywca, badał tereny Ameryki Południowej.

⁵¹ Emin Pasza, Mehmed (właśc. Eduard Schnitzer) (1840-1892) - niemiecki podróżnik odkrywca, badał tereny Afryki.

⁵² John Hanning S p e k e (1827-1864) - angielski podróżnik odkrywca, badał tereny Afryki, odkrył jeziora Tanganika i Wiktorii, to ostatnie jako źródło Nilu

Często obawa przed obcymi gośćmi jest odwzajemniana. Człowiek dziki wchodząc na obcy teren ma uczucie, że kroczy po zaklętej ziemi, wobec czego podejmuje środki ostrożności przeciw demonom i magii tubylców. Maorysi wchodząc na obce terytorium odprawiają odpowiednie ceremonie, by uczynić je "zwykłym" na wypadek, jeśli było ono uprzednio "święte". Gdy baron Mikłucho-Makłaj⁵³ zbliżał się do wioski na Wybrzeżu Makłaja w Nowej Gwinei, jeden z towarzyszących mu tubylców ułamał gałąź z drzewa i odszedłszy na stronę szeptał coś przez chwilę, potem podchodził do wszystkich po kolei członków grupy, spluwał im na plecy i uderzał ich kilkakrotnie gałęzią, a na końcu poszedł do lasu i zakopał gałąź pod zeschniętymi liśćmi w najgłębszej części dżungli. Ceremonia ta miała ochronić przed zdradzieckimi zamysłami i niebezpieczeństwem czekającymi ich w wiosce, do której się zbliżają. Myślą przewodnią tego zabiegu było prawdopodobnie przeniesienie złośliwych wpływów z osoby na gałąź i pochowanie ich wraz z gałęzią w lesie.

Istnieje również przekonanie, że człowiek w podróży może być uroczony przez obcych, z którymi się stykał, wobec czego po powrocie do domu, przed dopuszczeniem do swego plemienia i przyjaciół, musi przejść przez pewne zabiegi oczyszczające. Beczuanowie "oczyszczają się i puryfikują po podróży goląc głowy itd., na wypadek jeśli rzucono na nich jakieś uroki za pomocą czarów lub magii". W niektórych częściach Afryki Zachodniej mężczyzna powracający do domu po długiej nieobecności musi przed zobaczeniem się ze swą żoną wykąpać się w specjalnym płynie i otrzymać od czarownika pewien znak na czole przeciwdziałający urokom, które mogła rzucić na niego podczas jego nieobecności jakaś obca kobieta i które za jego pośrednictwem mogłyby przejść na kobiety jego wioski. Dwóch ambasadorów, których do Anglii wysłał pewien hinduski książę, uważano za tak skażonych przez zetknięcie się z obcymi, iż jedynie ponowne przyście na świat mogło ich oczyścić. "W tym celu należy sporządzić z czystego złota wizerunek elementu żeńskiego w przyrodzie w postaci kobiety lub krowy. Osoba, która ma przejść regenerację, zostaje zamknięta w tej rzeźbie i przeciągnięta zwykłą drogą. Jako że posąg z czystego złota we właściwych rozmiarach byłby zbyt kosztowny, wystarczy sporządzić wizerunek świętej Yoni, przez który osoba regenerowana ma przejść." Tego rodzaju wizerunek z czystego złota został sporządzony na polecenie księcia i jego ambasadorzy przyszli ponownie na świat, przechodząc przezeń.

Skoro tego rodzaju środki ostrożności przed urokami, jakie rzekomo rzucają ludzie obcy, powszechnie są przyjęte, nie powinno nas dziwić, że dla ochrony osoby króla podejmowane są środki specjalne. Posłowie przybywający w wiekach średnich do chana tatarskiego musieli przechodzić między dwoma ogniami, zanim ich dopuszczono przed jego oblicze, i podarunki, które przywozili, również musiały tę drogę przebyć. Ogień miał unicestwiać wszelkie moce magiczne, których obcy mogliby użyć wobec chana. Gdy podlegli wodzowie przybywali ze swymi orszakami z pierwszą wizytą albo po buncie do kalamby (najpotężniejszego wodza Baszilangów w Kongo), musieli przez dwa dni pod

⁵³ Nikołaj Nikołajewicz Mikłucho-Makłaj (1846-1888) - wybitny podróżnik i uczonego rosyjski, badał zwyczajnie

rząd kąpać się, mężczyźni i kobiety razem w dwóch strumykach, nocując pod gołym niebem na rynku. Po drugiej kąpieli, zupełnie nadzy, udawali się do domu kalamby, który na piersi i czole każdego z nich malował długi biały znak. Powracali potem na rynek, ubierali się i przechodzili przez próbę pieprzu. Każdemu z nich sypano w oczy pieprz, a w tym czasie mieli oni wyznawać wszystkie swe grzechy, odpowiadać na wszelkie stawiane im pytania i wypowiadać pewne śluby. Po zakończeniu tej ceremonii obcy mogli mieszkać w mieście tak długo, jak tylko pragnęli.

W przekonaniu ludzi dzikich szczególnie niebezpieczną czynnością jest jedzenie i picie, wtedy bowiem dusza może uciec z ciała przez usta lub też może być wyciągnięta za pomocą magicznych zabiegów obecnego przy tym wroga. Pośród ludów posługujących się językiem Ewe, na Wybrzeżu Niewolniczym, "panuje powszechne przekonanie, że dusza opuszcza ciało i powraca doń przez usta; toteż należy zachować ostrożność przy otwieraniu ust, by jakaś bezdomna dusza nie skorzystała z okazji i nie weszła do ciała człowieka. Wypadek taki, jak się zdaje, grozi najczęściej w czasie jedzenia." Podejmuje się wobec tego odpowiednie środki ostrożności. Batakowie podobno uważają, "że skoro dusza może opuszczać ciało, to należy pilnować jej szczególnie wtedy, gdy jest najbardziej potrzebna. Ale wędrówce duszy można zapobiec jedynie w domu. Podczas uczt można zastać cały dom zamknięty, by dusza nie uciekła i mogła nacieszyć się przysmakami przed nią wyłożonymi." Ludzie z plemienia Zafimanelo na Madagaskarze zamykają drzwi podczas jedzenia i mało kto widział ich przy tej czynności. Warruanie nie pozwalają nikomu przypatrywać się im w czasie jedzenia, a już szczególnie pilnują się, by nie była to osoba płci odmiennej. "Musiałem zapłacić człowiekowi, by pozwolił mi patrzeć na siebie, gdy pił; nie mogłem skłonić mężczyzny, by pozwolił kobiecie przypatrywać mu się w czasie picia." Gdy częstuje się ich, proszą, by ich zasłonić podczas picia.

Jeśli takie są zwyczajne środki ostrożności, do których uciekają się zwykli ludzie, to środki ostrożności stosowane przez królów są zaiste niezwykłe. Za przyglądanie się królowi Loango podczas jedzenia lub picia grozi zarówno człowiekowi, jak i zwierzęciu śmierć. Gdy ulubiony pies wdarł się do pomieszczenia, w którym król spożywał posiłek, król nakazał zabić go na miejscu. Pewnego razu syn króla, chłopiec dwunastoletni, przypadkowo ujrzał króla pijącego. Król natychmiast kazał przybrać go w odświętne szaty, urządził dla niego ucztę, po czym chłopca poćwiartowano i obnoszono po mieście oznajmiając, że widział, jak król pije. "Gdy król ma ochotę się napić, każe przynieść sobie kielich wina. Ten, który wino przynosi, ma w ręku dzwonek i gdy tylko wręczy królowi kielich, dzwoni i odwraca twarz. Wszyscy obecni padają twarzą na ziemię i nie ruszają się z miejsca, dopóki król nie skończy pić... Jada on w podobny sposób i ma w tym celu specjalny dom, w którym wiktuały są wyłożone na *bensa*, czyli stole. Do tego stołu podchodzi zamknąwszy drzwi za sobą, po jedzeniu puka i wychodzi. Dzięki temu nikt nigdy nie widział króla pijącego lub jedzącego. Panuje bowiem powszechne przekonanie, że gdyby coś takiego się stało, król natychmiast umrze." Resztki jedzenia są zagrzebywane w ziemi, niewątpliwie

po to, by nie wpadły w ręce czarownika, który poprzez nie mógłby rzucić szkodliwe uroki na króla. Podobnych przepisów trzymał się sąsiedni król Cacongo. Uważano, że król umarłby, gdyby który z jego poddanych widział go, jak pije. Człowieka, który by zobaczył króla Dahomeju przy jedzeniu, czeka kara śmierci. Gdy w wyjątkowych wypadkach pije publicznie, ukrywa się za zasłoną albo wokół jego głowy trzyma się chustę ludzie padają na ziemię i ukrywają twarze. Gdy król Bunjoro w Afryce

Środkowej szedł pić mleko do swej mleczarni, wszyscy mężczyźni musieli opuszczać królewskie ogrodzenie, a kobiety przykrywały głowy do chwili powrotu króla. Nikomu nie wolno było patrzeć na niego, gdy pił. Jedna z żon towarzyszyła mu do mleczarni, podawała garnek z mlekiem, ale odwracała głowę, gdy go wypijał.

W niektórych opisanych przypadkach jedzenie i picie w samotności służy bardziej przeszkodzeniu temu, by uroki weszły w ciało, aniżeli zapobieżeniu ucieczce duszy. Niewątpliwie taka jest intencja obyczajów przestrzeganych przez tubylców z obszaru Konga podczas picia. Dowiadujemy się na przykład, że wśród tych ludów "nie znajdzie się tubylec, który ośmieliłby się przełknąć łyk płynu nie zakławszy uprzednio duchów. Jeden dzwoni przez cały czas, gdy pije, inny kuca i kładzie lewą dłoń na ziemi, inny jeszcze przysłania głowę, a inny wreszcie wtyka sobie do włosów źdźbło trawy lub liść lub też smaruje gliną czoło. Wyjaśnienia czarnych ograniczają się do stwierdzenia, że jest to skuteczne zaklęcie na duchy." W owej części świata wódz zazwyczaj dzwoni za każdym razem, gdy pociąga łyk piwa, a w tej samej chwili stojący przed nim chłopak wymachuje dzidą, "by przepędzić duchy, które chciałyby wkraść się do ciała starego wodza tą samą drogą co piwo". Tym samym względem tłumaczy się prawdopodobnie przestrzegany przez niektórych sułtanów afrykańskich zwyczaj przysłaniania twarzy. Sułtan Dar Furu owija twarz białym muślinem, okręcając go kilka razy wokół głowy, przesłaniając najpierw nos i usta, a potem czoło tak, że widoczne pozostają tylko oczy. Ten sam zwyczaj zasłaniania twarzy jako oznaka suwerenności został podobno zaobserwowany w innych częściach Afryki Środkowej. Sułtan Wadaj zawsze przemawia zza zasłony i nikt poza najbliższym otoczeniem i kilku uprzywilejowanymi osobami nie widzi jego twarzy.

Rozwinięciem, tych środków ostrożności jest obowiązujący niekiedy królów zakaz opuszczania swych pałaców, gdy zaś zezwoli im się na to, wówczas poddanym nie wolno ich oglądać. Fetyszowemu królowi Beninu, czczonemu przez swych poddanych jako bóstwo, nie wolno było opuszczać swego pałacu. Podobnie miała się sprawa z królem Loange, który po koronacji nie mógł wychodzić za bramy swego pałacu. Król Onitszy "wychodzi z swego domu do miasta tylko wtedy, gdy bogowie zostali przebłagani ofiarą ludzką, wobec czego nigdy nie rusza się poza swe domostwo". Co więcej, dowiadujemy się, że nie wolno mu wychodzić ze swego pałacu pod karą śmierci albo też musi oddać jednego albo więcej niewolników, którzy zostają straceni w jego obecności. A jako że bogactwo kraju mierzą liczbą niewolników, król pilnie baczy, by nie naruszyć tego prawa. A przecież raz do roku, na święto jamów, królowi wolno, a nawet wymaga tego obyczaj, tańczyć przed swym ludem przed wysoką, ulepioną z błota, ścianą swego dworu. Podczas tańca dźwiga na plecach wielkie ciężary, zazwyczaj

worek z ziemią, by dowieść, że wciąż jeszcze jest w stanie unieść ciężar spraw państwowych. Gdyby nie potrafił tego obowiązku dopełnić, zostałby natychmiast zdetronizowany, a może nawet ukamienowany. Królów Etiopii czczono jako bogów, ale trzymano w zamknięciu w ich pałacach. Górzyste wybrzeże Pontu zamieszkiwał w starożytności wojowniczy i okrutny lud Mosyni lub Mosynoeci. Przez ich górzysty kraj ciągnął z Azji do Europy słynny odwrót Dziesięciu Tysięcy. Barbarzyńcy ci trzymali swego króla pod ścisłą strażą na szczycie wysokiej wieży, z której po elekcji nie miał prawa już nigdy schodzić. Na tej wieży sprawował sądy nad swymi poddanymi, ale jeśli ich czym uraził, karali go wstrzymując pożywienie przez dzień, a nawet głodząc go na śmierć. Królom Sabei, czyli Szeby, bogatego w korzenie kraju Arabii, nie wolno było opuszczać pałaców; jeśli to uczynili, tłum uśmiercał ich przez kamienowanie. Ale na dachu pałacu było okno, do którego przymocowany był łańcuch. Gdy jakiś człowiek uważał, że stała mu się krzywda, pociągał za łańcuch, król zwracał wówczas na niego uwagę, wzywał do środka i wymierzał sprawiedliwość.

Ale można również człowiekowi zaszkodzić magicznymi sposobami wykorzystując resztki jedzenia, które spożywał, lub naczynia, z których jadł. Zgodnie z zasadami magii sympatycznej utrzymuje się faktyczny związek między jedzeniem znajdującym się w żołądku człowieka a tym, które pozostawił nie tknięte, tak więc szkodząc resztkom można zaszkodzić równocześnie jedzącemu. Każdy dorosły z plemienia Narrinyeri w Południowej Australii ustawicznie szuka kości ssaków, ptaków lub ości rybich, z których ktoś ogryzł mięso, aby za ich pomocą móc rzucać śmiercionośne czary. W tej sytuacji każdy starannie pali kości spożytych przez siebie zwierząt, aby nie wpadły w ręce czarownika. Aż nazbyt często jednak czarownikowi udaje się zdobyć taką kość, a wtedy wierzy, że posiadał władzę życia i śmierci nad mężczyzną, kobietą czy dzieckiem, którzy jedli mięso tego zwierzęcia.

Przesądny strach przed urokami, jakie można rzucić na człowieka za pomocą resztek jedzenia, które po sobie pozostawiał, miał dobroczynny skutek, ponieważ zmusił wielu dzikich do niszczenia odpadków, które gnijąc mogły stanowić realne, a nie wyimaginowane źródło chorób i śmierci. Nie tylko zresztą sanitarne warunki plemienia zyskały na tym przesądzie. Rzecz ciekawa, że ten sam nie uzasadniony niczym strach, to samo fałszywe wyobrażenie o przyczynowości wzmocniło pośredniej moralne więzy gościnności, honoru i uczciwości u ludzi dających mu wiarę. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że człowiek, który ma zamiar zaszkodzić swemu bliźniemu rzucając na niego czary poprzez resztki jedzenia, nie tknie tego jedzenia, ponieważ według zasad magii sympatycznej szkoda, jaka będzie wyrządzona za pomocą tych resztek, również i jego dotknie. Stąd bierze się w społeczeństwie pierwotnym uświęcenie więzi powstałych przez wspólne jedzenie. Spożywając wspólnie posiłek ludzie dowodzą tym swych uczciwych zamiarów, jeden zaręcza drugiemu, że nie knuje przeciw niemu nic złego, bo przecież skoro jest z nim zjednoczony wspólną strawą w żołądku, każda szkoda, jaką wyrządzi drugiemu, spadnie z równą siłą na niego. Ścisła logika dyktuje jednak, że więź sympatyczna trwa tylko dotąd, dopóki wspólnie zjadane pożywienie jest w żołądkach obu stron. Toteż przymierze

zawarte przez wspólne jedzenie jest mniej trwałe i uroczyste aniżeli przymierze polegające na wzajemnej transfuzji krwi, która związuje niejako na całe życie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

OSOBY TABU

Jak widzieliśmy, jedzenie spożywane przez mikada było gotowane codziennie w nowych garnkach i podawane na nowych talerzach; zarówno garnki, jak i talerze były ze zwykłej gliny, by można je tłuc lub odstawić po jednorazowym użyciu. Zazwyczaj tłuczono je, ponieważ istniało przekonanie, że każdemu, kto będzie spożywał jedzenie z tych świętych naczyń, spuchną usta i gardło i dostanie gorączki. Te same fatalne konsekwencje czekały każdego, kto ubierze się w szaty mikada bez jego zezwolenia; spuchnie on wówczas i będzie odczuwał bóle we wszystkich członkach. Na Fidżi istnieje specjalna nazwa (*kana lama*) nadawana chorobie wywołanej rzekomo jedzeniem z talerzy wodza względnie noszeniem jego szat. "Puchnie gardło i całe ciało i bezbożna osoba umiera. Miałem piękną matę, którą otrzymałem od człowieka nie śmiejącego używać jej, ponieważ siedział na niej najstarszy syn Tha-kombau. Istniała jednak zawsze rodzina lub klan z pospólstwa, którym te niebezpieczeństwa nie groziły. Mówiłem o tym pewnego razu z Tha-kombau. «Ach tak - powiedział mi. - Taki-to-a-taki! Chodź no tutaj i podrap mi plecy.» Człowiek wykonał polecenie, był jednym z tych, którzy mogli bezkarnie to uczynić." Ci tak bardzo uprzywilejowani ludzie nazywali się *Na nduka ni*, czyli "błoto wodza".

Złe skutki używania naczyń czy strojów mikada i wodza z Fidżi ukazują nam drugą stronę natury człowieka-boga, na którą już uprzednio zwróciliśmy uwagę. Boska osoba jest nie tylko źródłem dobrodziejstw, ale i niebezpieczeństwa, musi być nie tylko strzeżona, ale i przed nią strzec się należy. Jej święty organizm, tak delikatny, że zwykle dotknięcie może go uszkodzić, jest również naładowany jak elektrycznością potężną siłą magiczną czy też duchową, która może wyładować się ze strasliwym skutkiem na każdym, kto się z nią zetknie. Toteż izolacja człowieka-boga jest równie konieczna dla bezpieczeństwa innych jak i jego własnego. Jego właściwości magiczne są przenośne w najściślejszym tego słowa znaczeniu: jego boskość jest ogniem błogosławionym, jak długo jest odpowiednio opanowany, ale gdy go nieostrożnie dotknąć lub pozwolić mu wyrwać się z więzów, pali i niszczy wszystko, z czym się zetknie. Stąd też biorą się katastrofalne konsekwencje czekające tych wszystkich, którzy naruszają tabu. Winowajca włożył rękę do boskiego ognia, który wybucha płomieniem i pożera go na miejscu.

Nubijczycy, zamieszkujący lesiste i żyzne łańcuchy górskie Dar Nuba we Wschodniej Afryce, wierzą, że czeka ich śmierć, gdy przekroczą próg domu swego króla-kapłana. Mogą jednak uniknąć kary, jeśli po wejściu do środka obnażą lewe ramię i skłonią króla, by położył na nim swą rękę. A każdy, kto siądzie na kamieniu, który król poświęcił dla swego własnego użytku, umrze w ciągu roku.

W Tonga istniało wierzenie, że każdy człowiek, który posłuży się własną ręką przy jedzeniu po dotknięciu świętej osoby najwyższego rangą wodza bądź też czegokolwiek, co do niego należy, spuchnie i umrze. Świętość wodza jak jadowita trucizna zakazała rękę człowieka niższego stanu i

poprzez strawę powodowała katastrofalne skutki dla jedzącego. Człowiek zwykłego stanu, który naraził się na tego rodzaju niebezpieczeństwo, mógł oczyścić się przez dokonanie pewnej ceremonii polegającej na dotknięciu dłońmi i wierzchem dłoni podbicia stopy wodza i następnie umyciu rąk wodą. Gdy w pobliżu nie było wody, nacierał ręce soczystą łodygą banana. Mógł już potem posługiwać się rękami przy jedzeniu i nie groziła mu choroba, występująca na skutek jedzenia rękoma uświęconymi i znajdującymi się pod tabu. Ale do chwili przeprowadzenia ceremonii oczyszczenia względnie ekspiacji, jeśli chciał jeść, musiał prosić drugiego człowieka, by go nakarmił, lub uklęknąć na ziemi i ustami zbierać z niej strawę jak zwierzę. Nie wolno mu było nawet samemu posługiwać się wykałaczką, mógł natomiast kierować ręką innej osoby trzymającej wykałaczkę. Tongowie cierpiący na marskość wątroby i pewien rodzaj skrofulów przypisywali swe choroby temu, że nie dokonali należytej ekspiacji dotknąwszy się nieopatrzenie wodza lub jego dobytku. Dlatego też często przeprowadzali te ceremonie w celach profilaktycznych, nie wiedząc nawet, czy zrobili coś, co by tego wymagało. Królowi Tonga nie wolno było wzbraniać się przed odegraniem swej roli w tej ceremonii i musiał podawać swą stopę do dotknięcia, nawet gdy żądano tego w niedogodnej dla niego porze. Pewien gruby i niezgrabny król, gdy widział podczas spaceru zbliżających się z tą intencją poddanych, uciekał co sił w tłustych nogach, by uniknąć tych natrętnych i niezupełnie bezinteresownych hołdów. Gdy ktoś uroił sobie, że nieświadomie jadł obłożonymi tabu rękami, zasiadał przed wodzem i przykładał sobie do brzucha stopę wodza, by jedzenie mu nie zaszkodziło i aby nie spuchł i nie umarł. Ponieważ Hongowie uważali skrofuły za skutek jedzenia rękami obłożonymi tabu, możemy domyślić się, że chorzy często uciekali się do dotknięcia stopy króla jako do lekarstwa. Niewątpliwie mamy tu analogię ze starym angielskim obyczajem przyprowadzania ludzi cierpiących na skrofuły do króla, by uleczył ich przez dotknięcie ręką.

Na Nowej Zelandii strach przed świętością wodzów był nie mniejszy aniżeli na Tonga. Ich upiorna moc pochodząca z ducha przodków rozprzestrzeniała się przez dotknięcie i mogła zabić każdego, kto nieopatrzenie lub nieświadomie stanął jej na drodze. Zdarzyło się na przykład pewnego razu, że nowozelandzki wódz wysokiej rangi i o wielkiej świętości pozostawił resztki swego obiadu na drodze. Niewolnik, tęgi wygłodniały chłop, nadszedł po odejściu wodza i zjadł nie pytając o nic nikogo. Ledwie skończył, przerażony świadek powiedział mu, że było to jedzenie wodza. "Znałem dobrze nieszczęsnego delikwenta. Odznaczał się odwagą i wybił się w walkach swego plemienia", ale "gdy tylko usłyszał strasliwą wieść, chwyciły go najdziwniejsze konwulsje i kurcze, które już nie ustały do chwili zgonu, o zachodzie słońca tegoż dnia. Był to silny mężczyzna w młodym wieku i jeśliby jakiś wolnomyślny *pdkeha* (Europejczyk) powiedział, że nie został zabity przez *tapu* wodza, które przez zetknięcie przeszło na strawę, wysłuchano by go z pogardą dla jego ignorancji i niemożności zrozumienia dowodu tak jasnego i oczywistego."

Identyczne przepisy stosują niekiedy dzicy wobec dziewcząt po pierwszej menstruacji, kobiet w połogu, zabójców, żałobników i wszystkich ludzi, którzy zetknęli się z umarłymi. Dla przykładu weźmy tę ostatnią kategorię. U Maorysów każdy człowiek, który miał do czynienia ze zwłokami, pomagał zanosić

je do grobu lub dotknął kości zmarłego człowieka, zostawał pozbawiony niemal wszelkiego kontaktu z ludźmi i odcięty od społeczności. Wchodząc do jakiegokolwiek domu, stykając się z kimkolwiek lub czymkolwiek, zawsze rzucał uroki. Nie miał nawet prawa dotykać pożywienia własnymi rękami, gdyż tabu, pod którym się znajdował, było tak straszliwe, a sam był do tego stopnia skażony, że ręce były bezużyteczne. Jedzenie stawiano przed nim na ziemi, a on kucając lub klęcząc z rękami ukrytymi za plecami starał się zjeść wyłożoną dla niego strawę. Niekiedy karmiła go druga osoba wyciągając ręce przed siebie tak, żeby nie dotknąć człowieka obłożonego tabu, ale i osoba karmiąca podlegała restrykcjom nie mniej kłopotliwym. W każdej niemal ludnej wiosce przebywała tego rodzaju nędzna osoba, najnędzniejsza z nędznych, zarabiająca na swe mizerne utrzymanie podobnymi usługami. Przybrany w łachmany, od stóp do głowy pomalowany ochrą, śmierdzący tranem z rekina, zawsze samotny i milczący, zazwyczaj stary, wychudzony i pomarszczony, często na wpół obłąkany, siadywał człowiek taki zazwyczaj z daleka od głównej drogi wiejskiej przypatrując się martwymi oczami ruchliwemu życiu wioski, w którym nie wolno mu było brać żadnego udziału. Dwa razy dziennie rzucano mu na ziemię porcję strawy, którą pochłaniał, jak tylko umiał, bez posługiwania się rękami. A nocą owijając się w swe wybrudzone łachy wpełzał w jakieś legowisko z liści i śmieci, gdzie zziębnięty, brudny i głodny drzemał nawiedzany przez widma do następnego nędznego dnia. Tak oto wyglądała jedyna istota ludzka, jakiej wolno było na odległość wyciągniętego ramienia zetknąć się z człowiekiem, który oddał ostatnie usługi przyjaźni i szacunku zmarłemu. Po zakończeniu okresu odosobnienia, gdy żałobnik wracał między ludzi, wszystkie naczynia, których używał w czasie pokuty, tłuczono na drobne kawałki, ubranie wyrzucano, by nie szerzyło zarazy, podobnie jak czyniono to z tych samych powodów z naczyniami i szatami królów i wodzów. Oto jak ściśła pod tym względem jest analogia, której doszukuje się człowiek dziki między duchowymi wpływami emanującymi z boskości i ze zmarłych, między zapachem świętości a smrodem rozkładu.

Ogólnie możemy stwierdzić, że zakaz używania naczyń, szat itp. pewnych osób i skutki, jakie rzekomo pociąga za sobą złamanie tych przepisów, są identyczne bez względu na to, czy osoby, do których owe rzeczy należą, są święte, czy też, jakby można to określić, nieczyste i skażone. Podobnie jak szaty dotknięte przez świętego wodza zabijają tych, którzy się ich dotykają, tak też zabójcze są rzeczy dotknięte przez kobietę przechodzącą menstruację. Czarny Australijczyk, który odkrył, że jego żona położyła się na jego kocu w okresie menstruacji, zabił ją i po dwóch tygodniach sam umarł ze strachu. W takich okresach kobietom australijskim nie wolno pod groźbą śmierci dotykać czegokolwiek, co używają mężczyźni, a nawet nie wolno im chodzić po ścieżce, po której oni chodzą. Przebywają również w odosobnieniu, gdy są w połogu, i spala się wszystkie naczynia, których wówczas używają.

U Indian Dene i u większości plemion amerykańskich żadna inna istota nie jest przedmiotem takiego strachu jak kobieta podczas menstruacji. Gdy tylko pokazują się oznaki tego stanu u młodej dziewczyny, jest ona natychmiast usuwana z wszelkiego męskiego towarzystwa i musi mieszkać samotnie w małej chacie z daleka od wioski i od spojrzenia mężczyzn. W tym strasznym stanie nie

wolno jej dotykać się niczego, co należy do mężczyzny, ani upolowanej zwierzyny czy dziczyzny, gdyż jej dotknięcie mogłoby je skazić narażając myśliwego na niepowodzenie na skutek gniewu zwierzyny tak zlekceważonej. Żywi się ona w tym czasie suszonymi rybami i zimną wodą, którą pije przez rurkę. Sam jej widok był niebezpieczny dla społeczeństwa, wobec czego musiała nosić specjalny czepek skórzany, którego frędzle zakrywały jej twarz i spadały na piersi, zasłaniając ją przed spojrzeniami ludzi nawet jeszcze przez pewien czas po jej powrocie do normalnego stanu.

Wiele ludów stosuje podobne zakazy wobec kobiet w połogu, jak można się domyślić, z podobnych względów. W tym czasie kobiety są w niebezpiecznym stanie i mogą zakazać każdą osobę lub rzecz, której się dotkną. Przebywają wobec tego w kwarantannie do chwili odzyskania zdrowia i sił, gdy rzekome niebezpieczeństwo już minęło. Na Tahiti kobieta po urodzeniu dziecka była separowana na dwa lub trzy tygodnie, przebywając w szałasie wzniesionym na poświęconej ziemi. W okresie odosobnienia nie wolno jej było dotykać strawy i musiała być karmiona przez inną osobę. Co więcej, każdy, kto w tym czasie dotknął dziecka, podlegał tym samym ograniczeniom co matka do chwili przejścia przez obrządek oczyszczenia. Podobnie dzieje się na wyspie Kodiak w pobliżu Alaski, gdzie kobieta, która ma rodzić, udaje się do nędznej niskiej chatki splecionej z trzciny, w której musi pozostać przez dwadzieścia dni po urodzeniu dziecka, niezależnie od pory roku. Uchodzi ona za istotę tak nieczystą, że nikt nie śmie jej dotknąć, a jedzenie podaje się jej na kijach. Indianie Bribri uważają zanieczyszczenie w połogu za znacznie bardziej niebezpieczne aniżeli podczas menstruacji. Gdy kobieta czuje, że zbliża się czas porodu, zawiadamia męża, który pośpiesznie buduje szałas na pustkowiu. Musi ona tu przebywać samotnie nie utrzymując stosunków z nikim poza własną matką lub jakąś inną kobietą. Po przyjściu na świat dziecka znachor oczyszcza ją dmuchając i kładąc na nią jakieś zwierzę, bez różnicy jakie. Ale i ta ceremonia zmniejsza jedynie jej nieczystość do tego stopnia, w jakim nieczysta jest menstruująca kobieta. Przez pełny miesiąc księżycowy musi ona mieszkać z dala od domowników przestrzegając tych samych przepisów dotyczących się jedzenia i picia co w okresie periodu. Znacznie cięższy jest przypadek, a zanieczyszczenie większe, gdy następuje poronienie lub na świat przychodzi dziecko martwe. W takim wypadku nie wolno jej przebywać w pobliżu żadnej istoty żyjącej, a zetknięcie się z rzeczami, których używała, jest straszliwie niebezpieczne. Jedzenie podaje się jej na końcu długiego kija. Stan ten trwa trzy tygodnie. Po upływie tego czasu może wrócić do domu podlegając zakazom obowiązującym przy normalnym połogu.

Również i wojownicy w oczach człowieka dzikiego przebywają, że się tak wyrazimy, w atmosferze duchowego niebezpieczeństwa, zmuszającej ich do stosowania najrozmaitszych przesądnych przepisów zupełnie odmiennych w swej istocie od tych środków ostrożności, które w sposób oczywisty stosują wobec nieprzyjaciół z krwi i kości. Dzięki tym przepisom wojownik ma znaleźć się, zarówno przed zwycięstwem, jak i po nim, w stanie odosobnienia i kwarantanny duchowej, w którym dla swego bezpieczeństwa człowiek pierwotny umieszcza swych ludzkich bogów i inne niebezpieczne postacie. Maorysi wkraczający na ścieżkę wojenną byli poświęceni względnie tabu w najwyższym stopniu.

Obowiązywały ich wówczas, a także ich przyjaciół, którzy pozostawali w domu, surowe i dziwaczne przepisy niezależnie od niezliczonych tabu życia codziennego. Europejczycy, którzy znali ich jeszcze w dawnych, wojowniczych czasach, mówili lekceważąco, że "mieli na sobie tabu na całą grubość", dowódca zaś wyprawy był zupełnie niedostępny. Izraelitów wyruszających na wojnę obowiązywały podobne przepisy ceremonialnej czystości przypominające przepisy przestrzegane przez Maorysów i czarnych Australijczyków będących na ścieżce wojennej. Naczynia, których używali, były święte; obowiązywała ich wstrzeźliwość seksualna i czystość, których źródłem była, jeśli możemy sądzić po motywach podawanych przez dzikich podporządkowujących się tym samym zwyczajom, obawa, by nieprzyjaciel nie wszedł w posiadanie pozostawionych przez nich odpadków, co umożliwiłoby mu zniszczenie ich czarami. W niektórych plemionach indiańskich w Północnej Ameryce młody wojownik wyruszający na pierwszą wyprawę musiał przestrzegać pewnych obyczajów, dwa z nich były identyczne z tymi, których przestrzegali dziewczęta w czasie pierwszej menstruacji. Nikomu nie wolno było dotknąć naczyń, którymi posługiwali się przy jedzeniu i piciu, i nie wolno im było palcami drapać się po głowie lub po jakiegokolwiek innej części ciała. Jeśli musiał się podrapać, czynił to za pomocą patyka. Ten ostatni zwyczaj, podobnie jak ów zakazujący osobie podlegającej tabu posługiwania się przy jedzeniu własnymi palcami, pochodzi, jak się zdaje, z rzekomej świętości względnie skażenia, obojętne, jak to nazwiemy, rąk osoby podlegającej tabu. W tychże plemionach indiańskich mężczyźni znajdujący się na ścieżce wojennej musieli w nocy spać zawsze zwrócenii twarzą do swego kraju. Bez względu na to, jak niewygodna była ta pozycja, nie wolno jej było zmieniać. Nie wolno im było siadać na nagiej ziemi, moczyć nóg ani w miarę możliwości chodzić po ubitej ścieżce. Gdy nie było innego wyboru, przeciwdziałali złym skutkom nacierając nogi pewnymi lekarstwami i talizmanami, które w tym celu nosili przy sobie. Żadnemu członkowi wyprawy nie wolno było przechodzić przez nogi, ręce lub ciało innego wojownika, który siedział lub leżał na ziemi. Podobnie nie wolno było przechodzić przez koc, strzelbę, tomahawk czy jakąkolwiek rzecz, która do niego należała. Gdy przepis ten nieopatrznie został złamany, człowiek, przez którego osobę lub własność ktoś przeszedł, miał obowiązek powalić winnego, ten zaś musiał przystać na to spokojnie i bez stawiania oporu. Naczynia, z których wojownicy jedli i pili, były zazwyczaj małymi miskami z drzewa lub kory brzozy oznaczonymi po obu stronach. Po wymarszu z domu Indianie pili zawsze jedną stroną, wracając zaś pili drugą stroną. Gdy w drodze powrotnej byli o dzień marszu od domu, zawieszali swe miski na drzewach lub wyrzucali je w prerii, niewątpliwie po to, by ich świętość względnie zanieczyszczenie nie udzieliło się z katastrofalnymi skutkami przyjaciołom. O Indianach plemienia Krik (Creek) i spokrewnionych dowiadujemy się, że "nie mieszkają w jednym pomieszczeniu z kobietami, gdy są na ścieżce wojennej; skrupulatnie powstrzymują się od wszelkich stosunków, nawet z własnymi żonami, przez trzy dni i noce przed wyruszeniem na wojnę i tyleż po powrocie, ponieważ wyświęcają się". W plemionach Ba-Pedi i Batonga w Afryce Południowej nie tylko wojownicy powstrzymują się od stosunków z kobietami, ale i ludzie pozostający w wiosce zobowiązani

są do zachowania wstrzemięźliwości. Gdyby tego nie uczynili, na ścieżkach, po których kroczą wojownicy, wyrosłyby ciernie i wyprawa zakończyłaby się niepowodzeniem.

Nie umiemy z całą pewnością odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wiele dzikich ludów przyjęło zasadę powstrzymywania się od kontaktu z kobietami w czasie wojny, ale możemy domyślać się, że kierowali się przesądnym strachem, obawiając się, by, zgodnie z prawidłami magii sympatycznej, bliska styczność z kobietami nie zaraziła ich kobiecą słabością i tchórzostwem. Niektórzy dzicy uważają również, że zetknięcie się z kobietą w połogu osłabia wojowników i czyni ich oręż mniej skutecznym. Kajanowie z Środkowego Borneo posuwają się w tej sprawie tak daleko, że utrzymują, iż dotknięcie krosna lub szaty kobiecej do tego stopnia osłabia wojownika, że później nie ma on powodzenia na polowaniu, przy łowieniu ryb i na wojnie. Tak więc widzimy, że dziki wzbrania się niekiedy nie tylko przed stosunkiem seksualnym, lecz w ogóle starannie omija płęć przeciwną. Na przykład mężczyznom górskich plemion Assamu nie tylko nie wolno mieszkać ze swymi żonami zarówno podczas, jak i po wyprawie, ale w tym czasie nie wolno im także jeść stawy przygotowanej przez kobiety, co więcej, nie wolno im nawet słowem zwrócić się do własnej żony. Kobieta, której nieopatrznie zdarzyło się złamać ten przepis, gdy przemówiła do męża będącego pod tabu wojennym, zachorowała i umarła, gdy dowiedziała się, że popełniła tak straszliwą zbrodnię.

Gdyby czytelnik wciąż jeszcze miał wątpliwości co do tego, czy zasady postępowania, które przed chwilą omawialiśmy, wynikają z przesądnego strachu i czy nie są one dyktowane rozsądną przezornością, wątpliwości te zapewne zostaną rozproszone, gdy dowie się, że tego samego rodzaju przepisy bywają często jeszcze bardziej surowo narzucane wojownikom po zwycięstwie, gdy ustały wszelkie obawy przed żyjącym cielesnym wrogiem. W takich wypadkach motywem niewygodnych zakazów nakładanych na zwycięzcę w godzinie jego triumfu jest strach przed duchami zabitych. A do tego, że strach przed mściwymi duchami wpływa na ich zachowanie, zabójcy często wyraźnie się przyznają. Tabu nakładane na wodzów-pomazańców, żałobników, kobiety w połogu, mężczyzn na ścieżce wojennej powoduje odseparowanie czy też odizolowanie od zwykłego społeczeństwa osoby będącej pod tabu, a skutek ten bywa osiągnięty dzięki rozmaitym przepisom, które zmuszają kobiety lub mężczyzn do zamieszkania w oddzielnych chatach lub pod gołym niebem, do wystrzegania się stosunków płciowych, używania naczyń, którymi posługiwali się inni, i tak dalej. Ten sam skutek osiąga się podobnymi sposobami w przypadku zwycięskich wojowników, a szczególnie tych, którzy przelali krew nieprzyjaciół. Na wyspie Timor, gdy wojenna wyprawa powraca triumfalnie z głowami pokonanych nieprzyjaciół, religia i obyczaj zakazują wodzowi wyprawy natychmiast udawać się do swego domu. Przygotowuje się dla niego specjalną chatę, w której musi mieszkać przez dwa miesiące oczyszczając się cieleśnie i duchowo. Przez cały ten czas nie wolno mu bywać u swej żony ani żywić się samemu. Strawę wkłada mu do ust inny człowiek. Wydaje się rzeczą pewną, że zwyczaj ten podyktował strach przed duchami zabitych, albowiem z innej relacji o obrzędach odbywających się z powodu zwycięskiego powrotu łowcy głów na tej wyspie dowiadujemy się, że przy tej okazji składa się ofiary, mające

przebłagać ducha człowieka, któremu ścięto głowę. Ludność przekonana jest, że zwycięzcę spotkałoby jakieś nieszczęście, gdyby ofiar tych nie złożono. A co więcej, część obrządku polega na tańcu przy akompaniamencie śpiewu, w którym oplakuje się śmierć zabitego i prosi się go o przebaczenie. "Nie gniewaj się - śpiewają - że głowa ta jest teraz u nas; gdyby się nam nie powiodło, nasze głowy wystawiono by w twojej wiosce. Złożyliśmy ofiary, by cię przebłagać. Niechże twój duch teraz odpocznie i zostawi nas w spokoju. Dlaczego byleś naszym nieprzyjacielem? Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy nadal byli przyjaciółmi? Nie przelano by wówczas twej krwi i nie ścięto by ci głowy." Mieszkańcy Palau na Środkowym Celebesie ścinają głowy swoim nieprzyjaciółom na wojnie, następnie zaś w świątyni starają się przebłagać duchy zabitych.

Wśród plemion zamieszkujących ujście rzeki Wanigela w Nowej Gwinei "człowiek, który komuś odebrał życie, uchodzi za nieczystego dopóty, dopóki nie dokona pewnych obrządków. Przy pierwszej nadarzającej się sposobności oczyszcza siebie i swą broń. Gdy dokona tego w sposób należyty, udaje się do swej wioski i siada na belkach rusztowania, na którym składa się ofiary. Nikt się do zabójcy nie zbliża i nie zwraca na niego uwagi. Przygotowuje się dla niego dom, w którym dwóch lub trzech małych chłopców będzie mu usługiwało. Może jeść jedynie pieczone banany, i to tylko ich środkową część, oba końce należy wyrzucać. W trzecim dniu jego odosobnienia przyjaciele przygotowują małą biesiadę, a także kilka opasek kroczych. Nazywa się to *ivi poro*. Następnego dnia wkłada swe najlepsze ozdoby i odznaki za zabójstwo, po czym w pełnym rynsztunku paraduje po wsi. W dzień później urządza się polowanie, na którym zostaje wybrany spośród złowionej zwierzyny kangur. Zwierzę rozpruwa się, a żółcią i wątroba naciera plecy człowieka. Krocząc uroczyście udaje się on następnie do najbliższej wody i stając w niej na rozkraczonych nogach myje się. Wszyscy młodzi nie wypróbowani wojownicy przepływają między jego nogami. Zabieg ten ma dać im siłę i odwagę. Następnego dnia o wczesnym świcie zabójca wybiega z swego domu w pełnej zbroi i głośno wywołuje imię swej ofiary. Upewniwszy się, że skutecznie wystraszył ducha człowieka zabitego, powraca do swego domu. Ducha można również wystraszyć stukając klepkami drewnianymi i paląc ogniska. W dzień później oczyszczenie zostaje zakończone. Może wtedy przestąpić progi domu swej żony."

W Windessi, na Nowej Gwinei Holenderskiej, powracający zwycięscy łowcy głów, gdy zbliżają się do swych domów, obwieszczają swe przybycie dmąc w muszle trytonów. Czółna ich ozdobione są gałęziami. Twarze mężczyzn, którzy ścięli głowę, wysmarowane są węglem drzewnym. Gdy w zabijaniu jednej ofiary brało udział kilku, głowę dzieli się pomiędzy uczestników. Urządzają się zawsze w taki sposób, by do domów przybyć wczesnym rankiem. Zbliżając się w swych łodziach do wioski robią wielki hałas, a kobiety czekają na werandach domów, gotowe do tańca. Czółna przepływają obok *room sram*, czyli domu, w którym mieszkają młodzi mężczyźni, a mijając go zabójcy rzucają tyle zaostzonych patyków lub bambusowych kijów o ścianę względnie na dach, ilu zabili nieprzyjaciół. Dzień spędzają bardzo spokojnie. Chwilami tylko biją w bębny lub dmą w konchy, czasami walą w ściany domów pokrzykując głośno, by przepędzić duchy zamordowanych.

Jak więc widzimy, wojownicy, którzy odebrali nieprzyjacielowi życie w bitwie, są na pewien czas pozbawieni prawa swobodnego obcowania z przyjaciółmi, a przede wszystkim swoimi żonami, i muszą dokonać pewnych obrządków oczyszczenia, zanim wolno im będzie wrócić do społeczności. Jeśli wobec tego celem odseparowania i obrządków ekspiacyjnych jest jedynie, jak skłonni jesteśmy sądzić, przepędzenie, odstraszenie względnie przebłaganie zagniewanego ducha człowieka zamordowanego, wówczas możemy wysunąć przypuszczenie, że podobne procesy oczyszczania się zarówno morderców, jak i zabójców, którzy zbrukali ręce krwią swych współplemieńców, miały początkowo to samo znaczenie i że idea moralnej czy duchowej regeneracji, której symbolem miało być mycie się, posty i tak dalej, była jedynie późniejszą interpretacją starego obyczaju, wymyśloną przez ludzi wyrosłych z prymitywnego sposobu myślenia, tego właśnie, w którym obyczaj się narodził. Domysł nasz potwierdziłby się, gdybyśmy mogli dowieść, że dzicy faktycznie nakładali pewne ograniczenia na zabójcę współplemieńca z konkretnej obawy, że prześladowuje go duch jego ofiary. Dowody takie mamy w wypadku Omahów z Ameryki Północnej. W tym plemieniu krewni zamordowanego mieli prawo zabić mordercę, ale niekiedy rezygnowali z tego prawa przyjmując w zamian za to ustępstwo podarunki. W takich wypadkach, gdy życie mordercy zostało oszczędzone, musiał on podporządkować się na pewien czas ścisłym przepisom, a okres ten wahał się od dwóch do czterech lat. W tym czasie musiał chodzić boso, nie wolno mu było spożywać ciepłej strawy, podnosić głosu ani rozglądać się wokół siebie. Musiał zawiązać się szczelnie w swą opończę, zawiązaną u szyi nawet w upały. Nie wolno mu jej było rozpuścić swobodnie czy rozchylić. Nie wolno mu było swobodnie poruszać rękami, lecz musiał je trzymać zawsze przy sobie. Nie wolno mu było czesać włosów i musiał uważać, by nie rozwiały ich wiatr. Gdy plemię wyruszało na polowanie, musiał rozbijać swój namiot o ćwierć mili od reszty ludzi, "bo duch ofiary może wzbudzić potężną wicherę, która wyrządzi szkodę". W namiocie mógł pozostawać z nim tylko jeden z członków jego rodziny. Nikt nie chciał z nim jadać, mówiono bowiem: "Jeśli będziemy jedli z tym, którego nienawidzi Wakanda, wówczas Wakanda nas znienawidzi." Czasami krążył po nocy płacząc i żałując swego przewinienia. Pod koniec długiej izolacji płacz jego docierał do uszu krewnych zamordowanego, którzy wówczas mówili: "Dosyć. Wracaj do ludzi. Nałóż mokasyny i ubierz się w dobre szaty." Przyczyna trzymania mordercy w znacznej odległości od myśliwych, podawana w tym przypadku, tłumaczy inne obowiązujące go ograniczenia: ścigał go duch i dlatego był niebezpieczny. Starożytni Grecy wierzyli, że dusza człowieka zamordowanego gniewa się na mordercę i prześladowuje go. Zabójca - nawet mimowolny - musiał opuścić kraj na przeciąg roku, aż gniew zabitego się uśmierzył, mógł jednak powrócić jedynie w tym wypadku, gdy odprawił wszystkie ceremonie oczyszczające i złożył odpowiednie ofiary. Jeśli tak się trafiło, że ofiarą był cudzoziemiec, morderca musiał stronić nie tylko od swego kraju, ale i od ojczyzny zamordowanego. Wiernym obrazem autentycznego strachu Greków przed człowiekiem, którego ścigał gniewny duch, jest legenda o matkobójcy Orestesie, z którym nikt nie chciał zasiąść do stołu i którego nikt nie chciał wpuścić do domu, gdy wędrował z miejsca na miejsce, ścigany przez furie jego zmarłej matki, dopóki nie został oczyszczony.

W społeczeństwie pierwotnym myśliwy i rybak muszą często przestrzegać tych samych przepisów wstrzeźliwości i przechodzić przez te same obrządki oczyszczenia, które obowiązują wojownika i zabójcę, i chociaż nie we wszystkich wypadkach jesteśmy w stanie zrozumieć, jakim celom te przepisy i obrządki mają służyć, możemy wysunąć z pewnym prawdopodobieństwem hipotezę, że podobnie jak strach przed duchami nieprzyjaciół, których pozbawił względnie zamierza pozbawić życia, jest głównym motywem odosobnienia i oczyszczenia wojownika, tak samo rybak czy myśliwy, podporządkowując się podobnym zwyczajom, kieruje się przede wszystkim strachem przed duchami ssaków, ptaków czy ryb, które zabił względnie zamierza zabić. Powszechnym bowiem jest wśród ludzi dzikich przekonanie, że zwierzęta posiadają duszę i umysły takie jak i on, wobec czego traktuje je oczywiście z odpowiednim szacunkiem. I tak samo jak stara się uspokoić duchy ludzi, których zamordował, tak też stara się przebłagać dusze upolowanych przez siebie zwierząt.

Odnosząc się z mniejszym lub większym szacunkiem do dusz wszystkich zwierząt człowiek pierwotny szczególnie wyróżnia dusze zwierząt, które bądź to są dla niego wyjątkowo pożyteczne, bądź też wyróżniają się swymi rozmiarami, siłą lub okrucieństwem. Toteż polowanie na te cenne lub niebezpieczne zwierzęta i ich zabijanie związane jest z bardziej wymyślnymi przepisami i ceremoniami aniżeli rzeź stosunkowo niepożytecznych czy też mniej ważnych stworzeń. Indianie z cieśniny Nutka przygotowując się do połowów wielorybów przestrzegali przez tydzień postu. Jedli w tym czasie bardzo mało, kilka razy dziennie kąpali się, śpiewali, nacierali swe ciało, członki i twarze muszlami i gałęziami, aż skóra ich wyglądała jak rozdrapana przez ciernie. Nie wolno im było w tym czasie stykać się z kobietami, a od przestrzegania tego ostatniego przepisu zależało powodzenie wyprawy. Znany jest wypadek, gdy wódz przypisywał niepowodzenie łowów na wieloryba temu, że uczestnicy złamali nakaz wstrzeźliwości. Należy zaznaczyć, że zupełnie identyczne zasady postępowania jak w okresie przygotowań do połowu wielorybów obowiązują wojowników tego plemienia, gdy mają wstąpić na ścieżkę wojenną. Takich samych przepisów przestrzegają, względnie przestrzegali, wielorybnicy z plemienia Malgaszów. Przez osiem dni przed wyruszeniem na łowy załoga statku pościła wstrzymując się od stosunków z kobietami i picia alkoholu i spowiadając się sobie wzajemnie z najtajniejszych przewinień.

Człowiekowi, który miał na sumieniu ciężki grzech, nie wolno było brać udziału w wyprawie. Na wyspie Mabuiag wstrzeźliwość płciowa obowiązywała mężczyźni zarówno przed polowaniem na diugonia, jak i w okresie parzenia się żółwi. Okres godowy żółwi trwa przez koniec października i początek listopada. Panowało przekonanie, że jeśli w tym czasie para nie poślubiona będzie utrzymywała stosunki płciowe, wówczas unoszące się na wodzie żółwie rozejdą się przy zbliżeniu się czółna i samiec i samiczka dadzą nurka w przeciwnych kierunkach. Podobnie w Mowat na Nowej Gwinei mężczyźni nie utrzymują stosunków z kobietami w okresie parzenia się żółwi, chociaż przez resztę roku obyczaję panują tu dosyć rozwiązłe.

Na wyspie Nias myśliwi kopią niekiedy doły, przykrywają je lekko gałązkami, trawą i liśćmi i zapędzają do nich zwierzynę. Podczas kopania dołów obowiązuje ich cały szereg tabu. Nie wolno im pluć, gdyż zwierzyna może z obrzydzenia zawrócić przed dołem. Nie wolno im śmiać się, gdyż ściany dołu się zawałą. Nie wolno im spożywać soli, przygotowywać pokarmu dla świń i drapać się, gdy są w dole, gdyż w takim wypadku ziemia rozluźni się i zasypie dół. A w noc po wykopaniu dołu nie wolno im mieć stosunku z kobietą, gdyż w takim wypadku cała ich robota będzie daremna.

Ten obyczaj przestrzegania ścisłej wstrzemięźliwości płciowej jako warunku powodzenia łowów jest bardzo rozpowszechniony wśród ludów pierwotnych, a przytoczone przeze mnie przykłady zdają się wskazywać, że źródłem ich jest raczej przesąd, a nie wzgląd na chwilowe osłabienie, które może być wynikiem złamania tych przepisów przez myśliwego lub rybaka. Wygląda na to, że fatalne skutki braku wstrzemięźliwości przypisuje się nie tyle osłabieniu, jakie z tego wynika, ile obrazie, jaką to z takich czy innych powodów stanowi dla zwierzęcia, które wobec tego nie da się schwytać. Indianie Karrier z Brytyjskiej Kolumbii separowali się od swych żon na cały miesiąc przed zakładaniem pułapek na niedźwiedzie i przez ten czas nie wolno im było pić z tego samego naczynia, z którego piły żony. Używali w tym celu specjalnych kubków sporządzonych z kory brzoźowej. Myśliwemu, który nie przestrzegał tych przepisów, zwierzyna uciekała z pułapki. Ale gdy zastawiał potrzaski na kuny, okres wstrzemięźliwości był skrócony do dziesięciu dni.

Jeśli tabu i zakazy przestrzegane przez myśliwego i rybaka przed i podczas łowów dyktowane są, jak wolno nam przypuszczać, przez przesady, a głównie obawą przed obrażeniem lub przestraszeniem dusz stworzeń, które mają zamiar zabić, wówczas możemy się spodziewać, że przepisy obowiązujące po uśmierceniu zwierzyny będą co najmniej równie surowe, jako że zabójca i jego przyjaciele muszą teraz dodatkowo obawiać się dusz swych ofiar. Jeśli natomiast przyjmiemy hipotezę, że wspomniana abstynencja, obejmująca również jedzenie, picie i sen, jest jedynie rozsądnym środkiem ostrożności dla utrzymania zdrowia i siły łowcy, to zachowanie tej abstynencji staje się zupełnie zbyteczne, absurdalne i nieuzasadnione, gdy obowiązuje ona nadal po łowach, to znaczy wtedy, gdy zwierzyna jest już upolowana lub ryby złowione. Dowiodę obecnie, że tabu często obowiązują nadal, a nawet stają się surowsze po śmierci zwierzęcia, innymi słowy, po upolowaniu zwierzyny względnie po złowieniu ryby. Wydaje się wobec tego, że racjonalistyczna teoria załamuje się zupełnie i pozostaje nam jedynie hipoteza przesądu.

Wśród Inuitów, czyli Eskimosów z Zatoki Beringa, "myśliwy musi obchodzić się bardzo ostrożnie z ciałami zabitych zwierząt, by nie obrazić ich cieni i nie ściągnąć nieszczęścia, a nawet śmierci na siebie i swoje plemię". Z tego samego powodu myśliwemu z Unalitu, który brał udział w zabijaniu bieluchy czy chociażby pomagał wyjmować ją z sieci, nie wolno przez następne cztery dni pracować, ponieważ przez ten właśnie czas cień względnie duch bieluchy przebywa w swej powłoce. Równocześnie nie wolno nikomu w wiosce posługiwać się ostrym lub zaostrzonym narzędziem, gdyż w ten sposób mógłby zostać zraniony duch bieluchy, który przebywa w okolicy, niewidoczny dla oka ludzkiego. Nie wolno też

hałasować, by nie wystraszyć lub nie obrazić ducha. Każdy, kto ćwiartuje bieluchę żelaznym toporem, umrze. Co więcej, przez te cztery dni nie wolno w osiedlu posługiwać się żadnym żelaznym narzędziem.

Ci sami Eskimosi obchodzą w grudniu doroczne święto, podczas którego zanoszą się do pomieszczenia dla zebrań osiedla pęcherze wszystkich fok, wielorybów, morsów i białych niedźwiedzi upolowanych w ciągu całego roku. Pozostają one tam przez kilka dni, i w tym czasie myśliwi wstrzymują się od wszelkich stosunków z kobietami twierdząc, że mogłoby to obrazić cienie zabitych zwierząt. Podobnie u Aleutów na Alasce, myśliwy, który trafił wieloryba zaczarowaną dzidą, nie używa jej ponownie, lecz wraca natychmiast do domu i przez trzy dni przebywa z dala od ludzi w chacie specjalnie w tym celu zbudowanej, nie jedząc, nie pijąc i nie spoglądając przez ten czas na kobiety. W okresie odosobnienia od czasu do czasu chrapie naśladując zranionego i umierającego wieloryba, by uniemożliwić wielorybowi, którego trafił, odpłynięcie od brzegu. Czwartego dnia wychodzi ze swego miejsca odosobnienia i kąpie się w morzu krzycząc ochryłym głosem i uderzając wodę rękami. Zabiera potem z sobą jednego towarzysza i udaje się do tej części wybrzeża, gdzie spodziewa się zastać wyrzuconego na brzeg wieloryba. Jeśli zwierzę nie żyje, natychmiast wycina to miejsce, w którym znajduje się śmiertelna rana. Jeśli zaś wieloryb jeszcze żyje, powraca do domu i nadal się myje, aż wieloryb zdechnie. Naśladowanie rannego wieloryba ma prawdopodobnie w tym wypadku doprowadzić za pomocą magii homeopatycznej do faktycznej śmierci wieloryba. Dusza niedźwiedzia polarnego obraża się, gdy nie są przestrzegane przewidziane tabu. Przebywa ona trzy dni w pobliżu miejsca, w którym opuściła ciało, i w ciągu tych trzech dni Eskimosi szczególnie pilnie przestrzegają nakazów tabu, ponieważ wierzą, iż tego, który zgrzeszy przeciw duszy niedźwiedzia, kara spotka szybciej aniżeli tego, który tylko zgrzeszy przeciw duszy innych zwierząt morskich.

Kafrowie, jak się dowiadujemy, obawiają się straszliwie węża-dusiciela czy też jakiegoś olbrzymiego węża do niego podobnego "i pod wpływem pewnych przesądów boją się nawet go zabić. Człowieka, który go zabił, czy to w obronie własnej, czy też z jakiegokolwiek innego powodu, zmuszano w dawnych czasach do leżenia codziennie w bieżącej wodzie przez kilka tygodni i dopóki obowiązkowi temu nie stało się w pełni zadość, we wsi, do której należał, nie wolno było zarzynać żadnego zwierzęcia. Następnie zabierano zwłoki węża i grzebano je pieczołowicie w rowie wykopanym w pobliżu zagrody dla bydła, gdzie pozostawały w niezakłóconym spokoju, jak gdyby to były zwłoki wodza. Obecnie na szczęście okres pokuty, podobnie jak żałoby po zmarłym, skrócony został do kilku dni." W Madrasie wielkim grzechem jest zabicie kobry. Gdy się to jednak zdarzy, zwłoki węża pali się tak jak zwłoki ludzkie. Zabójca przez trzy dni uważa się za skalanego. Na drugi dzień leje się mleko na szczątki kobry. Na trzeci - nieszczęśnik jest oczyszczony.

W tych ostatnich przypadkach zwierzę, którego zabicie wymaga pokuty, jest święte, to znaczy takie, którego życie zazwyczaj się oszczędza z powodu przesądów. Jednak bezbożny zabójca jest traktowany w sposób tak bardzo przypominający traktowanie myśliwych czy rybaków, którzy zabijali zwierzęta w celu zdobycia żywności, że wolno nam uważać, iż u podstaw tych obyczajów leży ta sama myśl, a

mianowicie, szacunek, którym człowiek dziki obdarza dusze zwierząt, szczególnie zwierząt cennych i groźnych, i strach, jaki żywi przed ich zemstą. Potwierdzenie tego poglądu możemy znaleźć w obrządkach przestrzeganych przez rybaków Annamu, gdy morze wyrzuci na brzeg padłego wieloryba. Ten lud rybacki czci wieloryba, ponieważ czerpie z niego wiele korzyści. Prawie w każdej wiosce na wybrzeżu stoi pagoda, w której znajdują się mniej lub więcej autentyczne kości wieloryba. Gdy morze wyrzuci na brzeg nieżywego wieloryba, urządza mu się uroczysty pogrzeb. Człowiek, który go pierwszy dostrzegł, występuje w charakterze głównego żałobnika i dokonuje tych wszystkich rytuałów, których główny żałobnik i spadkobierca dokonałby w wypadku śmierci krewnego. Nakłada żałobny strój, kapelusz ze słomy, białą szatę z długimi rękawami wywróconą na drugą stronę i inne oznaki pełnej żałoby. Jako najbliższy krewny nieboszczyka, przewodniczy podczas obrządków pogrzebowych. Pali się przy tym ziola pachnące i kadzidło, sypie płatki złota i srebra, strzela z pukawek. Gdy mięso zostało poćwiartowane, a tran zebrany, resztki grzebie się w piasku. Po czym buduje się szopę i składa w niej ofiary. Zazwyczaj w pewien czas po śmierci dusza wieloryba wstępuje w jednego z mieszkańców wsi i wyjaśnia jego ustami, czy należała do samca czy samicy.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

PRZEDMIOTY TABU

W społeczeństwie pierwotnym przepisy rytualnej czystości przestrzegane przez boskich królów, wodzów i kapłanów przypominają pod wieloma względami przepisy przestrzegane przez zabójców, żałobników, kobiety w połogu, dziewczęta podczas pierwszej menstruacji, myśliwych, rybaków itd. W naszych oczach te kategorie osób różnią się bardzo między sobą pod względem charakteru jak i sytuacji osobistej. Jedne nazwalibyśmy świętymi, inne nieczystymi lub skażonymi. Ale dziki nie uznaje takich moralnych rozróżnień; w jego umyśle koncepcja świętości i skażenia nie są jeszcze rozdzielone. Dla niego wspólną cechą tych osób jest to, że są niebezpieczne i że grozi im niebezpieczeństwo, na które narażają innych ludzi, niebezpieczeństwo, które my określilibyśmy jako duchowe względnie spirytualne, a więc wyimaginowane. Jednak niebezpieczeństwo wyimaginowane nie jest bynajmniej mniej realne. Wyobrażenia oddziałuje na człowieka tak samo realnie jak siła ciężenia i może go równie skutecznie uśmiercić jak doza kwasu pruskiego. Zadaniem więc obowiązujących tabu jest odseparowanie tych ludzi od reszty świata, by niebezpieczeństwo duchowe nie dosięgło ich, a także, by przez nich nie było roznoszone. Te czynności tabu są, żeby tak powiedzieć, elektrycznymi izolatorami chroniącymi siłę duchową, którą ci ludzie są naładowani, przed szkodą, jaka może im być wyrządzona względnie jaką oni mogą wyrządzić przez zetknięcie się ze światem zewnętrznym.

Do przykładów zastosowania tych ogólnych zasad, które już wyżej podano, dodam jeszcze kilka: pierwsze z kategorii rzeczy będących tabu. drugie - słów będących tabu. W przekonaniu bowiem człowieka dzikiego zarówno rzeczy, jak i słowa mogą być naładowane czy też porażone chwilowo lub stale tajemniczą cechą tabu i dlatego na czas dłuższy lub krótszy może obowiązywać zakaz używania ich w życiu codziennym.

Stwierdzimy więc przede wszystkim, że straszliwa świętość królów w sposób oczywisty wiedzie do zakazu dotykania się ich świętych osób. Było na przykład przestępstwem dotknięcie ręką króla spartańskiego; nikt nie miał prawa dotknąć się króla ani królowej Tahiti, kara śmierci groziła każdemu, kto dotknął się króla Syjamu, a króla Kambodży w żadnym wypadku nie wolno dotknąć bez jego wyraźnego rozkazu. W lipcu 1874 r. król ten wypadł z karety i leżał nieprzytomny na ziemi, ale nikt z jego swity nie śmiał go dotknąć. Europejczyk, który znalazł się na miejscu wypadku, zaniósł rannego króla do pałacu. W dawnych czasach nikt nie miał prawa dotknąć króla Korei, a jeśli on okazał swą łaskę dotykając swego poddanego, miejsce dotknięte stawało się święte, a osoba tak zaszczycona musiała nosić widoczny znak (zazwyczaj czerwony jedwabny sznur). W żadnym jednak wypadku nie mogło żelazo dotknąć ciała królewskiego. W 1800 roku król Tieng-tsong-tai-oang zmarł na skutek guza na plecach, nikomu bowiem na myśl nie przyszło użyć lancetu, chociaż mogło to uratować życie króla. O innym królu opowiada się, że cierpiał straszliwie z powodu ropnia na wardze dotąd, dopóki lekarz nie wezwał błazna, który tak rozśmieszył swoimi figlami króla, że wrzód pękł. Rzymskim i sabińskim

kapłanom nie wolno było golić się brzytwą żelazną, tylko brązową lub nożycami z brązu, a gdy do świętego gaju Bractwa Arwalskiego⁵⁴ w Rzymie wnoszono żelazny rylec, by wyryć napis na kamieniu, trzeba było złożyć ofiarę ekspiacyjną z jagnięcia i wieprza, po czym ofiarę tę powtarzano po wyniesieniu narzędzia z gaju. W Grecji powszechny był zakaz wnoszenia żelaza do świątyń. Na Krecie składano ofiary Menedemosowi bez użycia żelaza, legenda bowiem głosiła, że Menedemos zginął od żelaza w wojnie trojańskiej. Ar-chontowi Platei nie wolno było dotykać żelaza i tylko raz do roku, podczas obchodu ku czci tych, którzy padli w bitwie pod Plateą, miał prawo przypasać miecz, którym zabijał ofiarnego byka. Kapłani hotentoccy do dzisiaj nie używają noża żelaznego, lecz ostry odłamek kwarcu, składając ofiary ze zwierzęcia lub dokonując obrzezania chłopca. U Owambów w Afryce południowo-zachodniej zwyczaj wymaga, by obrzezanie dokonane było za pomocą ostrego krzemienia, a tylko gdy krzemienia brak, wolno użyć żelaza, musi ono jednak potem być pogrzebane. U Mokiów z Arizony kamienne noże, topory i tym podobne narzędzia wyszły już z użycia, ale zachowały się w obrządkach religijnych. Gdy Indianie Pauni zarzucili kamienne głowice do strzał w powszednim użytku, zachowali je przy zabijaniu ofiar zarówno ludzkich, jak też z bizonów i płowej zwierzyny. Żydzi nie posługiwali się żelaznymi narzędziami przy budowie świątyni i ołtarza w Jerozolimie. Stary drewniany most w Rzymie (Pons Sublicius), uchodzący za święty, był zrobiony i musiał być reperowany bez użycia żelaza lub brązu. Specjalna ustawa zezwalała, by świątynia Jupitera Libera w Furfo mogła być naprawiana za pomocą żelaznych narzędzi. Izba, w której zasiadała rada w Kyzikos, zbudowana była z drzewa bez użycia żelaznych gwoździ, a belki tak były ułożone, że można je było wyjmować i zastępować nowymi.

Przesądne opory wobec żelaza pochodzą, być może, z tych dawnych czasów w historii społeczeństwa ludzkiego, gdy żelazo było jeszcze nowinką i wobec tego wielu ludzi traktowało je podejrzliwie i niechętnie. Wszystko bowiem, co nowe, łatwo wzbudza nabożny lęk i strach dzikiego. "Dusunowie - opowiada pewien pionier z Borneo - mają dziwny przesąd, który każe im wszystko dobre i złe, szczęśliwe i nieszczęśliwe, przypisywać czemuś nowemu, co pojawiło się w ich kraju. Tak na przykład to, że zamieszkałem w Kindram, spowodowało upały, które tu ostatnio mamy." Niezwykle obfite deszcze, które zimą 1886-1887 spadły na wyspach Nikobarach, po bytności brytyjskiej ekspedycji krajoznawczej, przypisywali przerażeni tubylcy temu, że duchy rozgniewały się na teodolity, libelle z teleskopem i inne dziwne instrumenty, które ustawiono w wielu ulubionych przez duchy miejscach. Niektórzy tubylcy proponowali uśmierzyć gniew duchów ofiarą z wieprza. W siedemnastym wieku następujące po sobie nieurodzaje wywołały zamieszki wśród chłopów estońskich, ci bowiem doszli do wniosku, że wszystkiemu winien nowy młyn wodny przeszkadzający strumieniowi, którego wody

⁵⁴ Bractwo Arwalskie (Fratres Arvales) - starodawne kolegium kapłańskie w Rzymie republikańskim, przywrócone do istnienia przez cesarza Augusta w 21 r. p. n. e., złożone z dwunastu kapłanów wybieranych z rodzin senatorów i z cesarza. Bractwo oddawało cześć bogini zboża, zwanej Dea Dia, w miesiącu maju

zatomował. Po wprowadzeniu żelaznego pługa w Polsce przez kilka lat zbiory były nieudane. Chłopi przypisali to pługom żelaznym i powrócili do swych starych soch.

Ale niechęć bogów i ich kapłanów do żelaza ma też i drugą stronę. Daje ona ludziom do ręki broń, która w razie potrzeby może być użyta przeciwko duchom. Ponieważ duchy nie lubią żelaza do tego stopnia, że unikają osób i rzeczy chronionych przez ten niemiły metal, żelazo może być użyte jako talizman zagrażający drogę duchom i innym niebezpiecznym elementom i często też bywa do tego celu wykorzystywane. Na Pogórze Szkockim wielką ochroną przed elfami jest żelazo, a jeszcze skuteczniejszą stal. Wszelkoniem skuteczniem środkiem jest żelazo w każdej postaci, czy to miecza, noża czy też lufy itp. Wchodząc do pomieszczenia zamieszkanego przez duszki należy zawsze pamiętać o tym, by wbić w drzwi jakiś kawałek stali, na przykład nóż, igłę czy haczyk na ryby, a wtedy elfy nie będą mogły zamknąć drzwi, dopóki człowiek nie wyjdzie. Podobnie gdy się upolowało łanię i zabiera się ją nocą do domu, należy pamiętać o tym, by wbić w nią nóż, ponieważ w ten sposób uchroni się ją przed elfami. Gwoździe wbite w łóżko tarasują elfom drogę do kobiet w połogu i do ich niemowląt, ale dla pewności najlepiej włożyć żelazko pod łóżko i zawiesić sierp na oknie. Jeśli byk spadł ze skały i zabił się, gwoździe uchroni mięso przed elfami, a granie na drumli uchroni myśliwego przed czarownicą, ponieważ języczek instrumentu jest ze stali.

Wiemy o tym, że kapłanowi Jowisza nie wolno było dotykać surowego mięsa lub nawet wspominać o nim. Tabu to opiera się zapewne na powszechnym wierzeniu, że dusza zwierzęcia znajduje się w jego krwi. Ponieważ uważa się, że osoby tabu są w stanie zagrożenia - na przykład krewny człowieka zamordowanego może być napastowany przez rozgniewaną duszę - jest rzeczą bardzo ważną, by izolować je od kontaktu z duchami. Stąd też pochodzi zakaz dotykania surowego mięsa. Ale, jak zwykle, tabu jest tylko szczegółowym zastosowaniem ogólnej zasady, to znaczy przestrzeganie tabu jest nakazane zwłaszcza w okolicznościach, które zdają się pilnie wymagać jego zastosowania, ale niezależnie od takich okoliczności jest ono również przestrzegane, chociaż mniej skrupulatnie, jako reguła postępowania w życiu codziennym. Tak więc niektórzy Estończycy nie wezmą do ust krwi, ponieważ wierzą, że zawiera ona duszę zwierzęcia, które wejdzie w ciało człowieka spożywającego krew. Niektórym plemionom indiańskim w Ameryce Północnej "religia surowo zakazuje spożywania krwi jakiegokolwiek zwierzęcia, ponieważ zawiera ona jego życie i duszę". Myśliwi Żydzi wykrwawiali upolowaną zwierzynę, a krew zasypywano kurzem. Nie spożywali oni krwi w przekonaniu, że jest w niej dusza lub życie zwierzęcia lub też że krew jest faktycznie duszą.

Bardzo rozpowszechniony jest zakaz rozlewania krwi królewskiej na ziemię. Gdy król względnie członek jego rodziny ma być stracony, obmyśla się specjalną formę egzekucji, która uniemożliwia spłynięcie krwi królewskiej na ziemię. Mniej więcej w roku 1688 generalissimus armii syjamskiej zbuntował się przeciwko królowi i stracił go, "przeprowadzając egzekucję w sposób należyty królewskim przestępcom względnie książętom krwi, gdy skazani zostają na karę śmierci, to znaczy przez umieszczenie go w wielkim żelaznym kotle i tłuczenie drewnianymi tłuczkami. Nie wolno bowiem krwi

króla rozlewać na ziemię, gdyż według ich religii zmieszanie krwi królewskiej z ziemią jest wielkim grzechem." Gdy Kublaj Chan pokonał i wziął do niewoli swego wuja Najana, który wzniecił przeciw niemu bunt, kazał go stracić, "a po to, by krew jego cesarskiej dynastii nie została przelana na ziemię i wystawiona na widok Nieba i Słońca", polecił zawinąć Najana w dywan i tak długo rzucać go z rąk do rąk, aż umrze. "Mnich Rocold cytuje maksymę tatarską: «Jeden chan zabija drugiego, by zająć jego tron, ale dołoży wszelkich starań, by krew nie została przelana. Twierdzą bowiem, że jest rzeczą bardzo niestosowną, by krew Wielkiego Chana rozlana została na ziemi; każą więc zgładzić ofiarę przez uduszenie jej w taki czy inny sposób.» Podobne przekonanie panuje na dworze birmańskim, gdzie specjalny rodzaj egzekucji bez rozlewu krwi zastrzeżony jest dla książąt krwi."

Wzbranianie się przed przelewaniem krwi królewskiej jest, jak się zdaje, jedynie szczegółowym przypadkiem ogólnej reguły zabraniającej rozlewać krew tak, by padła na ziemię. W Afryce Zachodniej, gdy kropla krwi spadła na ziemię, należy ją dokładnie wetrzeć i wdeptać w grunt; jeśli spadła na ściankę czółna lub drzewo, miejsce należy wyciąć, a drzazgę zniszczyć. Być może, źródłem tego afrykańskiego obyczaju jest chęć zapobieżenia temu, by krew znalazła się w rękach czarownika, który może jej użyć do złych celów.

Ten sam strach tłumaczy dziwaczne obowiązki spadające na pewną kategorię ludzi w plemienu Betsileosów na Madagaskarze, zwanych *ramanga*, czyli "błękitna krew". Muszą oni zjadać obcięte paznokcie szlachty i zlizywać każdą kroplę przelanej krwi szlacheckiej. Gdy szlachcic obcina paznokcie, zbiera się je skrupulatnie, po czym *ramanga* połyka je. Jeśli obcięte paznokcie są za duże, kruszy się je na małe kawałki. Gdy zdarzy się, że szlachcic zrani się, powiedzmy, przy obcinaniu paznokci, obowiązkiem *ramanga* jest możliwie jak najszybciej zlizać krew. Możni panowie nie ruszą się na krok bez tych skromnych pomocników, gdyby się jednak tak zdarzyło, że nie ma żadnego z nich pod ręką, wówczas skrupulatnie zbiera się obcięte paznokcie względnie rozlaną krew, które potem *ramanga* musi połknąć.

Ogólnym wytłumaczeniem zakazu rozlewania krwi na ziemię jest prawdopodobnie przekonanie, że w krwi jest dusza, i wobec tego ziemia; na którą krew spłynie, staje się tabu względnie uświęcona. W Nowej Zelandii wszystko, na co przypadkowo spadnie chociażby kropla krwi głównego wodza, staje się dla wodza tabu lub święte. Na przykład zdarzyło się, że grupa tubylców przybyła do niego w odwiedzinie w nowym pięknym czółnie. Wódz wchodząc do czółna wbił sobie drzazgę w piętę, a krew spłynęła na czółno, które natychmiast stało się dla niego uświęcone. Właściciel wyskoczył z czółna, zawlókł je przed dom wodza i tam pozostawił. Innym razem zdarzyło się, że wódz wchodząc do domu misjonarza wyrznął łbem o belkę tak silnie, że popłynęła krew. Tubylcy powiedzieli, że w dawnych czasach dom stałby się własnością wodza. Jak to zwykle bywa z tabu o uniwersalnym zastosowaniu, zakaz rozlewania krwi na ziemię obowiązuje szczególnie surowo królów i wodzów i w ich wypadku jest przestrzegany jeszcze długo potem, gdy już przestał obowiązywać innych.

Wiele ludów uważa głowę za szczególnie uświęconą, a tłumaczy się to przekonaniem, że w niej mieści się dusza bardzo uczulona na zranienie czy brak szacunku.

Mieszkańcy Syjamu uważają, że w głowie ludzkiej mieszka duch zwany *khuan* lub *kwun* i że jest on duchem opiekuńczym głowy. Ducha należy skrupulatnie chronić przed jakimkolwiek zranieniem, dlatego też goleniu czy stryżeniu towarzyszy wiele ceremonii. *Kwun* jest niesłychanie uczulony w sprawach honoru i poczułby się śmiertelnie obrażony, gdyby głowę, którą zamieszkuje, dotknęła ręka obcego człowieka. Kambodżanie uważają za wielką obrazę dotknięcie głowy człowieka, niektórzy z nich nie wejdą do pomieszczenia, gdzie cokolwiek jest zawieszane nad ich głową, a nawet najpośledniejszy Kambodżanin nie zamieszka pod pokojem, w którym mieszkają inni ludzie. Dlatego też buduje się tam tylko parterowe domy i nawet rząd uszanował ten przesąd i więźnia nigdy nie umieszcza się w dybach pod podłogą domu, chociaż domy stawiane tam są na wysokich palach.

U Maorysów głowa wodza uchodziła za tak wielką świętość, że "gdy dotykał jej palcami, musiał natychmiast palce unieść do nosa i wciągnąć całą świętość, którą zaczerpnął z dotknięcia, by w ten sposób przywrócić ją sobie". Na skutek świętości swej głowy wódz Maorysów "nie mógł rozdmuchiwać ognia, ponieważ oddech jego był uświęcony i dmuchając uświęcał ogień, a niewolnik czy też członek innego szczepu mógłby wziąć płonąca szczapę lub też ogień mógłby być użyty do innych celów, jak na przykład do gotowania, i w ten sposób spowodować jego śmierć".

Skoro głowa uchodziła za tak świętą, że nie wolno jej było nawet dotykać, nie popołniając przestępstwa, nic dziwnego, że stryżenie musiało być operacją delikatną i trudną. Trudności i niebezpieczeństwa z nią związane były dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, w toku tej czynności istniało niebezpieczeństwo zakłócenia spokoju ducha głowy, który będzie mścił się za wyrządzoną mu krzywdę. Po drugie, powstawała trudność pozbycia się ściętych pukli.

Najprostszym sposobem uniknięcia niebezpieczeństwa byłoby w ogóle nie ścinać włosów, i ten wybieg się stosuje, gdy ryzyko jest większe aniżeli zazwyczaj. Królom frankońskim nigdy nie wolno było ścinać włosów i od dzieciństwa nigdy ich nie ścinali. Ostryżenie długich loków spadających na plecy równoznaczne byłoby z wyrzeczeniem się tronu. Gdy źli bracia Klotar i Childebert zapragnęli pojąć królestwo swego zmarłego brata Klodomira, podstępem zwabili dwóch małych bratanków, synów Klodomira do siebie, po czym wysłali posłańca z nożycami i obnażonym mieczem do babki dzieci, królowej Klotyldy w Paryżu. Poseł pokazał Klotyldzie nożyce i miecz i kazał jej wybrać: czy dzieci mają być ostrzyżone i pozostać przy życiu, czy też umrzeć nie ostrzyżone. Dumna królowa odpowiedziała, że skoro jej wnukowie nie mają wstąpić na tron, woli

zobaczyć ich martwych aniżeli ostrzyżonych. Zamordował ich własnymi rękami okrutny wuj Klotar. Nie wolno ścinać włosów królowi wyspy Po-nape, jednej z Karolin, i ten sam zakaz obowiązuje jego grandów. Plemię murzyńskie Hos w Afryce Zachodniej "ma kapłanów, których głowy nie może tknąć brzytwa przez całe życie. Bóg zamieszkujący w człowieku zabrania mu pod karą śmierci ścinania włosów. Gdy włosy są już za długie, ich posiadacz musi modlić się do bóstwa, by pozwoliło ściąć

przynajmniej ich końce. W rzeczy samej włosy uchodzą za przybytek boga, gdyby więc kapłan je ściął, pozbawiłby boga schronienia." Członkom klanu Masajów, którzy są jakoby obdarzeni mocą zaklęcia deszczu, nie wolno wrywać sobie bród, ponieważ przypuszcza się, że wraz z brodami straciliby moc zaklęcia deszczu. Ten sam zakaz obowiązuje głównego wodza Masajów i ich czarnoksiężników, mogliby bowiem wraz z wyrwanymi brodami stracić swe nadprzyrodzone umiejętności.

Ludzie, którzy ślubowali zemstę, często nie ścinają włosów, dopóki ślub nie zostanie wypełniony. Dowiadujemy się na przykład o Markizanach, że "czasami gołą głowę pozostawiając tylko jeden lok na samym czubku, który noszą zawiązany w węzeł lub luźno rozpuszczony. Węzeł splatają jednak tylko wtedy, gdy złożyli uroczyste ślubowanie pomszczenia śmierci jakiegoś bliskiego krewnego czy powinowatego. W takich wypadkach lok może być ścięty dopiero po spełnieniu ślubu." Podobny zwyczaj był niekiedy przestrzegany przez starożytnych Germanów.

Gdy jednak zachodzi potrzeba ścięcia włosów, podejmuje się specjalne środki ostrożności w celu zmniejszenia niebezpieczeństwa towarzyszącego temu zabiegowi. Wódz Namosi na Fidżi zjadał w tym celu człowieka przed stryżeniem. "Istniał pewien klan, który dostarczał ofiary, i zazwyczaj zwoływano uroczystą naradę, by dokonać wyboru. Była to uroczysta biesiada dla odwrócenia nieszczęścia od wodza." Osoba strzygąca również jest tabu. Ponieważ ręce jej zetknęły się ze świętą głową, nie wolno nimi dotykać strawy ani też przystępować do innych czynności. Karmiona jest przez innego człowieka strawą ugotowaną na świętym ogniu.

W niektórych okolicach Nowej Zelandii najbardziej uroczystym dniem roku jest ten, w którym odbywa się stryżenie. Tego dnia ściągają tłumy z całej okolicy.

Ale nawet i wtedy, gdy włosy i paznokcie szczęśliwie zostały obcięte, pozostaje trudna sprawa pozbycia się ich, bo przecież właściciel wierzy, że sam ucierpi, jeśli im coś złego się stanie. Przekonanie, że na człowieka można rzucić uroki za pomocą włosów lub paznokci, które mu obcięto, czy innej części ciała, której go pozbawiono, jest tak rozpowszechnione na całym świecie i zaświadczone tyloma aż nazbyt dobrze znanymi przykładami, że byłoby rzeczą zbyt nużącą w swej jednostajności analizować je w tym miejscu szerzej.

Karpaccy Huculi wyobrażają sobie, że gdy mysz uwije sobie gniazdo z włosów ściętych człowiekowi, będzie on cierpiał na bóle głowy lub nawet zidiocieje. Podobnie w Niemczech istnieje przekonanie, że jeśli ptak znajdzie ścięte włosy i uwije z nich gniazdo, wówczas człowiek, do którego włosy należały, będzie cierpiał na ból głowy; czasami nawet uważa się, że mu wyskoczy guz na głowie. Ten sam przesąd panuje względnie panował w Zachodnim Sussexie.

Po to, by ścięte włosy i paznokcie uchować od szkody i niebezpiecznych praktyk, do których mogą ich użyć czarownicy, należy je przechowywać w jakimś bezpiecznym miejscu. Obcięte pukle wodza Maorysów zbiera się pieczołowicie i grzebie na pobliskim cmentarzu. Tahitańczycy zagrzebywali ścięte włosy w swych świątyniach. Współczesny podróżnik widział na ulicach Soku piramidy dużych kamieni ustawione pod ścianami domów, a w szpary wetknięte były kosmyki włosów. Gdy zapytał, co te piramidy

oznaczają, odpowiedziano mu, że tubylcy po stryżeniu zbierali uważnie włosy i składali je w tych piramidach, które były poświęcone fetyszowi i wobec tego nietykalne. Te piramidy z świętych kamieni były, jak się dowiedział nasz podróżnik, zwykłym środkiem ostrożności przed czarami, ponieważ gdyby człowiek zaniedbał tego obyczaju i nie ukrył we właściwy sposób ściętych włosów, mogłyby one wpaść w ręce jego wrogów, a ci za ich pomocą rzuciliby na niego uroki i doprowadziliby do jego zguby.

Ścięte włosy i paznokcie chowane są często w jakimkolwiek tajnym miejscu, a niekoniecznie w świątyni, na cmentarzu czy w drzewie, jak w przypadkach wyżej wspomnianych. W Szwabii zaleca się ukrywanie włosów w miejscu, do którego nie dotrze światło słoneczne i księżycowe, na przykład należy je zakopać w ziemi pod kamieniem. W Gdańsku chowa je się w torbie pod progiem, a na Ugi, jednej z Wysp Salomona, mężczyźni zagrzebują ścięte włosy w ziemi, by nie wpadły w ręce nieprzyjaciół, którzy użyliby ich do czarów i sprowadzili na właścicieli chorobę lub niepowodzenie.

Czasami ścięte włosy i paznokcie przechowywane są bynajmniej nie w obawie przed czarownikiem, lecz po to, by właściciel miał je w chwili zmartwychwstania ciała, w które wierzą pewne ludy. Inkowie "troskliwie przechowywali obcięte paznokcie i włosy, czy to ścięte, czy też wyrwane grzebieniem podczas czesania. Umieszczano je w dziurach i wgłębieniach w ścianach. Gdy wypadły z tego schowka, a jakiś Indianin dostrzegł to, podnosił je z ziemi i wkładał z powrotem na miejsce. Pytałem często rozmaitych Indian, dlaczego tak czynią, i zawsze otrzymywałem tę samą odpowiedź: «Wiedz, że wszyscy ludzie, którzy się urodzili, muszą powrócić do życia (nie mają słowa na określenie zmartwychwstania) i dusze muszą powstać z grobów z wszystkim, co należało do ich ciał. Po to więc, by nie szukać włosów i paznokci w chwili tak wielkiego pośpiechu i zamieszania, umieszczamy je dla wygody w jednym miejscu i uważamy także, by, jeśli to możliwe, pluć w jedno i to samo miejsce.»" Podobnie Turcy nigdy nie wyrzucają obciętych paznokci, lecz przechowują je troskliwie w szparach ścian lub podłogi w przekonaniu, że będą im potrzebne w chwili zmartwychwstania. Ormianie nie wyrzucali ściętych włosów i paznokci oraz wyrwanych zębów, lecz przechowywali je w miejscach uświęconych, na przykład w szczelinie w ścianie kościoła, w kolumnie wspierającej dom lub w wydrążonym drzewie. Uważają, że wszystkie te odcięte części ciała potrzebne będą przy zmartwychwstaniu i że ten, kto nie schował ich w bezpiecznym miejscu, będzie musiał ich szukać w wielkim dniu. W wiosce Drumconrath w Irlandii żyły staruszki, które upewniwszy się w Piśmie świętym, że wszystkie włosy na ich głowach policzone są przez Wszechmogącego, wyobraziły sobie, że będą musiały się z nich wyliczyć w dniu sądu ostatecznego. Wobec czego chowały włosy, które im wypadły, w strzechach domów.

Niektórzy palą ścięte włosy, by nie wpadły w ręce czarowników. Czynią to Patagończycy i niektóre plemiona zamieszkujące stan Wiktorii w Australii. W Górnych Wogezach twierdzą, że nie należy pozostawiać ściętych włosów i paznokci, lecz palić je, by nie wpadły w ręce czarowników, z tego samego powodu kobiety we Włoszech palą ścięte włosy lub ukrywają je w miejscu, gdzie nikt ich nie będzie szukał. Powszechny niemal strach przed czarami skłania mieszkańców Afryki Zachodniej,

Makololo z Afryki Południowej i Tahitańczyków do palenia lub grzebania ściętych włosów. W Tyrolu palą włosy, by czarownice nie użyły ich do wywoływania burz z piorunami, inni zaś palą je lub grzebią, by ptaki nie wily z nich gniazd, co przecież powoduje ból głowy.

To niszczenie włosów i paznokci świadczy jednak o braku konsekwencji w myśleniu. Celem niszczenia jest zapobieganie temu, by odcięte części ciała nie były użyte przez czarowników. Ale skuteczność ich użycia zależy przecież od magicznego powinowactwa, jakie istnieje między nimi a człowiekiem, do którego należały. Jeśli więc to powinowactwo nadal istnieje, zniszczenie odciętych części musi być ze szkodą dla człowieka, do którego należały.

Jak można się spodziewać, jedzenie jest przedmiotem szczególnie mocno obwarowanym przesadami dzikich. Człowiek pierwotny wstrzymuje się od spożywania mięsa wielu zwierząt, a także roślin, samych przez się zdrowych, ale które w jego przekonaniu są z takich czy innych powodów niebezpieczne lub wręcz śmiertelne dla jedzącego. Nie będziemy tu przytaczać przykładów aż nadto znanych i licznych. Skoro jednak zwykłego człowieka powstrzymuje przesądny strach od jedzenia rozmaitych potraw, o ileż liczniejsze są ograniczenia obowiązujące osoby święte i tabu, jak na przykład królów i kapłanów. Widzieliśmy już, że kapłan Jowisza miał zakaz jedzenia wielu roślin i zwierząt, a nawet wymieniania ich nazw, i że dieta mięsna królów egipskich ograniczała się do cielęciny i gęsiny. W starożytności wielu kapłanów i królów ludów barbarzyńskich wstrzymywało się zupełnie od jedzenia mięsa. Gangom, czyli fetyszowym kapłanom na wybrzeżu Loange, nie wolno jeść, a nawet patrzeć na rozmaite zwierzęta lądowe i ryby, wobec czego ich dieta mięsna jest bardzo ograniczona. Często żywią się jedynie korzonkami i ziołami, chociaż wolno im pić świeżą krew. Następcy tronu Loange nie wolno od małości spożywać wieprzowiny, od wczesnego dzieciństwa zabrania mu się spożywać owoców coli w obecności postronnych osób, w okresie dojrzewania kapłani uczą go obywać się bez ptactwa z wyjątkiem tych ptaków, które sam zabił i ugotował, i tak z roku na rok zwiększa się ilość tabu. Na Fernando Po król po wstąpieniu na tron ma zakazane jedzenie *kokko* (*Arum acaule*), sarniny i jeżozwierza, które stanowią pospolitą strawę tubylców. Główny wódz Masajów może jeść tylko miód, mleko i pieczone wątroby kozie, jeśli bowiem spożyje cokolwiek innego, straci moc przepowiadania przyszłości i robienia czarów.

Jednym z tabu, które obowiązywały kapłana Jowisza w Rzymie, był zakaz zawiązywania jakiegokolwiek części stroju i zakaz noszenia obrączki. W podobnym stanie uświęcenia lub tabu są pielgrzymi udający się do Mekki; nie wolno im mieć na sobie żadnych węzłów ani pierścieni. Przepisy te mają prawdopodobnie pokrewne znaczenie i można je dla wygody rozpatrywać razem. Zaczniemy od węzłów. Wielu ludzi na całym świecie wzbrania się stanowczo przed tym, by w pewnych krytycznych okresach mieć na sobie jakiegokolwiek węzły. Dotyczy to szczególnie okresów połogu, ślubu i śmierci. Saksończycy w Transylwanii rozplątują wszystkie węzły, jakie znajdują się na stroju kobiety rodzącej, ponieważ wierzą, że ułatwi to poród; w tej samej intencji wszystkie zamki w domu, drzwiach i skrzyniach zostają otwarte. Lapończycy uważają, że kobiecie w połogu nie wolno mieć żadnych węzłów na

odzieży, ponieważ utrudni to rozwiązanie i uczyni je bolesnym. W Indiach Wschodnich przesąd ten rozciąga się na cały okres ciąży; uważają tam, że jeśli kobieta w ciąży będzie zawiązywała węzły, przepasywała włosy wstążką lub zaciskała cokolwiek, wówczas "zaciśnie się" dziecko, a ona sama będzie "zawiązana" przy porodzie. Niektórzy posuwają się tak daleko, że rozciągają ten zakaz również na ojca nie urodzonego jeszcze dziecka. U Dajaków morskich w okresie ciąży żadnemu z małżonków nie wolno niczego przewiązywać sznurkiem, a mężowi nie wolno zawiązywać żadnych mocnych węzłów i siedzieć z nogą założoną na nogę.

Mężczyźni z plemienia Toumbuluh nie wolno w czasie ciąży żony nie tylko zawiązywać węzłów, ale również zakładać nogi na nogę. W obu tych wypadkach tok rozumowania jest identyczny. Bez względu na to, czy zawiązuje się węzeł, czy też w chwili odpoczynku zakłada nogę na nogę, zgodnie z zasadami magii homeopatycznej postępkami tym krzyżuje się względnie utrudnia swobodny bieg rzeczy, a uczynek taki musi utrudnić lub zatrzymać to, co się dzieje w pobliżu. Z tej wielkiej prawdy zdawali sobie sprawę Rzymianie. Poważny Pliniusz utrzymywał, że siedzenie ze splecionymi rękami obok kobiety ciężarnej lub obok leżonego pacjenta jest równoznaczne z rzuceniem na nich uroków, a jeszcze gorzej, gdy się obejmuje rękami kolano lub zakłada nogę na nogę. Tego rodzaju pozycje starożytni Rzymianie uważali za przeszkodę w załatwianiu jakiegokolwiek sprawy, toteż podczas rad wojennych lub konferencji urzędników, podczas modlitw i składania ofiar nie wolno było nikomu siedzieć z założonymi nogami lub splecionymi rękami. Przykładem straszliwych skutków wyływających z takiego zachowania jest Alkmena, która przez siedem dni rodziła Heraklesa, ponieważ bogini Lucina siedziała przed jej domem z założonymi nogami i splecionymi rękami, a dziecko nie mogło przyjść na świat, dopóki bogini nie udało się skłonić podstępem do zmienienia pozycji. Bułgarski przesąd głosi, że kobieta, która w okresie ciąży siedzi z założonymi nogami, będzie bardzo cierpiała przy porodzie. W niektórych okolicach Bawarii, gdy rozmowa się urywa i nastaje cisza, mawiają: "Z pewnością ktoś założył nogę na nogę."

Węzły wywołują magiczne utrudnienia nie tylko przy porodzie, ale i w małżeństwie. Wydaje się, że w Europie przez całe średniowiecze i aż po wiek osiemnasty panowało powszechne przekonanie, że spełnieniu małżeństwa może przeszkodzić każdy, kto podczas ślubu zamknie jakiś zamek albo zawiąże węzeł na sznurze i sznur lub zamek wyrzuci. Zamek względnie sznur należało wrzucić do wody i do chwili odnalezienia zamka i otworzenia go względnie odszukania sznura i rozplatania go prawdziwy związek młodej pary był niemożliwy. Było też poważnym wykroczeniem nie tylko rzucanie takich uroków, ale i kradzież materiałów, którymi można się przy takiej procedurze posłużyć. W r. 1718 parlament w Bordeaux skazał na spalenie na stosie człowieka, który całą rodzinę unieszczęśliwił za pomocą sznurów zawiązanych w węzły, a w 1705 r. skazano w Szkocji dwie osoby na śmierć za kradzież dwóch zaczarowanych węzłów sporządzonych przez kobietę, by zburzyć szczęście małżeńskie Spaldingów z Ashintilly. Wiara w skuteczność tych czarów przetrwała, jak się zdaje, w górach hrabstwa Perth do końca osiemnastego wieku, ponieważ wówczas jeszcze istniał w pięknej parafii

Logierait, między rzeką Tummel a rzeką Tay, zwyczaj rozwiązywania wszystkich węzłów na szatach młodej pary przed ceremonią zaślubin. Z tym samym przesądem i obyczajem spotykamy się jeszcze dzisiaj w Syrii. Osoby pomagające panu młodemu ubierać się w strój weselny pilnują, by żaden węzeł nie był zawiązany i żaden guzik zapięty, wierzą bowiem, że zawiązany węzeł i zapięty guzik umożliwiłyby wrogom pana młodego pozbawienie go magicznymi środkami małżeńskich przywilejów. Obecnie jeszcze obawa przed takimi urokami rozpowszechniona jest w Północnej Afryce. By uczynić pana młodego impotentem, wystarczy zawiązać węzeł na chustce i umieścić ją gdzieś przy nim, gdy siedzi na koniu, by pojechać po narzeczoną. Jak długo węzeł na chustce jest nie rozwiązany, tak długo pan młody nie jest w stanie skosztować małżeństwa. Złośliwa moc węzłów może także objawiać się poprzez klęskę chorób i poprzez nieszczęścia wszelkiego rodzaju.

Koran wspomina o złośliwości "tych, którzy dmuchają w węzły", a pewien komentator arabski wyjaśnia to zdanie tłumacząc, że słowa odnoszą się do kobiet, które uprawiają czary zawiązując węzły na sznurach, a potem dmuchają i plują na nie. W dalszym ciągu opowiada o tym, jak zły Żyd rzucił uroki na samego proroka Mahometa zawiązując dziewięć węzłów na sznurze, który ukrył w studni. Prorok zachorował i nikt nie wie, co by się stało, gdyby archanioł Gabriel w porę nie ujawnił świętemu człowiekowi miejsca, w którym ukryty został sznur. Wierny Ali szybko wyłowił sznur ze studni, a prorok wyrecytował nad nim modlitwy specjalnie mu w tym celu wyjawione. Za każdym werselem jeden węzeł rozwiązywał się, prorok zaś odczuwał pewną ulgę.

Węzły zabijają, ale także leczą. Wynika to z wiary, że rozplatanie węzłów, które wywołały chorobę, przyniesie ulgę cierpiącemu. Ale niezależnie od negatywnej właściwości tych szkodliwych węzłów istnieją pewne dobroczynne węzły, którym przypisywana jest siła lecznicza. Pliniusz opowiada o ludach, które leczyły choroby pachwiny wyciągając nitkę z sieci i zawiązując na niej siedem lub dziewięć węzłów, następnie zaś przewiązując nią pachwinę pacjenta. Po to jednak, by leczenie było skuteczne, należało przy zawiązywaniu każdego węzła wymieniać imię jakiejś wdowy.

Węzły mogą również posłużyć dziewczynie pragnącej czarami zdobyć kochanka i przywiązać go do siebie. Gdy w poemacie Wergiliusza zakochana dziewczyna chce zwabić z miasta Dafnisa, zawiązuje po trzy węzły na trzech nitkach w różnych kolorach. Podobnie młoda Arabka, która straciła głowę dla pewnego mężczyzny, starała się pozyskać jego miłość i przywiązać go do siebie zawiązując węzły na jego batogu, ale zazdrosna rywalka węzły rozplatała. Na tej samej magicznej zasadzie węzły mogą posłużyć do zatrzymania zbiega. W Swaziland często widuje się przy drodze trawę zawiązaną w węzły. Każdy z tych węzłów mówi o jakiejś tragedii domowej. Żona uciekła od męża i oto małżonek ze swymi przyjaciółmi ruszył w pościg zawiązując - jak mówią - w ten sposób drogę, by uniemożliwić zbiegowi zmylenie tropów. W Rosji sieć dzięki wielkiej ilości węzłów zawsze uchodziła za skuteczny środek przeciw czarownikom, dlatego też w niektórych miejscowościach gdy panna młoda wkłada strój weselny, narzuca się na nią sieć rybacką, by nic złego jej się nie stało. Z podobnych powodów pan młody i jego drużbowie przepasują się kawałkami sieci lub mocno zaciskają pasa, bo czarownik po to,

by rzucić na nich urok, musi przedtem rozwiązać wszystkie węzły w sieci lub zdjąć pas. Często jednak amuletem u Rosjan jest po prostu zawiązana na węzeł nitka. Nitka czerwonej wełny na ramieniu i na nodze chroni przed febrą i gorączką, dziewięć takich nitek zawiązanych na szyi dziecka chroni je przed szkarlatyną. W guberni twerskiej krowie idącej przed stadem zawiesza się na szyi specjalny worek, który ma odpędzać wilki; zawiązuje on gardziele żarłocznych drapieżników. Na tej samej zasadzie obnosi się trzykrotnie kłódkę wokół stada koni przed wypuszczeniem ich wiosną na łąkę, a ten, który niesie kłódkę, otwiera i zamyka, i mówi przy tym: "Zamykam tym stalowym kluczem pyski szarych wilków przed tym stadem."

Węzły i zamki służą nie tylko jako ochrona przeciwko czarownikom i wilkom, lecz nawet przeciw samej śmierci. Gdy w r. 1572 w St. Andrews prowadzono na stos kobietę skazaną na spalenie za czary, odkryto, że miała na sobie białą tkaninę w kształcie kołnierza z sznurkami i wieloma węzłami na sznurkach. Zdjęli to z niej, chociaż bardzo się wzbraniała, ponieważ, jak się zdaje, uważała, że nie zginie w płomieniach, jeśli tylko będzie miała na sobie tę tkaninę z zawiązanymi sznurkami. Gdy wreszcie tkaninę zdjęto, powiedziała: "Teraz nie ma już dla mnie żadnej nadziei." W wielu okolicach Anglii uważa się, że człowiek nie umrze tak długo, jak długo zamki w domu są zamknięte. Jest wobec tego powszechnie przyjętym obyczajem otwieranie wszystkich zamków i zdejmowanie skobli, gdy cierpiący najwidoczniej zbliża się do końca, by nie przeciągać niepotrzebnie jego agonii. Tak na przykład, gdy w 1863 r. w Taunton dziecko zachorowało na szkarlatynę i śmierć wydawała się już nieuchronna, "zebrała się rada matron, które miały zapobiec "ciężkiej śmierci" dziecka. W tym celu wszystkie drzwi, szuflady, szafy i skrzynie w domu zostały otwarte, klucze wyjęto, a dziecko położono pod główną belką podtrzymującą strop, co zapewniało pewne i lekkie przejście do wieczności." O dziwo, dziecko nie skorzystało z ułatwień mądrych i doświadczonych brytyjskich matron z Taunton i wołało żyć nadal aniżeli w tym właśnie czasie wyzionąć ducha.

Przepis nakazujący rozpuszczanie włosów i chodzenie boso przy pewnych magicznych i religijnych ceremoniach wynika prawdopodobnie z tej samej obawy przed zahamowaniem lub utrudnieniem dokonywanej czynności na skutek obecności węzła czy czegoś krępującego głowę lub nogi człowieka wykonującego tę czynność. Podobną moc krępowania lub powstrzymywania duchowych czy też fizycznych czynności przypisują niektórzy ludzie pierścieniom. Tak więc na wyspie Karpathos tubylcy nigdy nie zapinają guzików na szatach nakładanych na zwłoki i skrupulatnie usuwają wszelkie pierścienie, "ponieważ dusza może być nawet zatrzymana w małym palcu i nie zazna spokoju". Staje się w tym wypadku rzeczą jasną, że nawet wtedy, gdy nie uważa się, że dusza wychodzi po śmierci przez końce palców, przypisuje się pierścieniowi pewien wpływ ograniczający, który wstrzyma i uwięzi nieśmiertelną duszę mimo jej wysiłków wyrwania się z glinianej powłoki. Krótko mówiąc, pierścień, podobnie jak węzeł, działa jak duchowe pęta. Stąd, być może, brała się grecka maksyma, przypisywana Pitagorasowi, zakazująca noszenia pierścieni. Nie wolno było nikomu wchodzić do starożytnej arka-

dyjskiej świątyni Pani z Likosury⁵⁵ z pierścieniem na palcu. Osoby zasięgające porady wyroczni w Faunus musiały zachowywać czystość, nie wolno im było jeść mięsa i nosić pierścieni.

Równocześnie te same ograniczenia, które strzegą wyjścia duszy, mogły zapobiegać wejściu złych duchów. Stąd bierze się używanie pierścieni jako amuletów przeciwko demonom, czarownicom i duchom. W Tyrolu kobieta w połogu nigdy nie powinna zdejmować obrączki ślubnej, jeśli to bowiem uczyni, wyda się na pastwę duchów i wiedźm. U Lapończyków osoba, która ma złożyć zwłoki nieboszczyka w trumnie, otrzymuje od męża, wdowy czy dzieci zmarłego pierścień mosiężny, który musi nosić przywiązany do prawego ramienia, do chwili gdy trup spocznie w grobie. Pierścień ma służyć jako amulet przeciwko szkodzie, którą jej może wyrządzić duch.

⁵⁵ Pani z L i k o s u r y - Despoina (dosł.: pani, władczyni), lokalne bóstwo arkadyjskie. Jej świątynia znajdowała się w Likosurze. Pod imieniem Despoiny czczono także inne boginie, zwłaszcza Demeter i Persefonę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

SŁOWA TABU

Dziki nie jest w stanie dostrzec różnicy między rzeczami a słowami, wobec czego zazwyczaj wyobraża sobie, że związek między osobą a imieniem lub rzeczą i jej nazwą nie jest jedynie związkiem umownym czy też idealnym, lecz więzią rzeczywistą i silną, łączącą jedno z drugim w taki sposób, że magiczne zabiegi w stosunku do człowieka mogą być dokonane równie łatwo za pośrednictwem jego imienia jak włosów, paznokci czy innej materialnej części jego osoby. Człowiek pierwotny uważa imię za ważną część swej osoby i wobec tego dba o nie w odpowiedni sposób. Tak więc Indianin z Ameryki Północnej "jest zdania, że imię jest nie tylko nazwą, ale konkretną częścią jego osoby. W takiej samej mierze jak oczy lub zęby, i jest przekonany, że złośliwe obchodzenie się z jego imieniem może mieć równie szkodliwe skutki jak rana zadana jakiegokolwiek części jego ciała. Z podobnym wierzeniem spotykano się wśród rozmaitych plemion od Atlantyku po Pacyfik i było ono źródłem szeregu dziwacznych przepisów regulujących sprawę zatajania i zmiany imion." Niektórzy Eskimosi przybierają nowe imiona na starość, ponieważ mają nadzieję, że w ten sposób przedłużą sobie życie. Tolampowie na Celebesie wierzą, że po to, by porwać duszę człowieka, wystarczy zapisać sobie jego imię. Jeszcze w naszych czasach wielu dzikich uważa swe imiona za istotną część własnej osoby, wobec czego dokładają wszelkich starań, by ukryć swe imiona i uniemożliwić w ten sposób źle usposobionym ludziom wykorzystanie ich dla wyrządzenia krzywdy posiadaczowi imienia.

Zacznijmy od dzikich znajdujących się na najniższym szczeblu drabiny społecznej. Australijscy tubylcy ukrywają zazwyczaj imiona własne, "a wynika to w dużej mierze z przekonania, że nieprzyjacieli znający imię ma w ręku broń, którą może wyrządzić krzywdę". "Czarnoskóry Australijczyk - opowiada inny autor - zawsze wzdraga się przed ujawnieniem swego prawdziwego imienia i nie ulega wątpliwości, że wynika to z obawy przed szkodą, jaką mógłby mu wyrządzić czarownik posługując się jego imieniem." Wśród plemion Australii Środkowej każdy mężczyzna, każda kobieta, każde dziecko posiadają poza swym imieniem

własnym, będącym w powszechnym użytku, imię tajne lub święte, znane w pełni jedynie wtajemniczonym członkom grupy, które mu starsi nadają wkrótce po urodzeniu. Tego tajnego imienia nie wymienia się nigdy poza najbardziej uroczystymi okazjami. Wypowiedzenie tego imienia tak głośno, by mógł je usłyszeć członek innej grupy, byłoby bardzo poważnym naruszeniem zwyczajów obowiązujących w plemienu, równie groźnym jak najstraszliwsze świętokradztwo u nas. W wypadkach, gdy to jest konieczne, wymienia się je zawsze szeptem po przedsięwzięciu najbardziej skomplikowanych środków ostrożności, by nikt poza członkami grupy imienia nie usłyszał. "Tubylec uważa, że obcy znający jego tajne imię posiadzie specjalną moc wyrządzenia mu krzywdy za pomocą magii."

Ta sama obawa doprowadziła do powstania podobnych zwyczajów u starożytnych Egipcjan, których stosunkowo wysoka cywilizacja w dziwaczny sposób przeplatała się z pozostałościami pierwotności najniższego rzędu. Każdy Egipcjanin otrzymywał dwa imiona, z których jedno uchodziło za imię prawdziwe, czyli wielkie, drugie zaś za dobre, czyli małe. Dobre, czyli małe, znane było publicznie, wielkie zaś, czyli prawdziwe, starannie zatajano. Dziecko braminów otrzymuje dwa imiona, jedno dla codziennego użytku, drugie zaś tajne, którego nikt nie zna poza ojcem i matką. To ostatnie imię używane jest jedynie przy takich uroczystościach jak ślub.

Araukanie nie zdradzą swego imienia przed obcym, ponieważ lękają się, że w ten sposób zdobędzie on jakąś moc nadprzyrodzoną nad nimi. Araukanin zapytany przez człowieka obcego, nie znającego tego obyczaju, o imię, odpowiada: "Nie mam imienia."

Wielu dzikich z największą niechęcią wymawia swe własne imię, natomiast w ogóle nie sprzeciwia się temu, by inne osoby je wymawiały, a nawet zachęca je, by zaspokoili ciekawość dociekliwego cudzoziemca. W niektórych okolicach Madagaskaru zdradzenie własnego imienia jest tabu, ale czyni to towarzyszący człowiekowi niewolnik lub sługa. Tę samą dziwaczną niekonsekwencję zanotowano u niektórych plemion indiańskich Ameryki Północnej. Dowiadujemy się mianowicie, że "imię amerykańskiego Indianina jest rzeczą świętą i bez przemyślenia sprawy nikt swego imienia nie wyjawia. Można zapytać wojownika jakiegokolwiek plemienia o imię, a w odpowiedzi usłyszy się odmowę bez ogródek albo dyplomatyczne wykręty; zapytany odpowiada, że nie wie, o co chodzi pytającemu. Z chwilą gdy zbliży się przyjaciel, zapytany wojownik szepnie mu na ucho, o co go zapytano, a wówczas przyjaciel może zdradzić imię, za co tamten odwzajemni się taką samą przysługą."

Czasami zakaz zdradzania imion własnych nie jest stały. Uwarunkowany jest wówczas okolicznościami, a gdy te się zmieniają, zakaz przestaje działać. Gdy wojownicy z plemienia Nandi są na wyprawie, nikt w domu nie wymienia imion nieobecnych wojowników. Mówi się o nich jako o ptakach. Gdyby dziecko zapomniało się tak dalece, by wspomnieć o którymś z nieobecnych po imieniu, matka upomina je mówiąc: "Nie mów o ptakach, które latają po niebie." U Bangalów w Górnym Kongo imię rybaka podczas połowu i w chwili, gdy wraca ze swym połowem, jest "w zawieszeniu" i nie wolno nikomu imienia tego wymieniać. Bez względu na to, jakie imię nosi, nazywa się go *tnwele*, bez żadnych cech rozpoznawczych. Tłumaczy się to tym, że w rzece jest mnóstwo duchów, które dosłyszawszy prawdziwe imię rybaka mogą tak sprzysiąc się przeciw niemu, że złowi niewiele albo nic. Jeśli nawet nałowił ryb i dowiózł je do brzegu, nabywcy nie wolno zwracać się do niego używając jego właściwego imienia, wolno mu jedynie nazwać go *mwele*; bo nawet wówczas, gdyby duchy usłyszały jego prawdziwe imię, mogłyby je sobie zapamiętać i zemścić się na nim przy innej okazji lub też tak zepsuć rybę, że niewiele będzie miał korzyści z połowu. Dlatego też rybak ma prawo żądać dużego odszkodowania od człowieka, który wymienił jego imię, i może zmusić bezmyślnego winowajcę do wykupienia ryby po wysokiej cenie, by w ten sposób szczęście znów mu dopisywało.

Widzieliśmy już, że w wypadkach, gdy uważa się za konieczne zachowanie w tajemnicy imienia człowieka, nadaje mu się przydomek lub drugie imię. Widocznie uważa się, że te zastępcze imiona, w odróżnieniu od imion prawdziwych względnie pierwotnych, nie są częścią człowieka, wobec czego mogą być używane swobodnie i wyjawiane każdemu nie narażając nikogo. Czasami dla uniknięcia używania imienia własnego nazywa się człowieka po dziecku. Dowiadujemy się więc, że czarnoskórczy z Gippslandu sprzeciwiali się stanowczo temu, by ktokolwiek poza ich własnym plemieniem znał ich imiona, ponieważ mogłyby one dojść-, do wiadomości nieprzyjaciela, który posłużyłby się nimi dla rzucania uroków i pozbawienia właścicieli imion życia. Ponieważ zaś panuje przekonanie, że dzieci nie mają wrogów, zwykło się mówić o człowieku jako o "ojcu, wuju czy kuzynie Takiego-to-a-takiego" wymieniając imię dziecka; ale we wszystkich wypadkach powstrzymywano się od wypowiedziania imienia osoby dorosłej.

Niekiedy uważano, że rozpowszechniony zwyczaj nazywania ojca po dziecku wynikał z pragnienia podkreślenia ojcostwa, widocznie w celu przejęcia tych praw do dziecka, które dawniej w systemie pokrewieństwa w linii macierzystej posiadała matka. Ale wyjaśnienie to nie tłumaczy istniejącego równoległe zwyczaju nazywania matki po dziecku, który, jak się zdaje, współistnieje powszechnie ze zwyczajem nazywania ojca po dziecku. Jeszcze w mniejszym, jeśli to możliwe, stopniu, stosuje się to tłumaczenie do zwyczaju nazywania bezdzietnych małżeństw ojcem i matką nie istniejących dzieci lub też nazywania ludzi od imion młodszych braci względnie określenia dzieci jako wujów i ciotki Takiego-to-a-takiego lub też ojców i matki ich kuzynów w pierwszej linii. Jednak wszystkie te zwyczaje dadzą się wytłumaczyć prosto i naturalnie, jeśli założymy, że ich źródłem jest niechęć do wypowiedziania prawdziwego imienia osoby, do której się zwraca względnie o której się mówi.

Oczywiście należałoby się spodziewać, że ten powszechny opór, jeśli idzie o używanie imion własnych, nie działa, a w każdym razie jest mniejszy wśród krewnych i przyjaciół. Ale często sprawa przedstawia się wręcz przeciwnie. Przepis ten stosuje się najbardziej surowo właśnie do osób związanych bliskimi węzłami krwi, a szczególnie węzłami małżeńskimi. W takich wypadkach nie tylko nie wolno wypowiadać imion krewnych, ale często nawet zwyczajnych słów przypominających czy chociażby mających wspólną sylabę z tymi imionami. Zakaz ten obowiązuje szczególnie męża i żonę, męża i rodziców żony oraz kobietę i jej teścia. U Kafrów kobieta nie powinna wymawiać publicznie imienia swego męża i jego braci ani też używać zakazanego słowa w jego zwyczajnym znaczeniu.

Jeśli na przykład mąż nazywa się Impaka, od *impdka*, małego zwierzęcia z rodziny kotów, musi ona mówiąc o tym zwierzęciu używać innego określenia. Nie wolno jej nawet w myśli wymawiać imienia teścia i wszystkich męskich krewnych męża w linii wstępnej. Jeśli akcentowana sylaba znajdująca się w którymś z tych imion przytrafi się w innym słowie, kobieta musi wynaleźć zupełnie nowe słowo albo przynajmniej zastąpić je inną sylabą. Zwyczaj ten doprowadził do powstania niemal odrębnego języka kobiet, który Kafrowie nazywają językiem niewiast. Tłumaczenie tego języka kobiet jest oczywiście bardzo utrudnione, "ponieważ nie ma żadnych ścisłych reguł tworzenia słów zastępczych; nie można

również ułożyć słownika, gdyż słów takich jest zbyt wiele, skoro nawet w jednym i tym samym plemienu może być wiele kobiet, którym nie wolno będzie posługiwać się słowami zastępczymi używanymi przez inne kobiety, tak samo jak nie wolno im używać słów pierwotnych". Kafr ze swej strony nie ma prawa wymieniać imienia swej teściowej, a jej nie wolno wymieniać jego imienia, wolno mu natomiast używać słów, w których występuje akcentowana sylaba jej imienia. Kirgizce nie wolno wymieniać imion starszych krewnych męża ani nawet używać słów przypominających je fonetycznie. Jeśli więc na przykład jeden z krewnych nazywa się "Owczarz", nie wolno jej używać słowa "owce", lecz musi je nazywać "beczące", jeśli nazywa się "Jagnię", musi o jagniętach mówić: "młode beczące". W Indiach południowych żony wierzą, że użycie imienia męża, a nawet wymienienie tego imienia we śnie spowodziłoby na niego przedwczesną śmierć.

W starożytności Albańczycy zamieszkali na Kaukazie nigdy nie wymieniali imion osób zmarłych, a zwyczaj ten obowiązuje jeszcze po dziś dzień u wielu dzikich plemion. Dowiadujemy się na przykład, że większość tubylców w Australii ściśle przestrzega zakazu wymieniania imion osób zmarłych, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Głośne wypowiedzenie imienia osoby nieżyjącej stanowi brutalne pogwałcenie ich najświętszych przesądów i muszą starannie wystrzegać się tego. Wydaje się, że głównym motywem jest tu obawa przed przywołaniem ducha, chociaż niewątpliwie działa tu również naturalna niechęć odnawiania starych smutków i pragnienie zaciągnięcia zasłony zapomnienia nad imionami zmarłych.

Z podobną niechęcią do wymieniania imion osób zmarłych spotykamy się u ludów tak od siebie odległych jak Samojeździ na Syberii i Todowie w południowych Indiach, Mongołowie w Tatarii i Tuaregowie na Saharze, Ajnowie w Japonii i Akamba oraz Nandi w Afryce Wschodniej, Tinguianie na Filipinach i mieszkańcy Nikobarów, Borneo, Madagaskaru i Tasmanii. We wszystkich tych wypadkach, nawet gdy nie jest to wyraźnie powiedziane, główną przyczyną jest prawdopodobnie lęk przed duchami. Wiemy o tym konkretnie w przypadku Tuaregów. Obawiają się oni powrotu ducha człowieka zmarłego i czynią wszystko, co w ich mocy, by temu zapobiec przez zmianę obozowiska po czyjejś śmierci, przez niewymawianie imienia zmarłego i unikanie wszystkiego, co mogłoby uchodzić za przywołanie lub przypomnienie jego duszy. Odmienne aniżeli Arabowie, do imion swych nie dodają imion ojców, nigdy nie mówią o człowieku: Taki-to, syn takiego. Każdy człowiek otrzymuje u nich imię, które wraz z nim umiera. Wśród plemion Wiktorii w Australii imiona rzadko były uwieczniane, ponieważ tubylcy uważali, że każdy, kto przyjmie imię osoby zmarłej, nie będzie żył długo. Prawdopodobnie byli zdania, że imiennik-nieboszczyk przyjdzie i porwie tak nazwanego człowieka do krainy duchów.

Ta sama obawa przed duchem, która nakazuje ludziom unikać jego dawnego imienia, skłania oczywiście wiele osób noszących te same imiona do zamiany ich na inne, by wypowiedzenie imienia nie zwróciło uwagi ducha, po którym przecież nie można się spodziewać, że potrafi zorientować się, o kim właściwie jest mowa, gdy feralne imię padnie. Dowiadujemy się więc, że w zatokach Adelaida i Encounter plemiona południowoaustralijskie do tego stopnia wzdragają się przed wypowiedzeniem

imion osób niedawno zmarłych, iż ludzie noszący te same imiona co nieboszczyk porzucają je, przyjmują imiona tymczasowe albo używają jakichkolwiek innych nadanych im imion.

Niekiedy na tej samej zasadzie wszyscy bliscy krewni zmarłego zmieniają imiona, zapewne obawiając się, by dźwięk znajomego imienia nie zwabił z powrotem błakającego się ducha.

Jeśli tak się przypadkowo złoży, że imię zmarłego jest również nazwą czegoś, na przykład zwierzęcia, rośliny, ognia lub wody, uważa się niekiedy za konieczne zrezygnowanie z używania tego słowa i zastąpienie go innym. Jest rzeczą oczywistą, że tego rodzaju zwyczaj może łatwo stać się potężnym bodźcem do zmiany języka, tam bowiem, gdzie zwyczaj ten jest szerzej rozpowszechniony, wiele słów stale wychodzi z użytku i na ich miejsce pojawiają się nowe. Tendencję tę zauważyli obserwatorzy, którzy zanotowali ten zwyczaj w Australii, Ameryce i innych częściach świata.

Podobny zwyczaj był powodem ustawicznych zmian języka Abiponów w Paragwaju, lecz tam słowo raz porzucone nigdy nie bywa wskrzeszane. Nowe słowa - opowiada misjonarz Dobrizhoffer⁵⁶ - pojawiały się co roku jak grzyby po deszczu, ponieważ wszystkie słowa przypominające imiona zmarłych są znoszone proklamacjami i na ich miejsce ustala się nowe. Fabrykowanie słów spoczywa w rękach starych kobiet plemienia i każdy termin, który uzyskuje ich aprobatę i zostaje przez nie wprowadzony do obiegu, jest natychmiast przyjmowany bez szemrania przez wielkich i małych na równi i jak ogień rozprzestrzenia się po wszystkich obozowiskach i koczowiskach plemienia. Zdumielibyście się - powiada ten sam misjonarz - jak pokornie cały naród przyjmuje decyzję starej, pomarszczonej jędzy i jak bez najmniejszej zwłoki dawne, dobrze znane słowa wychodzą z użytku i nie są nigdy powtarzane nawet z nawyku czy przez zapomnienie. W ciągu trzech lat, które Dobrizhoffer spędził wśród Indian, lokalne słowo oznaczające jaguara zmienione zostało trzykrotnie, a słowa oznaczające krokodyla, cierni i zarzynanie bydła spotkały podobne, chociaż mniej urozmaicone losy. Na skutek tego zwyczaju słowniki misjonarzy roiły się od wykreśleń, nieustannie bowiem trzeba było usuwać stare słowa i wstawiać na ich miejsce nowe. U wielu plemion Brytyjskiej Nowej Gwinei imiona osób są również nazwami pospolitymi. Ludzie wierzą tam, że duch zmarłego powróci, gdy się wymówi jego imię, a ponieważ bynajmniej nie pragną tego, wymienianie imienia jest tabu i tworzy się nowe słowa dla zastąpienia nimi starych, gdy tak się składa, że są one równocześnie pospolitymi określeniami. Skutek jest taki, że wiele słów ginie bezpowrotnie lub też wskrzesza się je z odmiennym znaczeniem. W podobny sposób zwyczaj ten odbił się na języku mieszkańców Nikobarów. Panuje u nich dziwny obyczaj - opowiada de Roepstorff⁵⁷ - który, zdawałoby się, radykalnie uniemożliwia "tworzenie historii", a w każdym razie przekazywanie historycznych opowieści. Surowy przepis, obwarowany wszystkimi sankcjami przesądów nikobarskich, zabrania wymieniania jakiegokolwiek imienia po śmierci człowieka, który je nosił! Do tego stopnia jest to ściśle przestrzegane, że gdy, jak to się często zdarza, człowiek miał

⁵⁶ Martin Dobrizhoffer (1717-1791) - jezuicki misjonarz i pisarz. Przez wiele lat działał w Paragwaju wśród Indian plemienia Abipone. Opublikował w Wiedniu po łacinie swą *Historia de Abiponibus*.

imię w rodzaju "Kogut", "Kapelusz", "Ogień", "Droga" itp., użycie tych słów w nikobarskim brzmieniu jest na przyszłość surowo zabronione nie tylko w znaczeniu imienia własnego nieboszczyka, ale i jako nazwy rzeczy. Słowa te wymierają i bądź to ukuwa się nowe terminy, bądź też znajduje się odpowiednik w jednym z nikobarskich dialektów lub w jakimś języku obcym. Osobliwy ten zwyczaj nie tylko zwiększa niestałość języka, ale niszczy też ciągłość życia politycznego. Zapisywanie rzeczy minionych staje się nieścisle, a nawet wręcz niemożliwe.

Również i inni badacze zajmujący się tą dziedziną stwierdzili, że przesąd zakazujący używania imion zmarłych musi podcinać korzenie tradycji historycznej. "Tradycje ludu Klamath - pisze A. S. Gatschet⁵⁸ - nie sięgają dalej wstecz aniżeli na jedno stulecie z tej prostej przyczyny, że istniało tam surowe prawo zakazujące wymieniania imienia przy wspomnianiu zmarłego człowieka lub jego czynów. Prawo to było równie skrupulatnie przestrzegane przez Kalifornijczyków jak i Oregończyków, a naruszenie go groziło karą śmierci. Z pewnością wystarczy to, by zlikwidować wszelką wiedzę historyczną ludu. Jakże można pisać historię bez imion?"

U Indian Pujalup przestrzeganie tego tabu staje się mniej surowe po upływie kilku lat, gdy żałobnicy zapomnieli już o swym smutku, a jeśli zmarły był słynnym wojownikiem, jeden z jego potomków, na przykład prawnuk, może być nazwany jego imieniem. W plemieniu tym tabu to nigdy nie jest zbyt ściśle przestrzegane, chyba tylko przez krewnych zmarłego. Misjonarz jezuicki Lafitau⁵⁹ opowiada, że imię nieboszczyka i podobne imiona tych, którzy pozostali przy życiu, były, że się tak wyrazimy, grzebane razem ze zwłokami i pozostawały w grobie do chwili, gdy żal stawał się bardziej umiarkowany i krewnym podobało się "podnieść drzewo i wskrzesić zmarłego". Przez wskrzeszenie zmarłego rozumieli nadanie imienia nieboszczyka komuś innemu, który w ten sposób stawał się wcieleniem zmarłego, jako że zgodnie z zasadami pierwotnej filozofii imię jest częścią ważną, a nawet samą duszą człowieka.

Jak więc widzimy, w społeczeństwie pierwotnym imiona zwykłych śmiertelników otoczone były bardzo troskliwą opieką, cóż więc dziwnego, że dla ochrony imion świętych królów i kapłanów stosowano szczególne środki ostrożności. Imię króla Dahomeju zawsze trzymane jest w tajemnicy, żeby nie dowiedział się o nim ktoś mający złe zamiary i nie wyrządził królowi krzywdy. Europejczycy nie znali prawdziwych imion królów Dahomeju, ale jedynie ich tytuły, które tubylcy nazywają "mocnymi imionami", uważają bowiem, że znajomość tych tytułów nie może przynieść żadnej szkody, ponieważ, w odróżnieniu od imion nadanych przy urodzeniu, nie są one związane w sposób istotny z właścicielem.

W Syjamie trudno było ustalić prawdziwe imię króla, ukrywano je bowiem z obawy przed czarami. Każdy, kto ośmielił się imię króla wymienić, zostawał wtrącony do więzienia. Mówiąc o królu należało

⁵⁷ Frederik Adolph de R o e p s t o r f f (1842-1883) - duński podróżnik i etnograf, ułożył m. in. słownik dialektów nikobarskich.

⁵⁸ Albert Samuel G a t s c h e t (1832-1907) - amerykański antropolog i etnolog. Zajmował się głównie badaniem narzeczcy Indian Ameryki Północnej.

⁵⁹ Joseph-Francois L a f i t a u (1670-1740) - jezuita francuski, jako misjonarz przebywał u Irokezów w Kanadzie.

posługiwać się jedynie wspaniale brzmiącymi tytułami, jak na przykład: "dostojny", "doskonały", "największy", "wielki cesarz", "potomek aniołów" itp.

W starożytnej Grecji imiona kapłanów i innych dostojników, którzy mieli coś wspólnego z misteriami eleuzyńskimi, nie mogły być wymawiane za ich życia. Wymienianie takiego imienia było przestępstwem karanym przez prawo. Pedant u Lukiana⁶⁰ opowiada, jak to spotkał te dostojne osobistości, gdy usiłowały zawlec na posterunek policji sprośnego jegomościa, który ośmielił się nazwać ich po imieniu, chociaż dobrze wiedział, że było to zakazane od chwili, gdy przyjęli święcenia, kiedy to stracili swe dawne imiona i otrzymali nowe, święte tytuły. Z dwóch napisów znalezionych w Eleuzys wynika, że imiona kapłanów wrzucano w głębiny morskie. Prawdopodobnie ryto je na tabliczkach z brązu lub ołowiu, które następnie topiono w głębokich wodach zatoki Salamis. Intencją było tu zapewne utrzymanie imion w największej tajemnicy, a czyż istnieje na to lepszy sposób jak zatopić je w morzu? Czyż potrafi wyśledzić je ludzkie oko w mrocznych głębiach zielonej wody? Trudno o lepszy przykład pomieszczenia rzeczy niematerialnych i materialnych, pomieszczenia imienia z jego materialnym ucieleśnieniem aniżeli w tym obyczaju praktykowanym w cywilizowanej Grecji.

Człowiek pierwotny tworzy bogów na własne podobieństwo. Ksenofanes⁶¹ już dawno stwierdził, że murzyńscy bogowie mają czarną skórę i płaskie nosy, że bogowie traccy byli rumiani i mieli niebieskie oczy i że gdyby konie, lwy i woły wierzyły w bogów i miały ręce, którymi mogłyby sporządzić ich wizerunki, bóstwa ich niewątpliwie przybrałyby kształty koni, lwów i wołów. Podobnie więc jak skryty dziki zataja swe prawdziwe imię obawiając się, by czarownik nie zrobił z niego złego użytku, tak samo wyobraża sobie, że bogowie ukrywają swe imiona prawdziwe przed innymi bogami i ludźmi chroniąc się w ten sposób przed urokami. Nigdzie na świecie nie wierzono tak silnie i nie rozbudowywano tak pieczołowicie prymitywnej koncepcji tajemniczości imienia boskiego i jego właściwości magicznych jak w starożytnym Egipcie, gdzie odwieczne przesady z mumifikowane były w sercach ludu równie skutecznie jak ciała kotów, krokodyli i reszty boskiej menażerii w grobowcach wykutych w skałach. Doskonałą ilustracją tej koncepcji jest historia Izis, która podstępem wyłudziła od wielkiego egipskiego boga słońca Ra tajemnicę jego imienia. Izis, jak głosi opowieść, była kobietą bardzo wymowną. Znudziła ją ludzkie, stęskniła się za światem bogów. Rozmyślając nad tym w samotności powiedziała sobie: "Czyż nie mogłabym za pomocą potężnego imienia Ra stać się boginią i rządzić podobnie jak on ziemią i niebem?" Ra miał bowiem wiele imion, jednak to wielkie, któremu zawdzięczała całą swą władzę nad bogami i ludźmi, znane było tylko jemu jednemu. A bóg tymczasem zestarzał się, ślina się i ślina spadała na ziemię. Zebrała więc Izis ślinę i zmieszawszy ją z ziemią ulepiła węża i położyła go na drodze, którą

⁶⁰ Lukian z Samosaty w Kommagenie nad Eufratem (123-190 r. n. e.) - pisarz i filozof starożytny, autor wielu utworów satyrycznych, pisanych w formie dialogów, w których szydzi z pyszałkowatości filozofów spekulatywnych, z przesądów religijnych, zabobonów, z chciwości ludzkiej oraz podkreśla i krytykuje przewrotność bogaczy i nierówności społeczne.

bóg codziennie podążał do swego podwójnego królestwa, zgodnie ze swym pragnieniem. A gdy nadszedł, otoczony światą bogów, święty wąż ukąsił go, a wtedy bóg otworzył usta i krzyknął, a okrzyk jego uniósł się pod niebiosa. A wówczas świat bogów zawołała: "Cóż cię boli?" I krzyczeli bogowie: "Patrzcie i podziwiajcie", ale on nie mógł im odpowiedzieć, szczęki mu latały, drżały członki, jad płynął przez ciało jak Nil przez kraj. Gdy wreszcie bóg uspokoił się, zawołał do swej świty: "Przyjdźcie do mnie, o dzieci moje, potomkowie mego ciała. Jestem księżciem, synem księcia, z boskiego nasienia. Ojciec mój wynalazł me imię, nadali mi je moi rodzice i pozostało ono ukryte w mym ciele od chwili narodzenia, by żaden czarownik nie miał nade mną władzy magicznej. Szedłem, by spojrzeć na to, co stworzyłem, wszedłem do dwóch krajów, które były moim dziełem, a oto coś mnie ukąsiło. Nie wiem, co to było. Czy był to ogień? Czy była to woda? Serce me płonie, ciało me drży, dygocą wszystkie moje członki. Sprowadźcie mi dzieci boże ze słowami leczącymi i wargami leczącymi i wargami niosącymi pociechę, których sił sięga niebios.". Przybyły więc do niego dzieci boże, bardzo zasmucone. Przybyła również Izis ze swymi czarami, której usta pełne są tchnienia życia, której zaklęcia przepędzają ból, której słowa wskrzeszają zmarłych. Powiedziała: "Co się stało, boski Ojczy? Co się stało?" Święty bóg otworzył usta i przemówił tymi słowami: "Szedłem swoją drogą, szedłem w swoich sprawach do dwóch krajów, które stworzyłem po to, by umieścić w nich dzieła rąk moich, i oto wąż, którego nie zauważyłem, pokąsał mnie. Czy to ogień, czy to woda? Zimniejszy jestem od wody, gorętszy od ognia, pocę się cały i drzę, oczy moje są niespokojne, nie widzę nieba, wilgoć pokrywa moją twarz jak w porze letniej." Odpowiedziała wówczas Izis: "Powiedz mi swe imię, boski Ojczy, albowiem żyć będzie człowiek, który nazwany będzie swoim imieniem." Odpowiedział jej na to Ra: "Stworzyłem niebo i ziemię, nakazałem, by były góry, zrobiłem wielkie i rozległe morze, rozciągnąłem oba horyzonty jak zasłonę. Gdy ja otwieram oczy, jest jasno, a gdy je zamykam, jest ciemno. Na mój rozkaz Nil wzbiera, ale bogowie nie znają mego imienia. Jestem Khepera rano, Ra w południe i Tum o wieczorze." Ale trucizna z niego nie uchodziła, przenikała coraz głębiej i wielki bóg nie mógł już chodzić. Wówczas Izis powiedziała do niego: "Nie powiedziałaś mi swego imienia. Ach, zdradź mi je, by trucizna mogła cię opuścić; żyć bowiem będzie ten, którego imię wymienione." Trucizna paliła już teraz jak ogień, była gorętsza od płomieni. Bóg powiedział: "Zgadzą się na to, by Izis zbadła mnie i by imię moje przeszło do jej piersi z moich." Ukrył się wówczas bóg przed bogami i miejsce jego w łodzi wieczności było puste. W ten oto sposób odebrane zostało wielkiemu bogowi jego imię, a Izis-czarownica przemówiła: "Odpłyń, trucizno, opuść Ra. To ja, właśnie ja, pokonuję truciznę i rucam ją na ziemię, albowiem odebrane mu zostało imię wielkiego boga. Niech Ra żyje i niech trucizna zginie." Tak oto mówiła wielka Izis, królowa bogów, ta, która zna Ra i jego prawdziwe imię.

⁶¹ Ksenofanes z Kolofonu (VI-V w. p. n. e.) - filozof grecki, osiadł po długich wędrówkach w Elei, w południowej Italii, i tam założył filozoficzną szkołę "eleacką". Zwalczał politeizm i antropomorfizm. Jest to pierwszy panteista i monoteista wśród filozofów greckich.

Z historii tej wynika, że prawdziwe imię boga, z którym nierozdzielnie związana była jego siła, mieściło się w fizycznym niemal sensie gdzieś w jego piersi, skąd Izis wyjęła je za pomocą swego rodzaju operacji chirurgicznej i przeniosła je wraz ze wszystkimi magicznymi właściwościami do swego ciała. W Egipcie tego rodzaju poczynania jak dokonana przez Izis próba przywłaszczenia sobie siły wielkiego boga dzięki poznaniu jego imienia nie były jedynie legendami o mitycznych istotach, które żyły w zamierchłej przeszłości. Każdy czarownik egipski pretendował do władzy nad podobnymi mocami przy użyciu takich samych środków. Wierzone bowiem, iż człowiek, który posiada prawdziwe imię, posiada samego boga czy człowieka, który je nosi, i może nawet bóstwo zmusić do posłuszeństwa, tak jak się zmusza niewolnika. Sztuka czarowników polegała więc na nakłonieniu bogów do ujawnienia swych prawdziwych imion, a dla osiągnięcia tego celu nie powstrzymywali się przed niczym. Gdy tylko bóg w chwili słabości czy zapomnienia zdradził czarownikowi tę cudowną wiedzę, nie miał już innego wyboru, jak podporządkować się pokornie człowiekowi lub pokutować za swoją krnąbrność.

W magiczne właściwości imienia boskiego wierzyli również Rzymianie. Gdy przystępowali do oblegania jakiegoś miasta, kapłani ich zwracali się do bóstwa opiekuńczego miejscowości wygłaszając specjalne modlitwy względnie zaklęcia i namawiając je do opuszczenia oblężonego grodu i przejścia na stronę Rzymian, którzy potraktują je równie dobrze, a nawet lepiej, niż było traktowane w swoim starym przybytku. Dlatego też imię opiekuńczego bóstwa Rzymu trzymane było w głębokiej tajemnicy, by wrogowie republiki nie mogli przeciągnąć go na swoją stronę, właśnie tak, jak sami Rzymianie nakłonili wielu bogów, by podobnie do szczyrów opuścili upadające miasta, które dawały im schronienie w lepszych czasach. Nie tylko zresztą prawdziwe imię opiekuńczego bóstwa, ale prawdziwa nazwa miasta otoczona była tajemnicą i nie wolno jej było nigdy wymawiać, nawet podczas świętych obrządków. Niejaki Valerius Soranus, który ośmielił się wyjawić tę bezcenną tajemnicę, został skazany na śmierć czy też skończył tragicznie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

CO ZAWDZIĘCZAMY CZŁOWIEKOWI DZIKIEMU?

Listę królewskich i kapłańskich tabu można łatwo rozszerzyć, ale przykłady opisane na poprzednich stronicach powinny nam wystarczyć. Pozostaje więc jedynie dla zakończenia tematu streścić krótko ogólne wnioski, do których doszliśmy na podstawie naszych dotychczasowych badań. Widzieliśmy więc, że w społeczeństwach barbarzyńskich względnie pierwotnych często spotykamy się z ludźmi, którym bliźni przesądnie przypisują władzę nad biegiem natury. W związku z tym ludzie tacy są czczeni i traktowani jak bogowie. Nie interesuje nas w tym miejscu, czy te ludzkie bóstwa posiadają również doczesną władzę nad życiem i losami swoich wiernych ani też czy ich funkcje są czysto duchowne i nadprzyrodzone; innymi słowy, czy są równocześnie królami i bogami, czy też tylko bogami. Istotnym dla nas faktem jest ich rzekoma boskość. Dzięki niej są oni dla swych wyznawców gwarantami ciągłości i ładu tych zjawisk fizycznych, od których zależy istnienie ludzkości. Jest więc rzeczą samo przez się zrozumiałą, że życie i zdrowie takich ludzi-bogów jest przedmiotem zaniepokojenia i troski ludów, których dobrobyt, a nawet samo istnienie związane jest z nimi. Zmuszają one wówczas człowieka-boga do przestrzegania takich przepisów, na jakie potrafi się zdobyć umysł człowieka pierwotnego, mających zaś na celu odwrócenie chorób przyrodzonych ciała ludzkiemu i ostatniego zła - śmierci. Przepisy te, jak dowiodły badania, nie są niczym innym jak zasadami, do których stosować się musi z czystego rozsądku - z pierwotnego punktu widzenia - każdy człowiek, jeśli pożyje dostatecznie długo na świecie. W przypadku zwykłego człowieka przestrzeganie tych przepisów jest sprawą osobistej decyzji, natomiast człowiek-bóg musi ich przestrzegać pod groźbą utraty swego wysokiego stanowiska lub nawet śmierci. Życie jego posiada bowiem dla wiernych zbyt wielką wartość, by mogli mu pozwolić na swobodne igranie nim. Dlatego też wszystkie malownicze przesady, staroświeckie maksymy, czcigodne przysłowia, które ukuła zmyślność prymitywnych filozofów przed wiekami, a które stare kobiety na przypeckach wciąż jeszcze przekazują jako największe skarby swym potomkom zebranych w zimowe wieczory przy kominku wiejskim - wszystkie te pradawne fantazje i pajęczyny mózgu oprzędły drogę dawnego króla, ludzkiego boga, który zaplątany w nich jak mucha w pajęczej sieci nie mógł ruszyć ręką ani nogą. Nici obyczajów "lekkie jak powietrze, lecz silne jak żelazne ogniwa" splatając się w labirynt bez wyjścia więziły króla w sieci, z której wyzwolić mogła go jedynie śmierć lub detronizacja.

Oto dlaczego dla badaczy przeszłości życie dawnych królów i kapłanów jest tak bogatą skarbnicą wiadomości. Stanowiło ono podsumowanie wszystkiego, co uchodziło za mądrość, gdy ludzkość była jeszcze młoda. Był to wzór idealny, według którego każdy starał się kształtować swe życie, bezbłędny model, sporządzony ściśle według nakazów pierwotnej filozofii. Nam filozofia ta może się wydawać prymitywna i fałszywa, ale byłoby niesprawiedliwością odmawiać jej logicznej konsekwencji. Wychodząc z założenia, że pierwiastek życia jest duszą czy też małym stworzeniem przebywającym w żywej istocie, ale różnym od niej i dającym się odłączyć, filozofia ta tworzy system przepisów

praktycznych, na ogół dobrze się uzupełniających i stanowiących skończoną harmonijną całość. Błąd systemu - a jest to błąd fatalny - nie leży w rozumowaniu, lecz w przesłankach, w koncepcji istoty życia, a nie we wnioskach, które z tej koncepcji wyciąga. Byłoby jednak dowodem braku wdzięczności i niefilozoficznej postawy napiętnowanie tych przesłanek jako śmiesznych dlatego tylko, że łatwo potrafimy wyśledzić ich fałszywość. Stoimy na fundamentach wzniesionych przez minione pokolenia i bardzo mgliście możemy sobie wyobrazić, na jak bolesne i długotrwałe wysiłki musiała zdobywać się ludzkość, aby dobrać do tego punktu - koniec końców nie tak bardzo wyniosłego - na którym dziś się znaleźliśmy. Jesteśmy winni wdzięczność tym bezimiennym i zapomnianym ludziom, których cierpliwym myślom i energicznym wysiłkom zawdzięczamy w znacznej mierze to, że jesteśmy obecnie tacy, jacy jesteśmy. Ilość nowej wiedzy, jaką jeden wiek, nie mówiąc już o jednym człowieku, może dodać do ogólnego zasobu, jest mała, toteż niedostrzeżenie góry przy równoczesnym przechwalaniu się kilkoma ziarenkami, które dane nam było dorzucić, oznacza głupotę i nieuczciwość, nie mówiąc już o braku wdzięczności. W chwili obecnej nie grozi nam bynajmniej niebezpieczeństwo niedoceny wkładu czasów nowożytnych czy nawet starożytności klasycznej do postępu ogólnej ludzkości, ale inaczej przedstawia się sprawa, gdy te granice przekraczamy. Zbyt często pogarda i śmiech lub wstręt i oskarżenia są jedynymi formami uznania, na jakie stać nas wobec człowieka dzikiego i jego sposobu bycia. A jednak spośród dobroczyńców, którym winni jesteśmy wdzięczność, wielu, a może nawet większość, było dzikimi. Koniec końców podobieństwa łączące nas z dzikimi są wciąż jeszcze znacznie liczniejsze aniżeli różnice, które nas od nich dzielą. A to wszystko, co mamy z nimi wspólnego i świadomie zachowujemy jako prawdziwe i użyteczne, zawdzięczamy naszym prymitywnym przodkom, powoli, własnym doświadczeniem zdobywającym te pozornie podstawowe idee, które skłonni jesteśmy uważać za pierwotne i intuicyjne, a które otrzymaliśmy od nich w spadku. Jesteśmy podobni do dziedziców fortuny przekazywanej od tyłu wieków, że pamięć o jej twórcach zaginęła, a chwilowi jej posiadacze uważają, że jest ona odwieczną i niezmienną własnością ich rodu od początku świata. Zastanowienie i badania powinny przekonać nas o tym, że naszym poprzednikom zawdzięczamy wiele z tego, co uważamy za nasze własne osiągnięcia, i że ich błędy nie były kapryśnymi dziwactwami czy obłądnymi pomysłami, lecz po prostu hipotezami, uzasadnionymi w tym czasie, gdy je postawiono, lecz uznanymi za niedostateczne w wyniku pełniejszych badań. Ku prawdzie dociera się jedynie przez ciągłe poddawanie próbom hipotez i odrzucanie tych, które okazały się błędne. Przecież i prawda jest jedynie hipotezą, dającą się najlepiej zastosować. Dlatego rozpatrując poglądy i praktyki bardziej prymitywnych wieków i ludów powinniśmy łagodnie traktować ich błędy jako nieuniknione potknięcia w drodze do prawdy, i powinniśmy okazywać tę wyrozumiałość, która nam może być kiedyś potrzebna: *Cum excusatione itaque veteres audiendi sunt*⁶²

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

⁶² Z pobłażliwością należy wysłuchać i starych (łac).

ZABIJANIE BOSKIEGO KRÓLA

Człowiek stworzył bogów na swe podobieństwo, a ponieważ sam jest śmiertelny, więc uważał oczywiście, że i dzieła jego czeka ten sam smutny los. Grenlandczycy, na przykład, wierzyli, że wiatr może zabić najpotężniejszego boga, a już z całą pewnością czeka go śmierć, jeśli dotknie psa. Gdy dowiedzieli się o Bogu chrześcijańskim, dopytywali się nieustannie, czy on nigdy nie umiera, a gdy powiedziano im, że nie umiera, byli bardzo zdziwieni i twierdzili, że zaiste musi to być bardzo wielki Bóg. Pewien Indianin z Ameryki Północnej, zapytany przez pułkownika Dodge'a, odpowiedział, że świat został stworzony przez Wielkiego Ducha. Na pytanie, o którym z wielkich duchów mówi, o dobrym czy o złym, odpowiedział: "Ależ nie, o żadnym z nich. Wielki Duch, który stworzył świat, już dawno nie żyje. Nie mógłby przecież żyć tak długo." Jedno z plemion zamieszkujących Filipiny oświadczyło hiszpańskim zdobywcom, że grób Stwórcy znajduje się na szczycie góry Cabunian. Heitsiebib, bóg czy też boski heros Hotentotów, umierał kilkakrotnie i wracał znowu do życia. Na groby jego można zazwyczaj natrafić w wąskich wąwozach górskich. Mijając taki grób Hotentot rzuca kamień, niekiedy mruczając pod nosem: "Daj nam liczne trzody." Zwiedzającym Kretę jeszcze na początku naszej ery pokazywano grób Zeusa, wielkiego boga Grecji. Ciało Dionizosa pochowane było w Delfach obok złotego posągu Apolla, a napis na grobowcu głosił: "Tu leży martwy Dionizos, syn Semeli." Według pewnej legendy sam Apollo pochowany był w Delfach, Pitagoras bowiem miał wyryć na jego grobowcu napis, który powiadał, jak to bóg został zabity przez pytona i pochowany pod trójnogiem.

Nie omijała wspólna dola wielkich bogów Egiptu, oni też starzeli się i umierali. Ale gdy w późniejszych czasach sztuka balsamowania przedłużała życie duszy przez zachowanie ciała od rozkładu na czas nieograniczony, pozwolono również bogom korzystać z dobrodziejstwa wynalazku, który zarówno im, jak i ludziom dawał uzasadnioną nadzieję na nieśmiertelność. Każda prowincja miała grobowiec i mumię swego zmarłego boga. W Mendes oglądano mumię Ozyrysa, Thinis szczyliło się mumią Anhouriego, a Heliopolis cieszyło się posiadaniem mumii Toumou. A chociaż wielcy bogowie Babilonu pojawiali się swym wyznawcom jedynie w snach i widzeniach, uważano, że mają ludzkie kształty, ludzkie namiętności i czeka ich los ludzi. Podobnie bowiem jak ludzie, przychodzili na świat i, podobnie jak ludzie, kochali, walczyli i umierali.

Skoro wielcy bogowie, przebywający z dala od zgrzyzot ziemskiego bytowania, muszą w końcu umierać, to czyż można się spodziewać, że bóg zamieszkujący słabą cielesną powłokę uniknie tego losu? A przecież słyszymy o królach afrykańskich, którzy wyobrażali sobie, że dzięki swoim czarom są nieśmiertelni. Wiemy już o tym, że ludy pierwotne niekiedy wierzą, iż bezpieczeństwo ich, a nawet bezpieczeństwo świata związane jest z życiem jednego z tych bogów-ludzi względnie ludzkich wcieleń bóstwa. Jest rzeczą zrozumiałą, że w obawie o własne życie otaczają jego życie najtroskliwszą opieką. Ale żadna opieka, żadne środki ostrożności nie mogą zapobiec starzeniu się człowieka-boga i wreszcie jego śmierci. Muszą więc wyznawcy jego liczyć się z tą smutną koniecznością i radzić sobie tak, jak tylko potrafią. Niebezpieczeństwo grozi wielkie, skoro bowiem bieg natury zależny jest od życia

człowieka-boga, jakichże straszliwych katastrof należy się spodziewać, w miarę jak słabną jego siły, aż wreszcie znikną zupełnie w chwili śmierci? Jest tylko jeden sposób na uniknięcie tego niebezpieczeństwa. Człowiek-bóg musi być zabity, gdy tylko pojawią się oznaki, że siły zaczynają go opuszczać, a duszę jego trzeba przenieść w energicznego następcę, zanim zagrażający rozkład ją uszkodzi. Dla dzikiego korzyści z tego rodzaju uśmiercania człowieka--boga, co nie pozwala mu umrzeć ze starości i choroby, są zupełnie oczywiste. Jeśli bowiem człowiek-bóg umiera śmiercią - jak my to nazywamy - naturalną, znaczy to w przekonaniu dzikusa, że dusza bądź to z własnej woli opuściła ciało i nie chce powrócić, bądź też, a to zdarza się częściej, że została zwabiona lub też przyłapana przez demona lub czarownika podczas swych wędrówek. W jednym jak i drugim przypadku dusza człowieka-boga będzie dla jego wyznawców stracona, wraz z nią przepadnie dobrobyt, a nawet samo ich istnienie jest zagrożone. Jeśliby nawet udało im się schwytać duszę umierającego boga, w chwili gdy opuszczała jego wargi lub nozdrza, i przekazać ją następcy, nie osiągną swego celu. Gdy bowiem bóg umiera z powodu choroby, dusza jego opuści ciało w ostatniej fazie słabości i wyczerpania i, osłabiona, będzie nadal wlokła swą bierną egzystencję w ciele, w które zostanie przeniesiona. Natomiast zabijając boga wierni przede wszystkim mogli być pewni, że złowią duszę w chwili, gdy opuszcza ciało, a wówczas przeniosą ją w odpowiedniego następcę, a po drugie, uśmiercając go, zanim osłabią się jego siły, zabezpieczą się przed równoczesnym rozpadem świata, który nastąpi wraz z rozkładem człowieka-boga. Tak więc uśmiercenie człowieka-boga i przeniesienie jego duszy w pełni sił na energicznego następcę spełni wszystkie wymogi i odwróci wszelkie niebezpieczeństwo.

W Kambodży nie pozwala się mistycznym Królom Ognia i Wody umierać śmiercią naturalną. Gdy więc tak się zdarzy, że jeden z nich zachoruje poważnie, starszyzna zaś dochodzi do przekonania, że nie wyzdrowieje, zabijają go pchnięciem sztyletu. Wiemy już o tym, że mieszkańcy Konga wierzą, iż śmierć naturalna ich kapłana *chitome* spowoduje koniec świata, w którym zostanie natychmiast zniszczona ziemia, istniejąca jedynie dzięki jego mocy i zasłudze. Gdy więc kapłan chorował i wydawało się, że umrze, człowiek wyznaczony na następcę wchodził do jego domu z sznurem lub pałką i dusił go lub zabijał uderzeniem pałki. Etiopskich królów Meroe czczono jako bogów, ale kapłan mógł w każdej chwili, powołując się na wyrocznie bogów, posłać do nich gońca z nakazem śmierci. Rozkazowi temu królowie zawsze się podporządkowywali aż do panowania Ergamenesa, współczesnego Ptolemeuszowi II, królowi Egiptu. Ergamenes ukończył grecką szkołę i wyzwolił się od przesądów swych ziomków, ośmielił się więc nie usłuchać rozkazu kapłana i wkroczywszy do Złotej Świątyni z oddziałem żołnierzy ściał mieczem kapłanów.

Jak się zdaje, podobne obyczaje zachowały się w tej części Afryki do czasów nowożytnych. U niektórych plemion Fazoql król zobowiązany był codziennie odprawiać sądy pod pewnym drzewem. Jeśli na skutek choroby czy z jakiegokolwiek innego powodu nie spełniał swego obowiązku przez trzy dni pod rząd, wieszano go na drzewie w pętli zaopatrzonej w dwa ostrza umieszczone w taki sposób, że gdy sznur się zaciskał pod ciężarem ciała królewskiego, ostrza przecinały mu gardło.

Zwyczaj uśmiercania królów przy pierwszych oznakach słabości czy starzenia się panował do niedawna, a może jeszcze nie wygasł i tylko drzemie u Szylluków mieszkających nad Białym Nilem. W ostatnich latach zajął się szczegółowo tym zwyczajem dr. C. G. Seligman⁶³. Szacunek, jakim Szyllukowie obdarzają swego króla, jak się okazuje, wynika głównie z przekonania, że jest on wcieleniem duszy Najakanga, półboskiego bohatera, założyciela dynastii, który osiedlił plemię na obecnym terytorium. Jednym z głównych artykułów wiary Szylluków jest przekonanie, że duch boskiego czy też na wpół boskiego Najakanga wcielony jest w panującego króla, który w związku z tym sam staje się w pewnej mierze bóstwem. Szyllukowie darzą króla wielką, wręcz religijną czcią i dokładają wszelkich starań, by uchronić go przed przypadkową śmiercią, równocześnie jednak żywią "przekonanie, że królowi nie wolno chorować i starzeć się, gdyż w miarę jak przestaną dopisywać mu siły, bydło zacznie chorować i nie będzie się rozmnażać, plony zgniją w polu, a coraz więcej ludzi będzie chorować i umierać". By zapobiec tym nieszczęściom, Szyllukowie systematycznie uśmiercali swych królów przy pierwszych oznakach choroby czy słabości. Jedną z fatalnych oznak chylenia się ku upadkowi była niemożność zaspokojenia seksualnych apetytów licznych żon królewskich, przebywających w wielu domach Faszody. Po odkryciu symptomów tej złowróżbnej słabości żony donosiły o tym wodzom, którzy, jak to powszechnie utrzymywano, zawiadamiali króla o czekającym go końcu przykrywając białą tkaniną jego twarz i kolana, gdy drzemał w spiekocie upalnego popołudnia. Egzekucja następowała wkrótce po wyroku śmierci. Budowano na taką okazję specjalną chatę, wprowadzano tam króla i kładziono go w taki sposób, że głowa jego spoczywała na łonie dziewicy będącej już w wieku odpowiednim do wstąpienia w związek małżeński. Następnie drzwi chaty zamurowywano, a para pozostawiona we wnętrzu bez jedzenia, wody i ognia umierała z głodu i braku powietrza. Dawny ten zwyczaj porzucono przed jakimiś pięcioma pokoleniami, ponieważ jeden z królów, który w ten sposób zginął, zanadto cierpiał. Obecnie wodzowie zawiadamiają króla o czekającym go losie, po czym duszą go w specjalnie do tego celu wybudowanej chacie.

Jak wynika z badań dra Seligmana, król Szylluków mógł nie tylko zginąć z całą ceremonią przy pojawieniu się pierwszych oznak słabości, lecz nawet w pełni sił mógł być w każdej chwili napadnięty przez rywala, a wtedy musiał bronić swej korony w walce na śmierć i życie. Zgodnie z rozpowszechnioną u Szylluków tradycją każdy syn królewski miał prawo walczyć w ten sposób z panującym królem, a gdy udało mu się go zabić, wstępował na tron. Jako że każdy król miał duży harem i wielu synów, liczba ewentualnych kandydatów do tronu musiała stale być znaczna, a panujący monarcha drżał zapewne o swe życie. Ale po to, by atak miał jakiegokolwiek widoki na powodzenie, musiał nastąpić nocą, w dzień bowiem król otaczał się swą strażą przyboczną i przyjaciółmi, a pretendent do tronu nie mógł nawet liczyć na to, że uda mu się utorować wśród nich drogę i zadać śmiertelny cios. Inaczej sprawa przedstawiała się nocą. Straż schodziła z warty, król zaś przebywał sam z ulubionymi

⁶³ Charles Gabriel Seligman (1873-1940) - angielski etnolog, napisał m. in. *The Melanesians of British New Guinea*,

żonami w swym pomieszczeniu, a wokół nie było nikogo, kto by mógł go obronić, poza kilkoma pastuchami, których chaty stały w pobliżu. Tak więc godziny mroku były niebezpieczne dla króla. Podobno spędzał je czuwając nieustannie, krążąc wokół swej chaty w pełnej zbroi, wpatrując się bacznie w najgłębsze cienie lub też stojąc w jakimś ciemnym kącie nieruchomo i czujnie jak wartownik na posterunku. Gdy w końcu rywal się pojawiał, walka toczyła się w ponurej ciszy, którą naruszał jedynie dźwięk krzyżujących się dzid i łoskot zderzających się tarcz, honor bowiem nie pozwalał królowi wzywać pomocy.

Podobnie jak sam Najakang, każdy z królów Szylluków czczony jest po śmierci w kaplicy wybudowanej nad jego grobem, a grób króla znajduje się zawsze w wiosce, w której się urodził. Kaplica grobowa króla podobna jest do kaplicy Najakanga, składa się z kilku chat otoczonych płotem. Jedną z chat stawia się na grobie króla, inne zajmują strażnicy świątyni. Trudno nawet odróżnić świątynie królów od świątyni Najakanga; religijny rytuał przestrzegany we wszystkich świątyniach jest identyczny co do formy i różni się tylko w szczegółach, a różnice owe należy przypisać najwidoczniej temu, że świątynie Najakanga uważane są za o wiele bardziej święte. Świątyniami grobowymi królów opiekują się wybrani do tego celu starcy i staruszki odpowiadający strażnikom grobu Najakanga. Są to zazwyczaj wdowy po nieżyjącym królu lub jego dawni słudzy, a gdy umierają, funkcje te przejmują ich potomkowie. Przy świątyniach grobowych znajdują się poświęcane trzody, z których składa się ofiary, podobnie jak w świątyni Najakanga.

Głównym elementem religii Szylluków jest prawdopodobnie kult świętych czy też boskich królów, żywych i umarłych. Ożywia ich jeden duch boski, który przechodził po kolei z na wpół mitycznego, jednak prawdopodobnie historycznego założyciela dynastii na wszystkich jego następców aż po dzień dzisiejszy. Tak więc Szylluk uważając swych królów za wcielone bóstwa, od których bezpośrednio zależy los ludzi, trzody i zboża, obdarza ich najgłębszą czcią i otacza troskliwą opieką. I chociaż może się to nam wydać dziwne, zwyczaj uśmiercania królów przy pojawieniu się pierwszych oznak choroby czy zawodzących sił wypływa z tej właśnie głębokiej czci i pragnienia zachowania go, a raczej ducha, który go ożywia, w niemal doskonałym stanie. Możemy nawet posunąć się dalej i powiedzieć, że obyczaj królobójstwa jest najlepszym dowodem ich szacunku dla królów. Wierzą bowiem, jak to widzieliśmy, że życie króla czy duszy jego jest tak silnymi więzami magicznego powinowactwa związane z pomyślnością całego kraju, że gdyby zachorował lub zestarzał się, plony zgniłyby w polu, trzody pochorowałyby się i przestały rozmnażać, a ludzie zginęliby od jakiejś epidemii. Przekonani więc są, że jedynym sposobem odwrócenia tych nieszczęść jest uśmiercenie króla, gdy jest jeszcze zdrów i silny, po to, by duch boski, odziedziczony po poprzednikach, mógł z kolei przejść na jego następcę. W związku z tym szczególnego znaczenia nabierają oznaki, które, jak się powszechnie utrzymuje, przypieczętowują wyrok śmierci na króla. Gdy już nie może zaspokoić namiętności swych licznych żon,

czyli, innymi słowy, gdy częściowo lub zupełnie przestał być zdolny do płodzenia potomstwa, nadszedł czas, by umrzeć i ustąpić miejsca bardziej energicznemu następcy. Powód ten, obok innych, usprawiedliwiających zabijanie królów, pozwala wywnioskować, że wierzą oni, iż płodność ludzi, bydła i plonów pozostaje w związku magicznego powinowactwa z rozrodczymi siłami króla. Wygaśnięcie tej siły w królu musi pociągnąć za sobą wygaśnięcie jej u ludzi, bydła i roślinności, co w bliskiej przyszłości spowodowałoby wygaśnięcie wszelkiego życia, zarówno ludzkiego, jak zwierzęcego i roślinnego. Nic więc dziwnego, że w obliczu takich niebezpieczeństw Szyllukowie nie chcą dopuścić do tego, co my nazwalibyśmy naturalną śmiercią króla na skutek choroby czy starości. Cechą charakterystyczną ich postawy wobec śmierci króla jest to, że nigdy nie mówią o niej jako o śmierci; nie mówią nawet, że król umarł, ale po prostu, że "odszedł", podobnie jak jego boscy przodkowie, Najakang i Dag, dwaj pierwsi królowie dynastii, którzy według tradycji nie zmarli, lecz znikli. Istnienie podobnych legend o tajemniczym znikaniu pierwszych królów w innych krajach, na przykład w Rzymie i Ugandzie, wskazuje, być może, że byli oni uśmierceni po to, by zachować ich życie.

Matiamwo jest jednym z wielkich królów czy cesarzy w głębi Angoli. Jeden z mniejszych królów tego kraju, Challa, opowiedział ekspedycji portugalskiej o tym, jak kończy życie matiamwo. "Nasi matiamwo - mówił - umierali zazwyczaj albo na wojnie, albo śmiercią gwałtowną i obecnego matiamwo czeka teraz podobny los, ponieważ żył już dosyć długo. Gdy dochodzimy w tej sprawie do porozumienia i postanawiamy, że ma być zabity, prosimy go, by wyruszył na wojnę przeciw naszym nieprzyjaciołom. Towarzyszymy mu wówczas i jego rodzinie i zazwyczaj tracimy przy tej okazji kilku ludzi. Jeśli uda mu się wrócić z wojny całym, wówczas wracamy na wojnę i walczymy jeszcze przez trzy lub cztery dni. Potem nagle opuszczamy go wraz z rodziną pozostawiając ich w rękach nieprzyjaciół. Gdy widzi, że jest opuszczony, każe ustawić swój tron, zasiada na nim i wzywa do siebie rodzinę. Nakazuje wówczas matce, by się zbliżyła, ona klęka u jego stóp, a wtedy on ucina jej głowę, po czym ścina po kolei synów, żony i krewnych i wreszcie na końcu najbardziej ukochaną żonę, która nazywa się anacullo. Po tej rzezi matiamwo, przystrojony w ceremonialny strój, oczekuje własnej śmierci, która też natychmiast następuje, gdy zabija go oficer wysłany przez potężnych wodzów sąsiednich plemion Caniquina i Canica. Odcina mu najpierw ręce w przegubach i nogi w kostkach, a na końcu dopiero głowę, po czym z kolei ścina się głowę oficerowi. Wszyscy wielmożowie opuszczają obozowisko, by nie być świadkami śmierci. Moim obowiązkiem jest pozostać na miejscu, przypatrywać się i zaznaczyć miejsce, w którym dwaj wielcy wodzowie, nieprzyjaciele matiamwo, pochowali jego ręce i głowę. Zabierają oni również do swych rezydencji cały majątek zabitego władcy i jego rodziny. Następnie urządza pogrzeb okaleczonych szczątków matiamwo, wracam do jego stolicy i proklamuję nowe rządy. Po czym wracam do miejsca, gdzie pochowana została głowa, ramiona i nogi, i za czterdziestu niewolników wykupuję je wraz z majątkiem nieboszczyka, który oddaję nowemu matiamwo. Tak było z wieloma matiamwo i tak musi być z obecnym."

Okazuje się, że również u Zulusów istniał zwyczaj uśmiercania królów, gdy na ich twarzy pojawiały się zmarszczki, a włosy zaczynały siwieć. W każdym razie wynikałoby to z następującego fragmentu relacji człowieka, który przez pewien czas przebywał na dworze osławionego tyrana zuluskiego, Czaki, w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku: "Niezwykłe powodzenie, jakim cieszyłem się u króla, zawdzięczałem przede wszystkim niedorzecznemu specyfikowi, brylantynie. Mr. Fareweil bowiem przekonał go, że jest to panaceum na wszystkie oznaki starości. Od chwili gdy dowiedział się, że preparat taki można dostać, zastanawiał się, jak by go zdobyć, i nie pomijał okazji, by nam przypomnieć, że wyczekuje go z utęsknieniem. Gdy wyjeżdżaliśmy z misją, wskazówki jego dotyczyły przede wszystkim tej sprawy. Należy pamiętać o tym, że jednym z barbarzyńskich zwyczajów, którymi kierują się Zulusi, obierając króla, jest dopilnowanie, by nie miał on ani zmarszczek, ani siwych włosów, jedne bowiem jak i drugie dyskwalifikują go jako monarchę wojowniczego ludu. Król musi uważać, by nigdy nie zdradzić się z tymi oznakami dowodzącymi, że nie nadaje się już dłużej na władcę, i jest rzeczą ważną, by, jak długo się da, je ukrywał. Czaka obawiał się bardzo pojawienia się siwizny, byłby to dla niego znak, że musi przygotować się do opuszczenia padołu ziemskiego, albowiem pojawieniu się siwych włosów zawsze towarzyszyła śmierć monarchy." Pisarz, któremu zawdzięczamy tę pouczającą anegdotę o brylantynie (Nathaniel Isaacs), nie wdaje się w szczegółowy opis "opuszczania padołu ziemskiego" przez siwego i pomarszczonego wodza Zulusów, ale na podstawie analogii możemy domyślić się, że go zabijano.

Jeszcze przed dwustu laty w królestwie Kafrów w Sofala panował zwyczaj uśmiercania królów. Wiemy już, że ci królowie uchodzili w oczach swego ludu za bogów i że zwracano się do nich o zaklinanie deszczu i sprowadzanie pogody w zależności od potrzeby chwili. Niemniej jednak najmniejszy mankament cielesny, na przykład utrata zęba, wystarczał, by uśmiercić każdego z tych bogów-ludzi, jak się o tym dowiadujemy z następującego fragmentu dzieła jednego z dawnych historyków portugalskich: "Istniał dawniej w tym kraju zwyczaj, że królowie popełniali samobójstwo przez zażycie trucizny, gdy spotykało ich jakieś nieszczęście lub gdy na skutek przyczyn naturalnych spadało na nich nieszczęście w postaci mankamentu fizycznego, jak na przykład impotencja, choroba zakaźna, utrata przednich zębów, która ich szpeciła, czy jakakolwiek inna choroba lub deformacja. Kładli temu kres popełniając samobójstwo, uważali bowiem, że król musi być wolny od wszelkiej skazy, a gdy tak nie jest, lepiej będzie dla jego honoru, jeśli umrze i poszuka innego życia, w którym wszystko zostanie mu przywrócone, ponieważ panuje tam doskonałość. Ale *quiteve* (król), który panował, gdy ja byłem w tych stronach, nie chciał pod tym względem pójść w ślady swych poprzedników, jako człowiek rozsądny, którego wszyscy się obawiali. Gdy stracił ząb przedni, kazał to ogłosić w całym swym królestwie, by wszyscy wiedzieli, że stracił ząb, i poznawali go, gdy będzie bez zęba, stwierdzał w swej odezwie, że jeśli jego poprzednicy zabijali się z tego powodu, to tylko dlatego, że byli bardzo głupi, a on tego nie zrobi. Wręcz przeciwnie, bardzo mu będzie smutno, gdy przyjdzie czas umrzeć śmiercią

naturalną, ponieważ życie jego bardzo jest potrzebne dla zachowania królestwa i obronienia go przed nieprzyjaciółmi. I zalecił swym następcom, by szli za jego przykładem”

Odległe o wiele dni podróży na północny zachód od Abomeju, dawnej stolicy Dahomeju, leży królestwo Eyeo. “Eyeowie mają króla, którego władza jest równie absolutna jak władza króla Dahomeju, a mimo to podlega on prawom państwowym upokarzającym, a zarazem przedziwnym. Gdy ludzie wytworzą sobie przekonanie, że źle rządzi, co im czasami umiejętnie wpajają niezadowoleni ministrowie, posyłają do niego deputację, która uwierzytelnia się składając mu w podarunku jaja papugi. Deputacja ta tłumaczy królowi, że brzemień władzy tak go zmęczyło, iż, zdaniem ich, powinien trochę odpocząć i pospać. Dziękuje on swym poddanym za okazaną troskę, wychodzi do swoich apartamentów, jak gdyby chciał się położyć spać, i wydaje swym kobietom rozkaz, by go zadusiły. Rozkaz ten zostaje natychmiast wykonany, na tron zaś spokojnie wstępuje jego syn, który ma w swym ręku ster rządów, jak długo uda mu się zachować aprobatę podwładnych.” Około roku 1774 jeden z królów Eyeo, którego ministrowie próbowali usunąć w tradycyjny sposób, stanowczo odmówił przyjęcia z ich rąk jaj papugi i oświadczył, że wcale nie ma zamiaru przespać się, ale wręcz przeciwnie, zdecydował się czuwać dla dobra swych poddanych. Ministrowie, zaskoczeni i oburzeni jego krnąbrnością, wszczęli bunt, ale zostali pokonani w wielkiej rzezi i w ten sposób dzięki odważnemu postępowaniu uwolnił się król od tyranii swych doradców i stworzył nowy precedens, którym kierowali się dalej jego następcy. Wydaje się jednak, że stary system został wskrzeszony i przetrwał do późnych lat wieku dziewiętnastego, ponieważ pewien katolicki misjonarz jeszcze w 1884 roku pisze, iż zwyczaj ten nadal obowiązywał. Inny misjonarz, piszący w roku 1881, tak oto przedstawia obyczaj panujący u Egbów i Jorubów z Afryki Zachodniej: “Jednym z niewątpliwie najciekawszych zwyczajów tego kraju jest sądzenie i karanie króla. Jeśli zasłużył sobie na nienawiść swego ludu nadużywając swych praw, jeden z jego doradców, na którego barki złożono ten ciężki obowiązek, żąda od księcia, by «poszedł spać», co oznacza po prostu, by «zażył truciznę i umarł». Jeśli w tej krytycznej chwili zawodzi go odwaga, tę ostatnią przysługę spełnia przyjaciel, a wtedy cicho, nie zdradzając tajemnicy, przygotowują lud na wiadomość o śmierci króla.”

W opisanych dotąd przypadkach boski król lub kapłan tolerowany jest przez swój lud na urzędzie dotąd, dopóki jakieś uszkodzenie zewnętrzne, jakiś widoczny symptom zawodzącego zdrowia czy starość nie ostrzega, że nie jest już dostatecznie sprawny, by spełniać swe boskie obowiązki. Nie uśmiercają go jednak, dopóki takie oznaki się nie pojawią. Okazuje się wszakże, że niektóre ludy uważają za rzecz niebezpieczną czekać na najdrobniejsze nawet objawy słabości i wolą zabijać swych królów, gdy są jeszcze w pełni sił i energii życiowej. Ustalają wobec tego kadencję jego panowania, pod koniec której musi umrzeć. Okres zaś wyznaczony jest dostatecznie krótki, by wyłączyć możliwości jego degeneracji w tym czasie. W niektórych okolicach Indii południowych jest to okres dwunastoletni. Jak relacjonuje pewien dawny podróżnik, w prowincji Quilacare “istnieje pogański dom modlitwy, w którym znajduje się bożek bardzo przez nich szanowany, i co dwanaście lat obchodzą ku jego czci wielkie

święto, na które wszyscy poganie ściągają jak na jubileusz. Świątynia ta posiada dużo ziemi i wielkie dochody: to bardzo duże przedsiębiorstwo. Prowincja ma króla, który rządzi lat dwanaście, od jednego jubileuszu do drugiego. Króluje on w ten sposób, ale gdy dwanaście lat minie, gromadzą się niezliczone rzesze ludzi w dniu tego święta i wiele pieniędzy wydaje się na jedzenie dla braminów. Dla króla sporządza się drewniane rusztowanie pokryte jedwabnymi zastonami. Tego dnia udaje się on do kąpieli w kadzi z wielką ceremonią i z towarzyszeniem muzyki, po czym przychodzi do bożka, modli się, wchodzi na rusztowanie i tu na oczach wszystkich ludzi bierze bardzo ostre noże i najpierw ucina sobie nos, potem uszy, potem wargi i wszystkie członki, i tyle ciała z siebie, ile tylko może, i odrzuca to od siebie pośpiesznie, aż tyle krwi utraci, że zaczyna omdlewać, a wówczas podrzyna sobie sam gardło. A jest to jego ofiara złożona bożkowi, ten zaś, kto chce panować przez następne lat dwanaście i zgadza się na męczeństwo dla bożka, musi być przy tym obecny i przypatrywać się, i w tym miejscu zostaje wyniesiony na króla."

Święto, podczas którego król Kalikut walczył o swą koronę i życie, znane było pod nazwą "Wielkiej Ofiary". Wpadało co dwanaście lat, gdy planeta Jowisz cofała się w znaku Raka, i trwało dwadzieścia osiem dni, punktem zaś szczytowym było ósme skupienie gwiazd w miesiącu Makaram. Ponieważ datę uroczystych obchodów ustalano według położenia Jowisza na niebie, a przerwa między świętami wynosiła lat dwanaście, a więc mniej więcej tyle, ile trwa obrót Jowisza wokół słońca, możemy wysnuć wniosek, że ta wspaniała planeta była w jakimś szczególnym znaczeniu uważana za gwiazdę królewską, mającą wpływ na jego losy, i w związku z tym okres jej obrotu na niebie odpowiadał okresowi panowania króla na ziemi. Uroczystość obchodzona była z wielką pompą w świątyni Tirunavayi na północnym brzegu rzeki Ponnani, w pobliżu obecnie przebiegającej tu linii kolejowej. Z okna pociągu można przez chwilę uchwycić widok świątyni ukrytej niemal zupełnie w kępie drzew na brzegu rzeki. Z zachodniej bramy świątyni półmilowa, zupełnie prosta droga, ledwie wznosząca się nad otaczające ją pola ryżowe, ocieniona rosnącymi po obu jej bokach drzewami, prowadzi do wysokiej grobli ze stromymi zboczami, na których wciąż jeszcze można dostrzec ślady trzech lub czterech tarasów. W ów doniosły dzień na najwyższym tarasie stawał król. Roztaczał się stamtąd piękny widok. Mijając płaskie pola ryżowe, po których wije się szeroka, leniwa rzeka, wzrok wędruje ku wysokiemu płaskowyżowi na wschodzie. Niższe jego stoki okryte są lasami, daleko zaś zarysowują się groźne kształty łańcucha Ghat Zachodnich, a jeszcze dalej, na samym końcu horyzontu, mającą Nilgiri, czyli Góry Niebieskie, ledwie odcinające się od lazurowego tła nieba.

W tej przełomowej chwili życia oczy króla nie zwracały się jednak ku tym odległym widokom. Uwagę jego przykuwało widowisko rozgrywające się znacznie bliżej. Albowiem równina u jego stóp roiała się od wojsk. Wesóło powiewały na wietrze sztandary, białe namioty wielu obozów ostro zarysowywały się na zielonym i złotym tle pól ryżowych. Czterdzieści tysięcy, a może i więcej wojowników zebrało się, by bronić króla. Nie było jednak żołnierzy na drodze przecinającej pole, wiodącej od świątyni do trybuny królewskiej. Nie było na niej żywej duszy. Droga po obu stronach zagrodzona była palisadami, a każda

z nich najeżona była długimi dzidami trzymanymi przez krzepkie ręce. Dzidy te wysunięte były na pustą drogę, a ostrza ich stykały się w połowie tworząc błyszczący stalowy łuk. Wszystko było już gotowe. Król machnął szablą. W tej samej chwili na słonia stojącego obok niego nakładano łańcuch z masywnego złota, zdobiony guzami. To był znak. W odległości pół mili, u wrót świątyni, można było zauważyć jakiś ruch. Z tłumu wystąpiła grupa szermierzy przybrana kwiatami i wysmarowana popiołem. Skończyli właśnie swój ostatni posiłek na ziemi i teraz żegnali się z przyjaciółmi i otrzymywali ich błogosławieństwa. Jeszcze chwila, i oto nadciągają wzdłuż alei dzid tnąc i kłując włóczników, skręcając się i wijąc między ostrzami, jak gdyby nie mieli kości. Wszystko na próżno. Padają jeden po drugim, niektórzy bliżej króla, inni dalej, zadowoleni, że mogą umrzeć, nie dla cienia korony, ale dla możliwości zademonstrowania światu swej nieustraszonej odwagi i kunsztu szermierczego. W ostatnich dniach święta raz po raz powtarzano ten wspaniały pokaz odwagi, to samo daremne poświęcenie życia ludzkiego. Być może jednak żadna ofiara nie jest bezużyteczna, jeśli dowodzi, że istnieją ludzie, którzy honor stawiają wyżej od życia.

“W Bengalu istnieje dziwny zwyczaj - opowiada dawny historyk Indii - że tron rzadko bywa dziedziczny... Ten, kto zabije króla i zdoła usadzić się na tronie, jest natychmiast uznawany za władcę; wszyscy emirowie, wezyrowie, żołnierze, chłopcy natychmiast są mu posłuszni i uważają go za panującego w równej mierze co poprzedniego księcia i bez słowa słuchają jego rozkazów. Mieszkańcy Bengalu mawiają: «Jesteśmy wierni tronowi; posłuszni i wierni jesteśmy każdemu, kto na tronie zasiada.»” Taki sam zwyczaj istniał dawniej w małym królestwie Passier, na północnym wybrzeżu Sumatry. Dawny historyk portugalski De Barros, który nas o tym informuje, stwierdza ze zdziwieniem, że żaden mądry człowiek nie chciał być królem Passier, ponieważ poddani nie pozwalali swemu władcy żyć długo. Od czasu do czasu szła jakaś ogarniała ludność, która wychodziła wówczas na ulice wykrzykując złowieszcze słowa: “Król musi umrzeć!” Gdy dochodziły one do uszu króla, wiedział, że wybiła jego godzina. Cios śmiertelny zadawał człowiek pochodzący z rodu królewskiego i gdy tylko dokonał swego krwawego uczynku i zasiadł na tronie, wszyscy uznawali go za prawowitego króla, pod warunkiem oczywiście, że zdołał utrzymać tron w spokoju chociażby przez jeden dzień, co nie zawsze się królobójcy udawało. Gdy Fernao Peres d'Andrade⁶⁴ w drodze do Chin zawiązał do Passier, by zabrać ładunek korzeni, zmasakrowano właśnie dwóch królów, i to w sposób najbardziej pokojowy, bez śladu jakichkolwiek zamieszek czy buntów w mieście, gdzie wszystko toczyło się normalnie, jak gdyby egzekucja króla była rzeczą najpospolitszą. Razu pewnego nawet trzech królów dostąpiło niebezpiecznego zaszczytu i w ciągu jednego dnia jeden po drugim poszedł na śmierć. Ludzie bronili tego obyczaju uważając, że jest urządzeniem chwalebny, a nawet boskim, bo przecież bóg nigdy nie pozwoliłby, żeby istota tak znaczna i potężna jak król, rządzący jako jego zastępca na ziemi, zginął śmiercią gwałtowną, gdyby nie to, że widocznie grzechy jego taki koniec usprawiedliwiają. Z daleka od

⁶⁴ Fernao Peres d'Andrade - żeglarz i konkwistador portugalski z XVI w. Dotarł drogą morską do Chin w 1517 r.

tropikalnej Sumatry zwyczaj taki istniał, jak się zdaje, u starożytnych Słowian. Gdy wzięci do niewoli Gunn i Jarmerik zamordowali parę królewską Słowian i uciekli, barbarzyńcy ruszyli za nimi w pościg i wołali, że jeśli tylko powrócą, będą rządzili w miejsce zamordowanego władcy, ponieważ starożytne prawo nakazuje, by tron przypadł zabójcy króla. Uciekający królobójcy nie usłuchali jednak obietnic uważając, że jest to tylko próba zwabienia ich z powrotem. Uciekali dalej, aż krzyki i hałasy ścigających ich barbarzyńców zamarły w oddali.

Rzecz to zupełnie naturalna, że królowie, którzy mieli po określonym okresie czasu ginąć czy to z rąk własnych, czy też innych, usiłowali przekazać ten nieprzyjemny obowiązek, wraz z niektórymi przywilejami władzy monarszej, zastępcy, który by również za nich cierpiał. Na pomysł ten wpadli, jak się zdaje, niektórzy z książąt Malabaru. Dowiadujemy się więc od lokalnego autorytetu w sprawach tego kraju, że "w niektórych miejscowościach monarcha przekazywał na pewien czas całą władzę, zarówno wykonawczą, jak i sądową, przedstawicielom ludności miejscowej. Instytucja ta zwana była Thalavettiparthiam, czyli władzą uzyskaną przez ścięcie... Urząd ten piastowano przez lat pięć, a w tym czasie ten, który go sprawował, posiadał najwyższą, despotyczną władzę w swej jurysdykcji. Po wygaśnięciu pięcioletniego terminu ścinano mu głowę i rzucono ją wysoko w górę przy licznych udziale mieszkańców wioski, którzy starali się ją złapać. Ten, któremu się to udało, otrzymywał opróżnione stanowisko na następnych lat pięć."

Gdy tylko królowie, których dotąd czekała po określonym czasie gwałtowna śmierć, wpadli na szczęśliwy pomysł umierania za pośrednictwem osób drugich, nie omieszkali pomysłu wprowadzić w życie. Nic więc dziwnego, że w tylu krajach spotykamy się z rozpowszechnieniem tego zwyczaju względnie z jego pozostałościami. W skandynawskiej tradycji odnajdujemy pewne wzmianki świadczące o tym, że dawni królowie szwedzcy rządzili przez lat dziewięć, po czym zabijano ich względnie musieli znaleźć zastępców, którzy ginęli za nich. Legenda głosi, że Aun lub On, król Szwecji, przez wiele dni składał Odynowi ofiary, aż bóg oznajmił mu, że będzie rządził tak długo, jak długo będzie co dziewięć lat składał mu jednego syna w ofierze. Poświęcił więc w ten sposób dziewięciu swoich synów i uczyniłby to samo z dziesiątym, ale Szwedzi do tego nie dopuścili. Umarł więc i został pochowany pod kopcem w Upsali. O podobnym królowaniu świadczy również ciekawa legenda o detronizacji i wygnaniu Odyna. Pozostali bogowie, zrażeni jego złym prowadzeniem się, pozbawili go praw i skazali na wygnanie, na jego zaś miejsce wprowadzili zastępcę, sprytnego czarownika imieniem Oller, któremu wręczyli insygnia władzy królewskiej i boskiej. Rządził on przez lat dziesięć, po czym prawdziwy Odyn powrócił na swój tron. Pokonany rywal uciekł do Szwecji i zginął próbując odwrócić koło fortuny. Ponieważ bogowie często są zwykłymi ludźmi, wyolbrzymionymi przez mgłę tradycji, możemy zaryzykować domysł, że ta legenda skandynawska jest mglistym wspomnieniem o królach szwedzkich, którzy panowali przez dziewięć lub dziesięć lat, po czym abdykowali przekazując innym przywilej umierania za swój kraj. Wielkie uroczystości, które odbywały się w Upsali co dziewięć lat,

mogły być właśnie tą okazją, podczas której uśmiercano króla lub jego zastępcę. Wiemy bowiem, że ofiary ludzkie należały do rytuału tych świąt.

Istnieją pewne podstawy pozwalające przypuszczać, że panowanie wielu starożytnych królów greckich ograniczało się do lat ośmiu, a w każdym razie, że po takim ośmioletnim okresie uważano za niezbędne przeprowadzenie nowej konsekracji, świeże przelanie łaski boskiej, która umożliwiała im sprawowanie obowiązków państwowych i religijnych. Konstytucja spartańska nakazywała, by co osiem lat eforowie wybierali czystą, bezksiężycową noc i w milczeniu obserwowali niebo. Jeśli zobaczyli w czasie swego czuwania meteor lub spadającą gwiazdę, wyciągali z tego wniosek, że król zgrzeszył przeciwko bóstwu, i zawieszali go w czynnościach do chwili, gdy wyrocznia delficka lub olimpijska udzielała wyjaśnień. Zwyczaj ten nosi cechy głębokiej starożytności, nie stał się jednak martwą literą nawet w ostatnim okresie istnienia monarchii spartańskiej. Jeszcze w trzecim wieku przed naszą erą król, który naraził się partii reformistycznej, został zdetronizowany pod rozmaitymi zmyślonymi zarzutami, między którymi stwierdzenie, że na niebie widziano złowróźbne znaki, zajmowało poczesne miejsce.

Jeśli czas panowania królewskiego był ograniczony w Sparcie do lat ośmiu, możemy oczywiście zapytać, dlaczego wybrano taki właśnie, a nie inny okres? Tłumaczy się to prawdopodobnie astronomicznymi podstawami greckiego kalendarza. Jedną z najtrudniejszych zagadek, na jakie natrafiała przemyślność człowieka wychodzącego z okresu barbarzyństwa, był problem pogodzenia czasu księżycowego ze słonecznym. Otóż cykl ośmioletni jest najkrótszym okresem, w którym słońce i księżyc rzeczywiście zgodnie oznaczają czas po latach stałego zachodzenia na siebie. Tak na przykład tylko raz jeden na osiem lat pełnia księżyca zbiega się z najdłuższym lub najkrótszym dniem, a ponieważ można to zaobserwować za pomocą zwykłego zegara słonecznego, obserwacja ta jest jedną z pierwszych, które stanowią podstawę kalendarza wprowadzającego, jeśli już nie zupełną, to przynajmniej znośną zgodność czasu słonecznego i księżycowego. W czasach najdawniejszych właściwe usprawnienie kalendarza było sprawą zabiegów religijnych, ponieważ od tego zależał wybór właściwego czasu dla przebłagania bóstw, od których dobrej woli zależny był dobrobyt społeczności. Nic więc dziwnego, że król jako główny kapłan państwa czy nawet jako bóg powinien być składany z tronu lub uśmiercany przy końcu okresu astronomicznego. Skoro wielkie ciała niebieskie obiegały w górze swą drogę i rozpoczynały ją na nowo, uważano za rzecz słuszną, by i król odnawiał swe boskie siły albo składał dowód, że się nie zmniejszyły, pod karą ustąpienia miejsca bardziej energicznemu następcy. Wspomnieliśmy już o tym, że w Indiach południowych panowanie i życie króla kończyło się wraz z zakończeniem obrotu Jowisza wokół słońca. W Grecji natomiast los króla wisiał, jak się zdaje, na włosku pod koniec każdego ośmioletniego okresu, kiedy to w każdej chwili ryzykował, że spadająca gwiazda może porwać za sobą jego głowę.

Bez względu zresztą na to, jakie mogły być tego przyczyny, również i w innych państwach greckich poza Spartą okres ośmioletni zbiegał się z normalnym czasem panowania króla. Tak więc według

podaj Minos, król Knossos na Krecie, którego pałac niedawno odkopano, panował przez kilka ośmioletnich okresów. Pod koniec każdego z tych okresów oddalał się na pewien czas do wiecznej groty na górze Ida, gdzie składał swemu boskiemu ojcu, Zeusowi, sprawozdanie z swych rządów w ciągu minionych lat i otrzymywał od niego wskazówki i polecenia na następne lata. Z tradycji tej wynika jasno, że pod koniec ośmiu lat święte siły króla wymagały odświeżenia przez obcowanie z bóstwem, i nieprzestrzeżenie tej zasady oznaczałoby utratę praw do tronu.

Nie wyciągając zbyt pochopnych wniosków możemy jednak założyć, że zwyczaj posyłania co osiem lat siedmiu młodzieńców i siedmiu dziewcząt Minosowi miał jakiś związek z odnowieniem sił królewskich na następny okres ośmioletni. Legendy różnie mówią o losie, który spotykał tych kawalerów i panny po przybyciu na Kretę, ale powszechnie uważano, że zamykano ich w labiryncie, gdzie pożerał ich Minotaur lub w najlepszym wypadku pozostawiali tam do końca życia. Być może, składano ich w ofierze piekąc żywcem w brązowym posągu byka lub też człowieka z głową byka, by odnowić siły króla i słońca, które uosabiał. Przynajmniej tak by wynikało z legendy o Talosie, człowieku z brązu, który przyciskał ludzi do swej piersi i skakał z nimi w ogień, gdzie piekli się żywcem. Zeus miał go podarować Europie względnie Hefajstos Minosowi, by strzegł wyspy Krety, którą trzy razy dziennie okrążał. Jedna legenda twierdzi, że był bykiem, inna, że miał postać słońca. Prawdopodobnie jest on identyczny z Minotaurem, a, pozbawiony mitologicznych rysów, jest niczym innym, jak brązową figurą słońca przedstawiającą człowieka z głową byka. By odnowić ogień słoneczny, składano zapewne bożkowi ofiary ludzkie czy to piekąc je w jego wnętrzu, czy też umieszczając na pochylonych rękach, z których staczały się one do ognia. Tym ostatnim sposobem posługiwali się Kartagińczycy składając swe potomstwo w ofierze Molochowi. Dzieci kładziono na ręce posągu z głową cielęcą, z których ześlizgiwały się do rozpalonych czeluści pieca, a ludzie tańczyli wokół przy muzyce fletów i tamburynów zagłuszających krzyki płonących ofiar. Podobieństwo tradycji kreteńskiej do praktyk w Kartaginie nasuwa myśl, że kultury związane z imieniem Minosa i Minotaura mogły być pod silnymi wpływami kultu semickiego Baala. W legendzie

o Falarisie, tyranie Agrigentum, mamy, być może, echo podobnych obyczajów na Sycylii, gdzie władza Kartaginy zapuściła głębokie korzenie. Mniej nieprawdopodobnym wyda nam się stałe uśmiercanie króla pod koniec jego rocznego panowania, gdy dowiemy się, że jeszcze w naszych czasach istnieje królestwo, w którym panowanie i życie króla trwa jeden dzień. W Ngoio, prowincji starożytnego królestwa Kongo, prawo nakazuje, by wódz, który wkłada na swą głowę koronę monarszą, został zabity w noc po koronacji. Prawo następstwa przypada wodzowi Musu-rongo, ale nie dziwnym się, że z niego nie korzysta i że tron pozostaje pusty. "Nikt nie chce oddać życia za kilka godzin chwały na tronie Ngoio."

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

KRÓLOWIE TYMCZASOWI

Dawny system królobójstwa, który, jak się zdaje, panował w Babilonie, ulegał w niektórych krajach dalszemu złagodzeniu. Król nadal abdykował co roku na krótki okres czasu, a miejsce jego zajmował mniej lub bardziej nominalny władca, ale pod koniec krótkiego panowania zastępcy już nie zabijano, chociaż niekiedy zachowana zostaje pozorna egzekucja na pamiątkę czasów, gdy wykonywano ją rzeczywiście. Oto przykłady. W miesiącu Meac (luty) król Kambodży co roku abdykował na trzy dni. W tym czasie nie załatwiał on żadnych spraw państwowych, nie dotykał się pieczęci, nie otrzymywał nawet należnych mu podatków. W jego zastępstwie panował król tymczasowy zwany Sdach Meac, tzn. Król Luty. Urząd tymczasowego króla był dziedziczny w rodzinie daleko spokrewnionej z domem królewskim, przy czym synowie następowali po ojcach, młodsi zaś bracia po starszych, tak samo jak w prawdziwej rodzinie monarszej. W wybrany przez astrologów pomyślny dzień mandaryni prowadzili tymczasowego króla w uroczystej procesji. Jechał on wówczas na jednym z królewskich słońi, siedząc w królewskim palankinie, a eskortę stanowili żołnierze, którzy, ubrani w odpowiednie kostiumy, reprezentowali sąsiednie ludy Syjamu, Anna-mu, Laosu itd. Zamiast złotej korony miał na głowie spiczastą białą czapkę, a jego regalia nie były ze złota inkrustowanego brylantami, lecz ze zwykłego drzewa. Po złożeniu hołdu prawdziwemu królowi, od którego otrzymywał władzę królewską na przeciąg trzech dni, wraz z wszystkimi podatkami przypadającymi na ten czas (ten ostatni zwyczaj od pewnego czasu był pomijany), procesja, w której kroczył, okrążyła pałac i wyruszała na ulice stołecznego miasta. Na trzeci dzień po tradycyjnej procesji król tymczasowy wydawał rozkaz, by słońie zdeptały "górną ryżową", a było to rusztowanie z bambusa przykryte snopkami ryżu. Ludność zbierała ryż, a każdy zabierał kilka ziaren ryżu do domu dla zapewnienia dobrych plonów. Trochę tego ryżu zanoszono królowi, który kazał go gotować i posyłał mnichom.

W Syjamie w szóstym dniu księżycy w szóstym miesiącu (koniec kwietnia) mianowany bywa król tymczasowy, który przez trzy dni cieszy się przywilejami królewskimi, a prawdziwy król zamyka się na ten czas w swym pałacu. Król tymczasowy wysyła swych licznych służących we wszystkich kierunkach, by skonfiskowali wszystko, co znajdą na bazarach i w otwartych sklepach. Zagarnia nawet okręty i dżonki, które w ciągu tych trzech dni zawijają do portu i które muszą się potem wykupić. Wyrusza na pole znajdujące się w środku miasta, gdzie sprowadza się złocony pług ciągnięty przez barwnie przybrane woły. Po namaszczeniu pługa i natarciu wołów pachnącymi olejkami rzekomy król wytycza pługiem dziewięć bruzd, a za nim idą wiekowe damy dworu siejąc pierwsze tegoroczne ziarna. Gdy tylko przeorał dziewięć bruzd, przypatrujący się tłum rzuca się na dopiero co zasiane ziarna w przekonaniu, że zmieszane z ryżem siewnym przyniosą obfite plony. Następnie wyprzęga się woły i daje się im ryż, kukurydzę, sezam, sago, banany, trzcinę cukrową, melony itp., to zaś, od czego zaczną, będzie, zdaniem jednych, drogie w nadchodzącym roku, drudzy natomiast tłumaczą omen wręcz prze-

ciwnie. Przez ten cały czas król tymczasowy stoi oparty o drzewo, prawą stopę trzymając na lewym kolanie. Tej właśnie pozycji zawdzięcza powszechnie przyjęty tytuł Króla Hop, chociaż oficjalnie nazywa się Phaya Phollatep, czyli Pan Niebieskich Zastępów. Jest on swego rodzaju ministrem rolnictwa. Do niego zwracają się ludzie we wszystkich sporach o grunty, ryż itp. Uosabia on króla podczas jednej jeszcze ceremonii. Odbывается ona w drugim miesiącu (przypadającym w zimnej porze roku) i trwa przez trzy dni. Prowadzony jest wówczas w procesji na otwarty plac naprzeciw Świątyni Braminów, gdzie już stoi rząd słupów przybranych jak nasze "maje", na których huśtają się bramini. Przez cały czas gdy bramini huśtają się i tańczą, Pan Niebieskich Zastępów musi stać na jednej nodze na podwyższeniu sporządzonym z tynkowanych cegieł przykrytych białą tkaniną i dywanami. Opiera się o drewnianą ramę, nad którą umieszczony jest baldachim, a po obu jego bokach stoją bramini. Tańczący bramini mają rogi bawołów, którymi czerpią wodę z dużego miedzianego kotła i polewają nią przypatrujących się ludzi. Uchodzi to za dobry znak i ma zapewniać ludziom pokój, zdrowie i pomyślność. Pan Niebieskich Zastępów musi stać na jednej nodze przez około trzy godziny. W ten sposób ma on się "dowiedzieć, czy Dewatty i duchy są przychylnie usposobione". Jeśliby opuścił nogę, "naraziłby swój majątek, a rodzinę król zamieniłby w niewolników, panuje bowiem przekonanie, że opuszczenie nogi jest złym znakiem, zapowiadającym zniszczenie państwa i niepewną sytuację tronu. Gdy jednak trzyma się dobrze, uważa się, że odniósł zwycięstwo nad złymi duchami, i w nagrodę za to otrzymuje przywilej, zezwalający mu teoretycznie na zagarnięcie każdego okrętu, który zawinie w ciągu tych trzech dni do portu, na zabranie całego ładunku, a także wejście do każdego otwartego sklepu w mieście i wyniesienie stamtąd tego, co mu się spodoba."

Takie były obowiązki i przywileje syjamskiego Króla Hop aż do połowy dziewiętnastego wieku, a nawet później. Za panowania ostatniego, oświeconego monarchy ta malownicza postać pozbawiona została w pewnej mierze swej chwały, ale także zwolniono ją z ciężarów urzędu. Nadal jak za dawnych czasów przygląda się braminom huśtającym się w powietrzu między dwoma wysokimi masztami, dochodzącymi niekiedy do dziewięćdziesięciu stóp wysokości, ale wolno mu przy tym siedzieć, i chociaż opinia publiczna nadal wymaga, by podczas całej ceremonii trzymał prawą stopę na lewym kolanie, jednak żadna kara mu nie grozi, jeżeli ku wielkiemu rozczarowaniu ludu opuści zmęczoną nogę na ziemię. Są jeszcze inne oznaki inwazji idei i cywilizacji Zachodu. Ulice prowadzące do sceny, na której widowisko się odbywa, zatłoczone są obecnie pojazdami, nad zbitym tłumem wznoszą się słupy telegraficzne i latarnie uliczne, na których siedzą jak mały bardziej ciekawi widzowie. A gdy orkiestra obdartusów, według dawnej mody ubrana w jaskrawe jasno-czerwone i żółte stroje, po staremu bije w bębny i dmie w starodawne trąby, obok dzielnie maszerują bosy żołnierze we wspaniałych mundurach przy żywych dźwiękach nowoczesnej orkiestry wojskowej grającej *Marching through Georgia* (Marsz przez Georgię).

Mahometańskim studentom w Fezie w Maroku wolno mianować swego własnego sułtana, który panuje przez kilka tygodni. Nosi on tytuł "sułtana pisarczyków" - *sułtan t-tulba*. Ta krótkotrwała władza

jest wystawiona na licytacji i otrzymuje ją ten, który zgłasza najwyższą stawkę. Przynosi ona pewne poważne przywileje, gdyż jej zdobywca jest od tej chwili zwolniony od podatków i ma prawo zażądać jakiejś łaski od prawdziwego sułtana. Rzadko się zdarza, by spotkała go odmowa; zazwyczaj prośba dotyczy zwolnienia więźnia. Ponadto urzędnicy studenta-sułtana nakładają kary na kupców i właścicieli domów, przeciwko którym wysuwają różne zmyślane żartobliwe zarzuty. Sułtan tymczasowy otoczony jest ceremoniałem prawdziwego dworu, paraduje po ulicach uroczysto, przy akompaniamencie muzyki i owacji, a nad głową jego trzymają królewski parasol. Tak zwane grzywny i dobrowolne datki, do których sułtan prawdziwy dorzuca hojną ręką duże zapasy żywności, wystarczają studentom na wyprawienie wspaniałej uczy. Zabawa jest świetna i nastęcza okazję do rozmaitych gier i rozrywek. Przez pierwsze siedem dni tymczasowy sułtan przebywa na uczelni, po czym opuszcza miasto i rozbija obóz nad rzeką, w odległości około mili od miasta, otoczony studentami i licznymi obywatelami. Siódmego dnia po opuszczeniu miasta odwiedza go prawdziwy sułtan, który spełnia jego prośbę i przedłuża mu panowanie na jeszcze siedem dni. W sumie więc "sułtan pisarczyków" panuje nominalnie przez trzy tygodnie. Po sześciu dniach trzeciego i ostatniego tygodnia "sułtan" nocą ucieka do miasta. Panowanie tymczasowego sułtana przypada zawsze na wiosnę, mniej więcej na początek kwietnia. Podobno obyczaj ten wywodzi się z następującego wydarzenia. Gdy Mulai Raszyd walczył o tron w roku 1664 czy 1665, pewien Żyd zagarnął władzę królewską w Taza, ale dzięki wierności i poświęceniu studentów rebelia została szybko stłumiona. Uciekli się oni do pomysłowego podstępu. Czterdziestu z nich kazało się zamknąć w kufry, które posłano jako prezenty uzurpatorowi. Głęboką nocą, gdy Żyd nie podejrzewając niczego spał sobie spokojnie między skrzyniami, uniosły się cicho wieka kufrów i czterdziestu odważnych wylazło, zgładziło uzurpatora i zajęło miasto w imieniu prawdziwego sułtana, który, pragnąc okazać wdzięczność za pomoc otrzymaną w chwili potrzeby, nadał studentom prawo mianowania co roku swego własnego sułtana. Opowiadanie ma wszelkie cechy fantazji wymyślonej dla wytłumaczenia starego zwyczaju, którego prawdziwe znaczenie i pochodzenie dawno już zostało zapomniane.

Zwyczaj dorocznego mianowania zastępczego króla na jeden dzień przetrwał w Lostwithiel w Kornwalii aż do szesnastego wieku. W Niedzielę Przewodnią obywatele miasta i okoliczni dzierżawcy zbierali się osobiście lub też wysyłali swych przedstawicieli, którzy wybierali z swego grona jednego, stroili go w uroczyste szaty, wsadzali na konia, na głowę wkładali mu koronę, do ręki berło i niosąc przed nim miecz prowadzili go do kościoła. Towarzyszył mu orszak konny. Przy bramie dziedzica kościelnego witał go duchowny w uroczystych szatach, po czym odprawiano nabożeństwo. W drodze powrotnej tak samo paradnie udawał się on do jednego z domów, w którym przygotowana była dla niego i całej świty uczyta. Do stołu usługiwano na klęczkach, z całym ceremoniałem należnym udzielnemu księciu. Bankiet kończył uroczystość, po czym wszyscy wracali do swych domów.

Zanim przejdziemy do dalszych dowodów, warto naświetlić niektóre fakty odnoszące się do tymczasowych królów. A więc przykłady z Kambodży i Syjamu dowodzą w sposób oczywisty, że król

przekazuje swemu tymczasowemu zastępcy przede wszystkim funkcje boskie lub magiczne. Świadczy o tym przekonanie, że tymczasowy król Syjamu odnosi zwycięstwo nad złymi duchami podnosząc nogę, gdy zaś ją opuszcza, naraża państwo na niebezpieczeństwo. Obyczaj "deptania góry ryżu", istniejący w Kambodży, i uroczystość rozpoczęcia orki i siewu w Syjamie są czarami mającymi na celu uzyskanie dobrego urodzaju, jak to wynika z wiary, że ci, którzy zabiorą z sobą trochę zdeptanego ryżu czy też zasianych ziaren, zapewnią sobie w ten sposób obfite plony. Co więcej, gdy w Syjamie przedstawiciel króla orze, przypatrujący się ludzie nie patrzą, czy bruzdy są równe, lecz z niepokojem śledzą, do jakiego dokładnie miejsca na nodze sięgają jego jedwabne szaty, od tego bowiem zależy pogoda i plony w nadchodzącym roku. Jeśli Pan Niebieskich Zastępów podwinął swe szaty wysoko, powyżej kolan, należy się spodziewać deszczowej pogody, która zepsuje żniwa, jeśli opuści je nisko, do kostek, nastąpi posucha. Natomiast gdy skraj szaty sięga dokładnie do połowy łydki, znamionuje to dobrą pogodę i obfite zbiory. Oto jak ściśle związany jest bieg natury, a co za tym idzie, los ludu z najbliższym uczynkiem czy gestem przedstawiciela króla. Ale zaklinanie plonów, przekazane w ten sposób tymczasowemu królowi, jest przecież jedną z magicznych funkcji należących w społeczeństwie pierwotnym do króla prawdziwego. Przepis nakazujący tymczasowemu królowi stać na jednej nodze na podwyższeniu ustawionym w polu ryżowym był zapewne dawniej pomyślany jako gusła mające sprawić, by zboże wyrosło wysoko, a w każdym razie takiemu celowi służył podobny obrządek stosowany przez dawnych Prusów. Najwyższa dziewczyna stojąc na jednej nodze na podwyższeniu, z podołkiem pełnym ciastek, kielichem wódki w prawej ręce i kawałkiem kory wiązu lub lipy w drugiej, modliła się do boga Waisgamtasa, by len rósł tak wysoko, jak wysoko ona stoi. Po czym po osuszeniu kielicha kazała napełnić go po raz drugi, a wtedy wylewała wódkę na ziemię jako ofiarę dla Waisgamtasa i rozrzucała ciastka dla duchów, jego pomocników. Jeśli udawało się jej przez cały ten czas stać prosto na jednej nodze, oznaczało to, że zbiory lnu będą dobre, ale jeśli nogę opuszczała, obawiano się, że plony zawiodą. Być może, identyczne znaczenie posiada huśtanie się braminów, któremu musiał przypatrywać się, stojąc na jednej nodze, Pan Niebieskich Zastępów. Pamiętając o zasadach magii homeopatycznej lub naśladowczej można przypuścić, że im wyżej huścili się bramini, tym wyższego spodziewano się ryżu. Obrządek ten bowiem opisany jest jako uroczystość żniwna, a rosyjscy Łotysze również urządzali huśtawkę, która miała wpływać na stan plonów. Wiosną i na początku lata, między Wielkanocą a św. Janem (letnie przesilenie) chłopci łotewscy poświęcali każdą wolną chwilę na intensywne huśtanie się, im wyżej bowiem udawało im się rozbujać, tym wyższy miał być w tym roku len.

W przytoczonych wyżej przykładach król tymczasowy mianowany jest co roku zgodnie ze stałym obyczajem. Ale w innych przypadkach mianowano go jedynie w specjalnej potrzebie, na przykład, gdy trzeba było zbawić prawdziwego króla od jakiegoś faktycznego lub grożącego mu niebezpieczeństwa, przez podstawienie zastępcy, który na pewien czas obejmuje tron. Przykłady podobne znajdujemy w historii Persji. Szach Abbas Wielki, którego astrologowie ostrzegli, że w roku 1591 grozi mu wielkie

niebezpieczeństwo, próbował odwrócić zły omen abdykując i mianując na swe miejsce niewiernego, niejakiego Jusufa, prawdopodobnie chrześcijanina. Zastępca był koronowany, jak należy, i przez trzy dni, jeśli wierzyć perskim historykom, cieszył się nie tylko tytułem, lecz i władzą królewską. Gdy zakończyło się jego krótkie panowanie, został uśmiercony. Tak więc dzięki jego ofierze spełniła się wyrocznia, Abbasowi zaś, który powrócił na tron w jak najpomyślniejszej godzinie, astrologowie wróżyli długie i okryte chwałą panowanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

OFIAROWANIE SYNA KRÓLEWSKIEGO

Warto zwrócić uwagę na to, że w dwóch wypadkach (w Kambodży i w Djambi) opisani w poprzednim rozdziale tymczasowi królowie byli spokrewnieni z rodziną panującą. Jeśli przedstawiony tu pogląd na źródła instytucji tymczasowych królów jest trafny, wówczas nietrudno zrozumieć, dlaczego zastępca króla pochodził niekiedy z rodu panującego. Gdy królowi udało się wreszcie przekonać bóstwo, by przyjęło ofiarę czyjegoś życia w zamian za życie króla, musiał dowieść, że śmierć innego człowieka będzie równie dobrze jak jego przyjęta przez bóstwo. Otóż król umierał jako bóg lub półbóg, toteż zastępca, który umierał za niego, musiał posiadać, przynajmniej przy tej okazji, boskie atrybuty króla. Tak niewątpliwie przedstawiała się sprawa w przytoczonych przypadkach tymczasowych królów Syjamu i Kambodży. Otrzymywali oni nadprzyrodzone funkcje, które na wcześniejszych etapach rozwoju społeczeństwa były specjalnymi atrybutami króla. Nikt jednak nie mógł lepiej reprezentować króla w jego boskim charakterze aniżeli syn jego, który powinien posiadać te same nadprzyrodzone cechy co ojciec. Nikt też poza nim nie mógł tak skutecznie umierać za króla i cały lud.

Pamiętamy, jak zgodnie z tradycją król Szwecji Aun czy też On złożył w ofierze dziewięciu swych synów Odynowi w Upsali po to, by jego życie było oszczędzone. Po złożeniu ofiary z drugiego syna bóg mu odpowiedział, że tak długo będzie żył, jak długo będzie mu oddawał co dziewięć lat jednego syna. Gdy poświęcił siódmego syna, był już tak słaby, że nie mógł chodzić o własnych siłach i musiano go nosić w krześle. Złożył wówczas w ofierze syna ósmego i żył jeszcze dziewięć lat leżąc w łóżku. Po ofiarowaniu dziewiątego syna był już tak bezwładny, że musiał pić z rogu jak małe dziecko. Pragnął z kolei oddać Odynowi ostatniego syna, ale Szwedzi do tego nie dopuścili. Umarł więc i został pochowany pod kopcem w Upsali.

Jeden co najmniej z domów panujących starożytnej Grecji zwykł był w zamian za panującego ojca składać w ofierze najstarszego syna. Gdy Kserkses na czele swych potężnych wojsk maszerował przez Tesalię, by zaatakować Spartan pod Termopilami, przybył do miasta Alus. Pokazano mu tutaj sanktuarium Zeusa Laphystios, o którym przewodnicy opowiedzieli mu dziwną historię. Otóż w dawnych czasach król tego kraju, imieniem Atamas, poślubił Nefele, która urodziła mu syna imieniem Friksos i córkę, Helle. Pojął potem drugą żonę, Ino, z którą miał dwóch synów, Learchusa i Melicertesa. Ale druga żona, zazdrosna o pasierbów, Friksosa i Helle, rozmyślała nad tym, jakby ich zabić. Sprytnie zabrała się do urzeczywistnienia swych złych zamiarów. Zaczęła od tego, że namówiła wszystkie kobiety w kraju, by w tajemnicy przypiekły zboże siewne. Następnego roku plony nie wzeszły i ludzie zaczęli umierać z głodu. Wysłał wówczas król posłańca do wyroczeni delfickiej, by dowiedzieć się, jakie są przyczyny klęski. Ale zła macocha przekupiła posłańca, by w imieniu boga odpowiedział, że klęski nie ustaną, dopóki dzieci, które Atamasowi urodziła pierwsza żona, nie zostaną złożone w ofierze Zeusowi. Gdy Atamas o tym się dowiedział, posłał po swe dzieci, które przebywały z owcami na

pastwisku. Ale baran ze złotym runem przemówił głosem ludzkim i ostrzegł dzieci o grożącym im niebezpieczeństwie. Wsiedli na grzbiet barana i uciekali nad lądem i morzem. Gdy uciekali ponad morzem, dziewczynka ześliznęła się z grzbietu barana i utonęła. Natomiast brat jej, Friksos, dotarł bezpiecznie do Kolchidy, gdzie panował jako Dziecię Słońca, poślubiwszy córkę króla, która urodziła mu syna, Cytisorusa. I tam też złożył w ofierze barana ze złotym runem Zeusowi, bogowi ucieczki, inni zaś twierdzą, że Zeusowi Laphystios. Złote runo oddał ojcu swej żony, a ten przybił je w świętym gaju Aresa do dębu strzeżonego przez smoka, który nigdy nie zasypiał. A tymczasem w kraju wyrocznia zażądała, by sam król Atamas został złożony w ofierze dla przebłagania bogów za cały kraj. Ozdobili go więc ludzie wieńcami i prowadzili do ołtarza, jak się prowadzi ofiarę, ale ocalił go jego wnuk Cytisorus, który w ostatniej chwili przybył z Kolchidy, lub, jak twierdzi inna wersja, Herakles, który przyniósł wieści, że syn króla, Friksos, żyje. Został więc Atamas uratowany, ale później stracił zmysły i zabił swego syna, Learchusa, ponieważ wyobraził sobie, że jest to dzikie zwierzę. Usiłował następnie odebrać życie drugiemu synowi, Melicertesowi, ale dziecko uratowała matka, Ino, skacząc wraz z nim z wysokiej skały do morza. Matka i syn zamienieni zostali w bóstwa morskie, a syna czczono szczególnie na wyspie Tenedos, gdzie składano mu w ofierze niemowlęta. Nieszczęsny Atamas, straciwszy żonę i dzieci, opuścił swój kraj i zapytał wyrocznię, gdzie ma zamieszkać. Usłyszał w odpowiedzi, że tam, gdzie ugostczą go dzikie zwierzęta. Przyłączył się do stada wilków pożerających owce, gdy jednak zwierzęta go dostrzegły, uciekły pozostawiając mu skrwawione resztki swego łupu. W ten sposób spełniły się przepowiednie wyroczni. Ponieważ jednak król Atamas nie został złożony w ofierze za winy całego kraju, bogowie orzekli, że najstarszy potomek jego rodziny w każdym pokoleniu musi być poświęcony, jeśli kiedykolwiek przekroczy próg gmachu Rady, w którym ofiary Zeusowi Laphystios składał członek rodu Atamasa. Powiedziano Kserksesowi, że wielu członków tej rodziny opuściło kraj, by uniknąć straszliwego losu, ale niektórzy z nich po dłuższym czasie wracali, a gdy przekraczali progi gmachu Rady, wartownicy chwyтали ich, zdobili w wieńce, jak ofiary, prowadzili w uroczystej procesji do ołtarza i zabijali w ofierze bogu. Jeśli nawet takie rzeczy nie zdarzały się często, to jednak znane były powszechnie, albowiem autor dialogu przypisywanego Platonowi, mówiąc o ludzkich ofiarach u Kartagińczyków, dodaje, że zwyczaje takie zdarzały się również u Greków, i z przerażeniem wspomina o ofiarach składanych na górze Lycaeus przez potomków Atamasa.

Podejście, że ów barbarzyński zwyczaj bynajmniej nie został zarzucony w późniejszych czasach, potwierdza przypadek złożenia ofiary ludzkiej, który zdarzył się w czasach Plutarcha w Orchomenos, starożytnym mieście w Beocji, leżącym o kilka zaledwie mil od miejsca urodzenia historyka. Mieszkała tu rodzina, w której mężczyźni znani byli jako Psoloeis, czyli "powalani sadzą", a kobiety jako Oleae, czyli "niszczycielki". Co roku podczas święta Agrionia kapłan Dionizosa ścigał te kobiety z obnażonym mieczem i jeśli którąś dopadł, miał prawo ją zabić. Za czasów Plutarcha z prawa tego skorzystał kapłan imieniem Zoilos. Rodzina, której co roku groziła utrata jednego co najmniej członka, była pochodzenia królewskiego, wywodziła się bowiem od Miniasa, słynnego dawnego króla Orchomenosu, monarchy

posiadającego bajeczne skarby. Ruiny jego wspaniałego skarbcza stoją nadal w miejscu, gdzie rozciągnięte, skaliste wzgórza Orchomenosu przechodzą w rozległe płaskie dale równiny kopaiskiej. Jak głosi tradycja, córki królewskie od dawna gardziły innymi kobietami, które ulegały bakchicznemu szałom. Siedziały w domu przy krosnach i wrzecionie, podczas gdy inne kobiety, ozdobione kwiatami, z rozpuszczonymi na wietrze włosami, przemierzały w ekstazie nagie góry wznoszące się nad Orchomenosem, a po pustynnych wzgórzach rozlegały się echa dzikiej muzyki cymbałów i tamburynów. Ale po pewnym czasie boski obłąd dotknął również królewskie niewiasty zamknięte w swych zacisznych pokojach. Opanowała je niepokromiona żądza spróbowania mięsa ludzkiego, losowały więc między sobą, która z nich ma poświęcić swe dziecko na tę ludożerczą ucztę. Los padł na Leukippę, ta zaś oddała swego syna, Hippasusa, którego rozdarły na kawałki. Od tych zwyrodniałych matek wywodzili się Oleae i Psoloeis, których tak nazywano, ponieważ nosili żałobne szaty jako znak skruchy.

Istniejący w Orchomenosie zwyczaj rekrutowania ofiar ludzkich z rodziny królewskiego pochodzenia jest tym ciekawszy, że Atamas rządził rzekomo przed Miniasem, a naprzeciw miasta wznosiła się góra Laphystion, na której, podobnie jak na Alusie w Tesalii, istniało sanktuarium Zeusa Laphystios, gdzie, zgodnie z tradycją, Atamas miał zamiar złożyć w ofierze swoje dzieci, Friksosa i Helle. Porównując więc legendę o Atamasie z obyczajem, który obowiązywał w stosunku do jego potomków w czasach historycznych, możemy śmiało wyciągnąć wniosek, że w Tesalii i prawdopodobnie w Beocji panowała stara dynastia, w której królowie bywali dla dobra kraju składani w ofierze bogowi zwanemu Zeusem Laphystios, ale że udało im się zrzucić ten ciężar na swych synów, z których najstarszy bywał stale ofiarowywany na ołtarzu. Z upływem czasu okrutny zwyczaj został złagodzony do tego stopnia, że zastępczą ofiarą bywał zamiast królewskiego potomka baran, pod warunkiem że książę nie przekraczał nigdy progów gmachu Rady, gdzie składał ofiary Zeusowi jeden z jego krewnych. Jeśli jednak był na tyle lekkomyślny, by nie zważać na obowiązujące zakazy, los jego był przesądzony - musiał umrzeć. Z chwilą gdy rozmyślnie zwrócił na siebie uwagę boga, który dotąd dobrodusznie przymrużał oko na podstawianego zastępczo barana, stare przepisy, drzemiące dotąd w mroku zapomnienia, odzyskiwały swą dawną moc. Tradycja łącząca ofiarę z życia króla lub jego dzieci z żywiołowymi klęskami wskazuje w sposób oczywisty na tak rozpowszechnioną wśród ludów pierwotnych wiarę w odpowiedzialność króla za pogodę i plony. Są więc usprawiedliwione, gdy jego życiem płacą za surowość pogody lub nieudane zbiory. Wydaje się, że Atamas i jego dynastia łączyli funkcje boskie, czyli magiczne, z królewskimi. Naszą hipotezę wspierają uroszczenia Salmoneusza, brata Atamasa, który podobno utrzymywał, że jest bogiem. Ten bezczelny śmiertelnik twierdził, że jest ni mniej, ni więcej tylko samym Zeusem, i oszukańczo naśladował grzmoty i błyskawice za pomocą bicia w kotły i płonących pochodni. Jeśli jednak wolno sądzić na podstawie analogii, to jego pozorowane grzmoty i błyskawice nie były bynajmniej rekwizytami teatralnymi mającymi na celu oszukanie ludzi, lecz gusłami uprawianymi przez królewskiego czarnoksiężnika w celu sprowadzenia zjawisk niebieskich, które tak nieudolnie naśladowały.

U Semitów w Azji Zachodniej król w chwili niebezpieczeństwa poświęcał czasami swego syna dla dobra ludu. Filon z Byblus w swym dziele o Żydach donosi: "Był to starożytny zwyczaj, który nakazywał, by w chwili wielkiego niebezpieczeństwa władca miasta lub narodu oddawał swego ukochanego syna w ofierze jako wykup składany mściwym demonom. Dzieci zabijane w tym celu były ofiarowywane z mistycznymi rytuałami. Tak więc Kronus, którego Fenicjanie nazywają Izrael, mając syna jedynaka zwanego Jeoud (w języku bowiem fenickim Jeoud oznacza syna jedynaka), ubrał go w szaty królewskie i w czasie wojny złożył w ofierze na ołtarzu, gdy kraj był zagrożony przez nieprzyjaciela." Gdy Izraelici oblegali króla Moabu i położenie jego stało się trudne, wziął on swego najstarszego syna, który miał rządzić po nim, i złożył w ofierze całopalnej na murach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ZABIJANIE DUCHA DRZEWA

Należy obecnie zastanowić się nad tym, w jakiej mierze zwyczaj zabijania boskiego króla lub kapłana pozwala nam wyjaśnić szczególny przedmiot naszych badań. W poprzednich rozdziałach stwierdziliśmy, że mamy podstawy do przypuszczeń, iż Król Lasu w Nemi był uważany za wcielenie ducha drzewa czy też ducha roślinności i jako taki posiadał w przekonaniu swych wyznawców siłę magiczną, dzięki której mógł nakazywać drzewom rodzić owoce, plonom, by rosły, i tak dalej. Nic więc dziwnego, że wierni przywiązywali wielką wagę do jego życia i prawdopodobnie obwarowywali je systemem skomplikowanych środków ostrożności i tabu, podobnych tym, jakie w wielu krajach stosowano dla ochrony życia człowieka-boga przed złośliwymi poczynaniami demonów i czarowników. Ale widzieliśmy, że to właśnie znaczenie przywiązywane do życia człowieka-boga sprawia, iż musi on zginąć gwałtowną śmiercią, ponieważ jest to jedyny sposób zachowania go od nieuchronnego rozkładu, który przynosi ze sobą starość. To samo rozumowanie można zastosować w przypadku Króla Lasu. I jego musiano zabijać, by duch boski w niego wcielony mógł być przeniesiony na następcę w stanie nienaruszonym. Zasada, na mocy której mógł sprawować władzę jedynie do chwili, gdy pojawiał się silniejszy człowiek; który go zabijał, miała prawdopodobnie na celu zachowanie energii witalnej jego boskiego życia w stanie nienaruszonym i przekazanie tego życia następcy, gdy tylko energia ta zaczynała się zmniejszać. Jak długo bowiem potrafił utrzymać władzę w swej silnej dłoni, wiadomo było, że siły jego nie ustępują, natomiast śmierć poniesiona z ręki innego człowieka dowodziła, że zaczynają zanikać i że nadszedł widocznie czas, by jego boskie życie znalazło się w mniej podniszczonym przybytku. Takie wytłumaczenie zasady, na mocy której Król Lasu był zabijany przez swego następcę, czyni ją w pełni zrozumiałą. Hipotezę tę wspiera mocno teoria i praktyka Szylluków, którzy uśmiercali swego króla, gdy zdradzał pierwsze oznaki pogarszającego się zdrowia, ponieważ obawiali się, by jego słabość nie zmniejszyła odpowiednio witalnej energii zboża, bydła i ludzi. Wyjaśnienie nasze potwierdza również analogia z *chitome*, od którego życia, jak wierzą jego wyznawcy, zależy istnienie świata i którego w związku z tym zabijał jego następcę, gdy tylko pojawiały się pierwsze oznaki chylenia się ku upadkowi. Król Kalikut sprawował władzę na tych samych warunkach co Król Lasu, z tą tylko różnicą, że tego ostatniego wolno było napaść w każdej chwili, podczas gdy króla Kalikut tylko raz na dwanaście lat. Zasada jednak, że król Kalikut może panować tak długo, jak długo potrafi obronić się przed każdym przybyszem, była złagodzeniem starej reguły ustalającej określony czas jego panowania; podobnie zezwolenie udzielone Królowi Lasu było modyfikacją dawnego zwyczaju, nakazującego uśmiercanie go po określonym terminie. W obu wypadkach nowy przepis dawał człowiekowi-bogu przynajmniej szansę zachowania życia, podczas gdy przy starych przepisach szansy tej nie miał, a ludzie prawdopodobnie pogodzili się z tą zmianą dochodząc do wniosku, że dopóki człowiek-bóg może się sam obrobić przed napaściami, dopóty nie ma powodu obawiać się, by śmiertelny rozkład się rozpoczął.

Hipoteza, że Król Lasu bywał dawniej uśmiercany, gdy upłynął ustalony termin, może znaleźć potwierdzenie w przytoczonych dowodach, że istniał zwyczaj okresowego zabijania jego odpowiedników, ludzkich wcieleń ducha drzewa w Europie Północnej. Otóż w rzeczy samej niewątpliwe ślady takich zwyczajów można dostrzec w wiejskich uroczystościach. A oto przykłady:

W Niederpöring, w Dolnej Bawarii, zielonoświątkowy przedstawiciel ducha drzewa, tzw. *Pfingstl*, od stóp do głowy ubierany był w liście i kwiaty. Na głowę wkładano mu wysoką, spiczastą czapę spadającą aż na ramiona, pozostawiając tylko dwa otwory na oczy. Czapa przybrana była liliami wodnymi, na szczycie zaś przyczepiano wiązanek piwonii. Rękawy płaszcza również były z roślin wodnych, a resztę ciała spowijały liście olchy i leszczyny. Po obu jego stronach maszerowali chłopcy trzymając go za ręce. Obaj mieli obnażone miecze, podobnie jak i reszta ludzi biorących udział w procesji. Zatrzymywali się przy każdym domostwie, w którym spodziewali się gościńca, a ludzie z ukrycia polewali wodą przybranego w liście chłopca. Wszyscy byli uradowani, gdy udało się go dobrze zmoczyć. Na koniec wchodził on do potoku stając w wodzie po pas, a wtedy jeden z chłopców stojąc na mostku udawał, że ścina mu głowę. W Wurmlingen w Szwabii dwudziestu młodych chłopców ubiera się w zielonoświąteczny poniedziałek w białe koszule i białe spodnie przepasując się czerwonymi szarfami, a na szarfach zawieszają szable. Udają się konno do lasu, a pochód otwierają dwaj trębacze dmący w trąby. W lesie ścinają liściaste gałęzie dębowe i ubierają w nie od stóp do głowy tego, który ostatni wyjechał ze wsi. Nogi przybierane są osobno, tak żeby mógł dosiąść konia. Przytwierdzają mu następnie długą sztuczną szyję, a na niej umocowują sztuczną głowę ze sztuczną twarzą. Potem ścina się "maj", zazwyczaj osikę lub buk wysokości dziesięciu stóp, zdobi się go kolorowymi chusteczkami i wstążkami i wręcza osobie "noszącej «maj»". Kawalkada powraca do wsi z pieśniami i muzyką. W procesji kroczy Murzyński Król z twarzą uczernioną sadzą i z koroną na głowie, Doktor Żelaznobrody, Kapral i Kat. Wszyscy stają na wiejskich błoniach, po czym każda z postaci wygłasza rymowane przemówienie. Kat oznajmia, że przybrany w liście człowiek został skazany na śmierć, i ścina mu fałszywą głowę. Pierwszy z uczestników, który w galopie poderwie ją z ziemi, zachowuje głowę z wszystkimi ozdobami. Uroczystość urządza się co dwa lub trzy lata.

Z wszystkich jednak pozorowanych egzekucji najlepszą ilustracją naszych wywodów jest ceremonia urządzana w Czechach. W niektórych miejscowościach rejonu pilzneńskiego w zielonoświąteczny poniedziałek przybiera się Króla w korę zdobioną kwiatami i wstęgami. Na głowie nosi koronę ze złotego papieru i jedzie na koniu również przybranym kwiatami. Towarzyszy mu Sędzia, Kat i inne postacie, a za nimi ciągnie świta żołnierzy. Wszyscy są konno. Dojeżdżają do placu na środku wioski, gdzie już stoi altana z zielonych gałęzi, ustawiona pod "majem", zazwyczaj zrobionym z jodeł odartych z kory do samego szczytu, przybranych kwiatami i wstążkami. Po drwinach z niewiast i dziewcząt wioski i ścięciu głowy żabie, wyruszają do miejsca, które zawczasu wybrano na szerokiej prostej drodze. Zakreśla się tu dwie linie, a Król zaczyna uciekać. Dostaje on kilka minut for na start i rusza z miejsca galopem, ścigany przez całą świtę. Jeśli nie da się schwytać, zostaje Królem na rok następny, a jego towarzysze muszą

tego wieczoru płacić za niego rachunki w karczmie. Jeśli go jednak dogonią i schwytają, wówczas biją go prętami olszyny i drewnianymi szablami, po czym zmuszają go, by zszedł z konia. Kat zadaje pytanie: "Czy mam ściąć Króla?" Pada odpowiedź: "Zetnij mu głowę." Kat unosi topór i ze słowami: "Jeden, dwa, trzy, Król bez głowy leży", strąca koronę królewską. Pośród głośnych okrzyków widzów Król wali się na ziemię, po czym kładą go na mary i zanoszą do najbliższej chaty.

Trudno nie rozpoznać w większości figur uśmiercanych w ten żartobliwy sposób przedstawicieli ducha drzewa względnie ducha roślinności w tej postaci, w jakiej rzekomo ukazuje się wiosną.

Skoro jednak figury te są niewątpliwie uosobieniem ducha roślinności wiosennej, nasuwa się pytanie, dlaczego się je zabija. Jaki może mieć cel uśmiercenie ducha roślinności o jakiegokolwiek porze roku, a już szczególnie na wiosnę, gdy jest najbardziej potrzebny? Jediną prawdopodobną odpowiedzią jest wyjaśnienie, które sugerowaliśmy w związku ze zwyczajem uśmiercania boskiego króla i względnie kapłana. Boskie życie wcielone w ciało materialne i śmiertelne może zarazić się i ulec chorobom dotykającym kruchą powłokę, w której się chwilowo znalazło. Jeśli więc ma być uratowane przed rosnącym osłabieniem, które by musiało dzielić z swym ludzkim wcieleniem w miarę postępu lat, powinno być oddzielone od niego, zanim pojawią się jakiegokolwiek oznaki rozkładu, lub przynajmniej natychmiast po ich ukazaniu się, i przeniesione na energicznego następcę. Dokonuje się tego przez zabicie starego przedstawiciela boga i przekazanie ducha boskiego nowemu wcieleniu. Tak więc uśmiercenie boga, a raczej jego ludzkiego wcielenia jest jedynie niezbędnym krokiem w kierunku jego wskrzeszenia względnie zmartwychwstania w lepszej formie. Nie jest to bynajmniej wygaśnięcie ducha boskiego, ale tylko początek bardziej czystego i silniejszego ucieleśnienia się ducha. Tłumaczenie to wyjaśnia zwyczaj zabijania boskich królów w ogólności, a jeszcze lepiej można je zastosować do zwyczaju dorocznego zabijania przedstawiciela ducha drzewa względnie ducha wegetacji na wiosnę. Albowiem człowiek pierwotny skłonny jest tłumaczyć sobie zamieranie życia roślinnego zimą jako osłabienie ducha roślinności. Uważa on, że duch zestarzał się i musi wobec tego zostać odnowiony przez zabicie go i wskrzeszenie w postaci młodszej i energiczniejszej. Tak więc zabijanie na wiosnę przedstawiciela ducha drzewa uchodzi za sposób przyśpieszenia i wzmożenia wzrostu roślinności. Zabijanie bowiem ducha drzewa związane jest zawsze (tak musimy uważać) *implicite*, a niekiedy również *explicite*, z wskrzeszeniem go lub odnowieniem w postaci młodszej i energiczniejszej. Tak na przykład w Saksonii i Turynii zabitego Dzikiego Człowieka przywraca do życia lekarz, a w uroczystościach w Wurmlingen bierze udział postać Doktora Żelaznobrodego, który prawdopodobnie niegdyś odgrywał podobną rolę.

Podobieństwa między tymi północnoeuropejskimi postaciami a przedmiotem naszych badań - Królem Lasu, czyli kapłanem w Nemi, są dostatecznie uderzające. Ci północnoeuropejscy uczestnicy maskarady są królami, a ich stroje z kory, kapelusze z zielonych gałązek wraz z chatką z zielonych gałęzi i jodłami, pod którymi sprawują sądy, dowodzą nieomylnie, że są, podobnie jak ich italski odpowiednik, Królami Lasu. Podobnie jak on, giną śmiercią gwałtowną, ale też tak jak i on mogą jej na

pewien czas uniknąć dzięki sile swych mięśni i zręczności, albowiem w wielu z tych północnych obrządków ucieczka i ściganie Króla stanowią ważny element ceremonii i w jednym przynajmniej przypadku, gdy Król potrafi prześcignąć, swych prześladowców, zachowuje życie i stanowisko na jeszcze jeden rok. W tym ostatnim wypadku Król w istocie sprawuje władzę pod warunkiem, że raz do roku wygra wyścig o swe życie, podobnie jak król Kalikut w późniejszych czasach pozostawał na tronie, jeśli potrafił obronić swe życie walcząc z wszystkimi przybyszami raz na dwanaście lat, i tak samo jak kapłan z Nemi zachowywał swe stanowisko pod warunkiem, że obroni się przed wszelkim napadem. W każdym z tych wypadków życie człowieka-boga zostaje przedłużone pod warunkiem, że dowiedzie w ciężkiej walce lub ucieczce, iż jego siły fizyczne nie osłabły, wobec czego gwałtowna śmierć, która wcześniej czy później nastąpić musi, może być chwilowo odłożona. Jeśli idzie o ucieczkę, to warto podkreślić, że występuje ona wyraźnie zarówno w legendzie, jak i praktyce Króla Lasu. Dla uczczenia pamięci o ucieczce Orestesa, legendarnego twórcy kultu, musiał on być niewolnikiem, który zbiegł, dlatego też jeden ze starożytnych pisarzy * opisuje Króla Lasu jako "krzepkiego w rękach i chyżego w nogach". Być może, gdybyśmy lepiej znali rytuał obowiązujący w gaju arycyjskim, dowiedzielibyśmy się, że król miał szansę uratowania życia ucieczką, podobnie jak jego czeski brat. Wysunąłem już przypuszczenie, że doroczna ucieczka króla Rzymu (*regijugium*) była początkowo ucieczką tego samego rodzaju, innymi słowy, że początkowo był on jednym z owych boskich królów, których po określonym czasie uśmierca się albo pozwala się im dowieść siłą ręki lub szybkością nóg, że ich boskość jest jeszcze pełna energii i nie poniosła żadnego uszczerbku.

Jak dotąd, zaproponowałem wyjaśnienie prawa, które wymagało, by kapłan z Nemi był zabijany przez swego następcę. Wyjaśnienie to jest tylko prawdopodobne. Skąpe wiadomości, jakie posiadamy o tym zwyczaju i jego historii, nie pozwalają na nic więcej.

Jeśli jednak potrafię dowieść, że zwyczaj zabijania boga i wiara w jego zmartwychwstanie powstały lub co najmniej istniały na pasterskim i myśliwskim etapie rozwoju społeczeństwa, gdy zabijanym bogiem było zwierzę, i że zwyczaj ten przetrwał aż do etapu rolniczego, gdy zabijanym bogiem było zboże względnie człowiek, który je przedstawiał, wówczas proponowane przeze mnie wyjaśnienie będzie znacznie bardziej prawdopodobne.

Zaczniemy od miejsca, w którym przerwaliśmy nasze wywody - od wiosennych obyczajów chłopów europejskich. Poza opisanymi już uroczystościami istnieją jeszcze dwa zbliżone zespoły rytuałów, w których pozorowana śmierć istoty boskiej lub nadprzyrodzonej odgrywa wybitną rolę. W jednym z nich przedstawiana jest dramatycznie śmierć personifikacji Karnawału, w drugim śmierć samej Śmierci. Pierwsza uroczystość przypada oczywiście na koniec karnawału bądź to na ostatni dzień tego wesołego okresu, tzn. na ostatki, bądź też na pierwszy dzień postu, tzn. środę popielcową. Data drugiej ceremonii, zwanej pospolicie wynoszeniem czy wypędzeniem Śmierci, nie jest ujednoczona. Zazwyczaj przypada ona na czwartą niedzielę postu zwaną stąd "martwą niedzielą", ale w niektórych miejscowościach przypada ona o tydzień wcześniej, w innych, jak na przykład w Czechach, o tydzień później, w nie-

których zaś morawskich wioskach odbywa się w pierwszą niedzielę po Wielkanocy. Być może, jak to niektórzy sugerowali, była to początkowo data ruchoma, zależna od pojawienia się pierwszej jaskółki czy innego zwiastuna wiosny. Niektórzy pisarze uważają, że jest to obyczaj pochodzenia słowiańskiego. Grimm był zdania, że u starożytnych Słowian ceremonia ta związana była z uroczystościami Nowego Roku, który zaczynał się u nich w marcu. Zajmiemy się najpierw przykładami mimicznej śmierci Karnawału, zawsze poprzedzającej kalendarzowo to drugie święto. W Frosinone, w Lacjum, w połowie drogi między Rzymem a Neapolem, ostatni dzień karnawału, w którym odbywa się uroczystość znana pod nazwą *radica* (korzeń), stanowi przyjemną odmianę w ponurej monotonii życia prowincjonalnego miasteczka włoskiego. Około godziny czwartej po południu miejska orkiestra dęta, grając wesole melodie i otoczona wielkim tłumem, wyrusza ku Piazza del Plebiscito, gdzie się znajduje podprefektura i inne urzędowe budynki. Tu na środku placu pojawia się przed wyczekującą z niecierpliwością rzeszą ludzką przybrany wielobarwnymi festonami olbrzymi wóz zaprzęgnięty w cztery konie. Na wozie ustawione jest duże krzesło, na którym siedzi majestatyczna postać Karnawału, człowieka ze stiuku, wysokości około dziewięciu stóp, z krągłą i uśmiechniętą twarzą. Olbrzymie buciory, blaszany hełm, w rodzaju tych, które zdobią głowy oficerów marynarki włoskiej, i kolorowy płaszcz w wymyślne wzory upiększają zewnętrzną powłokę tej godnej postaci. Lewa ręka spoczywa na oparciu krzesła, prawą elegancko salutuje tłum, a do uprzejmości tej skłania go za pomocą sznurka człowiek skromnie ukryty przed oczami publiczności pod tronem. Podniecony tłum gromadzi się wokół wozu, daje upust swym uczuciom wznosząc radosne okrzyki, a ludzie prości i szlachetnie urodzeni mieszają się z sobą tańcząc do upadłego *saltarello*. Szczególną cechą święta jest to, że każdy musi mieć w ręce *radica*, którego symbolem jest wielki liść aloesu albo częściej agawy. Każdy, kto wejdzie w tłum bez takiego liścia, zostanie usunięty bez ceremonii, chyba że w zamian za to będzie miał głowę kapusty, umieszczoną na długim patyku, albo pęk misternie splecionej trawy. Tłum eskortuje wolno jadący wóz do bram podprefektury i tu zatrzymuje się, wóz zaś podskakując na nierównym gruncie z hałasem wjeżdża na dziedziniec. Uspokajają się zebrane rzesze, a ich ściszone głosy przypominają, zdaniem świadka tej uroczystości, pomruk wzburzonego morza. Wszystkie oczy skierowane są wyczekująco ku drzwiom, w których ma się pojawić sam podprefekt w otoczeniu innych przedstawicieli majestatu prawa, by złożyć hołd bohaterowi chwili. Po kilku minutach napięcia wybucha burza okrzyków i oklasków witająca ukazanie się dygnitarzy. Wychodzą gęsiego, schodzą po schodach i zajmują swe miejsce w procesji. Rozlega się hymn Karnawału, po czym przy akompaniamencie ogłuszającego wrzasku ulatują w górę liście aloesu i kapusty spadając bezstronnie na głowy sprawiedliwych i niesprawiedliwych, którzy, dodając zabawie nowej energii, rozpoczynają bójkę wszystkich z wszystkimi. Gdy ku zadowoleniu obecnych wstępne te poczynania zostają zakończone, procesja rusza z miejsca. Zamyka ją wóz naładowany beczkami z winem i policjantami, którzy tym razem mają miłe zajęcie, a mianowicie, rozlewają wino i podają je każdemu, kto o nie prosi. A tymczasem za wozem w rosnącym tłumie toczy się przy akompaniamencie okrzyków, ciosów i przekleństw mordercza walka pomiędzy tymi, którzy nie

chcą stracić wspaniałej okazji upicia się za darmo. Gdy wreszcie procesja kończy majestatyczny obchód głównych ulic miasteczka, wizerunek Karnawału zostaje doprowadzony na środek placu, gdzie zdejmuje się zeń wszystkie piękne szaty, układa go na stosie drzewa i pali przy okrzykach tłumu, który raz jeszcze głośno odśpiewuje hymn Karnawału, rzuca swe "korzenie" na płonący stos, po czym oddaje się nieposkromionym przyjemnościom tańca.

Pogrzeb Karnawału w Lúridzie w Katalonii obserwował w 1877 r. pewien angielski podróżnik. W ostatnią niedzielę karnawału wielka procesja piechurów, kawalerzystów i najrozmaitszych masek na koniach i w powozach towarzyszyła wielkiemu wozowi Jego Wysokości Pau Pi - tak nazywa się kukła - w triumfalnej procesji po głównych ulicach miasta. Przez trzy dni trwała wielka zabawa, a o północy ostatniego dnia karnawału ta sama procesja raz jeszcze ruszyła ulicami miasta, ale już w innym nastroju i w innym celu. Powóz triumfalny zastąpiony został przez karawan, na którym spoczywał trup Jego Wysokości, grupa masek, która w pierwszej procesji grała rolę "studentów szaleństwa", nie szczędząc wesołych żartów i kawałów, teraz przebrana za księży i biskupów, kroczyła powoli z olbrzymimi zapalonymi świecami śpiewając pienia żałobne. Maski były w krepie, a jeźdźcy na koniach trzymali płonące pochodnie. Procesja kroczyła melancholijnie po głównej ulicy między wysokimi kamienicami, gdzie w każdym oknie, na każdym balkonie, na każdym dachu tłoczył się zbity tłum widzów wystrojonych i fantastycznie przebranych. Scenę oświetlały chwiejne płomienie poruszających się pochodni, czerwone i niebieskie ognie bengalskie zapalały się i gasły, a ponad stuk kopyt końskich i miarowy odgłos kroków maszerujących tłumów wznosiły się głosy księży śpiewających requiem przy akompaniamencie stłumionych werbli orkiestry wojskowej. Procesja zatrzymała się na głównym placu, gdzie została wygłoszona żartobliwa oracja pogrzebowa nad zmarłym Pau Pi, po czym zgasły wszystkie światła. Natychmiast z tłumu wyskoczył Szatan z swymi sługami, porwali trupa i uciekli ścigani przez rozkrzyczany i wiwatujący tłum. Oczywiście czartów dogoniono i rozpędzono, trupa uratowano i złożono w przygotowanym wcześniej grobie. Tak oto zmarł i został pochowany Karnawał w roku 1877 w Lúridzie.

W Normandii w wilię Popielca istniał zwyczaj grzebania Mięsopestu. Nędzna kukła, przybrana w łachy, z starym kapeluszem wciśniętym na brudną twarz i wielkim brzuchem wypchanym słomą, przedstawiała starego rozpustnika, który po długiej rozpuście miał teraz cierpieć za swe grzechy. Niesione na barkach tęgiego chłopca, który udawał, że się ugina pod swym ciężarem, to ludowe uosobienie Karnawału paradowało po ulicach po raz ostatni w sposób w niczym nie przypominający jego triumfów. Poprzedzał go dobosz, a towarzyszył mu drwiący motłoch, w którym przeważali ulicznicy i cała miejska hołota z płonącymi pochodniami, bijąc w garnki i patelnie, pohukując, wyjąc i gwizdząc. Od czasu do czasu procesja zatrzymywała się i jakiś obrońca moralności wyliczał wszystkie grzechy zbankrutowanego grzesznika, za które teraz będzie spalony żywcem. Oskarżony, nie mając nic na usprawiedliwienie, kończył na stosie słomy, do którego przytykano pochodnię. Po chwili w niebo strzelał ogień ku zachwytowi dzieci, które biegały dookoła recytując wierszyki o śmierci Karnawału. Czasami

kukłę staczano po stoku góry przed spaleniem. W Saint-Ló za obdartą kukłą Mięsopestu szła wdowa. Był to potężny chłop przebrany za kobietę w czarnym welonie, który stentorowym głosem lamentował i opłakiwał nieboszczyka. Figurę obnoszono po ulicach miasta na marach w otoczeniu tłumu masek, po czym wrzucano ją do rzeki Vire.

Podczas tych uroczystości mięsopestnych i postnych odgrywa się niekiedy wskreszenie zmarłej osoby. Tak więc w ostatki w niektórych okolicach Szwabii Doktor Żelaznobrody udaje, że wytacza krew z chorego, który pada nieżywy na ziemię, ale Doktor przywraca mu życie wdmuchując w niego powietrze przez rurkę. W górach Harcu na zakończenie karnawału kładzie się człowieka do niecki na ciasto i śpiewając pieśni żałobne zanosi się go do grobu; ale w grobie zakopuje się szklankę alkoholu zamiast człowieka. Nad mogiłą zostaje wygłoszone przemówienie, po czym ludzie wracają na błonia, gdzie palą długie gliniane fajki, takie, jakie się rozdaje podczas pogrzebów. Następnego roku w ostatki wykopuje się szklankę z alkoholem, wszyscy kosztują napoju, który, jak mówią, powrócił do życia.

Uroczystość "wynoszenia Śmierci" podobna jest do "grzebania Karnawału", z tą tylko różnicą, że po wyniesieniu Śmierci następuje obrządek wprowadzenia Lata, Wiosny lub Życia. W Bawarii, w środkowej Frankonii, w czwartą niedzielę postu wiejskie wyrostki robiły ze słomy kukłę przedstawiającą Śmierć. Obnosiły ją z komiczną ceremonią po wsi, po czym z głośnymi okrzykami paliły za wsią. Jeden z szesnastowiecznych pisarzy⁶⁵ tak opisuje ów frankoński obyczaj: "W połowie postu, gdy Kościół nakazuje nam radować się, młodzi ludzie w moich stronach sporządzają ze słomy kukłę przedstawiającą Śmierć i zatknąwszy ją na tyce obnoszą po sąsiednich wsiach głośno wykrzykując. Niektórzy przyjmują ich życzliwie i poczęstowawszy mlekiem, grochem, suszonymi gruszkami i innymi przysmakami właściwymi tej porze roku odprawiają ich do domu. Inni natomiast bynajmniej nie okazują im gościnności. Uważając ich bowiem za zwiastunów nieszczęścia, mianowicie śmierci, przepędzają ich z granic wsi wymyślając i grożąc bronią."

W Norymberdze dziewczęta od siódmego do osiemnastego roku życia chodzą ulicami nosząc małą otwartą trumienkę, w której pod całunem leży lalka. Inne natomiast noszą w otwartym pudle gałąź buka z jabłkiem przytwierdzonym na końcu zamiast głowy. Śpiewają przy tym: "Zanosimy Śmierć do wody, dobrze jej tak", albo: "Niesiemy Śmierć do wody, niesiemy ją tam i z powrotem." W niektórych okolicach Bawarii jeszcze w 1780 roku wierzono, że nieprzestrzeganie obyczaju "wynoszenia Śmierci" może spowodować śmiertelną zarazę.

We wsiach Turyngii, zamieszkanym przez ludność słowiańskiego pochodzenia, wnoszeniu kukły towarzyszy piosenka zaczynająca się od słów: "Wynosimy teraz Śmierć ze wsi i wnosimy Wiosnę do wsi." Pod koniec wieku siedemnastego i na początku osiemnastego zwyczaj ten wyglądał następująco: Chłopcy i dziewczęta robili kukłę ze słomy lub podobnego materiału, ale kształt kukły był co roku inny. Raz był to stary mężczyzna, innym znowu razem stara kobieta, czasami młodzieniec, a czasami

⁶⁵ J. Boemus w *Omnium gentium mores, leges et rilus*, Paris 1538.

dziewczyna, strój zaś zmieniał się odpowiednio do postaci, którą kukła miała przedstawiać. Spierano się usilnie o to, gdzie kukła ma być robiona, ponieważ panowało przekonanie, że do domu, z którego będzie ona wyniesiona, nie zawita w tym roku śmierć. Gotową kukłę przymocowywano do tyki i jeśli przedstawiała starego mężczyznę, wówczas obnosiła ją po wsi dziewczyna, jeśli zaś staruszkę, wówczas tykę nosił chłopak. Kukle towarzyszył pochód młodych ludzi z kijami w rękę, którzy śpiewali, że wypędzają Śmierć. Dotarwszy do rzeki wrzucali ją do wody i szybko uciekali, obawiając się, by nie wskoczyła im na plecy i nie ukłęciła im szyi. Uważali również, by jej nie dotknąć, gdyż to z kolei groziło uschnięciem. Po powrocie do domu bili bydło kijami wierząc, że zwierzęta będą dzięki temu tłuste lub płodne. Po czym chodzili do domu czy też domów, z których przedtem wynieśli kukłę Śmierci, i tam otrzymywali porcję nie dogotowanego grochu.

Podobne ceremonie urządzone są w połowie postu na Śląsku. W wielu miejscowościach dorosłe dziewczęta z pomocą młodych mężczyzn stroją słomianą kukłę w kobiece szaty i wnoszą ją ze wsi w kierunku zachodzącego słońca. Na granicy wsi zdejmują suknię z kukły, drą ją na kawałki i rozrzucają po polach. Nazywa się ten obyczaj "grzebaniem Śmierci". -Wynosząc kukłę śpiewają pieśń o tym, że pochowają Śmierć pod dębem, by opuściła ludzi. Czasami pieśń opowiada, że niosą Śmierć za góry i lasy, by więcej nie wróciła. W polskich wsiach w okolicy Strzelec kukła nazywa się "goik". Wiozą ją na koniu i wrzucają do najbliższej wody. Ludzie uważają, że ceremonia ta chroni ich przed wszelkimi chorobami nadchodzącym roku. W okolicach Wołowa i Góry Śmierć wyrzucano za granicę, do sąsiedniej wioski, sąsiedzi obawiali się jednak złowieszczej postaci i pilnowali, by jej nie wpuścić do siebie, nic więc dziwnego, że często wybuchały na tym tle większe bójkę. W niektórych polskich okolicach Górnego Śląska kukła przedstawiająca starą kobietę nazywa się Marzanna, bogini śmierci. Robi się ją w domu, w którym ostatnio ktoś zmarł, i niesie na tyce do granic wioski, gdzie wrzuca się ją do rzeki lub pali. W Polkowicach obyczaj "wynoszenia Śmierci" został zarzucony, ale wybuch śmiertelnej choroby, który nastąpił po tym, zmusił ludzi do wznowienia obyczaju.

W Czechach dzieci chodzą za wieś z chochołem przedstawiającym Śmierć i tam pałą go śpiewając:
Wynieśmy teraz ze wsi Śmierć I nieśmy nowe Lato,

A w lecie niech pszeniczny plon Zieleni się bogato!

W mieście Tabor w Czechach Śmierć wnosi się za miasto i zrzuca ją

z wysokiej skały do wody, śpiewając:

Pływa sobie Śmierć po wodzie, Lato idzie - Lato;

Śmierć wygnaliśmy za wioskę - Przynosimy Lato!

Tobie, święta ty Marketo, Kłaniamy się wdzięcznie,

Daj nam urodzajny roczek, Żyto daj i jęczmień!

W innych okolicach Czech wnoszą Śmierć do granic wioski i śpiewają przy tym:

Pędzimy teraz ze wsi Śmierć A wnosim Nowy Roczek -

Witaj nam, Wiosno! Z nią i ty, Porosłe trawą zboczcie!

Za wsią pałą kukłę na stosie obrzucając ją przez cały czas wymysłami, po czym wracają do domu śpiewając:

*Wygналиśmy już ze wsi Śmierć
I Życie wiem w wioskę –
Wybrało sobie u nas dom,
Zanućmy skoczną piosnkę!*

W opisanych dotąd ceremoniach powrót Wiosny, Lata czy też Życia jako następstwo przepędzenia Śmierci jest zaledwie sugestią lub w najlepszym wypadku zapowiedzią. W obrządkach, które teraz opisujemy, jest on odgrywany w sposób nie budzący żadnych wątpliwości. W niektórych okolicach Czech topi się kukłę Śmierci o zachodzie słońca, po czym dziewczęta udają się do lasu i ścinają młode drzewo z zieloną koroną, zawieszają na nim lalkę przebraną za kobietę, a wszystko to razem obwieszają zielonymi, czerwonymi i białymi wstążkami i wracają do wsi w procesji ze swym *Lito* (Latem) śpiewając i zbierając podarunki.

*Pływa sobie Śmierć po wodzie,
Maj do wrót kołacze -
Niesie nam czerwone jajko
I żółte kołacze.
Wynieśliśmy już ze wsi Śmierć,
Niesiemy teraz Lato!*

W wielu śląskich wioskach postać Śmierci traktowana jest najpierw z szacunkiem, po czym zdziera się z niej szaty i wrzuca do wody klnąc przy tym albo rozrywa się ją na kawałki na polu. Następnie młodzież wybiera się do lasu, ścina małą jodełkę, odziera ją z kory i zdobi festonami zieleni, papierowymi różami, pisankami, kolorowymi szmatkami i tym podobnym. Przyozdobione drzewko nazywa się Latem albo "majem". Chłopcy chodzą z tym drzewkiem od domu do domu śpiewając okolicznościowe piosenki i proszą o podarunki. Między innymi śpiewają następującą piosenkę:

*Wynieśliśmy już z wioski Śmierć –
Niesiemy nowe Lato.
Kłaniamy się majowym dniom
I kolorowym kwiatom.*

Czasami przynoszą również z lasu ładnie przybraną lalkę, którą nazywają Latem, Majem lub Narzeczoną. W Polsce nazywają ją Dziewanną, boginią wiosny.

W Górnych Łużycach słomiana kukła Śmierci zrobiona ze słomy i gał-ganów ma na sobie welon, zaofiarowany przez pannę, która ostatnio brała ślub, i koszulę z domu, w którym ostatnio ktoś umarł. Przybraną w taki strój kukłę umieszcza się na długiej tyce, którą co sił w nogach - unosi najwyższa i najsilniejsza dziewczyna, a reszta biegnie za nią obrzucając kukłę kijami i kamieniami. Komu uda się trafić, może być pewny, że przeżyje rok. Tak oto wypędza się Śmierć z wioski i topi w rzece albo wyrzuca za granice następnej wioski. W drodze powrotnej każdy z uczestników ułamuje zieloną gałązkę i niesie ją wesoło aż do wsi, po czym wyrzuca. Czasami młodzież sąsiedniej wioski, na której grunty rzucono kukłę, biegnie za nimi i rzuca ją z powrotem, ponieważ nie chce, by Śmierć u nich została. Oczywiście czasami dochodzi przy tym do bójek.

W opisanych przypadkach Śmierć jest przedstawiana przez kukłę, którą się wyrzuca, natomiast Lato i Życie przez gałęzie drzew, które przynosi się z powrotem. Zdarza się jednak, że nowa siła życia przypisywana jest niekiedy samej Śmierci, która na mocy swoistego zmartwychwstania staje się

narzędziem powszechnego odrodzenia. W niektórych okolicach Łużyc tylko kobietom wolno wynosić Śmierć i nie dopuszczają do tego mężczyźni. Ubrane w żałobne stroje, które noszą cały dzień, robią kukłę ze słomy, ubierają ją w białą koszulę i wkładają do jednej ręki miotłę, a do drugiej kosę. Ze śpiewami zanoszą kukłę do granic wioski, ścigane przez urwisów, którzy obrzucają kukłę kamieniami. Za wsią kukłę rozdzierają na strzepy. Następnie ścinają ładne drzewko, zawieszają na nim koszulę i ze śpiewem wracają do domów.

W opisaney wyżej łużyckiej ceremonii drzewo, z którym niewiasty wracają do domu po zniszczeniu figury Śmierci, jest niewątpliwie odpowiednikiem drzew czy gałęzi, które we wcześniej opisanych ceremoniach zabierane są z powrotem jako przedstawiciele Lata czy Życia po wyrzuceniu i zniszczeniu Śmierci. Ale przeniesienie koszuli z figury Śmierci na drzewo wskazuje niedwuznacznie, że jest ono w pewnym sensie wskrzeszeniem zniszczonej kukły w nowej postaci. Widzimy to również w zwyczajach utrzymujących się na Morawach i w Transylwanii, gdzie dziewczynę ubiera się w strój, który nosiła Śmierć, po czym prowadzi się ją po wsi przy tej samej pieśni, którą śpiewano przy wynoszeniu Śmierci. Dowodzi to także niejako wskrzeszenia istoty, której wizerunek został dopiero co zniszczony. Na podstawie tych przykładów można wysunąć przypuszczenie, że Śmierci, której zniszczenie przedstawiane jest w opisanych ceremoniach, nie można uważać za czysto destrukcyjny element, jakim śmierć jest w naszym rozumieniu. Jeśli przynoszone z powrotem drzewo, będące ucieleśnieniem powracającej do życia wiosennej roślinności, ubiera się w koszulę, którą nosiła dopiero co zniszczona śmierć, wówczas celem tego zabiegu nie może przecież być wstrzymanie i przeciwdziałanie odrodzeniu się roślinności, a jedynie przyspieszenie i dopomożenie jej odrodzeniu. Dlatego należy przypuszczać, że zniszczona istota - tzw. Śmierć - wyposażona jest w siły ożywiające i przyspieszające odrodzenie, których może udzielić roślinom, a nawet i zwierzętom. Przypisanie życiodajnych sił postaci Śmierci przestaje ulegać jakiegokolwiek wątpliwości w przypadku zwyczaju przestrzegane go w niektórych okolicach, gdzie słomianą kukłę przedstawiającą Śmierć rozrywają na kawałki i rzucają je na pola, by rosło zboże, lub kładą do żłobu, by dobrze chowało się bydło.

Wydaje się rzeczą wielce nieprawdopodobną by "maje" i maiki oraz drzewa i gałęzie przynoszone do wsi po zniszczeniu Śmierci nie miały tego samego charakteru. Ci, którzy je przynoszą, wierzą, że przyprowadzają Lato, wobec czego drzewa te niewątpliwie przedstawiają Lato. Co więcej, na Śląsku nazywa się je zazwyczaj "latem" lub "majem", a lalki, które niekiedy zawieszają się na drzewie wyobrażającym Lato także są jego symbolem, podobnie jak Maj bywa niekiedy reprezentowany równocześnie przez maik i Majową Panią.

Ponadto drzewka letnie ozdabiane są tak jak i maik czy "maj" wstążkami i podobnymi ozdobami i tak samo jak "maje" wtyka się je w ziemię, jeżeli są duże, po czym chłopcy wspinają się na ich szczyt; jeżeli zaś są małe, chłopcy i dziewczęta noszą je od domu do domu śpiewając pieśni i zbierając datki. I jak gdyby pragnąc podkreślić identyczność obu zespołów obyczajów ci, którzy przynoszą drzewko letnie, oznajmniają, że przynoszą Lato i Maj. W zasadzie więc zwyczaje przyprowadzania Maja i Lata są

identyczne, a drzewko letnie jest jedynie inną postacią maika i "maja", z tą tylko różnicą (poza nazwą), że każde z tych drzew przynosi się w różnych porach roku. Maik zazwyczaj przypada w maju lub na Zielone Świąta, natomiast letnie drzewko w czwartą niedzielę postu. Skoro więc maik jest wcieleniem ducha drzewa względnie roślinności, musi również i letnie drzewko być podobnym ucieleśnieniem ducha drzewa względnie roślinności. Widzieliśmy jednak, że w niektórych przypadkach letnie drzewko jest wskrzeszeniem figury Śmierci. Wynika więc z tego, że w tych przypadkach figura Śmierci jest wcieleniem ducha drzewa lub roślinności. Wniosek ten potwierdza: po pierwsze, przekonanie o ożywym i zapładniającym wpływie, jaki rzekomo posiadają szczątki figury Śmierci na świat zwierzęcy i roślinny; wpływ ten bowiem, jak się o tym przekonaliśmy we wcześniejszej części tej pracy, jest przypisywany duchowi jako jego specjalny atrybut. Po drugie: zwyczaj zdobienia figury Śmierci liśćmi względnie sporządzanie jej z gałązek, konopi lub wymłóconego snopa zboża, a także fakt, że niekiedy bywa zawieszana na małym drzewku i obnoszona przez dziewczęta zbierające datki, podobnie jak to czynią z maikiem, Majową Panią i drzewkiem letnim z zawieszoną na nim lalką. Krótko mówiąc, powyższe względy skłaniają nas do uważania wypędzania Śmierci i przyprowadzania Lata, przynajmniej w niektórych wypadkach, po prostu za inną formę śmierci i wskrzeszenia na wiosnę ducha roślinności. Pogrzeb i zmartwychwstanie Karnawału jest prawdopodobnie jeszcze jedną formą wyrażenia tej samej idei.

Możemy z dużym prawdopodobieństwem wysunąć przypuszczenie, że nazwy Karnawał, Śmierć i Lato są stosunkowo późnymi i niezadowalającymi określeniami istot personifikowanych lub ucieleśnionych w obyczajach, którymi się dotąd zajmowaliśmy. Już abstrakcyjny charakter tych nazw świadczy o ich nowoczesnym pochodzeniu, albowiem personifikacja okresu i pory roku, jak np. Karnawału czy Lata, względnie abstrakcyjnego pojęcia, takiego jak śmierć, nie jest właściwa pierwotnemu sposobowi myślenia. Natomiast same uroczystości noszą ślady odległej starożytności, trudno wobec tego oprzeć się wrażeniu, że idee, których są wcieleniem, były na początku bardziej proste i konkretne. Pojęcie drzewa, być może, szczególnego gatunku drzewa (albowiem niektórzy dzicy nie mają wyrażenia dla drzewa w ogólności), a nawet pojedynczego drzewa, jest dostatecznie konkretne, by poprzez stopniowy proces uogólniania dojść od niego do szerszego pojęcia ducha roślinności. Ale ogólne pojęcie roślinności łatwo pomieszać z porą roku, w której się ona pojawia, stąd też nietrudno podstawić wiosnę, lato czy maj pod pojęcie ducha drzewa czy roślinności. Podobnie konkretne pojęcie umierającego drzewa czy umierającej roślinności może przekształcić się w pojęcie śmierci w ogólności, tak więc zwyczaj wnoszenia umierającej czy nieżywej roślinności na wiosnę, traktowany jako wstęp do jej wskrzeszenia, rozszerza się z czasem na próbę zupełnego przegnania Śmierci z wioski lub okolicy.

Kontrast między uśpionymi w zimie siłami roślinności a ich witalnością po obudzeniu się na wiosnę przybiera w rozpowszechnionych zwyczajach ludowych formę dramatycznej walki pomiędzy aktorami grającymi rolę Zimy i Lata.

W Szwecji na przykład pierwszego maja dwie gromady młodych mężczyzn ścierały się konno udając groźną bitwę. Jednym oddziałem dowodził ubrany w futra przedstawiciel Zimy. Rzucił on śnieżne kule i lód, starając się w ten sposób przedłużyć panowanie Zimy. Na czele drugiego oddziału stał przedstawiciel Lata, przystrojony w zielone liście i kwiaty. Gra kończyła się zwycięstwem Lata, po czym uroczystość zamykała biesiada.

U Eskimosów w Ameryce Północnej walka między przedstawicielami Zimy i Lata, która w Europie już dawno wyrodziła się w zwykłe przedstawienie, przetrwała jako ceremonia magiczna, mająca na celu zaklinanie pogody. Jesienią, gdy burze zapowiadają zbliżanie się straszliwej arktycznej zimy, Eskimosi dzielą się na dwie grupy.

Jedna nazywa się pardwami, druga zaś kaczkami. Pardwami są wszystkie osoby urodzone w zimie, kaczkami urodzone w lecie. Rozciąga się następnie między nimi długi sznur skręcony ze skór foczych i obie grupy chwytając za końce starają się przeciągnąć go na swoją stronę. Jeśli pardwy przegrają, wówczas lato wygrało i można się spodziewać, że zima będzie pogodna.

W Rosji w ceremoniach pogrzebowych w rodzaju "pochowania Karnawału" i "wynoszenia Śmierci" nie występują Śmierć i Karnawał, lecz takie mitologiczne postacie jak Kostrubonko, Kostroma, Kupała, Łada i Jaryło. Obyczaje te przestrzegane są zarówno na wiosnę, jak i w połowie lata. "Na Ukrainie obchodzono w okresie wielkanocnym pogrzeb istoty zwanej Kostrubonko, bóstwa wiosny. Śpiewacy tworzyli koło, które wolno krążyło wokół dziewczyny leżącej na ziemi jak martwa, i śpiewali przy tym:

*Zmarł, zmarł nasz Kostrubonko!
Zmarł, zmarł nasz kochaneczek!
aż nagle dziewczyna zrywała się, na co chór radośnie wołał:
Ożył.-ożył nasz Kostrubonko,
Ożył, ożył nasz kochaneczek!"*

W wilię św. Jana (wilia letniego przesilenia) sporządza się ze słomy figurę Kupały i "ubiera się ją w suknie kobiece, zawiesza na szyi naszyjnik, a na głowę kładzie wianek z kwiatów, po czym ścina się drzewo i ozdobiwszy je wstążkami ustawia się w jakimś zawczasu obranym miejscu. W pobliżu tego drzewa, które nazywają Marena (Zima lub Śmierć), umieszcza się słomianą figurę oraz stół zastawiony wódkami i mięsivem. Rozpala się potem ognisko, przez które skaczą parami młodzi mężczyźni i dziewczęta ze słomianą figurą. Następnego dnia zdejmują ozdoby z figury i drzewa i wrzucają je do potoku." W dzień św. Piotra, 29 czerwca, względnie w najbliższą niedzielę urządza się w Rosji "pogrzeb Kostromy", Łady lub Jaryła. W guberniach penzeńskiej i sybirskiej pogrzeb ten urządzało się w następujący sposób: dwudziestego ósmego czerwca rozpalano ognisko, a następnego dnia dziewczęta wybierały jedną z przyjaciółek, by grała rolę Kostromy. Towarzyszki pozdrowiały ją głębokimi reweransami, kładły na desce i zanosily na brzeg potoku. Kąpały ją tutaj w wodzie, po czym najstarsza wyplatała koszyk z kory lipowej i biła weń jak w bęben. Wracali następnie do wsi i dzień kończył się korowodami, zabawami i tańcami. W obwodzie muromskim Kostromę przedstawiała figura słomiana odziana w kobiece suknie i przybrana kwiatami. Kładziono ją do niecki i zanoszono na brzeg rzeki lub jeziora. Tutaj tłum dzielił się na dwie strony walczące z sobą o figurę. W końcu napastnicy wygrywali,

zdzierali z figury szaty i ozdoby, darli ją na kawałki, deptali słomę, z której była sporządzona, i wrzucali do rzeki. Obrońcy natomiast przykrywali twarze dłońmi i udawali, że oplakują śmierć Kostromy. W obwodzie kostromskim śmierć Jaryły obchodzono dwudziestego dziewiątego względnie trzydziestego czerwca. Wybierano starego człowieka i wręczano mu małą trumienkę z przypominającą Priapa figurą przedstawiającą Jaryłę. Staruszek wynosił ją z miasta, a za nim szły niewiasty, zawodząc pieśni żałobne i gestami wyrażając smutek i rozpacz. W szczerym polu kopano grób, do którego wśród płaczu i zawodzenia wkładano figurę, po czym zaczynały się tańce i zabawy "pripominające pogrzebowe igrzyska obchodzone w dawnych czasach u pogańskich Słowian". Na Ukrainie figurę Jaryły wkładano do trumny i niesiono po zachodzie słońca przez ulice. Trumnę otaczały pijane kobiety powtarzające żałobie: "On umarł! On umarł!" Mężczyźni unosili figurę i potrząsali nią, jak gdyby chcieli przywołać ją do życia. Po czym zwracali się do kobiet: "Nie płaczcie, niewiasty. Wiemy, co jest słodsze od miodu." Ale kobiety nadal lamentowały i zawodziły, jak to czynią na pogrzebach. "Cóż on zawinił? Był taki dobry. Nie powstanie już nigdy. Jakże możemy się z tobą rozstać? Czym będzie życie bez ciebie. Powstań, chociażby na godzinkę. Ale on nie wstaje, nie wstaje." W końcu chowano Jaryłę w grobie.

Te obyczaje rosyjskie są niewątpliwie tej samej natury co "wynoszenie Śmierci" w Austrii i Niemczech. Jeśli więc nasza interpretacja wspomnianych tu ceremonii jest słuszna, wówczas rosyjscy Kostru-bonkowie, Jaryłowicze i inni musieli początkowo być wcieleniami ducha roślinności, a ich śmierć była niezbędnym wstępem do zmartwychwstania. Powrót do życia jako następstwo śmierci odgrywany jest w pierwszej z opisanych ceremonii, śmierci i zmartwychwstania Kostrubonki. Śmierć ducha roślinności jest obchodzona w niektórych rosyjskich obrządkach w czasie letniego zrównania prawdopodobnie dlatego, że od tego dnia rozpoczyna się schyłek lata. Dzień staje się krótszy, a słońce wyrusza w swą podróż:

*Do mrocznych nor i jaskiń,
Gdzie zima śpi i mróz.*

Tego rodzaju zwrotny punkt roku, gdy zaczyna się jeszcze prawie nie dostrzegalny schyłek lata, więc i roślinności, wybiera człowiek pierwotny jako dogodny moment dla tych rytuałów magicznych ceremonii, za pomocą których spodziewa się powstrzymać ów proces, a przynajmniej zapewnić powrót do życia świata roślinnego.

Śmierć roślinności pojawia się we wszystkich tych ceremoniach przesilenia letniego, a w niektórych mamy również i jej zmartwychwstanie, natrafiamy jednak niekiedy na pewne elementy, których wyłącznie za pomocą naszej hipotezy nie wytłumaczymy. Uroczysty pogrzeb, zawodzenia, żałobny strój, z którym często spotykamy się w tych uroczystościach, towarzyszą w sposób jak najbardziej właściwy śmierci dobroczynnego ducha roślinności. Ale jak wytłumaczymy radość, z jaką często figura bywa wynoszona, pałki i kamienie, którymi się ją atakuje, wyzwiska i przekleństwa, którymi się ją obrzuca? Cóż powiemy o strachu, jaki ona wzbudza, o pośpiechu biegnących do domu ludzi, którzy ją wyrzucili, o przekonaniu, że ktoś wkrótce musi umrzeć w domu, do którego zajrzała? Tę obawę może

prawdopodobnie wytłumaczyć wiara, że w nieżywym duchu roślinności kryje się coś zaraźliwego, niebezpiecznego przy zbliżeniu.

To wytłumaczenie jednak nie tylko jest bardzo naciągnięte, ale też nie wyjaśnia nam radości towarzyszącej często "wynoszeniu Śmierci". Musimy wobec tego uznać, iż w tych ceremoniach istnieją dwa oddzielne i pozornie sprzeczne elementy. Z jednej strony smutek wywołany śmiercią, przywiązanie i szacunek dla nieboszczyka, a z drugiej strach przed zmarłym i nienawiść do niego oraz radość z powodu jego śmierci. Próbowałem już wytłumaczyć element pierwszy. W dalszym ciągu spróbuję wyjaśnić, w jaki sposób element drugi jest tak ściśle związany z pierwszym.

Doszliśmy do wniosku, że ceremonie owe i wiele im podobnych dadzą się wyjaśnić hipotezą, że są, względnie były, u swych początków magicznymi rytuałami, mającymi zapewnić wskrzeszenie przyrody na wiosnę. Cel ten miano osiągnąć za pomocą naśladowania i odwołania się do magicznego powinowactwa. Człowiek pierwotny, wprowadzony w błąd nieznaną przyczyną prawdziwych przyczyn, wierzył, że dla sprowadzenia wielkich zjawisk przyrody, od których zależy jego życie, wystarczy je naśladować, a natychmiast dzięki tajemniczemu powinowactwu względnie mistycznym wpływom mały dramat odegrany na leśnej polance lub w kotlinie górskiej, na pustynnej równinie lub brzegu zmiatanym wiatrem zostanie powtórzone przez potężniejszych aktorów na większej scenie. Wyobrażał sobie, że przebierając się w liście i kwiaty dopomagał nagiej ziemi pokryć się zielenią i że przedstawiając śmierć i pogrzeb zimy przepędzał mroczną porę roku i torował drogę powracającej wiosnie. Trudno nam wczuć się nawet w wyobraźni w umysłowość dopuszczającą takie rzeczy, ale łatwiej możemy sobie odtworzyć niepokój, z jakim dziki przyglądał się stałemu działaniu tego, co obecnie nazywamy prawami przyrody, gdy po raz pierwszy oderwał myśli od zaspokajania swych zwierzęcych potrzeb i zaczął rozmyślać nad przyczynami rzeczy. Nam, oswojonym z koncepcją regularnej powtarzalności następstw wielkich zjawisk kosmicznych, wydaje się, że nie ma podstaw do zbyt wielkiej obawy, by przyczyny wywołujące te skutki przestały działać, w każdym razie w najbliższej przyszłości. Ale to zaufanie do stałości przyrody powstaje jedynie w wyniku doświadczenia wyptywającego z rozległych obserwacji i długiej tradycji. Krąg obserwacji dzikiego jest tak wąski, a tradycja tak świeża, iż brak mu tych właśnie elementów doświadczenia, które mogłyby go uspokoić w obliczu stale zmieniających się i częstokroć groźnych aspektów przyrody. Nic więc dziwnego, że wpada w panikę na widok zaćmienia słońca i jest przekonany, że słońce lub księżyc zginą, jeśli nie zaczną hałasować i nie wymierzy swych słabiutkich strzał w powietrze w obronie wielkich światła przed potworem, który chce je połknąć. Nic też dziwnego, że jest przerażony, gdy mroki nocy nagle przeszywa błysk meteoru lub gdy cały nieboskłon rozjarzy się drżącym światłem zorzy polarnej. Nawet zjawiskom powtarzającym się w regularnych odstępach czasu przypatruje się z niepokojem, dopóki nie uświadomi sobie ich ładu. Od długości poszczególnego cyklu zależy, jak szybko zorientuje się w cykliczności względnie regularności tych zmian w przyrodzie. Na przykład cykl dnia i nocy jest wszędzie poza rejonami polarnymi tak krótki i wobec tego tak częsty, że ludzie prawdopodobnie prędko przestali się nim niepokoić, chociaż jak widzieliśmy, starożytni

Egipcjanie codziennie robili czary, by rano sprowadzić na wschodzie ognistą kulę, która wieczorem tonęła w purpurowym zachodzie. Ale jakże inaczej przedstawiała się sprawa z rocznym cyklem pór roku. Dla każdego człowieka rok jest długim okresem czasu, jeśli weźmiemy pod uwagę, że lat tych w życiu człowieka jest nawet w najlepszym przypadku niewiele. Dla człowieka pierwotnego, posiadającego tak krótką pamięć i tak niedoskonałe środki do odnotowywania biegu czasu, rok mógł być okresem tak długim, że nie potrafił w ogóle rozpoznać w nim cyklu, a zmieniający się wygląd nieba i ziemi obserwował z nieustającym zdumieniem, z radością ustępującą miejsca przerażeniu, w podniosłym nastroju na przemian z przygnębieniem w zależności od tego, czy słońce i ciepło, życie roślinne i zwierzęce przysparzały mu wygod, czy zagrażały jego istnieniu. Czy mógł być pewny, że będzie jeszcze kiedyś zielono, gdy jesienią przyglądał się nagim gałęziom, a mroźne podmuchy wiatru gnały po lesie zwiędłe liście? Czyż mógł być pewny, że wielkie światło odnajdzie swą niebieską drogę, widząc, jak dzień po dniu słońce schodziło coraz niżej? Nawet zmniejszający się księżyc, z dnia na dzień coraz cieńszy nad wschodnim skrajem widnokrzęgu, mógł wzbudzać obawy w jego umyśle, że już nigdy nie pojawi się z powrotem po ostatecznym zniknięciu.

Tysiące takich i tym podobnych niepokoju wypełniało wyobraźnię i zakłócało spokój człowieka, który po raz pierwszy zaczął zastanawiać się nad tajemnicami otaczającego go świata, gdy zaczynał troszczyć się nie tylko o dzień jutrzejszy, ale i o dalszą przyszłość. Nic więc dziwnego, że - gnębiony takimi myślami i obawami - czynił wszystko, co było w jego mocy, by przywrócić kwiaty gałęziom, wynieść nisko stojące zimowe słońce z powrotem na stare miejsce na letnim niebie i doprowadzić do pełni srebrną lampę niknącego księżyca. Możemy oczywiście wyśmiewać te próżne wysiłki, ale trzeba było długiej serii eksperymentów, a niektóre z nich z pewnością musiały zawieść, zanim człowiek z doświadczenia poznał jałowość jednych metod i użyteczność innych. Magiczne ceremonie są przecież niczym innym jak doświadczeniami, które zawiodły; ale powtarzane są jedynie dlatego, że, z przyczyn już wcześniej wyjaśnionych, osoba przeprowadzająca je nie zdaje sobie sprawy z tego, że są nieudane. W miarę postępu wiedzy ceremonie te są zarzucane albo utrzymują się siłą nawyku, chociaż od dawna uległy zapomnieniu intencje, które je powołały do życia. Utraciwszy swą wysoką rangę, nie uważane już za uroczyste, obrządki, od których zależy dobrobyt, a nawet los społeczności, stopniowo staczą się do poziomu zwykłych widowisk, maskarad i zabaw, aż wreszcie w ostatecznym upadku zarzucone zostają zupełnie przez dorosłych i z najpoważniejszego zajęcia mędrca stają się w końcu próżnymi rozrywkami dzieci.

Większość magicznych obrządków naszych europejskich przodków dogorywa obecnie na tym najniższym szczeblu upadku, ale nawet z tego ostatniego schronienia wypędza je szybko rosnąca fala różnorodnych sił moralnych, intelektualnych i społecznych, prowadzących ludzkość ku nowemu i nieznanemu celowi. Być może, odczuwamy pewien naturalny żal, że znikają dziwaczne zwyczaje i malownicze ceremonie, które przeniosły do epoki oskarżanej często o nudę i prozaiczność coś z świeżości i nastroju dawnych czasów, jakieś tchnienie wiosny świata, ale nasz żal się zmniejszy, gdy

wspomnimy, że te piękne uroczystości, obecnie niewinne rozrywki, zrodziły się z przesądów i niewiedzy, że jeśli nawet są świadectwami ludzkich osiągnięć, to są również pomnikami daremnej przemyślności, zmarnowanych wysiłków i próżnych nadziei. I że mimo wesołych przybrań - kwiatów, wstążek i muzyki - więcej w nich tragedii aniżeli farsy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

MIT ADONISA

Widowisko dorocznych zmian dokonujących się na powierzchni ziemi zawsze robiło ogromne wrażenie na ludziach i pobudzało ich do rozmyślań nad przyczyną przemian tak olbrzymich i wspaniałych. Ciekawość ich nie była czysto bezinteresowna, albowiem nawet dziki człowiek musi dostrzec, jak ściśle życie jego związane jest z życiem przyrody i jak te same procesy, które powodują zamarzanie potoków i ziemię ogałającą z roślinności, zagrażają jego istnieniu. Na pewnym szczeblu rozwoju ludzie, jak się zdaje, wyobrażali sobie, że posiadają środki mogące zapobiec grożącym katastrofom i że za pomocą magii potrafią przyspieszyć lub opóźnić przemijanie pór roku. Zgodnie z tym przekonaniem nakazywali obrządkami i zaklęciami, by deszcz padał, słońce świeciło, zwierzęta się rozmnażały, a płody ziemi rosły. Z biegiem czasu powolny postęp wiedzy, który rozwiał już tyle hołubionych złudzeń, przekonał w każdym razie bardziej myślącą część ludzkości, że następstwo zimy i lata, wiosny i jesieni nie jest jedynie wynikiem magicznych zabiegów, lecz że za kulisami przyrody działają jakieś siły potężniejsze, jakieś głębsze przyczyny. We wroście i więdnieniu roślinności, w narodzinach i śmierci żywych stworzeń zaczęli dopatrywać się rosnących czy zmniejszających się sił istot boskich, bogów i bogiń, którzy rodzili się i umierali, pobierali się i płodzili potomstwo podobnie jak ludzie.

Tak oto magiczna teoria pór roku została zastąpiona, a raczej uzupełniona teorią religijną. Ludzie, co prawda, przypisywali obecnie roczny cykl zmian przede wszystkim odpowiednim zmianom zachodzącym u ich bogów, ale nadal sądzili, że za pomocą pewnych magicznych zabiegów mogą pomóc bogu, będącemu źródłem życia, w jego walce z przeciwstawiającym mu się źródłem śmierci. Wyobrażali sobie, że mogą podtrzymać jego niknące siły, a nawet wskrzesić go po śmierci. Obrządki, które w tym celu urządzali, były w zasadzie dramatycznymi przedstawieniami procesów przyrody, które pragnęli ułatwić, albowiem znana zasada magii opiewa, że można spowodować pożądaną skutek przez zwykłe naśladowanie go. A ponieważ tłumaczyli sobie obecnie wzrost i rozkład, rozmnażanie się i śmierć przez małżeństwo, śmierć i zmartwychwstanie bogów, ich religijne, a raczej magiczne dramaty ku tym właśnie tematom się zwracały. Przedstawiały one owocny związek sił płodności, żalostną śmierć jednego przynajmniej z boskich partnerów i jego radosne zmartwychwstanie. W ten sposób teoria religijna splotła się z praktykami magicznymi. Kombinacja ta często powtarza się w historii, w istocie nielicznym religiom udało się zrzucić stare pęta magii. Brak konsekwencji w działaniu opartym o dwie sprzeczne zasady może nawet bardzo zadrećcać duszę filozofa, rzadko jednak niepokoi zwykłego człowieka, który, co więcej, prawie nigdy sobie z tego nie zdaje sprawy. Jego rzeczą jest działać, a nie analizować motywy swego działania. Gdyby ludzkość postępowała zawsze logicznie i mądrze, historia nie byłaby długą kroniką głupoty i zbrodni.

Spośród zmian, jakie przynoszą pory roku, najbardziej uderzającymi w strefie umiarkowanej są zmiany dotyczące roślinności. Pory roku mają wielki wpływ na świat zwierzęcy, ale nie jest on tak widoczny. Nic więc dziwnego, że w magicznych dramatach, mających na celu przepędzenie zimy i sprowadzenie lata, nacisk położony jest na świat roślinny i że drzewa i rośliny zajmują w nich wybitniejsze miejsce aniżeli zwierzęta czworonożne i ptaki. Ale obie strony życia, roślinna i zwierzęca, nie były rozdzielone w umysłach tych, którzy przestrzegali obrządków. W istocie wierzyli oni, że związek między światem roślinnym i zwierzęcym jest nawet bliższy aniżeli w rzeczywistości, często więc łączyli dramatyczne przedstawienie powracających do życia roślin z prawdziwym lub udawanym związkiem płci w celu równoczesnego przyspieszenia rozmnażania się owoców, zwierząt i ludzi za pomocą tych samych środków. Zasada życia i płodności, zarówno roślinnej, jak i zwierzęcej, była jedna i nie-rozdzielna. Życ i dawać życie, spożywać pokarm i płodzić dzieci było główną potrzebą człowieka w przeszłości i pozostanie nią w przyszłości, jak długo istnieć będzie świat. Mogą dojść inne sprawy wzbogacające i upiększające życie ludzkie, jeśli jednak przedtem nie zostaną zaspokojone te elementarne potrzeby, ludzkość musi przestać istnieć. Tak więc przede wszystkim pożywienie i dzieci starali się zdobyć ludzie za pomocą magicznych zabiegów mających regulować pory roku.

Obrządki te były najbardziej rozpowszechnione i uroczyste w krajach graniczących z wschodnim wybrzeżem Morza Śródziemnego. Ludy Egiptu i Azji Zachodniej pod imionami Ozyrysa, Tammuz, Adonisa i Attisa przedstawiały doroczny schyłek i powrót życia, szczególnie życia roślinnego, uosobionego w postaci boga co roku umierającego i powstającego ze zmarłych. Różniły się nazwy i szczegóły tych obrządków w zależności od kraju, ale istota pozostawała nie zmieniona. Zajmiemy się obecnie zbadaniem rzekomej śmierci i zmartwychwstania tego wschodniego bóstwa, boga o wielu imionach, ale o jednej naturze. Zaczniemy od Tammuz, czyli Adonisa.

Kult Adonisa istniał u ludów semickich Babilonii i Syrii, a Grecy zapożyczyli go od nich już w siódmym wieku przed narodzeniem Chrystusa. Prawdziwe imię bóstwa było Tammuz, nazwa Adonis jest jedynie semickim *adon*, "pan", zaszczytnym tytułem, którym posługiwali się wierni zwracając się do niego. Przez nieporozumienie Grecy honorowy tytuł przekształcili w imię własne. W religijnej literaturze babilońskiej Tammuz pojawia się jako młody narzeczony czy też kochanek Ishtar, wielkiej bogini matki, uosobienia rozrodczych sił przyrody. Wzmianki o ich związku są zarówno w mitach, jak i rytuale fragmentaryczne i niejasne, możemy jednak dowiedzieć się z nich, że Tammuz miał umierać co roku, opuszczając wesołą ziemię dla mrocznego świata podziemnego, i że co roku jego boska kochanka wyruszała na poszukiwania "do kraju, skąd nie ma powrotu, do domu ciemności, gdzie kurz leży na drzwiach i ryglach". Podczas jej nieobecności przestawała działać miłość: zwierzęta i ludzie zapominali o rozmnażaniu się, groziło niebezpieczeństwo wygaśnięcia wszelkiego życia. Funkcje seksualne całego świata zwierzęcego były tak ściśle związane z boginią, że pod jej nieobecność nie mogły być wykonywane. Wysyłano wobec tego posłańca wielkiego boga Ea, by uratował boginię, od której tak wiele zależało. Surowa władczyni piekielnych regionów, Allatu lub Eresz-Kigal, niechętnie zezwalała na

pokropienie Isztar wodą życia, na powrót bogini, prawdopodobnie w towarzystwie jej kochanka Tammuza, do górnego świata i na to, by przyroda po ich powrocie mogła powrócić do życia.

Szereg hymnów babilońskich zawiera lamentsy po Tammuzie, w których porównywany jest on do szybko więdnącej rośliny.

*Krzew tamaryszku, który w ogrodzie nie pił wody,
Krzew tamaryszku, który nie zakwitł w polu kwiatem,
Wierzbina, której nigdy nie bawił szmer strumyka.
Wierzbina, której życie wyrwano z korzeniami.
I ziele, co w ogrodzie nie piło nigdy wody.*

Co roku w środku lata w miesiącu Tammuz, nazwanym od boga, mężczyźni i kobiety opłakiwali śmierć jego przy akompaniamencie piskliwych fletów. Pieśni żałobne śpiewano prawdopodobnie nad figurą zmarłego bóstwa, którą umywano czystą wodą, namaszczano olejkami i strojono w czerwoną szatę, a przez cały ten czas dymy kadzidła unosiły się w powietrzu pobudzając swym silnym zapachem jego drzemiące zmysły i budząc go ze snu śmiertelnego. W jednej z tych pieśni, noszącej tytuł *Lament fletów po Tammuzie*, można jakby dosłyszeć głosy śpiewaków zawodzące smutny refren i podchwycić, jak daleką muzykę, żalosne tony fletów.

*A widząc, że umiera - matka podnosi lament:
"O moje dziecko!"
A widząc jego śmierć - matka podnosi lament:
"Najdroższy mój, mój czarodzieju!"
A widząc jego śmierć - matka podnosi lament.
Pod lśniącem cedrem wrośniętym mocno w ziemię
W Eanna, w górze i w dole matka podnosi lament.
Jak dom podnosi lament za swoim panem -
[Tak ona lament podnosi.
Jak gród podnosi lament za swoim władcą -
[Tak ona lament podnosi.
Jej lament - to lament o ziele, które nie rośnie na grzędzie.
Jej lament - to lament o ziarno, które nie rośnie w kłosie.
Jej izba - to posiadanie, które nie daje posiadania.
Znużona matka, znużone dziecko, zmęczone.
Jej lament - to lament o rzekę, nad którą wierzby nie rosną.
Jej lament - to lament o pole, gdzie nie masz żyta ni ziela.
Jej lament - to lament o staw, gdzie nie masz ryby pod groblą.
Jej lament - to lament o brzegi, gdzie próżno szukać szuwaru.
Jej lament - to lament o las, gdzie nie masz drzew tamaryszku.
Jej lament - to lament o puszcze, gdzie próżno szukać cyprysów.
Jej lament - to lament o łąkę, na której zioła nie rosną.
Jej lament - to lament o pałac, gdzie wszelkie życie umarło.*

Tragiczna historia Adonisa i smutne obrządki ku jego czci lepiej są nam znane z opisów u greckich autorów aniżeli z fragmentów literatury babilońskiej i z krótkiej wzmianki u proroka Ezechiela, który widział, jak kobiety w Jerozolimie opłakiwały Tammuza przy północnej bramie świątyni. W zwierciadle greckiej mitologii wschodniej bóstwo zjawia się jako piękny młodzieniec, ukochany przez Afrodytę. W dzieciństwie bogini ukrywała go w skrzyni, którą oddała na przechowanie Persefonie, bogini zaświatów. Ale gdy Persefona otworzyła skrzynię i zobaczyła, jak piękne jest niemowlę, nie chciała go zwrócić Afrodycie, mimo że bogini miłości sama zeszła do piekła, by wykupić swego ukochanego z grobu. Spór między boginiami rozstrzygnął Zeus orzekając, że Adonis ma jedną część roku spędzać z Persefona w

świecie podziemnym, drugą zaś z Afrodytą w górnym świecie. W końcu piękny młodzian został zabity przez dzika lub też przez zazdrosnego Aresa, który przybrał kształt dzika, by uśmiercić swego rywala. Gorzko opłakiwała Afrodyta swego ukochanego i utraconego Adonisa. W tej wersji mitu spór o Adonisa między Afrodytą a Persefona jest niewątpliwie odbiciem walki między Isztar a Allatu w krainie zmarłych, natomiast decyzja Zeusa, nakazująca Adonisowi spędzać jedną część roku pod ziemią, drugą zaś na jej powierzchni, jest jedynie grecką wersją dorocznego znikania i ponownego pojawiania się Tammuza.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ADONIS W SYRII

Ośrodkami mitu Adonisa były dwie miejscowości w Azji Zachodniej: Byblus na wybrzeżu syryjskim i Pafos na Cyprze, i tam też uroczystości odprawiano obrządki ku jego czci. Oba miasta były wielkimi stolicami kultu Afrodyty, a raczej jej semickiego odpowiednika, Astarte, i w obu, jeśli damy wiarę legendzie, królował ojciec Adonisa, Kinyras. Byblus było miastem bardziej starożytnym, rościło sobie nawet pretensje do tytułu najstarszego miasta Fenicji, założonego w początkach istnienia świata przez wielkiego boga El, którego Grecy identyfikowali z Kronosem, a Rzymianie z Saturnem. Nie będziemy w tym miejscu roztrząsać tej sprawy, ograniczymy się jedynie do stwierdzenia, że w czasach historycznych Byblus było miejscem świętym, religijną stolicą kraju, Mekką czy też Jerozolimą Fenicjan. Miasto położone było na wzgórzu nad morzem. Znajdowała się tam wielka świątynia Astarte, gdzie w środku rozległego dziedzińca wznosił się otoczony krużgankiem wysoki stożek względnie obelisk, do którego docierało się z dołu po schodach. Obelisk był świętym wizerunkiem bogini. W świątyni tej odbywały się uroczystości ku czci Adonisa. Całe zresztą miasto było mu poświęcone, a rzeka Nahr Ibrahim, wpadająca do morza na południe od Byblus, nosiła w starożytności imię Adonisa. Było to królestwo Kinyrasa. Od najdawniejszych czasów do samego końca miastem rządzą królowie, być może, z pomocą jakiegoś senatu czy rady starszych.

Ostatni król Byblus nosił starożytne imię Kinyrasa i został ścięty za swe tyrańskie występki przez Pompejusza Wielkiego. O jego mitycznym imienniku legenda głosiła, że założył sanktuarium Afrodyty, czyli Astarte, na górze Liban, oddalonej o dzień drogi od stolicy. Znajdowało się ono prawdopodobnie w Afaka, u źródeł rzeki Adonis, między By-blusem a Balbek, w Afaka bowiem znajdowały się słynne gaje i sanktuarium Astarte, zburzone przez Konstantyna z powodu zbrodniczego charakteru kultu. Współcześni podróżnicy odkryli to miejsce w pobliżu nędznej wioski, nadal jeszcze noszącej nazwę Afaka, na końcu dzikiego, romantycznego, lesistego wąwozu rzeki Adonis. Wioska otoczona gajami szlachetnych drzew orzechowych stoi nad wodospadem. Niedaleko od tego miejsca rzeka wypływa z pieczary u stóp potężnych skał tworzących ogromny amfiteatr i kaskadami spada do straszliwie przepastnej doliny. Im niżej spadają jej wody, tym dziksza i bujniejsza staje się roślinność puszczająca pędy ze szczelin i pęknięć w skałach i zieloną zastłoną przesłaniającą huczący lub mruczący potok płynący w przerażającej rozpadlinie. Jest coś rozkosznego, niemal upajającego w świeżości tych staczających się wód, w słodyczy i czystości powietrza górskiego, w żywej zieleni roślinności. Świątynia, po której zostały jeszcze nieliczne masywne ciosane głazy i piękna kolumna z sjenitowego granitu, stała na tarasie naprzeciwko źródła rzeki i roztaczał się z niej wspaniały widok. Nad pianą i rykiem wodospadów wzrok wędruje ku pieczarze i dalej ku szczytom skał otaczających wyniosłe przeпаści. Skały te są tak wysokie, że kozice śmigające po skalnych występach wydają się mrówkami widzowi patrzącemu z dołu z odległości setek stóp. W kierunku morza widok robi szczególnie silne

wrażenie, gdy słońce zalewa głęboki wąwóz swym złotym światłem, uwydatniając fantastyczne skarpy i krągłe wieże górskich szańców, i łagodnie kładzie się na różnych odcieniach zieloności borów odziewających głębie. Tu właśnie według legendy spotkał się Adonis po raz pierwszy lub po raz ostatni z Afrodytą i tu pochowane zostało jego stratowane ciało. Trudno wymarzyć sobie piękniejszą scenerię dla opowieści o tragicznej miłości i śmierci. A jednak ta odosobniona obecnie i zapewne w dawnych czasach dolina nie jest zupełnie niezamieszкана. Tu i ówdzie dostrzec można jakiś klasztor lub wioskę, zarysowujące się na tle nieba na szczycie sterczącej turni lub przylepione do skały zawieszanej niemal prostopadle nad pianą i hukiem rzeki. Wieczorem zaś światełka migocące w mroku zdradzają obecność siedzib ludzkich na stokach, zdawać by się mogło, niedostępnych dla stopy człowieka. W starożytności cała ta dolna poświęcona była Adonisowi i do dziś przetrwała pamięć o nim, otaczające bowiem szczyty zdobią w rozmaitych miejscach ruiny pomników jego kultu, a niektóre zawisły nad straszliwymi przepaściami. Patrząc w te głębie lub śledząc daleko pod stopami orły krążące nad swymi gniazdami odczuwa się zawrót głowy. Jeden z tych pomników stoi w Ghineh. Powierzchnia wielkiej skały ponad prymitywnie wyrąbaną wnęką pokryta jest rzeźbionymi figurami Adonisa i Afrodyty. On przedstawiony jest z dzidą w pogotowiu, gdy oczekuje napaści dzika, ona zaś siedzi pogrążona w smutku. Być może, ta pogrążona w smutku postać jest figurą libańskiej Afrodyty w żałobie, opisaną przez Makrobiusza⁶⁶, a zagłębienie w skale grobowcem jej kochanka. Czciociele Adonisa wierzyli, że co roku otrzymuje on w górach ranę śmiertelną i co roku oblicze całej przyrody zabarwia jego święta krew. Rok po roku niewiasty syryjskie oplakują przedwczesną śmierć boga, gdy czerwone anemony, jego święte kwiaty, kwitną między cedrami Libanu, a czerwona rzeka płynie ku morzu obramiając kręte brzegi niebieskiego Morza Śródziemnego wijącą się wstążką czerwieni, gdy wiatr dmie w kierunku lądu.

⁶⁶ M a k r o b i u s z (M a c r o b i u s Theodosius) - pisarz łaciński, przypuszczalnie greckiego pochodzenia, żyjący na przełomie IV i V wieku n. e. Napisał m. in.: *Saturnaliorum Conviviorum libri VII* - serię rozpraw z dziedziny historii, mitologii, krytyki itp.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ADONIS NA CYPRZE

Wyspa Cypr leży o jeden dzień podróży okrętem od brzegów Syrii. W pogodne letnie wieczory można nawet zobaczyć jej góry rysujące się nisko ciemną plamą w czerwonych ogniach zachodu. Bogate kopalnie miedzi, lasy jodłowe, majestatyczne cedry przyciągały naturalnie Fenicjan, lub kupców i żeglarzy. Obfitujący w zboże, wino i oliwę Cypr był dla nich ziemią obiecaną w porównaniu ze skąpą przyrodą ich ściśniętego między górami i morzem kraju. Toteż osiedlili się na Cyprze już bardzo dawno i byli tam jeszcze długo po osiedleniu się Greków na jego brzegach. Z napisów wiemy, że do czasów Aleksandra Wielkiego fenicki król panował w Kition, Chettim Hebrajczyków. Semiccy osadnicy przywieźli oczywiście swych bogów z ojczyzny. Czciłi oni Baala libańskiego, który mógł zresztą być Adonisem, a w Amathus na południowym wybrzeżu ustanowili kult Adonisa i Afrodyty czy raczej Astarte. Tutaj, podobnie jak w Byblus, obrządku tak bardzo przypominały egipski kult Ozyrysa, że niektórzy ludzie identyfikowali nawet Adonisa Amatejskiego z Ozyrysem.

Ale wielkim ośrodkiem kultu Afrodyty i Adonisa na Cyprze było Pafos na południowo-zachodnich krańcach wyspy. Z małych królestw, na które podzielony był Cypr od czasów najdawniejszych aż do końca czwartego wieku przed naszą erą, Pafos zapewne należało do najznacześniejszych. Jest to kraj gór i obłych grani, urozmaicony polami i winnicami, przecięty rzekami, które w ciągu stuleci wyżłobiły sobie tak straszliwie głębokie koryta, że podróżowanie stało się nie lada wysiłkiem. Wyniosłe pasmo góry Olimp (współczesny Troodos), przez większą część roku przykryte śniegiem, osłania Pafos od wiatrów północnych i wschodnich i odcina je od reszty wyspy. Na stokach pasma górskiego przetrwały ostatnie lasy sosnowe Cypru ukrywając tu i ówdzie klasztory w pejzażu godnym Apenin. Starożytne Pafos mieściło się na szczycie góry o milę odległej od morza, nowe miasto powstało w pobliżu portu o jakieś dziesięć mil dalej. Sanktuarium Afrodyty w Starym Pafos (współczesne Kuklia) było jednym z najświętszych miejsc pielgrzymki w starożytnym świecie. Według Herodota założone zostało przez fenickich kolonistów z Askalonu, ale jest też rzeczą możliwą, że przed przybyciem Fenicjan była tu już czczona lokalna bogini płodności i że przybysze zidentyfikowali ją z ich własną Balaath względnie Astarte, do której była tak bardzo podobna. Skoro więc dwie boginie mogły się w ten sposób stopić w jedną, to jest rzeczą prawdopodobną, że obie były wersjami wielkiej bogini macierzyństwa i płodności, której kult był, jak się zdaje, od najdawniejszych czasów rozpowszechniony w całej Azji Zachodniej. Przypuszczenie to potwierdza zarówno starożytna forma jej wizerunku, jak też wyuzdany charakter obrządków ku jej czci. Albowiem zarówno formy te, jak i obrządki dzieliła z innymi bóstwami azjatyckimi. Jej wizerunek był jedynie zwykłym białym stożkiem lub piramidą. Stożek był również emblematem Astarte w Byblus, lokalnej bogini w Perga w Pamfilii, którą Grecy nazwali Artemidą, i boga-słońca Heliogabala w Emesie w Syrii. Odnaleziono również stożkowate kamienie, pełniące prawdopodobnie

funkcję bożków w Golgi na Cyprze i w fenickich świątyniach na Malcie. Stożki z piaskowca pojawiają się również w świątyni "Pani Turkusa" pośród nagich gór i groźnych przepaści Synaju.

Na Cyprze zwyczaj nakazywał, by wszystkie kobiety przed małżeństwem prostytuowały się z obcymi w świątyni bogini bez względu na to, pod jakim imieniem ona występowała, Afrodyty, Astarte czy jakimś innym. Podobne obyczaje istniały w wielu częściach Azji Zachodniej. Niezależnie od motywów zwyczaj ten niewątpliwie nie był traktowany jako orgia zmysłów, lecz jako uroczysty religijny obowiązek spełniany w służbie wielkiej bogini, Matki Azji Zachodniej. Imię jej zmieniało się w różnych miejscowościach, ale istota pozostawała wszędzie ta sama. W Babilonie każda kobieta, biedna czy bogata, musiała raz w życiu ulec obcemu w świątyni Mylitty, to znaczy Astarte, czyli Isztar, i oddać bogini pieniądze zarobione w tym uświęconym nierządzie. Święte przybytki zatłoczone były kobietami czekającymi na spełnienie obrządku. Niektóre musiały czekać latami. W Syrii, w Heliopolis, czyli Balbeku, słynącym z imponującego majestatu ruin świątyni, obyczaj miejscowy nakazywał, by każda niewiasta oddała się obcemu w świątyni Astarte, i zarówno matrony, jak i młode panny dawały w ten sposób dowody swej wierności bogini. Cesarz Konstantyn zniósł zwyczaj, zburzył świątynię i na jej miejscu wybudował kościół. W świątyniach fenickich kobiety oddawały się prostytutce w służbie religii wierząc, że swym zachowaniem mogą przebłagać boginię i zyskać jej przychylność. "Prawem było u Araorytów, by niewiasta, która miała wstąpić w związki małżeńskie, siedziała przez siedem dni jako nierządnica przy bramie." W Byblus ludzie golili głowy raz do roku na znak żałoby po Adonisie. Kobiety nie chcące poświęcić swych włosów musiały oddawać się obcym w określonym dniu święta, a pieniądze tym sposobem zarobione poświęcone były bogini.

Grecki napis odnaleziony w Tralles w Lydii dowodzi, że praktyka religijnej prostytutki przetrwała w tym kraju aż do drugiego wieku naszej ery. Napis ten mówi o pewnej kobiecie, Aurelii Aemilii; nie tylko ona sama na rozkaz boga służyła mu jako prostytutka, ale także matka jej i inne kobiety jej rodu czyniły to samo przed nią. Publiczny charakter napisu wyrytego na marmurowej kolumnie, wspierającej ofiarę wotywną, świadczy o tym, że tego rodzaju tryb życia i takie pochodzenie nie przynosiły hańby. W Armenii najszlachetniejsze rodziny poświęcały swe córki służbie bogini Anaitis w jej świątyni Acilisena, gdzie panny pełniły obowiązki prostytutek na długo przed wyjściem za mąż. Nikt nie miał żadnych skrupułów biorąc taką pannę za żonę, gdy kończył się okres jej służby. W Komana w Poncie bogini Ma służyły dziesiątki świętych nierządnic, a tłumy mężczyzn i kobiet przybywały z okolicznych miast i wiosek na odbywające się co dwa lata uroczystości lub też zjawiały się w innych porach, by złożyć śluby bogini.

Analiza wiadomości odnoszących się do tej sprawy prowadzi do wniosku, że wielka Bogini Matka, uosobienie wszystkich sił rozplodowych przyrody, czczona była pod różnymi imionami, ale przy zachowaniu zasadniczego podobieństwa mitów i rytuału przez wiele ludów Azji Zachodniej. Bogini występuje z kochankiem, a raczej serią kochanków, boskich, a przy tym śmiertelnych, z którymi kojarzyła się co roku, a związek ich niezbędny był dla rozmnożenia roślin i zwierząt. Bajeczny ten

związek boskiej pary był naśladowany, a nawet uwielokrotniany na ziemi w realnym, chociaż chwilowym stosunku seksualnym ludzi w świątyni bogini, co zapewniało owocowanie ziemi oraz płodność ludzi i zwierząt.

Twórcą obyczaju religijnej prostytucji w Pafos miał być król Kinyras, a praktykowały go rzekomo jego córki, siostry Adonisa, które ściągnąwszy na siebie gniew Afrodyty kojarzyły się z obcymi i dokonały życia w Egipcie. W tej wersji legendy gniew Afrodyty jest prawdopodobnie późniejszym dodatkiem jakiegoś dziejopisa, dla którego obyczaje obrażające jego poczucie moralne mogły być jedynie karą nakazaną przez boginię, a nie ofiarą, której wymaga od swych wyznawców. Tak czy inaczej, opowieść wskazuje na to, że księżniczki pafijskie musiały podporządkować się obyczajowi tak samo jako kobiety niskiego stanu.

Niektóre z opowieści o Kinyrasie, protoplaście królów-kapłanów z Pafos i ojcu Adonisa, zasługują na naszą uwagę. Słyszymy więc przede wszystkim, że splodził syna, Adonisa, w kazirodczym związku ze swą córką, Myrrhą, podczas święta bogini zboża, gdy przybrane w białe szaty kobiety winny były składać wieńce ze zboża jako pierwsze zbiory plonów i ściśle przestrzegać przez dziewięć dni czystości. W legendach napotykamy wiele podobnych przykładów kazirodztwa królów z własnymi córkami. Nie wydaje się rzeczą prawdopodobną, by podania takie nie miały żadnych podstaw, i chyba równie nieprawdopodobne jest, by odnosiły się one jedynie do przypadkowych wybuchów nienormalnej żądzy. Podejrzewamy raczej, że oparte są na dorocznych obyczajach przestrzeganych z określonych powodów w pewnych specjalnych okolicznościach. Otóż w krajach, w których następstwo tronu było jedynie po kądzieli, gdzie wobec tego król sprawował władzę jedynie dzięki małżeństwu z następczynią tronu, będącą prawdziwą władczynią, zdarzało się często, że księżę poślubił własną siostrę, by wraz z jej ręką otrzymać koronę, która w innym wypadku przypadłaby obcemu mężczyźnie, być może nawet cudzoziemcowi. Czy nie mogła ta sama zasada dziedziczenia być przyczyną kazirodczego stosunku z córką? Logicznym bowiem następstwem takiej zasady byłoby to, że król zobowiązany był zwolnić tron po śmierci swej żony-królowej, ponieważ przebywał na nim jedynie dzięki poślubieniu jej. Zakończenie związku małżeńskiego przekreślało jego prawa do tronu, które obecnie przechodziły na męża jego córki. Jeśli więc król pragnął panować po śmierci swej żony, mógł to uczynić legalnie jedynie poślubiając córkę i w ten sposób za jej pośrednictwem przedłużając swe prawa do tytułu należącego uprzednio do jej matki.

Kinyras słynął z niezwyklej urody i o względy jego zabiegała sama Afrodyta. Wynikałoby z tego, jak już na to zresztą zwrócili uwagę uczeni, że w pewnym sensie Kinyras był duplikatem swego przystojnego syna, Adonisa, który podbił serce bogini. Nie można też oddzielić tych opowieści o miłości Afrodyty do dwóch członków domu panującego w Pafos od odpowiadającej im legendy o Pigmalionie, fenickim królu Cypru, który rzekomo zakochał się w posągu Afrodyty i kładł się z nim do łóżka. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Pigmalion był teściem Kinyrasa, a synem Kinyrasa był Adonis, i że wszyscy trzej w kolejnych pokoleniach byli rzekomo zaplątani w miłosne intrygi z Afrodytą, wówczas trudno

oprzeć się wnioskowi, że pierwsi królowie Pafos stale pretendowali nie tylko do stanowiska kapłanów bogini, lecz również utrzymywali, że są jej kochankami, innymi słowy, że jako osoby urzędowe byli równocześnie wcieleniami Adonisa. W każdym razie według legendy Adonis panował na Cyprze i nie ulega, jak się zdaje, wątpliwości, że synowie wszystkich fenickich królów wyspy nosili tytuł Adonisa. To prawda, że w ścisłym znaczeniu tego słowa tytuł ten oznacza jedynie "pana", ale legendy wiążące postacie tych cypryjskich książąt z boginią miłości nadają wielkie prawdopodobieństwo tezie, że rościli sobie oni prawa nie tylko do ludzkiej godności Adonisa, lecz również do jego boskiej natury. Historia Pigmaliona wskazuje na istnienie ceremonii świętego ślubu, kiedy to król poślubiał posąg Afrodyty, a raczej Astarte. Jeśli rzeczywiście tak było, to opowieść odnosiła się nie tylko do jednego człowieka, ale do całej grupy ludzi i byłaby tym bardziej prawdopodobna, gdyby imię Pigmaliona było rozpowszechnionym imieniem królów semickich w ogólności, a w szczególności cypryjskich. W każdym razie wiemy, że imię to nosił słynny król Tyru, od którego uciekła jego siostra, Dydona, a król Kition i Idalion na Cyprze, który panował za czasów Aleksandra Wielkiego, również nazywał się Pigmalion, a raczej Pumiyahton (fenickie imię zniekształcone następnie przez Greków na "Pigmalion"). Warto również zaznaczyć, że imiona Pigmaliona i Astarte występują obok siebie w punickim napisie na złotym medalionie odnalezionym w jednym z grobów w Kartaginie. Kształt liter świadczy o tym, że mamy do czynienia z jednym z najstarszych napisów. Ponieważ według legendy obyczaj prostytucji religijnej miał być wprowadzony przez króla Kinyrasa i przestrzegany przez jego córki, możemy wysunąć hipotezę, że król Pafos odgrywał rolę boskiego małżonka w mniej niewinnej ceremonii aniżeli zaślubiny posągu. W istocie każdy z nich musiał podczas pewnych uroczystości mieć stosunek z jedną lub kilkoma świętymi nierządnicami, które odgrywały rolę Astarte przy tym Adonisie. Jeśli tak było w rzeczywistości, wówczas więcej prawdy aniżeli powszechnie przypuszczano, kryje się w zarzutach Ojców Kościoła twierdzących, że Afrodyta, czczona przez Kinyrasa, była zwykłą nierządnicą. Potomstwo tego związku otrzymywało rangę synów i córek bóstwa, a z czasem zostawali oni ojcami i matkami bogów i bogiń, jak to przed nimi czynili ich rodzice. W ten sposób Pafos i zapewne wszystkie inne świątynie wielkiej azjatyckiej bogini, gdzie praktykowano świętą prostytucję, zatłoczone były ludzkimi bóstwami, potomstwem boskiego króla i jego żony, konkubin i prostytutek świątynnych. Każde z nich mogło dziedziczyć po ojcu tron lub też być składane w ofierze za niego, gdy trudności wojenne lub inne poważne okoliczności wymagały, jak to się czasami zdarzało, śmierci królewskiej ofiary. Tego rodzaju haracz, ściągany dla dobra kraju przy odpowiedniej okazji z licznej progenitury króla, nie kładł kresu boskiej dynastii i nie łamał serca rodzica, sprawiedliwie dzielącego swe ojcowskie uczucia między tak liczne potomstwo. W każdym razie, jeśli semicy królowie, jak to się wydaje prawdopodobne, uchodzili często za dziedziczne bóstwa, wówczas łatwo zrozumieć częstotliwość semickich imion własnych, wskazujących na to, że ich posiadacze byli synami lub córkami, braćmi lub siostrami, ojcami lub matkami boga, i nie musimy wobec tego uciekać się do wybiegów stosowanych przez pewnych uczonych, pragnących uniknąć prostego znaczenia tych słów. Interpretację tę potwierdza podobny zwyczaj egipski. W Egipcie bowiem, gdzie królów czczono

jako istoty boskie, królowa zwana była "żoną boga" lub "matką boga", a tytuł "ojca boga" nosił nie tylko ojciec króla, lecz również jego teść. Zapewne w podobny sposób każdy Semita, który córkę swą wysyłał do królewskiego haremu, miał prawo nazywać się "ojcem boga".

Sądząc z imienia, semicki król noszący imię Kinyrasa był, podobnie jak król Dawid, harfistą, albowiem imię Kinyras jest niewątpliwie związane z greckim słowem *kinyra* - "lira strunowa", pochodzącym z kolei z semickiego *kinnor* - "lira". To właśnie słowo użyte jest w odniesieniu do instrumentu, na którym Dawid grał przed Saulem. Nie popełnimy zapewne błędu, gdy stwierdzimy, że w Pafos i Jerozolimie gra na lirze strunowej lub harfie nie była jedynie rozrywką dla zabicia czasu, ale stanowiła część rytuału religijnego, wzruszenia zaś spowodowane melodią przypisywane były, podobnie jak skutki wina, bezpośredniej inspiracji boga. Nie ulega wątpliwości, że stali kapłani świątyni w Jerozolimie prorokowali przy akompaniamencie muzyki na harfach, psalteriach i cymbałach, a wydaje się, że kler niezawodowy, jeśli możemy tak nazwać proroków, potrzebował podobnego bodźca dla wprawienia się w stan ekstazy, w którym porozumiewał się bezpośrednio z bóstwem. Czytamy więc o grupie proroków, którzy schodzili z wysokiego miejsca prorokując, poprzedzani przez psalterium, tamburyn, piszczałkę i harfę. Gdy połączone wojska plemion Judy i Efraima maszerowały przez pustynię moabicką, ścigając przez trzy dni nieprzyjaciela, i nie mogły znaleźć wody, ginęły z pragnienia wraz ze swymi jucznymi zwierzętami. W potrzebie tej towarzyszący armii prorok Elizeusz zażądał, by sprowadzono muzykanta, i kazał mu grać. Pod wpływem muzyki wydał żołnierzom rozkaz kopania rowów w piaszczystym wyschniętym łożysku rzeki, przez które prowadziła ich droga. Uczynili, jak im kazano, a następnego dnia rowy pełne były wody, która przy płynęła pod ziemią ze straszliwych bezludnych gór znajdujących się po obu stronach. Sukces proroka natrafiającego na wodę w pustyni przypomina legendarne osiągnięcia współczesnych różdżkarzy, chociaż posługują się oni innymi sposobami. Przypadkowo udało się prorokowi jeszcze jedną usługę oddać swym rodakom. Czający się w swych legowiskach między skałami Moabici dostrzegli czerwone słońce pustyni odbijające się w wodzie i biorąc je za krew czy raczej za omen krwi nieprzyjaciół odważyli się zaatakować obóz, po czym zostali pokonani w straszliwej rzezi.

Podobnie jak chmurę melancholii przesłaniającą chwilami zamroczony umysł Saula uważano za ducha zesłanego przez Pana, by mu dokuczać, tak z drugiej strony harfa, kojąca i uspokajająca jego troski, mogła wydawać się nawiedzanemu przez złego ducha królowi głosem Boga lub jego dobrego anioła, oznajmiającym mu pokój. Nawet w naszych czasach wielki pisarz religijny, bardzo uczulony na czary muzyki, powiedział, że tony posiadające moc rozpalania krwi i łagodzenia serca nie mogą być jedynie pustymi dźwiękami. Musiały one wymknąć się z jakiegoś wyższego kręgu, są przejawami odwiecznej harmonii, głosem aniołów, *Magnificat* świętych. Tak oto prymitywne wyobrażenie człowieka

pierwotnego i jego nieporadny bełkot przekształcają się w dźwięczną prozę Newmana⁶⁷ i odzywają się w niej potężnym zwielokrotnionym echem. Wpływ muzyki na rozwój religii jest zaiste tematem zasługującym na życzliwe studium. Nie ulega bowiem wątpliwości, że sztuka ta, najbardziej intymna i wzruszająca, uczyniła wiele dla stworzenia i wypowiedzenia uczuć religijnych, przekształcając w ten sposób bardziej lub mniej głęboko tworzywo wiary, której pozornie zdaje się jedynie służyć. W tworzeniu religii muzyk ma swój udział, podobnie jak prorok i myśliciel. Każda wiara ma swą muzykę, a różnica między wiarami da się niemal wyrazić w muzycznym zapisie. Przestrzeń na przykład dzieląca dzikie hulanki Cybeli od majestatycznego rytuału Kościoła katolickiego da się zmierzyć przepaścią dzielącą dysonanse cymbałów i tamburynów od pełnych powagi harmonijnych tonów Palestriny i Haendla. Różne muzyki różnymi duchami bywają przepojone.

⁶⁷ John Henry Newman (1801-1890) - angielski pisarz i teolog. W r. 1845 przeszedł na katolicyzm. Był duchowym przywódcą ruchu katolickiego wywodzącego się z Oksfordu. W r. 1879 został mianowany kardynałem przez papieża Leona XIII. Napisał m. in. *The Grammar of Assent, Apologia pro Vita Sua*.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

RYTUAŁ ADONISA

Podczas świąt Adonisa obchodzonych w Azji Zachodniej i na wyspach greckich opłakiwano co roku śmierć boga. Żałobnicy, wśród których przeważały kobiety, zawodzili gorzko. Wizerunki boga, przybrane w całuny na podobieństwo zwłok, noszono jak na pogrzebach, po czym wrzucano je do morza lub potoku. W niektórych miejscowościach już następnego dnia święcono jego powrót do życia. Ale zależnie od miejscowości obrzędy te przybierały różną formę, a także wypadały w różnych porach roku. W Aleksandrii wizerunki Adonisa i Afrodyty układano na dwóch łożach i otaczano je wszelkimi gatunkami dojrzałych owoców, ciastkami, roślinami w doniczkach i zielonymi altankami plecionymi z anyżu. Jednego dnia obchodzono zaślubiny kochanków, a nazajutrz kobiety w żałobie, z rozpuszczonymi włosami i obnażonymi piersiami, zanosły posąg zmarłego Adonisa na brzeg morza i wrzucały go do wody. W ich smutku była jednak nadzieja, śpiewały bowiem, że ten, którego straciły, powróci. Nie udało się ustalić ścisłej daty tej uroczystości obchodzonej w Aleksandrii, ale ze wzmianek o dojrzałych owocach wywnioskowano, że odbywała się późnym latem. W wielkiej fenickiej świątyni Astarte w Byblus opłakiwano co roku śmierć Adonisa przy piskliwych dźwiękach fletu, z płaczem, lamentami i biciem się w piersi, ale następnego dnia zgodnie z wierzeniem powracał on do życia i wstępował do nieba w obecności swoich czcicieli. Niepocieszeni wierni pozostawieni na ziemi golili głowy, podobnie jak to czynili Egipcjanie z okazji śmierci boskiego byka Apisa. Kobiety, które nie potrafiły zdobyć się na poświęcenie swych pięknych loków, oddawały się obcym w wyznaczony dzień święta i ofiarowywały Astarte swe haniebne zarobki.

Wygląda na to, że to fenickie święto przypadało wiosną, ponieważ data związana była ze zmianą koloru wody w rzece Adonis, a współcześni podróżnicy zaobserwowali zjawisko to wiosną. O tej porze roku czerwona ziemia zmyta deszczami w górach zabarwia wody nie tylko rzeki, ale i morza czerwonym, krwistym kolorem, uchodzącym za krew Adonisa, którego co roku rani śmiertelnie dzik na górze Liban. Szkarłatny anemon miał wyrosnąć czy też być splamiony tą krwią, ponieważ zaś anemony kwitną w Syrii w okresie Wielkanocy, można z tego wyciągnąć wniosek, że święto Adonisa, a przynajmniej jedno z jego świąt, obchodzone było na wiosnę. Nazwa kwiatu wywodzi się prawdopodobnie od słowa *naaman* ("kochanie"), będącego jednym z epitetów Adonisa. Arabowie nadal nazywają anemony "ranami Naamana". Również czerwona róża kolor swój rzekomo zawdzięcza tej samej smutnej przyczynie, albowiem Afrodyta śpiesząc do swego zranionego kochanka nastąpiła na krzak róży. Okrutne ciernie rozdarły jej delikatne ciało, a święta krew zabarwiła na zawsze na czerwono biały kwiat róży. Byłoby może rzeczą lekkomyślną przywiązywać zbyt wiele wagi do kalendarza kwiatów, a w szczególności posługiwać się argumentem tak kruchym jak kwiat róży, ale o ile dowód ten w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie, to opowieść łącząca śmierć Adonisa z różą damasceńską wskazuje raczej na lato, a nie na wiosnę jako porę świętowania jego męczeństwa. W każdym razie nie ulega

wątpliwości, że w Attyce święto przypadało na pełnię lata. Albowiem flota, którą Ateny wystawiły przeciwko Syrakuzom i której zniszczenie na zawsze złamało potęgę ateńską, wypłynęła w połowie lata, a złowieszczy zbieg okoliczności zrządził, że w tym samym dniu odbywały się żałobne uroczystości ku czci Adonisa. Gdy wojska schodziły do portu, by zaokrętować się, ulice, którymi maszerowały, wypełnione były trumnami i figurami przedstawiającymi zwłoki, a w powietrzu rozlegały się zawodzenia kobiet oplakujących śmierć Adonisa. W ponurej atmosferze wypływała na morze najświetniejsza flota, jaką kiedykolwiek wystawiły Ateny. Po wielu stuleciach, gdy cesarz Julian odbył pierwszy swój uroczysty wjazd do Antiochii, wesoła i pełna zbytku stolica Wschodu pogrążona była w udawanej żałobie z okazji dorocznej śmierci Adonisa i jeśli miał on jakiegokolwiek przeczucia zbliżającego się nieszczęścia, to lamenty docierające do jego uszu musiały brzmieć złowieszczo.

Jeśli podane przeze mnie wyjaśnienie jest poprawne, wówczas uroczystość śmierci i zmartwychwstania Adonisa musi być również dramatycznym przedstawieniem rozkładu i powrotu do życia świata roślinnego. Potwierdzają to następujące elementy legendy i rytuału Adonisa. Historia jego urodzenia świadczy o bliskim pokrewieństwie ze światem roślinnym. Miał się on urodzić z drzewa mirry, którego kora pękła po dziesięciomiesięcznej ciąży, wydając na świat piękne niemowlę. Inni znowu utrzymują, że dzik kłem rozpruł korę i w ten sposób utorował drogę dziecięciu. Starano się trochę zrationalizować legendę, twierdząc, że matką dziecka była kobieta imieniem Myrrh, przemieniona w drzewo mirrowe natychmiast po poczęciu dziecka. Być może, źródłem tej bajki jest używanie mirry podczas uroczystości ku czci Adonisa. Pamiętamy, że kadzidła były używane przy podobnych obrzędach babilońskich, tak jak palili je bałwochwalczy Hebrajczycy ku czci Królowej Niebios, będącej przecież nikim innym jak samą Astarte. Fakt, że Adonis spędzał pół roku czy też, zdaniem innych, jedną trzecią roku w podziemiach, a resztę na ziemi, daje się wytłumaczyć najprościej i najbardziej naturalnie tym, że reprezentował roślinność, szczególnie zboże, które leży pochowane w ziemi przez połowę roku, a na następną połowę ukazuje się na powierzchni. Wśród powtarzających się co roku zjawisk przyrody żadne nie nasuwa tak bardzo myśli o śmierci i zmartwychwstaniu jak znikanie roślinności na jesieni i ponowne jej pojawianie się na wiosnę. Nic więc dziwnego, że zjawisko tak doniosłe, tak uderzające i powszechne, nasuwając podobne myśli, rodzi podobne obrządki w rozmaitych krajach. Możemy wobec tego przyjąć za prawdopodobne wytłumaczenie kultu Adonisa, tak bardzo odpowiadające faktom natury i posiadające analogie w obrzędach istniejących w innych krajach. Tłumaczenie to poparte jest również poglądem dominującym wśród starożytnych, którzy wielokrotnie interpretowali umieranie i powrót do życia boga jako kiełkowanie i dojrzewanie zboża.

Tammuz względnie Adonis jako duch zboża występuje jasno w relacji o święcie ku jego czci pozostawionej przez arabskiego pisarza, który żył w dziesiątym wieku i opisał całoroczne obrządki i ofiary Syryjczyków z Haranu. "Tammuz (lipiec). W połowie tego miesiąca przypada święto el-Bugat, to jest płaczących kobiet, a jest to uroczystość Ta-uz urządzana ku czci boga Ta-uz. Kobiety oplakują go, ponieważ w okrutny sposób został zamordowany przez swego boga, który starł jego kości w żarnach, a

potem rozsypał je na wietrze. Kobiety (w czasie święta) nie jedzą niczego, co było mielone w żarnach, ale ograniczają swe pożywienie do wymoczonej pszenicy, słodkiego groszku, daktyli, rodzynek itp." Ta-uz będący tu przecież Tammuzem przypomina tutaj Johna Barleycorna Burnsa:

*Przypiekali nad ogniem
Ciało i każdy gnat –
A młynarz między kamienie
Bezlitośnie go kładł.*

Ścisłe powiązanie natury Adonisa ze zbożem jest bardzo charakterystyczne dla szczebla kultury, jaki osiągnęli wyznawcy tego boga w czasach historycznych. Dawno już porzucili koczownicze życie wędrującego myśliwego i pasterza. Od wieków osiedlili się i byt ich był uzależniony przede wszystkim od uprawy ziemi. Nie miały dla nich większego znaczenia leśne jagody i korzonki, tak wielką rolę odgrywające w życiu ich barbarzyńskich przodków. Zboże, podstawa ich życia, pochłaniało coraz więcej myśli i energii. Przebłaganie bóstw płodności w ogóle, a ducha zboża w szczególności stawało się coraz częściej głównym elementem ich religii. Urządzając te obchody mieli przed oczyma wyłącznie cele praktyczne. Radosne powitanie odradzającej się roślinności, opłakiwanie jej zgonu nie było wywołane jakimś mglistym poetycznym uczuciem. Głód dokuczający w danej chwili czy też zagrażający im był główną siłą napędową kultu Adonisa.

Ojciec Lagrange⁶⁸ wysunął hipotezę, że opłakiwanie Adonisa było w zasadzie obrzędkiem odprowadzającym w okresie żniw w celu przebłaganie boga zboża, którego ścinali sierpami żniwiarze lub deptały na śmierć kopyta wołów na klepisku. Gdy mężczyźni go uśmiercali, kobiety przelewały krokodyle łzy i starały się uśmierzyć zrozumiałe oburzenie boga udając żalobę po jego śmierci. Teoria ta zgadza się doskonale z datami świąt przypadającymi na wiosnę lub w lecie, albowiem w krajach kultu Adonisa zbiory jęczmienia i pszenicy wypadają na wiosnę i w lecie, a nie jesienią. Hipotezę tę potwierdza również praktyka żniwiarzy egipskich, którzy ścinając pierwsze kłosy lamentowali i wzywali imienia Izydy. A wspierają ją również analogie ze zwyczajami wielu plemion myśliwskich traktujących z wielkim szacunkiem zabijaną i spożywaną zwierzynę.

W tej interpretacji śmierć Adonisa nie jest naturalnym rozkładem roślinności w ogóle pod wpływem upału w lecie czy mrozu w zimie, lecz gwałtownym zniszczeniem zboża przez człowieka, który ścina je na polu, młóci na klepisku i miele w żarnach. Można przyznać, że taki istotnie był główny aspekt śmierci Adonisa w późniejszych czasach dla rolniczych ludów Lewantu, ale należy powątpiewać, czy rzeczywiście od samego początku Adonis nie był niczym innym, jak tylko zbożem. W okresach wcześniejszych mógł być dla pasterza delikatnym zieleń puszczającym pędy po deszczu, któremu wychudzone i głodne trzody zawdzięczają bogate pastwiska. Jeszcze wcześniej mógł być wcieleniem ducha orzechów i jagód, które jesienne lasy dają dzikiemu myśliwemu i jego połowicy. I tak samo jak rolnik musi przebłagać ducha zboża, stanowiącego jego pożywienie, tak też pasterz musi udobruchać

⁶⁸ Joseph-Marie Lagrange (1855-1938) - uczonec francuski, dominikanin, egzegeta, założyciel szkoły badań biblijnych i archeologicznych w Jerozolimie.

ducha trawy i liści, które jego trzody przeżuwiają, myśliwy zaś ducha korzeni, które wygrzebuje, i owoców, które zbiera z gałęzi. We wszystkich tych przypadkach przebłaganie obrażonego i rozgniewanego ducha wymaga oczywiście wyszukanych przeprosin i tłumaczeń przy akompaniamencie głośnych lamentów nad jego śmiercią, gdy tak się złoży, że na skutek żalosego przypadku czy konieczności duch został nie tylko ograbiony, ale i zamordowany. Musimy jednak zapamiętać sobie, że dziki myśliwy i pasterz w tych odległych czasach nie doszedł jeszcze prawdopodobnie do abstrakcyjnego pojęcia roślinności w ogóle i zgodnie z tym, jeśli w ogóle istniał dla nich Adonis, to był on raczej *adonem*, czyli panem pojedynczego drzewa lub rośliny, a nie personifikacją życia roślinnego w ogóle. Byłoby więc wówczas tylu Adonisów co drzew i krzewów, a każdy z nich mógł oczekiwać satysfakcji za szkodę wyrządzoną jego osobie lub własności. I co roku, gdy drzewa zaczynały zrzucać liście, Adonis zdawał się krwawić na śmierć czerwonymi liśćmi, by powrócić do życia z świeżą zielenią wiosny.

Mamy pewne powody, by przypuszczać, że w tych dawnych czasach Adonis bywał niekiedy reprezentowany przez żywego człowieka, który ginął śmiercią gwałtowną w postaci boga. Co więcej, istnieją dowody świadczące o tym, że u ludów rolniczych zamieszkujących wschodnie wybrzeże Morza Śródziemnego duch zboża niezależnie od imienia, jakie nosił, często bywał uosabiany przez ludzkie ofiary składane dorocznie na polach po żniwach. Jeśli tak było rzeczywiście, wówczas ceremonia przebłagania ducha zboża miałaby tendencję stopienia się z kultem zmarłych. Być może, uważano, że duchy powracające do życia w kłosach użyźnionych ich krwią umierają po raz drugi, ścięte w czasie żniw. Otóż duchy tych, którzy zginęli śmiercią gwałtowną, są gniewne i mogą wyrzeć zemstę na swych zabójcach, gdy tylko nadarzy się sposobność. Stąd próba przebłagania dusz zamordowanych ofiar splata się, przynajmniej w pojęciu ludu, z próbami udobruchania ducha zboża. A ponieważ zmarli powracali na ziemię w kielkującym zbożu, można również uważać, że powracali w wiosennych kwiatach, które z długiego snu obudziło wonne wiosenne powietrze. Złożono je na spoczynek pod darnią. Cóż prostszego, jak wyobrazić sobie, że fiołki i hiacynty, róże i anemony, które wyłoniły się z ich prochów, zabarwione są czerwienią ich krwi i zawierają jakąś cząstkę ich ducha?

*Róża tam kwitnie prawdziwie czerwono,
Gdzie krew cesarów wsiąka w ziemi łono –
A hiacyntu każde niemal kwiecie
Z czyjejs tam głowy na grzędę strącono.
Nad rzeką trawa miękka i pierzasta
Mości nam róże w zieleni i w chwastach.
Ach, leżmy na niej lekko, bo któż wie,
Z czyich ust miłych po cichu wyrasta!*

Latem po bitwie pod Landen, najbardziej krwawej bitwie Europy siedemnastego wieku, ziemia zroszona krwią dwudziestu tysięcy zabitych pokryła się milionami maków, a podróżnik przemierzając te rozległe pola czerwieni mógł rzeczywiście wyobrazić sobie, że to ziemia zwraca swych zmarłych. W Atenach wielkie Święto Umarłych przypadało na wiosnę, w połowie marca, gdy rozkwitały pierwsze kwiaty. Uważano, że to zmarli powstają ze swych grobów i krążą po ulicach na próżno starając się wejść

do świątyń i mieszkań zatarasowanych przed wzburzonymi duchami sznurami, zielem przeczyszczającym i smołą. Nazwa święta zgodnie z najbardziej oczywistą i naturalną interpretacją oznacza Święto Kwiatów i pasuje dobrze do charakteru uroczystości, jeśli rzeczywiście uważano, że o tej porze roku biedne duchy w postaci zakwitających kwiatów wyłażą ze swych ciasnych pomieszczeń. Być może, jest trochę prawdy w teorii Renana, dopatrującego się w kulcie Adonisa sennego zmysłowego kultu śmierci, nie występującej w postaci króla strachu, lecz przemyślnego czarodzieja, podstępem ściągającego ofiary i pogrążającego je w śnie wieczystym. Wydawało się Renanowi, że czar przyrody libańskiej stanowi odpowiednie tło dla tak zmysłowych i wizjonerskich uczuć religijnych, unoszących się gdzieś w nieokreślonej przestrzeni między bólem a rozkoszą, między snem a łzami. Niewątpliwie błędem byłoby przypisywanie chłopom syryjskim kultu koncepcji tak zupełnie abstrakcyjnej jak śmierć w ogóle, ale, być może, ich proste umysły stapiały myśl o odradzającym się duchu roślinności z bardzo konkretnym pojęciem duchów zmarłych, powracających wiosną do życia w postaci pierwszych kwiatów, delikatnej zieleni zboża i wielobarwnego kwitnienia drzew. W ten sposób ich poglądy na śmierć i zmartwychwstanie natury zabarwione są ich poglądami na śmierć i zmartwychwstanie człowieka, pomieszane z ich osobistymi zmartwieniami, nadziejami i obawami. Nie ulega dla nas również wątpliwości, że w koncepcji Adonisa przedstawionej przez Renana są echa jego wspomnień o podobnym śmieci śnie, który zamknął jego oczy na stokach Libanu, i o śpiącej snem wieczystym w kraju Adonisa siostrze jego, która już nigdy nie obudzi się z anemonami i różami.⁶⁹

⁶⁹ Henryka R e n a n, siostra historyka, badacza religii i filozofa Ernesta Renana (1823-1892), była jego najlepszą przyjaciółką i powiernicą. W latach 1860-1861 towarzyszyła Renanowi w jego wyprawie archeologicznej na Bliski Wschód. Obydwoje ciężko zachorowali w Amsait w Libanie. Gdy Renan odzyskał przytomność, Henryka Renan już nie żyła.

ROZDZIAW DWUDZIESTY ÓSMY

OGRÓDKI ADONISA

Tak zwane ogródki Adonisa są chyba najlepszym argumentem na rzecz teorii, że Adonis był bóstwem roślinności, a szczególnie zboża. Były to koszyki lub donice napełnione ziemią, w których sadzono i hodowano przez osiem dni pszenicę, jęczmień, sałatę, koper oraz różne kwiaty. Zajmowały się tym głównie, a nawet wyłącznie kobiety. Pod ciepłymi promieniami słonecznymi rośliny szybko wyrastały, ale, nie zapuściwszy korzeni, równie szybko więdyły i po ośmiu dniach wynoszono je wraz z figurą Adonisa i wrzucano do morza.

Najłatwiej dadzą się te ogródki Adonisa wytłumaczyć jako uosobienia Adonisa względnie jego mocy. Przedstawiały go one zgodnie z jego pierwotną naturą w postaci roślin, natomiast wizerunki wynoszone i wrzucane do wody stanowiły późniejsze jego wcielenie w ludzkie kształty. Wszystkie te ceremonie, jeśli moje tłumaczenie jest trafne, były na początku czarami mającymi przyspieszyć wyrastanie i powrót do życia roślin na zasadzie magii homeopatycznej względnie naśladowczej.

Pogląd, że ogródki Adonisa są głównie czarami mającymi na celu przyspieszenie dojrzewania roślinności, a szczególnie zboża, i że należą do tej samej kategorii co opisane już wcześniej wiosenne i letnie obyczaje ludowe we współczesnej Europie, opiera się nie tylko na specyfice podobieństwa. Możemy na szczęście dowieść, że ogródki Adonisa (jeśli wolno nam użyć tego określenia w ogólnym znaczeniu) nadal są sadzone po pierwsze, przez pierwotne ludy w porze siewu, i po drugie, przez chłopów europejskich w połowie lata. U Oraonów i Mundarów w Bengalu, gdy nadchodzi czas sadzenia ryżu, grupa młodzieży obojga płci udaje się do lasu, by ściąć tam młode drzewo karma lub gałąź z tego drzewa. Obnoszą je triumfalnie, tańcząc, śpiewając i bijąc w bębny, po czym sadzą to drzewo na środku wiejskiego placu, na którym odbywają się tańce. Składa się drzewu ofiary, następnego zaś ranka młodzież tworzy koło i tańczy wokół drzewa karma ozdobionego skrawkami kolorowych materiałów i imitacjami bransoletek i naszyjników, sporządzonymi z plecionej słomy. W okresie przygotowań do święta córki naczelnika wioski hodują w szczególny sposób pędy jęczmienia. Nasiona umieszcza się w wilgotnej, piaszczystej ziemi mieszanej z turmerykiem, dzięki czemu źdźbła mają kolor bladożółty lub pierwiosnka. Podczas święta panny zanoszą je w koszykach na plac i tam z niskimi pokłonami składają u stóp drzewa karma. Po uroczystości drzewo karma wrzuca się do potoku lub zbiornika. Znaczenie sadzenia jęczmienia, a następnie ofiarowanie go karmie nie ulega chyba żadnej wątpliwości. Drzewa w przekonaniu tego ludu przyspieszają dojrzewanie plonów, a u Mundarów lub Mundów "bóstwa lasu odpowiedzialne są za plony". Toteż przynoszenie drzewa przez Mundarów i traktowanie go z tak wielkim szacunkiem w okresie sadzenia ryżu może mieć tylko jedno znaczenie, a mianowicie, służy przyspieszeniu dojrzewania ryżu, przyspieszenie zaś dojrzewania jęczmienia i ofiarowanie go drzewu ma służyć temu samemu celowi. Być może, ma również przypomnieć duchowi drzewa o jego obowiązkach wobec plonów i przyspieszyć jego działanie przez tak naoczny przykład szybkiego

wyrastania rośliny. Wrzucanie drzewa karma do wody można wytłumaczyć jako zaklinanie deszczu. Nie wiadomo, czy wrzuca się również żdźbła jęczmienia, ale jeśli moja interpretacja obyczaju jest słuszna, to zapewne jęczmień jest wrzucany do wody razem z drzewem. Różnica między zwyczajem bengalskim a greckimi obrzędami ku czci Adonisa polega na tym, że w pierwszym wypadku duch drzewa pojawia się w swej pierwotnej postaci drzewa, natomiast w kulcie Adonisa ukazuje się w postaci ludzkiej, jako człowiek zmarły, chociaż o jego roślinnej naturze świadczą ogródki Adonisa, będące w pewnym sensie wtórnym objawieniem jego pierwotnej mocy jako ducha drzewa.

Ogródki Adonisa uprawiają również Hindusi dla zapewnienia płodności zarówno ziemi, jak i ludzi. W Udajpur w Radżputanie obchodzi się święto bogini obfitości Gouri względnie Isani. Obrządki zaczynają się na nowy rok hinduski, gdy słońce wkracza w znak Barana. Z ziemi lepi się figurę bogini Gouri i mniejszą figurkę jej męża, Iswara, po czym ustawia się je obok siebie. W pobliżu kopie się mały rów, zasiewa w nim jęczmień, polewa go i sztucznie ogrzewa, aż ziarna zakiełkują, a wtedy kobiety tańczą wokół, biorąc się za ręce, i proszą boginię Gouri o błogosławieństwo dla mężów. Następnie niewiasty rozdają mężczyznom młode pędy zboża, ci zaś noszą je wpięte w swe turbany. W tych ceremoniach ofiarowanie pędów jęczmienia mężczyznom i prośba o błogosławieństwo bogini wskazują wyraźnie na pragnienie potomstwa jako jeden z motywów zwyczaju.

Na Sardynii ogródki Adonisa sadi się nadal w związku z wielkim świętem letniego przesilenia, noszącym nazwę dnia św. Jana. Pod koniec marca względnie pierwszego kwietnia młody mężczyzna zjawia się u dziewczyny, prosi ją, by została jego *comare* (ukochaną), i proponuje, że zostanie jej *compare*. Rodzina panny uważa tę propozycję za zaszczyt i z radością ją przyjmuje. Pod koniec maja dziewczyna sporządza doniczkę z kory drzewa korkowego, napelnia ją ziemią i sadi w niej garść pszenicy i jęczmienia. Doniczkę wystawia się na słońce i często polewa, dzięki czemu zboże szybko wschodzi i w przeddzień św. Jana jest już dosyć wysokie. Doniczka zwie się Erme lub Nenneri. W dniu św. Jana kawaler i panna, odświętnie wystrojeni, w towarzystwie licznej świty i poprzedzeni brojącymi i rozbawionymi dziećmi, udają się w procesji do kościoła za wsią. Tutaj rozbijają doniczkę o drzwi kościoła, po czym zasiadają w koło na trawie i przy muzyce fletów jedzą jaja i ziola. Krąży puchar z winem, z którego każdy pije, a następnie uczestnicy biorą się za ręce i śpiewają kilka razy przy akompaniamencie fletów o "Kochankach świętego Jana" (*Compare e comare di San Giovanni*). Gdy śpiewy im się znudzą, wstają i tańczą wkoło do wieczora.

Podobne obyczaje przestrzegane są o tej samej porze roku na Sycylii. Pary chłopców i dziewcząt zostają kochankami świętego Jana w dzień św. Jana. Wyrywają sobie wzajemnie po jednym włosie z głowy i dokonują nad nimi rozmaitych obrzędów. Związują na przykład włosy i rzucają je w górę lub wymieniają nad czerepem garnka, który następnie rozbijają na dwa kawałki, a każdy kawałek jest starannie przechowywany. Związek zawarty w ten sposób ma trwać całe życie. W niektórych okolicach Sycylii kochankowie św. Jana obdarowują się wzajemnie talerzami z kiełkującym zbożem, nasionami soczewicy i siemieniem, które zasadzono w ziemi na czterdzieści dni przed świętem. Obdarowany

talerzem wyrywa źdźbło młodej rośliny, przewiązuje je wstążką i przechowuje wśród swych największych skarbów, talerz natomiast zwraca ofiarodawcy. W Katanii kochankowie wymieniają garnki bazyliki i wielkich ogórków; dziewczęta sadzą bazylikę i im grubsza wyrasta, tym jest cenniejsza.

Jest rzeczą możliwą, że, jak przypuszcza R. Wiinsch⁷⁰, w zwyczajach związanych z letnim przesileniem św. Jan zastąpił Adonisa. Wiemy przecież, że ceremonie Tammuza względnie Adonisa urządzone były zazwyczaj w połowie lata, według Hieronima przypadały one na czerwiec.

Na Sycylii nadal zasiewa się ogródki Adonisa na wiosnę jak i latem, z czego prawdopodobnie możemy wyciągnąć wniosek, że na Sycylii, podobnie jak i w Syrii, obchodzono od dawna wiosenne święto zmarłego i zmartwychwstałego boga. Przed Wielkanocą kobiety na Sycylii sieją pszenicę, soczewicę i siemię na talerzach, trzymają je w ciemności i polewają co dwa dni. Rośliny szybko wschodzą, ich źdźbła wiązuje się wstążką, a talerze z roślinami umieszcza się na grobach, które z wizerunkami zmarłego Chrystusa ustawia się w katolickich i greckich kościołach w Wielki Piątek, podobnie jak ogródki Adonisa umieszcza się na grobie zmarłego Adonisa. Zwyczaj ten nie ogranicza się jedynie do Sycylii, ponieważ jest również przestrzegany w Cosenzy w Kalabrii i, być może, w innych miejscowościach. Cały ten obyczaj jest, być może, niczym innym jak kontynuacją, pod zmienioną nazwą, kultu Adonisa. Obrzędy sycylijskie i kalabryjskie nie są jedynymi ceremoniami przypominającymi rytuał kultu Adonisa. "Przez cały Wielki Piątek woskowa figura zmarłego Chrystusa wystawiona jest na środku greckich kościołów, a tłoczące się tłumy pokrywają ją żarliwymi pocałunkami, w kościele zaś rozlegają się żałobne monotonne pienia. Późnym wieczorem, gdy już zapada zmrok, duchowny wnosi na ulicę woskową figurę w trumnie przybranej różami, cytrynami, jaśminem i innymi kwiatami. Wspaniała liczna procesja wyrusza z tego miejsca przemierzając uroczyście i powoli ulice miasta. Wszyscy uczestnicy mają w ręce zapalone świece i śpiewają żałobne pieśni. Przed każdym domem, który mijają procesja, siedzą kobiety z kadzielnicami i okadzają przechodzące rzesze. W ten sposób miasto uroczyście odprawia pogrzeb Chrystusa, jak gdyby dopiero co zmarł. W końcu woskowa figura wraca z powrotem do kościoła, gdzie od nowa zaczynają się żałobne pienia. Treny te trwają przez całą sobotę do północy i w tym czasie obowiązuje ścisły post. Gdy zegar wybija dwunastą, zjawia się biskup, oznajmiając radosną nowinę: «Chrystus zmartwychwstał», na co wierni odpowiadają: «Zaiste zmartwychwstał.» W całym mieście wybucha natychmiast olbrzymia radość znajdująca sobie ujście w okrzykach, salwach dział okrętowych, palbie muszkietów i najrozmaitszych ogniach sztucznych. Równocześnie ludzie przerzucają się z krańcowości postu w objadanie się wielkanocnym jagnięciem i picie czystego wina."

W podobnie plastyczny sposób zwykł był Kościół katolicki przedstawiać swym wiernym historię śmierci i zmartwychwstania Zbawiciela. Święte widowiska pobudzały żywą wyobraźnię i gorące uczucia

⁷⁰ Richard W u n s c h (1869-1915) - filolog niemiecki i historyk (badacz) religii starożytnych.

wrażliwego południowego ludu, któremu ceremonie i przepych katolicyzmu odpowiadały bardziej aniżeli chłodniejszym temperamentom ludów teutońskich.

Gdy zastanowimy się, jak często Kościół umiejętnie potrafił zasiać ziarna nowej wiary na starej pogańskiej glebie, możemy założyć, że uroczystości wielkanocne związane ze śmiercią i zmartwychwstaniem Chrystusa oparte były na podobnych obrządkach ku czci zmarłego i powracającego do życia Adonisa, które, jak wolno nam przypuszczać z przytoczonych uprzednio dowodów, obchodzone były w Syrii o tej samej porze roku. Typ pogrążonej w żałobie bogini z umierającym w jej ramionach kochankiem przypomina i mógł być wzorem dla "Pieta" sztuki chrześcijańskiej, dla postaci Najświętszej Panny z martwym ciałem jej boskiego Syna, której najwspanialszym przykładem jest rzeźba Michała Anioła w bazylice Św. Piotra. Ta szlachetna grupa, w której straszliwy ból matki kontrastuje w tak cudowny sposób ze spokojem śmierci u jej Syna, jest jedną z najwspanialszych kompozycji w marmurze. Starożytna sztuka grecka przekazała nam niewiele równie pięknych arcydzieł i ani jednego tak bardzo wzruszającego.

W związku z tym warto przypomnieć powszechnie znane stwierdzenie św. Hieronima. Opowiada on, że w Betlejem miejsce, w którym zgodnie z tradycją narodził się Chrystus, ocienione było gajem jeszcze starszego syryjskiego boga Adonisa i że w tym miejscu, gdzie zapłakało Dziecię Jezus, oplakiwano kochanka Wenus. Chociaż nie mówi on tego wyraźnie, wydaje się, iż Hieronim uważał, że poganie zasadzili gaj Adonisa już po urodzeniu Chrystusa, by zbeczczyć święte miejsce. Mógł się mylić. Jeśli Adonis istotnie był, jak dowodziłem, duchem zboża, trudno o bardziej odpowiednie dla niego miejsce zamieszkania aniżeli Betlejem (Dom Chleba) i być może, czczono go w tym Domu Chleba na długo przed narodzeniem się Tego, który powiedział: "Ja jestem chlebem życia." Jeśli nawet przyjmiemy hipotezę, że Adonis znalazł się po Chrystusie, a nie przed Nim w Betlejem, wybór tej smutnej postaci dla oderwania chrześcijan od ich Boga musimy uważać za niezwykle trafny, jeśli przypomnimy sobie podobieństwo obrządków ku czci śmierci i zmartwychwstania obu. Jedną z najwcześniejszych siedzib kultu nowego Boga była Antiochia i tu, jak widzieliśmy, śmierć starego boga obchodzono co roku bardzo uroczystie. Okoliczności towarzyszące wjazdowi cesarza Juliana w czasie święta Adonisa pozwolą, być może, ustalić datę tej uroczystości. Gdy cesarz zbliżał się do miasta, przyjęto go modlitwami, jak gdyby był bogiem, i zdziwiły go głosy tłumu wołającego, że gwiazda zbawienia zaświtała na wschodzie. Był to niewątpliwie jedynie okolicznościowy komplement służalczego wschodniego tłumu dla rzymskiego imperatora. Ale jest również rzeczą możliwą, że regularne wschodzenie jasnej gwiazdy stanowiło sygnał do rozpoczęcia święta, i tak się mogło złożyć, że gwiazda pojawiła się nad horyzontem właśnie w chwili przyjazdu cesarza. Przypadek taki musiałby pobudzić wyobraźnię przesądnego i podnieconego tłumu, który w związku z tym powitał wielkiego człowieka jako bóstwo zapowiedziane przez znak na niebie. Być może zresztą, że cesarz pomylił okrzyki skierowane do gwiazdy i przyjął je jako powitanie. Otóż Astarte, boska kochanka Adonisa, identyfikowana była z planetą Wenus, a jej przemiana z gwiazdy porannej w wieczorną śledzona była uważnie przez babilońskich astronomów,

wróżących z jej pojawiania się i znikania. Możemy więc z tego wyciągnąć wniosek, że święto Adonisa zbiegało się z pojawieniem się Wenus jako gwiazdy porannej lub wieczornej. Ale gwiazda, którą powitali mieszkańcy Antiochii, ukazała się na wschodzie, jeśli więc była to Wenus, to jedynie jako gwiazda poranna. W Afaka w Syrii, gdzie znajdowała się słynna świątynia Astarte, sygnałem do rozpoczęcia uroczystości było pojawienie się meteoru spadającego w niektóre dni jak gwiazda ze szczytu góry Liban do rzeki Adonis. Uważano, że tym meteorem jest Astarte, a jej lot powietrzny mógł być tłumaczony jako zstąpienie zakochanej bogini w ramiona kochanka. W podobny sposób w Antiochii i innych miastach pojawienie się gwiazdy porannej w dniu święta mogło być witane jako przybycie bogini miłości, która zjawiała się, by obudzić swego zmarłego kochanka spoczywającego na ziemskim łożu. Jeśli więc tak było, możemy przypuścić, że ta właśnie gwiazda poranna prowadziła Mędrców Wschodu do Betlejem, do owego uświęconego miejsca, które słyszało, jak twierdzi św. Hieronim, płacz Dziecięcia Jezus i lament nad Adoniszem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

MIT I RYTUAŁ ATTISA

Attis również był bogiem, którego rzekoma śmierć i powrót do życia głęboko wrosły w religię i obrządku Azji Zachodniej. Czym dla Syrii był Adonis, tym dla Frygii był Attis. Podobnie jak Adonis, był on bogiem roślinności, a jego śmierć i zmartwychwstanie obchodzono uroczystość podczas świąt wiosennych. Legendy i rytuały obu bogów były tak podobne, że nawet starożytni uważali ich niekiedy za to samo bóstwo. Attis był młodym pięknym pasterzem, w którym kochała się Matka Bogów, Cybele, wielka azjatycka bogini płodności mająca swą główną siedzibę we Frygii. Niektórzy utrzymywali, że Attis był jej synem. Podobnie jak wielu innych herosów, miał się urodzić w sposób cudowny. Matka jego, Nana, była dziewicą, a poczęła w ten sposób, że na swym łonie złożyła dojrzały migdał względnie owoc granatu. Istotnie, w kosmogonii frygijskiej migdał był ojcem wszechrzeczy, a zawdzięczał to, być może, swym delikatnym liliowym kwiatom, jednym z pierwszych zwiastunów wiosny, które ukazują się na nagich gałęziach jeszcze przed liśćmi. Tego rodzaju opowieści o dziewicy-matce są przeżytkami z okresu dziecięctwa ludzkości, gdy ludzie nie zdawali sobie jeszcze sprawy z tego, że prawdziwą przyczyną rodzenia się potomstwa jest stosunek płciowy. Rozpowszechnione były dwie różne wersje śmierci Attisa. Według jednej został on, podobnie jak Adonis, zabity przez dziką, według drugiej sam pozbawił się męskości pod drzewem sosnowym i tam wykrwawił się na śmierć. Tę ostatnią wersję opowiadali rzekomo mieszkańcy Pessinus, wielkiego ośrodka kultu Cybele, a o wielkiej starożytności całej legendy, której fragmentem jest opowieść o śmierci Attisa, świadczy wyciśnięte na niej piętno wielkiego okrucieństwa i barbarzyństwa. Obie opowieści znajdują poparcie w obowiązujących zwyczajach, a raczej obie były prawdopodobnie wymyślone dla uzasadnienia pewnych obyczajów przestrzeganych przez wiernych. Historia samookaleczenia się Attisa jest niewątpliwie próbą wytłumaczenia stałego kastrowania się kapłanów Cybele przy wstępowaniu na służbę bogini, natomiast opowieść, że został rozszarpany przez dziką, była uzasadnieniem zakazu spożywania mięsa wieprzowego, zakazu obowiązującego jego wyznawców, szczególnie w Pessinus. Nie jedli również wieprzowiny wyznawcy Adonisa zabitego przez dziką. Po śmierci Attis miał się zamienić w sosnę.

Kult frygijskiej Matki Bogów przyjęli Rzymianie w r. 204 przed Chr., pod koniec ich długiej walki z Hannibalem. Upadającego ducha podtrzymała w odpowiedniej chwili przepowiednia zaczerpnięta rzekomo z owego wygodnego zbioru niedorzeczności, z Ksiąg Sybillińskich, głosząca, że cudzoziemski najeźdźca wypędzony zostanie z Italii, jeśli wielka wschodnia bogini sprowadzona zostanie do Rzymu. Wysłano wobec tego ambasadorów do świętego miasta Pessinus we Frygii. Tam otrzymali mały czarny kamień będący wcieleniem bogini, kamień ten przywieźli do Rzymu, gdzie został powitany bardzo uroczysto i złożony w świątyni Zwycięstwa na Wzgórzu Pałatyńskim. Bogini przybyła w połowie kwietnia i od razu zabrała się do roboty. Zbiory były w tym roku tak obfite, że od dawna już podobnych nie pamiętano, a w rok potem Hannibal i jego weterani odpłynęli do Afryki. Gdy po raz ostatni patrzył na

niknące w oddali brzegi Italii, nie mógł przewidzieć, że Europa, która zdołała stawić czoło jego orężowi, podda się bogom Wschodu. Awangarda zdobywców zaległa już w sercu Italii, zanim jeszcze ariergarda pobitej armii zdążyła odpłynąć od jej brzegów.

Przypuszczamy, chociaż nie mówią o tym żadne doniesienia, że Matka Bogów sprowadziła z sobą do swej nowej siedziby na Zachodzie kult swego młodzieńczego kochanka. Rzymianie znali oczywiście gallów, skastrowanych kapłanów Attisa, jeszcze przed upadkiem republiki. Rzymska ulica oswojona była z widokiem owych bezpłciowych istot we wschodnich strojach, z małymi wizerunkami bogini zawieszonymi na piersiach. Procesje tych kapłanów ciągnęły przez miasto z posągiem bogini przy akompaniamencie pieśni religijnych i dźwięków cymbałów i tamburynów, fletów i rogów. Niezwykłe widowisko i dzika muzyka robiły olbrzymie wrażenie na widzach. Szczodłą ręką rozdawano jałmużnę, a posąg i kapłanów obrzucano naręczami róż. Następny krok zrobił cesarz Klaudiusz włączając do urzędowej religii Rzymu frygijski kult świętego drzewa, a wraz z tym prawdopodobnie orgiastyczne obrządku ku czci Attisa. Wielkie święto wiosenne Cybele i Attisa znamy najlepiej w tej postaci, w jakiej było obchodzone w Rzymie, wiedząc jednak, że ceremonia rzymski był również ceremoniałem frygijskim, możemy założyć, że mało, a być może w ogóle nie różniły się one od azjatyckiego pierwowzoru. Wydaje się, że kolejność uroczystości była następująca:

Dwudziestego drugiego marca ścinano sosnę w lesie i przynoszono ją do świątyni Cybele, gdzie była czczona jako wielkie bóstwo. Obowiązek przyniesienia świętego drzewa powierzono cechowi Nosicieli Drzewa. Pień owinięty był jak zwłoki wełnianymi pasami i przykryty wieńcami z fiołków, albowiem kwiat ten wyrastał rzekomo z krwi Attisa, podobnie jak róże i anemony wyrosły z krwi Adonisa. Do pnia przywiązana była figura młodzieńca, niewątpliwie samego Attisa. Drugiego dnia świąt, dwudziestego trzeciego marca, główną ceremonią było, jak się zdaje, granie na trąbach. Trzeci dzień, dwudziesty czwarty marca, znany był jako Dzień Krwi. Archigallus, czyli arcykapłan, wytaczał krew ze swych ramion i składał ją w ofierze. Nie tylko on jeden składał tę krwawą ofiarę. Podnieceni dziką barbarzyńską muzyką, brzęczeniem cymbałów, łoskotem bębnów, huczącymi rogami i piskami fletów, pomniejsi kapłani, rozpuściwszy włosy, tak długo wirowali w tańcu, kiwając głowami, aż w obłądnym podnieceniu, znieczuleni na ból, zadawali sobie rany czerepami i nożami spryskując krwią ołtarz i święte drzewo. Celem tego straszego rytuału było prawdopodobnie oplakiwanie Attisa i, być może, przydanie mu sił do zmartwychwstania. W podobny sposób zadają sobie rany australijscy tubylcy nad grobami swych przyjaciół, być może, by pomóc im narodzić się ponownie. Możemy się również domyślić, chociaż nie jest to powiedziane wyraźnie, że w ten sam Dzień Krwi i dla tego samego celu nowicjusze poświęcali swą męskość. Doprowadzeni do najwyższego stopnia religijnej ekstazy, rzucali odcięte części swego ciała o posąg okrutnej bogini. Te poszarpane narzędzia płodności pakowano następnie z oznakami należnej im czci i grzebano w ziemi lub podziemnych lochach poświęconych Cybele, gdzie, podobnie jak ofiary krwi, mogły służyć przywołaniu Attisa do życia i przyśpieszeniu powszechnego zmartwychwstania przyrody, pokrywającej się liśćmi i kwiatami w wiosennym słońcu. Domyśl ten

potwierdza pochodząca z barbarzyńskich czasów legenda o matce Attisa. Poczęła ona kładąc na swe łono granat, który wyrósł z odciętych genitalii człowieka-potwora, zwanego Agdestisem, swojego rodzaju sobowtóra Attisa.

Jeśli nasze domysły, mające na celu wyjaśnienie zwyczaju, są w jakiejś mierze trafne, wówczas nietrudno zrozumieć, dlaczego również i inne azjatyckie boginie płodności miały kapłanów eunuchów. Te kobiece bóstwa musiały otrzymywać od swych kapłanów, uosabiających boskich kochanków, narzędzia dla spełnienia swych dobroczynnych funkcji. Musiały być zapłodnione życiodajną energią, zanim mogły ją przekazać światu. Do bogiń posiadających kapłanów-eunuchów należały wielka Artemida z Efezu i wielka syryjska Astarte z Hierapolis. Jej świątynia, zwiedzana przez roje pielgrzymów i wzbogacana ofiarami Asyrii i Babilonii, Arabii i Fenicji, była zapewne w okresie swej świetności najbarziej popularnym przybytkiem religijnym na Wschodzie. Bezpłciowi kapłani tej syryjskiej bogini tak bardzo przypominali kapłanów Cybele, że ich czasami nie odróżniano od siebie. W podobny również sposób wprowadzano ich w tajemnice kultu. W Hierapolis największe święto roku wypadło na początku wiosny, gdy olbrzymie tłumy nadciągające z Syrii i okolicznych krajów tłoczyły się w świątyni. Gdy flety grały, bębny waliły, a eunuchowie zadawali sobie nożami rany, religijne podniecenie szerzyło się stopniowo jak fala wśród tłumu widzów i wielu ludzi zdobywało się na uczynek, o którym nawet nie myśleli wybierając się na uroczystość. Jeden po drugim mężczyźni, z żyłami nabrzmiałymi od muzyki, oczami urzeczonymi widokiem krwi, zrzucali szaty, zrywali się z dzikim okrzykiem i chwyciwszy jedną z szabel leżących pod ręką kastrowali się na miejscu. Człowiek taki biegł potem ze skrwawionym członkiem w ręce przez miasto, po czym wrzucał go do jednego z domów mijanych w obłądnym galopie. Tak zaszczycone domostwo musiało ofiarować mu szaty i ozdoby kobiece, które nosił już do końca życia. Ta nieodwracalna ofiara, gdy już ustępowało podniecenie i człowiek wracał do siebie, wywoływała straszliwą rozpacz i żal trwający całe życie. Wstrząsający opis powrotu naturalnych ludzkich uczuć po religijnym szale znalazł się w słynnym wierszu Katulla.

Zbieżność z tymi syryjskimi dewotami potwierdza pogląd, że podobne uczczenie Cybele przez poświęcenie męskości miało miejsce w Dzień Krwi podczas wiosennego święta bogini, gdy pod sosnami kwitły fiołki które wyrosły z kropel krwi jej zranionego kochanka. Co więcej, historia o Attisie pozbawiającym się męskości pod sosną została oczywiście wymyślona, by wytłumaczyć, dlaczego jego kapłani czynili to samo obok świętego drzewa przybranego fiołkami podczas święta Attisa. W każdym razie nie mamy powodu powątpiewać, że w Dzień Krwi oplakiwano Attisa nad figurą, którą następnie grzebano. Figura chowana w grobie była prawdopodobnie tą samą, którą zawieszano uprzednio na drzewie. Przez cały czas trwania żałoby wierni nie spożywali chleba, formalnie, ponieważ Cybelle tak postąpiła oplakując śmierć Attisa, w istocie jednak z tego samego powodu, dla którego kobiety w Harran w okresie oplakiwania Tammuza nie jadły niczego, co było zmielone w żarnach. Jedzenie chleba lub mąki w takim czasie mogło być uważane za profanację poszarpanego i pogruchotanego ciała boga. Post mógł także być przygotowaniem do sakramentalnej uczyty.

Gdy jednak wieczór zapadał, smutek wiernych ustępował miejsca wesołości. Nagłe rozbłyskiwało światło w ciemnościach, otwierano grób, bóg powstawał z martwych, a kapłan, dotykając ust wiernych balsamem, szeptał im do ucha radosną nowinę o zbawieniu. Uczniowie boga głosili, że jego zmartwychwstanie jest zapowiedzią, iż wszyscy powstaną z grobów. Następnego dnia, dwudziestego piątego marca, uchodzącego za wiosenne zrównanie dnia z nocą, obchodzono boskie zmartwychwstanie wybuchami dzikiej radości. W Rzymie i prawdopodobnie w innych miastach uroczystość przybierała formę karnawału. Było to Święto Radości (Hilaria). Panowała powszechna swoboda. Każdy mógł mówić i czynić, co mu się podobało. Ludzie krążyli po ulicach w przebraniu. Najskromniejszy obywatel miał prawo przebrać się za najwyższego i najważniejszego dostojnika. Za panowania Kommodusa grupa spiskowców chciała wykorzystać maskaradę, by przebrać się w mundury gwardii cesarskiej, zmieszać się z tłumem, dotrzeć do cesarza i zakłuć go sztyletami. Ale spisek spalił na panewce. Nawet surowy Aleksander Sewerus tak dalece uległ rozluźnionej atmosferze tego dnia, że pozwalał, by podawano bażanta na jego skąpo zastawiony stół. Dwudziesty szósty marca był dniem odpoczynku, bardzo zapewne potrzebnego po różnorodnych podniętach i wyczynach dnia poprzedniego. Wreszcie dwudziestego siódmego marca święta rzymskie kończyły się procesją do strumienia Almo. Na wozie zaprzężonym w woły znajdował się srebrny posąg bogini z twarzą z rzeźbionego czarnego kamienia. Przed wozem kroczyli boso przy głośnych dźwiękach piszczałek i tamburynów szlachetnie urodzeni. Pochód wolno ciągnął do Porta Capena, a potem wzdłuż brzegów Almo wpadającego do Tybru tuż za murami Rzymu. W tym miejscu arcykapłan zmywał wóz, posąg i inne święte przedmioty wodą ze strumienia, a powracające z kąpeli woły i wóz obrzucano świeżymi kwiatami. Ceremoniom tym towarzyszyła wielka wesołość. Nikt nie pamiętał o tak niedawno przelanej krwi. Nawet kapłani-eunuchowie zapominali o swych ranach.

Tak oto prawdopodobnie wyglądał doroczny obchód śmierci i zmartwychwstania Attisa na wiosnę. Ale poza tymi obrzędami publicznymi istniały jeszcze w jego kulcie pewne mistyczne lub tajne ceremonie, mające prawdopodobnie na celu zbliżenie wiernych, a szczególnie nowicjuszy do Boga. Niestety, posiadamy bardzo skąpe wiadomości o tych misteriach i terminie, w którym się odbywały, ale, jak się zdaje, obejmowały one sakramentalną biesiadę i krwawy chrzest. Nowicjusz stawał się uczestnikiem misterium jedząc z bębna i pijąc z cymbałów, dwóch instrumentów muzycznych odgrywających doniosłą rolę w orkiestrze Attisa. Post towarzyszący żałobie po zmarłym bogu miał, być może, na celu przygotowanie ciała komunikującego się na przyjęcie sakramentu przez oczyszczenie z wszystkiego, co mogłoby go zbezcześcić w zetknięciu się z świętością. Podczas chrztu wierny w złotej koronie i opleciony wstążkami zstępował do jamy, której wejście przykryte było drewnianą kratą. Była ze złożonymi rogami i przystrojonego w girlandy kwiatów doprowadzano do kraty i zakłuwano poświęcaną włócznią. Gorąca, cuchnąca krew lała się strumieniami przez otwory, a wierny nurzał się w niej gorliwie wyłaniając się z jamy cały uwalany krwią, purpurowy od stóp do głowy. Towarzysze go witali, co więcej, składali należny bóstwu hołd, jako temu, który ponownie narodził się do wiecznego

życia i zmył wszystkie swe grzechy w krwi byka. Przez pewien czas utrzymywano fikcję jego ponownych narodzin karmiąc go tylko mlekiem jak nowo narodzone niemowlę. Odrodzenie wiernego odbywało się w tym samym czasie co odrodzenie boga, a mianowicie podczas wiosennego zrównania dnia z nocą. W Rzymie nowe narodziny i odpuszczenie grzechów przez przelanie krwi byka odbywały się głównie w świątyni bogini frygijskiej na Wzgórzu Watykańskim na miejscu lub w pobliżu miejsca, na którym obecnie stoi wielka bazylika Św. Piotra. Odnaleziono bowiem wiele napisów odnoszących się do tych ceremonii w czasie poszerzania bazyliki w roku 1608 czy też 1609. Prawdopodobnie z Watykanu ten barbarzyński zabobon rozpowszechnił się w innych częściach Imperium Rzymskiego. Napisy znalezione w Galii i Germanii świadczą o tym, że prowincjonalne świątynie wzorowały swe obrządki na ceremonii watykańskiej. Z tych samych źródeł dowiadujemy się także, że zarówno genitalia, jak i krew byka odgrywały poważną rolę w tych obrządkach. Uważano je prawdopodobnie za potężne talizmany służące zwiększeniu płodności i przyśpieszeniu nowych narodzin.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ATTIS JAKO BÓG ROŚLINNOŚCI

Rola sosny w legendzie Attisa, jego rytuale i pomnikach podkreśla dobitnie pierwotny charakter tego boga jako ducha drzew. Opowieść o tym, że był istotą ludzką zamienioną w sosnę, jest tylko jedną z tych przejrzystych prób racjonalizowania dawnych wierzeń, na które tak często natrafiamy w mitologii. Sprowadzanie z lasu przybranej fiołkami i wełnianymi pasami sosny przypomina przynoszenie "maja" względnie gaika we współczesnych zwyczajach ludowych, a figura przywiązana do sosny była jedynie duplikatem wcielenia ducha drzewa Attisa. Figurę tę, przymocowaną do drzewa, przechowywano przez rok, po czym ją palono. To samo robiono niekiedy z maikiem i w podobny sposób figura ducha zboża, sporządzana podczas żniw, bywała często przechowywana dotąd, dopóki nie została zastąpiona przez nową figurę zrobioną podczas nowych żniw. Pierwotnym celem tego zwyczaju było niewątpliwie pragnienie utrzymania ducha roślinności przy życiu przez cały rok. Dlaczego zaś Frygijczycy czcili sosnę, a nie inne drzewo, pozostanie dla nas w sferze domysłów. Być może, widok niezmiennej, chociaż ponurej zieleni zdobiącej grzbiety wysokich gór nad płowiejącą wspaniałością jesiennych lasów w dolinach czynił w ich oczach sosnę przybytkiem bardziej boskiego życia, czymś nie ulegającym smutnej konieczności pór roku, stałym i wiecznym jak niebo, ku któremu się wspina. Być może, z tego samego powodu bluszcz był poświęcony Attisowi. W każdym razie wiemy, że jego kapłani-eunuchowie mieli na sobie wytatuowane wzory z liści bluszczu. Innym źródłem świętości sosny mogła być jej użyteczność. Szyszki sosny południowoeuropejskiej posiadają jadalne, przypominające w smaku orzechy, nasiona, które od czasów starożytnych używano jako pożywienie i nadal są jeszcze spożywane, na przykład przez biedniejszą ludność Rzymu. Ponadto z nasion tych robiono wino i to, być może, częściowo tłumaczy orgiastyczny charakter obrządków ku czci Cybele przyrównywanych przez starożytnych do uroczystości dionizyjskich. Szyszki sosnowe były również uważane za symbole, czy też raczej narzędzia płodności. Dlatego też podczas Tesmoforii wrzucano je wraz z wieprzami i innymi bodźcami względnie emblematami płodności do piwnic Demeter, by pobudzić do życia ziemię i łona kobiet.

Podobnie jak duchom drzewa w ogólności, tak też prawdopodobnie Attisowi przypisywano władzę nad płodami ziemi, a nawet identyfikowano go ze zbożem. Jednym z jego epitetów był "bardzo płodny" - zwracano się do niego jako do "dojrzałego zielonego (lub żółtego) kłosa zboża". Historię jego cierpień, śmierci i zmartwychwstania tłumaczono jako historię dojrzałego ziarna zranionego przez żniwiarza, pochowanego w spichlerzu i powracającego z powrotem do życia po zasianiu w ziemi. Posąg Attisa znajdujący się w Muzeum Laterańskim dobitnie wskazuje na to powiązanie z płodami ziemi, albowiem przedstawia go z pękiem kłosów i owocami w ręku, wieńcem z szyszek sosnowych, jabłek granatu i innych owoców na głowie, zaś z końca jego frygijskiej czapki wyrastają źdźbła zboża. W nieco odmienny sposób ta sama myśl wyrażona jest na kamiennej urnie, w której mieszczą się prochy jednego z archigallów, czyli arcykapłanów Attisa. Wierzch urny ozdobiony jest płaskorzeźbami

przedstawiającymi kłosy zboża, a nad tym widać koguta z ogonem z kłosów zboża. W podobny sposób ujęta jest Cybele jako bogini płodności, która mogła tworzyć lub niszczyć plody ziemi. Mieszkańcy Augustodunum (Autun) w Galii wozili jej posąg po polach i winnicach tańcząc przed nim i śpiewając, by zapewnić obfite piony, a widzieliśmy również, że w Italii wyjątkowo pomyślne żniwa przypisywano niedawnemu przybyciu Wielkiej Matki. Kąpanie wizerunku bogini w rzece mogło być zaklinaniem deszczu, zapewnieniem sobie dostatecznej wilgoci potrzebnej dla plonów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

LUDZKIE WCIELENIENIE ATTISA

Z napisów zarówno w Rzymie, jak i w Pessinus wynika, że arcykapłani Cybele zawsze nosili imię Attisa. Można wobec tego z dużym prawdopodobieństwem wysunąć hipotezę, że w dorocznych świętach odgrywali oni rolę swego imiennika, legendarnego Attisa. Widzieliśmy, jak w Dniu Krwi arcykapłan wytaczał sobie krew z ramienia, a mogło to być naśladowaniem samobójczej śmierci Attisa pod sosną. Nie pozostaje w sprzeczności z tym przypuszczeniem fakt, że Attis był również reprezentowany podczas tych uroczystości przez swój posąg, znany bowiem przypadki, gdy boska istota występuje początkowo w postaci ludzkiej, później zaś jako wizerunek, palony następnie lub niszczonej w inny sposób. Pójdziemy jeszcze krok dalej i pozwolimy sobie na przypuszczenie, że odgrywanie zabójstwa kapłana przy równoczesnym prawdziwym przelewaniu jego krwi było we Frygii, podobnie jak i gdzie indziej, substytutem ludzkich ofiar składanych w czasach dawniejszych.

Wspomnienie o sposobie uśmiercania tych dawnych przedstawicieli bóstwa zachowało się, być może, w słynnej historii Marsjasza. Według legendy był on frygijskim satyrem Silenusem, zdaniem innych, pasterzem pięknie grającym na flecie. Jako przyjaciel Cybele włóczył się z niepokieszoną boginią po kraju, by uśmierzyć jej rozpacz po śmierci Attisa. Mieszkańcy Kelainai we Frygii przypisywali mu autorstwo "Pieśni Matki", melodii grywanej na flecie ku czci Wielkiej Bogini Matki. Marsjasz, chełpiąc się swym talentem, wyzwiał Apolla na muzyczny pojedynek, w którym sam miał grać na flecie, Apollo zaś na lirze. Według jednej wersji po przegranej Marsjasz został przywiązany do sosny i Apollo zdarł z niego skórę, według innej został poćwiartowany przez scytyjskiego niewolnika. Skórę jego pokazywano w Kelainai jeszcze w czasach historycznych. Wisiała ona w pieczarze u stóp cytadeli, z której wypływała porywista i hałaśliwa rzeka Marsjasz wpadająca następnie do Meandra. W podobny sposób wypływała rzeka Adonis z przepaści Libanu, błękitny Ibreez kryształowym strumieniem stacza się po czerwonych skałach Taurydy i tak samo zwykł był mrużący teraz głęboko pod ziemią potok połyskiwać przez chwilę w mrocznym świetle Pieczary Koryckiej, gdy z ciemności wpadał w ciemność. We wszystkich tych obfitych źródłach, szczerze obiecujących życie i płodność, widział człowiek dawnych czasów rękę Boga i czcił go obok płynących rzek, mając w uszach muzykę toczących się wód. W Kelainai, jeśli zawierzyć tradycji, muzykujący na flecie Marsjasz wisząc w swej pieczarze potrafił wzruszyć się harmonią dźwięków nawet po śmierci. Twierdzono bowiem, że na dźwięk rodzimych frygijskich melodii drżała skóra martwego satyra, gdy jednak muzykant zaczynał arię ku chwale Apolla, skóra pozostawała głucha na tony.

Czyż nie odnajdujemy w tym frygijskim satyrze względnie pasterzu, który cieszył się przyjaźnią Cybele, uprawiał muzykę tak charakterystyczną dla obrządków ku jej czci i umierał śmiercią gwałtowną na świętym drzewie, bliskiego podobieństwa do Attisa, ukochanego pasterza bogini, przedstawianego przecież jako flecista, ginącego pod sosną i co roku zawieszanego jak Marsjasz w postaci figury na

sośnie? Możemy domyślać się, że w dawniejszych czasach kapłan noszący imię i odgrywający rolę Attisa był wieszany lub zabijany na świętym drzewie podczas wiosennych świąt Cybele i że barbarzyński ten zwyczaj przybrał potem łagodniejszą formę, znaną nam z późniejszych czasów, kiedy to kapłan wytaczał sobie krew z ramienia pod świętym drzewem, a na drzewie zawieszał już tylko figurę. W świętym gaju w Upsali składano ofiary z ludzi i zwierząt wieszając je na świętym drzewie. Ludzkie ofiary poświęcone Odynowi stale wieszano lub też wieszano i zakłuwano na śmierć w taki sposób, że człowieka przywiązywano na drzewie lub szubienicy, a następnie przebijano go dzidą. Dlatego to Odyn zwał się Bogiem Szubienicy lub Bogiem Powieszonych, a na wizerunkach przedstawiano go siedzącego pod szubienicą. Miał też rzekomo sam sobie być złożony w ofierze w przyjęty sposób, jak się o tym dowiadujemy z niesamowitych wierszy *Hdvamd*⁷¹, w których bóg opisuje, jak posiadał boską moc nauczywszy się magicznych run:

*Wisiałem na wietrznym drzewie
Dziewięć straszliwych nocy,
Raniony włócznią, oddany
Żywcem Odyna mocy.*

⁷¹ *Ha.vam.dl* - gnomiczna pieśń, zbiór moralnych sentencji Odyna, wchodząca w skład tzw. Eddy Starszej, poetyckiego zabytku literatury skandynawskiej powstałego w Islandii w w. XIII i wcześniej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

WSCHODNIE RELIGIE NA ZACHODZIE

Kult Wielkiej Matki Bogów i jej kochanka względnie syna był bardzo rozpowszechniony za czasów Cesarstwa Rzymskiego. Napisy świadczą o tym, że obojgu oddawano honory należne bogom, wspólnie lub oddzielnie, nie tylko w Italii, a szczególnie w Rzymie, lecz również i w prowincjach, głównie w Afryce, Hiszpanii, Portugalii, Francji, Niemczech i Bułgarii. Kult ten przetrwał wprowadzenie chrześcijaństwa przez Konstantyna, donosi bowiem Symmachus⁷² o powtarzających się nadal świątach Wielkiej Matki, a za czasów Augustyna jej zniewieściali kapłani wciąż jeszcze paradowali drobnym kroczeniem po ulicach i placach Kartaginy, z napudrowanymi twarzami i perfumowanymi włosami, prosząc przechodniów o jałmużnę, podobnie jak mnisi żebrzący w wiekach średnich. Natomiast w Grecji krwawe orgie azjatyckiej bogini i jej małżonka nie spotykały się ze zbyt życzliwym przyjęciem.

Religia Wielkiej Matki, stanowiąca dziwną mieszaninę prymitywnego barbarzyństwa i aspiracji życia duchowego była zaledwie jedną spośród wielkiej rzeszy podobnych wschodnich kultów, które u schyłku pogaństwa rozprzestrzeniły się w Cesarstwie Rzymskim, karmiąc ludy europejskie obcymi ideałami, stopniowo podkopującymi całą strukturę starożytnej cywilizacji. Społeczeństwo greckie i rzymskie zbudowane było na koncepcji podporządkowania jednostki społeczeństwu, obywatela państwu. Bezpieczeństwo rzeczypospolitej było celem najwyższym, który przyświecał obywatelom, celem stawianym ponad bezpieczeństwem jednostki, zarówno na tym, jak i na przyszłym świecie. Obywatele, od dzieciństwa wychowywani w tym altruistycznym duchu, poświęcali swe życie służbie publicznej i byli gotowi złożyć je dla wspólnego dobra, a jeśli kiedykolwiek cofali się przed największą ofiarą, przez myśl im nawet nie przechodziło, by ktokolwiek mógł nie uznać za nikczemne postawienia własnego życia ponad dobro ojczyzny. Wszystko to uległo zmianie wraz z rozpowszechnieniem religii wschodnich uczących, że komunizm duszy z Bogiem i jej wieczne zbawienie są jedynym celem, dla którego warto żyć, celem, w porównaniu z którym dobrobyt, a nawet istnienie państwa traciły wszelkie znaczenie. Nieuniknionym skutkiem tej egoistycznej i niemoralnej doktryny było oderwanie wiernego od służby publicznej, skupienie jego myśli na własnych przeżyciach duchowych i wykształcenie w nim pogardy dla życia doczesnego, będącego w jego oczach jedynie próbą przed życiem lepszym i wiecznym. W powszechnym przekonaniu święty i pustelnik stali się najszczytniejszymi ideałami ludzkości. Zajęli oni miejsce dawnego ideału patrioty i bohatera, który nie myśląc o sobie żyje i gotów jest umrzeć dla swego kraju. Ziemskie państwo wydawało się biedne i godne pogardy w oczach ludzi, którzy dostrzegali w obłokach niebieskich nadejście państwa bożego. Tak oto środek ciężkości przesunął się z życia doczesnego na przyszłe, i bez względu na to, ile na tym zyskał inny świat, nie ulega prawie żadnej wątpliwości, że ten stracił wiele na tej zmianie. Rozpoczął się ogólny rozkład życia politycznego. Więzy państwa i rodziny rozluźniły się. Społeczeństwo zaczęło rozpadać się na

poszczególne elementy i wracać w ten sposób do barbarzyństwa, albowiem cywilizacja jest możliwa jedynie przy aktywnej współpracy obywateli, gdy są oni gotowi podporządkować swe interesy prywatne wspólnemu dobru. Ludzie nie chcieli bronić swego kraju, a nawet przedłużać istnienia rodu ludzkiego. W trosce o zbawienie własnej duszy i dusz innych ludzi gotowi byli dopuścić do tego, by zginął otaczający ich świat materialny, który był dla nich równoznaczny z istotą zła. Obsesja ta trwała przez tysiąc lat. Wskrzeszenie prawa rzymskiego, filozofii arystotelesowskiej, starożytnej sztuki i literatury pod koniec średniowiecza oznaczało powrót Europy do bardziej naturalnych dla niej ideałów życia i postępowania, do zdrowszych, bardziej męskich poglądów na świat. Skończył się długi postój, który przerwał marsz cywilizacji. Nareszcie odwróciła się fala wschodniej inwazji. Wciąż jeszcze się cofa.

Wśród bogów wschodniego pochodzenia walczących u schyłku starożytnego świata o podbój Zachodu był dawny perski bóg Mitra. O niezmiernej popularności jego kultu świadczą liczne odnalezione zabytki rozsypane po całym Imperium Rzymskim. Zarówno pod względem doktryny, jak i rytuału kult Mitry przypominał w wielu aspektach nie tylko religię Wielkiej Matki, lecz również chrześcijaństwo. Podobieństwa te uderzyły nawet Doktorów Kościoła i tłumaczyli je oni jako dzieło szatana pragnącego odwieść ludzi od wiary prawdziwej przez podstępne jej naśladowanie. Podobnie w oczach hiszpańskich zdobywców Meksyku i Peru wiele miejscowych pogańskich obrządków uchodziło za diabelskie fałszerstwa sakramentów chrześcijańskich. Z większym prawdopodobieństwem współczesny badacz religii porównawczej przypisuje takie zbieżności zbliżonym do siebie i niezależnym działaniom umysłu ludzkiego, w prymitywnych, lecz szczerych wysiłkach człowieka, by odgadnąć tajemnice wszechświata i dostosować swe skromne życie do jego straszliwych misterii. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że religia Mitry była poważnym rywalem chrześcijaństwa łącząc uroczysty rytuał z dążeniem do czystości moralnej i nadzieją na nieśmiertelność. Przez pewien nawet czas wynik walki między dwiema religiami pozostawał w zawieszeniu. Pouczającą pozostałością tej długiej walki jest nasze święto Bożego Narodzenia, które Kościół, jak się zdaje, zapożyczył bezpośrednio u swego pogańskiego rywala. W kalendarzu juliańskim dzień 25 grudnia uważany był za zimowe przesilenie i dzień narodzin słońca, ponieważ od tej zwrotnej daty dzień staje się dłuższy, a słońce nabiera coraz większej siły. Niezwykłe było święto boskich narodzin w tej postaci, w jakiej obchodzono je w Syrii i Egipcie. Celebranci udawali się do wewnętrznych kaplic, z których wypadali o północy z głośnymi okrzykami: "Dziewica powiła! Światło przybywa!" Egipcjanie przedstawiali nawet nowo narodzone słońce w postaci niemowlęcia, które w dniu jego urodzin, w zimowe przesilenie, pokazywali wiernym. Nie ulega wątpliwości, że dziewica, która poczęła syna i wydała go na świat 25 grudnia, była wielką wschodnią boginią, zwaną przez Semitów niebiańską dziewczicą lub po prostu niebiańską boginią. W krajach semickich była ona jedną z odmian Astarte. Otóż wyznawcy Mitry zawsze identyfikowali go ze słońcem czy też, jak je zwali, Niezwyciężonym Słońcem. Stąd też jego dzień urodzenia przypadł

⁷² Quintus Aurelius S y m m a c h u s (ok. 345-405 n. e.) - prefekt Rzymu w roku 384-385, konsul w r. 391; był

również dwudziestego piątego grudnia. Ewangelie nie wspominają o dniu narodzenia Chrystusa i zgodnie z tym starożytny Kościół święta takiego nie obchodził. Z czasem jednak egipscy chrześcijanie zaczęli uważać szósty stycznia za dzień Bożego Narodzenia i zwyczaj upamiętnienia narodzin Zbawiciela w tym dniu rozpowszechniał się stopniowo, aż w czwartym wieku przyjął się na całym Wschodzie. Ale pod koniec wieku trzeciego i na początku czwartego Kościół zachodni, który nigdy nie uznawał szóstego stycznia za dzień Bożego Narodzenia, przyjął datę dwudziestego piątego grudnia jako prawdziwą, a z czasem decyzję tę uznał również Kościół wschodni. W Antiochii zmianę tę wprowadzono dopiero około roku 375.

Czym kierowały się władze kościelne ustanawiając święto Bożego Narodzenia? O motywach tej innowacji mówi z całą szczerością pewien pisarz syryjski, sam zresztą chrześcijanin. Powód, dla którego Ojcowie Kościoła przenieśli uroczystość z szóstego stycznia na dwudziestego piątego grudnia - opowiada - jest następujący: "Istniał wśród pogan zwyczaj święcenia tegoż samego dwudziestego piątego grudnia jako dnia narodzin słońca, kiedy to na znak święta palono światła. W tych uroczystościach i obrządkach brali również udział chrześcijanie. Gdy więc Doktorzy Kościoła stwierdzili, że chrześcijan pociąga ta uroczystość, narodził się i postanowili, by tego dnia obchodzone było prawdziwe Boże Narodzenie, a szóstego stycznia święto Trzech Króli. W związku z tym zachował się zwyczaj palenia świec aż do szóstego." Na pogańskie pochodzenie Bożego Narodzenia niedwuznacznie wskazuje, a nawet milcząco to przyznaje, Augustyn, gdy napomina swych braci chrześcijan, by nie obchodzili tego dnia jak poganie ku czci słońca, lecz ku czci tego, który słońce stworzył. W podobny sposób Leon Wielki potępiał zgubne wierzenie, że Boże Narodzenie obchodzone było uroczystością ze względu na narodziny nowego słońca, a nie z powodu narodzin Chrystusa.

Tak więc okazuje się, że Kościół chrześcijański obrał datę dwudziestego piątego grudnia dla obchodzenia urodzin swego Twórcy w celu odwrócenia nabożności pogan od słońca i przeniesienia jej na tego, który zwany był Słońcem Sprawiedliwości. Jeśli tak było istotnie, to całkiem możliwy staje się domysł, że podobnymi motywami kierowały się władze kościelne, dostosowując wielkanocne święto śmierci i zmartwychwstania Pana do uroczystości śmierci i zmartwychwstania innego azjatyckiego boga, która wypadła w tej samej porze roku. Obrządki wielkanocne przestrzegane nadal w Grecji, na Sycylii i w południowych Włoszech są pod pewnymi względami bardzo podobne do rytuału Adonisa i, jak już sugerowałem, Kościół, być może, świadomie dostosował nowe święto do pogańskiego poprzednika w celu zdobycia dusz dla Chrystusa. Nastąpiło to jednak raczej w greckiej aniżeli w łacińskiej części starożytnego świata, wydaje się bowiem, że kult Adonisa nie pozostawił głębszego śladu w Rzymie i na Zachodzie. Pewne jest, że kult ten nigdy nie wszedł w skład urzędowej religii rzymskiej. Miejsce, które mogłoby mu przypaść w uczuciach pospółstwa, zajęte już było przez podobny, chociaż bardziej barbarzyński kult Attisa i Wielkiej Matki. Otóż w Rzymie śmierć i zmartwychwstanie

Attisa obchodzono oficjalnie dwudziestego czwartego i dwudziestego piątego marca, ten ostatni zaś dzień uważano za wiosenne zrównanie i dlatego za najbardziej odpowiednią datę wskrzeszenia boga roślinności nieżyjącego czy też śpiącego przez całą zimę. Zgodnie jednak ze starożytną i rozpowszechnioną tradycją Chrystus cierpiał na krzyżu dwudziestego piątego marca i wobec tego niektórzy chrześcijanie obchodzili ukrzyżowanie tego właśnie dnia niezależnie od fazy księżyca. Zwyczaj ten był z pewnością przestrzegany we Frygii, Kapadocji oraz Galii i mamy podstawy przypuszczać, że przez pewien czas również w Rzymie. Tak więc tradycja głosząca, że śmierć Chrystusa nastąpiła dwudziestego piątego marca, była dawna i głęboko zakorzeniona. Jest to tym ciekawsze, że względy astronomiczne dowodzą, iż nie może ona mieć żadnych podstaw historycznych. Wpływa z tego, jak się zdaje, wniosek nieodparty, że męczeństwo Chrystusa zostało samowolnie odniesione do tej daty, by harmonizowało ze starszym świętem wiosennego zrównania. Tego zdania jest uczony historyk Kościoła monsignor Duchesne⁷³, wskazujący na to, że śmierć Zbawiciela przypadała dzięki temu na dzień uchodzący w powszechnym mniemaniu za dzień stworzenia świata. Ale "zmartwychwstanie Attisa łączącego w sobie postacie boskiego ojca i syna, było oficjalnie obchodzone w Rzymie tego samego dnia. Jeśli przypomnimy sobie, że dzień św. Jerzego w kwietniu zastąpił dawne pogańskie uroczystości Parilia, że dzień św. Jana Chrzciciela w czerwcu zajął miejsce pogańskiego święta letniego przesilenia i wody, że Wniebowzięcie w sierpniu wyrugowało święto Diany, że Dzień Zaduszny w listopadzie jest kontynuacją starego pogańskiego święta umarłych i że nawet narodziny Chrystusa wyznaczono na zimowe przesilenie, ponieważ przypadał wtedy dzień urodzin słońca, wówczas nie będzie bynajmniej przypuszczeniem pochopnym i nierozsądnym, jeśli założymy, że inne wielkie święto Kościoła chrześcijańskiego, Wielkanoc, mogło być w podobny sposób i z podobnych budujących przyczyn dostosowane do święta frygijskiego boga Attisa, które przypadało w dzień wiosennego zrównania.

Zbieżności świąt chrześcijańskich z pogańskimi są zbyt liczne i bliskie, by mogły być czystym przypadkiem. Świadczą one o kompromisie, na który Kościół musiał pójść w godzinie swego zwycięstwa wobec swych pokonanych, ale wciąż jeszcze niebezpiecznych rywali. Nieugięty protestantyzm prymitywnych misjonarzy, żarliwie potępiających pogaństwo, został zastąpiony giętką polityką, wygodną tolerancją, wyrozumiałością mądrych władz kościelnych pojmujących, że chrześcijaństwo może podbić świat jedynie rozluźniając zbyt sztywne zasady swego Twórcy, rozszerzając troszeczkę wąską furtkę prowadzącą do zbawienia.

⁷³ Louis-Marie Olivier D u c h e s n e (1843-1922) - prałat francuski, archeolog. Napisał m. in. *Origines de culte chrétien, Histoire ancienne de L'Eglise*.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

MIT O OZYRYSIE

W starożytnym Egipcie bogiem, którego śmierć oplakiwano, a zmartwychwstanie obchodzono radośnie co roku, był Ozyrys, najpopularniejsze ze wszystkich bóstw egipskiego panteonu. Istnieją poważne względy pozwalające zaklasyfikować go w jednym z jego wcieleń jako uosobienie wielkich dorocznych przemian przyrody, a szczególnie uosobienie zboża obok Attisa i Adonisa. Jednakże niezwykła popularność, jaką przez stulecia się cieszył, skłoniła jego wyznawców do obdarzania go atrybutami i siłami wielu innych bogów, wobec czego nie zawsze jest rzeczą łatwą zdjęcie z niego pożyczonych, że się tak wyrazimy, piórek i zwrócenie ich prawowitym właścicielom.

Jedynie Plutarch opowiedział w składnej formie całą historię Ozyrysa, a jego opowieść znalazła w naszych czasach potwierdzenie w zabytkach historycznych.

Ozyrys był owocem miłości boga ziemi Seba (Keba lub Gęba, jak niekiedy imię jego bywa transliterowane) i bogini nieba Nut. Grecy identyfikowali jego rodziców ze swoimi bogami Kronosem i Reą. Gdy bóg słońca Ra dowiedział się, że żona go zdradziła, rzucił na nią klątwę, że powije dziecko wtedy, gdy nie będzie żadnego roku i żadnego miesiąca. Ale bogini miała jeszcze jednego kochanka, boga Thota, czyli greckiego Hermesa, który grając w warcaby z księżycem wygrał od niego jedną siedemdziesiątą drugą każdego dnia i ułożywszy z tych cząstek pełne pięć dni dodał je do egipskiego kalendarza liczącego trzysta sześćdziesiąt dni. Taki był mityczny początek pięciu dodatkowych dni, które Egipcjanie dodawali na końcu każdego roku, by wprowadzić harmonię między rokiem słonecznym a księżycowym. Przekleństwo boga słońca nie odnosiło się do tych pięciu dni znajdujących się poza rokiem dwunastomiesięcznym i wobec tego w pierwszym z tych dni urodził się Ozyrys. Gdy przychodził na świat, rozległ się głos, który obwieścił, że narodził się Pan Wszelkiego Stworzenia. Niektórzy twierdzą, że niejaki Pamyless usłyszał głos ze świątyni w Tebach nakazujący mu oznajmić krzykiem, że narodził się wielki król, dobroczynny Ozyrys. Ale Ozyrys nie był jedynym dzieckiem swej matki. Następnego dodatkowego dnia urodziła ona starszego Horsa, trzeciego dnia - boga Seta, którego Grecy zwali Tyfonem, czwartego Izydę, a piątego boginię Neftis. Set poślubił następnie swą siostrę Neftis, a Ozyrys Izydę.

W okresie swego ziemskiego panowania wyprowadził Ozyrys Egipcjan z barbarzyństwa, nadał im prawa i nauczył czcić bogów. Do jego czasów Egipcjanie byli kanibalami. Ale Izyda, siostra i żona Ozyrysa, odkryła dziko rosnące pszenicę i jęczmień, a Ozyrys wprowadził uprawę tych roślin i odtąd Egipcjanie porzucili kanibalizm i zaczęli grzecznie odżywiać się zbożem. Ozyrys ponadto miał być pierwszym, który zbierał owoce z drzew, nauczył ludzi podwiązywać do tyk winną latorośl i wyciskać moszcz winny. Pragnąc udostępnić całej ludzkości korzyści ze swych odkryć wyruszył Ozyrys w podróż po świecie upowszechniając błogosławieństwa cywilizacji i rolnictwa, a rządy Egiptem powierzył na ten czas swej żonie, Izydzie. W krajach, gdzie surowy klimat lub zła gleba nie pozwalały na kultywowanie

winnej latorośli, uczył ludzi nie znających wina pocieszać się warzeniem piwa z jęczmienia. Powrócił do Egiptu obładowany bogactwami, którymi obsypały go wdzięczne narody, a za dobrodziejstwa wyrządzone ludzkości jednomyślnie został ogłoszony bóstwem i czczony jako takie. Ale brat jego Set - którego Grecy zwali Tyfonem - wraz z siedemdziesięcioma dwoma innymi spiskował przeciw niemu. Ukradkiem wziął miarę ze swego brata i sporządził bogato ozdobioną skrzynię tych rozmiarów. Razu pewnego, gdy wszyscy popijali i weselili się, zły brat Tyfon kazał przynieść skrzynię i żartem obiecał, że ofiaruje ją temu, którego rozmiary będą dokładnie pasowały do rozmiarów kufra. Wszyscy po kolei próbowali, ale skrzynia nie pasowała do nikogo. Wreszcie wszedł do niej Ozyrys i położył się, a wtedy nadbiegli spiskowcy i zamknęli wieko, przybili je mocno, zanitowali roztopionym ołowiem i wrzucili do Nilu. Stało się to wszystko siedemnastego dnia miesiąca Athyr, gdy słońce stoi w znaku Skorpiona, w dwudziestym ósmym roku życia względnie panowania Ozyrysa. Gdy Izyda o tym usłyszała, odcięła pukiel swych włosów, włożyła żałobne szaty i chodziła wzdłuż Nilu szukając ciała.

Za poradą boga mądrości schroniła się w papirusowych bagnach Deltę. Siedem skorpionów towarzyszyło jej w ucieczce. Jednego wieczoru, gdy już była zmęczona, znalazła się przed domem pewnej kobiety, która, przestraszona widokiem skorpionów, zatrzasnęła jej drzwi przed nosem. Wtedy jeden ze skorpionów przelazł pod drzwiami i ukłuł dziecko tej kobiety tak, że umarło. Gdy Izyda usłyszała lament matki, serce jej wzruszyło się, położyła swe ręce na dziecku i wypowiedziała potężne zaklęcia, a wówczas trucizna opuściła dziecko, które powróciło do życia. Następnie, Izyda urodziła syna na bagnach. Poczęła go krążąc jako jastrząb nad ciałem swego zmarłego męża. Dzieckiem tym był młodszy

Horus, w dzieciństwie noszący imię Harpokrates, czyli dziecko-Horus. Ukryła go przed gniewem zbrodniczego wuja Seta bogini północy Buto. Nie zdołała go jednak ustrzec przed wszystkimi nieszczęściami i gdy pewnego razu Izyda przybyła do kryjówki swego syna, zastała go rozciągniętego na ziemi, sztywnego i bez życia. Dziecko ukłuł skorpion. Izyda pomodliła się wówczas o pomoc do boga słońca, Ra. Bóg jej wysłuchał, zatrzymał swą łódź na niebie i posłał Thota, by nauczył Izydę zaklęcia, które pozwoli jej przywrócić życie synowi. Gdy wypowiedziała to potężne słowo, trucizna natychmiast opuściła ciało Horusa, powietrze weń weszło i syn ożył, po czym Thot wrócił na niebo, zajął swe miejsce w łodzi słońca i barwna procesja radośnie ruszyła dalej.

A tymczasem skrzynia z ciałem Ozyrysa popłynęła w dół rzeki, znalazła się w morzu i osiadła na mieliźnie w Byblus na syryjskim brzegu. Wyrósł tu nagle piękny drzewiasty wrzosiec, który wchłonął skrzynię w swój pień. Król tamtejszy zachwycił się drzewem, kazał je ściąć i umieścić jako kolumnę w swym domu. Nie wiedział, że w środku drzewa znajduje się skrzynia z ciałem Ozyrysa. Gdy wieść o tym dotarła do Izydy, wybrała się do Byblus i tam usiadła przy studni, w ubogim stroju, z twarzą zroszoną łzami. Nie chciała z nikim rozmawiać, dopóki nie przyszły dworki króla. Powitała je uprzejmie, pięknie spleciała im warkocze i tchnęła na nie cudowną wonią własnego boskiego ciała. Gdy królowa zobaczyła pięknie splecione warkocze dworek i poczuła piękny zapach, posłała po obcą kobietę i uczyniła ją

niańką swego dziecka. Izis zamiast piersi dawała dziecku swe palce do ssania, a w nocy zaczęła je opalać w ogniu, by usunąć zeń wszystko, co w nim było śmiertelne, sama zaś tymczasem, przemieniona w jaskółkę, latała wokół kolumny zawierającej zmarłego brata i żałośnie świergotała. Królowa podpatrzyła ją i krzyknęła zobaczywszy dziecko swe w ogniu, przerywając tym samym czary, które miały dziecko uczynić nieśmiertelnym. Bogini wyjawiała wówczas, kim jest, i poprosiła o kolumnę, a gdy ją otrzymała, pocięła pień, wyjęła skrzynię, padła na nią, objęła ją i lamentowała tak głośno, że jedno z dzieci królowej umarło ze strachu. Pień drzewa owinięty w cienkie płótno i namaszczony olejkami ofiarowała parze królewskiej. Ustawiono to drzewo w świątyni Izydy, gdzie po dziś dzień jest czczone przez mieszkańców Byblus. Izyda zaś włożyła skrzynię do łodzi, zabrała z sobą najstarsze dziecko pary królewskiej i wypłynęła na morze. Gdy byli już sami, otworzyła skrzynię i kładąc swą twarz na twarzy brata całowała go i płakała. Dziecko podeszło z tyłu, by zobaczyć, co ona robi, Izyda jednak odwróciła głowę i spojrzała na dziecko z taką wściekłością, że nie mogło znieść jej spojrzenia, zmarło; inni twierdzą, że wypadło ono z łodzi i utonęło. To dziecko właśnie opiewają Egipcjanie na swych ucztach pod imieniem Manerosa.

Izyda ukryła skrzynię i pojechała odwiedzić swego syna Horusa w mieście Buttos, a Tyfon polując na dzika pewnej nocy przy pełni księżyca odnalazł skrzynię. Poznał zwłoki, pociął je na czternaście kawałków i rozrzucił wokół. Jednak Izyda w szalupie z papyrusa wypłynęła na bagna i opłynęła je poszukując rozrzuconych części ciała brata. Dlatego krokodyle nie wyrządzają krzywdy ludziom płynącym w szalupach z papyrusa; obawiają się bowiem bogini i szanują ją. I dlatego też jest tyle grobów Ozyrysa, Izyda pochowała bowiem każdy kawałek ciała w innym miejscu. Inni natomiast twierdzą, że w każdym mieście pochowała wizerunek Ozyrysa pod pozorem, że to jego ciało, po to, by mógł być czczony w wielu miejscach i żeby Tyfon nie mógł znaleźć jego prawdziwego grobu. Genitalia jednak zostały zjedzone przez ryby, wobec czego Izyda sporządziła ich wizerunek i po dziś dzień Egipcjanie używają tych wizerunków podczas swoich świąt. "Izyda - pisze historyk Diodorus Siculus - odszukała wszystkie części ciała z wyjątkiem genitalii, a ponieważ pragnęła, by grób jej małżonka pozostał nieznan, ale by był czczony przez wszystkich mieszkających w Egipcie, uciekła się do następującego wybiegu. Z wosku i wonnych korzeni ulepiła ludzkie wizerunki odpowiadające figurze Ozyrysa wokół każdej części jego ciała. Wezwała następnie kapłanów według rodów i kazała im przysiąc, że nikomu nie ujawnią tajemnicy, którą im powierzy. Każdemu z nich z osobna powiedziała, że tylko jemu wyłącznie powierza pochowanie zwłok, i przypomniawszy im łaski, jakich doznali, napomniwała, by pochowali Ozyrysa w swym kraju i czcili go jako boga. Nakazała im również, by wybrali jedno ze zwierząt swego kraju, jakie im się spodoba, i czcili je tak, jak czcili Ozyrysa, a po śmierci pochowali podobnie jak jego. Pragnąc zaś, by w swym własnym interesie oddawali ową cześć, przyznała im jedną trzecią ziemi do ich użytku w służbie bogów. Zgodnie z tym kapłani, pamiętając o łaskach udzielonych przez Ozyrysa, pragnąc zadośćuczynić woli królowej, a także skuszeni perspektywą zysku, wypełnili wszystkie nakazy Izydy. Toteż po dziś dzień kapłani wyobrażają sobie, że Ozyrys pochowany jest w ich

kraju, czczą zwierzęta, które mu niegdyś poświęcili, i gdy one umierają, chowając je odnawiają żalobę po Ozyrysie. Święte byki, jeden zwany Apisem, drugi zaś Mnewisem, poświęcone Ozyrysowi, czczone były przez wszystkich Egipcjan, ponieważ one to przede wszystkim pomogły odkrywcy zboża siał i korzystać z wszystkich błogosławieństw rolnictwa."

Tak oto przedstawia się mit i legenda o Ozyrysie w postaci, w jakiej przekazali nam ją greccy pisarze, i uzupełniona bardziej lub mniej fragmentarycznymi napisami czy wzmiankami w literaturze egipskiej. W długim napisie na świątyni w Dendera zachował się spis grobów boga, a inne teksty wymieniają części jego ciała, które przechowywane były jako relikwie w poszczególnych świątyniach.

Według lokalnych relacji egipskich uzupełniających Plutarcha Izyda po odnalezieniu zwłok swego męża, usiadła nad nimi wraz ze swą siostrą Neftis. Obie boginie lamentowały, a był to lament, który w następnych stuleciach stał się wzorem oplakiwania zmarłych przez Egipcjan. "Przyjdź do swego domu - zawodziły. - Przyjdź do swego domu. O boże On! Przyjdź do swego domu, ty, który nie masz wrogów. O piękny młodzieńcze, przyjdź do swego domu, abys mógł mnie ujrzeć. Jestem twą siostrą, którą ukochałeś. Nie opuszczaj mnie. O piękny chłopcze, przyjdź do swego domu... Nie widzę ciebie, a serce moje tęskni za tobą, oczy moje pożądają ciebie. Przyjdź do tej, która cię kocha, do tej, która cię kocha, o Unnefer błogosławiony! Przyjdź do twej siostry, przyjdź do twej żony, do twej żony, ty, którego serce bić przestało. Przyjdź do pani twego domu. Jestem twoją siostrą, z tej samej matki, nie odchodź ode mnie daleko. Bogowie i ludzie spoglądają ku tobie i razem ciebie oplakują. Wzywam cię i płaczę, by płacz mój usłyszały niebiosy, ale ty nie słyszysz głosu mego, a przecież jestem twą siostrą, którą ukochałeś na ziemi, nie kochałeś żadnej poza mną, mój bracie, mój bracie!" Ten lament nad pięknym młodzieńcem, skoszonym w kwiecie wieku, przypomina oplakiwanie Adonisa. Tytuł "Unnefer", czyli "Dobra Istota", świadczy o dobroczynności przypisywanej powszechnie Ozyrysowi przez tradycję; był to jego tytuł najpospolitszy, a równocześnie jeden z jego tytułów królewskich.

Siostry nie płakały na próżno. Bóg Ra, przejęty ich rozpaczą, zesał z nieba Anubisa, boga z głową szakala, który z pomocą Izydy i Neftis, Thota i Horusa złożył z powrotem poszarpane ciało zamordowanego boga, spowił je w lniane bandaże i dokonał wszystkich obrządków, które Egipcjanie odprawiają nad zwłokami swych zmarłych. Wówczas Izyda zaczęła zimną glinę wachlować swymi skrzydłami, Ozyrys powrócił do życia i odtąd panował jako władca umarłych na drugim świecie. Nosił tam tytuły Pana Podziemi, Pana Wieczności, Władcy Umarłych. Tu również w wielkiej Sali Dwóch Prawd, wspomagany przez czterdziestu dwóch ławników - po jednym z każdego głównego okręgu Egiptu - sądził dusze zmarłych spowiadające się przed nim uroczyście, a gdy zważono ich serca na wadze sprawiedliwości, otrzymywali nagrodę za swe cnoty w postaci życia wiecznego lub odpowiednią karę za grzechy.

Zmartwychwstanie Ozyrysa było dla Egipcjan zapowiedzią wiecznego życia poza grobem. Wierzyli, że każdy człowiek może żyć wiecznie na drugim świecie, jeśli pozostali przy życiu przyjaciele zrobią z

jego ciałem to samo, co bogowie zrobili z ciałem Ozyrysa. Tak więc obrządki nad zmarłymi Egipcjanami były dokładnymi kopiami tych obrządków, których dokonali Anubis, Horus i reszta nad zmarłym bogiem.

W ten sposób każdy zmarły Egipcjanin był identyfikowany z Ozyrysem i nosił jego imię. Począwszy od Średniego Państwa do zmarłych zwracano się zawsze: "Ozyrysie Taki-to-a-taki", jak gdyby był samym bogiem, przy czym dodawano stały epitet "Prawdomówny", ponieważ prawdomówność była cechą charakterystyczną Ozyrysa. W dolinie Nilu otwarto tysiące grobów z napisami i płaskorzeźbami dowodzącymi, że misterium zmartwychwstania odgrywane było dla każdego Egipcjanina. Podobnie jak Ozyrys umarł i powstał z martwych, tak też wszyscy ludzie mieli nadzieję, że i oni powstaną z grobów do życia wiecznego.

Zgodnie więc z tym, co wygląda na powszechnie obowiązującą tradycję miejscową Ozyrys był dobrym i ukochanym królem Egiptu, który zginął śmiercią gwałtowną, ale powrócił do życia i odtąd był czczony jako bóstwo. Zgodnie z tą tradycją rzeźbiarze i malarze przedstawiali go w ludzkiej i królewskiej postaci zmarłego króla spowitego w bandaże mumii, ale mającego na głowie królewską koronę i w lewej, nie zabandażowanej ręce dzierżącego berło królewskie. Z mitem jego czy też wspomnieniami o nim związane są głównie dwa miasta. Jednym z nich było Busiris w Dolnym Egipcie, utrzymujące, że posiada jego kręgosłup, drugim Abydos w Górnym Egipcie, chwalcące się posiadaniem jego głowy. Abydos, zapoznana niegdyś miejscowość, otoczona nimbem zmarłego, a jednak żyjącego boga, stała się pod koniec Starego Państwa najświętszym miejscem w Egipcie. Wygląda na to, że grób Ozyrysa był dla Egipcjan tym samym co kościół Grobu Świętego w Jerozolimie dla chrześcijan. Życzeniem każdego pobożnego człowieka było spocząć po śmierci w poświęconej ziemi w pobliżu grobu Ozyrysa. Niewielu było dosyć bogatych, by pozwolić sobie na ten bezcenny przywilej. Niezależnie bowiem od kosztu grobu w świętym mieście sam transport mumii przy tak wielkich odległościach był uciążliwy i kosztowny. Wielu jednak tak bardzo pragnęło wchłonąć po śmierci błogosławieństwa promieniujące z świętego grobu, że nakazywali swym przyjaciółom przewieźć ich szczątki doczesne do Abydos, by tam przez krótki czas poleżały, a następnie wróciły rzeką i pochowane zostały w grobach przygotowanych we własnym kraju. Inni stawiali cenotafy lub wmurowywali tablice pamiątkowe w pobliżu grobu zmarłego i zmartwychwstałego boga, by móc dzielić z nim radość powrotu do życia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

RYTUAŁ OZYRYSA

Kluczem do zrozumienia pierwotnej natury bogów i bogiń bywa często pora roku, w której przypada ich święto. Jeśli jest to okres nowiu lub pełni, wówczas istnieją podstawy, by przypuszczać, że bóstwo jest księżycem lub co najmniej ma jakieś z księżycem powiązania. Jeśli święto odbywa się w czasie letniego lub zimowego przesilenia, wówczas oczywiście zakładamy, że bóg jest słońcem lub przynajmniej bliskim krewnym tej planety. Gdy natomiast święto zbiega się z siewem lub żniwami, skłonni jesteśmy uważać, że bóstwo jest wcieleniem ziemi lub zboża. Te przypuszczenia i wnioski same przez się nie wystarczają, ale jeśli tak się zdarzy, że potwierdzą je inne okoliczności, wówczas wolno nam uważać, że stanowią one dostatecznie umotywowane dowody.

Brak nam niestety tego klucza w przypadku bóstw egipskich. Znamy co prawda terminy wszystkich dni świątecznych, ale co roku zmieniały się one przesuwając się wkoło poprzez wszystkie pory roku. Stopniowe przesuwanie się egipskiego cyklu świątecznego wynikało z posługiwania się kalendarzem, który nie był dokładnym odpowiednikiem roku słonecznego i nie był też okresowo poprawiany przez wstawki kalendarzowe.

W starożytnym Egipcie chłop, nie mogąc liczyć na pomoc kalendarza oficjalnego względnie kapłańskiego, musiał na własną rękę obserwować te znaki w przyrodzie, które określały porę rozmaitych prac polowych. Od najdawniejszych czasów, od kiedy tylko posiadamy o nich jakiekolwiek wiadomości, Egipcjanie byli ludem rolniczym, utrzymującym się z uprawy zboża. Uprawiali pszenicę, jęczmień i prawdopodobnie *sorgo* (*Holcus sorghum*, Linneusz), *dura* w języku współczesnych fellachów. Wówczas, jak i teraz, prawie cały kraj z wyjątkiem wąskiego pasma wybrzeża Morza Śródziemnego pozbawiony był deszczu i swą niezwykłą żyzność zawdzięczał dorocznym wylewom Nilu. Rok po roku glebę odświeżała nowa warstwa mułu, zmywanego z wielkich jezior równinowych i gór Abisynii i rozprowadzanego po kraju za pomocą skomplikowanego systemu kanałów i zapór, toteż mieszkańcy kraju zawsze z wielkim niepokojem wypatrywali wzbierania rzeki. Zarówno bowiem zbyt wysoki, jak i zbyt niski poziom wód Nilu oznaczał dla Egiptu nieuchronny nieurodzaj i głód. Wody zaczynają wzbierać na początku czerwca, ale dopiero w drugiej połowie lipca Nil staje się potężną rzeką. Pod koniec września poziom wód osiąga szczytową wysokość. Cały kraj jest wówczas tak zalany, że wygląda jak morze mętnej wody, z którego wyłaniają się wyspy miast i wiosek na wzniesieniach. Przez cały prawie miesiąc poziom wód się nie zmienia, potem opada coraz gwałtowniej, aż wreszcie w grudniu lub styczniu rzeka powraca do swego normalnego łożyska. Na początku czerwca Nil ma zaledwie połowę swej szerokości. Egipt, spalony słońcem, wymieciony wiatrami, które przez wiele dni pod rząd wiały z Sahary, wydaje się jedynie przedłużeniem pustyni. Drzewa duszą się pod grubą warstwą szarego pyłu. Kilka nędznych pól z warzywami, nawadnianych z największym wysiłkiem, walczy o byt w pobliżu wiosek. Jakieś pozory zieleni przetrwały na skraju kanałów i w

zagłębieniach, z których wilgoć nie wyparowała jeszcze całkowicie. Jak okiem sięgnąć, praży się w bezlitosnym słońcu równina goła, zakurzona, popielata, popękana i pomarszczona. Od początku kwietnia do połowy czerwca na wód żywy Egipt czeka na nowy Nil.

Od niepamiętnych czasów ten cykl zjawisk przyrody decydował o podziale pracy rolnika egipskiego. Rok rolniczy zaczynał się od cięcia darni powstrzymującej nabrzmiałą rzekę od wdarcia się do kanałów i na pola. Po przecięciu darni w pierwszej połowie sierpnia życiodajna woda wdiera się na pola. W listopadzie, gdy wody trochę opadną, sieje się pszenicę, jęczmień i *sorgo*. Pora żniw różna jest w każdej okolicy, na północy jednak przypada o miesiąc później aniżeli na południu. W Egipcie południowym, czyli Górnym, jęczmień zbiera się w marcu, pszenicę na początku kwietnia, a *sorgo* w końcu tegoż miesiąca.

Nasuwa się oczywiście przypuszczenie, że te różnorodne wydarzenia roku rolniczego chłop egipski czcił pewnymi prostymi religijnymi obrządkami, by ściągnąć błogosławieństwo boże na swe prace. Tego rodzaju wiejskie uroczystości musiały się odbywać co roku o tej samej porze, natomiast uroczyste święta kapłanów nadal zmieniały się wraz z ruchomym kalendarzem, przesuając się z lata na wiosnę i dalej ruchem wstecznym z jesieni na lato. Obrządki rolników były stałe, ponieważ opierały się na obserwacji przyrody, święta kapłanów były ruchome, ponieważ podstawą ich były fałszywe obliczenia. Mimo to wiele świąt kapłańskich nie było zapewne niczym innym jak starymi wiejskimi uroczystościami, ukrytymi w ciągu stuleci pod kapłańską pompą i oderwanymi na skutek błędu w kalendarzu od swych korzeni, tkwiących w naturalnym biegu pór roku.

Domysły nasze potwierdzają te nieliczne wiadomości, jakie posiadamy o religii ludowej i religii urzędowej Egiptu. Wiemy na przykład, że Egipcjanie obchodzili święto Izydy w porze wzbierania Nilu. Uważali, że bogini w tym czasie oplakuje utraconego Ozyrysa i od łez spływających z jej oczu wzbiera burzliwa fala rzeki. Skoro więc Ozyrys był bogiem zboża, jest rzeczą zupełnie naturalną, że oplakiwano go w połowie lata, po żniwach, gdy pola są nagie, poziom rzeki niski, życie jak gdyby trwało w zawieszeniu, a bóg zboża nie żyje. W takich chwilach lud dopatrujący się we wszystkich poczynaniach przyrody dzieła rąk boskich mógł przypisywać wzbieranie świętej rzeki łzom przelanym przez boginię z powodu śmierci męża, dobroczynnego boga zboża.

Wzbierającym wodom rzeki na ziemi towarzyszył znak na niebie. Albowiem we wczesnym okresie historii Egiptu, na jakieś trzy lub cztery tysiące lat przed naszą erą, wspaniała gwiazda Syriusz, najjaśniejsza z wszystkich gwiazd stałych, ukazywała się na wschodzie tuż przed świtem w okresie letniego przesilenia, gdy Nil zaczyna wzbierać. Egipcjanie zwali ją Sotis i uważali za gwiazdę Izydy, podobnie jak Babilończycy mianowali Wenus gwiazdą Astarte. Oba ludy uważały jasno świecąca gwiazdę na porannym niebie za boginię życia i miłości, która pojawia się, by oplakiwać swego zmarłego kochanka czy męża i przywrócić go do życia. Dlatego też pojawienie się Syriusza zapoczątkowywało egipski rok święty i było zawsze obchodzone jako święto stałe w ruchomym kalendarzu.

Przecięcie zapór i wpuszczenie wody do kanałów i na pola było wielkim wydarzeniem w roku egipskim. W Kairze odbywa się to zazwyczaj między szóstym a szesnastym sierpnia i do niedawna towarzyszyły temu wydarzeniu obchody, na które warto zwrócić uwagę, ponieważ prawdopodobnie są starożytnego pochodzenia. Przez tubylcze dzielnice Kairu przepływał dawniej stary kanał zwany Khalij. W miejscu, gdzie kanał wchodził do miasta, znajdowała się tama z ziemi, bardzo szeroka u spodu i zwężająca się ku szczytowi, którą zazwyczaj budowano wkrótce po rozpoczęciu się wzbierania Nilu. W pobliżu tamy, od strony rzeki, wznoszono ścięty stożek z ziemi zwany *aruseh* lub "narzeczoną", na szczycie którego zasiewano trochę kukurydzy lub prosa. "Narzeczoną" zmywała zazwyczaj wzbierająca fala na tydzień przed otwarciem tamy. Legenda głosiła, że w dawnych czasach istniał zwyczaj zrzucania z tego stożka do rzeki młodej dziewczicy w bogatym stroju, by uzyskać obfity napływ wody. Nie wiemy, jak było w rzeczywistości, ale intencją tego zwyczaju było zapewne zaślubienie rzeki, uważanej za element męski, z narzeczoną - łanem zboża, który wkrótce miał być użyźniony wodami rzeki. Były to więc czary mające zapewnić dojrzewanie zbóż. W nowszych czasach wrzucano do wody monety, a ludność miejscowa skakała do wody i wyławiała je. Musiał to również być dawny zwyczaj, ponieważ Seneka opowiada o miejscowości zwanej Żyłami Nilu, niedaleko od Philae, gdzie kapłani rzucali pieniądze i ofiary ze złota do rzeki podczas święta obchodzonego widocznie w czasie wzbierania wód.

Następnym wielkim przedsięwzięciem roku rolniczego w Egipcie jest siew w listopadzie, gdy wody już ustąpiły z pól. Podobnie jak u wielu ludów starożytnych, u Egipcjan sianie ziarna było obrzędem uroczystym i smutnym. Oddam w tej sprawie głos Plutarchowi. "Jak mamy wytłumaczyć - pyta on - owe ponure, wyzute z radości, żałobne ofiary, jeśli rzeczą niesłuszną byłoby pominąć ustalone obrządki względnie zakłócić bezsensownymi podejrzeniami nasze rozumienie bogów? Albowiem Grecy również mają wiele obrządków podobnych do tych, których o tej samej porze przestrzegają Egipcjanie. Tak więc podczas Tesmoforii w Atenach kobiety siedzą na ziemi i zachowują post. A mieszkańcy Beocji otwierają piwnice. Żałobnicy mianując to święto żałobnym, ponieważ Demeter opłakuje wtedy zejście do podziemi Dziewicy. Jest to miesiąc siewu i stoi w znaku Plejad. Egipcjanie nazywają go Athyr, Ateńczycy Pianepsjon, a w Beocji nosi on miano miesiąca Demeter [...] Jest to bowiem ta pora roku, gdy widzą, jak niektóre owoce znikają i spadają z drzew, podczas gdy oni z trudem i niechętnie sieją inne, rozdrapując rękami ziemię i zgarniając ją z powrotem, przy bardzo niepewnej szansie, że to, co złożyli w ziemi, kiedykolwiek dojrzeje. Czynie to więc pod wieloma względami jak ci, którzy grzebią i opłakują zmarłych."

Żniwa egipskie, jak już wiemy, wypadają nie na jesieni, lecz na wiosnę, w marcu, kwietniu i maju. Dla rolnika pora żniw, przynajmniej wtedy gdy są udane, jest okresem radości. Kiedy zwiezie snopy, wynagradza mu to długą i uciążliwą pracę. Jeśli jednak starożytny chłop egipski czuł tajemną radość zbierając i uprzążając zboże, musiał te naturalne uczucia ukrywać pod maską głębokiego smutku. Ranił przecież swym sierpem ciało boga zboża i trutował je pod kopytami swych zwierząt domowych na klepisku. Potwierdza nasz domysł stary obyczaj żniwiarzy egipskich, którzy bili się w piersi i lamentowali ścinając pierwsze kłosy, a równocześnie wzywali lzydę. Inwokacje te miały, jak się zdaje, formę

żałobnej pieśni, którą Grecy nazwali *maneros*. Podobne smutne melodie śpiewali żniwiarze w Fenicji i innych krajach Azji Zachodniej. Były to prawdopodobnie pieśni oplakujące boga zboża zabijanego sierpami żniwiarzy. W Egipcie zabijanym bóstwem był Ozyrys, a nadana pieśni nazwa *maneros* pochodzi przypuszczalnie od pewnych słów oznaczających: "Przyjdź do swego domu", często powtarzających się w lamentach po zmarłym bogu.

Podobny rytuał, przypuszczalnie w tym samym celu, posiadały również inne ludy. Dowiadujemy się na przykład, że w gospodarce Indian Czirokezów i w ich ceremoniach obrzędowych pierwsze miejsce wśród roślin zajmuje zboże, przez co prawdopodobnie należy rozumieć kukurydzę, którą nazywają "Starą Kobieta". Jest to nawiązanie do starożytnego mitu głoszącego, że kukurydza wyrosła z krwi starej kobiety zamordowanej przez swych krnąbrnych synów. Po zakończeniu żniw kapłan z pomocnikiem udawali się na pola i tam śpiewali pieśni wzywając ducha zboża. Rozlegał się potem głośny szelest oznaczający, że Stara Kobieta przynosi zboże na pole. Od pola do domu prowadziła czysto wymieciona ścieżka, "tak żeby zboże chciało zostać w domu i nie powędrowało gdzieś indziej". "Inna dziwaczna ceremonia, o której nawet nie zachowało się wspomnienie, odbywała się na początku żniw, kiedy to właściciel ziemi lub kapłan obchodzili kolejno wszystkie cztery rogi pola płacząc głośno i zawodząc. Nawet kapłani nie potrafili już wytłumaczyć znaczenia tego obrządku, który, być może, był lamentem nad krwawą śmiercią Selu", Starej Kobiety Zboża.

Duch zboża jako osoba stara i umierająca podczas żniw Występuje wyraźnie w obyczaju przestrzegany przez Arabów moabickich. Gdy żniwiarze kończą pracę i pozostał jeszcze mały skrawek pola nie żęty, właściciel bierze garść pszenicy związanej w snop. Kopie się jamę w kształcie grobu i ustawia nad nią dwa kamienie, jeden u głowy, drugi u stóp, jak na prawdziwym pogrzebie. Na dno grobu kładzie się snop pszenicy, a szejik wypowiada słowa: "Stary człowiek nie żyje." Przy akompaniamencie modlitwy: "Oby Allah przywrócił nam do życia pszenicę", zasypuje się ziemią snop zboża.

Tak oto przedstawiały się główne daty kalendarza rolnika w starożytnym Egipcie i takie oto były proste obrządki religijne tam odprawiane. Ale musimy jeszcze zająć się świętami Ozyrysa w kalendarzu urzędowym, opisanymi przez greckich autorów i przekazanymi przez zabytki. Badając je należy pamiętać, że w związku z ruchomym rokiem starego kalendarza egipskiego prawdziwe względnie astronomiczne daty świąt urzędowych zmieniały się co roku, w każdym razie do chwili przyjęcia stałego roku aleksandryjskiego w r. 30 przed Chr.⁷⁴ Odtąd, jak się zdaje, daty świąt zostały w nowym kalendarzu ustalone i przestały krążyć po całym roku słonecznym. W każdym razie Plutarch, piszący pod koniec pierwszego wieku, sugeruje, że podówczas były już stałe, i chociaż nie wspomina aleksandryjskiego kalendarza, niewątpliwie według niego datuje święta. Ponadto długi świąteczny kalendarz Esne, ważny dokument epoki Cesarstwa, z całą pewnością opiera się na stałym roku aleksandryjskim, wyznacza

bowiem Nowy Rok na dzień dwudziestego dziewiątego sierpnia, a więc pierwszy dzień aleksandryjskiego roku, a zawarte w nim wzmianki o wezbraniu Nilu, pozycji słońca i pracach polowych potwierdzają to przypuszczenie. Możemy więc uważać niemal za pewne, że od 30 r. przed Chr. święta egipskie były stałe w roku słonecznym.

Herodot opowiada, że grób Ozyrysa był w Sais, w Dolnym Egipcie, i że znajdowało się tam jezioro, na środku którego odgrywano w nocy misterium pasji boga. Odbywało się to raz do roku. Ludzie opłakiwali boga i bili się w piersi, a złożony wizerunek krowy ze złotym słońcem umieszczonym między rogami wnoszono z pomieszczenia, w którym znajdował się przez cały rok. Krowa niewątpliwie przedstawiała samą lzydę, ponieważ była zwierzęciem jej poświęconym, boginię zaś ukazywano z reguły z krowimi rogami na głowie, a nawet jako kobietę z głową krowy. Być może, wnoszenie wizerunku krowy symbolizowało boginię poszukującą zwłok Ozyrysa, tak bowiem tubylcy tłumaczyli podobną ceremonię, zaobserwowaną w czasach Plutarcha w okresie przesilenia zimowego, kiedy to złożona krowa obnoszona była siedmiokrotnie wokół świątyni. Ważnym elementem tego święta była iluminacja. Ludzie zawieszali przed swymi domami girlandy lampek oliwnych, które płonęły przez całą noc. Zwyczaj ten nie ograniczał się do Sais, lecz był przestrzegany w całym Egipcie.

Powszechna iluminacja domów w określonej noc roku nasuwa przypuszczenie, że święto było nie tylko uczczeniem zmarłego Ozyrysa, ale wszystkich zmarłych w ogóle, innymi słowy, że była to noc zaduszna. Rozpowszechnione jest bowiem wierzenie, że raz do roku dusze zmarłych odwiedzają nocą swe dawne domy. W związku z tą uroczystą okazją ludzie przygotowują się na przyjęcie duchów wykładając dla nich jedzenie i zapalając lampy, by oświetlić im w ciemności drogę od grobu i z powrotem. Herodot podając krótki opis tego święta nie wspomina daty, ale można ją z pewnym prawdopodobieństwem ustalić na podstawie innych źródeł. Opowiada więc Plutarch, że Ozyrys został zamordowany dnia siedemnastego miesiąca Athyr i że w związku z tym Egipcjanie obchodzili żałobne święta przez cztery dni począwszy od siedemnastego Athyr. W kalendarzu aleksandryjskim, którym posługiwał się Plutarch, te cztery dni odpowiadają trzynastemu, czternastemu, piętnastemu i szesnastemu listopada, ta zaś data odpowiada ściśle innym informacjom znajdującym się u Plutarcha, o tym, że w czasie święta wody w Nilu opadały, wiatr północny zamierał, noce stawały się dłuższe i liście opadały z drzew. Przez te cztery dni złożona krowa okryta czarnym całunem wystawiana była jako wizerunek lzydy. Była to niewątpliwie ta sama figura, o której wspomina Herodot w związku z tym świętem. Dziewiętnastego dnia miesiąca ludzie szli nad morze, kapłani zaś nieśli feretron, w którym znajdowała się złota szkatułka. Do szkatułki wlewano świeżą wodę, po czym przypatrujący się ludzie głośno wznosili okrzyk, że Ozyrys został odnaleziony. Następnie brali trochę ziemi ogrodniczej, mieszali ją z wodą, kosztownymi korzeniami i kadzidłem i z tego lepili mały posążek w kształcie księżyca, który następnie ubierali i zdobili. Wydaje się, że celem opisanych przez Plutarcha ceremonii było

⁷⁴ Kalendarz aleksandryjski (zwany także macedońskim) został po podbojach Aleksandra Wielkiego wprowadzony w

przedstawienie w dramatycznej formie poszukiwania zwłok Ozyrysa, a następnie radosnego ich odnalezienia, po czym zmarły bóg zmartwychwstawał w nowej figurce ulepionej z ziemi i korzeni. Laktancjusz⁷⁵ opowiada nam, jak w czasie tych obrzędów kapłani z wygolonymi ciałami bili się w piersi i zawodzili naśladując żalosne poszukiwania straconego syna, Ozyrysa, przez Izydę. Opisuje następnie, jak smutek kapłanów zmieniał się po pewnym czasie w radość, gdy Anubis, bóg z głową szakala, a raczej przedstawiający go aktor, ukazywał im małego chłopca, żyjącego przedstawiciela boga, który zginął i został odnaleziony. Tak więc Laktancjusz uważał Ozyrysa za syna, a nie za męża Izydy. Nie wspomina też wcale o figurce ulepionej z ziemi ogrodniczej i korzeni. Być może, chłopczyk odgrywał rolę Horusa, syna Ozyrysa, ale śmierć i zmartwychwstanie boga obchodzone było w wielu miastach Egiptu i jest rzeczą możliwą, że w niektórych okolicach rola powracającego do życia boga grywana była przez żywego aktora, a nie przez podobiznę.

Ceremonie pogrzebowe Ozyrysa w tej postaci, w jakiej odprawiano je podczas jego wielkiego święta w szesnastu prowincjach Egiptu, są przedstawione w długim napisie z epoki Ptolemeuszów, wrytym na ścianach świątyni boga w Dendera, greckiej Tentyrze, mieście w Górnym Egipcie, położonym na zachodnim brzegu Nilu o jakieś czterdzieści mil na północ od Teb.

Nie wchodząc w szczegóły miejscowych odmian obyczajów spróbuję pokrótce nakreślić główne zarysy uroczystości, o tyle, o ile można je z pewną ścisłością ustalić.

Ceremonie trwały osiemnaście dni, od dwunastego do trzydziestego dnia miesiąca Khoiak, i uwydatniały naturę Ozyrysa w trzech jego aspektach: jako zmarłego, poćwiartowanego i wreszcie przywróconego do życia przez połączenie jego rozrzuconych w różnych miejscach części ciała. W pierwszej postaci zwany był Chent-Ament (Khenti-Amenti), w drugiej Ozyrys-Sep, a w trzeciej Sokari (Seker). Małe wizerunki boga lepiono z piasku lub ziemi ogrodniczej i zboża, do czego niekiedy dodawano kadzidło. Twarz malowana była na żółto, a kości policzkowe na zielono. Figurki te odlewano w formach z czystego złota, przedstawiających boga jako mumię z białą koroną Egiptu na głowie. Święto rozpoczynało się dwunastego dnia Khoiak ceremonią orki i siewu. Zaprzęgano dwie czarne krowy do pługa zrobionego z drzewa tamaryszku, lemiesz zaś był z czarnej miedzi. Chłopcy rzucali ziarno. Na jednym końcu pola siano jęczmień, na drugim orkisz, w środku zaś len. W czasie tej pracy główny celebrujący recytował obrzędowe strofy o "zasiewaniu pól". Dwudziestego drugiego dnia miesiąca Khoiak, o ósmej godzinie, wizerunki Ozyrysa w towarzystwie trzydziestu czterech wizerunków bogów odbywały tajemniczą podróż w trzydziestu czterech łodziach z papirusu, iluminowanych trzystu sześćdziesięciu pięcioma światłami. Dwudziestego czwartego, po zachodzie słońca, składano do grobu figurę Ozyrysa w trumnie z drzewa morwowego, a o dziewiątej godzinie nocy wizerunek zeszloroczny

miastach azjatyckich i najprawdopodobniej w Egipcie. Rok w tym kalendarzu dzielił się na dwanaście miesięcy księżycowych.

⁷⁵ L a k t a n c j u s z (Lactantius Caecilius Firmianus) - pisarz chrześcijański z III/IV w. n. e. Urodził się prawdopodobnie w Italii. Dioklecjan mianował go nauczycielem łaciny w Nikomedii. Uczył także najstarszego syna Konstantyna Wielkiego. Zmarł w Galii ok. 330 r. n. e. Najważniejszym jego dziełem jest *Institutiones divinae*, apologia chrześcijaństwa oparta na głębokich studiach. Z powodu jego pięknej, eleganckiej łaciny nazywano go Cyceronem chrześcijańskim.

był usuwany i zawieszany na gałęziach sykomoru. Trzydziestego dnia miesiąca Khoiak udawano się do świętego grobu, podziemnej komory, nad którą, jak się zdaje, rosła kępa drzew *persea*⁷⁶. Wkraczając do podziemi zachodnimi drzwiami figurę boga złożoną w trumnie składano uroczysto na warstwie piasku. Pozostawiano go tam i opuszczano grobowiec wschodnimi drzwiami. Na tym kończyły się uroczystości miesiąca Khoiak.

W powyższej relacji, zaczerpniętej z długiego napisu w Dendera, pogrzeb Ozyrysa zajmuje wybitne miejsce, natomiast jego zmartwychwstanie jest raczej tylko sugerowane, a właściwie nie ma o nim wzmianki. Brak ten jednak rekompensuje niezwykle seria płaskorzeźb, towarzysząca napisowi i ilustrująca go. W szeregu scen przedstawia ona najpierw zmarłego boga, spoczywającego jako mumia na marach, potem unoszącego się stopniowo coraz wyżej, aż wreszcie opuszczającego mary i stojącego między opiekuńczymi skrzydłami jego wiernej lzydy, podczas gdy męska postać trzyma przed jego oczami *crux ansata*⁷⁷, egipski symbol życia. Trudno o bardziej plastyczne przedstawienie zmartwychwstania boga. Bardziej jeszcze pouczające jest inne wyobrażenie tego samego wydarzenia w pomieszczeniu poświęconym Ozyrysowi w wielkiej świątyni lzydy w Philae. Widzimy tu zwłoki Ozyrysa, z których wyrastają kłosa zboża, gdy kapłan polewa je z dzbanka trzymanego w ręku. Napis towarzyszący tłumaczy, że "jest to postać tego, którego imienia nie wolno wymówić, Ozyrysa misteriów, pojawiającego się z powracającej wody". Obraz i słowa nie pozostawiają wątpliwości, że Ozyrys jest ucieleśnieniem zboża wyrastającego na polach użyźnionych wylewem. To, jak wynika z napisu, było jądrem misteriów, największym sekretem odsłanianym wtajemniczonym. Podobnie w misteriach Demeter w Eleuzys pokazywano wiernym żdźbło zboża jako główną tajemnicę ich religii. Teraz już możemy zrozumieć, dlaczego podczas wielkiego święta siewu w miesiącu Khoiak kapłani zakopywali wizerunki Ozyrysa ulepione z ziemi i zboża. Gdy po roku lub krótszej przerwie wyjmowano je, kiełkujące zboże sławiono jako oznakę, a raczej przyczynę dojrzewania plonów. Bóg zboża wydawał z siebie zboże, własne ciało ofiarował, by nakarmić swój lud; umarł po to, by ludzie mogli żyć.

Śmierć i zmartwychwstanie wielkiego boga były dla Egipcjan nie tylko wsparciem i oporą w życiu doczesnym, lecz również nadzieją na życie wieczne poza grobem. Wskazują na to jak najwyraźniej niezwykle wizerunki Ozyrysa odkryte na cmentarzach egipskich. W Dolinie Królów w Tebach odnaleziono pochodzący z ok. roku 1500 przed Chr. grób dworzana, który nosił wachlarz królewski. Wśród bogatej zawartości grobu był leżący na marach materac z trzciny pokryty trzema warstwami płótna. Na górnej części płótna wymalowana była naturalnej wielkości postać Ozyrysa; we wnętrzu wodoszczelnej postaci odnaleziono miksturę złożoną z ziemi ogrodowej, jęczmienia i jakiegoś lepkiego płynu. Jęczmień zakiełkował i puścił pędy długości dwóch do trzech cali. Na cmentarzu Kynopolis "pochowane były liczne figury Ozyrysa, zrobione z ziarna owiniętego w płótno i uformowanego z grubsza na kształt Ozyrysa. Umieszczone one były w murowanych niszach we wnętrzu grobowca lub w

⁷⁶ *Persea* - drzewa tropikalne rosnące w Egipcie z rodziny laurowych (*lauraceae*).

małych trumienkach z ceramiki, czasami w drewnianych trumnach w kształcie mumii jastrzębia, a niekiedy zupełnie bez trumny." Te wypchane zbożem figury były zabandażowane jak mumie z resztkami złączenia tu i ówdzie, jak gdyby dla naśladowania złotych form, w których podobne figury Ozyrysa były lepiące w czasie święta siewu. Wizerunki Ozyrysa z twarzami z zielonego wosku i wnętrzem wypełnionym zbożem znaleziono w pobliżu nekropolu w Tebach. Wreszcie profesor Erman⁷⁸ pisze, że między nogami mumii "znajduje się niekiedy figurka Ozyrysa ulepiona z mułu, wypełniona ziarnami zboża, którego kiełkowanie miało oznaczać zmartwychwstanie boga". Nie ulega dla nas wątpliwości, że podobnie jak wypchane ziarnem figury Ozyrysa, pochowane w ziemi w czasie święta siewu, miały przyspieszyć kiełkowanie ziarna, tak też grzebanie podobnych wizerunków w grobie miało ożywić zmarłych, innymi słowy, miało im zapewnić nieśmiertelność duszy.

⁷⁷ Krzyż w kształcie greckiej litery *tau*; opatrzony uszkiem, używany w starożytnym Egipcie i Asyrii.

⁷⁸ Georg Adolf E r m a n (1854-1937) - egiptolog niemiecki, dyrektor Muzeum Egipskiego w Berlinie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

OBLICZA OZYRYSA

Ozyrys był jednak czymś więcej jeszcze aniżeli tylko duchem zboża, był on również duchem drzewa i w tej, być może, postaci występował pierwotnie, ponieważ kult drzew występuje oczywiście wcześniej w historii religii aniżeli kult roślin zbożowych. Charakter Ozyrysa jako ducha drzewa uwidacznia się bardzo dobitnie w opisaney przez Firmicusa Maternusa^J ceremonii. Ścinano więc sosnę, środek jej drażono, a z drzewa w ten sposób uzyskanego robiono figurkę Ozyrysa, którą następnie chowano jak zwłoki w wydrążonym pniu. Trudno o bardziej wyraźne przedstawienie koncepcji drzewa zamieszkanego przez indywidualną istotę. Sporządzony w taki sposób wizerunek Ozyrysa był następnie przechowywany przez rok, a potem palony tak samo jak figurka Attisa zawieszona na sośnie. Płutarch, zdaje się, robi aluzję do opisaney przez Firmicusa Maternusa ceremonii ścinania drzewa. Był to zapewne rytualny odpowiednik mitycznego odnajdywania zwłok Ozyrysa ukrytych we wrzoście. W sali Ozyrysa w Dendera przedstawiono wyraźnie trumnę, zawierającą mumię z głową jastrzębia, zamkniętą w drzewie szpilkowym, którego gałęzie i pień widoczne są pod i nad trumną. Odpowiada to ściśle mitowi i ceremonii, opisanym przez Firmicusa Maternusa⁷⁹.

Zgodnie z charakterem Ozyrysa jako ducha drzewa wyznawcom jego nie wolno było niszczyć drzew owocowych, a ponieważ był także bogiem roślinności w ogóle, nie wolno im było zasypywać źródeł, odgrywających tak poważną rolę w systemie nawadniania w krajach południowych. Według jednej legendy Ozyrys nauczył ludzi podwiązywać do tyk winną latorośl, usuwać zbyteczne liście i wyciskać moszcz winny. W papirusie z Nebseni, pochodzącym z ok. r. 1550 przed Chr., Ozyrys przedstawiony jest, gdy siedzi w grobowcu, z którego zwisają kiście winogron, a w papirusie pisarza królewskiego Nekhta widzimy boga na tronie przed sadzawką. Na jej brzegach rosną bujne krzewy winnej latorośli pnące się

ku zielonej twarzy siedzącego bóstwa. Bluszcz był mu poświęcony i zwano go rośliną Ozyrysa, ponieważ zawsze był zielony.

Jako bóg roślinności Ozyrys był naturalnie uważany również za bóstwo płodności w ogóle, ponieważ na tym szczeblu rozwoju ludzie nie umieją rozpoznać różnicy między siłami rozplodowymi zwierząt i roślin. Uderzającym rysem jego kultu była brutalna i wyrazista symbolika, za pomocą której ten aspekt jego natury przedstawiano nie tylko wtajemniczonym, ale i rzeszom ludności. W dzień święta kobiety zwykły były chodzić po wsi śpiewając pieśni na jego cześć i nosząc przy tym nieprzyzwoite wizerunki boga poruszane sznurkami. Były to prawdopodobnie czary mające zapewnić dojrzewanie plonów. Podobny wizerunek Ozyrysa, cały obwieszony owocami ziemi, znajdował się rzekomo w świątyni przed posągami Izydy, a w poświęconych mu salach w Philae martwy bóg spoczywa na marach w pozycji wskazującej w sposób jak najbardziej oczywisty, że nawet po śmierci jego siły rozplodowe nie

wygasają, a jedynie są w zawieszeniu, i że w każdej chwili, gdy tylko okazja się nadarzy, bóstwo gotowe jest wystąpić wobec świata jako źródło życia i płodności. Hymny do Ozyrysa zawierają aluzje do tej ważnej strony jego natury. W jednym z nich mowa jest o tym, że świat się zieleni dzięki niemu, w innym powiedziane jest: "Ty jesteś ojcem i matką ludzkości, z twojego tchnienia ludzie żyją, twoim ciałem się żywią."

Wiemy już o tym, że w jednym ze swych aspektów Ozyrys był panem i sędzią zmarłych. Dla Egipcjan, którzy nie tylko wierzyli w życie pozagrobowe, ale, co więcej, poświęcali znaczną część swego czasu, energii i pieniędzy przygotowaniom do pośmiertnego istnienia, ten jego boski urząd musiał być co najmniej równie ważny jak funkcja nakazywania ziemi wydawania płodów w odpowiednim czasie. Możemy nawet założyć, że w poglądach religijnych wiernych te dwie dziedziny jego działalności były z sobą blisko powiązane.

Nic więc dziwnego, że bóg, który żywił swój lud własnym rozszarpanym ciałem i obiecywał mu szczęśliwy żywot wieczny w lepszym świecie, zajmował poczesne miejsce w jego uczuciach. Rozumiemy dobrze, że w Egipcie kult Ozyrysa przesłaniał kult wszystkich innych bogów, i chociaż każdy z nich czczony był w swoim własnym okręgu, Ozyrys i jego boska towarzyszka Izyda czczeni byli wszędzie.

⁷⁹ Firraicus M a t e r n u s - pisarz łaciński z IV w. n. e., rodem z Syrakuz. Poglądy neoplatońskie łączył z chrześcijańskimi. Napisał *De errore profanarum religionum*, gdzie wzywa cesarzy, by prześladowali pogan.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

I ZYDA

Pierwotne znaczenie bogini Izydy jeszcze trudniej ustalić aniżeli znaczenie jej brata i męża Ozyrysa. Atrybuty i epitety, którymi ją obdarzano, były tak liczne, że w hieroglifach nazywana jest "wieloimienna", "o tysiącu imion", a w greckich napisach "o niezliczonych imionach". Ale, być może, uda się wytropić w jej złożonej naturze ten najdawniejszy związek, wokół którego w wyniku powolnego procesu narastania skupiły się pozostałe elementy. Jeśli bowiem brat jej i mąż, Ozyrys, był, jak się o tym przekonał, w jednym aspekcie swej natury bogiem zboża, wówczas ona musiała być boginią zboża. W każdym razie pewne przesłanki upoważniają nas do zajęcia takiego stanowiska. Zdaniem Diodorusa Siculusa, który oparł się na egipskim historyku Manethosie¹, odkrycie pszenicy i jęczmienia przypisywane było Izydzie, a podczas jej świąt obnoszono w procesjach kłosa tych zbóż dla upamiętnienia dobrodziejstwa, jakim obdarzyła ludzkość. Dalszy szczegół dodaje Augustyn. Opowiada on, że Izyda dokonała odkrycia jęczmienia w chwili, gdy składała ofiary królewskim przodkom, własnym i męża, i że pokazała świeżo odkryte kłosa pszenicy Ozyrysowi i jego doradcy Thotowi czy Merkuremu, jak go Rzymianie nazywali. Oto dlaczego, dodaje Augustyn, uważają oni, że Izyda jest tą samą boginią co Ceres. Ponadto egipcjacy żniwiarze, rozpoczynając żniwa, po ścięciu pierwszych kłosów kładli je na ziemi, sami zaś bili się w piersi, lamentowali i wzywali Izydę. Zwyczaj ten został już wyjaśniony jako opłakiwanie ducha zboża ściętego sierpem. W napisach Izyda określana była między innymi jako: "Stworzycielka Zieleni"; "Zielona bogini, której zieleń podobna jest zieleni ziemi", "Pani Chleba", "Pani Piwa", "Pani Obfitości". Według Brugscha⁸⁰ jest ona nie tylko "twórcą świeżej zieleni roślinności pokrywającej ziemię, lecz samym zielonym łanem zboża, wcielonym w boginię". Potwierdza to epitet Sochit względnie Sochet, oznaczający łan zboża, i w tym znaczeniu słowo to przetrwało w języku koptyjskim. Grecy uważali Izydę za boginię zboża, ponieważ identyfikowali ją z Demeter. W pewnym epigramacie greckim przedstawiona jest "jako ta, która na świat wydaje płody ziemi" i "matka kłosów zboża", a w hymnie na jej cześć skomponowanym mówi o sobie jako o "królowej łanu pszenicy" i opisana jest jako ta, której "powierzono pieczę nad żyzną brudą pszenicznego łanu". Toteż greccy lub rzymscy artyści przedstawiali ją z kłosami zboża na głowie lub w ręce.

Taką była, jak przypuszczamy, Izyda dawnych czasów, wiejska Matka Zboża czczona w nieokrzesanych obrzędach przez egipskich parobczaków. Ale tych prymitywnych rysów wsiovej bogini nie wyśledzimy już w subtelnej, świątobliwej postaci, uduchowionej w ciągu stuleci ewolucji religijnej, gdy swym późniejszym wyznawcom ukazywała się jako prawdziwa żona, czuła matka, dobrotliwa królowa przyrody, otoczona nimbem czystości moralnej, odwiecznej i tajemniczej świętości. Uszlachetniona i przemieniona, podbiła wiele serc poza granicami swego kraju ojczystego. W kłębowisku religii, towarzyszącemu schyłkowi życia narodowego w starożytności, kult jej należał do

⁸⁰ Heinrich Karl Brugsch (1827-1894) - niemiecki egiptolog.

najpopularniejszych w Rzymie i całym Cesarstwie. Nawet niektórzy cesarze rzymscy otwarcie go praktykowali. I chociaż religia Izidy, podobnie jak każda inna, służyła często jako płaszczek dla mężczyzn i kobiet prowadzących swobodny tryb życia, w zasadzie jednak kult jej wyróżniał się zaszczytnie godnością i umiarem, uroczystym charakterem i formami kojącymi wzburzone umysły i przynoszącymi ulgę zatroskanym sercom. Kult jej przemawiał do dusz łagodnych, przede wszystkim kobiecych, dla których krwawe i wyuzdane obrządki innych wschodnich bogiń były odpychające i gorszące. Nie dziwi nas więc, że w czasach upadku, gdy zachwiane zostały wiary tradycyjne, gdy ścierały się ustroje, umysły ludzkie były wzburzone, gdy nawet w gmachu samego Cesarstwa, niegdyś uważanego za wieczne, ukazały się złowróżbne szczeliny i rysy, pogodna postać Izidy, pełna duchowego spokoju, niosąca obietnicę nieśmiertelności wydawała się wielu gwiazdą na burzliwym niebie, wzbudzając w ich piersiach uczucia głębokiej nabożności, podobnie jak postać Najświętszej Panny w wiekach średnich. Majestatyczny rytuał, ogoleni kapłani z tonsurami, jutrznie i nieszpory, rozdzwoniona muzyka, chrzty i pokropienia wodą święconą, uroczyste procesje, obsypane kosztownościami wizerunki Matki Boga pod wieloma w istocie względami przypominają wystawność i ceremoniał Kościoła katolickiego. Podobieństwo to niekoniecznie jest przypadkowe. Starożytny Egipt mógł wnieść swój wkład zarówno do wspaniałego symbolizmu Kościoła katolickiego, jak i do bezkrwistych abstrakcji jego teologii. Nie ulega wątpliwości, że w sztuce postać Izidy z niemowlęciem Horusem u piersi tak dalece przypomina Madonnę z Dzieciątkiem, iż zdarzało jej się bywać przedmiotem hołdów nieświadomych chrześcijan. I, być może, właśnie Izidzie w jej późniejszej postaci opiekunki żeglarzy zawdzięcza Maria piękny przydomek Stella Maris - Gwiazdy Morza, którym czczą ją marynarze na wzburzonych morzach.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

DIONIZOS

Dionizosa, czyli Bakchosa, znamy najlepiej jako uosobienie latorośli winnej i wesołości zrodzonej z winnego moszczu. Ekstatyczny kult tego boga, uzewnętrzniający się w dzikich tańcach, przenikliwej muzyce i pijackich wybrykach, powstał, jak się zdaje, wśród barbarzyńskich plemion Tracji, notorycznie znanych z pijaństwa. Grecy ze swą jasną umysłowością i trzeźwym usposobieniem odczuwali mistyczne cechy i dziwaczne obrzędy tego kultu jako z gruntu obce. Religia ta jednak znajdowała oddźwięk w upodobaniu do tajemnic i w skłonności do powracania do stanu barbarzyństwa, jakie zdają się być wrodzone większości ludzi, i szerzyła się jak pożar po całej Grecji. I oto bóg, którego Homer ledwo raczył zauważyć, stał się najpopularniejszą postacią panteonu. Jego dzieje i ceremonie podobne są do historii i rytuału Ozyrysa, co skłoniło pewnych badaczy, zarówno starożytnych, jak i współczesnych, do wysunięcia tezy, że Dionizos jest jedynie przebrany Ozyrysem, przywiezionym bezpośrednio z Egiptu do Grecji. Ale większość faktów wskazuje na jego trackie pochodzenie, a podobieństwo koncepcji i zwyczajów, na których kulty te zostały oparte, dostatecznie tłumaczy ich podobieństwo.

Winna latorośl i jej grona były najbardziej charakterystycznymi przejawami Dionizosa, ale był on również bogiem drzew w ogólności. Dowiadujemy się więc, że wszyscy Grecy składali ofiary "Dionizosowi drzewa". W Beocji jeden z jego tytułów brzmiał: "Dionizos w drzewie". Jego wizerunkiem bywał często prosty słup bez ramion, ale w płaszczu, z brodatą maską przedstawiającą twarz i z liściastymi gałęziami wyrastającymi z głowy lub korpusu dla uwidocznienia charakteru bóstwa. Na jednej z waz odmalowany jest jego prymitywny wizerunek, gdy ukazuje się z niskiego drzewa czy też krzaku. W Magnezji nad Meandrem znaleziono rzekomo wizerunek Dionizosa w platanie złamanym przez wichurę. Był patronem drzew hodowanych, modlono się do niego, by nakazał drzewom rosnąć, a szczególnie czczony był przez hodowców, przede wszystkim ogrodników, którzy ustawiali w sadach jego wizerunek w postaci zwykłego pniaka. Przypisywano mu odkrycie wszystkich drzew owocowych, a w szczególności figowca i jabłoni, i nazywano go "dobrze owocującym", "panem zielonego owocu" i "tym, który nakazuje owocom dojrzewać". Jednym z jego tytułów był "rojący się" lub "napęczniały" (co odnosiło się do kwiatów i soku), a istniał również "kwietny Dionizos", w Attyce i w Patrae w Achai. Ateńczycy składali mu ofiary, by zapewnić pomyślne zbiory owoców. Do drzew szczególnie jemu poświęconych należała poza winną latoroślą również sosna. Wyrocznia Delficka nakazywała Koryntianom czcić pewną szczególną sosnę "równą bogu", zrobili wobec tego z jej drzewa dwa wizerunki Dionizosa z czerwonymi twarzami i złożonymi korpusami. W dziełach sztuki bóg względnie jego wyznawcy mają zazwyczaj berło zakończone szyszką sosnową. Również bluszcz i figowiec były z nim szczególnie związane. W attyckiej gminie Acharny istniał bluszcz dionizyjski, w Lacedemonii był Dionizos wcielony w

figowiec, zaś na wyspie Naksos, gdzie figi zwane były *mellicha*, był Dionizos Meilichejski o twarzy z drzewa figowca.

Podobnie jak inni bogowie roślinności, miał Dionizos zginąć śmiercią gwałtowną, po czym wrócić do życia, a podczas świętych obrzędów dionizyjskich odgrywano cierpienia, śmierć i zmartwychwstanie boga. Tak oto przedstawia jego tragiczne dzieje poeta Nonnos⁸¹: Zeus w postaci węża odwiedził Persefonę, ona zaś urodziła mu rogatego syna Zagreusa, czyli Dionizosa. W chwilę po urodzeniu niemowlę wdrapało się na tron swego rodzica Zeusa i naśladowało wielkiego boga potrząsając piorunami, które trzymało w swej małej rączce. Dionizos krótko przebywał na tronie, gdy bowiem przeglądał się w lustrze, zaatakowali go zdradzieccy Tytani z pobielonymi twarzami. Przez pewien czas unikał ich ciosów przemieniając się kolejno w Zeusa i Kronosa, w młodego mężczyznę, lwa, konia i węża, aż wreszcie w postaci byka został poćwiartowany śmiertelnościami nożami swoich wrogów. Kreteńska wersja mitu przedstawiona przez Firmicusa Maternusa brzmiała następująco: Dionizos miał być nieślubnym synem króla kreteńskiego Jupitera. Wyjeżdżając za granicę powierzył Jupiter tron swój i berło młodzieńczemu Dionizosowi, ale wiedząc, że zazdrosna żona, Junona, żywi niechęć do dziecka, kazał zaufanym wartownikom roztoczyć nad nim opiekę. Udało się jednak Junonie przekupić wartowników. Zabawiając dziecko grzechotkami i przemyślnie zrobionym lustrem zwabiła je do zasadzki, gdzie jej sprzymierzeńcy Tytani rzucili się na Dionizosa, poćwiartowali go, ugotowali jego ciało z rozmaitymi korzeniami i zjedli. Ale siostra jego, Minerwa, która brała w tym wszystkim udział, przechowała serce i po powrocie Jupitera oddała mu je opowiadając równocześnie o dokonanej zbrodni. Jupiter, rozwścieczony, skazał Tytanów na śmierć przez tortury i, by pocieszyć się po stracie syna, kazał sporządzić jego wizerunek, w którym umieścił serce dziecka, a potem wybudował ku jego czci świątynię. W tej wersji mit został uczłowieczony przez przedstawienie Jupitera i Junony (Zeusa i Hery) jako kreteńskiej pary królewskiej. Wspomnianymi w relacji strażnikami byli mityczni Kureci, którzy odtńczyli taniec wojenny wokół małego Dionizosa, podobnie jak to rzekomo uczynili przy niemowlęciu Zeusa. Na uwagę zasługuje legenda zanotowana zarówno przez Nonnosa, jak i Firmicusa, że w swym dzieciństwie Dionizos zasiadał na tronie swego ojca Zeusa. Proklos⁸² opowiada, że "Dionizos był ostatnim królem bogów mianowanym przez Zeusa, ojciec jego bowiem usadowił go na swoim tronie, dał mu do ręki berło i uczynił go królem wszystkich bogów świata". Legenda ta wskazuje na zwyczaj chwilowego nadawania królewskiemu synowi godności królewskiej jako przygotowania do złożenia go w ofierze zamiast ojca. Z krwi Dionizosa miały wyrosnąć owoce granatu, podobnie jak anemony wyrosły z krwi Adonisa, a fiołki z krwi Attisa. Dlatego też kobiety nie jadały pestek granatu podczas Tesmoforii. Zdaniem niektórych, poćwiartowane ciało Dionizosa zostało z powrotem złożone przez Apolla, który

⁸¹ Nonnos - poeta grecki rodem z Panopolis w Egipcie, żyjący w V w. n. e. Zachował się jego poemat epicki *Dionysiaka* w 48 księgach opisujący historię Dionizosa.

⁸² Proklos (410-485 n. e.) - filozof grecki rodem z Konstantynopola, jeden z ostatnich przedstawicieli neoplatonizmu. Idee neoplatonistyczne łączył z metafizyką i mitologią. Cytowany fragment pochodzi z jego komentarza do dialogu Platona *Kratyl*.

pochował je na Parnasie. Pokazywano grób Dionizosa w świątyni delfickiej obok złotego posągu Apolla. Według innej opowieści grób ten miał się znajdować w Tebach, gdzie rzekomo Dionizos został rozszarpany. Jak dotąd, nie było wzmianki o zmartwychwstaniu Dionizosa, ale rozmaicie jest ono przedstawiane w innych wersjach mitu. Według jednej wersji, w której Dionizos występuje jako syn Zeusa i Demeter, matka jego zszyla poszarpane członki i uczyniła go z powrotem młodym. W innych powiedziane jest krótko, że niedługo po pochowaniu zmartwychwstał i wstąpił do nieba lub też że Zeus podniósł go, gdy leżał śmiertelnie ranny, czy też, że Zeus połknął serce Dionizosa i ponownie splodził go z Semele, występującą w popularnych legendach jako matka Dionizosa. W innej jeszcze wersji serce zostało roztarte i podane w napoju Semele, która go w ten sposób poczęła.

Powracając od mitu do rytuału stwierdzamy, że Kreteńczycy co dwa lata obchodzili święto, podczas którego odgrywano szczegółowo pasję Dionizosa. Wszystkie jego uczynki i cierpienia w ostatnich chwilach przedstawiano przed oczami wiernych, którzy rozrywali zębami żywego byka i pędzili po lasach wznosząc szaleńcze okrzyki. Przed nimi niesiono skrzynkę, w której rzekomo miało się znajdować święte serce Dionizosa, a przy dzikiej muzyce fletów i cymbałów naśladowali grzechotki, którymi zwabiono boskie dziecię ku zgubie. Zmartwychwstanie odgrywano również tam, gdzie wchodziło ono w skład mitu, i wydaje się nawet, że ogólna teoria zmartwychwstania została wpojona wiernym, ponieważ Plutarch, pisząc do żony po śmierci ich córeczki, pociesza ją myślą o nieśmiertelności duszy, o której uczy tradycja i misteria Dionizosa. Inną formą mitu o śmierci i zmartwychwstaniu Dionizosa jest opowieść o tym, jak zstąpił do Hadesu, by wyprowadzić ze świata zmarłych swą matkę, Semele. Miejskowa tradycja argiwska głosiła, że zeszedł do podziemi przez Jezioro Alcjońskie, i w tym miejscu Argiwowie świętowali co roku jego powrót, innymi słowy, zmartwychwstanie, wzywając go z wody dźwiękiem trąb i wrzucając równocześnie do jeziora jagnię jako ofiarę dla strażnika umarłych. Nie wiadomo, czy było to święto wiosenne, ale Lidyjczycy z pewnością święcili powrót Dionizosa na wiosnę, uważając, że bóg sprowadza ze sobą tę porę roku. Jest rzeczą zrozumiałą, że bóstwa roślinności, spędzające część roku pod ziemią, uchodzą za bogów podziemi względnie bogów zmarłych. Za takich właśnie byli uważani zarówno Dionizos, jak i Ozyrys.

Jedna cecha mitycznego charakteru Dionizosa wydaje się na pierwszy rzut oka niezgodna z jego rolą bóstwa roślinności, a mianowicie, że często wyobrażano go sobie i przedstawiano w postaci zwierzęcej, szczególnie jako byka lub co najmniej z rogami byka. Stąd mówi się o nim jako o "krowiorogim", "byku", "bykoksztalnym", "o byczej twarzy", "o byczym łbie", "byczorogim", "rogonoścu", "dwurogim" i "rogatym". Uważano, że objawia się, w każdym razie od czasu do czasu, w postaci byka. Jego wizerunki często sporządzano w kształcie byka lub przynajmniej z rogami byka, jak np. w Kyzikos. Z rogami też go malowano. Wśród zachowanych zabytków starożytności znajdujemy różne typy rogatych Dionizosów. Na jednym posądku przybrany jest w skórę byka, głowa zaś, rogi i kopyta zwisają za nim. Bywa też przedstawiony w postaci dziecka z kiściami winogron nad czołem i głową cielęcą z malutkimi rogami przymocowaną do tyłu głowy. Na jednej z waz z czerwonymi figurami namalowany jest w postaci

siedzącego na kolanach kobiety dziecka z głową cielęcia. Podczas święta Dionizosa, które mieszkańcy Kinajty obchodzili zimą, mężczyźni natarłszy ciała olejkiem wybierali ze stada jednego byka i zanosili go do świątyni bóstwa. Uważano, że Dionizos sam kieruje wyborem zwierzęcia, które prawdopodobnie reprezentowało samego boga, miał bowiem pojawiać się w czasie swych świąt w postaci byka. Kobiety z Elidy sławiły go jako byka i modliły się, by przybył ze swą nogą byka. Śpiewały: "Przybądź, Dionizosie, do swego świętego przybytku nad morzem, przybądź z Gracjami do swej świątyni, śpiesząc na swych nogach byka, o boski byku!

O boski byku!" Bakchantki trackie naśladując swego boga nosiły róg. Według mitu został on rozszarpany w postaci byka przez Tytanów, a Kreteńczycy odgrywając męczeństwo i śmierć Dionizosa darli żywego byka zębami na kawałki. Co więcej, rozdzieranie i spożywanie żywych byków i cieląt należało, jak się zdaje, do stałych elementów obrządków dionizyjskich. Jeśli zwrócimy uwagę na zwyczaj przedstawiania boga w kształcie byka lub z pewnymi znamionami tego zwierzęcia, na przekonanie, że w czasie świąt pojawia się pod postacią byka swoim wiernym, i na legendę o tym, że jako byk został rozerwany, wówczas nie będzie ulegało żadnej wątpliwości, że czciciele Dionizosa rozszarpując i zjadając żywego byka podczas dionizyjskich świąt uważali, że zabijają boga, spożywają jego ciało i piją jego krew.

Dionizos przybierał również postać kozła. "Kozłę" również należało do jego imion. W Atenach i Hermionie czczony był jako "Ktoś odziany w Czarną Skórę Kozia", a legenda głosiła, że przy pewnych okazjach pojawiał się przybrany w te skóry. W prowincji Fliunt (Phlius) obfitującej w winnice, gdzie jesienią równina okrywa się grubą warstwą czerwonych i złotych liści wędnącej winnej latorośli, stał od najdawniejszych czasów posąg kozła z brązu, który hodowcy oblepiali listkami złota, by ochronić swe winnice przed zarazą. Figura przedstawiała prawdopodobnie samego boga wina. By ochronić go przed gniewem Hery, ojciec jego, Zeus, przemienił młodego Dionizosa w kozłę, a gdy bogowie uciekli do Egiptu przed wściekłością Tyfona, Dionizos przemieniony został w kozła. Dlatego też jego czciciele rozrywali na kawałki żywą kozę i zjadali na surowo jej mięso, wierząc, że spożywają ciało i krew swego boga. Zwyczaj rozszarpywania na kawałki zwierząt i ludzi, a następnie zjadania ich na surowo, stosują dzicy jako rytuał religijny jeszcze w naszych czasach. Nie powinniśmy wobec tego lekceważyć jako bajki świadectw starożytnych o podobnych obrządkach przestrzeganych przez oszalałych czcicieli Bakchosa.

Warto jeszcze wspomnieć, że w niektórych okolicach podczas obrządków ku czci Dionizosa zamiast zwierzęcia rozszarpywano człowieka. Tak bywało na Chios i Tenedos, a w Potniae w Beocji, jak głosiła legenda, istniał dawniej zwyczaj składania dziecka, które później zastąpiono kozłem, w ofierze zabijającemu kozła Dionizosowi.

Legendy o śmierci króla Penteusza rozszarpanego przez bakchantki i króla Likurga rozerwanego przez konie za to, że sprzeciwiali się kultowi Dionizosa, mogły być zniekształconymi reminiscencjami zwyczaju poświęcania boskich królów w charakterze Dionizosa i rozrzucania kawałków ich

poszarpanych ciał po polach w celu użyczenia ziemi. Nie jest prawdopodobnie czystym przypadkiem, że to sam Dionizos miał być rozszarpany w Tebach w tym samym miejscu, w którym, zgodnie z legendą, miał zginąć Penteusz z rąk oszalałych wyznawczyń króla wina.

Legenda o ludzkich ofiarach mogła jednak niekiedy być tylko fałszywym wytłumaczeniem rytuału ofiarnego, w którym ofiara zwierzęca traktowana była jako istota ludzka. Na Tenedos na przykład nowo narodzonemu cielęciu nakładano koturny, a krową, która je powiła, opiekowano się jak kobietą w połogu. W Rzymie Veiovisowi składano w ofierze kozła, jak gdyby był ofiarą ludzką. Jest jednak również rzeczą możliwą i. być może, bardziej prawdopodobną, że te dziwne obrządki były złagodzoną formą starszych i bardziej nieokrzesanych zwyczajów składania ludzkich ofiar i że późniejsze pozory traktowania zwierząt ofiarnych jako istot ludzkich były jedynie częścią nabożnego i litościwego oszustwa, pozwalającego podsuwać bóstwu mniej cenne ofiary aniżeli żywych ludzi. Tego rodzaju interpretację wspiera szereg niewątpliwych przypadków zastępowania ludzkich ofiar zwierzęcymi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

DEMETER I PERSEFONA

Dionizos nie był jedynym greckim bóstwem, którego tragiczna historia i kult odzwierciedlają śmierć i wskreszenie roślinności. W innej postaci i z innym zastosowaniem pojawia się ta dawna opowieść w micie Demeter i Persefony. W głównych zarysach mit ich jest identyczny z asyryjskim mitem o Afrodycie (Astarte) i Adonisie, frygijskim - o Cybele i Attisie, oraz egipskim - o Izydzie i Ozyrysie. W baśni greckiej, podobnie jak w jej azjatyckim i egipskim odpowiedniku, bogini opłakuje stratę ukochanej istoty, uosabiającej roślinność, a szczególnie zboże, które umiera zimą i powraca do życia na wiosnę. Gdy jednak w wyobraźni Wschodu istota ukochana i utracona była zmarłym kochankiem lub mężem opłakiwanym przez kochankę lub żonę, to w greckiej fantazji idea ta przybierała bardziej czułą i czystą postać zmarłej córki opłakiwanej przez pogrążoną w żałobie matkę.

Najstarszym dokumentem literackim opowiadającym mit o Demeter i Persefonie jest piękny Homerycki *Hymn do Demeter*, którego czas powstania krytycy określają na wiek siódmy przed naszą erą. Celem poematu jest wytłumaczenie źródła misteriów eleuzyńskich, a zupełne przemilczenie przez poetę Aten i Ateńczyków, którzy w późniejszych wiekach tak wybitną rolę odgrywali w tym świecie, pozwala na wysunięcie hipotezy, że hymn powstał w bardzo dawnych czasach, gdy Eleuzys było jeszcze małym niezależnym państwkiem, zanim majestatyczna procesja misteriów zaczęła przemierzać w pogodne wrześnieowe dni niski łańcuch nagich skalistych gór oddzielających płaskie pola zbożowe Eleuzys od bardziej rozległych gajów oliwkowych na równinie ateńskiej. Hymn ten w każdym razie odsłania nam charakter i funkcję obu bogiń w rozumieniu poety. Pod cienką zasłoną poetyckiej gry wyobraźni dostatecznie ostro zarysowują się naturalne ich kształty. Młoda Persefona, tak głosi opowieść, zbierała na łące róże, lilie, krokusy, fiołki, hiacynty i narcyzy, gdy oto ziemia się rozwarła i Pluto, Pan Umarłych, wyłoniwszy się z przepaści, uprowadził ją w swym złotym wozie, by została jego małżonką i królową podziemnych włości. Zasmucona Demeter, matka Persefony, osłoniwszy swe żółte loki czarnym, żałobnym płaszczem szukała jej na lądzie i na morzu, a gdy dowiedziała się od Słońca o losie, który spotkał jej córkę, obrażona zerwała z bogami i wycofała się do swej świątyni w Eleuzys, gdzie ukazała się królewskim córkom w przebraniu starej kobiety, siedzącej smutnie w cieniu drzewa oliwnego obok Studni Dziewicy, dokąd panny przychodziły czerpać wodę w dzbany z brązu, potrzebną w gospodarstwie ojca, Rozgniewana i okryta żałobą bogini nie pozwalała, by ziarno rośło w ziemi, lecz ukrywała je pod ziemią i ślubowała, że dopóty nie stanie jej stopa na Olimpie, a zboże nie zakiełkuje, dopóki nie otrzyma z powrotem swej córki. Na próżno woły tam i z powrotem wlokły pługi po polach, na próżno siewca rzucał nasiona jęczmienia w brązowe bruzdy, nic nie wschodziło na wyschniętej i kruszącej się glebie. Nawet Pole Raryjskie w pobliżu Eleuzys, na którym zawsze falowały żółte łany zboża, leżało nagie i odłogiem. Ludzie zginęliby z głodu, a bogowie zostaliby pozbawieni ofiar, gdyby Zeus, przerażony, nie rozkazał Plutonowi zwrócić ofiarę i oddać Persefonę jej matce, Demeter. Ponury

Pan Umarłych usłuchał z uśmiechem, ale przed odprawieniem królowej w górne rejony w swym złotym wozie dał jej do zjedzenia pestkę granatu, która miała ją zmusić do powrotu. Zeus postanowił jednak, że odtąd Persefona będzie spędzała ze swą matką dwie trzecie roku na górze, a jedną trzecią ze swym mężem w podziemiach, skąd co roku miała powracać, gdy ziemia radować się będzie wiosennymi kwiatami. Powróciła więc ucieszona córka do słonecznego światła i powitała ją uradowana matka, rzucając się jej na szyję. A ciesząc się z odzyskania utraconej, Demeter nakazała, by z grud przeoranej ziemi wyrosło zboże, a ziemia cała pokryła się obficie liśćmi i kwiatami. I natychmiast pokazała ten szczęśliwy widok książętom Eleuzys, Tryptolemosowi, Eumolposowi i Dioklesowi, oraz samemu królowi Keleusowi i, co więcej, odsłoniła im tajemnice swych świętych obrządków i misteriów. Błogosławiony - mówi poeta - śmiertelnik, który wszystko to widział, ale ten, który nie zaznał ich w życiu, nigdy nie będzie szczęśliwy po śmierci, gdy zstąpi w mroczny grób. Tak więc obie boginie udały się na Olimp, by tam żyć szczęśliwie między bogami, bard zaś kończy hymn nabożną modlitwą do Demeter i Persefony prosząc, by dały mu utrzymanie w zamian za jego pieśń.

Powszechna panuje co do tego zgoda i, jak się zdaje, nie pozostało miejsca na żadne wątpliwości, że głównym zadaniem, które postawił sobie poeta układając hymn, było opisanie legendarnego ustanowienia misteriów eleuzyńskich przez boginię Demeter. Cały poemat zmierza ku scenie transformacji, gdy nagie bezlistne dale równiny Eleuzys nagle z woli bogini przekształcają się w rozległą taflę rumieniącego się zboża. Dobrotliwa bogini wzywa księżęta Eleuzys, pokazuje im, czego dokonała, uczy ich tajemniczych obrządków i znika ze swą córką w niebie. Odsłonięcie misteriów jest triumfalnym zakończeniem utworu. Wniosek ten potwierdza bardziej szczegółowa analiza poematu, dowodząca, że poeta dał nie tylko ogólny opis powstania misteriów, ale również w mniej lub więcej zawołowanym języku przedstawia mityczne wytłumaczenie źródeł poszczególnych obrządków, tworzących - jak mamy podstawy wierzyć - zasadnicze elementy święta. Czyni więc aluzję do wstępnego postu dla kandydatów na wtajemniczenie, do procesji z pochodniami, całonocnego czuwania, siedzenia kandydatów z zasłoniętymi twarzami w milczeniu na stołkach przykrytych owczymi skórąmi, do sprośnego języka, nieprzystojnych żartów i uroczystej komunii z bóstwem przez wypicie łyku wywaru z jęczmienia ze świętego kielicha.

Inną jednak i głębszą tajemnicę misteriów wyjawiał, jak się zdaje, autor pod przykrywką swej opowieści. Mówi on o tym, jak bogini po przemienieniu nagich, brunatnych rozłogów eleuzyńskiej równiny w łany złotego zboża uradowała oczy Tryptolemosa i innych książąt z Eleuzys pokazując im wschodzące i stojące zboże. Gdy porównamy tę część opowieści z relacją chrześcijańskiego pisarza z drugiego wieku, Hippolitosa, o tym, że rdzeniem misteriów było pokazywanie wtajemniczonym zżętego kłosa zboża, nie mamy już żadnego powodu wątpić w to, że poeta znał świetnie ten uroczysty rytuał i że świadomie pragnął wytłumaczyć jego pochodzenie, podobnie jak wytłumaczył inne obrządki misteriów, a mianowicie, ukazując Demeter jako tę, która we własnej osobie dała przykład wykonywania tego obrządku. Tak więc mit i obrządki wzajemnie się tłumaczą i potwierdzają. Poeta z siódmego wieku

przed naszą erą przekazał nam mit, rytuału nie mógł ujawnić nie narażając się na świętokradztwo; jeden z Ojców Kościoła ujawnia nam rytuał, a podane przez niego szczegóły pokrywają się zupełnie z ukrytymi aluzjami dawnego poety. Możemy więc w zasadzie wraz z wieloma współczesnymi uczonymi przyjąć z zaufaniem przekazaną przez uczonego Ojca Kościoła, Klemensa z Aleksandrii⁸³, wiadomość, że mit Demeter i Persefony był przedstawiony jako dramat religijny w misteriach eleuzyńskich.

Jeśli jednak mit był odgrywany jako część, być może nawet część najważniejsza, najstynniejszych i najbardziej uroczystych obrządków religijnych starożytnej Grecji, wówczas musimy znaleźć odpowiedź na jedno pytanie: Jak wyglądał oczyszczony z późniejszych narośli najstarszy rdzeń mitu, który ukazuje się wiekom późniejszym przekształcony i otoczony aureolą nabożnego lęku i tajemniczości, rozświetlony najpiękniejszymi promieniami greckiej sztuki i literatury? Jeśli pójdziemy za wskazaniem najstarszego literackiego autorytetu w tej sprawie, autora homeryckiego *Hymnu do Demeter*, zagadka nie będzie trudna do rozwiązania. Postacie obu bogiń, matki i córki, stapiają się w personifikację zboża. W każdym razie odnosi się to prawie z pewnością do córki, Persefony. Bogini spędzająca co roku trzy, a według innej wersji mitu, sześć miesięcy ze zmarłymi pod ziemią, resztę zaś czasu z żywymi na ziemi, pod której nieobecność ziarno jęczmienia ukryte jest w ziemi, a pola leżą ugięte, po której powrocie na wiosnę do górnego świata wyrasta zboże z roli, a ziemia okrywa się kwieciami i zielenią - bogini taka nie może być przecie niczym innym jak mitycznym wcieleniem roślinności w ogóle, a w szczególności zboża pochowanego w ziemi na kilka miesięcy zimowych i powracającego ponownie do życia, jak z grobu, na wiosnę w postaci kielkujących pędów zboża i rozwijających się kwiatów i liści. Żadne inne rozsądne tłumaczenie postaci Persefony nie wydaje się możliwe. A jeśli córka bogini była uosobieniem młodego tegorocznego zboża, czyż bogini matka nie może być personifikacją, starego zeszłorocznego zboża, które wydało nowe plony? Drugim możliwym poglądem na postać Demeter byłoby przyjęcie tezy, że jest ona uosobieniem ziemi, z której szerokiego łona wyrasta zboże i wszelka roślinność, mogąca w ten sposób słusznie uchodzić za jej córkę. Tego rodzaju punkt widzenia reprezentują niektórzy pisarze, zarówno starożytni, jak i nowi, i da on się z powodzeniem utrzymać. Ale wydaje się, że odrzucał go autor *Hymnu do Demeter*, nie tylko bowiem odróżniał Demeter od personifikacji Ziemi, lecz wręcz przeciwstawiał je sobie ostro. Opowiada nam bowiem, że to właśnie Ziemia zgodnie z wolą Zeusa i dla przypodobania się Plutonowi zwabiła Persefonę nakazując rosnać narcyzom, które skusiły młodą boginię do podjęcia tak dalekiej wędrówki po zielonej łące, że znalazła się poza zasięgiem pomocy. Tak więc Demeter z *Hymnu* nie tylko nie jest identyczna z boginią ziemi, lecz musiała ją nawet uważać za swą największą nieprzyjaciółkę, ponieważ na skutek jej podstępnych knozań straciła córkę. Skoro więc Demeter z *Hymnu* nie mogła być uosobieniem Ziemi, pozostaje druga możliwość, że była personifikacją zboża.

⁸³ K l e m e n s z A l e k s a n d r i i (Titus Flavius Clemens) - teolog i pisarz chrześcijański żyjący na przełomie II i III w. n. e. Napisał m. in. *Paidagogos* - mowę wychowawczą w trzech księgach podającą przepisy życia chrześcijańskiego.

Wniosek ten potwierdzają zabytki. W sztuce starożytnej Demeter i Persefona noszą na głowach korony ze zboża, a w rękach trzymają kłosa zboża na dowód tego, że są boginiami zboża. Ponadto Demeter pierwsza zdradziła Ateńczykom tajemnicę zboża i rozpowszechniła szeroko zbawienne odkrycie za pośrednictwem Tryptolemosa, którego wysłała w charakterze wędrownego misjonarza, by podzielił się tym dobrodziejstwem z całą ludzkością. Na dziełach sztuki, szczególnie na wazach, przedstawiany jest on zawsze obok Demeter w tym właśnie charakterze. Trzyma w ręku zboże i siedzi w swym powozie czasami uskrzydłonym, a czasami zaprzężonym w smoki, w którym pędzi po przestworzach siejąc ziarno na całym świecie. Wdzięczni za to bezcenne dobrodziejstwo, mieszkańcy wielu miast greckich wysyłali stale pierwociny zbiorów jęczmienia i pszenicy jako ofiary dziękczynne obu boginiom, Demeter i Persefonie, do Eleuzys, gdzie wybudowano podziemne spichrze do przechowania obfitych darów. Opowiada Teokryt, jak to na wyspie Kos w wonnych miesiącach letnich chłop przynosił swe pierwsze zbiory bogini Demeter, której zawdzięczał stodoły pełne jęczmienia. Wizerunek wiejski bogini miał w ręku kłosa i maki. Szereg nazw, którymi starożytni obdarzyli boginię, wskazuje w sposób oczywisty na jej bliskie powiązania ze zbożem.

Analiza przytoczonych tu dowodów pozwala nam na wyciągnięcie wniosku, że w umyśle przeciętnego Greka obie boginie były zasadniczo uosobieniami zboża i że w tym załączku zawarte jest wyjaśnienie całej krystalizacji ich religii. W żadnej jednak mierze nie jest to sprzeczne z twierdzeniem, że w toku długiej ewolucji religijnej z tego prostego pnia wyrosły wzniosłe koncepcje moralne i duchowe, które zakwitły piękniejszym kwieciem aniżeli jęczmień i pszenica. Przede wszystkim koncepcja ziarna pochowanego w ziemi po to, by powstało do nowego i lepszego życia, łatwo nasuwa analogię z ludzkim losem i wzmacnia nadzieję, że dla człowieka również grób może być jedynie początkiem doskonalszego i szczęśliwszego istnienia w jakimś radośniejszym, nieznanym świecie. Ta prosta i naturalna refleksja w pełni, jak się zdaje tłumaczy powiązania bogini zboża w Eleuzys z misterium śmierci i nadzieją na szczęśliwą nieśmiertelność. O tym bowiem, że starożytni uważali wtajemniczenie w misteria eleuzyńskie za klucz otwierający bramy raj, świadczą chyba aluzje dobrze poinformowanych pisarzy dotyczące się szczęścia, jakie czeka wtajemniczonych. Nietrudno nam dostrzec wątpliwość podstaw logicznych tych wybujałych nadziei, ale tonący słomki się chwyta, i nie możemy się dziwić, że Grecy, podobnie jak i my, mając przed sobą perspektywę śmierci, a w sercu wielkie umiłowanie życia, nie badali zbyt skrupulatnie argumentów przemawiających za i przeciwko nieśmiertelności człowieka. Rozumowanie, które zadowoliło św. Pawła i przyniosło pociechę niezliczonym rzeszom tych okrytych żałobą chrześcijan stojących nad otwartymi grobami swych bliskich, musiało wystarczyć starożytnym poganom, gdy i oni skłaniali głowy pod brzemieniem smutku i wpatrywali się w mroki nieznanego przy słabo już świecącym w kaganku płomyku życia. Dlatego nie lekceważymy mitu Demeter i Persefony - jednego z nielicznych mitów, w którym przez słoneczność i jasność greckiego geniuszu przebiega smuga cienia i tajemnicy śmierci - gdy szukamy jego źródeł w najbardziej znanych, a mimo to wieczne

wzruszających aspektach przyrody, w melancholijnym smutku jesieni i radosnej świeżości wiosennej zieleni.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

MATKA ZBOŻA I PANNA ZBOŻA W EUROPIE PÓŁNOCNEJ

Mannhardt dowodzi, że pierwsza część imienia Demeter pochodzi z istniejącego rzekomo w kretańskim języku słowa *deai* - jęczmień, wobec czego Demeter znaczy po prostu "Matka Jęczmienia" względnie "Matka Zboża", ponieważ różne odgałęzienia Aryjczyków stosowały słowo to w jego rdzeniu do rozmaitych zbóż. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby imię Demeter było kretańskiego pochodzenia, jako że Kreta była prawdopodobnie najstarszą siedzibą jej kultu. Ale przeciwko temu wywodowi etymologicznemu przemawia szereg poważnych argumentów i dlatego będzie rzeczą bardziej bezpieczną nie przywiązywać doń zbytnej wagi. W każdym razie znaleźliśmy inne, niezależne od powyższych powody pozwalające na zidentyfikowanie Demeter jako Matki Zboża, z dwóch zaś gatunków zboża związanych z grecką religią, a mianowicie jęczmienia i pszenicy, jęczmień ma więcej praw do tytułu jej najstarszej materii, ponieważ był nie tylko powszednią strawą Greków w czasach homeryckich, ale istnieją również podstawy pozwalające przypuszczać, że był jednym z najstarszych, jeśli nie wręcz najstarszym gatunkiem zboża uprawianym przez Aryjczyków. Za starożytnością jego uprawy przemawia niewątpliwie rola jęczmienia w religijnych obrządkach starożytnych Hindusów i Greków, a poza tym wiemy, że uprawiały go ludy mieszkające nad jeziorami w Europie epoki kamiennej.

Liczne analogie do Matki Zboża względnie Matki Jęczmienia w starożytnej Grecji wybrał z folkloru współczesnej Europy W. Mannhardt. Oto kilka przykładów:

W Niemczech zboże bywa zazwyczaj personifikowane pod nazwą Matki Zboża. Na wiosnę, gdy zboże faluje na wietrze, chłopci mawiają: "Oto idzie Matka Zboża", albo "Matka Zboża idzie przez pole", albo "Matka Zboża idzie przez zboże." Gdy dzieci chcą zbierać w polu niebieskie bławatki i czerwone maki, straszy się je, że w zbożu siedzi Matka Zboża, która je złapie. Nazywa się ją również w zależności od uprawy Matką Żyta lub Matką Grochu i straszy się nią dzieci, by nie lażyły w żyto lub groch. Ludzie wierzą, że Matka Zboża każe dojrzewać plonom. Tak więc w okolicy Magdeburga mawiają czasami: "Będzie urodzaj lnu, bo ukazała się Matka Lnu." W jednej z wiosek styryjskich twierdzą, że można zobaczyć Matkę Zboża w postaci kobiecej kukły, sporządzonej z ostatniego snopka zeszłorocznego zboża i ubranej na biało, o północy w łąkach zboża; użyźnia je chodząc po nich, ale gdy gniewa się na gospodarza, niszczy mu całe zbiory.

Matka Zboża odgrywa poważną rolę w zwyczajach dożynkowych. Ludzie wierzą, że przebywa ona w ostatniej garści zboża pozostawionej na polu, a gdy się je zetnie, wówczas albo zostanie schwytana, albo przepędzona, albo wręcz zabita. W pierwszych przypadkach zanoszą się snop wesoło do domu i traktuje go z honorami jak bóstwo. Umieszcza się go w stodole, a podczas młócki duch zboża ponownie się zjawia.

Również u Słowian ostatni snop zwany jest Matką Pszenicy, Żyta, Jęczmienia czy Owsa w zależności od gatunku zbieranego zboża. W Galicji, w okręgu tarnowskim, wieniec spleciony z ostatnich

kłosów zwany jest Matką Pszenicy, Żyta lub Grochu. Wianek kładzie się jednej z dziewcząt na głowę, a potem przechowuje go do wiosny, kiedy to kilka ziarenek miesza się z ziarnem siewnym. Zwyczaj ten również wskazuje na siłę użyźniającą Matki Zboża.

W Szkocji, gdy ostatnie kłosy zboża zostają zżęte po Wszystkich Świętych, sporządza się z nich kobiecą kukłę, zwaną czasem Carlin lub Carline, to znaczy Staruchą. Jeśli jednak zżęto je przed dniem Wszystkich Świętych, wówczas zwie się ona Panną. Jeśli zboże zostało ścięte po zachodzie słońca, kukłę, którą z niego robiono, zwano Wiedźmą i uważano, że przynosi nieszczęście. U górali szkockich ostatnie zboże zżęte w czasie żniw nazywa się albo Staruchą (*Cailleach*), albo Panną; pierwsza nazwa jest używana przeważnie w okręgach zachodnich, druga we wschodnich i środkowych. O Pannie będzie jeszcze mowa, w tym miejscu zajmiemy się Staruchą. Oto opis obyczaju podany przez starannego i dobrze zorientowanego badacza, pastora J. G. Campbella, którego parafia znajdowała się na odległej wyspie Tyree w archipelagu Hebryd: "Żniwna Starucha (*a Chailleach*). Gdy kończono żniwa, nikt nie chciał być ostatni, a gdy ziemia była uprawiana wspólnie, znane były wypadki pozostawiania nie zżętego ładu (nikt się doń nie przyznawał), ponieważ pozostał on na sam koniec. Obawiano się bowiem, że ten, któremu ostatni ład przypadnie, będzie musiał żywić do następnych zbiorów «głód gospodarstwa» (*gort a bhaille*) w postaci wymaginowanej staruszki (*Cailleach*). Strach przed tą staruchą był źródłem rywalizacji i zabawy... Pierwszy gospodarz, który sprawił się ze żniwami, robił kukłę z kilku kłosów zboża i posyłał ją swemu najbliższemu sąsiadowi. Ten z kolei, gdy skończył, przekazywał ją następnemu, jeszcze mniej sprawnemu, a osoba, której «starucha» przypadała na końcu, musiała ją przechować do następnego roku."

Podobne obyczaje istniały u ludów słowiańskich. W Polsce ostatni snop zwie się Babą. Mówi się, że "w ostatnim snopie siedzi Baba". Sam snop również nazywa się Babą i niekiedy składa się z dwunastu małych snopków związanych razem. W niektórych okolicach Czech Baba zrobiona z ostatniego snopa ma kształt niewieści i ubiera się ją w duży słomiany kapelusz. Dwie dziewczyny zabierają Babę do domu na ostatnim wozie zjeżdżającym z pola i oddają gospodarzowi wraz z wieńcem. Kobiety wiążące snopy starają się nie być na końcu, ta bowiem, która zwiąże ostatni snop, będzie miała dziecko w przyszłym roku. Żniwiarze wołają niekiedy do kobiety wiążącej ostatni snop: "Jesteś Baba", albo "Masz Babę." W okolicach Krakowa, gdy mężczyzna wiąże ostatni snop, mawia się: "Dziadek siedzi w tym snopie", a gdy snop wiąże kobieta: "Baba w nim siedzi." Kobietę tę zawiązuje się w snopie tak, że tylko głowa jej wystaje. Po czym na ostatnim wozie zabiera się ją do domu, gdzie cała rodzina polewa ją wodą. Przebywa ona w snopie przez cały czas trwania tańców i przez cały rok nazywają ją Babą.

W opisanych powyżej przypadkach uważa się, że duch dojrzałego zboża jest stary lub co najmniej w dojrzałym wieku. Stąd nazwy Matka, Babka, Starucha itp. Ale w innych wypadkach duch zboża bywa młody. W Saldem w pobliżu Wolfenbuttel po zebraniu żyta wiązuje się sznurem! trzy snopy w ten sposób, że powstaje kukła, której głową są kłosy zboża. Kukła nazywa się Panną lub Panną Zboża. Niekiedy duch zboża występuje w postaci dziecka, które zostało oderwane od matki cięciem sierpa.

Występuje to w polskim zwyczaju wołania do mężczyzny, który zżął ostatnie kłosy: "Przecieliście pępowinę." W niektórych okręgach Prus Zachodnich⁸⁴ figura zrobiona z ostatnich kłosów zboża nazywa się Bękartem i wiąże się w niej chłopca. Kobiecie, która wiąże ostatni snop i reprezentuje Matkę Zboża, mówi się, że czeka ją teraz połóg. Krzyczy ona, jakby rodziła, a stara kobieta grająca rolę babki postępuje jak położna. Wreszcie rozlega się okrzyk, że dziecko przyszło na świat. Chłopak związany w snopie zaczyna wówczas popłakiwać i piszcząć jak nowo narodzone niemowlę. Babka owija dziecko w worek, który ma naśladować powijaki, po czym zanoszą je wesoło do stodoły, by nie przeziębilo się na dworze.

Nieco dojrzalszy, chociaż wciąż jeszcze młodzieńczy wiek przypisuje się duchowi zboża dając mu nazwę Narzeczonej, Narzeczonej Owsa czy Pszenicy, którą w Niemczech czasami obdarza się zarówno ostatni snop, jak i kobietę, która go wiąże. Tendencja ukryta w nazwie "Naręczona" występuje niekiedy bardziej jawnie, gdy siły płodne roślinności przedstawiane są jako młoda para. Tak na przykład w Vorharz Owsiany Mężczyzna i Owsiana Niewiasta tańczą podczas dożynek. W Południowej Saksonii Owsiani Państwo Młodzi występują w uroczystościach dożynkowych. Owsiany Pan Młody cały jest opleciony słomą, a Panną Młodą jest mężczyzna ubrany w kobiece strój, ale nie zawinięty w słomę. Parę tę zaciągają się na wozie do karczmy, gdzie odbywa się zabawa. Na początku zabawy tancerze wyskubują kłosy garściami z Pana Młodego, on zaś stara się je zachować, aż wreszcie zostaje nagi, wystawiony na śmiech i żarty kompanii.

W okolicach Nysy na Śląsku Króla i Królowę Owsa przebiera się za młodą parę, sadza na brzoń zaprzężoną w woły i zawozi do wsi.

W tych ostatnich przypadkach duch zboża występuje jako dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Ale niekiedy duch pojawia się jako dwie niewiasty, młoda i stara, stanowiąc dokładny odpowiednik greckiej Demeter i Persefony, jeśli moja interpretacja tych bogiń jest trafna. Wiemy już, że w Szkocji - zwłaszcza wśród ludności mówiącej po galicku - zboże zżęte na końcu nazywa się albo Staruchą, albo Panną. Otóż istnieją w Szkocji okolice, w których podczas żniw ścina się zarówno Staruchę (*Cailleach*), jak i Pannę. Opisy tych obyczajów nie są zbyt jasne i konsekwentne, ale, jak się zdaje, ogólną zasadą jest, że tam gdzie zarówno Starucha jak i Panna zrobione są ze zboża ściętego podczas żniw, Pannę robi się z ostatnich kłosów i przechowuje ją gospodarz, na którego polu je ścięto, natomiast Starucha zrobiona jest z innych kłosów, niekiedy ściętych na samym początku, i stale przekazywana jest leniwemu gospodarzowi, który jeszcze pracuje w polu, gdy jego szybszy sąsiad już skończył robotę. Tak więc każdy chłop zachowuje swoją własną Pannę jako ucieleśnienie młodego i owocnego ducha zboża, Starucha zaś przekazywana jest możliwie jak najszybciej sąsiadowi i może ona w ten sposób obejść wszystkie gospodarstwa w okolicy, zanim znajdzie miejsce, gdzie mogłaby złożyć swą steraną głowę. Gospodarz, u którego w końcu znajdzie schronienie, jest oczywiście tym, który ostatni zakończył żniwa,

⁸⁴ Jest to nazwa przetłumaczona przez Frazera z niemieckiego, w rzeczywistości jest tu mowa o terenach województwa

jest to więc zaszczyt raczej nie do pozazdrosczenia. Wszyscy uważają, że czeka go bieda względnie "zaspokajanie głodu gminy" przez cały następny rok.

Opisane tu obyczaje żniwne cechuje uderzające podobieństwo do obyczajów związanych z nadejściem wiosny, opisanych już wyżej, jest wobec tego rzeczą oczywistą, że jedne i drugie oparte są na tym samym starodawnym sposobie myślenia i są częścią składową tego samego prymitywnego pogaństwa, któremu niewątpliwie oddawali się nasi przodkowie na długo przed świtem historii. Warto zwrócić uwagę na następujące cechy pierwotnego kultu:

Dla obrządków nie ma wydzielonej specjalnej kategorii ludzi, innymi słowy, nie ma kapłanów. Może je wykonywać każdy, gdy wymaga tego okoliczność.

Nie odbywają się one w żadnym specjalnym miejscu, innymi słowy, nie istnieją świątynie. Można je obchodzić wszędzie w zależności od wymogów chwili.

Występują w nich duchy, a nie bogowie, (a) W odróżnieniu od bogów, działalność duchów ogranicza się do określonych dziedzin przyrody. Noszą one imiona ogólne, a nie własne. Ich atrybuty są bardziej natury ogólnej aniżeli indywidualnej, innymi słowy, istnieje niezliczona ilość duchów każdej kategorii, a poszczególne duchy należące do jednej kategorii są do siebie podobne. Nie posiadają wyraźnie zaznaczonej indywidualności. Nie istnieją legendy o ich narodzeniu, życiu, przygodach i charakterze, (b) Władza bogów w odróżnieniu od duchów nie ogranicza się do poszczególnych dziedzin przyrody. Co prawda istnieje zazwyczaj jedna szczególna dziedzina, nad którą panują, ale nie są oni z nią rygorystycznie związani. Mogą swą władzę rozciągnąć, dla czynienia dobra lub zła, na wiele innych dziedzin przyrody i życia. Posiadają ponadto imiona własne, jak Demeter, Persefona, Dionizos, a ich indywidualne charaktery i dzieje ustalone są w istniejących mitach i dziełach sztuki.

Obrządki mają bardziej charakter magiczny aniżeli błagalny. Innymi słowy, cel pożądaný osiąganý jest nie przez uproszenie łaski bóstwa poprzez ofiary, modlitwy i chwalby, ale przez ceremonie, które, jak to już wyjaśniłem, mają niby to bezpośrednio wpłynąć na bieg przyrody dzięki związkowi powinowactwa czy podobieństwa między obrządkiem a skutkiem, mającym nastąpić w wyniku obrządku.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

PODWÓJNE WCIELENIENIE ZBOŻA JAKO MATKI

I CÓRKI

Niemiecka Matka Zboża i szkocka Panna Żniwna pojawiły się wcześniej, znacznie wcześniej niż Demeter i Persefona, które już były wytworem religii. Grecy jednak jako Aryjczycy zapewne posiadali niegdyś zwyczaje żniwne podobne do tych, jakie zachowały się po dziś dzień u Celtów, Germanów i Teutonów i jakie daleko poza granicami świata aryjskiego praktykowane były przez Indian w Peru i ludy Indii Wschodnich. Świadczyłoby to, że owe obrządki znane były nie tylko jednej rasie, lecz narzucały się w sposób naturalny wszystkim nieoświeconym ludom trudniącym się rolnictwem. Jest rzeczą możliwą, że majestatyczne i piękne postacie mitologii greckiej wyrosły z tej właśnie prostej wiary i praktyk nadal kwitnących wśród współczesnego chłopstwa i że ich prymitywne kukły ze złotych kłosów powstały na wielu polach znacznie wcześniej aniżeli tchnące życiem posągi wykute przez genialne ręce Fidiasza i Praksytelesa. Do końca przetrwało wspomnienie tych dawnych czasów, chciałoby się rzec, ślad zapachu owych pól zżętych, w nazwie *Kore* (panna) powszechnie nadawanej Persefonie. Jeśli więc prototypem Demeter jest niemiecka Matka Zboża, to szkocka Panna Żniwna, którą co roku robią na jesieni w Braes w Balquhider, jest prototypem Persefony. Gdybyśmy więcej wiedzieli o chłopach Grecji starożytnej, to, być może, okazałoby się, że i oni wiązali co roku z dojrzałych kłosów swe Matki Zboża (Demeter) i Panny (Persefony). Niestety, znane nam boginie są mieszkankami miast, zamieszkującymi wspaniałe świątynie. Tylko takie bóstwa dostrzegali subtelni pisarze starożytni, niegodne były ich uwagi prymitywne obrządki wieśniaków. A jeśli nawet je dostrzegali, to na myśl im nie przychodziło, by mógł istnieć jakikolwiek związek między kukłami z złotych kłosów zboża ustawionymi na zalanych słońcem rżyskach a marmurowymi boginiami stojącymi w cieniście chłodzie świątyni. Mimo to nawet pisma tych wychowanych w miastach i uczonych osób pozwalają nam chwilami rzucić okiem na Demeter w postaci tak prymitywnej, w jakiej by można ją tylko dostrzec w najbardziej zapadłej niemieckiej wiosce. Tak więc opowieść o tym, jak lasjon spłodził z Demeter Plutusa ("bogactwo", "dostatek") na trzykrotnie zaoranym polu, można porównać z pomorskim obyczajem udawanych narodzin dziecka na polu żniwnym. W tym pomorskim zwyczaju rzekoma matka przedstawia Matkę Zboża (Żytnia Matka), a rzekome dziecko przedstawia Dziecko Zboża, cała zaś ceremonia to czary mające na celu zapewnić plony przyszłoroczne. Zarówno obyczaj, jak i legenda świadczą o istnieniu starszego zwyczaju dokonywania wśród rosnącego zboża udawanego lub rzeczywistego aktu płodzenia, za pomocą którego, jak wiemy, człowiek prymitywny próbuje przelać swe własne siły żywotne na ospałą względnie zamierającą przyrodę. Dalej, rozważając inny aspekt tych rolniczych bóstw, jeszcze raz spojrzymy przelotnie na warstwę dzikości ukrytą w cywilizowanej Demeter.

Czytelnik zapewne zauważy, że we współczesnych zwyczajach ludowych duch zboża występuje zazwyczaj bądź to jako Matka Zboża (Starucha itd.), bądź też jako Panna (Dziecko Żniwne itd.), ale nie

równocześnie jako Matka Zboża i Panna. Dlaczego więc Grecy przedstawiają zboże równocześnie jako matkę i córkę?

W bretońskim zwyczaju snop-matka, duża kukła sporządzona z ostatniego snopa z małą kukłą zbożową w środku, niewątpliwie przedstawia równocześnie Matkę i nie narodzoną jeszcze Córkę Zboża. W pruskim zwyczaju, o którym dopiero co była mowa, kobieta odgrywająca rolę Matki Zboża przedstawia dojrzałe zboże, zaś dziecko gra przypuszczalnie rolę przyszłorocznego zboża, które można oczywiście uważać za dziecko tegorocznego zboża, jako że z ziarna tegorocznych zbiorów wyrosną plony następnej wiosny. Na Półwyspie Malajskim, podobnie jak niekiedy wśród górali szkockich, duch zboża występuje w podwójnej postaci kobiecej, młodej i starej, obie zaś sporządza się z kłosów dojrzałego zboża. W Szkocji stary duch zboża zwany jest Carline lub *Cailleach*, młody zaś Panną, podczas gdy u Malajów na Półwyspie dwa duchy ryżu są wyraźnie spokrewnione z sobą jak matka i dziecko. Demeter przez analogię byłaby dojrzałym tegorocznym plonem, a Persefona ziarnem siewnym sianym na jesieni, by pojawiło się na wiosnę. Zejście Persefony do podziemi byłoby zgodnie z tą koncepcją mitycznym odpowiednikiem siewu, a jej ponowne ukazanie się wiosną na ziemi oznaczałoby kiełkowanie młodego zboża. W ten sposób Persefona z jednego roku staje się Demeter w następnym i jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że taka była pierwotna postać mitu. Gdy jednak w miarę postępu myśli religijnej personifikowane zboże, przechodzące w ciągu roku cały cykl urodzin, wzrostu, mnożenia się i śmierci, ustąpiło miejsca nieśmiertelnej bogini, logika wymagała, by jedno z wcieleń, matka lub córka, zostało złożone w ofierze. Ale, być może, podwójna koncepcja zboża jako matki i córki była zbyt dawna i zbyt głęboko zakorzeniona w umysłach ludzi, by mogła wykorzystać ją logika; znaleziono wobec tego miejsce dla obu pojęć w zreformowanym micie przez wyznaczenie Persefonie roli zboża sianego na jesieni i kiełkującego na wiosnę. Demeter natomiast pozostawiono nieco niejasną rolę ciężarnej Matki Zboża, oplakującej corocznie jego znikanie pod ziemią i radującej się na jego powrót na wiosnę. Tak więc zamiast regularnego następstwa istot boskich, z których każda żyje rok, po czym daje życie następnej, nowy mit ukazuje koncepcję dwóch boskich i nieśmiertelnych istot, z których jedna co roku znika pod ziemią i pojawia się z powrotem, podczas gdy drugiej nie pozostaje nic innego, jak płakać i radować się w odpowiednich porach roku.

Teoria ta o podwójnym uosobieniu zboża w greckim micie zakłada, że obie personifikacje (Demeter i Persefona) są oryginalne. Jeśli jednak założymy, że grecki mit początkowo miał jedną tylko personifikację, być może, późniejsza narośl w postaci drugiej personifikacji da się wówczas wytłumaczyć w następujący sposób: Przypatrując się uważniej analizowanym dotąd zwyczajom dożynkowym możemy wyodrębnić w nich dwie całkowicie różne koncepcje ducha zboża. W niektórych zwyczajach duch zboża traktowany jest jako immanentnie istniejący w zbożu, w innych jest on czynnikiem zewnętrznym. Tak więc wtedy, gdy poszczególny snop nazywany jest imieniem ducha zboża, przebierany i traktowany z należytym szacunkiem, duch niewątpliwie immanentnie znajduje się w zbożu. Gdy jednak uważa się, że duch powoduje dojrzewanie zboża przechodząc przez nie

względnie może je zniszczyć, gdy ma pretensję do gospodarza, pojmowany jest wówczas niewątpliwie w oddzielnej postaci, chociaż posiada nad zbożem władzę. W tej ostatniej postaci duch zboża jest oczywiście na najlepszej drodze, by zostać bóstwem zboża, jeśli już nie został nim dotąd. Z owych dwu koncepcji ta, która uważa, że duch zboża immanentnie przebywa w zbożu, jest niewątpliwie starsza, ponieważ pogląd na przyrodę ożywioną przez zamieszkujące ją duchy wyprzedzał zazwyczaj poglądy, według których przyroda jest rządzona przez zewnętrzne bóstwa, krótko mówiąc, animizm poprzedza deizm. W żniwnych obyczajach chłopów europejskich duch zboża raz jest pojmowany jako immanentnie istniejący w zbożu, to znów jako istniejący poza nim. Natomiast w greckiej mitologii Demeter uchodzi raczej za bóstwo zboża aniżeli za ducha immanentnie w nim przebywającego. Przejście od jednej koncepcji do drugiej odbywa się dzięki procesowi zwanemu antropomorfizmem, to znaczy przez stopniowe nadawanie duchom immanentnym coraz to nowych cech ludzkich. W miarę wydzwigania się ludzi ze stadium barbarzyństwa wzmagają się tendencja ucłowieczania bóstw. Im bardziej zaś stają się one ludzkie, tym większa dzieli je przepaść od przyrody, którą dotąd jedynie ożywiały jako duchy lub dusze. Postęp ten jednak nie odbywa się równomiernie w czasie i chociaż bogowie antropomorficzni mogą zadowalać religijne potrzeby dojrzałych urnysłów, bardziej zacofani członkowie społeczeństwa trzymać się będą dawnych pojęć animistycznych. Gdy więc duch jakiegokolwiek elementu przyrody, jak na przykład zboża, otrzymuje cechy ludzkie, zostaje oderwany od swego elementu i przekształcony w bóstwo nim władające; sam element, pozbawiony ducha, pozostaje nie ożywiony. Staje się, że tak powiem, próżnią duchową. Ale wyobraźnia ludowa, nie znosząca takiej próżni, innymi słowy, niezdolna do zrozumienia czegokolwiek nie ożywionego, natychmiast tworzy nową mityczną istotę, która zaludnia opustoszałe miejsce. W ten sposób ten sam element przyrody jest reprezentowany w mitologii przez dwie oddzielne istoty, przez dawnego ducha, który obecnie został odeń odseparowany i awansował do rangi bóstwa, oraz przez nowego ducha, świeżo stworzonego przez wyobraźnię ludową dla zapelnienia miejsca zwolnionego przez starego ducha, który przeniósł się w wyższe sfery. Cóż ma wobec tego uczynić mitologia, gdy znajdzie się z dwoma oddzielnymi wcieleniami tego samego elementu? W jaki sposób uregulować stosunki między nimi i znaleźć dla obu miejsce w systemie mitologii? Gdy stary duch czy też nowe bóstwo występuje jako twórca względnie stwórca danego elementu, wówczas sprawa jest prosta. Skoro element został stworzony przez dawnego ducha, a ożywiony przez nowego, ten ostatni, jako dusza elementu, musi również zawdzięczać swe istnienie pierwszemu. W ten sposób stosunek dawnego ducha do nowego będzie stosunkiem twórcy do dzieła stworzonego, a więc w mitologii stosunkiem rodzica do dziecka, jeśli zaś oba duchy są płci żeńskiej, wówczas będzie to stosunek matki do córki. W ten sposób wychodząc od pojedynczej personifikacji zboża, jako istoty płci żeńskiej, wyobraźnia mitologiczna może z czasem dojść do koncepcji podwójnej personifikacji jako matki i córki. Byłoby rzeczą bardzo pochoptną utrzymywać, że tak właśnie w rzeczywistości ukształtował się mit Demeter i Persefony, ale wydaje się, że usprawiedliwiony jest domysł, iż tego rodzaju podwojenie bóstw, którego przykładem są Demeter i

Persefona, mogło czasami zdarzyć się w sposób tu przedstawiony. Tak na przykład dowiedziono w przypadkach par bóstw, analizowanych w poprzedniej części niniejszej pracy, że istnieją podstawy do przypuszczenia, iż Izyda i jej towarzysz Ozyrys oboje byli uosobieniem zboża. Na podstawie proponowanej hipotezy Izyda byłaby dawnym duchem zboża, Ozyrys zaś nowym, powiązany z dawnymi stosunkami braterskimi, małżeńskimi lub synowskimi w zależności od interpretacji, bo przecież mitologia zawsze może w rozmaity sposób wytłumaczyć współistnienie dwóch bóstw. Nie należy jednak zapominać, że proponowane tu wyjaśnienie istnienia par bóstw, takich jak Persefona i Demeter czy Izyda i Ozyrys jest jedynie hipotetyczne.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

LITYERSES

Próbowaliśmy dowieść, że Demeter i Persefona są prototypami Matki Zboża i Panny Zboża w Europie Północnej. Ale brak jeszcze głównej cechy podobieństwa. Najważniejszym wydarzeniem w greckim micie jest śmierć i zmartwychwstanie Persefony. W zespoleniu z naturą bogini jako bóstwa roślinności wydarzenie to łączy ów mit z kultem Adonisa, Attisa, Ozyrysa i Dionizosa. Należy wobec tego zorientować się, czy koncepcja dorocznej śmierci i zmartwychwstania boga, odgrywająca tak wybitną rolę w tych wielkich greckich i wschodnich kultach, nie posiada również swego źródła względnie analogii w wiejskich obrządkach urządzanych przez żniwiarzy i hodowców winnej latorośli na polach i w winnicach.

Przyznaliśmy się już do ogólnej nieznamości powszechnych przesądów i obyczajów starożytnych, w tym jednak wypadku mroki osłaniające najdawniejsze początki starożytnej religii nieco się rozjaśniają. Siedzibami kultów Ozyrysa, Adonisa i Attisa były, jak wiemy, Egipt, Syria i Frygia. Wiadomo, że każdy z tych krajów miał obrządki związane ze żniwami i winobraniami podobne do siebie i do kultów narodowych. Podobieństwo to zwróciło już uwagę starożytnych, a porównanie ich z obyczajami żniwnymi współczesnych chłopów i ludzi dzikich rzuca pewne światło na wspomniane rytuały.

Mówiliśmy już powołując się na Diodorusa o tym, że w starożytnym Egipcie żniwiarze mieli zwyczaj lamentowania nad pierwszym ściętym snopem, wzywając przy tym Izydę, boginię, której zawdzięczali odkrycie zboża. Grecy nazwali te pieśni żałobne czy okrzyki egipskich żniwiarzy Maneros i wyjaśniali je opowieścią o jedyńaku pierwszego egipskiego króla, Manerosie, który wynalazł rolnictwo i umierając przedwcześnie był w ten sposób opłakiwany przez lud. Wydaje się jednak, że imię Maneros jest wynikiem niezrozumienia formuły *maa-ne-hra* - "przyjdź do domu", którą odkryto w wielu egipskich zabytkach pisanych, między innymi w trenie na śmierć Izydy w Księdze Umarłych. Możemy więc przypuszczać, że wołanie *maa-ne-hra* było opłakiwaniem przez żniwiarzy śmierci ducha zboża (Izydy lub Ozyrysa) na skutek ścięcia zboża i modlitwą o jego powrót. Skoro okrzyk ten wznoszono nad pierwszymi zżętymi kłosami, wydaje się rzeczą prawdopodobną, że Egipcjanie wierzyli, iż duch zboża znajduje się w pierwszych zżętych kłosach i ginie pod sierpem.

W Fenicji i Azji Zachodniej śpiewano podczas winobrania żałobną pieśń, podobną do lamentu egipskich żniwiarzy, i prawdopodobnie (sądząc według analogii) również w czasie żniw. Grecy nazywali tę fenicką pieśń Linus lub Ailinus i, podobnie jak w wypadku Maneros, uważali ją za lament na śmierć młodzieńca zwanego Linus. Według jednej opowieści Linus został wychowany przez pasterza i rozszarpany przez psy. Ale podobnie jak imię Maneros, Linus i Ailinus powstało, jak się zdaje, z nieporozumienia i, być może, nie było to nic innego, jak *ai lanu*, to znaczy "biada nam" - okrzyk Fenicjan opłakujących Adonisa. W każdym razie Safo przypuszczalnie uważała Adonisa i Linusa za jedno i to samo bóstwo.

We Frygii podobna pieśń śpiewana przez żniwiarzy podczas żniw i młócki zwana była Lityerses. Według jednej opowieści Lityerses był bękartem króla frygijskiego Midasa i mieszkał w Kelainai. Zwykł był żąć zboże i cieszył się ogromnym apetytem. Gdy obcy człowiek zawędrował w zboże lub przechodził obok pola, Lityerses poił go i karmił obficie, po czym zabierał go na pola nad brzegami Meandra i zmuszał do pracy razem z nim. Na końcu miał zwyczaj zawiązywania obcego w snop, a potem ścinał mu sierpem głowę i zabierał ciało związane między kłosami zboża. Aż wreszcie Herkules zaczął żąć razem z nim, odciął mu głowę sierpem i wrzucił ciało do rzeki. Z tego, że Herkules ścinał Lityersesa tak, jak on ścinał innych, możemy wyciągnąć wniosek, że Lityerses również wrzucał ciała swych ofiar do rzeki. Według innej wersji tej opowieści Lityerses, syn Midasa, zwykł był namawiać ludzi do współzawodniczenia z nim w żęciu zboża, a gdy udało mu się ich pokonać, sprawiał im lanie. Razu pewnego spotkał się jednak z silniejszym żniwiarzem, który go zamordował.

Istnieją pewne powody pozwalające przypuszczać, że w tych opowieściach o Lityersesie mamy opis frygijskich zwyczajów żniwnych, według których pewne osoby, w szczególności obcych, przechodzących obok pola, uważano za wcielenia ducha zboża. Chwyтали ich żniwiarze, pakowali w snopy, ścinali im głowy, a ich ciała, związane między kłosami, wrzucali do wody, co miało być zaklęciem na deszcz. Tego rodzaju hipoteza opiera się, po pierwsze: na podobieństwie między opowieścią o Lityersesie a zwyczajami żniwnymi chłopstwa europejskiego, po drugie zaś, na częstym składaniu ofiar ludzkich przez ludy prymitywne dla zwiększenia płodności ich łąnów.

Podobnie jak starożytny Lityerses, współcześni żniwiarze europejscy mieli zwyczaj zatrzymywania przechodzącego obcego człowieka i wiązania go w snopie. Nie należy się spodziewać, by doprowadzali analogię do końca i ścinali mu głowę, ale jeśli nawet nie podejmowali tak ostrych kroków, język ich i gesty wskazywały w każdym razie na to, że uczyniliby to chętnie. W Meklemburgii na przykład w pierwszy dzień żniw, jeśli gospodarz, gospodyni albo człowiek obcy wchodzi na pole czy też chociażby przechodzą tylko obok pola, wszyscy kosiarze zwracają się ku nim, ostrzą kosy i hałasują osetkami, jak gdyby zabierali się do koszenia. Po czym kobieta przewodząca kosiarzom występuje i przewiązuje obcemu wstążkę na lewym ramieniu. Musi on wykupić się płacąc odpowiedni okup.

A oto przykład tego, co mówią żeńcy przy takich okazjach. W niektórych okolicach Pomorza zatrzymują każdego przechodnia i zagradzają mu drogę sznurem splecionym ze zboża. Żniwiarze ustawiają się w koło, ostrzą kosy, a ich przywódca mówi:

*Jesteśmy gotowi
Do żniwa na łanie,
Kosy naostrzone –
Będziesz zżęty, panie!*

Po czym powtarza się ostrzenie kos. We wsi Ramin w rejonie Szczecina do obcego, otoczonego kołem żniwiarzy, zwracają się w następujący sposób:

*Zetniemy cię, panie,
Chłopcy w snop cię zwiążą...
Gdy ścinamy żyto –*

*Nie żałujmy książąt!
Ale nasi chłopcy
Piwo mają w cenie –
Często im przy pracy
Dokucza pragnienie.
Jeśli dacie piwa –
Wnet się skończą żarty,
A kto nie postawi,
Ten jest kosy warty.*

Również i na klepisku obcy uważani są za wcielenia ducha zboża i odpowiednio traktowani. W Wiendingharde w Szlezwiku obcemu, który zjawi się na klepisku, stawiają pytanie: "Nauczyć cię tańca cepów?" Jeśli odpowiada twierdząco, nakładają mu na szyję oba kije cepa i ściskają tak mocno, że obcy nieomal się dusi. W niektórych parafiach Warmland (Szwecja), gdy obcy zajdzie na klepisko podczas młócki, mówią mu, że go nauczą "pieśni młócenia". Po czym nakładają mu cep na szyję, a ciało przewiązują słomianym sznurem, gdy zaś obca kobieta wejdzie na klepisko, młóccący ściskają wokół niej cep, na szyi zawieszają jej wieniec z kłosów zboża i wołają: "Patrzcie, Zbożowa Kobieta! Patrzcie, tak wygląda Panna Zboża!"

Tak więc w tych obrządkach żniwnych współczesnej Europy osoba ścinająca, wiążąca lub młócząca ostatnie kłosa zboża traktowana jest jako uosobienie ducha zboża. Wsadza się ją w snop i wiąże, pozoruje jej zabójstwo narzędziami rolniczymi i wrzuca do wody. Te zbieżności z historią Lityersesa dowodzą przypuszczalnie, że jest ona autentycznym odzwierciedleniem dawnego frygijskiego obyczaju żniwnego. Ponieważ jednak we współczesnych odpowiednikach zabijanie osoby reprezentującej ducha zboża jest z konieczności opuszczane albo co najwyżej odgrywane, warto by dowieść, że w społeczeństwie barbarzyńskim istoty ludzkie bywały zazwyczaj zabijane podczas ceremonii rolniczej mającej na celu zwiększenie płodności pól. Wyjaśnią to następujące przykłady:

Indianie z Guayaquilu w Ekwadorze składali ofiary z krwi i serc ludzi, gdy zasiewali swe pola. Mieszkańcy Cañar (obecnie Cuenca w Ekwadorze) składali co roku w ofierze sto dzieci w porze żniw. Królowie Quito, Inkowie z Peru i przez długi czas Hiszpanie nie byli w stanie zlikwidować tych krwawych obrzędów. Podczas meksykańskiego święta żniw, gdy pierwsze plody ofiarowano słońcu, umieszczano między dwoma opartymi o siebie olbrzymimi głazami przestępcę, którego głazy te następnie zgniatały, gdy waliły się na siebie. Jego szczątki grzebano, po czym urządzano biesiadę i tańce. Ofiara nazywana była "spotkaniem głazów".

Najlepiej znany jest przykład systematycznego składania ofiar ludzkich dla zapewnienia dobrych zbiorów u Khondów lub Khandów, jednego z ludów drawidzkich w Bengalu. Opisali je brytyjscy oficerowie, którzy w połowie dziewiętnastego wieku zajmowali się likwidacją tych ceremonii. Ofiary składano bogini ziemi Tari Pennu lub Bera Pennu. Miały one zapewnić pomyślne zbiory i chroniły przed wszelkimi chorobami i wypadkami. Szczególnie niezbędne były one przy uprawie turmeryku, ponieważ, jak to tłumaczyli Khondowie, roślina ta nie będzie miała swej głębokiej czerwieni bez przelania krwi. Bogini przyjmowała ofiarę, czyli, jak ją zwano, *meriah* jedynie wtedy, gdy była zakupiona lub jeśli była

dzieckiem ofiary, to znaczy synem ojca złożonego w ofierze, względnie jako dziecko została przeznaczona na ofiarę przez swego ojca lub opiekuna. Khondowie w biedzie sprzedawali często swe dzieci na ofiary "pamiętając o tym, że zapewniają w ten sposób ich duszom uświęcenie, a śmierć ich dla dobra ludzkości była jak najbardziej zaszczytna". Widziano pewnego razu, jak człowiek z plemienia Panua obrzucał jakiegoś Khondę przekleństwami i wreszcie napluł mu w twarz, ponieważ sprzedał on na ofiarę swe własne dziecko, które Panua chciał poślubić. Khondowie, którzy byli świadkami tego zajścia, pośpieszyli z pocieszeniami mówiąc człowiekowi, który sprzedał swe dziecko: "Dziecko twoje umarło, by cały świat mógł żyć, a bogini ziemi sama zetrze ślady oplucia z twjej twarzy." *Meriah* przetrzymywano często latami, zanim składano je w ofierze. Jako istoty poświęcone, otoczone były wielką sympatią mieszaną z szacunkiem i gdziekolwiek się pojawiały, były mile widziane. Młodzieniec *meriah* po dojściu do wieku dojrzałego otrzymywał zazwyczaj żonę, najczęściej również *meriah*, czyli ofiarę, oraz przydział ziemi i bydła. Ich potomstwo również było *meriah* - ofiarami. Plemiona, rody lub wsie składały ludzkie ofiary zarówno podczas świąt stałych, jak i przy okazjach nadzwyczajnych. Ofiary okresowe były zazwyczaj w ten sposób podzielone między plemiona i części plemion, że każda głowa rodziny mogła przynajmniej raz do roku zdobyć kawałek ciała ofiary dla swych pól, zazwyczaj w okresie siewu głównych upraw.

A oto jak przedstawiał się przebieg tych plemiennych ofiar. Na dziesięć lub dwanaście dni przed ceremonią ofiarę poświęcano obcinając jej nie strzyżone dotąd włosy. Tłumy mężczyzn i kobiet gromadziły się, by przypatrzeć się obrządkowi. Nie wolno było nikomu zabronić uczestniczenia, jako że ofiara była składana za całą ludzkość. Ceremonię poprzedzało kilka dni dzikich zabaw i prymitywnej rozpusty. W dzień przed ceremonią ofiara w nowych szatach prowadzona była w uroczystej procesji, z muzyką i tańcami, do gaju *meriah*, kępy wysokich drzew leśnych stojących niedaleko wioski i nie tkniętych toporem. Tu przywiązywano ją do pala stojącego niekiedy między dwoma krzewami *sankissaru*. Namaszczano ją olejkami, masłem bawolim i turmerykiem i przybierano kwiatami. Przez cały dzień "otoczona była szacunkiem, niełatwym do odróżnienia od adoracji". O najmniejszą pamiątkę toczyły się zacięte walki, drobina pasty turmerykowej, którą smarowano ofiarę, kropla śliny, wszystko to miało olbrzymią wartość, szczególnie w oczach kobiet. Tłum tańczył wokół pala, muzyka grała i ludzie zwracali się do Ziemi ze słowami: "O Boże, składamy ci tę ofiarę, daj nam dobre plony, pory roku i zdrowie." Do ofiary mówiono: "Kupiliśmy cię za pieniądze, nie porwaliśmy ciebie. Teraz składamy cię w ofierze zgodnie z obyczajem i nie obciąża nas żaden grzech."

Ostatniego ranka, orgie, trwające niemal bez przerwy przez całą noc, rozpoczynały się od początku i trwały do południa, po czym kończono je, a zebrani przystępowali do spełnienia obrządku. Raz jeszcze namaszczano ofiarę olejkami, każdy po kolei dotykał namaszczonej części ciała i wycierał olejek na własnej głowie. W niektórych miejscowościach oprowadzano ofiarę w procesji po wsi, od domu do domu, a wtedy niektórzy starali się wyrwać jej przynajmniej jeden włos, inni prosili o kroplę śliny, którą namaszczali swe głowy. Ponieważ ofiary nie wolno było wiązać, a równocześnie nie powinna była

stawiać żadnego oporu, zabezpieczano się łamiąc jej ręce i nogi, często jednak ten środek ostrożności był zbyteczny, ponieważ ofiara była ogłuszona opium. Uśmiercano ją rozmaicie, zależnie od miejscowości. Jednym z najpowszechniejszych sposobów było uduszenie. Rozszczepiano zieloną gałąź drzewa na środku na długość kilku stóp, w szczelinę wkładano szyję ofiary (w niektórych miejscowościach pierś), kapłan zaś ze swoimi pomocnikami ścisnął gałąź z wszystkich sił. Po czym kapłan lekko ranił ofiarę toporem, a tłum rzucał się na nieszczęśnika i odcinał ciało od kości pozostawiając nietkniętą głowę i wnętrzności. Czasami ćwiartowano żywego człowieka. W Chinna Kimedy wlokło się ofiarę po polu, a otaczający tłum odcinał kawałki jej ciała omijając głowę i wnętrzności, aż ofiara umierała.

Zdobyte kawałki ciała ofiary zabierały natychmiast do domu osoby specjalnie w tym celu wydelegowane przez każdą wioskę. By zapewnić szybką dostawę, transportowano je niekiedy sztafetą i przekazywanie na odległość pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu mil odbywało się z szybkością poczty. W wioskach ci, którzy pozostali w domu, przestrzegali ścisłego postu aż do przybycia kawałka ciała. Gонец przynosił je na miejsce publicznych zgromadzeń, gdzie przyjmował je kapłan w otoczeniu głów rodzin. Kapłan dzielił ciało na dwie porcje, jedną składał w ofierze bogini ziemi zakopując ją w dziurze, odwrócony plecami i nie patrząc. Każdy dorzucał grudkę ziemi, a na końcu kapłan polewał miejsce wodą z tykwy. Drugą porcję dzielono na tyle części, ile było obecnych głów rodzin. Każdy z nich zawijał swój kawałek ciała w liście i zagrzebywał na ulubionym polu, odwróciwszy się plecami i nie patrząc. W niektórych miejscowościach każdy odnosił swój kawałek do potoku nawadniającego jego pola i zawieszał go tam na tyce. Przez trzy dni nie wolno było zamiatać w żadnym domu, a w pewnej okolicy przestrzegano ścisłego milczenia; nie wolno było wynosić ognia, rąbać drzewa i przyjmować ludzi obcych. Resztek ofiary (głowy, wnętrzności i kości) strzegły silne straże przez całą noc po złożeniu ofiary, po czym następnego ranka palono je wraz z całą owcą na stosie pogrzebowym. Popioły rozsypywano po polach, smarowano nimi domy i spichrze lub mieszano je z ziarnem, by ustrzec je przed robactwem. Niekiedy głowę i kości grzebano w ziemi. Po zniesieniu ofiar ludzkich zastąpiono je ofiarami pośledniejszymi, tak na przykład w stolicy Chinna Kimedy zamiast człowieka składano w ofierze kozła. W innych okolicach poświęcano bawołu.

Meriah występuje w źródłach, na które się powołujemy, jako ofiara składana u Khondów dla przebłagania bogini ziemi, ale ze stosunku do ofiary, zarówno przed, jak i po śmierci, wynika, że zwyczaj ten nie da się wytłumaczyć wyłącznie jako ofiara przebłagalna. Niewątpliwie część ciała ofiary ofiarowywana była bogini ziemi, ale resztę grzebał każdy z gospodarzy na swym polu, a inne części ciała palono i popioły rozrzucano po polach, rozsmarowywano po spichrzach lub mieszano je z ziarnem. Z tego wynikałoby, że ciału *meridh* przypisywano bezpośredni, wrodzony wpływ na dojrzewanie plonów niezależnie od jego skuteczności jako ofiary mającej na celu zapewnienie przychylności bóstwa. Innymi słowy, uważano, że ciało i popioły ofiary posiadają magiczną lub fizyczną siłę użyźniania ziemi. Tę samą przyrodzoną siłę przypisywano krwi i łzom *meridh*. Jego krwi zawdzięczał swą czerwień turmeryk, a łzy

jego sprowadzały deszcz. Nie ulega bowiem wątpliwości, że przynajmniej w pierwotnym stadium uważano łyż nie tylko za zapowiedź, ale i za przyczynę deszczu. Podobnie obyczaj polewania wodą ciała *meridh* był niewątpliwie zabiegiem magicznym mającym na celu sprowadzenie deszczu. Krótko mówiąc, *meridh* uważany był za istotę boską. Być może, w tym charakterze reprezentował on początkowo boginię ziemi lub bóstwo roślinności, mimo iż w późniejszych czasach uważano go raczej za ofiarę składaną bogu aniżeli za wcielenie bóstwa.

Powróćmy obecnie do historii Lityersesa. Dowiedliśmy już, że ludzkie ofiary składano zazwyczaj w celu zapewnienia dojrzewania plonów. Nie jest wobec tego rzeczą wykluczoną, że niegdyś zabijano je w podobnym celu we Frygii i Europie, a skoro legendy frygijskie i europejskie zwyczaje ludowe, tak bardzo do siebie zbliżone, wskazują na to, że w podobny sposób byli zabijani ludzie, musimy taki wniosek przynajmniej prowizorycznie akceptować. Zarówno opowieść o Lityersesie, jak i europejskie obyczaje żniwne wskazują na to, że ofiara składana była jako wcielenie ducha zboża, co zgadza się z poglądem niektórych dzikich uważających, iż ofiara wpływa na dojrzewanie plonów. Możemy więc wysunąć hipotezę, że zarówno we Frygii, jak i w Europie co roku zabijano podczas żniw przedstawiciela ducha zboża.

Osobą zabijaną na polu żniwnym jako przedstawiciel ducha zboża mógł więc być przechodzień albo też żniwiarz, który ostatni zżął, związał snopy lub zmłócił. Istnieje jednak trzecia możliwość, na którą wskazuje zarówno starożytna legenda, jak i nowożytny obyczaj ludowy. Lityerses nie tylko zabijał obcych, ale w końcu sam, być może w identyczny sposób, ginął na własnym polu. Podobnie w nowożytnych zwyczajach żniwnych równie często pozoruje się zabijanie właściciela (gospodarza lub dziedzica) pól co obcego. Jeśli więc przypomnimy sobie, że Lityerses był rzekomo synem króla Frygii, że w jednej wersji legendy zwany jest królem, i zestawimy to z legendą głoszącą, że sam był zabijany prawdopodobnie jako przedstawiciel ducha zboża, wówczas dojdziemy do wniosku, że mamy tu znowu ślad dorocznego zabijania jednego z tych boskich względnie kapłańskich królów, którzy sprawowali swe upiorne rządy w wielu częściach Azji Zachodniej, a szczególnie we Frygii. Zwyczaj ten, jak widzieliśmy, został gdzieś do tego stopnia zmodyfikowany, że miast króla w ofierze składano następcę tronu, a echem tego zwyczaju zdaje się być przynajmniej w jednej wersji opowieść o Lityersesie.

Rozważając z kolei powiązanie frygijskiego Lityersesa z frygijskim Attisem, warto przypomnieć, że w Pessinus, siedzibie królów-kapłanów, zabijano, jak się zdaje, co roku arcykapłana jako przedstawiciela Attisa, boga roślinności, i że jedno ze źródeł starożytnych opisuje Attisa jako "zżęty kłos zboża". Tak więc można uważać, że Attis, zabijany dorocznie w osobie swego przedstawiciela jako wcielenie ducha zboża, jest identyczny z Lityersesem, przy czym ten ostatni był jedynie wiejskim prototypem, z którego rozwinęła się religia Attisa. Może tak było, ale równocześnie analogia z europejskimi zwyczajami ludowymi ostrzega nas, że u tych samych ludów dwa różne bóstwa roślinności mogą posiadać swych oddzielnych przedstawicieli i obaj są zabijani jako bogowie w różnych porach roku. W Europie bowiem, jak widzieliśmy, jeden człowiek bywał zazwyczaj zabijany jako duch drzewa na wiosnę, inny zaś w

postaci ducha zboża jesienią. Podobnie mogło być we Frygii. Attis był przede wszystkim bogiem drzewa, a jego związek ze zbożem mógł być jedynie rozszerzeniem władzy ducha drzewa. Wydaje się, że przedstawiciele Attisa zabijani byli wiosną, natomiast Lityerses musiał być zabijany latem lub jesienią, w porze roku, na którą przypadają żniwa we Frygii. Jeśli więc nie mamy podstaw, by uważać Lityersesa za prototyp Attisa, obu możemy uważać za wytwór tej samej myśli religijnej. Obaj byli duchami lub bóstwami roślinności i co roku zabijano ich przedstawicieli. Jednak kult Attisa został wyniesiony do godności religii państwowej i rozprzestrzenił się w Italii, natomiast obrządki ku czci Lityersesa nigdy nie wykroczyły poza granice ojczystej Frygii i zachowały swój charakter wiejskich obyczajów przestrzeganych przez chłopów w czasie żniw.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

STAROŻYTNE BÓSTWA ROŚLINNOŚCI JAKO ZWIERZĘTA

W folklorze wiejskim duch zboża bardzo często występuje pod postacią zwierzęcia. Czy fakt ten nie tłumaczy stosunku między pewnymi zwierzętami a starożytnymi bóstwami roślinności: Dionizosem, Demeter, Attisem i Ozyrysem?

Zacznijmy od Dionizosa. Wiemy o tym, że czasami był przedstawiany jako koziół, czasami zaś jako byk. W postaci kozła trudno go odróżnić od mniejszych bóstw, takich jak Pany, Satyry i Sylenowie, które są ściśle z nim powiązane i występują w mniej lub bardziej pełnej postaci kozłów. Pan zawsze przedstawiany jest w rzeźbie i malarstwie z łbem i nogami kozła. Satyra przedstawiano ze spiczastymi uszami kozła, a niekiedy dodawano mu małe różki i krótki ogon. Niekiedy nazywano je po prostu kozłami, a w dramacie role ich odgrywali ludzie przebrani w kozłe skóry. Dzieła sztuki przedstawiają Sylena zawsze odzianego w kozłe skóry. Faunów - rzymskie odpowiedniki Panów i Satyrów - opisywano jako półkozy, z kozłimi kopytami i rogami. Wszystkie te kozło-kształtne bóstwa posiadają w pewnej mierze charakter bóstw leśnych. Pana zwali Arkadyjczycy Panem Lasów, Sylenowie zaś dotrzymywali towarzystwa nimfom drzew. Fauny wyraźnie występowały jako bóstwa leśne, a podkreśla to jeszcze stałe ich łączenie, a nawet identyfikowanie z Silvanusem i Silvanusami, którzy, jak na to sama nazwa wskazuje, są duchami lasów. Wreszcie powiązania Satyrów z Sylenami, Faunami i Silvanusami dowodzą, że Satyry również były bóstwami leśnymi. Te kozłokształtne duchy lasów mają swe odpowiedniki w folklorze północno-europejskim. Tak więc rosyjskie duchy drzew, zwane *leszyje* od *les* (las), pojawiają się w wierzeniach częściowo w ludzkiej postaci, ale z rogami, uszami i kopytami kozła. *Leszyj* może dowolnie zmieniać swój wzrost; gdy chodzi po lesie, jest wysoki jak drzewa, gdy wędruje po łąkach, jest tak niski jak trawa. Niektóre *leszyje* są zarówno duchami zboża, jak i lasów. Przed zniwami są tak wysokie jak kłosa, ale po zniwach kurczą się do wysokości ścierniska. Świadczy to o bliskim związku między duchami drzew a duchami zboża, na co już wcześniej zwracałem uwagę, i ukazuje, jak łatwo utożsamia się duchy drzew z duchami zboża. Podobnie fauny miały rzekomo przyczyniać się do dojrzewania plonów, chociaż były bóstwami leśnymi. To, że kozy lubią włóczyć się po lesie i obgryzać korę z drzew, wyrządzając tym samym drzewom znaczną szkodę, wydaje się dostatecznym i oczywistym powodem, by duchy drzewa tak często przedstawiano w postaci kozłów.

Jest to forma rozpowszechniona i dla umysłu prymitywnego naturalna. Gdy więc odkrywamy, że Dionizos, bóg drzewa, bywa niekiedy przedstawiany w postaci kozła, dochodzimy do wniosku, że to wyobrażenie jest jedynie częścią jego charakteru jako boga drzewa i nie da się wytłumaczyć fuzją dwóch niezależnych i różnych kultów, z których jeden ukazywał go początkowo jako boga drzewa, drugi zaś jako kozła.

Dionizos przedstawiany był również w postaci byka. Po wszystkich dotychczasowych wywodach spodziewamy się oczywiście, że ta postać byka była jeszcze jednym objawem jego charakteru jako

bóstwa roślinności, tym bardziej że byk jest powszechnym wcieleniem ducha zboża w Europie Północnej, a bliskie powiązanie Dionizosa z Demeter i Persefona w misteriach eleuzyńskich dowodzi, że był on w każdym razie poważnie związany z rolnictwem.

Prawdopodobieństwo tej hipotezy zwiększy się, jeśli potrafimy udowodnić, że starożytni żarzynali wołu jako wcielenie ducha roślinności nie tylko podczas uroczystości ku czci Dionizosa. Zdaje się, że robili to podczas ofiar ateńskich zwanych "mordowaniem wołu" (*bouphonia*), ofiary składano pod koniec czerwca lub na początku lipca, a więc po zakończeniu młócki w Attyce. Obrządek ten ustanowiony został, jak głosi legenda, w celu przerwania posuchy i głodu, które nawiedziły kraj. Rytuał jego był następujący: na brązowym ołtarzu Zeusa Polieusa na Akropolu składano jęczmień zmieszany z pszenicą względnie placki zrobione z tych zbóż. Dookoła ołtarza pędzono woły, to zaś zwierzę, które zbliżyło się do ołtarza i zjadło ofiarę, żarzynano. Topór i nóż, którym zabijano wołu, były uprzednio zwilżone wodą przyniesioną przez dziewczęta zwane "nosicielkami wody". Narzędzia ostrono, podawano je rzeźnikom, z których jeden ciął wołu toporem, drugi zaś podrzywał mu gardło. Ten, który uderzył wołu toporem, natychmiast rzucał narzędzie i uciekał, a drugi, jak się zdaje, szedł za jego przykładem. Z wołu ściągano skórę, wszyscy zaś uczestnicy dzielili się jego mięsem. Następnie wypychano skórę słomą i zeszywano ją, wypchane zwierzę stawiano na nogach i zaprzęgano do pług, jak gdyby orało. Po czym następowała rozprawa sądowa w starożytnym sądzie, któremu przewodniczył Król (tak go zwano); miano na niej stwierdzić, kto zabił wołu. Dziewczęta, które przyniosły wodę, oskarżały mężczyzn, którzy ostrzyli topór i nóż, ci z kolei winę zrzucali na ludzi, wręczających narzędzia rzeźnikom, tamci zaś obwiniali rzeźników, a rzeźnicy narzędzia. One też w końcu okazywały się winne, otrzymywały wyrok i wrzucano je do morza.

Nazwa tej ofiary: "mordowanie wołu", wysiłki każdej z osób biorących udział w zabójstwie, by zrzucić winę na kogoś innego, wraz z oficjalną rozprawą sądową i karą wymierzoną toporowi i nożowi, dowodzą, że wół w tym wypadku uważany był nie tylko za ofiarę składaną bogu, ale wręcz za święte stworzenie, zarżnięcie zaś wołu za świętokradztwo lub morderstwo. Potwierdza to Varro, który mówi, że w dawnych czasach zabicie wołu było zbrodnią karaną śmiercią w Attyce. Sposób wybierania ofiary sugeruje, że wół, który jadł zboże, uważany był za bóstwo zboża biorące w posiadanie swoją własność.

Ludy pierwotne powstrzymują się od spożywania pierwszych zbiorów bez pewnych ceremonii, po których jedzenie pierwocin staje się bezpieczne względnie uważane jest za uczynek nabożny. Wynika to prawdopodobnie z przekonania, że pierwociny należą do bóstwa względnie że bóstwo w nich przebywa. Dlatego też człowiek lub zwierzę, które śmiało przywłaszcza sobie święte pierwociny, uchodzi oczywiście za samo bóstwo w postaci zwierzęcej lub ludzkiej, biorące w posiadanie swoją własność. Data ofiar ateńskich, przypadających na zakończenie młócki, pozwala domyślać się, że jęczmień i pszenica złożone na ołtarzu były ofiarami żniwnymi, a obrzędowy charakter posiłku, który potem następował - wszyscy obecni jedli mięso boskiego zwierzęcia - stanowi paralelę ze

współczesnymi ucztami dożynkowymi, w których mięso zwierzęcia reprezentującego ducha zboża spożywane jest przez żniwiarzy.

W zasadzie możemy uważać, że zarówno w postaci kozła, jak i byka Dionizos był bóstwem roślinności. Zwierzę rozrywano na kawałki - podobnie jak ofiarę u Khondów cięto na kawałki - po to, by każdy z wiernych mógł otrzymać cząstkę życiodajnej i płodnej siły boga. Mięso spożywane było na surowo jako sakrament i możemy domyślać się, że część zabierano do domu, by pogrzebać w polu lub też w inny sposób wykorzystać w celu przekazania płodom ziemi pobudzającej siły boga roślinności. Zmartwychwstanie Dionizosa mogło być przedstawiane w opisywanych obrzędach przez wypychanie i ustawianie zarżniętego wołu, jak to Ateńczycy czynili podczas *bouphonii*.

Przechodząc z kolei do bogini zboża Demeter i pamiętając o tym, że w europejskim folklorze świnia jest powszechnie uważana za wcielenie ducha zboża, możemy zadać teraz pytanie, czy świnia, tak blisko związana z Demeter, nie była początkowo samą boginią w postaci zwierzęcej? Świnia była zwierzęciem jej poświęconym, dzieła sztuki przedstawiają Demeter noszącą świnie lub w towarzystwie tego zwierzęcia; świnie składano jej stale w ofierze podczas misterii ku jej czci, tłumacząc, że świnia niszczy zboże, a więc jest wrogiem bogini. Ale niekiedy zdarza się, że zwierzę uważane za boga lub też bóg czczony w postaci zwierzęcia porzuca swe kształty zwierzęce i staje się wyłącznie antropomorficzny, a zwierzę, które początkowo zabijane było jako wcielenie boga, zaczyna uchodzić za ofiarę składaną bogu na tej podstawie, że jest wrogiem boga, krótko mówiąc, że bóg składany jest sobie w ofierze jako swój własny wróg. Zdarzyło się to Dionizosowi i mogło się również zdarzyć Demeter. W istocie rytuał jednego z jej świąt, Tesmoforii, świadczy o tym, że początkowo świnia była wcieleniem samej bogini zboża Demeter lub też jej córki i sobowtóra, Persefony. Tesmoforie attyckie były świętem jesiennym, obchodzonym tylko przez kobiety w październiku. Opłakiwano wtedy, jak się zdaje, zejście Persefony (lub Demeter) do podziemi i radowano się na jej powrót z krainy zmarłych. Stąd też bierze się nazwa Zejścia lub Wstąpienia, używana na przemian w odniesieniu do pierwszego dnia święta, i *kalligeneia* (pięknie urodzona) do trzeciego dnia. Podczas Tesmoforii istniał zwyczaj wrzucania świń, ciasta i gałęzi sosny do "czeluści Demeter i Persefony", poświęconych jej pieczar względnie grobowców. Znajdowały się w nich rzekomo węże, które ich strzegły i pożerały wrzucane tam świnie i ciasto. Potem - prawdopodobnie podczas następnego święta - zepsute resztki mięsa, ciasta i gałęzi zabierały kobiety, które po trzydniowym przestrzeganiu obrzędowej czystości schodziły do pieczar i odstraszać węże klaskaniem w dłonie zabierały resztki i umieszczały je na ołtarzu. Wierzono, że każdy, komu udało się zdobyć kawałek zepsutego mięsa i ciasta i kto zasiał je wraz z ziarnem siewnym, będzie miał z pewnością dobre zbiory.

Barbarzyński i starożytny obrządek Tesmoforii tłumaczono następującą legendą: W chwili gdy Pluto uprowadzał Persefonę, świniopas imieniem Eubuleos pał przypadkiem swe świnie w tym miejscu, a stado jego wchłonięte zostało przez rozpadlinę, w której znikł Pluto z Persefona. Wobec tego co roku podczas Tesmoforii wrzucano do pieczar świnie dla upamiętnienia zniknięcia świń Eubuleosa. Wynika z

tego, że wrzucanie świń do pieczar stanowiło część dramatycznego przedstawienia zstąpienia Persefony do podziemi, a ponieważ nie wrzucano tam żadnego wizerunku Persefony, możemy z tego wyciągnąć wniosek, że wrzucane świny nie tyle towarzyszyły bogini, ile przedstawiały samo zstąpienie bogini, czyli że świny były wcieleniem samej Persefony. Później, gdy Persefona względnie Demeter - obie są bowiem z sobą równoznaczne - przybrały kształty ludzkie, trzeba było znaleźć powód wrzucania świń do pieczar podczas świąt, co też zrobiono, utrzymując, że świny pasły się w pobliżu miejsca, w którym Pluto porwał Persefonę, i wraz z nią zostały wchłonięte przez ziemię. Legenda jest oczywiście naciągniętą i niezręczną próbą zawieszenia pomostu nad przepaścią, jaka powstała między dawną koncepcją ducha zboża jako świni a nową, antropomorficzną, jako bogini. Ślady dawnej koncepcji zachowały się w legendzie głoszącej, że gdy zasmucona matka szukała śladów zaginionej córki, świny zatarły je śladami swych racic. Możemy domyślać się, że początkowo ślady racic były śladami samej Persefony i Demeter. Świadomość o bliskim powiązaniu świni ze zbożem zachowała się w legendzie, że Eubuleos był bratem Tryptolemosa, pierwszego człowieka, któremu Demeter zdradziła tajemnicę zboża. Według jednej wersji tej opowieści Eubuleos sam wraz z bratem otrzymał dar zboża od Demeter jako nagrodę za zdradzenie jej losu Persefony. Należy również zwrócić uwagę na to, że podczas Tesmoforii kobiety jadły wieprzowinę. Posiłek ten, jeśli się nie mylę, musiał być uroczystym obrzędkiem lub komunią, w której wierne spożywały ciało boga.

Przechodząc obecnie do Attisa i Adonisa przytoczymy kilka faktów świadczących, jak się zdaje, o tym, że i oni, podobnie jak inne bóstwa tej kategorii, posiadali swe zwierzęce wcielenia. Czciociele Attisa nie spożywali wieprzowiny, co wskazywałoby na to, że świnia uważana była za wcielenie Attisa. Myśl tę nasuwa również legenda głosząca, że Attis został zabity przez dziką. Po przykładach bowiem kozła Dionizosa i świni Demeter możemy niemal przyjąć za zasadę, że zwierzę, które wyrządziło szkodę bóstwu, było pierwotnie samym bóstwem. Być może okrzyk: "*Hyes Attes! Hyes Attes!*", wnoszony przez czciociele Attisa był niczym innym jak okrzykiem: "Świnia Attis! Świnia Attis!" - *hyes* bowiem mogło być frygijską formą greckiego *hys* - świnia.

Jeśli idzie o Adonisa, jego powiązanie z dzikiem nie zawsze wyjaśniane jest opowieścią o tym, że został zabity przez to zwierzę. Według innej legendy dzik rozerwał kłami korę drzewa, w którym urodził się Adonis, inna jeszcze opowieść mówi o tym, że Adonis polując na dziki zginął z ręki Hefajstosa na górze Liban. Te różne warianty legendy wskazują, że powiązanie Adonisa z dzikiem było wprawdzie oczywiste, natomiast przyczyna tego związku była niejasna, wobec czego wymyślono różne opowieści, by związek ten wytłumaczyć. Nie ulega wątpliwości, że świnia była świętym zwierzęciem Syryjczyków. W wielkiej stolicy religijnej Hierapolis nad Eufratem świń nie składano w ofierze i nie jedzono wieprzowiny. Człowiek, który dotknął świni, był nieczysty do końca dnia. Zdaniem jednych, dlatego że świnia jest nieczysta, zdaniem innych, że święta. Różnica zdań świadczy o braku precyzji na tym etapie myśli religijnej, w którym pojęcia świętości i nieczystości nie były jeszcze ostro rozgraniczone i oba rozpląwały się w mglistej substancji zwanej tabu. Zgadza się to w pełni z poglądem, że świnia była

wcieleniem boskiego Adonisa, analogie zaś z Dionizosem i Demeter podtrzymują przypuszczenie, że historia wrogości między zwierzęciem a bogiem była jedynie późniejszym niezrozumieniem dawnego poglądu na boga wcielonego w świnia. Zasada nieskładania w ofierze świnia i niejadania wieprzowiny przez wyznawców Attisa i prawdopodobnie Adonisa nie wyklucza możliwości, że zwierzęta te były zarzynane przy uroczystych okazjach jako przedstawiciele boga i zjadane uroczyście przez wyznawców. Wręcz przeciwnie, uroczyste zabijanie i spożywanie zwierzęcia sugeruje, że było ono święte i że w zasadzie je oszczędzano'.

Stosunek Żydów do świnia był równie niejasny jak pogańskich Syryjczyków. Grecy nie mogli zorientować się, czy Żydzi czcili świnia, czy też nią gardzili. Z jednej strony nie wolno im jeść wieprzowiny, ale równocześnie nie wolno zabijać świń. Pierwszy przepis dowodzi nieczystości, drugi w jeszcze bardziej przekonujący sposób świadczy o świętości tego zwierzęcia. Podczas gdy oba przepisy mogą, a jeden musi być wytłumaczony przypuszczeniem, że świnia była święta, żaden z nich nie musi, a jeden nie może być wyjaśniony jej nieczystością. Jeśli wobec tego wolimy pierwszą hipotezę, wówczas musimy dojść do wniosku, że świnia, w każdym razie początkowo, była u Izraelitów raczej przedmiotem czci niż wstrętu. Potwierdza to przypuszczenie fakt, że jeszcze za czasów proroka Izajasza niektórzy Żydzi schodzili się potajemnie w ogrodach, by jeść wieprzowinę i myszy, i traktowano to jako obrządek religijny. Był to niewątpliwie bardzo dawny zwyczaj datujący się jeszcze z czasów, gdy zarówno świnia, jak i mysz czczone były jako bóstwa, a mięso ich spożywane było podczas uroczystych i rzadkich okazji jako krew i ciało bogów. W ogólności możemy chyba stwierdzić, że tak zwane nieczyste zwierzęta były początkowo święte, a mięsa ich nie wolno było jeść, ponieważ były one bóstwami.

W starożytnym Egipcie w czasach historycznych świnia posiadała taką samą wątpliwą pozycję jak w Syrii i Palestynie, chociaż na pierwszy rzut oka nieczystość przeważa tam nad świętością. Grecy pisarze stwierdzają powszechnie, że Egipcjanie uważali świnia za zwierzę obrzydliwe i plugawe. Wystarczyło, by człowiek otarł się o świnia, a już wchodził w ubranie do rzeki, by zmyć nieczystość. Uważano, że picie mleka świnia powoduje trąd. Świniopasy, chociaż urodzeni w Egipcie, nie mieli prawa wchodzić do świątyni, a byli to jedyni ludzie, wobec których obowiązywał tego rodzaju zakaz. Nikt nie wydałby swej córki za świniopasa ani nie ożeniłby się z córką świniopasa. Zawierali oni małżeństwa między sobą. A jednak raz do roku Egipcjanie składali w ofierze świnia księżycowi i Ozyrysowi, i to nie tylko składali ją w ofierze, ale jedli wieprzowinę, chociaż w żaden inny dzień roku nie złożyliby świnia w ofierze i nie tknęliby jej mięsa. Ci, których nie stać było na ofiarowanie świnia, piekli placki z ciasta i składali je jako ofiarę zastępczą. Trudno wytłumaczyć to inaczej jak przez przypuszczenie, że świnia była świętym zwierzęciem zjadanym uroczyście przez wyznawców raz do roku.

Ozyrys był stale identyfikowany z bykiem Apisem z Memfis i bykiem Mnewisem z Heliopolis. Trudno powiedzieć, czy te byki były jego ucieleśnieniem jako ducha zboża, czy też były one początkowo oddzielnymi bóstwami, które później zidentyfikowały się z Ozyrysem. Kult tych dwóch byków był tak rozpowszechniony, że stawia je na innej płaszczyźnie aniżeli inne święte zwierzęta, których kult był

jedynie lokalny. Bez względu jednak na to, jakie były stosunki między Ozyrysem a Apisem, jeden fakt dotyczący tego ostatniego nie powinien być pominięty w rozważaniach nad zabijaniem boga. Choćby byk Apis czczony był jako bóg z olbrzymim ceremoniałem i oznakami głębokiej czci, nie pozwalano mu żyć dłużej, aniżeli to przewidywały święte księgi, a po wygaśnięciu terminu byka topiono w świętym strumieniu. Według Plutarcha okres ten trwał dwadzieścia pięć lat, nie zawsze jednak trzymano się tego, gdyż z odkrytych w naszych czasach grobów byków Apisów wynika, że w dwudziestej drugiej dynastii dwa byki Apisy żyły ponad dwadzieścia sześć lat.

Możemy obecnie zaryzykować hipotetyczne wyjaśnienie znaczenia legendy głoszącej, że Virbius, pierwszy z boskich Królów Lasu w Arycji, został jako Hippolytos zabity przez konie. Skoro stwierdziliśmy, że duchy zboża nierzadko są przedstawiane w postaci koni oraz że zwierzę przedstawiane w późniejszych legendach jako to, które wyrządziło szkodę bogu, bywało czasami samym bogiem, możemy założyć, że konie, co rzekomo zabiły Virbiusa, czyli Hippolytosa, były w istocie jego wcieleniem jako bóstwa roślinności. Mit o tym, że został zabity przez konie, był prawdopodobnie późniejszym wymysłem mającym na celu wytłumaczenie pewnych elementów jego kultu, w szczególności zaś zakazu wprowadzania koni do świętego gaju. Mit bowiem się zmienia, natomiast niezmienny pozostaje obyczaj; ludzie czynią nadal to, co czynili ich ojcowie, chociaż powody, którymi kierowali się ojcowie, dawno już uległy zapomnieniu. Historia religii jest długotrwałą próbą pogodzenia starych zwyczajów z nowymi uzasadnieniami, znalezienia rozsądnej teorii wyjaśniającej absurdalną praktykę. W naszym przypadku możemy być pewni, że mit jest nowszy od zwyczaju i w żadnej mierze nie odpowiada powodom, dla których pierwotnie zakazywano koniom wstępu do gaju. Z zakazu wynikałoby, że konie nie mogły być świętymi zwierzętami ani też wcieleniami boga w gaju, ale tego rodzaju wniosek byłby pochopny. Koza była niegdyś zwierzęciem świętym i wcieleniem Ateny, jak to wynika ze zwyczaju przedstawiania bogini przybranej w koźle skóry (*aegis*). A jednak z zasady nie składano jej w ofierze kozy ani też nie wpuszczano kóz do jej sanktuarium na Akropolu w Atenach. Rzekomym powodem miało być to, że koza niszczyła oliwki, święte drzewo Ateny. Jak dotąd więc stosunek kozy do Ateny odpowiada stosunkowi konia do Yirbiusa.

Ale od Varrona dowiadujemy się, że był wyjątek od zasady niewpuszczania kóz na Akropol. Raz do roku zapędzano kozę na Akropol, aby złożyć ją w ofierze. Otóż, jak już uprzednio stwierdziliśmy, gdy zwierzę zabijane jest tylko raz do roku, nie bywa ono wtedy ofiarą składaną bogu, lecz prawdopodobnie jest przedstawicielem samego boga. Możemy z tego wyciągnąć wniosek, że skoro koza była tylko raz do roku składana w ofierze na Akropolu, wówczas ofiarowywano ją w charakterze samej Ateny i można się domyślać, że skórę zabitego zwierzęcia umieszczano na posągu bogini jako *aegis*, odnawiając ją w ten sposób co roku. Podobnie w Tebach, w Egipcie, nie składano w ofierze baranów i były one święte. Ale raz do roku zabijano barana, a skórę jego wkładano na posąg boga Ammona. Gdybyśmy więcej wiedzieli o obrządkach w gaju arycyjskim, prawdopodobnie stwierdzilibyśmy, że zasada niedopuszczania koni, podobnie jak zasada niedopuszczania kóz na Akropol w Atenach, nie

obowiązywała raz do roku, kiedy to sprowadzano do gaju konia i składano go w ofierze jako wcielenie boga Virbiusa. Przez stale powtarzające się nieporozumienie koń złożony w ofierze zaczął z czasem uchodzić za wroga ofiarowanego bogu, któremu wyrządził krzywdę, podobnie jak świnia ofiarowana Izydzie i Ozyrysowi i kozioł ofiarowany Dionizosowi, a być może także Atenie. Łatwo może zdarzyć się pisarzowi, że odnotuje zasadę nie zwracając uwagi na wyjątek, nie dziwi nas wobec tego brak wzmianki o podobnym wyjątku od reguły obowiązującej w gaju arycyjskim. Gdybyśmy mieli jedynie oświadczenia Ateneusza⁸⁵ i Pliniusza, wiedzielibyśmy tylko o zakazie ofiarowywania kozła Atenie i niedopuszczeniu go na Akropol nie zdając sobie w ogóle sprawy z ważnego wyjątku, który został nam wyjawiony dzięki szczęśliwemu zachowaniu się dzieła Varrona.

Hipotezę o dorocznym ofiarowaniu konia jako wcielenia bóstwa w gaju arycyjskim podtrzymuje istnienie podobnej ofiary składanej raz do roku w Rzymie. Piętnastego października odbywały się co roku na Polu Marsowym wyścigi rydwanów. Koń zaprzężony z prawej strony zwycięskiego zaprzęgu był następnie przebijany włócznią i składany w ofierze Marsowi dla zapewnienia dobrych plonów, a głowę konia ucinano i zdobiono nawleczonymi na sznur bochenkami chleba. Następnie mieszkańcy dwóch dzielnic - Świętej Drogi i Subura - walczyli o tę głowę. Jeśli zdobywali ją mieszkańcy Świętej Drogi, przybijali ją do domu króla, natomiast mieszkańcy Subury przytwierdzali ją do Wieży Mamiliuszów. Odcięty ogon konia zanoszono pośpiesznie do domu króla, by krew spłynęła na ognisko. Okazuje się również, że krew konia zbierano i przechowywano do dwudziestego pierwszego kwietnia, kiedy to westalki mieszały ją z krwią nie narodzonych cieląt złożonych w ofierze przed sześciu dniami. Miksturę rozdawano następnie pasterzom, którzy okadzali nią swe trzody.

Zdobienie głowy konia nawleczonymi na sznur bochenkami chleba i rzekomy cel ofiary, a mianowicie zapewnienie dobrych zbiorów, wskazują, jak się zdaje, na to, że koń zabijany był jako jedno ze zwierzęcych wcieleń ducha zboża, na co mieliśmy już wiele przykładów. Zwyczaj obcinania ogona przypomina podobny zwyczaj obcinania ogonów wołom w Afryce i ofiarowywania ich dla zapewnienia obfitych plonów.

Rzymska ofiara październikowego konia przenosi nas z powrotem w te dawne czasy, gdy Subura, później uboga i podrzędna dzielnica wielkiej metropolii, była jeszcze samodzielną wioską, której mieszkańcy urządzali przyjacielskie zawody na polu żniwnym ze swym sąsiadem Rzymem, podówczas jeszcze małą gminą rolniczą. Pole Marsowe, na którym odbywała się ceremonia, leżało nad Tybrem i wchodziło w skład posiadłości królewskich aż do obalenia monarchii. Legenda bowiem głosiła, że gdy ostatni królowie zostali wypędzeni z Rzymu, na polach królewskich nad Tybrem zboże dojrzało już do zżęcia, ale nikt nie chciał tknąć przeklętego ziarna, wobec czego tyle tego wrzucono do Tybru, że przy niskim stanie wód na skutek upałów powstała na rzece wyspa ze zboża. Była więc ofiara z konia starym

⁸⁵ A t h e n a e u s z Naukratis w Egipcie (III w. n. e.) - grecki gramatyk i filozof. Napisał *Deipnosophistae*, dzieło w piętnastu księgach, z których dziesięć zachowało się w całości. Znaleźć tam można wiele ciekawych informacji o pożywieniu, rozrywkach i muzyce czasów, w których żył.

obyczajem jesiennym przestrzeganym na królewskich polach pod koniec żniw. Ogon i krew konia jako główne części wcielenia ducha zboża zabierano do domu króla i tam je przechowywano. Tak więc błogosławieństwo ducha zboża spadało na dom królewski i ognisko, a poprzez nie na społeczność, której król przewodził. Podobnie w wiosennych i jesiennych obyczajach Europy Północnej ustawia się czasami maik przed domem mera lub burmistrza, a ostatni snop z pola jemu się zanosi jako głowie wsi. Podczas gdy ogon i krew przypadały królowi, sąsiednia wioska Subura, która niewątpliwie niegdyś miała własny podobny obrządek, zadowalała się udziałem w zawodach o głowę konia. Wieża Mamiliuszów, do której suburanie przybijali głowę konia, gdy udało im się ją zdobyć, była, jak się zdaje, strażnicą czy też wieżą warowną starej rodziny Mamiliuszów, okolicznych magnatów. Ceremonia urządzana na polach królewskich i w domu króla w imieniu całej gminy i sąsiedniej wioski zakłada, że niegdyś każda gmina urządzała podobną ceremonię na swych polach. W wiejskich okolicach Lacjum wioski zapewne nadal przestrzegały obyczaju, każda oddzielnie, jeszcze długo po połączeniu przez rzymskie osady oddzielnych żniwnych obrzędów w jedno wspólne święto obchodzone na polach królewskich. Jest rzeczą całkiem prawdopodobną, że święty gaj arycyjski był, podobnie jak Pole Marsowe w Rzymie, sceną wspólnych uroczystości żniwnych, podczas których ofiarowywano konia, z zachowaniem tych samych prymitywnych obrzędów, na rzecz sąsiednich wiosek. Koń reprezentowałby w takim wypadku zarówno owocującego ducha zboża, jak i drzewa, albowiem obie te idee stapiają się w jedno, jak to widzieliśmy na przykładzie obyczajów dożynkowej wiechy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

SPOŻYWANIE BOGA

Wiemy już, że duch zboża przybiera czasami kształty ludzkie, czasami zaś zwierzęce i że w obu wypadkach jest zabijany w postaci swego ucieleśnienia i zjadany uroczyście jako sakrament. Przykładów faktycznego zabijania ducha zboża w ludzkim wcieleniu musieliśmy oczywiście szukać u ludów dzikich; ale dożynkowe wieczerze naszych europejskich chłopów dostarczają niewątpliwych przykładów obrzędowego spożywania zwierząt jako ucieleśnionych duchów zboża. Co więcej, jak należało się spodziewać, nowe zboże zjadane jest obrzędowo, to znaczy jako ciało ducha zboża. W Varmland, w Szwecji, żony gospodarzy pieką z mąki sporządzonej ze zboża w ostatnim zżętych snopie bochenek w kształcie małej dziewczynki, który dzieli się pomiędzy wszystkich domowników i zjada. W danym wypadku duch zboża występuje jako dziewczyna, podobnie jak w Szkocji, gdzie ostatni snop wiąże się w kształt niewiasty i nazywa Dziewczyną. Jak zwykle uważa się, że duch zboża przebywa w ostatnim snopie, wobec czego zjedanie chleba sporządzonego z mąki z ostatniego snopa równoznaczne jest ze zjedaniem samego ducha zboża. Podobny zwyczaj istniał w La Palisse, gdzie z ciasta sporządzano figurę mężczyzny i zawieszano ją na jodle umieszczonej na ostatnim wozie zjeżdżającym z pola. Drzewo i człowieka z ciasta zabierano do domu mera, który przechowywał je do zakończenia winobrania. Podczas uczyty kończącej winobranie mer łamał człowieka z ciasta na kawałki i rozdawał do zjedzenia ludziom.

W tych przykładach duch zboża występuje i jest spożywany w postaci ludzkiej. W innych przypadkach, chociaż nowego zboża nie wypieka się w bochnach mających postać ludzką, uroczyste ceremonie towarzyszące zjedaniu chleba wskazują przekonywająco na ich obrzędowy charakter, to znaczy, że są spożywane jako ciało ducha zboża. Oto na przykład jak wyglądały ceremonie przestrzegane przez chłopów litewskich przy spożywaniu nowego zboża. W porze siewów jesiennych, gdy zwieziono już całe zboże i rozpoczęła się młócka, każdy chłop urządzał uroczystość zwaną *sabarios*, to znaczy "mieszania i zsypywania razem". Brał on wówczas po dziewięć garści każdego gatunku płodów - pszenicy, jęczmienia, owsa, lnu, fasoli, soczewicy i innych, każdą garść dzielił na trzy części, te dwadzieścia siedem porcji każdego gatunku ziarna zgarniano razem i mieszano. Używano do tego pierwszego wymłóconego i przewianego ziarna, specjalnie w tym celu odłożonego. Z części tak wymieszanego ziarna wypiekano małe bochenki, po jednym na każde gospodarstwo, do reszty zaś dodawano jeszcze więcej jęczmienia i owsa, po czym warzono z tego piwo. Pierwsze uwarzone piwo było dla gospodarza, jego żony i dzieci, następne dla służby. Gdy piwo było gotowe, gospodarz wybierał wieczór, kiedy nie spodziewał się nikogo obcego, klękał przed beczką piwa, odciągał dzbanek napoju i wylewał go na czop beczki, mówiąc przy tym: "Owocująca ziemio, spraw, by obficie obrodziły żyto i jęczmień, i wszelkie zboże." Zabierał następnie dzban do izby, gdzie oczekiwała go już żona z dziećmi. Na ziemi leżał związany biały, czarny lub pstrokaty (ale nigdy czerwony) kogut oraz kura o takim samym

upierzeniu i tej samej rasy, która wykluła się w ciągu tego roku. Gospodarz klękał z dzbankiem w ręce, dziękował Bogu za zbiory prosząc przy tym o urodzaj w następnym roku. Potem wszyscy podnosili ręce i mówili: "O Boże i ty ziemio, ofiarujemy wam z dobrej woli tego koguta i tę kurę." Po czym zabijał ptactwo uderzeniami drewnianej łyżki, nie wolno mu bowiem było ucinać im głów. Po pierwszej modlitwie i po zabiciu ptaków wylewał jedną trzecią piwa. Następnie gospodyni gotowała koguta i kurę w nowym garnku, dotąd jeszcze nie używanym, po czym ustawiano duże naczynie do zsypanywania zboża dnem do góry, a na nim wykładano wspomniane już uprzednio małe bochenki i ugotowane ptactwo.

Z kolei przynoszono świeże piwo wraz z czerpakiem i trzema kufkami używanymi tylko przy tej okazji. Gdy gospodarz naczepał piwa do trzech kufli, rodzina klękała wokół naczynia. Ojciec odmawiał wówczas modlitwę i pociągał piwo z każdego z trzech kufli. Reszta szła za jego przykładem. Następnie zjadano chleb i ptactwo, piwo zaś krążyło dotąd, dopóki każdy z obecnych nie opróżnił każdego kufła dziewięciokrotnie. Nie wolno było pozostawiać jedzenia, jeśli jednak tak się złożyło, że zostały jakieś resztki, zjadano je następnego ranka z takimi samymi ceremoniami. Kości rzucano psu do zjedzenia, a jeśli nie zjadł wszystkiego, resztki grzebano pod gnojem w stajni. Uroczystość odbywała się na początku grudnia. W tym dniu nie wolno było wypowiadać złego słowa.

Taki oto zwyczaj istniał przed dwustu laty i dawniej. Obecnie na Litwie przy jedzeniu młodych kartofli lub chleba upieczonego z młodego zboża wszyscy siedzący przy stole pociągają się za włosy. Niejasne jest znaczenie tego zwyczaju, ale z całą pewnością podobny zwyczaj był przestrzegany przez Litwinów-pogan przy składaniu uroczystych ofiar. Wielu Estończyków na wyspie Oesel nie skosztuje chleba upieczonego z młodego zboża, jeśli przedtem nie chwyci zębami kawałka żelaza. Żelazo odgrywa tu niewątpliwie rolę talizmanu, który ma obezwładnić ducha zboża. Do dziś w hrabstwie Sutherland cała rodzina musi skosztować kartofli podczas wykopek, jeśli bowiem tego się nie zrobi, "duch, który w nich [kartoflach] przebywa, obrazi się i kartofle się nie przechowają". W jednej z okolic hrabstwa York nadal obowiązuje zwyczaj nakazujący, by duchowny ściął pierwsze kłosy. Zdaniem mego informatora, z tego zboża sporządza się chleb do komunii. Jeśli druga część zwyczaju jest zgodna z prawdą (a przemawia za tym analogia), wówczas dowodzi to, że komunizm chrześcijański wchłonęła sakrament znacznie starszy od chrześcijaństwa.

Kafrom z Natalu i Zululand nie wolno jeść świeżych owoców przed świętem Nowego Roku przypadającym u Kafrów na koniec grudnia względnie początek stycznia. Wszyscy ludzie gromadzą się w kraalu⁸⁶ króla na ucztę i tańce. Przed rozejściem się odbywa się "poświęcenie ludu". W wielkich kotłach gotuje się rozmaite płody ziemi - zboża, bulwy i dynie zmieszane z mięsem zwierząt ofiarnych i "czarami", po czym sam król wkłada do ust każdemu z obecnych łyk tej stawy. Po spożyciu poświęconych owoców człowiek sam jest poświęcony na cały rok i może natychmiast przystąpić do zwózki swych zbiorów. Panuje przekonanie, że każdy, kto przed świętem zje świeże owoce, umrze. Jeśli go na

⁸⁶ wsi tubylczej (afryk.)

tym przyłapią, zostanie zabity lub co najmniej odbierze mu się jego trzodę. Świętość nowych owoców podkreśla przepis nakazujący gotować je w specjalnym garnku, który tylko do tego celu może być używany, na nowym ogniu rozpalonym przez czarownika przez pocieranie dwóch patyków zwanych "mężem i żoną".

Indianie znad rzeki Thompson z Kolumbii Brytyjskiej gotują i jedzą korzeń słonecznika (*Balsamorhiza sagittata*, Nut.), ale dawniej uważali go za istotę tajemniczą i przestrzegali w związku z tym pewnej liczby tabu. Tak na przykład kobiety, które wykopywały lub gotowały korzeń, musiały zachowywać wstrzeźliwość i nikt nie mógł zbliżyć się do pieca, gdy kobiety piekły korzeń. Młodzi ludzie, jedząc pierwsze jagody, korzenie czy inne płody właściwe danej porze roku, wypowiadali następującą modlitwę do korzenia słonecznika: "Wiedz, że mam zamiar cię zjeść. Obyś zawsze pomagał mi wspinać się, bym mógł zawsze dotrzeć na szczyt góry i żebym nigdy nie był niezgrabny! O to cię proszę, Korzeniu Słonecznika. Tyś jest największą z wszystkich tajemnic." Ten, kto nie wypowiedział tej modlitwy, stawał się leniwy i spał do późna rano.

Pouczone są te zwyczaje Indian znad rzeki Thompson i innych plemion północnoamerykańskich, ponieważ wyraźnie wskazują na główny motyw lub przynajmniej jeden z motywów leżących u podstaw ceremonii związanych z jedzeniem pierwszych plodów ziemi. W przekonaniu Indian motywem tym jest po prostu wiara, że w roślinie przebywa świadomy i mniej lub bardziej potężny duch, którego należy przebłagać, zanim można będzie bezpiecznie jeść owoce czy korzeń, będące, jak wierzą, częścią jego ciała. Skoro dotyczy to owoców i korzeni rosnących dziko, możemy z tego wyciągnąć z pewnym prawdopodobieństwem wnioski, że odnosi się to również do hodowanych owoców i korzeni uprawnych, takich jak słodkie ziemniaki, a w szczególności do takich upraw zbożowych, jak pszenica, jęczmień, owies, ryż i kukurydza. We wszystkich tych wypadkach mamy prawo przypuszczać, że skrupuły powstrzymujące dzikich od spożywania świeżych owoców jakiegokolwiek rośliny i ceremonie, które urządzają, zanim skrupuły te zostaną pokonane, wynikają w znacznej przynajmniej mierze z przekonania, iż w roślinie lub drzewie przebywa duch, a nawet bóstwo, od którego należy uzyskać pozwolenie i którego przychylność winno się pozyskać, zanim można będzie bezpiecznie zabrać się do jedzenia nowych plonów. Potwierdzają to Ajnowie nazywając proso "boskim zbożem", "zbożowym bóstwem", modląc się i czcząc je, zanim przystępują do jedzenia placków ze świeżego prosa.

Zwyczaj obrzędowego spożywania chleba jako ciała boga praktykowany był przez Azteków przed odkryciem i podbojem Meksyku przez Hiszpanów. Dwa razy do roku, w maju i grudniu, wizerunek wielkiego meksykańskiego boga Huitzilopochtli lub Vitzilipuztli sporządzano z ciasta, łamano na kawałki, po czym wierni spożywali je uroczyście. Tak oto opisuje ceremonię majową historyk Acosta⁸⁷: "W miesiącu maju Meksykanie urządzali główne święto dla swego boga Vitzilipuztli; na dwa dni przed tym świętem dziewice, o których wspominałem (te, które zamykano trzymano na osobności w tej samej

⁸⁷ Joseph A c o s t a (1540-1599) - prowincjał jezuitów w Peru, autor *Histoire naturelle et morale des Indes*.

świętyni i które były jak gdyby mniszkami), mieszały pewną ilość nasion buraka z pieczoną kukurydzą, a potem ugniatały to z miodem lepiąc z tej masy bożka wielkości drzewa, zamiast oczu wkładając paciorki ze szkła zielonego albo niebieskiego, albo białego; a zamiast zębów ziarna kukurydzy oraz wszystkie ozdoby i przybory, o których już wspominałem. Gdy to ukończono, pojawiali się wszyscy szlachetnie urodzeni i przynosili piękną i bogatą szatę, taką, jaka przystoi bogu, w którą ubierali bożka. Tak przybranego sadzali na błękitnym krześle, które ustawiali na lektyce, by nieść je na własnych ramionach. Gdy nadszedł poranek święta, na godzinę przed świtem, przychodziły wszystkie dziewczęta w białych szatach z nowymi ozdobami; w tym dniu zwano dziewczęta siostrami boga Vitzilipuztli. Przybywały z girlandami pieczonej i suszonej kukurydzy na głowie, nosząc je jak *azahar*, czyli kwiat pomarańczy. Na szyjach miały naszyjniki zrobione z takiej samej kukurydzy, które ukośnie biegły pod lewym ramieniem. Policzki miały pokryte karminem, a ramiona od przegubu do łokci przybrane czerwonymi papuzimi piórami." Młodzieńcy w czerwonych szatach i z wiankami kukurydzy na głowie, podobnie jak dziewczęta, nieśli następnie bożka w lektyce do stóp świątyni zbudowanej w kształcie piramidy, a potem wciągali go po stromych i wąskich schodach, przy akompaniamencie fletów, trąb, rogów i bębnow. "A gdy wnosili bożka, lud stał na dziedzińcu, pełen szacunku i nabożnego lęku. Gdy już umieścili go na szczycie w małym domku z róż, który mieli już przygotowany, młodzieńcy schodzili rozrzucając przeróżne kwiaty i wypełniając nimi świątynię z zewnątrz i wewnątrz. Dziewice wychodziły ze swego klasztoru przynosząc kawałki ciasta z buraka i pieczonej kukurydzy, a było to to samo ciasto, z którego sporządzono i ulepiono bożka, kawałki zaś miały kształt wielkich kości. Wręczały je młodzieńcom, którzy zanosili je do stóp bożka wypełniając szczelnie całą przestrzeń. Nazywali te kawałki ciasta ciałem i kośćmi Vitzilipuztli. Gdy te kości zostały rozłożone, pojawiali się wszyscy starsi świątyni, kapłani, lewicy i reszta duchownych, według godności i starszeństwa (panował bowiem wśród nich ścisły porządek), jeden po drugim z welonami rozmaitych kolorów i z różnych materiałów zgodnie z piastowanym urzędem i godnością, z wieńcami na głowie i girlandami na szyjach; po nich przychodzili czczeni przez nich bogowie i boginie, o rozmaitych kształtach, przybrani w te same liberie, i ustawivszy się w porządku wokół wyłożonych kawałków ciasta, urządzali pewne ceremonie ze śpiewem i tańcami. W ten sposób kawałki te były błogosławione i uświęcone jako kości i ciało tego bożka. Po zakończeniu ceremonii i błogosławieństw (w czasie których kawałki były brane za ciało i kości boga) czcili te kawałki tak samo jak swego boga [...] Całe miasto zbierało się na to piękne widowisko, a w całym kraju ściśle przestrzegano zakazu zabraniającego w dzień święta bożka Vitzilipuztli jeść mięso, a nakazującego tylko jeść ciasto z miodem, z którego zrobiony był bożek. A to powinno się jeść o świcie, potem zaś do południa nie wolno im pić wody ani niczego innego. Byłoby to ich zdaniem złym znakiem, co więcej, świętokradztwem zakaz ten naruszyć, ale po zakończeniu ceremonii mogli jeść wszystko. W czasie tej ceremonii chowali wodę przed małymi dziećmi, napominając te, które były już dość rozsądne, by nie piły wody, gdyż w ten sposób ściągną na siebie gniew boga i umrą, dzieci zaś przestrzegały tego bardzo ściśle i starannie. Po zakończeniu ceremonii, tańców i śpiewów wracali, by się przebrać, a kapłani i

starsi świątyni zabierali zarówno samego bożka z ciasta, z którego zdjęto już wszystkie ozdoby, jak i kawałki, które poświęcili, i rozdawali ludowi jako komunię, poczynając od ludzi znaczniejszych, a potem rozdając je reszcie, zarówno mężczyznom, kobietom, jak i małym dzieciom, a ludzie przyjmowali to ze łzami, lękiem i szacunkiem, jako że była to rzecz wspaniała, i mówili, że spożywają ciało i kości boga, co ich smuci. Ci, którzy mieli chorych, prosili dla nich o kawałek i nieśli go z wielkim szacunkiem i czcią."

Dowiadujemy się z tego ciekawego fragmentu, że starożytni Meksykanie jeszcze przed przybyciem misjonarzy chrześcijańskich znali dokładnie teorię przeistoczenia i stosowali ją w uroczystych obrządkach swej religii. Wierzyli, że kapłani przez poświęcenie chleba mogą go przeistoczyć w ciało ich boga, tak że wszyscy, którzy spożywają chleb poświęcony, wstępują w mistyczną komunię z bóstwem wchłaniając część boskiej substancji. Teoria transsubstancjacji, czyli magicznego przeistoczenia chleba w ciało, znana była również Ariom w starożytnych Indiach na długo przed rozpowszechnieniem, a nawet powstaniem chrześcijaństwa. Bramini pouczali, że placki ryżowe podawane w ofierze są substytutami istot ludzkich i że dzięki zabiegom kapłanów przemieniają się one w rzeczywiste ciało ludzkie. Czytamy, że "gdy składa się on [placek ryżowy] jeszcze z mąki ryżowej, wówczas są to włosy. Gdy dodaje się wody, staje się skórą. Gdy kapłan to zmiesza, placek staje się ciałem, albowiem wtedy robi się stały; a stałym jest również ciało. Gdy się upiecze, staje się kością; albowiem wtedy nieco twardnieje; a kość jest twarda. A gdy ma je właśnie zdjąć [z ognia] i skrapia je masłem, zamienia je w szpik. Oto pełnia, którą nazywają popiątą ofiarą."

Teraz i my rozumiemy, dlaczego w dzień uroczystości komunii z bóstwem Meksykanie nie jedli niczego poza poświęconym chlebem, który czcili jako prawdziwe ciało i kości swego boga, dlaczego do południa nie pili żadnych napojów, nawet wody. Obawiali się niewątpliwie, że mogą zbezczcić kawałek boga znajdujący się w ich żołądku przez zetknięcie go z pospolitym pokarmem. Podobny nabożny lęk kazał Indianom Krik i Seminolom stosować bardziej radykalny sposób oczyszczania ciała przez zażywanie silnych środków przeczyszczających przed spożyciem sakramentu pierwszych owoców.

W grudniu, podczas święta zimowego przesilenia, Aztekowie zabijali najpierw swego boga Huitzilopochtli *in effigie*⁸⁸, a następnie go zjadali. Podczas przygotowań do tej uroczystości sporządzano wizerunek bóstwa na podobieństwo człowieka z najrozmaitszych nasion, z których ugniatano ciasto z krwią dzieci. Kości boga zastępowano kawałkami drzewa akacjowego. Wizerunek umieszczano na głównym ołtarzu świątyni, a w dniu święta król okadzał go. Wczesnym rankiem dnia następnego wizerunek zdejmowano z ołtarza i ustawiano w wielkiej sali. Następnie

kapłan noszący imię i odgrywający rolę boga Quetzalcoatl wbił w pierś figury boga strzałę zakończoną krzemiennym ostrzem i przebijał go na wskroś. Nazywał się ten zabieg "zabijaniem boga Huitzilopochtli po to, by można było zjeść jego ciało". Jeden z kapłanów wycinał serce figury i dawał je

⁸⁸ w podobiznie (łac.)

do zjedzenia królowi. Resztę figury dzielono na kawałki i każdy mężczyzna, zarówno dorosły, jak i młody, do niemowląt płci męskiej włącznie, otrzymywał kawałeczek do zjedzenia. Ale żadnej kobiecie nie wolno było spróbować nawet okruszynki. Ceremonia nazywała się *teoqualo*, to znaczy "bóg jest zjadany".

Po tych przykładach możemy zaproponować wyjaśnienie przysłowia: "W Arycji jest wiele Manii." Rzymianie nazywali pewien gatunek chlebów lepionych w kształcie ludzi *maniae* i wydaje się, że wypiekano je głównie w Arycji. Otóż Mania, nazwa takiego bochenka chleba, była również imieniem Matki względnie Babki Duchów, której poświęcano wełniane kukły mężczyzn i kobiet podczas świąt Compitaliów⁸⁹. Kukielki te zawieszano na drzwiach wszystkich domów w Rzymie, na każdą wolną osobę w domu przypadała jedna kukła i kukielka innego rodzaju na każdego niewolnika. Wierzono bowiem, że tego dnia duchy zmarłych krążą po mieście, i spodziewano się, że z dobroci lub po prostu z nieuwagi duchy zabiorą ze sobą kukły wiszące na drzwiach zamiast żywego mieszkańca domu. Zgodnie z tradycją te wełniane kukielki zastępowały składane dawniej ofiary ludzkie. Nie można polegać na danych tak fragmentarycznych i niepewnych, ale wydaje się, że warto wysunąć hipotezę, iż bochenki w kształcie ludzi, które, jak się zdaje, wypiekano w Arycji, były chlebem obrzędowym i że w dawnych czasach, gdy zabijano co roku boskich Królów Lasu, sporządzano bochenki na ich podobieństwo, tak samo jak robiono z ciasta figury bogów meksykańskich, po czym wierni zjadali je jako sakrament. Meksykańskim obrzędom ku czci Huitzilopochtli również towarzyszyły ofiary ludzkie. Legenda głosząca, że założycielem świętego gaju w Arycji był człowiek imieniem Manius, założyciel rodu swego imienia, byłaby w takim razie etymologicznym mitem, mającym na celu wyjaśnienie nazwy *maniae* używanej w odniesieniu do obrzędowych bochnów. Mgliste wspomnienie początkowego powiązania bochenków z ludzkimi ofiarami da się, być może, wyśledzić w opowieści, że wizerunki poświęcone Manii podczas Compitaliów zastępowały ofiary ludzkie. Sama jednak opowieść pozbawiona jest zapewne podstaw, ponieważ zwyczaj wystawiania kukiel dla odwrócenia uwagi duchów lub demonów od żywych ludzi jest dosyć rozpowszechniony.

Tak więc Tybetańczycy obawiają się niezliczonych demonów ziemi podległych Starej Matce Khon-ma. Boginię tę, którą można przyrównać do rzymskiej Manii, Matki względnie Babki Duchów, stroi się w żółte szaty, trzyma ona w ręku złotą pętlę i jeździ na baranie. Po to, by zamknąć dostęp do domu mieszkalnego nieczystym siłom, których panią jest Stara Matka Khonma, zawiesza się przed domem nad drzwiami skomplikowany przedmiot przypominający kandelabr. Składa się on z czaszki barana, szeregu cennych przedmiotów, na przykład złotych listków, srebra i turkusów, a także prowiantu, jak ryż, pszenica i jarzyny strączkowe, oraz z wizerunków mężczyzny lub kobiety i domu. "Mężczyzna, kobieta i dom mają oszukać demony, gdyby pojawiły się mimo ofiar, i wprowadzić je w błąd, by myślały, że wizerunki są w istocie mieszkańcami domu. Będą mogły wobec tego złość swą wyrzucić na

⁸⁹ Compitalia - święta bóstw opiekujących się rozdrożami i skrzyżowaniami dróg u starożytnych Rzymian.

kawałkach drzewa, a w ten sposób mieszkańcy domu będą uratowani." Gdy wszystko jest już gotowe, kapłan modli się do Starej Khonma, prosząc, by przyjęła skromne dary i zamknęła drzwi rozwarte na ziemię, by demony nie przybyły i nie wyrządziły szkody domostwu.

Mając na uwadze te przykłady możemy założyć, że wełniane kukły zawieszane przed domami w starożytnym Rzymie podczas święta Compitaliów nie były substytutami ludzkich ofiar, które dawniej składano o tej porze roku, lecz raczej ofiarami zastępczymi składanymi Matce względnie Babce Duchów w nadziei, że krążąc po mieście przyjmie je lub weźmie za mieszkańców domu i w ten sposób oszczędzi ich przez jeszcze jeden rok. Być może, kukły robione z sitowia, które w maju kapłani i westalki wrzucali do Tybru ze starego Mostu Sublicyjskiego, miały początkowo to samo znaczenie, to jest miały wyzwolić miasto z władzy demonów przesuając ich uwagę z istot ludzkich na kukły, a potem topiąc to niesamowite towarzystwo w rzece szybko unoszącej je do morza. W ten sam sposób tubylcy w Starym Kalabrze zwykli byli co pewien czas oczyszczać miasto od diabłów zwabiając nieostrożne demony do żalosnych strachów na wróble i topiąc je następnie w rzece. Tego rodzaju tłumaczenie rzymskiego obyczaju podtrzymuje w pewnej mierze świadectwo Plutarcha, który tę ceremonię określa jako "największe oczyszczenie".

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

ZABIJANIE BOSKIEGO ZWIERZĘCIA

Z poprzednich rozdziałów dowiedzieliśmy się, że w wielu społecznościach, które po przebyciu ewolucji trudniły się już głównie rolnictwem, istniał zwyczaj zabijania i spożywania mącznych bóstw bądź to w ich własnej postaci zboża, ryżu itd., bądź też w zapożyczonych kształtach ludzi lub zwierząt. Należy jeszcze dowieść, że zarówno plemiona myśliwskie i pasterskie, jak i ludy rolnicze zwykły były zabijać istoty przez siebie czczone. Pośród tych istot lub bogów, jeśli w ogóle można je tak nazwać, które myśliwi i pasterze czczą i zabijają, są zwykle zwierzęta, bynajmniej nie uważane za wcielenia istot wyższych. Pierwszy przykład zaczerpnijemy z obyczajów Indian kalifornijskich, którzy, zamieszkując żyzną krainę pod niebem łagodnym i umiarkowanym, znajdują się jednakowoż na najniższym prawie szczeblu dzikości. W plemienu Acagchemem istnieje kult wielkiego myszołowa i raz do roku urządzają ku jego czci wielkie święto zwane *Panes*, czyli świętem ptaków. Datę święta podawano ludziom w przeddzień uroczystości i natychmiast przystępowano do budowy specjalnej świątyni (*vanquech*) będącej, jak się zdaje, kolistą lub owalną palisadą z wypchaną skórą kojota, czyli wilka stepowego, osadzoną na palisadzie, przedstawiającą boga Chinigchinich. Po zakończeniu budowy świątyni wnoszono do środka w uroczystej procesji myszołowa i składano go na specjalnie w tym celu przygotowanym ołtarzu. Wszystkie młode niewiasty, mężatki i panny, zaczynały biegać bezładnie, jak gdyby czymś zaniepokojone, to w jednym, to w drugim kierunku, a starszyzna obu płci przyglądała się temu w milczeniu, wodzowie zaś przystrojeni w pióra i z pomalowanymi ciałami tańczyli wokół czczonego ptaka. Po zakończeniu tych ceremonii zanoszono ptaka do głównej świątyni. Wszyscy brali udział w wielkiej paradzie, wodzowie zaś tańczyli i śpiewali krocząc na czele pochodu. Po przybyciu do świątyni zabijano ptaka uważając przy tym, by nie uронić ani kropli jego krwi. Skórę wraz z piórami ściągano i przechowywano jako relikwię względnie po to, by później sporządzić z niej świąteczny strój, czyli *paelt*. Ścierwo zakopywano w dziurze w świątyni. Wokół grobu zbierały się stare kobiety płacząc i zawodząc rozpaczliwie.

Sypały one na grób różne gatunki ziarna i okruchy jedzenia wykrzykując przy tym: "Dlaczego uciekłeś? Czy nie byłoby ci lepiej z nami? Robiłbyś *pinole* [rodzaj kielku] tak jak i my, gdybyś nie uciekł, nie zostałbyś *Panes*", i tak dalej. Po zakończeniu tej ceremonii tańce rozpoczynały się na nowo i trwały przez trzy dni i trzy noce. *Panes* uważano za kobietę, która uciekła w góry i tam przemienił ją w ptaka bóg Chinigchinich. Indianie wierzyli, że chociaż co roku poświęcają ptaka, powraca ona do życia i do swego domu w górach. Co więcej, byli przekonani, że "za każdym razem, gdy się go zabija, ptak mnoży się, ponieważ co roku wszyscy wodzowie święcili to samo święto *Panes* i wierzyli głęboko, że ptaki składane w ofierze są jedną i tą samą niewiastą".

Jedność w wielości, którą postulują Kalifornijczycy, jest bardzo charakterystyczna i pozwala wytłumaczyć motywy, jakimi się kierują zabijając ptaka. Pojmowanie życia gatunku jako czegoś

oddzielnego od życia jednostki, tak proste i oczywiste dla nas, wydaje się czymś niepojętym kalifornijskiemu dzikiemu. Życie gatunku może on sobie wyobrazić jedynie jako życie jednostki, wystawione na te same niebezpieczeństwa i klęski, jakie zagrażają życiu jednostki. Widocznie wyobraża sobie, że gatunek, pozostawiony własnemu losowi, zestarzeje się i umrze, podobnie jak jednostka, i dlatego należy podjąć jakieś kroki w celu uratowania przed wyginięciem gatunku, który uważa się za boski. Jedynym w jego pojęciu sposobem uniknięcia katastrofy jest zabicie jednego stworzenia z danego gatunku, w którego żyłach wartko jeszcze płynie strumień życia i które nie ugrzęzło jeszcze w moczarach starości. Życie skierowane z jednego kanału popłynie na nowo i swobodnie w innym kanale, innymi słowy, zabite stworzenie odżyje i rozpocznie nowe życie z całą siłą i energią młodości. Z naszego punktu widzenia jest to rozumowanie bezsensowne, ale tak samo bezsensowny wydaje się nam obyczaj. Warto zauważyć, że podobne pomieszczenie pojęć życia gatunku i indywidualnej jednostki panuje na Samoa. Każda rodzina ma tu swego boga w postaci jakiegoś zwierzęcia, ale śmierć jednej istoty, na przykład sowy, nie jest bynajmniej śmiercią boga; "uważano, że mimo to żyje on i wcielony jest we wszystkie istniejące sowy".

W religii starożytnego Egiptu znajdujemy paralelę opisanego przed chwilą prymitywnego obrzędu kalifornijskiego. Tebańczycy i wszyscy inni Egipcjanie, którzy czcili tebańskiego boga Ammona, uważali barana za zwierzę święte i nie składali go w ofierze. Ale raz do roku, podczas święta Ammona, zabijali barana, ściągali z niego skórę i ubierali w nią wizerunek boga, po czym oplakiwali barana i składali go w świętym grobie. Zwyczaj ten wyjaśnia legenda głosząca, że Zeus ukazał się pewnego razu Herkulesowi odziany w runo i z głową barana. Oczywiście w tym wypadku baran jest po prostu zwierzęcym bogiem Teb, podobnie jak wilk był zwierzęcym bogiem Lykopolis, a kozioł zwierzęcym bogiem Mendes. Innymi słowy, baranem tym był sam Ammon. Co prawda na zabytkach widzimy Ammona w postaci półludzkiej, z ciałem człowieka i głową barana. Dowodzi to jedynie, że był on w stadium przejściowym, przez które stale przechodzą zwierzęcy bogowie, zanim okazują się w pełni bogami antropomorficznymi. Baran wobec tego nie był zabijany jako ofiara składana Ammonowi, lecz jako sam bóg, a o tym, że był on identyczny ze zwierzęciem, świadczy zwyczaj przybierania jego wizerunku w skórę zarżniętego zwierzęcia. Takie doroczne zabijanie boga-barana da się wytłumaczyć przyczynami, które przypisałem ogólnemu zwyczajowi zabijania boga, a także szczególnym kalifornijskim zwyczajom zabijania boskiego myszołowa.

W obyczajach kalifornijskich i egipskich nie możemy dopatrzeć się związku kultu zwierzęcia z rolnictwem, przypuszczamy więc, że pochodzi on z okresu, kiedy społeczeństwo znajdowało się na etapie życia myśliwskiego i pasterskiego. To samo można powiedzieć o obyczajach, które za chwilę opiszemy, chociaż przestrzegający ich Indianie Zuni z Nowego Meksyku osiedlili się w otoczonych murami wioskach i miasteczkach szczególnego rodzaju i zajmują się rolnictwem oraz garncarstwem i tkactwem. Ale obyczaje Zuni posiadają pewne cechy pozwalające zaliczyć je do innej kategorii aniżeli poprzednio przedstawione. Warto je wobec tego opisać słowami naocznego świadka.

“W połowie lata upały wzmogły się straszliwie. Mój brat [tzn. adoptowany indiański brat] i ja siedzieliśmy w chłodnej piwnicy naszego domu, on - zajęty w swej prymitywnej kuźni - przerabiał za pomocą prostych narzędzi monety meksykańskie na rozmaite bransoletki, paski, kolczyki, guziki i tym podobne barbarzyńskie ozdoby. Narzędzia jego były straszliwie prymitywne, a jednak dzięki cierpliwości i przemyślności wyrabiał przepiękne rzeczy. Pewnego dnia, gdy siedziałem przypatrując się jego pracy, zesła z góry pośpiesznie procesja złożona z pięćdziesięciu mężczyzn i oddaliła się przemierzając równinę w kierunku zachodnim. Prowadził ją uroczyscie kapłan umalowany i wystrojony w muszle, a za nimi kroczył z pochodnią Szu-lu-wit-si, czyli Bóg Ognia. Gdy znikli z oczu, zapytałem starszego brata, co to wszystko znaczy.

- Idą - odpowiedział - do miasta Ka-ka i ojczyzny naszych innych.

Po czterech dniach, przed zachodem słońca, powrócili, przebrani w piękne parafernalia Ka-k'ok-szi, czyli «Dobrego Tańca». Szli gęsiego po tej samej ścieżce. Każdy z nich niósł ostrożnie, jak matka dziecko, kosz z żywymi i wiercącymi się żółwiami. Niektóre z tych wstrętnych płazów, owinięte w miękkie koce tak, że wystawały im głowy i kończyny, nieśli na plecach przybrani w pióra pielgrzymi. Wyglądało to jak śmieszna, a przy tym uroczysta karykatura matek niosących w taki sam sposób małe dzieci. Tego wieczoru, gdy jadłem na górze kolację, zjawił się szwagier pana domu. Rodzina powitała go jak posłańca niebios. W drżących rękach niósł jednego z buntujących się krzywdzonych żółwi. Na dłoniach i stopach widać było jeszcze ślady farby, co świadczyło, że był jednym z biorących udział w świętej misji.

A więc byłeś w Ka-thlu-el-lon? - zapytałem.

Ee - odpowiedział, zmęczony, głosem zachrypłym od długiego śpiewania, opadając niemal wyczerpany na zwój skór, który dla niego położono, i kładąc ostrożnie żółwia na podłodze. Gdy tylko stworzenie znalazło się na wolności, ruszyło pośpiesznie co sił w niedołężnych nogach. Jak jeden mąż cała rodzina porzuciła strawę, łyżki, kubki i chwytając z poświęconej misy z jedzeniem całe garście zawartości pośpieszyła za żółwem po izbie, do ciemnych kątów, wokół dzbanów z wodą, za żarnami i z powrotem na środek izby, modląc się i rzucając na skorupę żółwia garście mąki. Wreszcie, o dziwo, żółw podszedł do zmęczonego człowieka, który go przyniósł.

Ha! - zawołał ten, wzruszony - widzicie, wraca do mnie; oto jak wielkimi łaskami obdarzają mnie dziś bogowie - po czym pogłaskawszy rozciągnięte u jego stóp zwierzę długo i głęboko wdychał zapach dłoni prosząc równocześnie o łaskę bogów. Następnie podparwszy podbródek dłonią wpatrywał się dużymi, rozmarzonymi oczami w swego rozciągniętego na podłodze brzydkiego jeńca, który mrugał zasypianymi mąką powiekami i drapał gładką podłogę, jak gdyby wspominając swój rodzimy żywioł. Pozwoliłem sobie zadać w tej chwili pytanie:

- Dlaczego nie puścicie go wolno albo nie dacie mu trochę wody? Człowiek zwrócił ku mnie z wolna spojrzenie, a na jego twarzy dziwny wyraz boleści mieszał się z oburzeniem i litością. Nabożna rodzina patrzyła na mnie z niekłamanym przerażeniem.

- Biedny młodszy bracie! -odezwał się na koniec. - Czyż nie wiesz, jak bardzo jest on drogocenny? On miałby umrzeć! Nie umrze! powiem ci to, nie może umrzeć.

- Ależ umrze, jeśli nie dacie mu czegoś do jedzenia i wody do picia.

Otóż powiadam ci, że umrzeć nie może. Jutro zmieni jedynie dom i powróci do domu swych braci. No tak, ale skąd ty możesz o tym wiedzieć? - rozważał sprawę. Po czym zwrócił się znowu do oślepiętego żółwia:

Ach, moje biedne utracone dziecko czy może rodzicu, mój niedoszły bracie albo niedoszła siostró! Kto wie, kim miałaś być? Być może, moim pradziadkiem lub prababką! - Po czym zaczął przejmująco płakać, a łkaniem jego wtórowały niewiasty i dzieci, on zaś ukrył twarz w dłoniach. Przejęty jego rozpaczą, mimo iż zrodziła się z nieporozumienia, uniosłem żółwia do warg i pocałowałem zimną skorupę, po czym pośpiesznie opuściłem pogrążoną w żałobie rodzinę. Następnego dnia przy akompaniamencie modlitw i czułych próśb, z piórami i ofiarami, biedny żółw został zabity, a mięso jego i skórę złożono w małej rzeczce, by «mógł raz jeszcze powrócić do wiecznego życia wśród swych towarzyszy w mrocznych wodach jeziora umarłych*. Ze skorupy starannie wydrapanej i wysuszonej zrobiono grzechotkę używaną przy tańcu. Przykryta kawałkiem wyprawionej skóry koźlej, nadal jeszcze zwisa z zakopconych belek domu mego brata. Kiedyś jakiś Nawaho chciał ją kupić, żeby zrobić z niej chochlę, ale wyrzucono go z domu z oburzeniem i wyrzutami. Gdyby ktokolwiek pozwolił sobie na uwagę, że żółw już nie żyje, słowa jego powitano by strumieniami łez i przypominano by mu, że «jedynie zmienił dom, przeniósł się do innego domu i poszedł mieszkać do domu - naszych innych, którzy odeszli -»."

W zwyczaju tym występuje najwyraźniej wiara w przechodzenie duszy ludzkiej do ciała żółwia. Teorię wędrówki dusz głoszą Indianie plemienia Moki, należący do tej samej rasy co plemię Zuni. Indianie Moki dzielą się na klany totemiczne - klan Niedźwiedzia, klan Jelenia, klan Wilka, klan Zająca itd. Wierzą oni, że przodkami tych klanów były niedźwiedzie, jelenie, wilki, zające itd. i że po śmierci członkowie klanu stają się niedźwiedziami, jeleniami, wilkami, zającami itp. zgodnie z tym, do jakiego klanu za życia należeli. Również i Zuni dzielą się na klany, podobnie jak Moki, a jednym z totemów jest żółw. Tak więc ich wiara w wędrówkę dusz i przechodzenie ich w żółwie jest prawdopodobnie jednym ze stałych artykułów ich totemicznej wiary. Cóż wobec tego oznacza zabijanie żółwia, w którym - jak wierzą - przebywa dusza jednego z ich rodaków? Widocznie celem tego zabiegu jest utrzymanie kontaktu z tamtym światem, w którym dusze zmarłych gromadzą się w postaci żółwia. Przekonanie o tym, że dusze zmarłych wracają od czasu do czasu do swoich domów, jest szeroko rozpowszechnione. Zgodnie z tym przekonaniem niewidzialni goście są przyjmowani, goszczeni, a następnie odsyłani w swoją drogę przez żywych. W ceremonii u Zuni zmarli sprowadzani są do domu w postaci żółwi, a zabijanie tych zwierząt jest formą odsyłania ich dusz do krainy duchów. Tak więc podane wyżej ogólne wyjaśnienie zwyczaju zabijania boga nie odpowiada, jak się zdaje, procedurze stosowanej przez Zuni. Prawdziwy sens praktykowanego przez nich obyczaju jest nieco niejasny. Nie rozprasza tej niejasności późniejszy, bardziej szczegółowy opis ceremonii, który do nas dotarł. Dowiadujemy się z tej relacji, że ceremonia

była częścią skomplikowanego obrządku przestrzeganego przez Indian Zuni w czasie letniego przesilenia w celu zapewnienia sobie obfitych deszczów. Wysła się posłów, którzy mają sprowadzić "swoje drugie wcielenia, żółwie", z świętego jeziora Kothluwalawa, do którego według wierzenia udają się dusze zmarłych. Uroczystości sprowadzenia umieszcza się w misach z wodą, po czym tańczą wokół nich mężczyźni przebrani za bogów i boginie. "Po uroczystości ci, którzy schwytali żółwie, zabierają je do swoich domów i wieszają za szyje na krokwiach, po czym rano wrzucają do garnków z wrzątkiem. Jaja* żółwie uchodzą za szczególny przysmak. Mięso jada się rzadko, chyba jako lekarstwo na choroby skórne. Część mięsa wrzuca się do rzeki z *kóhakwa* (paciorkami z białych muszli) i paciorkami turkusowymi jako ofiarę dla Rady Bogów." Relacja ta potwierdza w każdym razie naszą hipotezę, że żółwie są wcieleniem zmarłych ludzi. Zuni bowiem nazywają je "drugimi wcieleniami", czymże innym mogłyby zresztą być, jak nie duszami zmarłych w ciałach żółwi, zważywszy, że przybyły one z nawiedzonego przez duchy jeziora? Głównym celem tańców i modlitw podczas tych uroczystości letniego przesilenia jest, jak się zdaje, sprowadzenie deszczu, być może więc intencją sprowadzenia żółwi do Zuni i tańczenia przed nimi jest zdobycie przychylności duchów przodków wcielonych w żółwie, by użyły swej władzy nad wodami niebieskimi dla dobra swych żyjących następców.

Niejasny jest również w pierwszej chwili sens ofiarowania niedźwiedzia przez Ajnów, prymitywny lud zamieszkujący japońską wyspę Jezo, jak też Sachalin i południowe Wyspy Kurylskie. Niełatwo określić stosunek Ajnów do niedźwiedzia. Nazywają go *kamui*, czyli "bogiem", ale używają również tego samego słowa w odniesieniu do cudzoziemców, wobec czego może ono oznaczać jedynie istotę obdarzoną nadludzkimi, a w każdym razie niezwykle siłami. Dowiadujemy się również, że niedźwiedź jest "ich głównym bóstwem", że "w religii Ajnów niedźwiedź odgrywa główną rolę", "z wszystkich zwierząt niedźwiedź głównie czczony jest bałwochwalczo", że "czczą go na swój sposób", i "nie ulega wątpliwości, iż niedźwiedź wywołuje więcej uczuć skłaniających do religijnego kultu aniżeli nieożywione siły przyrody, Ajnowie zaś wyróżniają się szczególnie jako czciciele niedźwiedzia". Ale równocześnie zabijają niedźwiedzia przy każdej nadarzającej się okazji. "W latach minionych Ajnowie uważali polowanie na niedźwiedzia za najbardziej męski i pożyteczny sposób spędzania czasu"; "mężczyźni jesień, zimę i wiosnę spędzają polując na niedźwiedzia i jelenia. Część daniny względnie podatków splecają w skórkach, sami zaś żywią się suszonym mięsem." Mięso niedźwiedzia jest istotnie głównym ich pożywieniem, jedzą je zarówno świeże, jak i solone, skóry zaś dostarczają im odzieży. W rzeczy samej kultem, o którym wspomina cytowany autor, otaczany jest głównie niedźwiedź zabity.

Ale nas tutaj interesuje przede wszystkim święto niedźwiedzia u Ajnów. Pod koniec zimy chwytają oni małego niedźwiadka i zabierają z sobą do wioski. Jeżeli jest jeszcze bardzo mały, karmi go własną piersią kobieta, a jeśli nie ma w pobliżu karmiącej kobiety, karmi się zwierzątko z ręki lub z ust. Przez cały dzień niedźwiadek bawi się z dziećmi koło domu i wszyscy są do niego bardzo przywiązani. Gdy jednak podrośnie i jest już tak duży, że może wyrządzić krzywdę człowiekowi swymi uściskami lub pazurami, zamyka się go w mocnej klatce z drzewa, gdzie zazwyczaj pozostaje przez dwa lub trzy lata.

Żywi się go rybami i kaszą owsianą do chwili, gdy nadejdzie pora, by zwierzę zabić i zjeść. Ale "rzuca się w oczy, że młody niedźwiedź hodowany jest nie tylko dla sprawienia porządnej uczty, ale traktowany jest i goszczony jako fetysz, a nawet pewnego rodzaju istota wyższa". Na Jezo wspomniane święto obchodzone jest zazwyczaj we wrześniu lub październiku. Przed świętem Ajnowie usprawiedliwiają się przed bogami, twierdząc, że traktowali niedźwiedzia dobrze dotąd, dopóki to było możliwe, ale teraz nie mogą go już dłużej karmić i muszą go zabić. Człowiek, który urządza ucztę z niedźwiedzia, zaprasza wszystkich krewnych i znajomych. W małej wiosce wszyscy niemal mieszkańcy biorą w niej udział, a nawet goście z odległych wiosek są zapraszani i zazwyczaj przybywają, skuszeni perspektywą popicia sobie za darmo. Zaproszenie ma mniej więcej taką formę: "Ja, Taki-to-a-taki, mam zamiar złożyć w ofierze małe kochane boskie stworzenie mieszkające w górach. Moi przyjaciele i panowie, przybądźcie na ucztę, zespolimy się w wielkiej radości odsyłania boga. Przybądźcie." Gdy już wszyscy zebrali się przed klatką, mówca, specjalnie do tego celu wyznaczony, zwraca się do niedźwiedzia i powiada mu, że odeślą go teraz do jego przodków. Prosi o wybaczenie tego, co mu zrobią; ma nadzieję, że nie będzie się gniewał, i pociesza zwierzę, że na długą drogę otrzyma dużo struganych świętych patyków (*inao*), mnóstwo ciastek i wina. Jedno z takich przemówień, które słyszał Batchelor, brzmiało następująco: "O boski, któryś został zesłany nam na świat dla polowania. O wspaniałe małe bóstwo, czcimy cię; proszę cię, wysłuchaj naszych modłów. Żywiliśmy cię i wychowaliśmy nie szczędząc trudów i wyrzeczeń, a wszystko dlatego, że cię tak bardzo kochamy. Teraz gdy już wyrosłeś i jesteś wielki, odeślemy cię do twego ojca i matki. Gdy przybędziesz do nich, mów o nas dobrze, powiedz im, jacy dobrzy byliśmy dla ciebie. Prosimy cię, wróć do nas i znowu złożymy cię w ofierze." Związanego sznurami niedźwiedzia wyprowadza się z klatki i zasypuje gradem tępych strzał, by wprowadzić go w furję. Gdy zwierzę zmęczyło się już daremną szarpaniną, przywiązuje się je do pala, knebluje mu się pysk i dusi, szyję umieszcza między dwiema belkami, które się gwałtownie ściska, przy czym wszyscy obecni gorliwie pomagają zadusić zwierzę. Wybiera się również dobrego łucznika, który trafia strzałą niedźwiedzia w serce w taki sposób, by nie została przelana ani kropla krwi, uważają bowiem, że gdyby krew spadła na ziemię, spowodowałoby to nieszczęście. Czasami jednak mężczyźni piją ciepłą krew niedźwiedzia, "by przeszły na nich jego odwaga i inne cnoty". Niekiedy smarują krwią niedźwiedzia swe szaty, co ma przynieść powodzenie na polowaniu. Gdy zwierzę zostało wreszcie zaduszone, ściąga się zeń skórę i ucina głowę, którą umieszcza się we wschodnim oknie domu, ustawiając pod pyskiem kawałek jego własnego mięsa i kubek z ugotowanym własnym mięsem wraz z pierożkami z prosa i suszoną rybą. Następnie odmawia się modlitwy do martwego zwierzęcia, czasami zaprasza się je, by wróciło po podróży do rodziców z powrotem na ziemię, ażeby można je raz jeszcze złożyć w ofierze. Gdy już niedźwiedź rzekomo zakończył spożywanie własnego mięsa, człowiek, który przewodniczy uczcie, zabiera kubek z gotowanym mięsem, pozdrawia je i rozdaje zawartość między wszystkich obecnych. Każdy, młody i stary, musi skosztować. Kubek zwany jest "kubkiem ofiarnym", ponieważ dopiero co był ofiarowany martwemu niedźwiedziowi. Gdy reszta mięsa została ugotowana, rozdziela się ją w podobny

sposób między ludzi. Każdy musi zjeść przynajmniej kawałek. Niewzięcie udziału w uczcie równoznaczne jest z ekskomuniką, a zaprzaniec znalazłby się poza społecznością Ajnów. Dawniej musiano zjeść podczas uczyty całe mięso niedźwiedzia oprócz kości, ale obecnie przepisy są łagodniejsze. Głowę odciętą od skóry umieszcza się na długim palu obok świętych różdżek przed domem i tkwi ona tam tak długo, aż zostanie tylko biała czaszka. Czaszki te czczone są nie tylko podczas święta, ale często do chwili, dopóki się nie rozsypią. Ajnowie zapewniali Batchelora, że naprawdę wierzą, iż duch czczonego zwierzęcia przebywa w czaszce. Dlatego też nazywają je "boskimi przybytkami" i "wspaniałymi bóstwami".

Ajnowie z Sachalinu hodują młode niedźwiedzie i zabijają je z podobnymi ceremoniami. Dowiadujemy się, że nie uważają niedźwiedzia za boga, lecz tylko za posłańca, którego wysyłają z różnymi poleceniami do boga lasu. Zwierzę trzyma się przez dwa lata w klatce, po czym zabija w czasie święta odbywającego się zawsze w noc zimową. Dzień poprzedzający składanie ofiary poświęcony jest na opłakiwanie; stare kobiety na zmianę spełniają obowiązek płakania i lamentowania przed klatką niedźwiedzia. Potem około północy albo wczesnym rankiem mówca wygłasza długą orację do niedźwiedzia przypominając mu, jak o niego dbano, jak dobrze go karmiono, kąpano w rzece, dokładano starań, by mu było ciepło i wygodnie. "Teraz - mówi - urządzamy wielkie święto ku twojej czci. Nie bój się, nie wyrządzimy ci krzywdy. Zabijemy cię tylko i pošlemy do boga lasu, który cię kocha. Damy ci dobry obiad, najlepszy, jaki u nas jadłeś, i będziemy razem ciebie opłakiwać. Ajnos, który ciebie zabije, jest najlepszym z naszych łuczników. Oto tu stoi i płacze, i prosi, byś mu przebaczył. Nic prawie nie poczujesz, tak szybko wszystko się odbędzie. Sam chyba rozumiesz, że nie możemy ciebie żywić bez końca. Dostyc już zrobiliśmy dla ciebie, teraz pora, żebyś się dla nas poświęcił. Poproś boga, by zesłał nam w zimie dużo wydr i soboli, a latem fok i ryby w obfitości. Nie zapomnij naszego polecenia, bardzo cię kochamy, a nasze dzieci nigdy ciebie nie zapomną." Po zjedzeniu ostatniego posiłku przy powszechnym wzruszeniu wszystkich widzów, ponownych lamentach starych kobiet i zdławionych okrzykach mężczyzn niedźwiedzia wiąże się, co nie jest bynajmniej rzeczą łatwą i bezpieczną, po czym wyprowadza się go względnie ciągnie, zależnie od humoru zwierzęcia, na linie z klatki, trzykrotnie oprowadza wokół klatki, w której przebywał, potem wokół domu właściciela zwierzęcia i wreszcie dokoła domu mówcy. Następnie przywiązuje się go do drzewa przybranego świętymi zastruganymi patykami (*inao*). Mówca ponownie zaczyna długie przemówienie, trwające niekiedy do świtu. "Pamiętaj! - woła - pamiętaj! Przypominam ci całe twoje życie i wszystko, co dla ciebie zrobiliśmy. Teraz kolej na ciebie, byś spełnił swój obowiązek. Nie zapomnij, o co cię prosiliśmy. Powiedz bogom, by obdarowali nas bogactwami, by nasi myśliwi wracali z lasu obładowani rzadkimi futrami i zwierzętami do jedzenia, by nasi rybacy natrafiali na całe armie fok na brzegu i w morzu, by ich sieci ugiwały się pod ciężarem ryb. Jesteś naszą jedyną nadzieją. Złe duchy śmieją się z nas i aż nazbyt często są wobec nas złośliwe i wyrządzają nam krzywdy, ale przed tobą skłonią głowę. Daliśmy ci stawę, radość i zdrowie; zabijamy cię teraz, byś mógł wrócić i zesłać nam i naszym dzieciom bogactwa." Niedźwiedź, coraz bardziej

chmurny i podniecony, wysłuchuje bez przekonania tego przemówienia. Krąży nieustannie wokół drzewa i wyje przejmująco, aż wreszcie przy pierwszych promieniach słońca łucznik wbija mu strzałę w serce. Gdy tylko to uczynił, odrzuca łuk i pada na ziemię, a starcy i staruszki w ślad za nim padają na ziemię płacząc i łkając. Ofiarowują następnie nieżywemu zwierzęciu posiłek z ryżu i batatów i przemawiając do niego z żalnością, dziękując za to, co dla nich uczynił i wycierpiał, odcinają głowę i łapy, zachowując je jako świętości. Następuje potem biesiada z mięsa i krwi niedźwiedzia. Dawniej nie dopuszczano kobiet, ale obecnie biorą w niej udział. Krew pije się jeszcze ciepłą, mięso zaś gotuje, ponieważ zwyczaj zabrania pieczenia mięsa niedźwiedzia. Ponieważ zaś resztki niedźwiedzia nie mogą być wniesione przez drzwi, a domy Ajnów na Sachalinie nie mają okien, jeden z mężczyzn wchodzi na dach i przez otwór, którym dym uchodzi, wrzuca łeb i skórę do środka. Ofiarowuje się następnie ryż i bataty głowie, a obok niej kładzie się z wszelkimi należnymi względami fajkę, tytoń i zapałki. Zwyczaj wymaga, by goście zjedli całe mięso przed rozejściem się, przy posiłku nie wolno używać soli i pieprzu i ani kawałka mięsa nie wolno rzucić psom.

Gdy ucztą została zakończona, głowę zanoszą się w głąb lasu i składają na stosie czaszek niedźwiedzi, wybielonych i rozpadających się, gnijących resztek po podobnych świętach w przeszłości.

Gilakowie (Niwchowcy), lud tunguski we Wschodniej Syberii, urządzają raz do roku, w styczniu, podobne święto niedźwiedzia. Świadkiem takiego święta w wiosce gilackiej Tubach w styczniu 1856 r. był rosyjski podróżnik L. von Schrenck * i jego towarzysze. Niedźwiedź, jak opowiada von Schrenck, odgrywał poważną rolę w życiu wszystkich ludów zamieszkujących rejon Amuru i Syberię aż po Kamczatkę, ale największe znaczenie miał u Gilaków. Olbrzymie rozmiary, do jakich dochodzi w dolinie Amuru, drapieżność, którą jeszcze bardziej zwiększa głód, i częste pojawianie się w osiedlach ludzi czynią go drapieżnikiem wzbudzającym największy strach wśród mieszkańców tego kraju. Nic dziwnego, że fantazja Gilaków zajmuje się nim i otacza go zarówno za życia, jak i po śmierci swego rodzaju nimbem przesądzonego strachu. Uważa się na przykład, że dusza Gilaka, który poległ w walce z niedźwiedziem, przechodzi w ciało zwierzęcia. Jednakże mięso niedźwiedzia stanowi nieprzewycięzoną pokusę dla podniebienia Gilaków, szczególnie jeśli zwierzę trzymane było przez pewien czas na uwięzi i, karmione rybami, obrośnięte tłuszczem, co, zdaniem Gilaków, nadaje mięsu szczególnie wspaniały smak. Ale po to, by bezkarnie móc rozkoszować się tym przysmakiem, uważają za niezbędne przestrzeganie wielu ceremonii mających na celu oszukanie niedźwiedzia pozorami szacunku, załagodzenie gniewu zabitego zwierzęcia za pomocą hołdów składanych odchodzącemu duchowi. Oznaki szacunku pojawiają się natychmiast po schwytaniu niedźwiedzia. Sprowadza się go triumfalnie do domu i trzyma w klatce, wszyscy zaś mieszkańcy wioski karmią go po kolei. Choćby był schwytany lub zakupiony przez jednego człowieka, w pewnym sensie należy do całej wioski. Jego mięso będzie zjedzone na wspólnej biesiadzie, wobec czego każdy musi przyczynić się do wyżywienia go za życia. Długość pobytu w niewoli zależy od wieku zwierzęcia. Stare niedźwiedzie chowane są

zaledwie przez kilka miesięcy, szczenięta natomiast do czasu, dopóki nie dorosną. Gruba warstwa tłuszczu jest hasłem do święta, odbywającego się zawsze zimą, zazwyczaj w grudniu, ale czasami także w styczniu lub lutym. Podczas uroczystości, których świadkami byli rosyjscy podróżnicy, trwających przez kilka dni, zabito i zjedzono trzy niedźwiedzie. Wielokrotnie prowadzono zwierzęta przez wieś i zmuszano je, by wchodziły do każdego domostwa, gdzie karmiono je na znak, że wizyta ich jest zaszczytem, i podejmowano jak upragnionych gości. Zanim jednak wyruszono w obchód, Gilakowie bawili się w obecności zwierząt w skakankę i być może, jak sądzi von Schrenck, robiono to na cześć zwierząt. W noc poprzedzającą zabicie zwierząt wszystkie trzy niedźwiedzie prowadzono długo po zamarznętej rzece przy świetle księżyca. Tej nocy nikomu w wiosce spać nie było wolno. Następnego dnia ponownie sprowadzono zwierzęta po stromym brzegu do rzeki i trzykrotnie okrążano przerębę, z którego kobiety czerpały wodę, po czym zabierano niedźwiedzie na wyznaczone miejsce niedaleko wioski i zabijano strzałami z łuku. Miejsce egzekucji było święte, zaznaczone patykami, z których zwisała zestrugana kora. Tego rodzaju patyki są u Gilaków, podobnie jak u Ajnów, symbolami towarzyszącymi wszelkim obrzędom religijnym.

Gdy dom został już przygotowany i przybrany na ich przyjęcie, skóry niedźwiedzi wraz z głowami wprowadza się nie przez drzwi, lecz przez okno, po czym zawieszają się na swego rodzaju rusztowaniu naprzeciwko ogniska, na którym gotuje się mięso. U Gilaków gotować mięso niedźwiedzia mogą jedynie najstarsi mężczyźni, a jest to bardzo wielki przywilej. Kobiety i dzieci, chłopcy i młodzieńcy nie biorą w tym udziału. Zadanie wykonywane jest powoli, z rozwagą, a nawet pewnym namaszczeniem. W przypadku opisanym przez rosyjskich podróżników kocioł otaczano najpierw grubą warstwą wiórów, po czym napełniano go śniegiem, ponieważ nie wolno używać wody gotując mięso niedźwiedzia. A tymczasem pod pyskami niedźwiedzi zawieszano duże drewniane koryta bogato zdobione arabeskami i rzeźbami wszelkiego rodzaju. Po jednej stronie koryta był wyrzeźbiony niedźwiedź, po drugiej ropucha. Gdy kadłuby zostały przed wrzuceniem do kotła poćwiartowane, każdą z nóg kładziono na ziemi przed niedźwiedziami, jak gdyby prosząc o zezwolenie. Następnie żelaznym hakiem wyławiano kawałki ugotowanego mięsa i kładziono na niecce przed niedźwiedziami po to, by pierwsze skosztowały swego mięsa. Tłuszcz również natychmiast po pocięciu na paski zawieszano przed nimi, po czym odkładano do małej drewnianej niecki przed niedźwiedziami. Na samym końcu wnętrza niedźwiedzi krajano i umieszczano w małych naczyniach. W tym samym czasie kobiety przygotowywały bandaże z kolorowych szmat i po zachodzie słońca przewiązywano nimi pyski zwierząt tuż pod oczami, by "osuszyć łzy niedźwiedzie".

Natychmiast po zakończeniu ceremonii otarcia łez biednego misia zgromadzeni Gilakowie zabierali się poważnie do pożarcia mięsa. Rosół został już przedtem zjedzony. Drewniane misy, talerze i łyżki, służące Gilakom przy jedzeniu rosółu z niedźwiedzia i mięsa, są specjalnie przygotowane na to święto i tylko wtedy używane. Ozdobione są rzeźbionymi figurami niedźwiedzi i innymi obrazkami odnoszącymi się do zwierzęcia lub jego święta i ludzie niechętnie się z nimi rozstają, ponieważ mają w tym względzie

przesądne skrupuły. Kości do cna obgryzione wkładano z powrotem do kotła, w którym gotowano mięso, a gdy uczta świąteczna została zakończona, jeden ze starców stawał w drzwiach i gałęzią jedliny uderzał lekko każdego wchodzącego, który jadł mięso lub tłuszcz niedźwiedzia, być może, jako karę za to, że tak źle obeszli się z kultowym zwierzęciem. Po południu kobiety wykonywały dziwny taniec. Za każdym razem tańczyła tylko jedna z niewiast wyginając w najdziwniejszy sposób górną połowę ciała i przez cały czas trzymając w ręce gałąź jodły lub swego rodzaju drewniane kastaniety. Reszta niewiast akompaniowała jej uderzając pałkami o belki domu. Von Schrenck był zdania, że po zjedzeniu mięsa starszyzna uroczysto wynosiła czaszkę i kości niedźwiedzia do lasu niedaleko wioski. Grzebie się tam wszystkie kości z wyjątkiem czaszki. Ścina się następnie młode drzewo kilka stóp nad ziemią. Pieniek rozcina się na dwoje, a czaszkę wsadza jak klin w szczelinę. Gdy trawa wyrośnie na tym miejscu, czaszka zniknie z oczu i na tym skończy się historia niedźwiedzia.

W obchodzeniu się tych plemion ze schwytanym niedźwiedziem można dostrzec cechy, które trudno odróżnić od kultu religijnego. Do nich należą między innymi modlitwy do żywego i zabitego zwierzęcia, ofiarowanie strawy, w tym kawałków jego własnego mięsa wykładanych przed łbem zwierzęcia, zaś praktykowany przez Gilaków zwyczaj prowadzenia żywego niedźwiedzia do rzeki dla zapewnienia obfitości ryb i oprowadzanie go od domu do domu, by każda rodzina została pobłogosławiona, przypomina europejski zwyczaj prowadzenia na wiosnę od drzwi do drzwi maika lub ludzkiego przedstawiciela ducha drzewa, by obdzielić wszystkich razem i każdego z osobna świeżymi siłami powracającej do życia przyrody. Ponadto uroczyste spożywanie mięsa i krwi niedźwiedzia, a szczególnie obyczaj Ajnów dzielenia zawartości poświęconego kubka przez stawianie go przed zabitym zwierzęciem bardzo przypominają sakrament, a potwierdza to przypuszczenie zwyczaj używania specjalnych naczyń do przechowywania mięsa i gotowania na ogniu rozpalonym za pomocą poświęconych narzędzi, używanych jedynie przy religijnych obrządkach. Co więcej, nasz główny autorytet w dziedzinie religii Ajnów, pastor John Batchelor, otwarcie przedstawia jako kult szacunek, którym Ajnowie otaczają niedźwiedzia, i stwierdza, że zwierzę to jest ponad wszelką wątpliwość jednym z ich bogów. Ajnowie z pewnością stosują określenie "bóg" (*kamui*) z całą swobodą w stosunku do niedźwiedzia, ale jak sam Batchelor wskazuje, słowo to używane jest w najrozmaitszych odcieniach znaczeniowych i w najrozmaitszym kontekście, wobec czego z zastosowania go do niedźwiedzia nie możemy z całą pewnością wyciągać wniosku, że zwierzę to rzeczywiście było uważane za bóstwo. Mamy przecież relacje wyraźnie stwierdzające, że Ajnowie z Sachalinu nie traktowali niedźwiedzia jako boga, lecz jedynie jako posłańca bogów, a polecenia, jakie dają zwierzęciu zabijając je, potwierdzają to w pełni. Widocznie Gilakowie również uważali niedźwiedzia za posłańca wysłanego z darami dla Pana Gór, od którego zależy dobrobyt ludzi, traktowali jednak równocześnie zwierzę jako istotę wyższą od ludzi, właściwie jako pomniejsze bóstwo, którego obecność we wsi, póki jest w niej żywiony i trzymany, jest źródłem łask, a szczególnie chroni przed rojami nieustannie czyhających na ludzi złych duchów, kradnących ich własność i niszczących ich ciała chorobami i słabościami. Spożywając mięso, krew i

rosół ugotowany z niedźwiedzia zarówno Gilakowie, jak i Ajnowie są zdania, że nabywają w jakiejś mierze potężnych walorów zwierzęcia, szczególnie jego odwagi i sił fizycznych. Nic więc dziwnego, że traktują tak wielkich dobrodziejów z oznakami najwyższego szacunku i przywiązania.

Nieco światła na ten zagadkowy stosunek Ajnów do niedźwiedzi rzuca porównanie go z podobnym stosunkiem do innych stworzeń. Uważają oni na przykład puchacza za dobre bóstwo, które swym hukaniem ostrzega człowieka i chroni go przed groźącym mu niebezpieczeństwem. Dlatego też kochają puchacza, ufają mu i czczą jako boskiego pośrednika między człowiekiem a jego Stwórcą. Różne imiona nadawane puchaczowi świadczą zarówno o jego boskości, jak i roli pośrednika. Gdy tylko nadarzy się okazja, Ajnowie łowią tego ptaka i trzymają go w klatce obdarzając takimi przymilnymi tytułami jak: "Małe kochane bóstwo" i "Ukochany bóg". Niemniej jednak przychodzi czas, gdy kochane małe bóstwo zostaje zaduszone i wysłane jako pośrednik z poleceniem do wyższych bogów lub do samego Stwórcy. Oto formuła modlitwy wygłaszanej przed złożeniem w ofierze puchacza: "Ukochane bóstwo, wyhodowaliśmy cię, ponieważ cię kochamy, a teraz wysyłamy cię do twego ojca. Ofiarujemy ci jedzenie, *inao*, wino i ciastka; zabierz je do swego rodzica, a bardzo się nimi ucieszy. Gdy przybędziesz do niego, powiedz mu: «Długo żyłem między Ajnami, gdzie wychowali mnie ojciec Ajnos i matka Ajnos. Przybyłem teraz do ciebie. Przyniosłem najrozmaitsze dobre rzeczy. Mieszkając w kraju Ajnu widziałem wielką biedę. Zauważyłem, że niektórzy ludzie opętani są przez demony, inni pokaleczeni przez dzikie zwierzęta, inni przez lawiny, jeszcze inni ginęli, gdy rozbijały się łodzie, a wielu choruje. Ciężko jest tym ludziom. Ojciec mój, wysłuchaj mnie, pośpiesz się, aby wejrzeć na Ajnów i dopomóc im.» Jeśli to zrobisz, wówczas ojciec twój nam pomoże."

Ajnowie trzymają orły w klatkach, czczą je jako bóstwa i proszą o ochronę przed złem. Mimo to składają ptaka w ofierze i modlą się wówczas do niego: "O wspaniałe bóstwo, o boski ptaku, wysłuchaj moich słów. Nie należysz do tego świata, ponieważ mieszkasz ze Stwórcą i jego złotymi orłami. Daję ci wobec tego te oto *inao* i ciastka, i inne cenne rzeczy. Pojedź na tych *inao* i wstąp do swego domu na wspaniałym niebie. Gdy przybędziesz na miejsce, zwołaj bóstwa tobie podobne i podziękuj im w naszym imieniu za to, że rządzą światem. Wróć do nas i rządz nami, prosimy cię o to. O mój bezcenny, idź w spokoju." Ajnowie czczą również jastrzębie, trzymają je w klatce i składają w ofierze. Zabijając ptaka należy odmawiać następującą modlitwę: "O boski jastrzębiu! Jesteś doświadczonym myśliwym, spraw, by zstąpiła na mnie twa mądrość." Jeśli jastrząb jest dobrze traktowany w niewoli i modlitwa została odmówiona tak, jak należy, wówczas ptak z pewnością pomoże myśliwemu.

Tak więc Ajnos ma nadzieję, że odniesie wiele korzyści ze stworzeń, które zabija, chociaż traktuje je jako bóstwa. Oczekuje od nich, że przekażą jego polecenia swym krewniakom lub bóstwom przebywającym na tamtym świecie, ma nadzieję, że nabędzie ich zalety czy to przez spożycie części ich ciała, czy też w inny sposób, i, jak się zdaje, oczekuje ich cielesnego zmartwychwstania, które pozwoli mu upolować je na nowo, zabić i raz jeszcze zebrać wszystkie błogosławieństwa, jakie mu już raz dało ich zabicie.

Do istotnych korzyści, na jakie liczy Ajnos zabijając czczone zwierzęta, należy nadzieja na suty posiłek z ich mięsa i krwi, zarówno przy tej okazji, jak i przy wielu innych podobnych okazjach w przyszłości. A ta miła perspektywa opiera się na wierze niezłomnej w nieśmiertelność duszy i zmartwychwstanie ciała zabitych zwierząt.

Podobnie wierzy wielu dzikich myśliwych w różnych stronach świata, a z wiary tej powstało dużo dziwacznych obrządków; niektóre z nich wkrótce opiszemy. Warto przy tym podkreślić, że uroczyste święta, podczas których Ajnowie, Gilakowie i inne plemiona zabijają oswojone i uwięzione niedźwiedzie z oznakami szacunku i smutku, są niczym innym jak powtórzeniem na szerszą skalę i w bardziej uroczysty sposób podobnych obrządków przestrzeganych przez myśliwych przy zabijaniu dzikiego niedźwiedzia napotkanego w lesie. W przypadku Gilaków mamy nawet na to konkretne dowody. By zrozumieć znaczenie obrządków gilackich, mówi Sternberg⁹⁰:

"Musimy przede wszystkim pamiętać, że święta niedźwiedzia obchodzone są nie tylko, jak to powszechnie, a fałszywie się przyjmuje, przy zabijaniu domowego niedźwiedzia, ale za każdym razem, gdy Gilak zabije niedźwiedzia na polowaniu. Co prawda w takim wypadku ceremoniał jest mniej imponujący, ale w zasadzie pozostaje taki sam. Głowa i skóra zabitego w lesie niedźwiedzia witana jest triumfalnie we wsi, z muzyką i uroczystymi ceremoniami. Głowę kładzie się na poświęconym rusztowaniu, karmi i składa się jej ofiary, podobnie jak przy zabijaniu niedźwiedzia domowego. Goście honorowi (Narch-en) i w tym wypadku się zbierają. Także składa się w ofierze psy, a kości są przechowywane z takim samym szacunkiem i w tym samym miejscu co kości niedźwiedzia domowego. Dlatego też święto zimowe jest jedynie rozszerzeniem obyczaju przestrzegane przy zabijaniu każdego niedźwiedzia."

Tak więc pozorna sprzeczność w praktykach tych plemion, czczących i niemal że ubóstwiających zwierzęta, na które zazwyczaj polują, które zabijają i zjadają, nie jest tak jaskrawa, jakby się to w pierwszej chwili zdawało. Ludzie ci mają powody, i to często bardzo praktyczne powody, by postępować w taki właśnie sposób. Dzikie bowiem nie jest bynajmniej tak nielogiczny i niepraktyczny, jakby się to mogło zdawać powierzchownemu obserwatorowi. Głęboko przemyślał problemy bezpośrednio go dotyczące, rozważał je i chociaż jego wnioski często różnią się bardzo od naszych, nie powinniśmy odmawiać mu zasługi cierpliwego i długiego rozmyślenia nad pewnymi zasadniczymi problemami ludzkiej egzystencji. W danym wypadku, jeśli traktuje niedźwiedzie w ogóle jako istoty całkowicie podporządkowane potrzebom człowieka, a równocześnie określone i pojedyncze zwierzęta wybiera jako przedmioty hołdu graniczącego z ubóstwieniem, nie powinniśmy zbyt pochopnie określać takiego postępowania jako nielogiczne i niekonsekwentne. Należy raczej spojrzeć z jego punktu widzenia, widzieć rzeczy jego oczyma i zrezygnować z uprzedzeń, które tak silnie zabarwiają nasz obraz świata. Jeśli tak postąpimy, wówczas prawdopodobnie dojdziemy do wniosku, że przy wszelkich pozorach

bezsensowności człowiek dziki działa zazwyczaj na podstawie rozumowania, które w jego przekonaniu zgodne jest z jego ograniczonym doświadczeniem.

⁹⁰ Lew Sternberg (1861-1917) - rosyjski etnograf zesłany na Sachalin za udział w ruchu rewolucyjnym. Badał m. in. życie Gilaków.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

PRZEBŁAGIWANIE DZIKICH ZWIERZĄT PRZEZ MYŚLIWYCH

Człowiek dziki tłumaczy obecnością nieśmiertelnej duszy nie tylko życie istot ludzkich, lecz również wszelkiej przyrody ożywionej. Zachowuje się w tym wypadku bardziej liberalnie i, być może, bardziej logicznie aniżeli człowiek cywilizowany, który zazwyczaj odmawia zwierzętom przywileju nieśmiertelności przyznawanego wyłącznie sobie. Dziki nie jest tak dumny; wierzy, że zwierzęta obdarzone są takimi samymi uczuciami i rozumem jak człowiek i na podobieństwo ludzi posiadają dusze, które po śmierci ciała żyją nadal albo krążą w pobliżu jako bezcielesne duchy, albo ponownie przychodzą na świat w postaci zwierzęcej. Tak więc dla dzikiego, który wszelkie istoty żyjące uważa właściwie za równe człowiekowi, akt zabijania i zjadania zwierzęcia musi posiadać zupełnie odmienne znaczenie aniżeli dla nas, przekonanych, że zwierzęta posiadają inteligencję znacznie niższą od naszej i nie przyznających im nieśmiertelnej duszy. Toteż opierając się na zasadach tej pierwotnej filozofii polujący dziki, który zabił zwierzę, uważa, że grozi mu zemsta ducha pozbawionego swego ciała względnie wszystkich innych zwierząt tego gatunku, które w jego przekonaniu są z sobą powiązane, tak jak ludzie, więzami pokrewieństwa i obowiązku krwawej zemsty i obrażają się za krzywdę wyrządzoną jednemu z nich. W konsekwencji dziki trzyma się zasady niezabijania takich zwierząt, których zabicie nie jest absolutnie konieczne, a przynajmniej zwierząt dzikich i niebezpiecznych, po których może spodziewać się wywarcia krwawej zemsty na zabójcy. Do zwierząt takich należą krokodyle. Spotyka się je tylko w ciepłych krajach, gdzie w zasadzie nie brak pożywienia, wobec czego człowiek prymitywny nie ma zbyt wielu powodów, by zabijać je tylko dla ich niesmacznego i łykowatego mięsa. Stąd też bierze się zwyczaj obowiązujący u niektórych dzikich ludów, nakazujący oszczędzać krokodyle, a raczej zabijać je tylko wtedy, gdy wymaga tego obowiązek krwawej zemsty, to znaczy, gdy trzeba się zemścić za ludzi przez krokodyla zabitych. Tak więc Dajakowie z Borneo dopóty nie zabijają krokodyla, dopóki ten nie zabije człowieka.

“Po cóż bowiem - twierdzą - kogoś zaczepiać, gdy wiadomo, że jego krewni tak łatwo mogą odplacić pięknym za nadobne? Jeśli jednak aligator odbierze życie człowiekowi, 'wówczas zemsta staje się świętym obowiązkiem żyjących krewnych, a ci będą ścigali ludożercę tak jak policjant ścigający przestępcę. Inni nawet wtedy trzymają się z daleka, nie chcąc mieszać się do sporu, który ich nie dotyczy. Są przekonani, że aligatora-ludożercę ściga sprawiedliwa Nemezis, toteż gdy uda się im krokodyla złapać, wierzą, że musi to być przestępca lub jego współnik.”

Tygrys również należy do tych niebezpiecznych zwierząt, z którymi dziki woli nie mieć do czynienia, obawiając się, że po zabiciu jednego ściągnie na siebie gniew pozostałych. W żaden sposób nie można przekonać mieszkańca Sumatry, by schwycił lub zranił tygrysa, chyba że zrobi to w obronie własnej lub natychmiast po tym, jak tygrys zabił mu krewnego albo przyjaciela. Gdy Europejczycy zastawiali sidła na tygrysa, zdarzały się wypadki, że ludność okoliczna udawała się na to miejsce i wyjaśniała

zwierzęciu, że to nie oni zastawili sidła i że odbyło się to bez ich zgody. Mieszkańcy gór w okolicy Radżamahall w Bengalu sprzeciwiają się zabijaniu tygrysa, chyba że jedna z bestii porwała kogoś spośród nich. Wyruszają wówczas na polowanie z zamiarem zabicia tygrysa. Gdy im się powiedzie, kładą łuki i strzały na zabite zwierzę i wzywają boga oświadczając, że zabili tygrysa mszcząc swego rodaka. Po dokonaniu zemsty klną się, że nie napadną na żadnego innego tygrysa, chyba że zmuszą ich do tego takie same okoliczności.

Indianie z Karoliny nie zaczepią węża, gdy go spotkają na drodze, ale przejdą na drugą stronę ścieżki, przekonani, że jeśli go zabiją, krewni węża mszcząc się zabiją ich braci lub przyjaciół. Z takiego właśnie powodu Indianie Seminole oszczędzali grzechotnika w przekonaniu, że dusza zabitego grzechotnika podburzyłaby inne grzechotniki do zemsty. Czirokezi uważają grzechotnika za wodza plemienia wężów, boją się go i otaczają czcią. Niewielu Czirokezów odważy się zabić grzechotnika, jeśli nie są do tego zmuszeni, ale i w takim wypadku zobowiązani są odbyć pokutę, prosząc ducha węża osobiście lub za pośrednictwem kapłana o wybaczenie. Jeśli te środki ostrożności zostaną zaniedbane, krewni zabitego węża wyślą jednego spośród siebie jako mściciela, który wytropi zabójcę i pokąsa go na śmierć.

Rzecz jasna, człowiek dziki nie może sobie pozwolić na to, by oszczędzać wszystkie zwierzęta. Niektóre z nich musi zjadać, w innym bowiem wypadku grozi mu śmierć z głodu, a gdy dochodzi do alternatywy, że albo on, albo zwierzę będzie musiało zginąć, musi wówczas przełamać swe przesądne skrupuły i odebrać życie zwierzęciu. Równocześnie jednak robi wszystko, co w jego mocy, by przebłagać swe ofiary i ich krewniaków. Nawet podczas samego aktu zabijania okazuje szacunek, stara się usprawiedliwić lub nawet zataić swój udział i obiecuje, że resztki zabitych zwierząt otrzymają należne honory. Odzierając w ten sposób śmierć z jej grozy stara się swą ofiarę pogodzić z losem i nakłonić jej towarzyszy, by poszli jej śladem i również dali się zabić. Mieszkańcy Kamczatki zawsze trzymali się zasady niezabijania zwierzęcia lądowego lub morskiego bez uprzedniego usprawiedliwienia się przed zwierzęciem i prośby, by nie brało im tego za złe. Ofiarowywali również zwierzęciu orzeszki cedrowe itp., by myślało, że nie jest ofiarą, lecz gościem na ucztach. Byli przekonani, że w ten sposób przełamują płochliwość innych zwierząt tego gatunku. Na przykład po zabiciu niedźwiedzia i zjedzeniu jego mięsa gospodarz wnosił łeb zwierzęcia tam, gdzie zebrane było towarzystwo, owijał go trawą i podawał mu najrozmaitsze przysmaki. Po czym winę za śmierć niedźwiedzia zrzucał na Rosjan i prosił zwierzę, by na nich wywarło swój gniew. Prosił również niedźwiedzia, by powiedział innym niedźwiedziom, jak dobrze się z nim obchodzono, by przychodziły bez obawy. Z takim samym ceremonialnym szacunkiem traktowali mieszkańcy Kamczatki fokę, morsy i inne zwierzęta, zwykli byli również wtykać gałązki przypominające ziele niedźwiedzie⁹¹ w pyski zwierząt, po czym napominali czaszki z wyszczerzonymi kłami, by bez obawy udały się do swych przyjaciół i powiedziały im, by rów-

⁹¹ Jest to ziele zwane "niedźwiedzia łapa" (*Acanthus mollis*).

niez dali się złapać i skorzystali z tak wspaniałej gościnności. Ostiacy po upolowaniu i zabiciu niedźwiedzia odcinali mu łeb i zawieszali na drzewie, po czym gromadzili się wokół drzewa i oddawali mu boską cześć. Następnie biegli ku zabitemu zwierzęciu lamentując i wołając: "Wiesz, kto cię zabił? Rosjanie. Wiesz, czym ucięto ci łeb? Rosyjskim toporem. A kto ściągnął z ciebie skórę? Nóż zrobiony przez Rosjan." Tłumaczyli również, że pióra, które przyspieszały lot strzały, były z obcego ptaka i że oni nic z tym wszystkim nie mieli do czynienia, a jedynie wypuścili strzałę. Postępują w ten sposób, ponieważ są przekonani, że krążący w okolicy duch zabitego niedźwiedzia napadnie na nich przy pierwszej sposobności, jeśli go uprzednio nie prześlągają.

Finowie próbowali przekonać zabitego niedźwiedzia, że to nie oni go zabili, ale że spadł z drzewa lub też zginął w jakiś inny sposób. Urządzali również ku jego czci uroczystości pogrzebowe, na zakończenie których bard wyliczał honory, jakie mu oddano, i żądał, by innym niedźwiedziom opowiedział o zaszczytach, jakie go spotkały, by i inne niedźwiedzie, idąc za jego przykładem, same przyszły i dały się zabić. Gdy Lapończykom udawało się zabić bezkarnie niedźwiedzia, dziękowali mu, że im nic złego nie zrobił i że nie złamał ich pałek i strzał, którymi zadali mu śmiertelne rany. Modlili się, by nie mścił się na nich za swą śmierć zesłaniem burz czy też w jakikolwiek inny sposób, po czym zjadali jego mięso podczas biesiady.

Tego rodzaju szacunek dla niedźwiedzia, którego myśliwi stale zabijają i jedzą, można wyśledzić wzdłuż całego północnego rejonu Starego Świata, od Cieśniny Beringa do Laponii. W podobnej postaci pojawia się on w Ameryce Północnej. Dla Indian amerykańskich polowanie na niedźwiedzia było wielkim wydarzeniem, do którego przygotowywali się długimi postami i oczyszczeniami. Przed wyruszeniem na łowy składali ofiary prześlągalne duszom niedźwiedzi zabitych na poprzednich łowach i prosili, by sprzyjały myśliwym. Po zabiciu niedźwiedzia myśliwy zapalał swą fajkę i wkładając ją niedźwiedziowi do pyska dmuchał w lulkę napelniając paszczę zwierzęcia dymem, po czym prosił niedźwiedzia, by nie gniewał się za to, że go zabił, i nie przeszkadzał mu w pościgu. Piekło się i zjadało całego niedźwiedzia; nie wolno było zostawić ani jednego nie zjedzonego kawałka. Głowę, pomalowaną na czerwono i niebiesko, zawieszano na palu, po czym mówcy zwracali się do niej wychwalając zabite zwierzę. Mężczyźni klanu niedźwiedzia w Ottawie po zabiciu niedźwiedzia kazali mu się raczyć własnym mięsem i zwracali się do niego w następujący sposób: "Nie miej do nas żalu o to, że cię zabiliśmy. Jesteś przecież rozsądny, widzisz, że nasze dzieci są głodne. Kochają cię i chcą mieć ciebie w swoich ciałach. Czyż nie jest wspaniałą rzeczą być zjedzonym przez dzieci wodza?"

Innym wielkim zwierzęciem, które dziki myśliwy uśmierca z radością, a jednak drży przy tym ze strachu, jest wieloryb. Po zabiciu wieloryba morski lud Koriaków z północno-wschodniego Sybiru urządza wspólną biesiadę, której główna część "opiera się na założeniu, że uśmiercony wieloryb przybył do wioski w odwiedziny; że pozostanie tu przez pewien czas, gdy będzie się go traktowało z wielkimi honorami; że potem powraca do morza, by po roku wizytę powtórzyć; że nakłoni swych krewnych, by wraz z nim przybyli, opowiadając im o gościnnym przyjęciu, jakie mu okazano. Według wyobrażeń

koriackich wieloryby, podobnie jak inne zwierzęta, stanowią plemię, a raczej ród spokrewnionych z sobą jednostek, mieszkających we wsi podobnej do wioski koriackiej. Mszczą się one, gdy się jednego z nich zabije, i wdzięczne są za okazaną dobroć." Gdy mieszkańcy wyspy Sainte Marie, na północ od Madagaskaru, wyruszają na łowy wieloryba, wybierają jako cel młode wieloryby i "kornie proszą matkę o wybaczenie, tłumacząc, że to potrzeba zmusiła ich do zabijania jej potomstwa, i pytając ją, czy nie zechciałaby zejść w głębiny podczas dokonywania zabójstwa, żeby nie urażone zostały jej matczyne uczucia, gdy będzie przypatrywała się temu, co musi jej sprawiać tyle przykrości".

Ale człowiek dziki pragnie mieć dobre stosunki nie tylko z niebezpiecznymi zwierzętami. Co prawda, szacunek, jakim je obdarza, jest wprost proporcjonalny do ich siły i drapieżności. Tak więc dzicy Stenowie z Kambodży wierząc, że wszystkie zwierzęta mają dusze, które wędrują po śmierci, proszą zwierzę o przebaczenie, gdy je zabijają, w obawie, by duch jego nie zjawił się i nie dręczył ludzi. Składają również ofiary zwierzęciu, ale odpowiadają one jego wielkości i sile. Ceremonie urządzone po śmierci słonia są bardzo uroczyste i trwają siedem dni. Podobne rozróżnienia wprowadzają Indianie północnoamerykańscy. "Niedźwiedź, bizon i bóbr są *manidos* (bóstwa), które dostarczają pożywienia. Niedźwiedź jest olbrzymi i dobry do jedzenia. Urządzają dla niego uroczystości i proszą, by pozwolił się zjeść, chociaż wiedzą, że bynajmniej tego nie lubi. «Zabijamy cię, ale bynajmniej nie przestajesz istnieć.» Głowie jego i łapom składa się hołdy... Inne zwierzęta traktowane są w podobny sposób, z podobnych powodów... Wiele zwierząt *manidos* często traktuje się pogardliwie, ponieważ nie są niebezpieczne - żółwia słodkowodnego, łasicę, tchórza itd." Rozróżnienie to jest pouczające. Zwierzęta groźne lub nadające się do jedzenia, względnie łączące obie te cechy, traktowane są z uroczystym szacunkiem; te, które nie są smaczne ani groźne, są wzgardzone. Mamy więc przykłady szacunku okazywanego zwierzętom groźnym i jadalnym. Należy jeszcze dowieść, że istnieją zwierzęta, którym taki szacunek jest okazywany, chociaż nie budzą lęku, są albo jadalne, albo też posiadają cenne skóry.

Syberyjski myśliwy polujący na sobole nie pozwala nikomu spojrzeć na schwytane zwierzę i uważa, że jeśli ktoś dobrze czy źle się wyrazi o upolowanym sobole, żadnych już więcej soboli nie schwytą. Słyszano, jak pewien myśliwy wyraził przekonanie, że sobole potrafią usłyszeć, co się o nich mówi, nawet w odległej Moskwie. Główną przyczynę tego, że polowanie na sobole tak mało przynosi dochodu, widział w fakcie wysłania kilku żywych soboli do Moskwy. Oglądano je tam ze zdumieniem jako dziwaczne stworzenia, a sobole nie mogą tego ścierpieć. Inną, mniej ważną przyczyną słabych wyników łowów, jest, jak twierdził, to, że świat się zepsuł. Teraz zdarza się, że myśliwy ukryje czasem upolowanego sobola zamiast oddać go do wspólnego zapasu. Tego również soból nie znosi. Myśliwi na Alasce chowają przez cały rok kości soboli i bobrów przed psami, a następnie grzebią je troskliwie, "by duchy opiekujące się sobolami i bobrami nie sądziły, że traktuje się je lekceważąco, bo wtedy nie udałoby się już więcej schwycić ani upolować żadnych soboli". Kanadyjscy Indianie również pilnowali, by ich psy nie gryzły kości, a przynajmniej pewnych kości bobrów. Jak najsumienniejsz zbierali i

przechowywali te kości, a gdy udało się bobra schwytać w sieć, wrzucali je do rzeki. Pewnemu jezuitcie, który tłumaczył, że przecież bobry nie mogą wiedzieć, co się dzieje z ich kośćmi, Indianin odpowiedział:

"Nic się nie znasz na chwytaniu bobrów, a mimo to paplesz o tym. Zanim bóbr wyda ostatnie tchnienie, dusza jego wpada do chaty człowieka, który go zabija, i dobrze sobie zapisuje w pamięci, co zrobiono z kośćmi. Jeśli rzuci się je psom, wówczas inne bobry się o tym dowiedzą i nie pozwolą się schwytać. Jeśli natomiast kości wrzuca się do ognia lub wody, są zadowolone, a szczególnie przydaje się to sieci, która je schwytała." Przed polowaniem na bobry modlono się do Wielkiego Bobra i ofiarowywano mu w prezencie tytoń, a po polowaniu mówca wygłaszał pogrzebową orację nad zabitymi bobrami. Chwalił ich odwagę i mądrość. "Nie usłyszycie już więcej głosu wodza, który wami dowodził i którego spośród wszystkich bobrów wybraliście jako swego prawodawcę. Język wasz, który doskonale rozumieją czarownicy, nie będzie się już więcej rozlegał na dnie jeziora. Nie będziecie już więcej walczyli z wydrami, waszymi śmiertelnymi wrogami. Nie, bobry! Ale za wasze skóry kupi się broń; zaniemy wasze wędzone szynki naszym dzieciom; nie pozwolimy psom gryźć waszych jakże twardych kości."

Poza zwierzętami, których człowiek pierwotny boi się ze względu na ich siłę i drapieżność, i tymi, które czci, ponieważ oczekuje od nich dobrodziejstw, jest jeszcze inna kategoria stworzeń, które, jego zdaniem, trzeba niekiedy udobruchać ofiarami i modlitwami. Należy do niej robactwo napastujące jego bydło i plony. Rolnik zna wiele przesądnych sposobów pozbywania się tego śmiertelnego wroga. Jedne z nich mają zniszczyć lub zastraszyć robactwo, inne tylko je przebłagać i łagodnymi sposobami przekonać, by opuściło trzody i płody ziemi. Tak na przykład estońscy chłopcy zamieszkujący wyspę Oesel boją się bardzo słonika, owada wyrządzającego straszliwe szkody zbożu. Nazywają go pięknym imieniem, a gdy dziecko chce zabić słonika, mówią: "Nie czyn tego; im bardziej mu zaszkodzimy, tym większą szkodę nam wyrządzi." Gdy znajdują słonika, grzebią go w ziemi zamiast zabijać. Niektórzy umieszczają go nawet w polu pod kamieniami i dają mu zboże, myśląc, że go w ten sposób udobruchają, a wtedy wyrządzi mniejszą szkodę. Gdy Saksończycy w Transylwanii chcą wróble utrzymać z daleka od zboża, siewca rzuca pierwszą garść ziarna za siebie i mówi: "To dla was, wróble." By ochronić zboże przed miodunkami, zamyka oczy i rozrzuca trzy garście owsa we wszystkie strony świata. Po takiej ofierze złożonej miodunkom jest przekonany, że oszczędzą jego zboże. W Transylwanii posługują się następującym sposobem chronienia zboża przed wszelkimi ptakami, zwierzętami i robactwem: Po zakończeniu siewu rolnik raz jeszcze przemierza pole od końca do końca, naśladuje ruch siania pustą dłonią i mówi przy tym: "To sieję dla zwierząt, to dla wszystkiego, co lata i pełza, co chodzi i stoi, co śpiewa i skacze, w imię Ojca i Ducha itd." A oto niemiecki sposób na oczyszczenie ogrodu z gąsienic. Po zachodzie słońca lub o północy gospodyni albo inna niewiasta z rodziny chodzi dookoła ogrodu i ciągnie za sobą miotłę. Nie wolno jej się obejrzeć za siebie i przez cały czas musi mrużyć: "Dobry wieczór, Matko Gąsienico, przyjdźcie z mężem do kościoła." Furtkę od ogrodu zostawia się na całą noc otwartą.

Czasami, pragnąc dać sobie radę z "robactwem", rolnik próbuje znaleźć złoty środek między przesadną surowością a zbytnią słabością. Uprzejmy, ale stanowczy, miarkuje surowość litością. Starożytny grecki traktat o rolnictwie zaleca gospodarzowi, który chce się pozbyć myszy, taki oto sposób: "Weź arkusz papieru i napisz na nim następujące słowa: «Zaklinam was, myszy tu obecne, żebyście mi nie wyrządziły szkody i nie pozwoliły innym myszom szkodzić. Daję wam oto pole [w tym miejscu wyszczególnia się pole], ale jeśli raz jeszcze was tu złapię, na matkę bogów przysięgam, że was rozszarpię na siedem kawałków.» Po napisaniu tych słów umieść papier na nie ciosanym kamieniu na polu przed wschodem słońca, ale uważaj, by przytwierdzić go zapisaną stroną do góry." W Ardenach twierdzą, że można pozbyć się szcurów powtarzając następujące słowa: "*Erat verbum apud Deum vestrum.*"⁹² Szcury samce i szcury samice, zaklinam was na wielkiego Boga, wyjdźcie z mego domu, z całego mego gospodarstwa i zabierzcie się do takiego to-a-takiego miejsca do końca waszych dni. *Decretis reversis et desem-barrassis virgo potens, clemens, justitiae.*"⁹³ Następnie trzeba napisać te same słowa na kawałkach papieru, złożyć je i umieścić jeden pod drzwiami, przez które szcury mają wyjść, drugi na drodze, którą mają pójść. Egzorcyzm ten powinien być wykonany o świcie. Przed kilku laty pewien farmer amerykański napisał rzekomo list uprzejmy do szcurów tłumacząc im, że zbiory były liche i nie może pozwolić sobie, by je utrzymywać przez zimę, i dla ich własnego dobra radzi im, żeby go opuściły i wybrały sobie któregoś z jego sąsiadów, posiadającego więcej zboża. Dokument ten przybił do słupa w swej stodole, by szcury go sobie przeczytały.

Niekiedy upragniony cel zostaje osiągnięty, gdy z wielkim szacunkiem potraktuje się jedną lub dwie wybrane jednostki niemiłego gatunku, resztę natomiast prześladuje się nieugięcie. Na indonezyjskiej wyspie Bali łowi się w wielkich ilościach myszy niszczące pola ryżowe, po czym spala na stosie w ten sam sposób co zmarłych ludzi. Ale dwie schwyte myszy pozostawia się przy życiu i obdarowuje małą paczuszką białego lnu. Po czym ludzie skłaniają się przed nimi jak przed bogami i puszczają je wolno. Gdy ptaki lub robactwo napastują zbytńo gospodarstwa morskich Dajaków lub Ibanów z Sarawaku, chwytą się po jednym z każdego gatunku (jednego wróbla, jednego konika polnego itd.), wsadza do małej łódeczki z kory, dobrze zaopatrzonej w prowiant, i łódeczkę wraz z niemiłymi pasażerami puszcza się z biegiem rzeki. Jeśli to nie przepędzi robactwa, Dajakowie uciekają się do sposobu, który uważają za bardziej skuteczny. Robią glinianego krokodyla naturalnej wielkości i umieszczają go w polu, gdzie dają mu jedzenie, wódkę ryżową i płótno oraz składają przed nim w ofierze kurę i świnie. Udobruchane tymi oznakami szacunku, groźne zwierzę szybko połyka wszystkie stworzenia pożerające plony. W Albanii, gdy pola czy winnice niszczy szarańcza lub chrząszcze, kilka kobiet z rozpuszczonymi włosami zbiera się, łapie parę owadów, w pogrzebowej procesji zanoszą je do źródła lub potoku i tam je topi. Jedna z kobiet zawodzi: "O szarańczo i chrząszczu, osierociliście nas", a lament żałobny podejmują chórem inne niewiasty. Spodziewają się, że po tych żałobnych obrządkach zginie całe "robactwo".

⁹² Było słowo u Boga waszego (łac).

⁹³ Po odwołaniu i rozwikłaniu wyroków - potężna, łaskawa dziewica sprawiedliwości (zeps. łac).

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

RÓŻNE TYPY SAKRAMENTÓW ZWIERZĘCYCH

Teraz już, być może, łatwiej będzie zrozumieć zagadkowy stosunek Ajnów i Gilaków do niedźwiedzia. Zostało dowiedzione, że ostra linia podziału, którą my przeprowadzamy między ludźmi a stworzeniami niższego rzędu, nie istnieje dla człowieka dzikiego. W jego przekonaniu wiele zwierząt dorównuje mu, a nawet go przewyższa, nie tylko pod względem zwierzęcej siły, ale i rozumu. I jeśli z wyboru lub konieczności musi pozbawiać je życia, czuje się zobowiązany ze względu na własne bezpieczeństwo czynić to w sposób jak najmniej obraźliwy nie tylko dla zwierzęcia żywego, ale również dla ducha zabitego zwierzęcia i innych zwierząt tego samego gatunku, które mogłyby się poczuć urażone wyrządzonym afrontem, podobnie jak plemię dzikich mściłoby się za krzywdę lub obrazę wyrządzoną jednemu z członków plemienia. Wiemy już, że do wielu sposobów, którymi dziki stara się naprawić krzywdy wyrządzone swym ofiarom, należy między innymi okazywanie szacunku kilku wybranym egzemplarzom gatunku. Tego rodzaju zachowanie przypuszczalnie upoważnia go do bezkarności w stosunku do wszystkich innych zwierząt danego gatunku, gdy tylko nadarzy się okazja. Zasada ta, być może, wyjaśnia zagadkową w pierwszej chwili i niekonsekwentną postawę Ajnów wobec niedźwiedzia. Mięso i skóra niedźwiedzia jest stałym źródłem wyżywienia i odzieży, ponieważ jednak niedźwiedź jest zwierzęciem potężnym i rozumnym, należy dać pewne zadośćuczynienie całemu gatunkowi za straty w postaci tylu zabitych niedźwiedzi. Zadośćuczynienie czy też przebłaganie przyjmuje formę wychowywania małych niedźwiadków, otaczania ich szacunkiem za życia i okazywania głębokiego żalu i przywiązania, gdy się je zabija. W ten sposób można udobruchać inne niedźwiedzie, które już nie będą się mściły za zabijanie zwierząt ich gatunku napadami na zabójców lub opuszczeniem kraju, co pozbawiłoby Ajnów jednego z głównych środków utrzymania.

Tak więc pierwotny kult zwierząt dzieli się na dwie kategorie, pod pewnymi względami sprzeczne z sobą. Z jednej strony zwierzę jest czczone i dlatego nie jest ani zabijane, ani spożywane. Równocześnie jednak zwierzęta są czczone, ponieważ są stale zabijane i jedzone. W obu wypadkach zwierzę jest czczone ze względu na pewne korzyści pozytywne lub negatywne, których dziki po nim się spodziewa. W pierwszej formie kultu korzyści te występują bądź to w pozytywnej formie ochrony, rady lub pomocy udzielanej przez zwierzę człowiekowi, bądź też w formie negatywnej, powstrzymywania się od czynienia szkody, którą zwierzę miałoby możliwość wyrządzić. W drugiej postaci kultu korzyści przybierają formę materialną - mięsa i skóry zwierzęcia. Dwa typy kultu są w pewnej mierze przeciwstawne sobie. W jednym zwierzę nie jest spożywane, ponieważ jest czczone, w drugim jest czczone, ponieważ jest zjadane. Ale obie formy kultu mogą być praktykowane przez jedno i to samo plemię, jak to widzimy w przypadku Indian północnoamerykańskich, którzy czczą i oszczędzają swe zwierzęta totemiczne, a równocześnie czczą zwierzęta lądowe i ryby stanowiące źródło ich utrzymania. Totemizm tubylców australijskich jest najprymitywniejszy z wszystkich nam znanych, ale nie ma żadnego wyraźnego

dowodu, by próbowali, jak to czynią Indianie północnoamerykańscy, przejednać zabijane i zjadane zwierzęta. Australijczycy starają się zapewnić sobie obfitość zwierzyny przede wszystkim nie przez przejednanie jej, lecz za pomocą magii sympatycznej, a więc sposobu, do którego również uciekają się w tym samym celu Indianie północnoamerykańscy. Ponieważ zaś Australijczycy są niewątpliwie bardziej prymitywni i znajdują się na niższym szczeblu rozwoju aniżeli Indianie amerykańscy, można uważać, że zanim myśliwy wpada na pomysł zapewnienia sobie obfitości zwierzyny przez wprowadzenie jej kultu, stara się cel ten osiągnąć za pomocą magii sympatycznej. Raz jeszcze dowodziłoby to - a mamy przekonujące powody, by dać temu wiarę - że magia sympatyczna jest jednym z najstarszych sposobów używanych przez człowieka dla podporządkowania sił przyrody swoim potrzebom.

Dwóm różnym typom kultu zwierząt odpowiadają dwa różne typy zwyczajów obowiązujących przy zabijaniu zwierzęcego boga. Z jednej strony, gdy zwierzę czczone jest oszczędzane, jest ono mimo to w rzadkich i uroczystych przypadkach zabijane i zjadane. Przykłady tego rodzaju były już podane i wyjaśnione. Z drugiej strony, gdy zwierzę jest zazwyczaj zabijane, zabójstwo każdego poszczególnego zwierzęcia danego gatunku oznacza zabicie boga, co należy na miejscu okupić ofiarami i przeprosinami, szczególnie jeśli zwierzę było potężne i niebezpieczne. Poza tym zwyczajnym i codziennym odkupieniem jest jeszcze specjalna doroczna uroczystość odkupienia, podczas której wybrany egzemplarz danego gatunku jest zabijany z niezwykłymi oznakami szacunku i przywiązania. Obserwator może łatwo pomylić te dwa typy obrzędowego zabijania - dla rozróżnienia nazwiemy je typem egipskim i typem Ajno - i zanim potrafimy odpowiedzieć na pytanie, do jakiego typu dany przykład należy, musimy upewnić się, czy zabijane obrzędowo zwierzę należy do gatunku zazwyczaj oszczędzanego, czy też zazwyczaj zabijanego przez plemię. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z sakramentem typu egipskiego, w drugim - typu Ajno.

U plemion pasterskich spotykamy się z oboma typami sakramentu. "Plemiona pasterskie - mówi Adolf Bastian⁹⁴ - zmuszone czasami sprzedawać swe trzody obcym, którzy mogliby nie uszanować kości, usiłują odwrócić niebezpieczeństwo, jakie mogłoby wyniknąć z podobnego świętokradztwa, składając w ofierze jedno zwierzę ze stada, zjadając je obrzędowo w gronie rodzinnym przy zamkniętych drzwiach, a potem obchodząc się ceremonialnie z kośćmi w sposób, który, ściśle mówiąc, należy jest każdemu poszczególnemu zwierzęciu. Skoro jednak skrupulatnie przestrzegano obowiązków w stosunku do zwierzęcia reprezentatywnego, uważa się, że tym samym zostały one spełnione wobec wszystkich zwierząt. Z tego rodzaju rodzinnymi biesiadami spotykamy się u rozmaitych ludów, szczególnie u ludów zamieszkałych na Kaukazie. Gdy abchascy pasterze z przepasanymi biodrami i laskami w ręku spożywają na wiosnę wspólny posiłek, można to uważać zarówno za sakrament, jak i śluby wzajemnej pomocy i poparcia. Najsilniejsze są bowiem te przysięgi,

którym towarzyszy spożywanie świętej substancji, ponieważ osoba łamiąca ślub nie uniknie zemsty boga, którego zjadła i przyswoiła w swoim ciele." Tego rodzaju sakrament należy do typu ajnowskiego względnie odkupienia, ponieważ służy przebłaganiu gatunku za złe obejście się z poszczególnymi jego przedstawicielami.

Przykład sakramentu typu egipskiego znajdujemy u Todów, pasterskiego ludu w Indiach południowych, żywiącego się głównie mlekiem bawołów. Bawół u Todów "uchodzi za zwierzę w pewnej mierze święte" i "lud odnosi się do niego z wielką dobrocią, a nawet czcią". Todowie nigdy nie jedzą mięsa bawolicy i z zasady powstrzymują się od jedzenia mięsa samego bawołu. Ale od tej ostatniej zasady jest jeden wyjątek. Raz do roku wszyscy dorośli mężczyźni wioski urządzają wspólną uroczystość .zabijania i zjadania bardzo młodego cielaka - wydaje się, że takiego, który nie ukończył jeszcze miesiąca życia. Zwierzę uprowadzają w mroczne ustronia wiejskiego lasu, gdzie zabijają je pałką zrobioną z świętego drzewa Todów (*Millingtonia*). Po rozpaleniu świętego ognia przez pocieranie kawałków drzewa mięso cielęcia piecze się na niewygasłych, żarzących się drewniakach pewnego drzewa i zjadają je wyłącznie mężczyźni; kobiet do tej biesiady się nie dopuszcza. Jest to jedyny przypadek, gdy Todowie jedzą mięso bawołu. Plemię Madi lub Moru w Afryce Środkowej, którego głównym dobytkiem są trzody, chociaż zajmuje się ono również rolnictwem, zabija obrzędowego baranka przy uroczystych okazjach. Oto jak opisuje ten zwyczaj dr Felkin⁹⁵:

"Ciekawy obyczaj przestrzegany jest w Określonych terminach - jak sądzę, raz do roku. Nie mogłem ustalić znaczenia, jakie doń przywiązują. Wydaje się jednak, że ma on na celu pocieszenie ludzi, ponieważ przedtem okazują głęboki smutek, natomiast po ceremoniach są w bardzo dobrym usposobieniu. Oto co się dzieje: Zbiera się wielka grupa ludzi w różnym wieku, którzy zasiadają wokół kręgu kamieni ułożonego koło drogi (jest to właściwie wąska ścieżka). Młody chłopak sprowadza wtedy bardzo piękne jagnię i oprowadza je czterokrotnie wokół zebranych. Każdy, obok którego przechodzi, wrywa trochę runa i kładzie je sobie we włosy lub też na inne części ciała. Potem jagnię prowadzi się na kamienie, gdzie zabija je mężczyzna należący do pewnego typu kapłańskiego stanu. Bierze on trochę krwi jagnięcia i czterokrotnie spryskuje nią zebranych, następnie podchodzi do każdego z osobna. Dzieciom rysuje krwią małe kółko u dołu mostka, kobietom i dziewczętom robi znak nad piersiami, a mężczyzn smaruje krwią na każdym barku. Po zakończeniu ceremonii wyjaśnia zebrany jej znaczenie i zachęca ludzi, by byli dla siebie dobrzy... Gdy to przemówienie, niekiedy bardzo długie, kończy się, ludzie wstają i każdy kładzie na kamienie liść, po czym wszyscy rozchodzą się bardzo uradowani. Czaszkę jagnięcia zawieszają na drzewie w pobliżu kamieni, a mięso zjadają ubodzy. Niekiedy obrządek ten dokonywany jest na małą skalę. Jeśli rodzina ma jakieś poważne kłopoty związane z chorobą lub czyjąś śmiercią, zbierają się przyjaciele i sąsiedzi, a wówczas zabija się jagnię, co, jak

⁹⁴ Adolf B a s t i a n (1826-1905) - niemiecki etnolog. Podróżował po całym świecie. W r. 1866 objął katedrę etnologii na uniwersytecie berlińskim. Był prezesem Towarzystwa Afrykańskiego.

⁹⁵ R. W. F e l k i n - uczoney angielski, Szkot z pochodzenia, etnolog. Zajmował się głównie życiem plemion afrykańskich.

wierzą, ma zapobiec dalszym nieszczęściom. Ten sam zwyczaj obowiązuje przy grobie zmarłego przyjaciela, a także przy okazjach radosnych, jak na przykład przy powrocie syna po bardzo długiej nieobecności."

Smutek okazywany przez ludzi podczas dorocznego zarzynania jagnięcia świadczy, jak się zdaje, o tym, że jagnię jest składane w ofierze jako zwierzę święte względnie boskie, a śmierć jego opłakiwana jest przez wiernych, podobnie jak śmierć świętego myszołowa opłakiwana jest przez Kalifornijczyków, a śmierć tebańskiego barana przez Egipcjan. Smarowanie wiernych krwią jagnięcia jest postacią komunii z bóstwem; siła napędowa boskiego życia stosowana jest zewnętrznie, a nie wewnętrznie, jak to się dzieje w przypadkach, gdy krew się pije, a mięso zjada.

Istniejący u Gilaków zwyczaj oprowadzania niedźwiedzia przed zabiciem po wiosce jest przykładem komunii, w której święte zwierzę prowadzone jest od domu do domu, by na wszystkich spłynęły jego boskie łaski. Podobną formę komunii, tym razem z świętym wężem, mają członkowie plemienia Węża w Pendżabie. Raz do roku we wrześniu, przez dziewięć tylko dni, wąż jest czczony przez wszystkie kasty i religie. Pod koniec sierpnia Mirasanowie, szczególnie ci z nich, którzy należą do plemienia Węża, sporządzają węża z ciasta, którego malują na czarno i czerwono i umieszczają na sicie. Sito obnoszą po wsi i wchodząc do każdego domu mówią: "Bóg z wami wszystkimi! Oby wszelkie zło było od was daleko! Oby rozpowszechniało się słowo naszego opiekuna (Guggi)!" Po czym pokazują sito z wężem i mówią: "Ciasteczko z mąki, trochę masła. Jeśli będziecie słuchać się węża, dobrze się będzie wiodło wam i waszej rodzinie!" Właściwie powinno się im ofiarowywać ciasteczko i trochę masła, ale rzadko tak bywa. Każdy natomiast coś ofiarowuje, zazwyczaj garść ciasta albo trochę zboża. W domach, gdzie jest świeżo poślubiona żona lub z których wydano córkę za mąż albo gdzie się urodził syn, ofiarowuje się zazwyczaj jedną rupię i ćwierć albo jakiś materiał. Czasami chodzący z wężem śpiewają:

Daj wężowi sukna kawał - Wnet ci przyśle narzeczoną.

Gdy już wszystkie domy się obeszło, węża zakopuje się i usypuje nad nim mały kopczyk. We wrześniu przez dziewięć dni przychodzą tu kobiety i modlą się. Przynoszą z sobą misę twarogu, trochę składają jako ofiarę na grobie węża klękając i dotykając czołami ziemi. Potem wracają do swych domów i resztę twarogu rozdają dzieciom. W danym wypadku wąż z ciasta ponad wszelką wątpliwość zastępuje prawdziwego węża. W okolicach obfitujących w węże ofiarę składa się nie przy grobie węża z ciasta, lecz w dżungli, gdzie węże przebywają. Poza tym dorocznym nabożeństwem, w którym udział biorą wszyscy, członkowie plemienia Węża składają tego rodzaju ofiary co miesiąc rano po nowiu. Plemię Węża jest dosyć rozpowszechnione w Pendżabie. Członkowie tego plemienia nie zabijają węży i utrzymują, że ukąszenie węża im nie szkodzi. Gdy znajdą nieżywego węża, odziewają go i urządzają mu normalny pogrzeb.

Podobne ceremonie zachowały się do niedawna w Europie, a niewątpliwie pochodzą one z okresu bardzo pierwotnego pogaństwa. Najbardziej znanym przykładem jest "polowanie na strzyżyka". Wiele ludów europejskich, starożytni Grecy i Rzymianie, współcześni Włosi, Hiszpanie, Francuzi, Niemcy,

Holendrzy, Duńczycy, Szwedzi, Anglicy i Walijscy nazywają strzyżyka królem, małym królem, królem ptaków, królem żywopłotów itp. Zalicza się on do tych ptaków, których zabicie spowodują nieszczęście. W Anglii istnieje wierzenie, że jeśli ktoś zabije strzyżyka lub zburzy jego gniazdko, z pewnością złamie nogę lub rękę lub też w ciągu roku spotka go jakieś straszliwe niepowodzenie. Czasami uważa się, że krowy będą dawały mleko zmieszane z krwią. W Szkocji strzyżyka nazywają "kurą Pani Niebieskiej", a chłopcy mawiają:

Więcej niż dziesięć klątw niech spotyka Tego, co dręczy-męczy strzyżyka!

W Saint-Donan w Bretanii ludzie wierzą, że dziecko, które dotknie małego strzyżyka w gnieździe, zostanie pokarane ogniem św. Wawrzyńca, to znaczy dostanie pryszczycy na twarzy, nogach i całym ciele. W innych okolicach Francji uważa się, że w osobę, która zabije strzyżyka lub zniszczy jego gniazdko, uderzy piorun albo że palce, które to zrobiły, skurczą się i odpadną lub co najmniej pokaleczą się, albo też że bydlę będzie miało chore kończyny.

Mimo tego rodzaju wierzeń zwyczaj dorocznego zabijania strzyżyka był szeroko rozpowszechniony zarówno w naszym kraju, jak i we Francji. Na wyspie Man zwyczaj ten przestrzegany był jeszcze w osiemnastym wieku w wilię Bożego Narodzenia, a raczej rano w pierwszy dzień święta. Dwudziestego czwartego grudnia po południu cała służba dostawała wolne. Przez całą noc nie szli spać, lecz kręcili się w pobliżu, póki dzwony we wszystkich kościołach nie oznajmiły północy. Po nabożeństwie wyruszali szukać strzyżyka, a gdy wreszcie znaleźli ptaka, zabijali go i przywiązywali z rozpostartymi skrzydłami do końca długiej tyki. Potem wyruszali od domu do domu wyśpiewując taką oto piosenkę:

*Złowiliśmy strzyża dla Robina Bobbin,
Złowiliśmy strzyża dla Jakuba Kłoski –
Złowiliśmy strzyża dla Robina Bobbin,
Złowiliśmy strzyża dla każdego z wioski.*

Po obejściu wszystkich domów i zebraniu datków kładli strzyżyka na marylę i zanosili go na cmentarz parafialny, kopali dla niego grób i chowali go "bardzo uroczyście, śpiewając nad nim pieśni żałobne w języku *man*, które nazywają jego podzwonnym. Potem zaczynało się Boże Narodzenie." Po pogrzebie kompania ustawiała się przed cmentarzem w koło i rozpoczynała tańce z towarzyszeniem muzyki.

Osiemnastowieczny autor donosi, że "chłopi w Irlandii wciąż jeszcze polują na strzyżyka i zabijają go w Boże Narodzenie, a następnego dnia (św. Szczepana) mężczyźni, kobiety i dzieci obnoszą go zawieszoną za nogę pośrodku dwóch obręczy skrzyżowanych pod kątem prostym i śpiewają irlandzką komiczną piosenkę wychwalającą go jako króla wszystkich ptaków". Do dziś jeszcze odbywa się "łowienie strzyżyka" w niektórych okolicach hrabstw Leinster i Connaught. W pierwszy lub drugi dzień Bożego Narodzenia chłopcy polują na strzyżyka, zabijają go i umocowują na szczycie miotły wśród jemioli i bluszczu, w drugi dzień świąt chodzą z nim po domach i śpiewają:

*Strzyżyka, strzyżyka, króla wszystkich ptaszków,
Na sam święty Szczepan, złowiliśmy w siatkę –
Choć to małe ptaszę, lecz z wielkiej rodziny,
Niech więc gospodyni obdarzy nas datkiem.*

Zbierają przy tej okazji datki pieniężne i jedzenie (chleb, masło, jajka itp.), po czym urządzają sobie wieczorem biesiadę.

W pierwszej połowie dziewiętnastego wieku podobne zwyczaje istniały jeszcze na południu Francji. W Carcassone co roku w pierwszą niedzielę grudnia młodzież z ulicy Saint-Jean zwykła była wyruszać za miasto uzbrojona w kije, którymi przetrząsali krzaki poszukując strzyżyka. Pierwszy, któremu udało się zabić ptaszka, bywał ogłaszany Królem. Po czym powracali do miasta, a Król kroczył na czele procesji niosąc strzyżyka na tyce. Wieczorem ostatniego dnia roku Król i wszyscy, którzy brali udział w polowaniu, maszerowali przez ulice miasta w świetle pochodni, a przed nimi szli muzycanci bijąc w bębny i grając na piszczałkach. Zatrzymywali się przy drzwiach każdego domu, a jeden z uczestników pochodu pisał na nich kredą: *Vive le roi!* oraz datę roku, który się miał zacząć. Rano, w dzień Trzech Króli, Król ponownie maszerował ze swą procesją bardzo uroczyście w niebieskiej pelerynie, w koronie na głowie, z berłem w ręku. Przed nim niesiono na tyce strzyżyka, tyka zaś była przybrana zieloną gałązką oliwną, dębową, a czasami jemiołą, która wyrosła na dębie. Po wysłuchaniu sumy w parafialnym kościele Św. Wincentego Król w otoczeniu swych dworzan i straży składał wizytę biskupowi, merowi miasta, urzędnikom i znaczącym obywatelom zbierając pieniądze na pokrycie kosztów królewskiego bankietu, który odbywał się wieczorem i kończył tańcami.

Wydaje się, że podobieństwo między "polowaniem na strzyżyka" a niektórymi opisanymi przez nas zwyczajami, szczególnie procesją z niedźwiedziem u Gilaków i hinduskim obchodem z wężem jest zbyt wielkie, by można było zakwestionować ich przynależność do jednego kręgu pojęć. Raz do roku czczone stworzenie zabijane jest ze szczególnym nabożeństwem. Tuż przed śmiercią lub natychmiast po niej oprowadzane jest od drzwi do drzwi, tak żeby każdy z wiernych mógł otrzymać cząstkę boskich cnót, które rzekomo emanują ze zmarłego czy też umierającego boga. Religijne procesje tego rodzaju musiały odgrywać wielką rolę w rytuale ludów europejskich czasów przedhistorycznych, skoro tak liczne ich ślady przetrwały w ludowych obyczajach. Tak na przykład w ostatni dzień roku, tzw. Hogmanay, na Pogórzu Szkockim istniał zwyczaj ubierania w krowią skórę człowieka, który następnie chodził od domu do domu otoczony młodymi chłopakami, uzbrojonymi w kije z przywiązanymi do nich kawałkami nie wyprawionej Skóry. Przybrany w skórę krowią człowiek trzykrotnie okrążał każdy dom w kierunku *deisal*, to znaczy ruchu słońca, mając po prawej ręce dom, pozostali zaś ścigali go uderzając kijami w skórę i robiąc hałas podobny do bicia w bębny. Ta bezładna procesja biła również kijami w ściany domu, a gdy wreszcie całe towarzystwo wpuszczano do środka, jeden z kompanii stawał na progu i błogosławił rodzinę następującymi słowami: "Niech Bóg pobłogosławi ten dom i wszystko, co do niego należy: bydło, kamienie i drzewo! Obyście zawsze mieli obfitość mięsa, łóżek, ubrania - i obyście cieszyli się zdrowiem!" Potem każdy z kompanii osmalał w ogniu kawałek skóry przywiązany do kija i następnie smarował nim nos każdego domownika i wszystkich zwierząt domowych. Wierzono, że zabieg ten chroni przed chorobami i innymi niepowodzeniami, a szczególnie przed czarami, przez cały następny rok. Ceremonia nazywała się *calluinn* od hałasu wywołanego biciem w skórę krowią. Zwyczaj taki istniał

również na Hebrydach, włączając St. Kilda, co najmniej do drugiej połowy osiemnastego wieku, a, jak się zdaje, sięgnął daleko w wiek dziewiętnasty.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

PRZENOSZENIE ZŁA

Tak więc zaznajomiliśmy się ze zwyczajem zabijania boga u ludów na myśliwskim, pasterskim i rolniczym szczeblu rozwoju społeczeństwa i próbowałem przy tym wyjaśnić, czym kierują się ludzie stosując te dziwaczne zabiegi. Ale należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt tych zwyczajów, a mianowicie ten, że niekiedy zrzuca się na umierającego boga wszystkie nagromadzone niepowodzenia i grzechy całego ludu. Ma je zabrać ze sobą na zawsze, lud zaś pozostaje niewinny i szczęśliwy. Przekonanie, że możemy przenieść nasze winy i cierpienia na inną istotę, która za nas to brzemie uniesie, mieści się w umyśle dzikiego człowieka. Wynika ono oczywiście z pomieszania elementu materialnego z niematerialnym, fizycznego z umysłowym. Ponieważ ładunek drzewa, kamieni czy czegoś podobnego można przerzucić z własnych bark na cudze, dziki wyobraża sobie, że w podobny sposób można również przerzucić brzemie trosk lub cierpień na kogoś innego, kto będzie cierpiał zamiast niego. Postępując zgodnie z tą koncepcją wymyśla niezliczoną ilość bardzo nieprzyjemnych sposobów przetrucania na innego człowieka brzemienia, którego sam nie chce dźwigać. Krótko mówiąc, zasada zastępczego cierpienia jest powszechnie przyjęta i praktykowana przez ludy znajdujące się na niskim szczeblu rozwoju społecznego i intelektualnego. Na dalszych stronicach podam przykłady ilustrujące tego rodzaju teorie i praktyki stosowane przez dzikich w całej ich nagości, nie osłonięte subtelnościami metafizyki i teologii.

Chytry i egoistyczny dziki ucieka się do różnorodnych sposobów ulżenia sobie kosztem bliźniego, z ogromnej zaś ilości przykładów możemy tu wybrać jedynie kilka typowych. Na samym wstępie należy zauważyć, że zło, którego człowiek usiłuje się pozbyć, nie musi być przeniesione na człowieka; równie dobrze można je przekazać zwierzęciu lub przedmiotowi, chociaż w tym ostatnim przypadku przedmiot jest jedynie pośrednikiem, poprzez który kłopoty przechodzą na pierwszą osobę, która tego przedmiotu się dotknie. Na pewnych wyspach w Indonezji panuje przekonanie, że epilepsję można wyleczyć bijąc chorego po twarzy liśćmi specjalnych gatunków drzew i następnie wyrzucając je. Choroba przechodzi na liście i wraz z nimi zostaje wyrzucona.

Bahimowie, lud pasterski w Ugandzie, chorują często na umieszczone głęboko pod skórą wrzody. "Leczy się je w ten sposób, że przenosi się owe wrzody na kogoś innego. W tym celu trzeba otrzymać od znachora pewne zioła, wetrzeć je w miejsce spuchnięte, a następnie pochować je na drodze, po której stale chodzą ludzie. Pierwsza osoba, która nastąpi na zakopane zioła, zachoruje, a człowiek, który do tej pory chorował, odzyska zdrowie."

Niekiedy można przenieść chorobę na wizerunek, który staje się pierwszym ogniwem, przenoszącym następnie chorobę na innego człowieka. U Bagandów znachor lepi z gliny figurkę chorego. Następnie krewny chorego pociera figurkę o ciało pacjenta i zakopuje ją na drodze lub ukrywa w trawie przydrożnej. Choroba przejdzie na pierwszą osobę, która stąpnie na zakopaną figurkę

względnie przejdzie obok niej. Wizerunek bywa również robiony z kwiatu płąta związanego w taki sposób, by przypominał postać ludzką. Jednak posługiwanie się wizerunkami dla takich celów stanowiło poważne przestępstwo. Osobę schwytaną na zakopywaniu figurki na drodze publicznej czekała kara śmierci.

W zachodnich rejonach wyspy Timor ludzie odbywający długą i męczącą podróż wachlują się liściastymi gałęzmi, które następnie wyrzucają w specjalnych miejscach, gdzie to samo przed nimi czynili ich przodkowie. Zmęczenie przechodzi w liście i wraz z nimi zostaje wyrzucone. Inni używają zamiast liści kamieni.

Podobne wierzenia i praktyki w wielu odległych częściach świata zapoczątkowały owe kopce kamieni lub stosy patyków i liści, które podróżnicy często napotykają przy drodze i do których każdy przechodzący tubylec dorzuca swój wkład w postaci kamienia, patyka lub liścia.

Nie jest to obrządek religijny, albowiem przedmiot rzucony na stos nie jest ofiarą składaną sile duchowej, a słowa towarzyszące czynności nie są modlitwą. Jest to jedynie magiczny zabieg mający na celu pozbycie się zmęczenia, które, jak to sobie wyobraża prymitywny dziki, można wcielić w kamień, patyk lub liść i wyrzucić.

Pośrednikami, dzięki którym można się zła pozbyć lub je przenieść, bywają często zwierzęta. Maur, którego boli głowa, często bije jagnię lub kozę tak długo, aż padnie na ziemię, wierząc, że w ten sposób ból głowy przejdzie na zwierzę. W Maroku najbogatsi Maurowie trzymają w stajniach dziki po to, by dzinny i złe duchy wchodziły w nie, a nie nawiedzały koni. U Kafrów w Afryce Południowej, gdy zawodzą wszelkie inne środki, "tubylcy niekiedy uciekają się do zwyczaju wprowadzania kozy do chorego i nad zwierzęciem spowiadają się z grzechów całego kraalu. Czasami pozwala się, by parę kropel krwi chorego spłynęło na kozę, którą następnie wygania się do nie zamieszkannej części veldu⁹⁶. Choroba ma w ten sposób przejść na kozę i zginąć w puszczy." Gdy dżuma szaleje w Arabii, ludzie przeprowadzają po dzielnicach miasta wielbłąda, by zwierzę przejęło na siebie epidemię. Następnie dusi się je w świętym miejscu. Wyobrażają sobie, że za jednym zamachem pozbywają się wielbłąda i zarazy.

U Bataków na Sumatrze istnieje ceremonia zwana przez nich "przepędzaniem przekleństwa". Gdy kobieta jest bezdzietna, składa się bogom w ofierze trzy koniki polne wyobrażające sztukę bydła, bawołu i konia. Po czym wypuszcza się na wolność jaskółkę z modlitwą, by przekleństwo spadło na ptaka i odleciało wraz z nim. "Malajowie uważają, że wejście do domu stworzenia, które zazwyczaj nie odwiedza miejsc zamieszkania człowieka, jest znakiem zapowiadającym nieszczęście. Jeśli do domu przyleci dziki ptak, należy go ostrożnie schwytać, nasmarować olejem, a następnie wypuścić na wolność, przy czym wypowiada się formułkę, w której nakazuje się ptakowi, by odleciał i zabrał ze sobą wszelkie niepowodzenia i nieszczęścia mieszkańców domu." Greczynki w starożytności postępowały, jak się zdaje, tak samo z jaskółkami schwytanymi w domu. Polewały je oliwą i wypuszczały na wolność

⁹⁶ stepu (afryk.)

widocznie po to, by usunąć nieszczęście z domu. Huculi w Karpatach wyobrażają sobie, że można przenieść piegi na pierwszą jaskółkę, którą się zobaczy na wiosnę, myjąc twarz w bieżącej wodzie i wypowiadając następujące słowa: "Jaskółko, jaskółko, zabierz moje piegi i daj mi różowe policzki."

Gdy u Badagów z gór Nilgiri w południowych Indiach ktoś umiera, grzechy nieboszczyka zrzuca się na młodego bawołu. W tym celu ludzie zbierają się przy zwłokach i wynoszą je za wieś. Następnie starszy plemienia, stojąc u głowy nieboszczyka, recytuje albo wyśpiewuje długą listę grzechów, jakie mógłby każdy Badaga popełnić, a ludzie powtarzają ostatnie słowa każdego wiersza. Spowiedź z grzechów powtarza się trzy razy. "Zgodnie z konwencjonalnym wyrażeniem suma grzechów, jakie może popełnić człowiek, zamyka się liczbą tysiąca trzystu. Przyznając, że nieboszczyk wszystkie te grzechy popełnił, prowadzący ceremonię woła: «Nie powstrzymuj ich lotu do czystych stóp boskich!» Zgromadzeni powtarzają za nim: «Nie powstrzymuj ich lotu!» On zaś znowu zaczyna wyliczać szczegóły i woła: «Zabił pełzającego węża! To grzech!» Po chwili zebrani podchwytyją ostatnie słowa i wołają razem: «To grzech!» Wtedy prowadzący uroczystość nakłada dłonie na ciele bawołu, na które grzech przechodzi. W ten tak bardzo wyrazisty sposób odczytuje się cały katalog grzechów. Ale to nie wystarcza. Gdy zamiera ostatni okrzyk: «Niech więc wszystko będzie dobrze!», miejsce pierwszego starszego zajmuje następny i znowu rozpoczyna się spowiedź, i wszyscy wołają: «To jest grzech!» Po czym powtarza się to wszystko po raz trzeci i dopiero wtedy puszcza się ciele wolno. Podobnie jak żydowskiego kozła ofiarnego, nie wolno tego cielęcia zaprzęgać do roboty."

Czasami rolę kozłów ofiarnych spełniają ludzie biorąc na siebie zło zagrażające innym. Gdy Syngalez zachoruje niebezpiecznie i lekarze nie mogą już nic poradzić, wzywa się tancerza diabelskiego, który po złożeniu ofiar diabłom i tańcach w maskach odpowiadających danej okazji zaklina demony choroby, jednego po drugim, by opuściły ciało chorego i wstąpiły w jego własne ciało. Gdy już w ten sposób wywabił przyczynę choroby, przemyślny tancerz kładzie się na marach, udając zmarłego, i zostaje wyniesiony na otwarte miejsce za wsią. Po chwili, gdy wszyscy się już rozeszli, szybko powraca do życia i śpieszy odebrać swe wynagrodzenie. W roku 1590 czarownica szkocka Agnes Sampson skazana została na śmierć za wyleczenie niejakiego Roberta Kersa z choroby "rzuconej na niego przez pewnego czarownika z zachodu, gdy był w Dumfries, a wzięła tę chorobę na siebie i trzymała ją z wielkim jęczeniem i cierpieniami do rana, a w tym czasie wielki hałas słyszano w jej domu". Hałas robiła czarownica starając się przenieść chorobę za pośrednictwem odzieży z siebie na kota lub psa. Niestety, próba udała się tylko częściowo. Choroba nie trafiła na zwierzę, lecz zaatakowała Aleksandra Douglasa z Dalkeith, który zmarniał i zmarł na nią, podczas gdy pierwszy chory, Robert Kers, wyzdrowiał.

"W jednej z okolic Nowej Zelandii tubylcy doszli do wniosku, że konieczna jest pokuta za grzechy; odprawiono nabożeństwo nad jednym z tubylców, na niego to miały przejść wszystkie grzechy plemienia, a przedtem przywiązano do niego liść paproci, z którym wskoczył do wody, tam go odwiązał i pozwolił mu spłynąć wraz z grzechami do morza." W groźnych sytuacjach grzechy radży z Manipuru

przenoszono na innego człowieka, zazwyczaj na przestępcę, który dzięki tym zastępczym cierpieniom bywał ulaskawiony. Przeniesienie grzechów odbywało się w ten sposób, że radża i jego małżonka, ubrani w piękne szaty, kąpali się na rusztowaniu ustawionym na bazarze, a przestępca siedział skulony pod nimi. Wraz ze spływającą wodą zmywały się również grzechy i spadały na ludzkiego kozła ofiarnego. Po to, by obrządek był pełny, radża i jego żona oddawali swe szaty zastępcy, sami zaś, przebrani w nowe stroje, przebywali wśród ludu do wieczora. W Travancore, gdy zbliżają się ostatnie chwile radży, wyszukują świętego bramina, który zgadza się wziąć na siebie grzechy umierającego za sumę dziesięciu tysięcy rupii. Przygotowany w ten sposób do złożenia swej osoby na ołtarzu obowiązku, święty człowiek wchodzi do komnaty umierającego, obejmuje radżę i mówi: "O królu, biorę na siebie wszystkie twoje choroby i grzechy. Oby wasza wysokość żyła długo i panowała szczęśliwie." Gdy już przejął na siebie grzechy chorego, zostaje wygnany z kraju i nigdy nie wolno mu powrócić. W Ucz Kurgan w Turkiestanie Schuyler⁹⁷ widział starca, który zarabiał na życie biorąc na siebie grzechy zmarłych i poświęcając się modlitwom za ich dusze.

W Ugandzie, gdy wojska powracają z wojny, a bogowie ostrzegli króla, poprzez wyrocznie, że jakieś zło przyczepiło się do żołnierzy, wybierano spośród jeńców niewolnicę, którą wraz z krową, kozą, kurą i psem wybranymi z łupów odsyłano do granic kraju, z którego przybyli. Tam łamano im kości i zostawiano, by umarli, byli bowiem zbyt okaleczeni, by mogli doczołgać się do Ugandy. Dla zapewnienia przejścia zła na te substytuty ludzkie i zwierzęce nacierano żołnierzy i bydło kępkami trawy, po czym przywiązywano je do ofiar. Po takim obrzędzie wojska były oczyszczone i mogły powrócić do stolicy. Podobnie przy wstąpieniu na tron nowy król Ugandy zwykł był ranić jednego człowieka i odsyłać go jako kozła ofiarnego do Bunjoro, by zabrał z sobą wszelkie nieczystości, jakie mogłyby się przyczepić do króla lub królowej.

Dotychczasowe przykłady przenoszenia zła zaczerpnęliśmy przede wszystkim z obyczajów ludów barbarzyńskich, ale podobne próby przerzucania brzemienia choroby, nieszczęścia lub grzechu rozpowszechnione były również wśród cywilizowanych narodów Europy zarówno w czasach starożytnych, jak i nowożytnych. Rzymianie leczyli gorączkę obcinając paznokcie choremu i przylepiając je woskiem do drzwi sąsiada przed świtem. Gorączka przechodziła wówczas na sąsiada. Widocznie podobnymi sposobami posługiwali się również Grecy, ponieważ Platon układając prawa dla swego idealnego państwa uważa, że byłoby przesadą spodziewać się po ludziach, że nie będą przestraszeni odnajdując pewne figury woskowe przylepione do ich drzwi lub do grobowców rodziców, lub też leżące na rozdrożach. W czwartym wieku naszej ery Marcellus z Bordeaux zalecał lekarstwo na brodawki nadal cieszące się wielkim powodzeniem wśród ludzi przesądnych w wielu częściach Europy. Do każdej brodawki należy przyłożyć kamyk, po czym kamyki zawinąć w liść bluszczu i wyrzucić je na

⁹⁷ Eugene S c h u y l e r (1840-1890) - amerykański pisarz i dyplomata. Podróżował po Azji Środkowej, był ambasadorem w Rumunii i Grecji i konsulem w Kairze.

głównej ulicy. Ten, kto kamyki podniesie, dostanie brodawek, których pozbył się ich dotychczasowy posiadacz.

W Europie, podobnie jak u dzikich ludów, często usiłuje się przenieść chorobę z człowieka na zwierzę. Poważni pisarze starożytni zalecali człowiekowi pokłutemu przez skorpiony dosiąść osła twarzą ku ogonowi zwierzęcia lub szepnąć mu do ucha: "Pokłut mnie skorpion." W obu wypadkach ból przejdzie z człowieka na osła. Wiele podobnych kuracji zapisał Marcellus. Podaje on na przykład następujące lekarstwo na ból zęba: Człowiek obuty powinien stanąć na ziemi pod otwartym niebem, złapać żabę za głowę, napluć jej w pyszczek, powiedzieć, żeby ból zabrała ze sobą, i puścić ją. Ale musi to być wykonane w szczęśliwym dniu i szczęśliwej godzinie. W Cheshire choroba znana jako pleśniawki, atakująca usta i gardło niemowląt, bywa często leczona w podobny sposób.

Zdarza się często, że cierpiący stara się przerzucić brzemień choroby lub niepowodzenia na jakiś przedmiot nieożywiony. W Atenach jest mała kaplica Św. Jana Chrzciciela oparta o starożytną kolumnę. Chorzy na malarię udają się w to miejsce i, przyczepiając pasmo wosku po wewnętrznej stronie kolumny, wierzą, że choroba przejdzie na kolumnę. W Marchii Brandenburskiej twierdzą, że człowiek cierpiący na zawroty głowy powinien rozebrać się do naga i trzykrotnie okrążyć biegiem pole Inu po zachodzie słońca. Zawroty głowy przejdą wówczas z cierpiącego na len.

Najczęściej jednak spotykanym w Europie odbiorcą wszelkiego rodzaju chorób i kłopotów jest drzewo lub krzak. Bułgarska recepta na pozbycie się malarii głosi, że należy o wschodzie słońca trzykrotnie okrążyć biegiem wierzbę wołając: "Niech ciebie febra trzęsie, a mnie słońce grzeje." Na greckiej wyspie Karpathos duchowny zawiązuje na szyi chorego czerwoną nitkę, następnego ranka przyjaciele chorego zdejmują nitkę i udają się na zbocze góry, gdzie przywiązują ją do drzewa i w ten sposób przenoszą chorobę na drzewo. Podobnie przywiązują malarię do drzewa Włosi. Chory przywiązuje wieczorem do lewej ręki w przegubie nitkę, następnego zaś dnia wiesza ją z rana na drzewie. Malaria zostaje w ten sposób przymocowana do drzewa i opuszcza pacjenta, który jednak musi uważać, by więcej nie przechodzić pod tym drzewem, gdyż febra może się uwolnić z więzów i znowu go zaatakować.

W Berkhamstead w hrabstwie Hertford niektóre dęby od dawna słynęły z leczenia febry. Przeniesienie choroby na drzewo było zabiegiem prostym, lecz bolesnym. Do dębu przybijano pukiel włosów chorego, po czym nagłym szarpnięciem chory odrywał się od drzewa pozostawiając na nim chorobę i włosy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

PUBLICZNE WYPĘDZANIE ZŁYCH DUCHÓW

W poprzednim rozdziale wyjaśniliśmy prymitywną teorię przenoszenia zła na inną osobę, zwierzę lub przedmiot i przytoczyliśmy odpowiednie przykłady. Podobnymi sposobami wybawiano również całe społeczności od nieszczęść, które na nie spadały. Tego rodzaju próby przepędzania za jednym zamachem wszystkich nagromadzonych kłopotów całego ludu nie są bynajmniej rzadkie ani wyjątkowe. Wręcz przeciwnie, podejmowano je w wielu krajach i z obrzędów przypadkowych przekształcały się w regularne i doroczne.

Musimy dokonać pewnego wysiłku, by pojąć sposób myślenia, skłaniający do tego rodzaju prób. Wychowani na filozofii, która pozbawia przyrodę osobowości i sprowadza ją jedynie do przyczyny wywołującej serię uporządkowanych wrażeń odbieranych przez nasze zmysły, z trudem wstawiamy się w sytuację dzikiego, ponieważ jemu te same wrażenia ukazują się w postaci duchów lub dzieła duchów. Armia duchów, niegdyś tak bliska, od wieków cofa się coraz dalej. Magia nauki odpędza ją od ogniska domowego, przepędza z walących się pustelni i porośniętych bluszczem wież, z nawiedzanych przez duchy polanek i samotnych jezior, z mrocznych, rozrywanych błyskawicami chmur i pogodnych obłoków, na których spoczywa srebrny księżyc, lub zdobiących strzępami płonącej czerwieni złoty zachód słońca. Duchy opuściły nawet swą ostatnią twierdzę na niebie, którego błękitna kopuła tylko jeszcze w oczach dzieci jest zasłoną ukrywającą przed oczami śmiertelnych wspaniałości niebieskiego świata. Jedynie w snach poetów lub w namiętnych zrywach krasomówstwa możemy przez chwilę dostrzec jeszcze ostatnie trzepotanie sztandarów cofających się wojsk, usłyszeć bicie niewidzialnych skrzydeł, drwiący ich śmiech lub zamierające w dali tony muzyki anielskiej. Ale inaczej rozumuje człowiek dziki. W jego wyobraźni świat nadal zaludniają owe pstre istoty, z których zrezygnowała bardziej trzeźwa filozofia. We śnie i na jawie nadal okrażają go wróżki i chochliki, duchy i demony. Chodzą w ślad za nim, oszukują jego zmysły, wstępują w niego, niepokoją, okłamują i dręczą go na tysiące kapryśnych i złośliwych sposobów. Niepowodzenia spotykające go, straty ponoszone, cierpienia, które musi znosić, zazwyczaj przypisuje albo magicznym zabiegom swych wrogów, albo złości, gniewowi lub kaprysom duchów. Niepokoi go ich stała obecność, do rozpaczki doprowadza wiecznie czujna złość. Marzy z niewysłowioną tęsknotą o tym, by się ich pozbyć na zawsze, i od czasu do czasu, przyparty do muru, gdy cierpliwość jego jest na wyczerpaniu, gwałtownie występuje przeciw swoim prześladowcom i podejmuje rozpaczliwą próbę przegnania z ziemi całej sfory, oczyszczenia powietrza od krążących rojów, by nareszcie odetchnąć swobodniej i przynajmniej na jakiś czas bez przeszkód móc zająć się swoimi sprawami. Oto dlaczego podejmowane przez prymitywne ludy próby radykalnego pozbycia się swych kłopotów zazwyczaj przyjmują formę wielkiego polowania i przepędzania diabłów lub duchów. Ludzie wierzą, że jeśli tylko uda się przegnać tych przeklętych

dręczycieli, będą mogli zacząć życie od nowa, życie szczęśliwe i niewinne, i wtedy raz jeszcze ziszczą się opowieści o Edenie i dawnym poetyckim złotym wieku.

Możemy więc zrozumieć, dlaczego to generalne oczyszczanie od zła, do którego czasami dziki się ucieka, przyjmuje powszechnie formę wypędzania siłą diabłów. W złych duchach dopatruje się człowiek dziki przyczyny wielu, a nawet wszystkich swoich kłopotów i wyobraża sobie, że jeśli potrafi się ich pozbyć, sprawy potoczą się lepiej. Publiczne próby wypędzania nagromadzonego zła całej społeczności można podzielić na dwie kategorie w zależności od tego, czy wypędzane zło jest niematerialne i niewidzialne, czy też wcielone jest w materialnego pośrednika względnie kozła ofiarnego. Pierwszy sposób można nazwać bezpośrednim lub doraźnym wypędzaniem zła; drugi - pośrednim względnie wypędzaniem w postaci kozła ofiarnego. Omówimy najpierw przykłady ilustrujące sposób pierwszy.

Na wyspie Ruk między Nową Gwineą a Nową Brytanią, gdy przytrafi się jakieś nieszczęście, wszyscy ludzie zbiegają się, krzyczą, przeklinają, wyją i biją kijami powietrze, by przepędzić diabła, który rzekomo jest sprawcą nieszczęścia. Z miejsca, gdzie się ono zdarzyło, pędzą go krok po kroku do morza, a dotarwszy do brzegu krzyczą i wymachują kijami ze zdwojoną energią, by przepędzić go z wyspy. Zazwyczaj diabeł ucieka w morze lub na wyspę Lottin.

Gdy wieś dotknie seria klęsk lub ostra epidemia, mieszkańcy Minahassa na Celebesie winią za to diabły, które trapią miejscowość i które trzeba wobec tego przepędzić. Pewnego dnia wczesnym rankiem wszyscy mieszkańcy, mężczyźni, kobiety i dzieci, opuszczają swe domy zabierając z sobą sprzęt domowy i przenoszą się do prowizorycznych szałasów wybudowanych za wsią. Spędzają tam kilka dni składając ofiary i przygotowując się do końcowej ceremonii. Wreszcie mężczyźni, niektórzy z nich w maskach, inni z uczernionymi twarzami itd., ale wszyscy uzbrojeni w miecze, strzelby, szpadle i miotły, wykradają się cichcem i z zachowaniem wszelkich ostrożności powracają do wsi. Na znak dany przez kapłana pędzą obłądnie tam i z powrotem po ulicach, wpadają do domów i pod domy (zbudowane na palach nad ziemią), wrzeszczą, biją w ściany, drzwi i okna, by przepędzić diabły. Następnie kapłan i reszta ludności przychodzi z świętym ogniem i dziewięciokrotnie okrążają każdy dom, trzy razy zaś drabinę prowadzącą do domu, cały czas niosąc ogień. Po czym ogień zabierają do kuchni, gdzie przez trzy dni musi płonąć bez przerwy. Ku wielkiej i powszechnej radości diabły zostały przepędzone.

Alfurowie z Halmahera epidemie przypisują diabłu, który przybywa z innych wiosek, by ich zabrać ze sobą. W celu oczyszczenia wsi z choroby czarownik przepędza diabła. Od wszystkich wieśniaków otrzymuje kosztowną odzież, którą umieszcza w czterech naczyniach i wynosi do lasu pozostawiając je na miejscu, gdzie rzekomo przebywa diabeł. Potem drwiącymi słowami nakazuje diabłu opuścić miejsce. Na wyspach Kai [Ewab], na południowy zachód od Nowej Gwinei, złe duchy, będące czymś całkiem odrębnym od duchów zmarłych, stanowią potężną armię. Niemal każde drzewo, każda grotka jest miejscem zamieszkania tych czartów, niezwykle zresztą pobudliwych i gotowych do pojawienia się przy najmniejszej prowokacji. Swoje niezadowolenie okazują zsyłając choroby i inne nieszczęścia.

Toteż gdy zdarza się klęska powszechna, jak na przykład, gdy szaleje zaraza, a wszystkie środki zawiodły, cała ludność wybiera się z kapłanem na czele w jakieś oddalone od wsi miejsce. Tutaj o zachodzie słońca ustawia się dwa pale połączone poprzeczkami, na których zawieszają worki ryżu, drewniane modele dział na obracalnych lawetach, gongów, bransoletek itp. Gdy już każdy zajął swe miejsce przy palach i zapanowała śmiertelna cisza, kapłan podnosi głos i zwraca się do duchów w ich własnym języku: "Ho! ho! ho! O złe duchy mieszkające w drzewach, o złe duchy mieszkające w grotach, o złe duchy mieszkające w ziemi, dajemy wam te oto działa na obracalnych lawetach, gongi itd. Niech ustanie zaraza i niech już tylu ludzi nie umiera z jej powodu." Po czym wszyscy ludzie biegną do swych domów co sił w nogach.

Na wyspie Nias, gdy ktoś poważnie zachoruje i wszystkie inne środki zawodzą, czarownik zaczyna egzorcyzmować diabła, który wywołuje chorobę. Przed domem ustawia się pal, a od szczytu pala do dachu domu rozwiesza się sznur liści palmowych. Następnie czarownik wchodzi na dach z wieprzem, którego tam zabija i pozwala mu się stoczyć na ziemię. Diabeł chcąc złapać wieprza spuszcza się z dachu po sznurze z liści palmowych, a dobry duch, przywołany przez czarownika, nie pozwala mu wrócić z powrotem. Jeśli lekarstwo zawodzi, oznacza to, że w domu przebywają jeszcze inne diabły. Urządza się wobec tego powszechne polowanie na diabły. Zamyka się wszystkie drzwi i okna domu z wyjątkiem jednego okienka na dachu. Mężczyźni zamknięci w domu wywijają mieczami i tną powietrze przy akompaniamencie gongów i werbla bębnow. Diabły, przerażone takim atakiem, opuszczają dom przez okienko w dachu i ześlizgują się po linie z liści palmowych, a ponieważ wszystkie drzwi i okna są zamknięte, nie mogą dostać się z powrotem. Podobnie postępuje się w wypadku epidemii. Wszystkie bramy prowadzące do wsi są zamykane z wyjątkiem jednej, wszystkie głosy podniesione, wszystkie miecze w ruchu, hałasują wszystkie gongi i bębny. W ten sposób wypędza się diabły i zamyka za nimi ostatnią bramę. Przez osiem dni wieś jest w stanie oblężenia i nikomu nie wolno do niej wejść.

Gdy cholera wybucha w birmańskiej wiosce, wszyscy zdrowi mężczyźni wstępują na dach i wymachują tam bambusowymi kijami i polanami drzewa, reszta zaś ludności, starzy i młodzi, stoi na dole bijąc w bębny, dmąc w trąby, krzycząc, wrzeszcząc, waląc w podłogi, ściany, blaszane patelnie i wszystko, czym można wywołać hałas. Wrzawa powtarzana przez trzy noce pod rząd rzekomo bardzo skutecznie przepędza demony cholery.

Niekiedy zamiast przepędzać demony choroby z domu dziki woli pozostawiać je w posiadaniu domu, sam zaś ucieka i próbuje uniemożliwić demonom ściganie go. Gdy więc Patagończyków zaatakowała czarna ospa, co przypisywali machinacjom złego ducha, porzucali swych chorych i uciekali tnąc powietrze swą bronią i lejąc wodę, by powstrzymać straszliwy pościg. Gdy po paru dniach marszu docierali do miejsca, które, jak mieli nadzieję, znajdowało się poza zasięgiem złego ducha, wbijali dla zabezpieczenia się wszystkie swoje ostre narzędzia ostrzami w kierunku, skąd przybyli, jak gdyby mieli odeprzeć szarżę kawalerii.

Wypędzanie duchów, początkowo odbywające się od wypadku do wypadku, przejawia tendencję do przekształcania się w stały obrządek powtarzany w określonych terminach. Rodzi się myśl, że warto organizować generalne przepędzanie diabłów w określonym terminie, zazwyczaj raz do roku, po to, by ludzie mogli zaczynać życie od nowa, wyzwoleni od złośliwych wpływów, które dotąd wokół nich się nagromadziły.

Pewne pory roku same narzucają się w sposób naturalny jako właściwa chwila dla generalnego przepędzania diabłów. Do takich chwil należy koniec polarnej zimy, gdy po wielotygodniowej, a nawet wielomiesięcznej nieobecności powraca słońce. Toteż chwilę ponownego ukazania się słońca uznali Eskimosi w Point Barrow, najdalej na północ wysuniętym punkcie Alaski i prawie całej Ameryki, za odpowiednią porę do przegania złego ducha Tuńa z wszystkich domów. Naocznymi świadkami tej ceremonii byli członkowie polarnej ekspedycji Stanów Zjednoczonych, którzy zimowali w Point Barrow. Przed domem rady rozpalono ognisko, a w drzwiach każdego domku w osiedlu czuwała stara kobieta. Mężczyźni zbierali się przy domu zebrani, podczas gdy młode niewiasty i dziewczęta wypędzały ducha z każdego domku dżgając nożami z wściekłością pod legowiskami i skórami reniferów i wzywając Tuńę, by sobie poszedł. Gdy dochodzili do przekonania, że wypędzili go już z każdej dziury i kąta, wypędzali go przez dziurę w podłodze na dwór głośnymi okrzykami i dzikim wymachiwaniem rękami. A w tym samym czasie stara kobieta stojąca na progu wymachiwała długim nożem, by nie mógł wrócić przez drzwi. Każda grupa pędziła ducha ku ognisku i nakazywała, mu, by wszedł do ognia. Wokół ogniska tworzyło się półkole, a wtedy kilku spośród ważniejszych mężczyzn występowało z konkretnymi oskarżeniami przeciwko duchowi. Po każdym takim przemówieniu otrząsali gwałtownie swe ubrania i wzywali ducha, by ich opuścił i wszedł do ognia. Z kolei występowało dwóch mężczyzn ze strzelbami naładowanymi ślepyimi nabojami, trzeci zaś przynosił naczynie wypełnione moczem i wylewał go do ognia. Równocześnie jeden ze strzelców palił ze strzelby do ogniska, a gdy unosił się kłęb pary, trafiał weń drugi strzał, który, jak uważano, chwilowo zabijał Tuńę.

Późną jesienią, gdy burze szaleją nad lądem i łamią lodowe pęta, słabo jeszcze wiążące zamarzające morze, gdy luźne kry uderzają o siebie i pękają z głośnym hukiem, a kawały lodu piętrzą się w dzikim bezładzie, Eskimosi z Ziemi Baffina wyobrażają sobie, że słyszą głosy duchów zaludniających wypełnione diabłami powietrze. Wtedy to duchy zmarłych walą dziko o ściany chat, do których nie mają dostępu, i biada nieszczęsnej istocie, przez nich schwytej; pochoruje się wkrótce i umrze. Potem widmo wielkiego, pozbawionego sierści psa ściga prawdziwe psy, które na jego widok zdychają w konwulsjach i kurczach. Wszystkie niezliczone złe duchy krążą w powietrzu i dążą tylko do tego, by sprowadzić na Eskimosów choroby i śmierć, złą pogodę i niepowodzenie w polowaniu. Z wszystkich tych upiornych widm największy strach wzbudza Sedna, pani podziemnego świata, i jej ojciec, którego władzy podlegają zmarli Eskimosi. Inne duchy wypełniają powietrze i wodę, ona zaś wynurza się z podziemi. Dużo pracy mają o tej porze roku czarownicy. W każdym domu rozlegają się ich modlitwy i śpiewy, gdy usadowieni w tajemniczym mroku w samym końcu izby, słabo oświetlonej małym

płomyczkiem nisko wiszącej lampy, zaklinają duchy. Najtrudniejszym zadaniem jest przepędzenie Sedny, pozostawia się je najpotężniejszemu zaklinaczowi duchów. Na podłodze wielkiej chaty zwija się sznur w taki sposób, by na wierzchu pozostał mały otwór przedstawiający przerębłę, w której foki zaczerpują powietrze. Staje przy niej dwóch czarowników, jeden z oszczepem, jak gdyby czuwał nad otworem na foki w zimie, drugi z liną harpunową. Trzeci czarownik siedzi w końcu izby i śpiewem magicznym usiłuje zwabić Sednę. Oto słychać, jak zbliża się pod podłogą dysząc ciężko, oto pojawia się w otworze i z gniewem zapada się pośpiesznie, ciągnąc za sobą harpun, podczas gdy obaj mężczyźni z wszystkich sił przytrzymują linę. Walka jest zacięta, ale w końcu rozpaczliwym szarpnięciem Sedna wyrwa się i powraca do swego miejsca zamieszkania w Adliwun. Po wyciągnięciu harpuna z otworu widać, że jest splamiony krwią, co czarownicy dumnie pokazują wszystkim na dowód tego, jacy są dzielni. Tak więc w końcu przepędza się Sednę i inne złe duchy, a następnego dnia starzy i młodzi obchodzą wielkie święto dla uczczenia tego wydarzenia. Ale muszą uważać, albowiem zraniona Sedna jest wściekła i porwie każdego, kto opuści swą chatę. Noszą więc na swych kapturach amulety ochronne. Są one zrobione z kawałków pierwszej odzieży, jaką mieli na sobie po urodzeniu.

Irokezi rozpoczynali nowy rok w styczniu, lutym lub marcu (data była zmienna) od "święta snów". Wszystkie obchody trwały wiele dni, a nawet tygodni i przypominały swoiste Saturnalia. Mężczyźni i kobiety w rozmaitych przebraniach chodzili od wigwamu do wigwamu tłukąc i wyrzucając wszystko, co napotkali po drodze. Był to czas zupełnej swobody. Uważano, że ludzie w tym czasie są pozbawieni rozumu i nie odpowiadają za swe uczynki.

Wiele osób korzystało z tej okazji, by załatwić stare porachunki, okładając niemile osoby, polewając je lodowatą wodą i obsypując śmieciami i popiołem. Inni chwyтали płonące główne lub węgle i rzucali je na głowy pierwszej napotkanej osoby. Jedynym sposobem obronienia się przed tymi prześladowcami było odgadnięcie, o czym śnili. Jeden dzień poświęcony był ceremonii przepędzania złego ducha ze wsi. Mężczyźni w skórkach z dzikich zwierząt, ze strasznymi maskami na twarzach i rękami osłoniętymi skorupami żółwi, chodzili od chaty do chaty wydając straszliwe dźwięki. W każdym domu brali płonące na ognisku drzewa gołymi rękami i rozsypywali nie wygaste węgielki i popiół na podłodze. Generalne wyznanie grzechów, które poprzedzało święto, było zapewne przygotowaniem do publicznego wypędzania złego ducha; zdejmowano w ten sposób z ludzi brzemień moralne, by można je zebrać razem i wyrzucić.

Inkowie z Peru obchodzili we wrześniu święto zwane Situa, mające na celu wypędzenie ze stolicy i okolicznych miejscowości wszelkich chorób i kłopotów. Święto urządzano we wrześniu, ponieważ w tym właśnie miesiącu zaczynają padać deszcze i równocześnie z deszczami pojawiają się liczne choroby. Przygotowując się do święta ludzie pościli w pierwszy dzień nowiu po jesiennym przesileniu. Po całodziennym poście piekli wieczorem zwyczajny placek z kukurydzy. Ciasto było dwójakiego rodzaju: jedno ugniatano z krwią dzieci w wieku od pięciu do dziesięciu lat, przy czym krew wytaczano dzieciom pomiędzy brwi. Oba gatunki ciasta piekło się osobno, ponieważ miały odrębne zastosowanie. Każda

rodzina obchodziła święto w domu najstarszego brata, w tych zaś przypadkach, kiedy nie było starszych braci, udawano się do najbliższego starszego krewniaka.

Tego samego wieczoru ci, którzy w dzień pościli, kąpali się, po czym brali trochę ciasta ugniecionego z krwią i smarowali nim głowy, twarze, piersi, barki, ramiona i nogi. Poprzez ten zabieg ciasto wchłaniało wszelkie ich choroby. Następnie głowa rodziny nacierała tym ciastem próg domu i pozostawiała je tam na dowód, że cały dom dokonał ablucji i oczyścił swe ciała. Równocześnie w świątyni słońca arcykapłan dokonywał tych samych ceremonii. Gdy tylko słońce wschodziło, wszyscy ludzie modlili się i prosili je, by przepędziło złe duchy z miasta, po czym post przerywano jedząc ciasto ugniecione bez krwi. Po zakończeniu nabożeństwa i postu, a odbywało się to o ustalonej porze, by wszyscy Inkowie mogli jak jeden mąż złożyć hołd słońcu, z twierdzy wychodził Inka królewskiego rodu jako posłaniec słońca, ubrany w bogate szaty i przepasany w biodrach, trzymając w ręku lancę. Lanca przybrana była od ostrza do uchwyty piórami w różnych kolorach, przymocowanymi do niej złotymi pierścieniami. Człowiek ów zbiegał z góry, wywijając lancą, aż docierał do środka wielkiego placu, gdzie stała złota urna w kształcie fontanny. Używano jej do poświęcania fermentowanego płynu warzonego z kukurydzy. Tu czekało już na niego czterech Inków również królewskiego rodu, każdy z nich z lancą w dłoni i w płaszczu podwiniętym do biegu. Posłaniec dotykał swoją lancą czterech lanc oczekujących go Inków i zawiadamiał, że słońce nakazuje im, jako swoim posłańcom, wypędzić złe duchy z miasta. Wówczas czterej Inkowie rozbiegali się po czterech Drogach Królewskich prowadzących z miasta w cztery strony świata. Równocześnie wszyscy mieszkańcy miasta, znakomici i zwykli szarzy ludzie, wychodzili na progi domów wznosząc okrzyki radości i zadowolenia i wykonywali ruchy, jak gdyby wytrząsali kurz ze swych ubrań.

Wołali przy tym: "Niech sobie złe duchy pójdą precz! Jak upragnione jest to dla nas święto. Stwórco wszechrzeczy, spraw, byśmy żyli jeszcze jeden rok i zobaczyli podobne święto." Po wypowiedzeniu tych słów i otrząśnięciu szat naśladowali ruchami rąk mycie głowy, twarzy, ramion i nóg. Miało to na celu wypędzenie z domu złych duchów, które następnie wysłannicy słońca wypędzali z miasta, a odbywało się to nie tylko na ulicach, przez które biegli Inkowie, ale we wszystkich dzielnicach miasta. Ponadto ludzie tańczyli, a sam wielki Inka wraz z nimi, kąpali się w rzekach i fontannach, twierdząc, że spłyną z nich choroby. Następnie brali wielkie pochodnie ze słomy obwiązane sznurami. Zapalali je i podawali sobie wzajemnie, uderzali się nimi mówiąc przy tym: "Wszelkie zło niech przepadnie." A tymczasem Inkowie z lancami wybiegali ćwierć mili za miasto, gdzie oczekiwali ich inni Inkowie, którzy przejmowali od nich lance i biegli dalej. W ten sposób sztafeta przekazywała lance na jakie pięć lub sześć mil, aż w końcu biegnący umywali siebie i swą broń w rzece i wbijali w ziemię lance wytyczając granice, których nie wolno było wygnanym złym duchom przekraczać.

W Gwinei Murzyni co roku wyrzucają diabła z wszystkich miast podczas wielkich uroczystości odbywających się w ustalonym terminie. W Axim na Złotym Wybrzeżu to doroczne wypędzanie poprzedza ośmiodniowe święto, podczas którego wszędzie tańczy się, śpiewa i panuje powszechna

wesołość. "Dozwolone są wszelkie drwiny i obmowy bez względu na stanowisko osoby, wszyscy mogą bezkarnie i swobodnie śpiewać o wszelkich błędach, występkach i oszustwach zarówno swoich przełożonych jak i podwładnych prawie bez najmniejszej przeszkody." Ósmego dnia wypędzają diabła ze straszliwymi okrzykami, biegną za nim, okładają kijami, obrzucają kamieniami i wszystkim, co im się nawinie pod rękę. Gdy wreszcie wypędzili go dostatecznie daleko za miasto, wracają. W ten sposób wypędza się diabła równocześnie z przeszło stu miast. By upewnić się, że nie powróci do ich domów, kobiety myją i szorują wszystkie drewniane naczynia, "by uwolnić je od nieczystości i diabła".

W Cape Coast Castle na Złotym Wybrzeżu dziewiątego października 1844 r. oglądał to święto pewien Anglik i opisał je następująco: "Dziś wieczór odbyło się doroczne wypędzanie z miasta złego ducha Abonsama. Gdy tylko działo w forcie oznajmiło godzinę ósmą, ludzie zaczęli po domach palić z muszkietów, wyrzucając cały dobytek z domów, kijami waląc po wszystkich kątach itd., i krzycząc jak najgłośniej, by wystraszyć diabła. Po wypędzeniu go z domu wyruszyli na ulice rzucając zapalone pochodnie, krzycząc, wrzeszcząc, uderzając pałkami, tłukąc w stare patelnie, robiąc najstraszliwszy hałas, by wypędzić go z miasta do morza. Obrządek ten poprzedziła czterotygodniowa głucha cisza. W tym okresie nie wolno było strzelać, bić w bębny, a mężczyznom nie wolno było prowadzić żadnych pogawędek. Jeśli w tym czasie dwóch tubylców pokłóciło się i narobiło wrzawy w mieście, zabierano ich natychmiast przed oblicze króla, który wymierzał im wysoką grzywnę. Psa lub świnię, owcę lub kozę, kręcące się po ulicy bez opieki, wolno było zabić lub zabrać, a właściciel nie miał prawa żądać odszkodowania. Cisza ta miała zwieść Abonsama, by korzystając z jego zaskoczenia niespodziewanie złapać go i wystraszyć z miasta. Gdy ktoś umierał w okresie ciszy, krewnym nie wolno było płakać, dopóki nie minęły przepisane cztery tygodnie."

Czasami data dorocznego święta wypędzania diabłów ustalana jest w powiązaniu z pracami rolniczymi. U Hosów w Togo w Afryce Zachodniej wypędzanie odbywa się, zanim ludzie zaczną spożywać nowe bataty. Wodzowie wzywają kapłanów i czarowników i zawiadamiają ich, że ludzie mają obecnie jeść nowe bulwy i weselić się, wobec czego muszą oczyścić miasto i usunąć złe duchy. Zgodnie z tym poleceniem wiązuje się złe duchy, wiedźmy i wszystkie nieszczęścia nawiedzające ludzi w pęczki wraz z liśćmi i pnączami, przywiązuje do słupów, które wynosi się i wbija za miastem na drogach. Przez całą noc po tym zabiegu nie wolno jeść i rozpalać ognia. Następnego ranka kobiety oczyszczają paleniska i zamiatają domy, a wymiecione śmiecie składają na połamanych drewnianych talerzach. Ludzie modlą się: "Wszystkie choroby przebywające w naszych ciałach i dręczące nas wyrzucamy dzisiaj." Po czym biegną co sił w kierunku góry Adaklu uderzając się po ustach i krzycząc: "Zmykajcie stąd dzisiaj. Precz! To, co zabija kogokolwiek, precz. Precz, złe duchy. Precz, wszystkie przyczyny bólu głowy! Wszelkie zło niech się zabiera dzisiaj na Anlo i Adaklu. Oto miejsce dla was." Doszedłszy do pewnego drzewa na górze Adaklu wyrzucają wszystko i powracają do swych domów.

Mieszkańcy Bali, wyspy na wschód od Jawy, urządzają doroczne wypędzanie diabłów na wielką skalę. Wybiera się zazwyczaj dzień "ciemnego księżyca" w dziewiątym miesiącu. Gdy demonom zbyt

długo już dawano spokój, kraj staje się "ciepły" i kapłani wydają wówczas rozkaz wypędzenia ich siłą, bo cała wyspa nie będzie nadawała się do zamieszkania. W wyznaczonym dniu mieszkańcy wioski lub okolicy zbierają się w głównej świątyni. Tutaj na rozdrożu składa się ofiary dla diabłów. Po odmówionych przez kapłanów modlitwach rozlega się dźwięk trąby wzywający diabły do spożycia posiłku, który dla nich przygotowano. Równocześnie występują naprzód mężczyźni i zapalają swe pochodnie od świętej lampy płonącej przed głównym kapłanem. Natychmiast potem wyruszają we wszystkich kierunkach, a za nimi idą widzowie. Maszerują przez wszystkie ulice i uliczki wołając: "Idźcie sobie! Precz!" Gdzie tylko się pojawią, ludzie, którzy pozostali w domu, spieszą ogłuszającym biciem w drzwi, słupy i wszystko inne przyczynić się do wypędzania diabłów. Złe duchy wygnane w ten sposób z domów biegną na przygotowaną dla nich ucztę. Ale tu czeka już kapłan z przekleństwami, które w końcu wypędzają je z okolicy. Gdy ostatni diabeł się wyniósł, hałas ustępuje głębokiej ciszy trwającej przez cały następny dzień. Diabły chcą wrócić do swych dawnych domów, po to zaś, by pomyślały, że Bali nie jest Bali, lecz jakąś wyspą bezludną, nie wolno nikomu opuszczać swego mieszkania przez dwadzieścia cztery godziny. Przerzywa się najzwyczajniejsze prace gospodarskie, nawet gotowanie. Jedynie strażnicy mogą chodzić po ulicach. Na wszystkich drzwiach zawieszają się wieńce z cierni i liści, by ostrzec obcych, że wejście jest wzbronione. Dopiero na trzeci dzień kończy się ten stan oblężenia, ale i wtedy nie wolno jeszcze pracować na polach ryżowych lub handlować na rynku. Wiele ludzi pozostaje nadal w domu spędzając czas na grze w karty i kości. Doroczne wypędzanie demonów, wiedźm i złych duchów rozpowszechnione było również wśród pogan w Europie sądząc ze śladów tych zwyczajów, które ich potomkowie zachowali po dzień dzisiejszy. U pogańskich Wotiaków, fińskiego ludu we wschodniej Rosji, wszystkie młode dziewczęta z całej wsi zbierają się w ostatni dzień roku lub w Nowy Rok, uzbrojone w kije, których końce rozszczepione są w dziewięciu miejscach. Tłuką kijami po wszystkich kątach domu i podwórza powtarzając słowa: "Wypędzamy szatana ze wsi!" Potem wrzuca się kije do rzeki za wsią, a gdy spływają z prądem rzeki, szatan wraz z nimi przechodzi do następnej wioski, z której trzeba go z kolei wyrzucić. W niektórych wsiach zabieg ten wygląda inaczej. Nieżonaci mężczyźni otrzymują z każdego domostwa we wsi kaszę, mięso i wódkę. Zabierają to wszystko na pole, zapalają ognisko pod sosną, gotują kaszę i zjadają część prowiantów, które z sobą przynieśli, po czym wypowiadają słowa: "Odejdź w puszczy i nie wracaj do domu." Następnie idą z powrotem do wsi i wchodzi do każdego domu, w którym są młode kobiety. Chwytają je i wrzucają w śnieg mówiąc: "Niech cię opuszczą duchy choroby." Resztę kaszy i innych prowiantów rozdziela się między gospodarstwa proporcjonalnie do wkładu, jaki wniosły, po czym rodziny je zjadają. Jak twierdzi jeden z Wotiaków z okręgu małmyżskiego, młodzi mężczyźni wrzucają w śnieg każdą napotkaną osobę i nazywa się ten zwyczaj "wypędzaniem szatana", ponadto część ugotowanej kaszy wrzuca się do ognia ze słowami: "O Boże, nie karz nas chorobami i zarazą, nie wydawaj nas na żer duchom lasu." Ale najstarszą formę obrzędu zaobserwowano u Wotiaków guberni kazańskiej. Zaczyna się on od ofiary składanej w południe diabłu. Następnie mężczyźni na koniach zbierają się w środku wioski i decydują, od którego

domu należy zacząć. Gdy kwestia ta, będąca często źródłem gorących sporów, zostaje wreszcie rozstrzygnięta, przywiązują konie do płotów i uzbrajają się w pałki z drzewa lipowego, bicze i pęki zapalonych różg. Panuje przekonanie, że szatan najbardziej boi się płonących różg. Uzbrojeni w ten sposób, wyruszają ze straszhliwymi okrzykami, walą w każdy kąt domu i podwórza, a następnie zamykają drzwi i spluwają na wypędzonego złego ducha. Tak idą od domu do domu, aż diabeł zostanie zewsząd przepędzony. Następnie dosiadają z powrotem koni i wyjeżdżają z wioski krzycząc dziko i wymachując na wszystkie strony pałkami. Za wsią odrzucają pałki i raz jeszcze spluwają na diabła. Czeremisi, inny fiński lud wschodniej Rosji, wypędzają szatana z wiosek tłukąc pałkami z drzewa lipowego o ściany domów, paląc ze strzelb, kłując nożami i wtykając zapalone drzazgi w szczeliny. Skaczą ponadto przez ogniska, otrząsając przy tym swą odzież, a w niektórych okolicach dmą w długie trąby z kory drzewa lipowego, by odstraszyć diabła. Gdy uciekł już do lasu, obrzucają drzewa ciastkami z sera i jajkami przeznaczonymi na ucztę.

W chrześcijańskiej Europie stary pogański zwyczaj wypędzania złych mocy w określonej porze roku przetrwał do naszych czasów. W niektórych wsiach Kalabrii marzec zaczyna się od wypędzania wiedźm. Odbywa się to nocą przy biciu w dzwony kościelne, ludzie zaś biegną po ulicach wołając: "Nadszedł marzec!" Twierdzą, że w marcu wiedźmy krążą po okolicy, i powtarzają tę ceremonię w każdy piątkowy wieczór przez cały miesiąc. Jak było do przewidzenia, starożytnie pogańskie obyczaje często dołączają się do świąt kościelnych.

W Europie Środkowej ulubioną datą wypędzania wiedźm była Noc Walpurgi, czyli wilia pierwszego maja, kiedy to rzekomo te złośliwe istoty są u szczytu swych sił. W Tyrolu jak i w innych okolicach wypędzanie sił nieczystych o tej porze roku nazywa się "wypalaniem wiedźm". Odbywa się to w dniu pierwszego maja, ale ludzie przygotowują się do tego obrządku już od wielu dni. W jeden z wieczorów czwartkowych wiąże się pęczki żywicznych różg, czarnej i czerwonej plamistej cykuty, wilczomleczu, rozmarynu i gałęzi tarniny. Przechowuje się je, a w dniu pierwszego maja mężczyźni, którzy przedtem otrzymali rozgrzeszenie zupełne w kościele, palą je. W ostatnich trzech dniach kwietnia sprząta się wszystkie domy, a potem okadza jałowcem i rutą. Pierwszego maja, gdy biją wieczorne dzwony i zmierzch zapada, rozpoczyna się ceremonia "wypalania wiedźm". Dorośli i chłopcy hałasują biczami, dzwonkami, garnkami i patelniami, kobiety noszą kadzielnice, psy spuszczone z uwięzi szczekają i skomlą. Gdy tylko rozlega się dźwięk dzwonów kościelnych, zapala się pęczki różg przywiązane do słupów i kadzidło. Rozlegają się wszystkie dzwony i dzwonki domowe, wali się w patelnie i garnki, psy szczekają i wszyscy muszą hałasować. Pośród całej tej wrzawy wszyscy krzyczą z całej siły:

Zmykaj, zmykaj, czarownico, Będzie z tobą źle!

Następnie siedmiokrotnie biegną wokół domów, dziedzińców i wioski. W ten sposób wykurza się i przepędza wiedźmy z ich kryjówek. Zwyczaj wypędzania wiedźm w Noc Walpurgi w ostatnich jeszcze latach był przestrzegany w wielu częściach Bawarii i u Niemców czeskich.

Tak na przykład w górach Lasu Czeskiego wszyscy młodzieńcy zbierają się po zachodzie słońca na pagórku na rozdrożu i strzelają z całej siły z biczów. To odpędza wiedźmy, ponieważ owe szkodzące złe istoty są bezsilne w zasięgu odgłosu trzaskających biczów. W niektórych miejscowościach podczas gdy młodzi ludzie trzaskają z biczów, pastuchy dmą w rogi, a przeciągłe tony rozchodzące się daleko w nocnej ciszy są bardzo skuteczne, jeśli idzie o przepędzenie wiedźm.

Porą polowania na wiedźmy jest również dwunastodniowy okres między Bożym Narodzeniem a świętem Trzech Króli. W niektórych okolicach Śląska ludzie palą żywicę sosnową przez wszystkie noce od Bożego Narodzenia do Nowego Roku w przekonaniu, że ostry dym wypędzi wiedźmy i złe duchy, które uciekną daleko od domów i gospodarstw. W Wigilię i Sylwestra strzelają nad polami i łąkami, celując w krzaki i drzewa, i obwiązują słomą drzewa owocowe, by złe duchy nie wyrządziły im krzywdy. W Sylwestra czescy chłopcy ustawiają się wokoło i strzelają w powietrze. Nazywa się to "polowaniem na wiedźmy" i ma je rzekomo odstraszyć. Ostatnim z mistycznych dwunastu dni jest wieczór Trzech Króli uchodzący w wielu częściach Europy za najodpowiedniejszą porę do wypędzania sił nieczystych. W Brunnen nad Jeziorem Czterech Kantonów chłopcy tworzą korowód z pochodniami i hałasują za pomocą rogów, dzwonek i biczów, by odstraszyć dwa niewieście duchy leśne Strudeli i Stratteli. Ludzie sądzą, że jeśli hałas nie będzie wielki, owoce w tym roku nie obrodzą. W Labruguiere, departamencie południowej Francji, w wieczór Trzech Króli ludzie biegną po ulicach dzwoniąc, bijąc w kotły i hałasując na wszelkie sposoby. Zapalają potem łuczywa i pochodnie i rozdierając uszy potwornym krzykiem, przepędzają, jak sądzą, wszystkie wędrujące diabły i duchy z miasteczka.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

PUBLICZNE KOZŁY OFIARNE

Dotąd zajmowaliśmy się tym systemem generalnego wypędzania złych duchów, który określiłem jako bezpośredni lub natychmiastowy. Złe duchy są w tym systemie niewidzialne, w każdym razie nie dostrzega ich zwykły śmiertelnik, a sposób pozbywania się ich polega w większości wypadków na cięciu powietrza i hałasowaniu w celu wystraszenia złych duchów i zmuszenia ich do ucieczki. Należy jeszcze podać przykłady drugiego systemu wypędzania, w którym siły nieczyste przybierają postać widzialną, a przynajmniej wcielają się w materialnego pośrednika, przy pomocy którego wypędza się je z ludzi, wiosek lub miast. Indianie w Kalifornii obchodzą wypędzanie duchów co siedem lat, a diabła podczas tych ceremonii reprezentują przebrani mężczyźni. "Dwudziestu lub trzydziestu mężczyzn przebiera się w błazeńskie stroje i maluje barbarzyńsko, a na głowach nosi naczynia ze smołą. Następnie skrycie wybierają się w okoliczne góry. Mają oni uosabiać diabły. Herold wchodzi na szczyt domu zgromadzeń i wygłasza przemówienie do tłumu. Na znak uzgodniony uprzednio przebrani mężczyźni schodzą wieczorem z gór ze smołą płonąca w naczyniach, które noszą na głowach, i wszystkimi przerażającymi akcesoriami hałasu, ruchu i przebrania, jakie tylko wymyślić potrafi umysł dzikiego dla wyobrażenia demona. Przestraszone kobiety i dzieci uciekają co tchu, mężczyźni zapędzają je do kręgu i uważając, że diabły należy zwalczać ogniem, miotają w powietrze płonące szczapy, wyją, krzyczą i dziko wygrażają żądnym krwi demonom. Ten straszny widok wzbudza przerażenie w sercach kobiet, piszczących[^] mdlejących, garnących się rozpaczliwie do swych odważnych obrońców. Wreszcie diabłom udaje się dostać do środka domu zgromadzeń, a najodważniejszy z mężczyzn wchodzi za nimi i rozpoczyna pertraktacje. Na zakończenie całej tej komedii mężczyźni zbierają się na odwagę i przy akompaniamencie straszliwej kłótni i udawanej walki wypędzają diabły w góry."

W ostatnią noc roku oczyszcza się pałac króla Kambodży z diabłów. Ludzi pomalowanych i ucharakteryzowanych na złe duchy goni się na słoniach po dziedzińcach pałacu. Gdy już ich wypędzono, przeciąga się poświęconą nitkę bawełny wokół pałacu, by nie mogły wrócić. Gdy w Munzerabad, jednym z okręgów Mysore w południowych Indiach, wybucha w wiosce cholera lub ospa, mieszkańcy zbierają się i zaklinają demona choroby w drewniany wizerunek, który zanoszą, zazwyczaj o północy, do następnej wioski. Z kolei mieszkańcy następnej wsi przekazują wizerunek swoim sąsiadom i w ten sposób demon jest wypędzany z jednej wsi do drugiej, aż dotrze do brzegów rzeki, do której się go wreszcie wrzuca.

Częściej jednak demony nie są w ogóle reprezentowane, lecz zakłada się, że przebywają niewidzialne w materialnym i widzialnym pośredniku, który je zabiera z sobą. Również i w tym przypadku wygodnie jest przeprowadzić podział między doraźnymi i okresowymi aktami wypędzania. Zaczniemy od pierwszych.

Demony można odsyłać różnymi środkami lokomocji. Najpospolitszymi są małe statki i łodzie. Gdy w południowej części wyspy Seram zachoruje cała wieś, buduje się mały statek i załadowuje go ryżem, tytoniem, jajkami itp., które znosi cała ludność. Gdy już wszystko jest gotowe, jeden z mężczyzn woła głośno: "Posłuchajcie, wszystkie choroby, ospy, febry i odry, od tak długiego czasu nas nawiedzające i trapiące, które teraz przestajecie nas nękać. Przygotowaliśmy wam statek i zaopatrzyliśmy was w prowiant, który starczy wam na podróż. Nie zabraknie wam jedzenia ani liści betelu, orzeszków arachidowych ani tytoniu. Wyjeżdżajcie i odpłyńcie od nas natychmiast, wybierzcie się do odległego kraju i nie zbliżajcie się już nigdy do nas. Niechaj wszystkie wiatry i prądy uniosą was pośpiesznie w tamte strony, żebyśmy w przyszłości żyli bezpiecznie i żebyśmy już nigdy więcej nie widzieli słońca wschodzącego nad wami." Po czym dziesięciu lub dwunastu mężczyzn zanosi łódź na brzeg i pozwala, by bryza uniosła ją od lądu. Przekonani są, że wybawili się na zawsze, a przynajmniej do następnego razu od wszelkich chorób. Jeśli choroba ponownie ich dotknie, są przekonani, że nie jest to ta sama dolegliwość, lecz inna, i we właściwym czasie pozbywają się jej w podobny sposób. Gdy barka z demonami zniknie z oczu, powracają do wsi, a wtedy jeden z mężczyzn woła: "Choroby już sobie poszły, przepadły, zostały przepędzone, odpłynęły." Wówczas wszyscy ludzie wybiegają z domów, z radością dzielą się nowiną, bijąc w gongi i inne instrumenty.

Często zwierzę lub jakiś inny kozioł ofiarny zabiera z sobą wszystkie demony i choroby nękające społeczność. Gdy w centralnych prowincjach Indii wybucha w jakiejś wiosce epidemia cholery, wszyscy zamykają się po zachodzie słońca w swoich domach. Na ulice wychodzą kapłani i z każdej strzechy zabierają po jednej słonce, następnie spalają je wraz z ofiarami ryżu, turmeryku i masła bawolego w kaplicy na wschodnim końcu wsi. W kierunku ognia pędzi się kurczaki posmarowane czerwoną farbą w przekonaniu, że unoszą z sobą chorobę. Jeśli kurczęta zawodzą, próbuje się kóz, a w ostateczności świń. Gdy epidemia cholery wybucha wśród plemion indyjskich Bharów, Mallanów i Kurmów, bierze się kozę lub bawoła - zawsze musi to być samica i możliwie jak najczarniejsza"- przywiązuje się na jej grzbiecie trochę zboża, goździków i minii w żółtej szmatce i wypędza ze wsi. Wyprowadza się zwierzę za granicę wsi i nie wolno mu do niej powrócić. Niekiedy znaczy się je czerwoną farbą i wypędza do następnej wioski, dokąd zabiera z sobą zarazę.

Niekiedy kozłem ofiarnym bywa człowiek. Bogowie ostrzegają czasami króla Ugandy, że jego wrogowie Bunjoro robią czary przeciwko niemu i jego ludowi, by rzucić na nich śmiertelną chorobę. W celu odwrócenia takiej klęski król wysyła kozła ofiarnego na granicę kraju swych wrogów Bunjoro. Kozłem ofiarnym bywa albo mężczyzna, albo kobieta, albo dziecko, których bogowie naznaczyli jakimś kalectwem pozwalającym rozpoznać w nich ofiary. Wraz z ludzkimi ofiarami wysyłano krowę, kozła, kurę i psa oraz silną straż, która odprowadzała ich aż do granicy. Tam łamano im wszystkie kości, tak że nie mogli doczołgać się z powrotem do Ugandy i umierali powolną śmiercią w kraju nieprzyjacielskim. Uważano, że w ten sposób przeniesiono chorobę na ofiary i odesłano ją z powrotem tam, skąd przybyła.

Pewne ludy chińskie wybierają na kozła ofiarnego, który ma ochronić przed zarazą, człowieka o wielkiej sile fizycznej. Z umalowaną farbami twarzą wyczynia on rozmaite dziwactwa, by ściągnąć wyłącznie na siebie wszystkie choroby i szkodliwe siły. Pomaga mu w tym kapłan. Na końcu kozła ofiarnego ściganego przez mężczyzn i kobiety wypędza się bijąc w gongi i tam-tamy ze wsi lub miasta. Lekarstwem na pomór była w Pendżabie jest wynajęcie mężczyzny z kasty Chamar, odwrócenie go plecami do wioski i napiętnowanie rozpalonym sierpem. Następnie idzie on w głąb dżungli i zabiera z sobą pomór. Nie wolno mu obejrzeć się za siebie.

Pośrednie wypędzanie złych duchów przy pomocy kozła ofiarnego czy innego materialnego pośrednika ma tendencję przekształcania się z doraźnych praktyk w zwyczaj regularnie powtarzany z przyczyn podobnych do tych, które działają w wypadku wypędzania bezpośredniego.

Co roku, na początku suchej pory, wyspiarze nikobarscy obnoszą po wioskach model statku. Wygania się diabły z chat, zapędza się je na ów mały stateczek, który następnie zostaje spuszczonej na wodę, by popłynął z wiatrem. Ceremonię tę opisał pewien katecheta, który był jej świadkiem na Kar Nikobar w lipcu 1897 r. Przez trzy dni ludzie budowali dwa ogromne pływające wozy w kształcie łodzi, zaopatrzone w żagle. Łodzie te załadowywano liśćmi, posiadającymi cenną właściwość wypędzania diabłów.

Podczas gdy młodzież była tym zajęta, egzorcyci i starszyzna siedzieli w jednym z domów śpiewając na przemian pieśni. Często jednak wychodzili na brzeg i tam, uzbrojeni w kije, wzbraniali diabłom dostępu do wsi. Czwarty dzień uroczystości nazywał się "wypędzaniem diabła za pomocą żagli". Wieczorem zbierała się cała ludność wioski, a kobiety przynosiły koszyki z popiołem i liśćmi wypędzającymi diabły. Liście te wręczało się każdemu z obecnych, młodym i starym. Po zakończeniu wszystkich przygotowań grupa silnych mężczyzn, którym towarzyszyli egzorcyci, znosiła jeden z pływających wozów do morza i spuszczała go na wodę na prawo od wiejskiego cmentarza. Natychmiast po ich powrocie druga grupa mężczyzn w podobny sposób spuszczała na wodę drugi pływający wóz po lewej stronie. Gdy już obie barki były na wodzie, kobiety sypały z brzegu popiół, a tłum krzychał: "Idź sobie, diable, precz i nigdy już nie wracaj!" Przy sprzyjającym wietrze i fali łodzie płynęły szybko, a tej nocy ludzie urządzali wspólną radosną ucztę, ponieważ diabeł udał się w kierunku Chowra. Podobne wypędzanie diabła odbywa się raz do roku w innych wioskach nikobarskich, ale w każdej miejscowości data ceremonii jest inna.

Wiele tubylczych ludów chińskich obchodzi wielkie święto w trzecim miesiącu każdego roku. Jest to radosna ceremonia z okazji całkowitego unicestwienia wszystkich nieszczęść minionego roku, odbywająca się w następujący sposób: Zakopuje się w ziemi wielki gliniany dzban napełniony prochem strzelniczym, kamieniami i kawałkami żelaza. Za pomocą lontu wywołuje się eksplozję. Kamienie i kawałki żelaza przedstawiają niepowodzenia minionego roku, a rozproszenie ich za pomocą wybuchu ma zlikwidować wszelkie nieszczęścia. Uroczystości tej towarzyszą hulanki i pijaństwo.

W starym Kalabarze na wybrzeżu Gwinei duchy wypędza się czy też dawniej wypędzano raz na dwa lata. Pośród duchów wypędzanych z ich kryjówek są również dusze osób zmarłych od ostatniej lustracji miasta. Na jakieś trzy tygodnie względnie miesiąc przed wypędzaniem duchów, które, jak wynika z jednego dokumentu, odbywa się w listopadzie, sporządza się z trzciny lub drzewa prymitywne figurki ludzi i zwierząt, na przykład krokodyli, lampartów, słoni, wołów i ptaków, po czym ozdabia się je skrawkami sukna i świecidełkami i ustawia przed drzwiami każdego domu. W dzień wyznaczony na uroczystość około trzeciej nad ranem cała ludność wychodzi na ulice i ze straszliwym hałasem w stanie najwyższego podniecenia zapędza wszystkie czające się diabły i duchy w figurki, by wygnać je raz na zawsze z mieszkań ludzkich. W tym celu grupy krążą po ulicach, walą w drzwi, strzelają z karabinów, biją w bębny, trąbiąc, tłukąc w patelnie i garnki, krzyczą i pohukują z całej siły, krótko mówiąc, robią wszelki możliwy hałas, który stopniowo cichnie i ustaje zupełnie o świcie. Domy są już wtedy zupełnie oczyszczone, a wystraszone duchy skryły się w wizerunkach lub w trzepocących na wietrze szatach. W tych splecionych z trzciny figurach umieszcza się również całe wymiecione z domu śmiecie i popiół z wczorajszego ogniska. Po czym pośpiesznie chwytą się pełne demonów figury i w hałaśliwej procesji zanoszą je na brzeg rzeki, gdzie przy łoskocie bębnów wrzuca się je do wody. Prąd unosi je do morza i w ten sposób miasto jest oczyszczone z duchów i diabłów na następne dwa lata.

Podobne doroczne wypędzanie wcielonych diabłów znane jest również w Europie. Cyganie w Południowej Europie biorą w wieczór niedzieli wielkanocnej drewniane naczynie w kształcie pudła na kapelusze, które spoczywa jak kołyska na dwóch skrzyżowanych kawałkach drzewa. Kładą tam zioła i rośliny lekarskie wraz z wysuszonym wężem lub jaszczurką, których przedtem każdy musiał dotknąć palcami. Naczynie owijają się następnie w białą i czerwoną wełnę, a najstarszy Cygan nosi je od namiotu do namiotu i w końcu wrzuca do wody bieżącej, przedtem jednak każdy członek bandy musi splunąć w naczynie, a czarownica wypowiedzieć odpowiednie zaklęcia. Cyganie wierzą, że ta ceremonia przepędza wszelkie choroby, które mogłyby ich spotkać w ciągu roku. Ten zaś, kto odnajdzie naczynie i otworzy je z ciekawości, nawiedzony zostanie wraz z rodziną wszystkimi chorobami, których oni uniknęli.

Czasami kozłem ofiarnym służącym do wypędzenia nagromadzonych w ciągu roku nieszczęść bywa zwierzę. U Garów z Assamu "poza ofiarami składanymi w poszczególnych przypadkach chorób istnieją jeszcze ceremonie urządzone raz do roku przez całą wieś czy społeczność, które mają na celu ochronić ludzi przed niebezpieczeństwami lasu, chorobami i niepowodzeniami w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy. Najważniejsza z tych ceremonii jest ku czci Asongtaty. Na skraju każdej wsi można zobaczyć zakopane w ziemię pozornie bez ładu i składu kamienie. Zwą się one *asong* i na nich to składa się ofiary wymagane przez Asongtate. Składa się w ofierze kozę, a miesiąc potem hulmana (langura) albo szczura bambusowego. Wybranemu zwierzęciu wiąże się na szyi powróż i dwóch mężczyzn idących po bokach zwierzęcia pędzi je po wsi od domu do domu. Wprowadza się je do środka każdego domu po kolei, a tymczasem zebrani mieszkańcy wsi walą w ściany z zewnątrz, wystraszają i wypędzają wszelkie

złe duchy, jakie mogły się znaleźć w środku. Po zakończeniu obchodu wsi, wyprowadza się małpę lub szczura na skraj wsi i zabija, patrosząc je jednym uderzeniem *dao*. Następnie zabite zwierzę ukrzyżowuje się na bambusowych palach wbitych w ziemię i otacza je ostrymi bambusowymi słupami, tworzącymi *chevaux de frise*⁹⁸ dla upamiętnienia czasów, gdy wszystkie wsie otoczone były takimi palisadami broniącymi przed wrogami, obecnie zaś będącymi symbolem chroniącym przed chorobami i zagrożeniem życia przez dzikie zwierzęta leśne. Na langura potrzebnego do obrządku poluje się już od kilku dni, gdyby jednak nie udało się go złapać, może zastąpić go makak. Natomiast nie wolno zastępować go hulokiem." W Sądny Dzień, to jest dziesiąty dzień siódmego miesiąca, żydowski arcykapłan kładł obie dłonie na łeb żywej kozy, spowiadał się z wszystkich nieprawości, jakich dopuścili się dzieci Izraela, i przeniówszy w ten sposób grzechy ludzi na zwierzę wypędzał je na puszcę.

Kozłem ofiarnym, na którego składa się wszystkie grzechy, może być również człowiek. W Onitsza nad rzeką Niger w celu zmycia grzechów całego kraju składano co roku w ofierze dwie istoty ludzkie. Ofiary kupowano za pieniądze subskrybowane publicznie. Wszystkie osoby, które w ciągu minionego roku popełniły jakiś wielki grzech, jak na przykład podpalenie, kradzież, cudzołóstwo, czary itd., powinny były wpłacić 28 ngug, czyli nieco więcej aniżeli 2 funty. Za pieniądze zebrane w ten sposób kupowano w głębi kraju dwie chorowite osoby, "by złożyć je w ofierze za wszystkie te wstrętne zbrodnie - jedną ziemi, drugą - rzece", z sąsiedniego miasta najmowano człowieka, który je uśmiercał. Dwudziestego siódmego lutego 1858 r. pastor J. C. Taylor był świadkiem złożenia jednej z takich osób w ofierze. Była to kobieta dziewiętnasto- lub dwudziestoletnia. Żywą jeszcze wleczono po ziemi twarzą w dół od domu królewskiego do rzeki, przez dwie mile, a towarzyszące tłumy krzyczały: "Niegodziwość, niegodziwość!" Celem tego było "usunięcie niegodziwości popełnionych w kraju. Ciało wleczono tak okrutnie, jak gdyby w ten sposób można było wywlec cały ciężar ich niegodziwości. Podobne obyczaje są rzekomo nadal praktykowane przez wiele plemion zamieszkujących deltę Nigru mimo czujności rządu brytyjskiego. Murzyni Joruba z Afryki Zachodniej nazywają *oluwo* istotę ludzką przeznaczoną do złożenia w ofierze. Może to być człowiek wolny lub niewolnik, z rodziny zamożnej i szlacheckiej lub też bardzo skromnej, nazwę zaś *oluwo* otrzymuje po wybraniu go i przeznaczeniu na ofiarę. Człowieka takiego zawsze się dobrze odżywia, a w okresie przebywania w zamknięciu otrzymuje wszystko, czego zażąda. Gdy nadchodzi moment, w którym trzeba go złożyć w ofierze, prowadzi się go uroczyście przez ulice miasta należącego do władcy, który złoży go w ofierze dla dobra swego rządu i każdej rodziny oraz jednostki mu podległej, ofiara zaś zabiera ze sobą grzechy, przewinienia, niepowodzenia i śmierć wszystkich bez wyjątku. Posypuje się go obficie popiołem i twarz bieli kredą, że trudno go rozpoznać, a ludzie wybiegają z domów, by złożyć na nim dłonie i w ten sposób przerzucić na niego swoje grzechy, kłopoty, przewinienia i śmierć." Po zakończeniu parady wprowadza się ofiarę do wewnętrznego przybytku świątyni i

⁹⁸ ostrokół (fr.)

ucina jej głowę. Ostatnie jej słowa lub jęki są sygnałem do wybuchu radości wśród czekających na zewnątrz tłumów, które wierzą, że ofiara została przyjęta i gniew boski prześlagnany.

W Syjamie istniał zwyczaj nakazujący co roku wybierać jedną kobietę zniszczoną rozpustą i nieść ją na noszach przez ulice waląc przy tym w bębny i dmąc w oboje. Gawiedź obrzucała ją przezwiskami i błotem; gdy już obeszli całe miasto, rzucali ją na kupę gnoju lub na żywopłot z cierni za wałami i zabraniali powracać w mury miasta. Uważali, że niewiasta ściągnęła na siebie wszystkie złe siły i złe duchy przebywające w powietrzu.

Niekiedy kozłem ofiarnym jest boskie zwierzę. Mieszkańcy Malabaru czczą, podobnie jak Hindusi, krowę, zaś zabijanie jej i spożywanie "uważają za zbrodnię równie ohydną jak zabójstwo człowieka czy umyślne morderstwo". Jednakże "bramini przenoszą grzechy ludzi na jedną lub kilka krów, a zarówno krowy, jak i grzechy, którymi zostały obciążone, są następnie wypędzane do miejsca wskazanego przez bramina".

Wreszcie kozłem ofiarnym może być święty człowiek. Gondowie w Indiach czczą Ghansyama Deo, opiekuna plonów, a podczas swego święta sam bóg rzekomo zstępuje na głowę jednego z swoich wiernych, który nagle wpada w jakiś szal, chwieje się na nogach i pędzi do dżungli. Gondowie wierzą, że człowiek ten, pozostawiony swojemu losowi, zmarłby w obłądnie. Sprowadzają go jednak z powrotem, ale zmysły odzyskuje dopiero po jednym lub po dwóch dniach. Ludzie uważają, że ten właśnie człowiek został wybrany jako kozioł ofiarny za grzechy całej wioski. Albanowie z Kaukazu wschodniego trzymali w świątyni księżycy świętych niewolników, wśród których wielu opętanych przepowiadało przyszłość. Gdy jeden z tych ludzi zdradzał poważniejsze niż zazwyczaj oznaki natchnienia i samotnie wędrował po lasach, jak ów Gond w dżungli, arcykapłan kazał zakuwać go w święty łańcuch i przez rok utrzymywał w zbytku. Pod koniec roku namaszczano go wonnymi olejkami i składano w ofierze. Człowiek, którego zadaniem było zgładzać te ofiary ludzkie, posiadający już dużą zręczność dzięki częstej praktyce, wychodził z tłumy i wbijał w bok ofiary poświęconą włócznią przebijając jej serce. Ze sposobu, w jaki ofiara padała na ziemię, wróźono o pomyślności rzeczypospolitej. Następnie odnoszono ciało na wyznaczone miejsce, ludzie zaś stawali na nim oczyszczając się w ten sposób.

W Tybecie ceremonia kozła ofiarnego miała kilka ciekawych aspektów. Nowy rok tybetański rozpoczyna się wraz z pojawieniem się nowego księżycy około 15 lutego. Przez następne dwadzieścia trzy dni Lhasą nie rządzą właściwi władcy, lecz ten spośród mnichów klasztoru Debang, który zapłaci najwyższą sumę za przywilej. Zwycięzca przetargu zwany jest Jalno i o objęciu władzy oznajmia chodząc po ulicach Lhasy ze srebrną laską. Ze wszystkich okolicznych klasztorów i świątyń przybywają mnisi, by złożyć mu hołd. Jalno sprawuje władzę w sposób jak najbardziej samowolny dbając wyłącznie o własne korzyści i wszystkie kary, które ściąga, należą do niego mocą zakupu. Zyski, jakie osiąga, przekraczają dziesięciokrotnie cenę, którą zapłacił. Jego ludzie krążą po ulicach, by podpatrzeć mieszkańców i znaleźć takich, których można by oskarżyć o jakieś wykroczenie. Na każdy dom nakłada się w tym czasie podatek, a za najmniejsze wykroczenie wymierza się surowe kary pieniężne. Wszyscy

ludzie pracy uciekają na te dwadzieścia trzy dni z miasta przed surowością Jamy. Na miejsce osób świeckich przybywa kler. Otwierają się bramy wszystkich buddyjskich klasztorów w promieniu wielu mil. Wyłaniają się ich mieszkańcy. Wszystkie drogi prowadzące z okolicznych gór do Lhasy zatłoczone są mnichami spieszącymi do stolicy. Niektórzy idą piechotą, inni jadą na koniach, osłach, ryczących wołach, a wszyscy mają swe modlitewniki i utensyia kuchenne. Napływają w takich ilościach, że trudno się poruszać po ulicach, karmazynowych od ich czerwonych płaszczów. Nieopisany bałagan i zamieszanie panują w stolicy. Bandy świętych mężów kręcą się po ulicach recytując modlitwy i wznosząc dzikie okrzyki. Rozpychają się, kłóćą, biją. Łatwo o rozkwaszony nos, siniak pod okiem lub rozbitą głowę. Przez cały dzień, od wczesnych godzin przed świtem po zmrok, mnisi w czerwonych płaszczach odprawiają nabożeństwa w ciemnej od dymów kadzidła wielkiej świątyni Machindranath, katedrze Lhasy, i tu tłoczą się trzy razy dziennie po swoje przydziały herbaty, zupy i pieniędzy. Katedra jest olbrzymim gmachem w środku miasta, otoczonym bazarami i sklepami. Bożki są tam bogato inkrustowane złotem i drogimi kamieniami.

W dwadzieścia cztery dni po złożeniu władzy Jalno obejmuje ją z powrotem na dziesięć dni rządząc w ten sam samowolny sposób co dawniej. Pierwszego dnia kapłani znowu zbierają się w świątyni i modlą się do bogów, by zapobiegli chorobom i innym nieszczęściom grożącym ludowi, zaś "jako ofiarę pokoju składają jednego człowieka. Ofiara nie ma na celu pozbawienia go życia, często jednak kończy się tragicznie. Wybranemu na ofiarę rzucają na głowę zboże i twarz malują na czarno i biało, po połowie." W groteskowym przebraniu, z narzuconym na ramiona płaszczem ze skór zwierzęcych, człowiek ten, tytułowany Królem Lat, zasiada codziennie na rynku, swobodnie wybierając sobie wszystko, co mu się podoba, i krąży po ulicach potrząsając czarnym ogonem jaka nad ludźmi, którzy w ten sposób przelewają na niego swoje niepowodzenia. Dziesiątego dnia wszystkie wojska Lhasy wkraczają na teren wielkiej świątyni i ustawiają się przed nią w szeregu. Sprowadza się wówczas z świątyni Króla Lat, który od zebranych rzesz otrzymuje małe upominki. Król Lat drwi z Jalna i mówi: "To, co poznajemy za pomocą naszych pięciu zmysłów, jest prawdziwe. Wszystko, czego ty uczysz, jest kłamstwem." Jalno, reprezentujący chwilowo wielkiego lamę, odpowiada na te heretyckie poglądy. Dyskusja staje się coraz gorętsza, aż w końcu obaj zgadzają się rozstrzygnąć sprawę rzucaniem kości. Jalno ofiarowuje się w razie przegranej zamienić rolę z kozłem ofiarnym. Wygrana Króla Lat jest zapowiedzią wielkich nieszczęść, jeśli jednak wygrywa Jalno, wybucha powszechna radość, oznacza to bowiem, że bogowie przyjęli jego przeciwnika jako ofiarę za wszystkie grzechy ludu Lhasy. Szczęście jednak zawsze sprzyja Jalnie, który stale ma szóstki, podczas gdy jego przeciwnik ma tylko jedyńki. Nie ma w tym nic niezwykłego, jakby się mogło zdawać na pierwszy rzut oka, bowiem na kostkach Jalny są tylko szóstki, natomiast na kościach Króla Lat tylko jedyńki. Gdy Król Lat widzi, że palec Opatrzności tak wyraźnie na niego wskazuje, przestraszony wskakuje na białego konia i zabierając z sobą białego psa, białego ptaka, sól itp., które dostarczył mu rząd, ucieka z Lhasy. Nadal jeszcze pomalowany na czarno i biało, wciąż jeszcze w swym skórzanym płaszczu, ścigany jest przez motłoch wyjący, krzyczący i

strzelający salwami ślepych nabojów. Wypędzony z miasta, przebywa przez siedem dni w klasztorze Samyas zamknięty w wielkiej sali strachów, otoczony straszliwymi i przerażającymi wizerunkami diabłów i skórami wielkich wężów i drapieżników. Stamtąd udaje się w góry Chetang, gdzie ma pozostać jako wyrzutek przez kilka miesięcy lub nawet cały rok w małej jaskini. Jeśli umiera przed końcem terminu, ludzie uważają to za pomyślną wróżbę, jeśli jednak przetrzyma, może powrócić do miasta i ponownie odegrać rolę kozła ofiarnego.

Ta dziwna ceremonia wciąż jeszcze urządzana dorocznie w ustronnej stolicy buddyzmu - Rzymie Azji - jest szczególnie ciekawa, ponieważ dowodzi istnienia ścisłego uwarstwienia religijnego. Widzimy tu serię zbawianych boskich zbawicieli, zastępcze ofiary odkupione zastępczo, bogów przechodzących proces zeskorupienia, którzy, zachowując przywileje, pozbyli się ciężarów i brzemion boskości. W postaci Jalna możemy bez naciągania sprawy dopatrzeć się następcy owych tymczasowych królów, owych śmiertelnych bogów, którzy życiem przyplacają krótkoterminową władzę i chwałę. Nie ulega wątpliwości, że Jalno jest chwilowym substytutem wielkiego lamy, a to, że jest czy też niegdyś był kozłem ofiarnym składanym przez lud, wynika niemal z pewnością z propozycji zamienienia się z rzeczywistym kozłem ofiarnym, Królem Lat, jeśliby kości okazały się mu niełaskawe. To prawda, że w obecnej postaci z ofertą tą nie wiąże się żadne ryzyko i jest ona jedynie czczą formalnością, ale tego rodzaju formy nie wyrastają jak grzyby po deszczu w ciągu jednej nocy. Jeśli nawet są obecnie martwymi formalnościami, zewnętrznymi powłokami, pozbawionymi wszelkiego znaczenia, to jednak możemy być pewni, że niegdyś były zjawiskami pełnymi życia i treści. Jeśli dziś są ślepyimi zaułkami, nie prowadzącymi nigdzie, to przecież możemy być przekonani, że w dawnych czasach dokądś prowadziły, choćby nawet tylko do śmierci. Bardzo przekonująca jest hipoteza utrzymująca, że ostatecznym celem, ku któremu po kilku dniach swobody na rynku zmierzał w dawnych czasach tybetański kozioł ofiarny, była śmierć. Podsuwa ją analogia, potwierdzają salwy ślepych nabojów, częste wypadki śmiertelnego zakończenia tych ceremonii i wreszcie przekonanie, że śmierć kozła ofiarnego jest szczęśliwym znakiem. Wątek ten jednak, jeśli zrekonstruowaliśmy go właściwie, nie kończy się na Jalnie; prowadzi nas prosto ku samemu papieżowi z Lha-sy, ku dalajlamie. Jalno jest bowiem tylko jego chwilowym zastępcą. Analogia z wieloma zwyczajami w różnych krajach prowadzi nas do wniosku, że jeśli to ludzkie bóstwo zniża się do tego, by na pewien czas przekazać swą władzę duchową zastępcy, dzieje się tak, a raczej działa, tylko po to, by zastępca mógł za niego zginąć. Tak więc w mrokach dziejów nie rozjaśnionych światłem historii rysuje się mglista i smutna postać papieża buddyzmu, azjatyckiego namiestnika Boga na ziemi, który jako bóg-człowiek dźwigał troski swego ludu, jako dobry pasterz składał swe życie w ofierze za swe owieczki.

Dokonany przez nas przegląd zwyczajów publicznego wypędzania nagromadzonych złych duchów wsi, miasta czy kraju pozwala na poczynienie kilku ogólnych spostrzeżeń.

Po pierwsze, nie da się zaprzeczyć, że to, co określiłem jako bezpośrednie i pośrednie wypędzanie złych duchów, ma jeden wspólny cel. Innymi słowy, bez względu na to, czy złe duchy są niewidzialne

czy też wcielone w kształt materialny, okoliczność ta jest w pełni podporządkowana głównemu celowi ceremonii, a mianowicie, zupełnemu wypędzeniu wszelkich dolegliwości trapiących ludzi. Ogniwem wiążącym oba te rodzaje wypędzania jest na przykład praktyka odprawiania złych duchów na noszach lub w łodzi. Tu bowiem z jednej strony złe duchy są niewidzialne i bezcielesne, a równocześnie istnieje widzialny i materialny przedmiot, za pomocą którego wyprawia się je w drogę. A kozioł ofiarny nie jest przecież niczym innym jak tego rodzaju pośrednikiem.

Po drugie, w tych wypadkach, gdy powszechne wypędzanie duchów odbywa się w regularnych odstępach czasu, okres dzielący ceremonie trwa najczęściej jeden rok, a data ceremonii zbiega się zazwyczaj z jakąś wyraźną zmianą pór roku, jak na przykład z początkiem lub końcem zimy w strefach polarnych i umiarkowanych względnie początkiem lub końcem pory deszczowej w tropikach. Człowiek pierwotny przypisuje zwiększoną śmiertelność, którą tego rodzaju zmiany klimatyczne wywołują szczególnie wśród źle się odżywiających, źle ubranych i prymitywnie mieszkających ludzi dzikich, działaniu demonów, a wobec tego należy je wypędzić.

Bez względu jednak na to, w jakiej porze roku powszechne wypędzanie diabłów się odbywa, oznacza ono zazwyczaj początek nowego roku. Ludzie bowiem przed rozpoczęciem nowego roku pragną pozbyć się kłopotów, które ich dotąd trapiły; oto dlaczego w tylu społeczeństwach nowy rok rozpoczyna się od publicznego wypędzania sił nieczystych.

Po trzecie, należy zwrócić uwagę na to, że publiczne i okresowe wypędzanie diabłów poprzedza zazwyczaj okres powszechnej swobody, kiedy to przestają obowiązywać normalne ograniczenia społeczne i wszystkie przewinienia, z wyjątkiem najcięższych, uchodzą bezkarnie.

Niezwykłe rozluźnienie wszelkich obowiązujących przepisów zachowania da się niewątpliwie wytłumaczyć generalnym pozbyciem się złych duchów poprzedzającym okres lub następującym tuż po nim. Z jednej strony, jeśli to generalne pozbycie się złych duchów i rozgrzeszenie zupełne ma nastąpić w najbliższej przyszłości, ludzie skłonni są popuścić wodze swoim namiętnościom w przekonaniu, że zbliżająca się ceremonia przekreśli tak gwałtownie rosnący rachunek. Z drugiej strony, gdy ludziom przestaje ciążyć przekonanie, że powietrze roi się od diabłów, w pierwszym przyływie radości przekraczają granice wytyczone przez zwyczaj i moralność. Gdy ceremonia odbywa się w porze żniw, stan dobrego fizycznego samopoczucia, wywołany obfitością jedzenia, wzmaga jeszcze to radosne uczucie.

Po czwarte, należy zwrócić szczególną uwagę na posługiwanie się świętym człowiekiem względnie zwierzęciem jako kozłem ofiarnym. Mamy tu bowiem bezpośrednio do czynienia ze zwyczajem wypędzania złych duchów, ale tylko wtedy, kiedy zostają one zgodnie z panującym przekonaniem przeniesione na boga, którego się następnie zabija. Mamy podstawy przypuszczać, że zwyczaj posługiwanie się świętym człowiekiem lub zwierzęciem w roli ofiarnego kozła jest znacznie bardziej rozpowszechniony, aniżeli by to wynikało z przytoczonych przykładów. Jak już bowiem wskazaliśmy, zwyczaj zabijania boga pochodzi z tak wczesnego okresu historii ludzkości, że nawet w tych

wypadkach, gdy jest nadal praktykowany, znaczenie jego często jest fałszywie interpretowane. Zapomniany został boski charakter zwierzęcia lub człowieka i uchodzi on już za zwyczajną ofiarę. Dzieje się tak najczęściej w wypadku, gdy zabijaną ofiarą jest święty człowiek. Cywilizujący się bowiem naród bynajmniej nie rezygnuje całkowicie z ludzkich ofiar, wybiera jedynie takich nieszczęśników, których w każdym wypadku czeka śmierć. Tak więc niekiedy zabijanie boga może przybierać opaczną formę egzekucji przestępcy.

Na pytanie, dlaczego właśnie umierający bóg miał być wybrany jako ten, który by wziął na siebie i zabrał z sobą grzechy i troski ludu, można by odpowiedzieć, że w praktyce posługiwania się bóstwem jako kozłem ofiarnym mamy do czynienia z połączonymi dwoma zwyczajami, niegdyś różnymi i niezależnymi od siebie. Pamiętamy, że istniał zwyczaj zabijania ludzkiego lub zwierzęcego boga w celu zachowania jego boskich sił życiowych i niedopuszczenia do ich upadku, wynikającego z działania czasu. Równocześnie pamiętamy o dorocznym zwyczaju powszechnego wypędzania złych duchów. Otóż gdyby przyszło ludziom na myśl połączyć oba te zwyczaje, wynikiem tego byłoby posługiwanie się umierającym królem jako kozłem ofiarnym. Pierwotnie zabijano go nie po to, by unosił z sobą złe duchy, ale by uchronić jego boską siłę żywotną od uwiędnięcia starczego, skoro jednak i tak trzeba go było zabijać, ludzie, być może, doszli do wniosku, że warto skorzystać z okazji i obciążyć go brzemieniem cierpień i grzechów, by zabrał je z sobą do nieznanego świata pozagrobowego.

Posługiwanie się boską istotą jako kozłem ofiarnym wyjaśnia dwuznaczny charakter europejskiego zwyczaju ludowego "wynoszenia Śmierci". Wykazaliśmy, że istnieją podstawy, by uważać, iż w ceremonii tej tzw. Śmierć była pierwotnie duchem roślinności, zabijanym dorocznie na wiosnę po to, by mógł powrócić do życia w pełni sił młodzieńczych. Ale jak już podkreśliłem, są pewne aspekty ceremonii, których ta hipoteza sama nie wytłumaczy. Należą do nich oznaki radości towarzyszące grzebaniu lub paleniu wizerunku Śmierci oraz strach i wstręt okazywane przez tych, którzy ten wizerunek wnoszą. Aspekty te staną się natychmiast zrozumiałe, jeśli założymy, że Śmierć była nie tylko umierającym bogiem roślinności, lecz również publicznym kozłem ofiarnym, na którego zrzucano wszystkie grzechy i nieszczęścia trapiące ludzi w roku minionym. Radość w takim wypadku jest właściwa i na miejscu, a jeśli umierający bóg wydaje się być przedmiotem strachu i wstrętu, uczuć nie odnoszących się właściwie do niego, lecz jedynie do grzechów i nieszczęść, którymi jest obciążony, wynika to z trudności rozróżnienia lub przynajmniej zaznaczenia różnicy, istniejącej między brzemieniem a tym, który je nosi.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

LUdzie JAKO KOZŁY OFIARNE W STAROŻYTNOŚCI KLASYCZNEJ

Możemy z kolei zająć się praktyką składania ludzkich kozłów ofiarnych w starożytności klasycznej. Co roku czternastego marca prowadzono w procesji po ulicach Rzymu człowieka przybranego w skóry, bijąc go długimi białymi prętami i wypędzając z miasta. Zwano go Mamurius Veturius, czyli "starym Marsem", a ponieważ obrządek odbywał się w przeddzień pierwszej pełni księżyca w starym rzymskim nowym roku wypadającym 1 marca, człowiek w skórach widocznie przedstawiał zeszłorocznego Marsa wypędzanego z nadejściem nowego roku. Otóż Mars był pierwotnie bogiem roślinności, a nie wojny. Do Marsa bowiem modlił się rolnik rzymski o pomyślne plony na polach i w winnicach, w sadach i lasach. Niemal wyłącznie do Marsa zwracali się kapłani kolegium Bractwa Arwalskiego, na których spoczywał obowiązek składania ofiar za pomyślny rozwój zbóż, i jak wiemy, Marsowi składano w październiku konia w ofierze, by zapewnić bogate plony. Co więcej, to właśnie Marsowi zwanemu "Marsem lasów" (Mars Silvanus) składali chłopcy ofiary, by zapewnić swym trzodom dobry rok. Wiemy już, że trzody były zazwyczaj pod szczególną opieką bogów drzew. Ponadto poświęcenie wiosennego miesiąca marca Marsowi zdaje się wskazywać na to, że był on bogiem pojawiającej się roślinności. Tak więc rzymski zwyczaj wypędzania na wiosnę, z początkiem nowego roku, starego Marsa jest identyczny ze słowiańskim "wynoszeniem Śmierci", jeżeli właściwie zinterpretowaliśmy ten ostatni zwyczaj. Wielu uczonych zwróciło już uwagę na podobieństwo zachodzące między rzymskim a słowiańskim zwyczajem, są oni jednak skłonni uważać Mamuriosa Veturiusa i odpowiadające mu postacie w obrządkach słowiańskich za przedstawicieli starego roku, a nie za dawnego boga roślinności. Jest rzeczą możliwą, że tak interpretowali owe ceremonie nawet ludzie, którzy je w późniejszych czasach stosowali. W rzymskim jednak i słowiańskim obyczaju przedstawiciel boga występował przypuszczalnie nie tylko w postaci bóstwa roślinności, lecz również w postaci kozła ofiarnego. Wskazuje na to jego wygnanie, nie ma bowiem żadnego powodu, by boga roślinności jako takiego wypędzać z miasta. Inaczej jednak przedstawia się sprawa, gdy jest on również kozłem ofiarnym; wówczas należy go wypędzić, by smutne swe brzemię zabrał do innych krajów. I rzeczywiście, wydaje się, że Mamuriosa Veturiusa wypędzano do kraju Osków, wrogów Rzymu.

Również i starożytna Grecja знаła kozły ofiarne w ludzkiej postaci. W Cheronei, rodzinnym mieście Plutarcha, tego rodzaju ceremonii dokonywał na ratuszu główny urzędnik miasta, w każdym zaś domu poszczególni gospodarze, obrządek nazywano "wypędzeniem Głodu". Niewolnika bito prętami z *agnus castus*⁹⁹ i wyrzucano z domu ze słowami: "Uciekaj, głodzie, wchodźcie, zdrowie i bogactwo." Gdy Plutarch był najwyższym urzędnikiem w swym mieście rodzinnym, dokonał tej ceremonii na ratuszu i później zapisał dyskusję, jaką ona wywołała.

⁹⁹ *Agnus castus* - Baranek niewinny, nazwa krzewu o mocnym, aromatycznym zapachu, należącego do rodzaju *Vitex* z rodziny *Verbenaceae*, starożytni przypisywali mu własności antyafrodyzyczne, choć pobudza on raczej, niż hamuje popędy płciowe.

Ale w cywilizowanej Grecji zwyczaj poświęcania kozła ofiarnego przybrał bardziej ponure formy aniżeli niewinny obrządek, któremu przewodniczył dobroduszny i nabożny Plutarch. Gdy w Marsylii (Massa-lia), jednej z najludniejszych i najświetniejszych kolonii greckich, wybuchała epidemia dżumy, człowiek z pospólstwa zgłaszał się na kozła ofiarnego. Przez cały rok utrzymywany był na koszt społeczeństwa otrzymując najlepsze i najbardziej wyszukane jedzenie. Po upływie tego czasu ubierano go w uroczyste szaty, przybierano w święte gałęzie i prowadzono przez miasto modląc się, by wszystkie niedole, jakie spotkały ludzi, spadły na jego głowę. Następnie wydalano go z miasta lub kamienowano za murami. Ateńczycy stale utrzymywali z pieniędzy publicznych wiele zwyrodniałych istot, niezdatnych do żadnej pracy. Dwoje takich wyrzutków składano w ofierze, gdy na miasto spadała jakaś klęska w postaci epidemii, posuchy czy głodu. Jedną ofiarę składano za mężczyznę, drugą za kobietę. Pierwsza ofiara miała na sobie sznur czarnych fig, druga - białych. Przypuszczalnie ofiara składana za kobietę była niekiedy kobietą. Prowadzono je przez miasto i następnie poświęcano prawdopodobnie kamienując za murami. Ofiary tego rodzaju nie ograniczały się jedynie do wymienionych wyżej niezwykle okazji. Co roku podczas majowego święta Targelii wyprowadzano z Aten dwie ofiary, mężczyznę i kobietę, i kamienowano je za miastem na śmierć. Trackie miasto Abdera podlegało obrządkowi publicznego oczyszczenia raz do roku, kiedy to jeden z mieszkańców miasta, specjalnie wybrany, był kamienowany jako kozioł ofiarny czy też jako zastępcza ofiara za innych. Na sześć dni przed egzekucją był ekskomunikowany "po to, by on jeden dźwigał grzechy wszystkich ludzi".

Leukadianie co roku wybierali jednego przestępcę, którego jako kozła ofiarnego zrzucali do morza ze "Skoku Kochanka", białej skały znajdującej się na południowym krańcu wyspy. Po to jednak, by ulżyć jego losowi, przyczepiano do niego żywe ptaki i pióra, a na morzu czekała flotylla małych łodzi, która go wylądowała i odpływała z nim za granice kraju. Tego rodzaju humanitarne środki ostrożności były prawdopodobnie modyfikacją dawnego zwyczaju topienia ofiary. Obrządek leukadyjski spełniano w czasie składania ofiary Apollinowi, który miał w tym miejscu świątynię czy też sanktuarium. W innych okolicach istniał doroczny zwyczaj wrzucania młodzieńca do morza z modlitwą: "bądź naszym wyrzutkiem"; uwalniało to ludzi od niedoli, jakie ich nawiedziły, lub też według innego tłumaczenia wybawiało spłacając dług przez nich zaciągnięty u boga morza. U Greków zamieszkujących w szóstym wieku przed naszą erą Azję Mniejszą zwyczaj poświęcania kozła ofiarnego miał następujące formy: Gdy na miasto spadała epidemia, głód czy inne nieszczęście, wybierano brzydkiego lub kalekiego człowieka, który brał na siebie wszystkie niedole społeczności. Po zaprowadzeniu go na wyznaczone miejsce dostawał suszone figi, bochenek jęczmiennego chleba i ser. Zjadał to wszystko, po czym uderzano go siedmiokrotnie po genitaliach cebulami morskimi i gałęziami dzikiej figi i innych dziko rosnących drzew, a flety przez cały czas grały pewną tradycyjną melodię. Następnie palono go na stosie zbudowanym z leśnych drzew, a popioły wrzucano do morza. Podobny obyczaj był, prawdopodobnie, przestrzegany przez azjatyckich Greków podczas żniwnych uroczystości Targelii.

W opisanym wyżej rytuale bicia ofiary cebulą morską i gałęziami dzikiej figi nie mogło mieć na celu zwiększenia jej cierpień, gdyż w takim wypadku wystarczyłby zwykły kij. Prawdziwy sens tej części ceremonii wyjaśnił W. Mannhardt. Zwraca on uwagę na to, że starożytni przypisywali cebuli morskiej magiczne właściwości odwracania złych uroków i wobec tego zawieszali ją na drzwiach domów i używali jej przy obrzędach puryfikacyjnych. Stąd pochodzi arkadyjski zwyczaj bicia cebulą morską wizerunku Pana podczas jego święta, a także za każdym razem, gdy myśliwi wracali z pustymi rękami. Nie była to zapewne kara wymierzana bogu, lecz pragnienie uwolnienia go od złych duchów, przeszkadzających mu w wypełnianiu jego boskich funkcji, a mianowicie zaopatrywaniu myśliwych w zwierzynę. Podobnie też bicie ludzkiej ofiary cebulami morskimi po genitaliach miało na celu wyzwolenie jej sił płodnych od wszelkich hamulców czy uroków, które rzucić mogły jakieś demony czy inne złośliwe duchy. A ponieważ Targelia, podczas których składano w ofierze człowieka, były wczesnym świętem żniwnym obchodzonym w maju, rozpoznajemy w nim wcielenie twórczego i płodnego boga roślinności.

Jeśli nasze rozważania są słuszne, wówczas nasuwa się wniosek, że ludzkie ofiary, składane podczas Targelii w późniejszych klasycznych czasach, były niewątpliwie przede wszystkim kozłami ofiarnymi, które zabierały z sobą grzechy, niepowodzenia i troski wszystkich ludzi, wcześniej jednak mogły one uchodzić za wcielenia roślinności, być może zboża, ale przede wszystkim figowca. Bicie zaś i uśmiercanie ich miało głównie na celu wzmocnienie i odnowienie sił wegetacyjnych, które w tym czasie zaczynają słabnąć i zamierać pod wpływem suchych upałów greckiego lata.

Jeśli przedstawiony w tym miejscu pogląd na greckie kozły ofiarne jest właściwy, wówczas przestaje mieć rację bytu pewien zarzut, który w innym wypadku można by wysunąć przeciw głównemu tokowi rozumowania w tej książce. Teorii głoszącej, że kapłan w Arycji był zabijany jako wcielenie ducha gaju, można by mianowicie postawić zarzut, że w klasycznej starożytności nie znajdujemy analogicznego obyczaju. Teraz jednak mamy podstawy przypuszczać, że istoty ludzkie zabijane okresowo czy też sporadycznie przez azjatyckich Greków traktowane były stale jako wcielenia bóstwa roślinności. Prawdopodobnie osoby, które Ateńczycy trzymali, aby złożyć je w ofierze, były również traktowane jako święte. To, że były one równocześnie wyrzutkami społeczeństwa, nie miało żadnego znaczenia. Z prymitywnego punktu widzenia człowiek nie jest wybierany na rzecznika czy wcielenie bóstwa ze względu na swe wysokie walory moralne czy stanowisko społeczne. Duch boży zstępuje zarówno na dobrych, jak i złych, wielkich i małych. Skoro więc cywilizowani Grecy Azji i Aten składali regularnie w ofierze ludzi, których uważali za wcielonych bogów, wówczas przypuszczenie, że w zaraniu historii podobny obyczaj był przestrzegany przez półbarbarzyńskich Latynów w gaju arycyjskim, nie jest bynajmniej nieprawdopodobne.

By jednak przesądzić sprawę, należałoby udowodnić, że obyczaj uśmiercania ludzkiego wcielenia boga znany był i praktykowany w starożytnej Italii również i poza gajem arycyjskim. Takie dowody mam obecnie zamiar przytoczyć.

Wiemy już, że wiele ludów obchodziło doroczny okres rozwiążności, kiedy to obowiązujące normalnie zasady i obyczaje są lekceważone, cała zaś ludność oddaje się nieposkromionej wesołości, a mroczne namiętności znajdują upust, na który nie ma miejsca w bardziej statecznej i spokojnej atmosferze dnia powszedniego. Tego rodzaju wybuchy spętanych sił natury ludzkiej, zbyt często wyradzającej się w dzikie orgie żądzy i zbrodni, przypadają najczęściej na koniec roku i wiążą się zazwyczaj, jak już na to przy okazji wskazałem, z którąś z rolniczych pór roku, szczególnie z okresem siewu i żniw. Najlepiej z tych wszystkich okresów rozwiążności znane są nam Saturnalia i tą nazwą określamy w językach współczesnych wszystkie inne tego rodzaju obchody. Słynne święto Saturnaliów wypadło w grudniu, ostatnim miesiącu roku rzymskiego, i powszechnie uważano, że zostało ono ustanowione dla upamiętnienia wesołego panowania Saturna, boga siewów i rolnictwa, który w bardzo dawnych czasach zamieszkiwał ziemię jako sprawiedliwy i dobry król Italii. Zebrał on razem rozproszonych i dzikich mieszkańców gór, nauczył ich uprawiać rolę, nadał im prawa i rządził w pokoju. Jego panowanie było bajecznym złotym wiekiem. Ziemia przynosiła obfite plody, spokoju szczęśliwego świata nie zakłócały żadne odgłosy niezgody czy wojny. Zgubna żądza zysku nie zatrzuwała krwi pracowitych i zadowolonych wieśniaków. Nie znano niewolnictwa i własności prywatnej, wszyscy posiadali wszystko wspólnie. Aż wreszcie dobry bóg i dobrotliwy król znikł nagle, ale pamięć jego przetrwała przez wiele stuleci, ku jego czci wznoszono świątynie - a wiele gór i wzniesień italskich nazwano jego imieniem. Jedna tylko smuga cienia kładła się na jasne legendy o jego panowaniu: ołtarze jego były podobno splamione krwią ludzkich ofiar, które następnie bardziej litościwe czasy zastąpiły wizerunkami. W opisach Saturnaliów pozostawionych nam przez pisarzy starożytnych nie ma prawie żadnej wzmianki o bardziej mrocznej stronie religii tego boga. Siedmiodniowe zabawy i ucztowanie, obłudne uganianie się za przyjemnościami po ulicach, placach i w domach starożytnego Rzymu - oto charakterystyczne cechy tego rzymskiego karnawału odbywającego się w dniach od siedemnastego do dwudziestego trzeciego grudnia.

Najbardziej jednak uderzającą cechą tego święta, która zaskakiwała samych starożytnych, była swoboda, jaką w tym czasie otrzymywali niewolnicy. Chwilowo przestawały istnieć różnice między wolnymi i niewolnikami. Niewolnik mógł narzekać na swego pana, upijać się tak samo jak jego uprzywilejowani bliźni, zasiadać z nim do stołu i nawet słowo wyrzutu nie mogło paść za zachowanie, za które w każdym innym czasie czekała kara chłosty, więzienia, a nawet śmierci. Co więcej, panowie zamieniali się rolami ze swymi niewolnikami, usługiwali im przy stole i dopiero wtedy, gdy sługa popił sobie i podjadł, można było sprzątnąć ze stołu i nakryć dla pana. Rolami zamieniano się tak gruntownie, że na czas trwania święta każdy dom był naśladowaniem republiki, w której niewolnicy przejmowali wysokie stanowiska państwowe i ustanawiali prawa, jak gdyby w istocie byli obleczeni w godności konsulskie, pretoriańskie i senatorskie. Błędym odzwierciedleniem władzy przyznanej niewolnikom było urządzane o tej samej porze roku losowanie udawanej władzy królewskiej między wolnymi. Osoba, której los ten przypadł, otrzymywała tytuł króla i wydawała śmieszne i żartobliwe rozkazy swoim

chwilowym poddanym. Król taki mógł jednemu rozkazać mieszać wino, drugiemu pić, trzeciemu śpiewać, czwartemu tańczyć, piątemu wygłosić przemówienie, w którym samego siebie wydrwi, a jeszcze innemu nosić po całym domu na plecach flecistkę.

Jeśli przypomnimy sobie, że swoboda nadawana niewolnikom podczas tego świątecznego okresu miała być rzekomo naśladowaniem stanu rzeczy panującego w społeczeństwie za czasów Saturna i że Saturnalia uchodziły ni mniej, ni więcej tylko za chwilowe wskrzeszenie lub restaurację panowania owego wesołego władcy, nie możemy oprzeć się pokusie wysunięcia hipotezy, że udawany król kierujący zabawą mógł pierwotnie być zastępcą samego Saturna. Bardzo ciekawy i dziwny opis obchodu Saturnaliów przez żołnierzy rzymskich, stacjonowanych nad Dunajem za panowania Maksymiana i Dioklecjana, potwierdza tę hipotezę, a nawet pozwala ją uważać za fakt ustalony. Opis ten zachował się w opowieści o męczeństwie św. Dazjusza, odnalezionej w greckim rękopisie w Bibliotece Paryskiej i opublikowanej przez profesora Franza Cumonta z Gandawy. Dwa krótsze opisy tego samego wydarzenia i obyczaju znajdują się w rękopisach w Mediolanie i Berlinie; jeden z nich ujrzał już wcześniej światło dzienne w zapoznanym tomie, wydrukowanym w Urbino w 1727 r., ale znaczenie jego dla historii religii rzymskiej zarówno starożytnej, jak i nowej nie było, jak się zdaje, docenione, dopóki prof. Cumont nie zwrócił uwagi naukowców na wszystkie trzy relacje publikując je razem kilka lat temu. Według tych relacji, wyglądających na autentyczne, z których najdłuższa opiera się prawdopodobnie na oficjalnych dokumentach, żołnierze rzymscy w Durostorum w Dolnej Mezji obchodzili rokrocznie Saturnalia w następujący sposób: na trzydzieści dni przed świętem wybierali spośród siebie przez losowanie młodego i przystojnego mężczyznę, którego ubierano w szaty królewskie, by przedstawiał Saturna. Wystrojony w ten sposób i otoczony switą żołnierzy, poruszał się swobodnie i miał prawo dawać upust swoim namiętnościom oraz próbować wszelkich przyjemności, nawet najbardziej haniebnych i zawstydzających. Panowanie jego było wesołe, ale krótkie, i kończyło się tragicznie. Po trzydziestu bowiem dniach, gdy zaczynało się święto Saturna, podrzynał sobie gardło na ołtarzu boga, którego był ucieleśnieniem. W roku 303 po Chr. los padł na żołnierza, chrześcijanina Dazjusza, który nie chciał odgrywać roli pogańskiego boga i splamić ostatnich dni swego życia rozpustą. Pogróżki i argumenty dowódcy Bassusa nie zachwiały postawy żołnierza, wobec czego został ścięty w Durostorum przez żołnierza Jana w piątek dwudziestego listopada, w dwudziesty czwarty dzień księżyca, o godzinie czwartej, jak to skrupulatnie zapisał chrześcijański martyrolog.

Historyczny charakter opublikowanej przez prof. Cumonta opowieści podawano w wątpliwość i wręcz mu zaprzeczano, ale ciekawe odkrycie dokonane w katedrze królującej na przylądku Ankony stało się poważnym dowodem przemawiającym za autentycznością dokumentu. W krypcie katedry między innymi cennymi zabytkami znaleziono biały marmurowy sarkofag z greckim napisem o literach z czasów Justyniana, głoszący, co następuje: "Tu spoczywa święty męczennik Dazjusz, sprowadzony z Durostorum." Sarkofag został przeniesiony do krypty katedry w 1848 roku z kościoła San Pellegrino, gdzie pod wielkim ołtarzem kości męczennika - jak głosi łaciński napis wmurowany w ścianę krypty -

nadal spoczywają wraz z kośćmi dwóch innych świętych. Nie wiemy, jak długo spoczywał sarkofag w kościele San Pellegrino, ale istnieje zapis, świadczący, że znajdował się tam w roku 1650. Relikwie świętego zostały zapewne przeniesione do Ankony, by zabezpieczyć je w ciągu niespokojnych stuleci, które nastąpiły po jego męczeństwie, gdy Mezję okupowały i grabiły kolejne fale barbarzyńskich najeźdźców. W każdym razie z niezależnych i wzajemnie potwierdzających się dokumentów i zabytków zdaje się wynikać z całą pewnością, że Dazjusz nie był świętym mitycznym, lecz realną postacią, człowiekiem, który rzeczywiście poniósł śmierć męczeńską za wiarę w Durostorum w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej. Skoro więc potwierdza się w ten sposób główny fakt przedstawiony przez anonimowego martyrologa, a mianowicie męczeństwo Św. Dazjusza, możemy również przyjąć jego świadectwo o sposobie i przyczynach męczeństwa, tym bardziej że opowieść jest ściśła, szczegółowa i pozbawiona w zupełności wszelkich elementów cudownych. Uważam wobec tego, że podany przez niego opis Saturnaliów obchodzonych przez rzymskich żołnierzy jest wiarogodny.

Relacja ta rzuca nowe i mroczne światło na urząd Króla Saturnaliów, starożytnego Pana Nierządu, który przewodniczył zimowym hulankom w Rzymie w czasach Horacego i Tacyta. Dowodzi ona, jak się zdaje, że nie zawsze było to jedynie błazeńskie stanowisko, na którym Król Saturnaliów musiał dbać tylko o to, by hulanki toczyły się żwawo i zabawa szybko wzmagała się przy trzaskającym ogniu, gdy po ulicach przelewały się świąteczne tłumy, a w dali w czystym mroźnym powietrzu migotał śnieżny diadem Sorakte. Gdy porównamy tego komicznego władcę wesolej cywilizowanej metropolii z jego ponurym odpowiednikiem w prymitywnym obozie wojskowym nad Dunajem i gdy przypomnimy sobie długi poczet podobnych postaci, śmiesznych, a przecież tragicznych - przybranych w błazeńskie korony i królewskie paliusze, które w innych wiekach i innych krajach przez kilka godzin lub dni stroiły swe błahe figle, by potem zginąć przedwcześnie, wówczas nie mamy już prawie żadnych wątpliwości, że opisywany przez klasycznych pisarzy Król Saturnaliów rzymskich był jedynie słabą, wyblakłą kopią oryginału, którego męskie rysy przekazał nam na szczęście autor *Męczeństwa świętego Dazjusza*. Innymi słowy, opis Saturnaliów podany przez niego tak bardzo zbieżny jest z relacjami o podobnych obrządkach w innych krajach, których przecież nie mógł znać, że autentyczność zasadniczych zarysów można uważać za ustaloną. Co więcej, ponieważ obyczaj zgładzania udawanego króla jako wcielenia boga nie mógł zrodzić się ze zwyczaju wyznaczania go na przywódcę hulanki świątecznych, natomiast bez trudu mogły się sprawy potoczyć odwrotnie, wolno nam uważać, że w dawniejszych i bardziej barbarzyńskich czasach w starożytnej Italii, tam gdzie istniał kult Saturna, wybierano człowieka, który odgrywał rolę tego boga i cieszył się wszystkimi jego tradycyjnymi przywilejami przez pewien okres czasu, aby następnie zginąć z własnej lub cudzej ręki, od noża, ognia czy na szubienicy jako dobry bóg, który życie swe oddał za cały świat. W samym Rzymie i innych wielkich miastach rozwój cywilizacji prawdopodobnie złagodził ten okrutny zwyczaj na długo jeszcze przed wiekiem Augusta i nadał mu tę niewinną postać, jaką nosi w dziełach kilku klasycznych pisarzy, wspominających przelotnie święcie

Króla Saturnaliów. Ale w bardziej odległych okolicach, być może, długo jeszcze utrzymywały się obyczaje dawniejsze i surowsze.

Nawet gdy po zjednoczeniu Italii przez rząd rzymski barbarzyński obyczaj został zakazany, wspomnienie o nim, przekazywane przez pokolenia chłopów, doprowadzało czasami do wskrzeszenia tych praktyk, jak to się jeszcze dzieje z najprymitywniejszymi przesądami u nas, a szczególnie mogło się to zdarzyć wśród barbarzyńskiej soldateski na kresach imperium, gdzie żelazna niegdyś dłoń Rzymu zaczynała rozluźniać uścisk.

Często zwracano już uwagę na podobieństwo między starożytnymi Saturnaliami a współczesnym karnawalem włoskim, ale w świetle faktów, które poznaliśmy, możemy zadać sobie pytanie, czy podobieństwo to nie jest właściwie tożsamością. Wiemy, że we Włoszech, Hiszpanii i Francji, to jest w krajach, w których wpływy Rzymu sięgały najgłębiej i były najtrwalsze, jedną z głównych postaci karnawału jest błazeńska figura uosabiająca okres świąteczny. Po krótkiej karierze, pełnej chwały i rozpusty, zostaje ona publicznie rozstrzelana lub spalona ku udawanemu żalowi i szczerzej radości gawiedzi. Jeśli wysunięta przeze mnie koncepcja karnawału jest słuszna, wówczas groteskowa postać jest nie kim innym jak bezpośrednim następcą dawnego Króla Saturnaliów, mistrza hulanki, prawdziwego człowieka, który uosabiał Saturna i w swej przybranej postaci ponosił po zakończeniu hulanek prawdziwą śmierć. Król Fasolowy wieczoru Trzech Króli, średniowieczny Biskup Błaznów, Opal Nierozsądku czy Pan Nierządu są podobnymi postaciami i przypuszczalnie z podobnego źródła się wywodzą. W każdym razie możemy zakończyć wielce prawdopodobnym wnioskiem, że jeśli Król Lasu w Arycii żył i umierał jako wcielenie leśnego bóstwa, odpowiednikami jego w Rzymie byli ludzie, których co roku zabijano jako Króla Saturna boga ziarna sianego i kielkującego.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

ZABIJANIE BOGA W MEKSYKU

U żadnego ludu na świecie zwyczaj zabijania boga nie jest tak powszedni, a zarazem obchodzony tak uroczyście jak u Azteków w starożytnym Meksyku. Znamy dobrze rytuał tych niezwykłych ofiar, ponieważ dokładnie opisali go Hiszpanie, którzy dokonali podboju Meksyku w szesnastym wieku. Odkrycie w tym odległym kraju okrutnej i barbarzyńskiej religii, pod tyłoma względami podobnej do doktryn i rytuału ich własnego Kościoła, podniecało ciekawość Hiszpanów. "Brali oni jeńca - opowiada jezuita Acosta - co, ich zdaniem, był odpowiedni, i nim złożyli go w ofierze swoim bożkom, nadawali mu imię bożka, któremu miał być ofiarowany, i nakładali na niego te same ozdoby, jakie miał na sobie bożek, mówiąc, że jest uosobieniem samego bożka. A przez czas trwania tego wcielenia, a niekiedy był to rok, innym razem sześć miesięcy, a w innych wypadkach krócej, czcili go i modlili się do niego, jak gdyby był prawdziwym bożkiem. A przez cały ten czas jadł, pił i bawił się. Gdy przechodził ulicami, ludzie zbliżali się do niego, by złożyć mu hołd, i każdy ofiarowywał mu jałmużnę i sprowadzał do niego dzieci, chorych, by ich uleczył i pobłogosławił, i wolno mu było robić wszystko, czego zapragnął, ale zawsze towarzyszyło mu dziesięciu lub dwunastu mężczyzn, żeby nie uciekł. On zaś (po to, by oddawali mu cześć, gdy przechodził) dął czasami w mały flet, żeby ludzie mogli się przygotować do uczczenia go. Gdy nadchodziło święto, a był już tłusty, zabijali go, wypruwali wnętrzności i zjadali składając jako uroczystą ofiarę.

Ten ogólnikowy opis możemy teraz uzupełnić szczegółowymi przykładami. Tak więc podczas święta Toxcatl, największego święta roku meksykańskiego, składano w ofierze młodego mężczyznę jako Tezcatlipoca, "boga bogów", po utrzymywaniu go przez cały rok i składaniu mu hołdu jako wcielonemu w jego osobę temu wielkiemu bóstwu. Jak utrzymuje stary mnich franciszkański Sahagun¹⁰⁰, najpoważniejszy autorytet w dziedzinie religii azteckiej, ofiarowanie ludzkiego boga przypadało na Wielkanoc lub kilka dni później, tak więc, jeśli informacja jego jest ścisła, zbiegało się to z datą jak też i z charakterem chrześcijańskiego święta śmierci i zmartwychwstania Zbawiciela. Podaje on jeszcze ściślejszą datę, a mianowicie, ofiara była składana pierwszego dnia piątego azteckiego miesiąca, przypadała więc, jego zdaniem, między dwudziestym trzecim a dwudziestym siódmym kwietnia.

Podczas tego święta wielki bóg umierał w postaci jednego ludzkiego uosobienia i powracał do życia w postaci drugiego, któremu przypadał złowieszczy zaszczyt boskości na rok, po czym, podobnie jak jego poprzednik, ginął. Młodego człowieka, którego miał spotkać ten wielki zaszczyt, wybierano starannie spośród jeńców mając na względzie jego urodę. Musiał mieć ciało bez skazy, być szczupły jak trzcina i prosty jak kolumna, niezbyt wysoki i niezbyt niski. Jeśli na skutek życia w zbytku tył za bardzo, musiał pić soloną wodę, by zeszczupleć. Po to zaś, by na swym wysokim stanowisku zachowywał się z

¹⁰⁰ Bernardino de Sahagun (ok. 1499-1590) - hiszpański misjonarz i historyk. Od r. 1529 żył w Meksyku. Jego prace historyczne, opublikowane w Meksyku dopiero w r. 1829-1830, zawierają opisy życia i religii Azteków oraz podboju Meksyku. Napisał także prace lingwistyczne o języku Azteków.

właściwym wdziękiem i godnością, uczono go starannie, aby umiał zachowywać się jak człowiek dobrze urodzony, mówić poprawnym i eleganckim językiem, grać na flecie, palić cygara i wachać kwiaty z miną dandysa. Mieszkał z wszelkimi honorami w świątyni, gdzie szlachetnie urodzeni usługiwali mu i składali hołdy przynosząc mu mięso, i traktując jak księcia. Król sam dbał o to, by miał wspaniałe stroje, ponieważ "uważał go już za boga". Puch orli przylepiano mu do głowy, a w sięgające do pasa włosy wtykano pióra białego koguta. Czoło zdobił wianek kwiatów podobnych do palonej kukurydzy, a girlandę takich samych kwiatów zawieszano mu na barkach. Złote ozdoby zwisały mu z nosa, złote bransolety zdobiły jego ramiona, a złote dzwonki dzwoniły na nogach za każdym krokiem. W uszach nosił kolczyki z turkusów, a na przegubach rąk bransolety wysadzone turkusami. Na szyi miał naszyjniki z muszelek, zwisające na piersi. Nosił płaszcz z siatki i przepasany był bogato tkanym pasem. Gdy ozdobiony klejnotami wykwinniś spacerował ulicami grając na swym flecie, paląc cygaro, wachając bukietem kwiatów, napotkani ludzie rzucali się przed nim na ziemię, modlili się wzdychając i łkając, unosząc rękami kurz z ziemi i kładąc go do ust na znak swej największej pokory i posłuszeństwa. Podchodziły do niego kobiety z dziećmi na ramionach, pokazywały mu je i pozdrowiały go jak boga. "Uchodził bowiem za Boga i ludzie uznawali go za swego Pana." Wszystkich, którzy mu składali hołdy, pozdrowiał z powagą i uprzejmie. Stale miał przy sobie straż złożoną z ośmiu paziów w liberii królewskiej, którzy pilnowali, by nie uciekł. Czterech z nich miało ogolone głowy jak niewolnicy pałacowi, a czterech długie loki wojowników, jeśli zaś udało mu się uciec, miejsce jego jako uosobienia boga zajmował dowódca straży i musiał za niego umierać. Na dwadzieścia dni przed śmiercią zmieniano jego strój i cztery niewiasty wykwinnie wychowane, noszące imiona czterech bogiń, Bogini Kwiatów, Bogini Młodej Kukurydzy, Bogini Naszej Matki Wśród Wód i Bogini Soli, zostawały jego małżonkami. W ciągu ostatnich pięciu dni lawina boskich zaszczytów spadała na ofiarę. Król pozostawał w swym pałacu, cały zaś dwór gromadził się przy ludzkim bogu. Jedne po drugich w wyznaczonych miejscach następowały po sobie uroczyste bankiety i bale. Ostatniego dnia młodzieniec w otoczeniu swych żon i paziów wsiadał na łódź z królewskim baldachimem, która przewoziła go przez jezioro do miejsca, gdzie z wody wystawał mały pagórek. Zwał się on Górą Rozstania, ponieważ w tym miejscu żegnały się z nim jego żony. Potem już tylko w towarzystwie swych paziów udawał się do małej świątyni znajdującej się na uboczu. Podobnie jak wszystkie świątynie meksykańskie, i ta miała kształt piramidy, a gdy młodzieniec wstępował po schodach, na każdym stopniu łamał jeden z fletów, na których grywał w dniach swej świetności. Gdy wreszcie dotarł do szczytu, chwyтали go kapłani, kładli na wznak na dużym głazie i przytrzymywali, a wtedy jeden z nich rozcinał mu pierś, wsadzał rękę w ranę, wrywał serce i unosił je w górę ofiarując słońcu. Ciało boga nie strącano po stopniach świątyni jak zwłok zwykłych ofiar, lecz znoszono do stóp schodów, gdzie odcinano mu głowę i wbijano na pikę. Taki był niezmiennie los człowieka będącego wcieleniem największego boga w meksykańskim panteonie.

Zaszczyt krótkiego życia jako uosobienia boga i umierania śmiercią gwałtowną nie był w Meksyku jedynie przywilejem mężczyzn. Kobietom wolno było, a raczej zmuszano je do dzielenia chwały i

zagłady jako ucieleśnień bogiń. Podczas wielkiego święta wrześniowego, poprzedzonego siedmiodniowym postem, składano w ofierze młodą dwunasto- lub trzynastoletnią niewolnicę, najładniejszą z wszystkich dziewcząt, jako wcielenie Bogini Kukurydzy Chicomecohuatl. Nakładano na nią ozdoby bogini, na głowie miała jej mitrę, a na szyi i w rękach kukurydżę, zaś na szczycie głowy umieszczano zielone pióro naśladujące włosy kukurydzy. Miało to świadczyć o tym, że kukurydza jest już prawie dojrzała w czasie święta, ponieważ jednak była jeszcze delikatna, wybierano młodą dziewczynkę do odegrania roli bogini kukurydzy. Przez cały długi dzień prowadzili biedne dziecko we wszystkich przybraniach, z zielonym piórem chwiejącym się na głowie, od domu do domu, tańcząc przy tym, by rozweselić ludzi po nudzie i utrapieniach postu.

Wieczorem wszyscy zbierali się na dziedzińcach świątyni, oświetlonych licznymi świecami i latarniami. Tej nocy nikt nie spał, a o północy przy dźwiękach uroczystej muzyki trąb, fletów i rogów wnoszono rusztowanie czy też palankin przybrany festonami kolb kukurydzy i pieprzu, wypełniony najrozmaitszymi nasionami. Palankin ustawiano przy drzwiach komnaty, w której stała drewniana figura bogini. Komnata była w środku i na zewnątrz udekorowana i uwieńczona w przedziwny sposób kukurydzą, dyniami, różami i najrozmaitszymi nasionami, cała zaś podłoga pokryta była grubą warstwą tego rodzaju ofiar składanych przez nabożnych. Gdy kończyła się muzyka, pojawiała się uroczysta procesja kapłanów i dygnitarzy z jarzącymi się światłami i dymiącymi kadzielnicami, w środku zaś kroczyła dziewczynka grająca rolę bogini. Kazano jej wchodzić na rusztowanie, stawała wyprostowana na kukurydzy, pieprzu i dyniach, by zaś nie przewróciła się, ręce jej spoczywały na dwóch poręczach. Kapłani okadzali ją, znowu rozlegała się muzyka i przy jej dźwiękach wielki dygnitarz świątyni występował nagle z brzytwą w ręce i jednym zręcznym ruchem ścinał zielone pióro wraz z włosami, do których było ono przypięte. Pióro i włosy, ścięte przy samych nasadach, ofiarowywał drewnianej figurze bogini bardzo uroczyście i z wielką ceremonią, płacząc i dziękując jej za plody ziemi i obfite plony, które tego roku zesłała. A wraz z kapłanem modlili się i płakali wszyscy ludzie zebrani na dziedzińcach świątyni. Po zakończeniu obrządku dziewczynka schodziła z palankinu i odprowadzano ją na miejsce, gdzie miała spędzić resztę nocy. Jednak wszyscy ludzie czuwali na dziedzińcach świątyni przy świetle pochodni aż do świtu.

Rankiem, gdy rzesze wciąż jeszcze tłoczyły się na podwórcach świątyni, ponieważ opuszczenie jej byłoby świętokradztwem, kapłani ponownie sprowadzali dziewczynkę ubraną w szaty bogini z kukurydzą na szyi i mitrą na głowie. Znowu wchodziła na palankin i stała na nim opierając ręce o poręcze. Następnie starszyzna świątyni brała palankin na ramiona. Jedni wymachiwali kadzielnicami, inni zaś grali na instrumentach lub śpiewali i w ten sposób obnosili ją w procesji przez wielki dziedziniec do sali boga Huitzilopochtli i z powrotem do komnaty z drewnianą figurą Bogini Kukurydzy, której wcieleniem była dziewczynka. Następnie kazano jej zejść z palankinu i stanąć na stosach kukurydzy i warzyw, którymi zasłana była podłoga świętej komnaty. Starszyzna i szlachetnie urodzeni po kolei przystępowali do niej z talerzami pełnymi zakrzepłej krwi, którą wytoczyli sobie z uszu jako pokutę w

czasie siedmiu dni postu. Jeden po drugim kucali przed nią, co było odpowiednikiem naszego klękania, i zeskrobując krew z talerzy rzucali ją na ziemię przed nią w charakterze ofiary za łaski, które zesłała jako wcielenie bogini. Gdy mężczyźni zakończyli pokorne ofiarowania swej krwi ludzkiemu wcieleniu bogini, kobiety ustawiały się w długim rzędzie i czyniły to samo. Każda z nich siadała na pośladkach i zeskrobywała swą krew z talerza. Ceremonia trwała długo, ponieważ wszyscy bez wyjątku, młodzi i starzy, musieli przejść przed wcielonym bóstwem i złożyć swą ofiarę. Gdy wreszcie wszystko się skończyło, ludzie powracali do domu uradowani i zabierali się do rozmaitych mięsów i wiktuałów, jak dobrzy chrześcijanie w Wielkanoc po długim poście. A gdy już zjedli i popili do syta, i wypoczęli po nocnym czuwaniu, wracali do świątyni, całkiem orzeźwieni, by przypatrzeć się zakończeniu święta. A zakończenie tak oto wyglądało: Gdy rzesze się zebrały, kapłani uroczyście okadzali dziewczynkę ucieleśniającą boginię, następnie rzucali ją na wznak na stosy kukurydzy i nasion, odcinali jej głowę, tryskającą krew zbierali do niecki i skrapiali krwią drewniany posąg bogini, ściany komnaty, ofiarowaną kukurydzę, pieprz, dynie, nasiona i warzywa pokrywające podłogę. Zdzierali następnie skórę z tułowia pozbawionego głowy i jeden z kapłanów wciskał się w zakrwawioną skórę, ubierał się w szaty, które nosiła dziewczynka, na głowę nakładano mu mitrę, a na szyi zawieszano łańcuch ze złotych kolb kukurydzy, w ręce zaś brał kukurydzę ze złota i piór. Tak wystrojonego wyprowadzano do ludzi, wszyscy kapłani tańczyli przy biciu bębnów, on zaś na czele procesji grał rolę prowodyra, starał się poruszać jak najszybciej, na tyle, na ile pozwalała mu ciasna skóra dziewczynki i jej strój, które musiały być za małe dla dorosłego mężczyzny.

Wydaje się, że te obyczaje meksykańskie w dostatecznej mierze dowodzą, iż ludzkie ofiary, składane, moim zdaniem, w Arycji, były również składane przez lud, którego kultura prawdopodobnie była bynajmniej nie niższa, jeśli wręcz nie wyższa aniżeli kultura ludów italskich we wczesnym okresie, w którym powstało kapłaństwo aryckie. Niewątpliwe dowody istnienia tego rodzaju ofiar w jednej części świata zwiększają prawdopodobieństwo istnienia ich w miejscach, w których świadectwa są mniej dokładne i godne zaufania. Reasumując, możemy stwierdzić, że fakty, które opisaliśmy, dowodzą, jak się zdaje, że obyczaj zabijania człowieka, którego wierni uważają za istotę boską, istniał w wielu częściach świata.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ

Zaczynając tę książkę postanowiliśmy dać odpowiedź na dwa pytania: Po pierwsze, dlaczego kapłan z Nemi musiał zabijać swego poprzednika? Po drugie, dlaczego, zanim to uczynił, musiał ułamać Złotą Gałąź? Na pierwsze pytanie już odpowiedzieliśmy. Kapłan arcyjski, jeśli się nie mylę, był jednym z tych królów-pomazańców względnie ludzkich bóstw, których życie, w przekonaniu ludzi, miało ścisły i bezpośredni wpływ na losy społeczności, a nawet na zjawiska przyrody. Nie wydaje się, by wierni względnie poddani takiego duchowego potentata zdawali sobie jasno sprawę z natury stosunku łączącego ich z królem. Prawdopodobnie poglądy ich na te sprawy nie są jasne i niezmiennie i popełnilibyśmy błąd próbując ustalić je z logiczną ścisłością. Ludzie wiedzą jedynie, a raczej wyobrażają sobie, że w jakiś tajemniczy sposób oni sami, ich trzody i plony związane są z boskim królem. Gdy jemu zdrowie dopisuje, plony są obfite, a trzody się mnożą; gdy zachoruje - plony są skąpe, bydło choruje. Najgorszym nieszczęściem, jakie sobie mogą wyobrazić, jest śmierć ich władcy zarówno na skutek choroby, jak i późnego wieku, w przekonaniu bowiem wiernych tego rodzaju śmierć pociągnie za sobą tragiczne skutki dla nich i ich dobytku. Straszliwe zarazy zdziesiątkują ludzi i bydło, ziemia przestanie rodzić, co gorsza - ład przyrody może zostać naruszony. Dla zapobieżenia tym katastrofom należy uśmiercić króla, gdy jest jeszcze w pełnym rozkwicie swej boskiej męskości, po to by jego święte siły życiowe mogły bez żadnego uszczerbku przypaść jego następcy, by odzyskały swój młodzieńczy wigor i przekazywane stale w nieprzerwanej linii pełnych energii życiowej wcieleń pozostały wiecznie świeże i młode. Będzie to dla ludzi poręką i zapewnieniem, że oni i ich trzody w podobny sposób odzyskiwać będą swą młodość w nieprzerwanym łańcuchu pokoleń, a następstwo pór siewów i żniw, deszczów i słońca, lata i zimy nigdy nie zostanie przerwane. Oto dlaczego, jeśli hipoteza nasza jest trafna, Król Lasu w Nemi musiał niezmiennie ginać od miecza swego następcy.

Ale pozostaje jeszcze pytanie: czym była Złota Gałąź? Dlaczego kandydat na kapłana w gaju arcyjskim musiał ją ułamać, zanim mógł zabić kapłana? Na to pytanie spróbuję teraz dać odpowiedź.

Warto zacząć od zwrócenia uwagi na dwa przepisy względnie tabu, które, jak wiemy, regulowały życie boskich królów względnie kapłanów. Pierwszy z tych przepisów zakazywał boskiej istocie dotykać stopą ziemi; przestrzegał tego przepisu arcykapłan Zapoteków w Meksyku. Dotknięcie ziemi stopą było już profanacją jego świętości. Montezuma, cesarz Meksyku, nigdy nie postawił stopy na ziemi, nosili go zawsze na ramionach jego szlachetnie urodzeni poddani, a jeśli gdziekolwiek schodził, rozkładano kosztowne tkaniny, po których stąpał. Dla mikada dotknięcie stopą ziemi było strasliwym poniżeniem, zaś w szesnastym wieku tego rodzaju przypadek wystarczał, by pozbawić go tronu. Poza obrębem pałacu noszony był na barkach ludzi, w pałacu chodził po przepięknie plecionych matach. Para królewska na Tahiti nie mogła nigdzie poza swymi dziedzicznymi włościami dotknąć ziemi, gdyż ją uświęcała tym dotknięciem. W dawnych czasach królom Ugandy, ich matkom i żonom nie wolno było

chodzić piechotą poza obrębem rozległych zamkniętych terenów, na których mieszkali. Gdy je opuszczali, nieśli ich na swych barkach mężczyźni należący do klanu Bawołu, a gdy któraś z królewskich osobistości wyruszała w podróż, towarzyszyło jej zawsze liczne grono tych mężczyzn i kolejno nieśli swe brzemię. Król siedział okrakiem na karku tragarza zakładając mu nogi na barki, a stopy ukrywając pod ramionami. Gdy królewski tragarz zmęczył się, przerzucał króla na barki drugiego, przy czym stopy królewskie nie mogły dotknąć ziemi. W ten sposób pokonywali szybko długie odległości w ciągu jednego dnia, gdy król był w podróży. Tragarze zamieszkiwali specjalny budynek na zamkniętych terenach królewskich i byli w ten sposób w każdej chwili na zawołanie.

Ale poza osobami będącymi stale tabu względnie świętymi i które wobec tego obowiązywał zakaz dotykania ziemi stopami, były jeszcze inne obdarzone świętością czy też będące tabu jedynie w pewnych okolicznościach, i w stosunku do nich odpowiedni zakaz obowiązywał wobec tego jedynie w okresach, gdy wydzierały z siebie *odór sanctitatis*¹⁰¹. Tak więc u Kajanów lub Bahauów w Środkowym Borneo kapłanki wykonujące obrzędowe czynności nie mogą stąpać po ziemi i przez ten czas chodzą po specjalnie wyłożonych deskach. Wojownicy na ścieżce wojennej są jak gdyby otoczeni atmosferą tabu, dlatego też Indianom Ameryki Północnej przez cały czas, gdy są na wyprawie wojennej, nie wolno siedzieć na gołej ziemi. W Laosie podczas polowania na słonie obowiązują liczne tabu. Jedno z nich zakazuje głównemu myśliwemu dotykać ziemi stopą. Toteż gdy schodzi ze swego słonia, inni myśliwi ścielą warstwę liści, po której stąpa.

Widocznie świętość, właściwości magiczne czy jakkolwiek nazwiemy tajemnicze właściwości, którymi rzekomo obdarzona jest osoba święta względnie tabu, są w przekonaniu pierwotnego filozofa fizyczną substancją lub płynem, którym człowiek święty naładowany jest tak, jak butelka lejdejska naładowana jest elektrycznością. I tak samo jak elektryczność w butelce może ulec wyładowaniu przy zetknięciu się z dobrym przewodnikiem, podobnie świętość względnie właściwości magiczne człowieka mogą być rozładowane i spłynąć w zetknięciu się z ziemią pełniącą według tej teorii funkcję doskonałego przewodnika magicznego fluidu. Dlatego więc, by ochronić ładunek od zmarnowania, należy pilnie strzec osoby świętej czy też będącej tabu przed zetknięciem się z ziemią. Posługując się terminologią elektryczną - musi ona być izolowana, jeśli nie ma stracić cennej substancji względnie płynu, którym - jak naczynie - wypełniona jest po brzegi. Zdaje się, że w wielu wypadkach izolacja osoby będącej tabu jest zalecana nie tylko dla jej własnego dobra, lecz również ze względu na innych. Skoro bowiem właściwością świętości względnie tabu jest to, że działa jak potężny środek wybuchowy, a najłżejsze dotknięcie może doprowadzić do detonacji, wówczas w interesie powszechnego bezpieczeństwa należy pilnować osobę będącą tabu, by nie wybuchnęła i nie zniszczyła, nie spaliła i nie rozwaliła wszystkiego, z czym się zetknie.

¹⁰¹ woń świętości (łac.)

Po drugie, nie wolno, by promienie słońca padały na świętą osobę. Zakaz ten jest przestrzegany zarówno przez mikada, jak i arcykapłana Zapoteków. Otóż, rzecz ciekawa, oba te zakazy - dotykania ziemi i oglądania słońca - przestrzegane są łącznie lub jeden z nich przez dziewczęta w okresie dojrzewania płciowego w wielu częściach świata. U Murzynów Loango dziewczęta w tym okresie zamyka się w oddzielnie stojących chatkach i żadną częścią nagiego ciała nie wolno im dotknąć ziemi. W Nowej Irlandii dziewczęta trzymane są przez cztery lub pięć lat w małych klatkach bez światła i nie wolno im stanąć na ziemi. Tak oto opisuje ten zwyczaj naoczny świadek: "Słyszałem od pewnego nauczyciela o dziwnych obyczajach związanych z pewnymi miejscowymi dziewczętami, poprosiłem więc wodza, by zabrał mnie do domu, w którym przebywają. Dom miał ze dwadzieścia pięć stóp długości i stał w zagrodzie bambusów i trzciny, a naprzeciwko wejścia wisiał pęczek suchej trawy, oznaczający, że obowiązuje tu ściśle tabu. W środku domu znajdowały się trzy stożkowe konstrukcje wysokości siedmiu do ośmiu stóp, mające w obwodzie dziesięć do dwunastu stóp licząc od podstawy do wysokości mniej więcej czterech stóp nad ziemią, powyżej zwężały się ku szczytowi. Klatki te były zrobione z szerokich liści drzewa *pandanus*¹⁰² zszytych bardzo ciasno z sobą, tak żeby nie przepuścić światła, a jedynie odrobinę powietrza. Po jednej stronie takiej klatki znajdują się podwójne drzwi splecione z drzewa palmy kokosowej i liści *pandanusa*. Około trzy stopy nad ziemią jest podwyższenie z bambusów tworzące podłogę. W każdej z tych klatek, jak nam powiedziano, jest zamknięta jedna młoda kobieta i przez co najmniej cztery albo pięć lat nie wolno jej opuszczać tego domu. Nie chciało mi się wierzyć tej opowieści, zbyt straszna mi się wydawała, by mogła być prawdziwa. W rozmowie z wodzem powiedziałem mu, że chciałbym zobaczyć wewnątrz klatki, a także zobaczyć dziewczęta i podarować im kilka paciorków. Powiedział mi, że jest tabu - zabronione, by jakikolwiek mężczyzna poza krewnymi mógł je zobaczyć, ale przypuszczam, że obiecane paciorki były zbyt wielką pokusą, wobec czego posłał po pewną staruszkę zajmującą się tym domem, jedyną osobę, której wolno otworzyć drzwi. Gdy czekaliśmy, słyszałem, jak dziewczęta mówiły coś do wodza kłótliwym tonem, jak gdyby czemuś się sprzeciwiały lub czegoś się obawiały. Wreszcie pojawiła się staruszka. Nie robiła wrażenia szczególnie sympatycznego strażnika więziennego czy opiekuna. Nie spodobało się jej żądanie wodza, by pozwoliła nam obejrzeć dziewczyny, ponieważ spoglądała na nas bez cienia przychylności. Musiała jednak otworzyć drzwi, gdy wódz jej to nakazał, a wtedy dziewczęta zaczęły zerkać ku nam i na polecenie wodza wyciągnęły ręce po paciorki. Ja jednak naumyślnie siedziałem trochę dalej i jedynie wyciągałem ku nim rękę z paciorkami, ponieważ chciałem wywabić je na zewnątrz, żeby obejrzeć wewnątrz klatek. Wywołało to kolejną trudność, ponieważ dziewczętom nie wolno było opuszczać nóg na ziemię przez cały czas ich pobytu w tym miejscu. Pragnęły jednak dostać paciorki, wobec tego stara kobieta musiała pójść i nazbierać dużo kawałków drzewa i bambusu. Rozłożyła je na ziemi, a następnie podeszła do jednej z dziewcząt, pomogła jej opuścić się w dół klatki i trzymała za rękę, gdy ta stąpała po kawałkach

¹⁰² *Pandanus* (panda n, p o c h u t n i k) - drzewo tropikalne rosnące w Azji i Afryce, o prostym pniu i dużych

drzewa, aż podeszła dosyć blisko, by wziąć ode mnie paciorki. Poszedłem wtedy, by obejrzeć wnętrze klatki, z której wyszła, ale z trudem udało mi się wsunąć głowę do środka, tak duszna i gorąca atmosfera tam panowała. Klatka była czysta i zupełnie pusta poza kilkoma bambusowymi rurkami na wodę. Miejsca było w sam raz tyle, by dziewczyna mogła siedzieć lub leżeć w skurczonej pozycji, a po zamknięciu drzwi musiała tam panować niemal zupełna ciemność. Dziewczętom wolno wychodzić z klatek tylko raz dziennie, by umyć się w misce drewnianej stawianej koło klatki. Powiedziały mi, że bardzo się tam pocą. W klatkach umieszcza się je jako bardzo młode dziewczęta, a wychodzą z nich dopiero jako młode kobiety, gdy każdą po kolei wyprowadza się i urządza na jej cześć wielką ucztę weselną. Jedna z nich miała lat czternaście lub piętnaście i wódz powiedział nam, że w klatce przebywa już od pięciu lat i wkrótce ją opuści. Inne miały około ośmiu i dziesięciu lat, a czekało je jeszcze kilka lat pobytu w klatkach."

Hinduskę, gdy dochodzi do wieku dojrzewania, trzyma się przez cztery dni w ciemności i przez ten czas nie wolno jej oglądać słońca. Uważana jest za nieczystą, nikomu nie wolno jej dotknąć. Jada tylko gotowany ryż, mleko, cukier, twaróg i owoce tamaryndy bez soli. Rankiem piątego dnia wraz z pięcioma kobietami, których mężowie żyją, udaje się do znajdującego się w sąsiedztwie zbiornika z wodą. Wysmarowane płynem turmerykowym kąpią się, po czym wracają do domu i wyrzucają maty i inne przedmioty, które znajdowały się w pokoju.

Jak się należało spodziewać, przesąd tak szeroko rozpowszechniony musiał pozostawić ślad w legendach i ludowych baśniach. Starożytna grecka opowieść o Danae trzymanej przez ojca w zamkniętej komnacie czy też spiżowej wieży i zapłodnionej przez Zeusa, który dotarł do niej w postaci złotego deszczu, należy zapewne do tej kategorii baśni. Jej odpowiednikiem jest legenda, którą syberyjscy Kirgizi opowiadają o swoim pochodzeniu. Pewien chan miał piękną córkę, którą trzymał w ciemnym, żelaznym domu tak, żeby żaden mężczyzna nie mógł jej zobaczyć. Opiekowała się nią stara kobieta, a gdy dziewczyna wyrosła i osiągnęła wiek panieński, zapytała staruszkę: "Dokąd tak często chodzisz?" - "Moje dziecko - usłyszała w odpowiedzi - istnieje jasny świat, a na tym świecie żyje twój ojciec i twoja matka, i rozmaici ludzie. Oto gdzie chodzę." Wówczas panna powiedziała: "Dobra matko, nikomu nie powiem, ale pokaż mi ten jasny świat." Wzięła więc staruszka pannę i wyprowadziła z żelaznego domu. Ale dziewczyna na widok jasnego świata zachwiała się na nogach i zemdląca. I padło na nią oko boga, i poczęła. Zagniewany ojciec zamknął ją w złotej skrzyni i wrzucił do morza, by sobie popłynęła (złoto w bajkach unosi się na wodzie). Złoty deszcz w opowieści greckiej i oko boga w legendzie kirgiskiej oznaczają prawdopodobnie światło słoneczne i słońce. Przekonanie, że kobieta może być zapłodniona przez słońce, powtarza się dosyć często w legendach i ślady tego wierzenia można nawet odnaleźć w weselnych obrządkach.

Źródłem zakazów tak często narzucanych dziewczętom w okresie dojrzewania jest głęboko zakorzeniony strach odczuwany przez człowieka pierwotnego przed krwią mienstrualną. Obawia się jej zawsze, ale najbardziej za pierwszym jej pojawieniem. Dlatego też zakazy obowiązujące kobiety podczas pierwszej mienstruacji są zazwyczaj bardziej surowe aniżeli te, których muszą przestrzegać przy każdym późniejszym powtarzaniu się tajemniczego objawu. Pewne przykłady tego strachu i zwyczajów na nim opartych przytoczono już we wcześniejszej części tej książki, ale ponieważ przerażenie, a tylko ono tu działa, wywołane okresowym powtarzaniem się tego zjawiska, wywiera głęboki wpływ na życie i instytucje dzikiego, warto, być może, przytoczyć jeszcze kilka przykładów z tej dziedziny.

Plemię żyjące w zatoce Encounter w Australii Południowej wierzy czy też dawniej wierzyło w "przesąd, który nakazywał kobiecie oddalać się od obozu w czasie jej miesięcznej choroby, a gdy zbliżał się do niej młody mężczyzna lub chłopak, musiała głośno wołać, by go przestrzec, on zaś natychmiast obchodził ją z daleka. Jeśli tego zaniedbała, groziła jej połajanka ze strony męża lub najbliższego krewnego, a czasem porządne bicie, ponieważ chłopcom od najwcześniejszych lat wpajano wiarę, że gdy zobaczą krew, osiwieją i przedwcześnie stracą siły."

U niektórych plemion australijskich izolacja kobiet w okresie mienstruacji była jeszcze bardziej ścisła, a za jej naruszenie groziły poważniejsze kary aniżeli łajanie i bicie. "W obozach plemienia Wakelbura nie wolno kobietom wchodzić do obozu po tej samej ścieżce, po której kroczą mężczyźni." Boją się oni bowiem kobiet w okresie mienstruacji. Kobieta musi w tym okresie przebywać z daleka od obozowiska, co najmniej w odległości pół mili. Wokół łędrwi przywiązuje gałęzie pewnego drzewa, będącego jej totemem, jest stale obserwowana i pilnowana, ponieważ uważa się, że każdy mężczyzna, który będzie miał nieszczęście zobaczyć ją w tym stanie, musi umrzeć. Jeśli taka kobieta pokazała się mężczyźnie, zostałaby prawdopodobnie zabita. Po powrocie do zdrowia maluje się ją na biało i czerwono, głowę zdobi piórami i pozwala wrócić do obozu.

Buszmeni w Afryce Południowej uważają, że mężczyzna, na którego rzuci okiem dziewczyna w tym czasie, gdy ma przebywać w izolacji, zostanie sparaliżowany w pozycji, którą w danej chwili zajmował, z przedmiotem, który trzymał w ręku, po czym przemieni się w mówiące drzewo. Plemiona zajmujące się hodowlą bydła w Afryce Południowej, uważają, że bydło wymrze, jeśli kobieta podczas mienstruacji napije się mleka, i spodziewają się nieszczęścia, gdy wół przejdzie po miejscu, na które spadła kropla jej krwi. By zapobiec takiemu nieszczęściu, kobietom w ogóle, a nie tylko kobietom w czasie mienstruacji, nie wolno wchodzić do zagrody, w której znajduje się bydło, co więcej, wchodząc do wioski lub przechodząc od domu do domu nie wolno im używać zwykłej ścieżki, lecz muszą iść osobną, dla nich przeznaczoną. Chodzą one okrężnymi drogami za chałupami, by wyminąć środek wsi, gdzie bydło stoi lub kładzie się. W każdej wiosce Kafrów można zobaczyć te kobiece ścieżki.

Większość plemion indiańskich w Ameryce Północnej przestrzegała zwyczaju nakazującego kobietom opuszczać wieś w okresie mienstruacji i przez ten okres nieczystości mieszkać w specjalnych

chatach dla nich przeznaczonych. Mieszka tam każda z osobna, każda przygotowuje sobie oddzielnie strawę, śpi sama i ogrzewa się przy własnym ogniu. Nie wolno im stykać się z mężczyznami wystrzegającymi się ich, jak gdyby były zadżumione.

Nie mniej dziwaczne są przesady, które narosły wokół tego tajemniczego aspektu natury kobiecej wśród cywilizowanych narodów Europy. W najstarszej istniejącej encyklopedii, *Historii naturalnej* Pliniusza, lista niebezpieczeństw grożących na skutek menstruacji dłuższa jest aniżeli u zwykłych barbarzyńców. Według Pliniusza dotknięcie kobiety w tym okresie zamienia wino w ocet, niszczy plony, zabija sadzonki, niszczy ogrody, ściąga owoce z drzew, zaciemnia lustra, tępi brzytwy, powoduje rdzewienie żelaza i miedzi (szczególnie przy zmniejszającym się księżycu), zabija pszczoły lub wypędza je z ulów, powoduje poronienie u kobył itd. Podobnie w niektórych częściach Europy nadal utrzymuje się wierzenie, że jeśli kobieta podczas menstruacji wejdzie do browaru, piwo skwaśnieje, wino, ocet, piwo i mleko, których dotknie, zepsują się, jeśli będzie robiła powidła, zepsują się, kobyła, której dosiądzie, poroni, pąki, których się dotknie, zwiędną, wiśnia, na którą się wdrapie, uschnie. W Brunszwiku ludzie są przekonani, że jeśli kobieta menstruująca będzie obecna przy świniobiciu, mięso się zepsuje. Na greckiej wyspie Kalimnos kobiecie w takim okresie nie wolno chodzić do studni, by czerpać wodę, przechodzić przez potok ani wchodzić do morza. Jej obecność w łodzi ściąga, jak wierzą, burzę.

Tak więc odseparowanie kobiety podczas menstruacji ma na celu zneutralizowanie niebezpiecznych sił, które rzekomo z niej emanują w takim okresie. Niebezpieczeństwo to uważane jest za szczególnie wielkie w okresie pierwszej menstruacji, co wynika z niezwykłych środków ostrożności, podejmowanych w celu izolowania dziewcząt podczas takiego kryzysu. Podaliśmy wyżej dwa przykłady tego rodzaju środków ostrożności, a mianowicie zakazy dotykania ziemi i oglądania słońca. Ogólnym skutkiem tych zakazów jest utrzymanie dziewczyny w tym okresie w stanie jak gdyby zawieszenia między ziemią a niebem.

Krótko mówiąc, uważa się, że dziewczyna naładowana jest potężną siłą, którą należy trzymać na uwięzi, gdyż inaczej może się ona okazać siłą niszczycielską w stosunku do niej samej i wszystkiego, z czym się zetknie. Celem więc omówionych zakazów jest utrzymanie tej siły w granicach niezbędnych dla zapewnienia bezpieczeństwa wszystkich osób, których tabu dotyczy.

W ten sam sposób można wyjaśnić pochodzenie identycznych zakazów obowiązujących boskich królów i kapłanów. Tak zwana nieczystość dziewcząt w okresie dojrzewania i świętość osób duchownych nie różnią się zasadniczo od siebie w umyśle człowieka pierwotnego. Są to jedynie różne przejawy tej samej tajemniczej siły, która, jak każda siła, nie jest sama przez się ani dobra, ani zła, ale w zależności od zastosowania staje się dobroczynna lub szkodliwa. Dlatego też osoby boskie, podobnie jak dziewczęta w okresie dojrzewania, nie mogą dotykać nogą ziemi ani oglądać słońca, z obawy by ich boskość przy zetknięciu się z ziemią i niebem nie wyładowała się gwałtownie ze straszliwymi konsekwencjami dla ziemi i dla nieba, a równocześnie, by boska osoba, pozbawiona w ten sposób

swych nadludzkich cech, nie stała się w przyszłości bezużyteczna przy wykonywaniu funkcji magicznych, a przecież od tego, czy zostaną one wykonane w sposób właściwy, zależy, zgodnie z panującymi wierzeniami, bezpieczeństwo ludzi, a nawet całego świata. Tak więc wszystkie te przepisy należą do kategorii tabu, które omówiliśmy w poprzednich rozdziałach książki. Mają one na celu ochronę życia osoby boskiej i równocześnie życia jej poddanych i wiernych. Cenne, a jednak wystawione na ryzyko życie takiej osoby jest bezpieczne i nieszkodliwe, gdy nie znajduje się ona ani na ziemi, ani na niebie, lecz tak dalece, jak to możliwe, zawieszona jest między tymi dwoma elementami.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

BAŚŃ O BALDURZE

Bóstwem, o którym można powiedzieć, że w pewnym sensie nie przebywało ani na niebie, ani na ziemi, ale między niebem a ziemią, był norweski Baldur (Balder, Baldr), dobry i piękny bóg, syn wielkiego boga Odyna, sam zaś najmądrzejszy, najłagodniejszy i najbardziej ukochany z wszystkich nieśmiertelnych. Oto jak młodszą, czyli prozaiczną Edda przedstawia historię jego śmierci: Razu pewnego przyśniły się Baldurowi straszne sny, które zdawały się przepowiadać mu śmierć. Zwołali wówczas bogowie radę i postanowili zabezpieczyć go przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Tak więc bogini Frigg zażądała, by ogień i woda, żelazo i wszystkie metale, kamienie i ziemia, drzewa, choroby i trucizny, wszystkie czworonożne zwierzęta, ptaki i pełzające gady złożyły przysięgę, że nie wyrządzą żadnej szkody Baldurowi.

Po tej przysiędze bogowie byli przekonani, że Baldurowi nic się nie może stać. Bogowie zabawiali się zapraszając go do swego towarzystwa. Jedni strzelali do niego, inni rąbali go toporem, jeszcze inni rzucali w niego kamienie. Ale wszystko to nie mogło mu wyrządzić krzywdy i wszyscy się z tego powodu cieszyli. Jedynie intrygant Loki był niezadowolony i w przebraniu kobiety udał się do Frigg, która powiedziała mu, że bogowie nie mogą zranić Baldura, ponieważ zmusiła ich wszystkich do złożenia przysięgi, że nie wyrządzą mu żadnej szkody. Wtedy Loki zapytał: "Czy wszystko złożyło przysięgę, że oszczędzi Baldura?" Frigg odpowiedziała mu na to: "Na wschód od Walhalli rośnie roślina zwana jemiolą, wydawała mi się za młoda, by mogła przysięgać." Poszedł więc Loki, wyrwał jemiolę i zabrał ją na zebranie bogów. Spotkał tam ślepego boga Hotera, który stał poza kręgiem bogów. Loki zapytał go: "Dlaczego nie mierzysz w Baldura?" Odpowiedział mu na to Hoter: "Ponieważ nie widzę, gdzie stoi, a poza tym nie mam broni." Powiedział na to Loki: "Uczyń tak jak inni i okaż swój szacunek Baldurowi. Pokażę ci, gdzie on stoi, a ty rzuć w niego tą gałęzią." Hoter wziął jemiolę i rzucił nią w Baldura tak, jak nim pokierował Loki. Jemiola trafiła w Baldura i przeszła go na wskroś, i upadł na ziemię martwy. A było to największe nieszczęście, jakie kiedykolwiek spotkało ludzi i bogów. Przez chwilę bogowie nie mogli wypowiedzieć słowa, a potem głośno i gorzko zapłakali. Wzięli ciało Baldura i zanieśli je na brzeg morza, gdzie stał okręt Baldura, a zwał się on Ringhorn i większego okrętu nie było na świecie. Bogowie pragnęli spuścić okręt na wodę i spalić na nim zwłoki Baldura, ale okręt nie drgnął z miejsca. Posłali więc po olbrzymkę zwaną Hyrrockin. Przyjechała wierzchem na wilku i pchnęła okręt tak mocno, że iskry posypały się z kłód, na których spoczywał, a cała ziemia zdrząła. A wtedy wzięli bogowie zwłoki Baldura i położyli je na stosie pogrzebowym na jego okręcie. Gdy zobaczyła to żona Baldura, Nanna, serce jej pękło z żalości i umarła. Położono ją więc na stosie pogrzebowym obok męża i rozniecono ogień. Na stosie spalono również konia Baldura z całą jego uprzężą.

Baldur, postać rzeczywiście istniejąca czy, być może, tylko bohater baśni, czczony był w Norwegii. W jednej z zatok pięknego fiordu Sogne, wcinającego się głęboko w dostojne góry norweskie, z ich

mrocznymi lasami sosnowymi i wyniosłymi kaskadami rozpryskującymi się w pianę, zanim osiągną ciemnych wód fiordu, znajdowało się wielkie sanktuarium Baldura. Zwano je Gajem Baldura. Palisada otaczała poświęcony teren, a w środku stała wielka świątynia z wizerunkami wielu bogów, ale żaden z nich nie był czczony z takim umiłowaniem jak Baldur. Tak wielki był nabożny lęk, który miejsce to wzbudzało w sercach pogan, że nikomu nie wolno tu było wyrządzić krzywdy bliźniemu, ukraść mu bydła czy skalać się stosunkiem z kobietą. Ale kobiety opiekowały się wizerunkami bogów w świątyni. Ogrzewały je przy ogniu, namaszczały oliwą i wycierały sukniem.

Bez względu na to, co myślimy o historycznym rdzeniu ukrytym w baśniowych łuskach legendy o Baldurze, szczegóły opowieści zdają się świadczyć, że należy ona do kategorii mitów udratyzowanych w rytuale czy też, formułując to w odmienny sposób, mitów, które przedstawiano podczas magicznych ceremonii w celu wywołania tych skutków naturalnych, które mit opisuje w języku obrazowym. Nigdy mit nie jest tak plastyczny i dokładny w podaniu szczegółów jak wtedy, gdy słowa jego wypowiedane są i przedstawiane przez aktorów świętego obrządku.

Przypuszczenie, że skandynawska opowieść o Baldurze jest mitem tej kategorii, stanie się bardziej prawdopodobne, jeśli potrafimy udowodnić, iż epizody baśni były odgrywane przez Skandynawów i inne ludy europejskie. Otóż w baśni tej są dwa główne epizody: pierwszy - wrywanie jemioli, drugi zaś - śmierć i spalenie boga. Być może, okaże się, że oba mają swe odpowiedniki w dorocznych obrządkach urządzanych razem lub oddzielnie przez ludy w różnych częściach Europy. Obrządki te opiszemy i omówimy w następnych rozdziałach. Zaczniemy od do rocznych świąt ognia, a wrywanie jemioli zachowamy do dalszych rozważań.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

ŚWIĘTA OGNIĄ W EUROPIE

Od niepamiętnych czasów chłopcy europejscy zwykli byli w pewne dni roku rozpałać ogniska, tańczyć wokół nich i przez nie skakać. O istnieniu takich zwyczajów już w średniowieczu mówią zachowane historyczne świadectwa, zaś analogia z podobnymi zwyczajami przestrzeganyymi w starożytności jest dostatecznym dowodem, że ich źródła należy szukać na długo przed rozpowszechnieniem się chrześcijaństwa. Co więcej, najstarsze dowody świadczące o przestrzeganiu tych zwyczajów w Północnej Europie znajdujemy w postanowieniach synodów chrześcijańskich w ósmym wieku, które usiłowały znieść je jako obyczaje pogańskie. Zazwyczaj palono na tych ogniskach figury lub udawano palenie żywej osoby, a mamy podstawy do przypuszczenia, że w czasach najdawniejszych rzeczywiście palono istoty ludzkie podczas tego rodzaju obrządków. Krótki przegląd tych obyczajów pozwoli nam ujawnić ślady ofiar ludzkich i równocześnie wyjaśnić ich znaczenie.

Ogniska pali się najczęściej na wiosnę i w połowie lata, ale w niektórych miejscowościach rozpała się je również jesienią i w zimie, szczególnie w wilię Wszystkich Świętych (trzydziestego pierwszego października), w pierwszy dzień Bożego Narodzenia i wilię Trzech Króli. Brak miejsca nie pozwala na szczegółowe opisanie tych świąt, musimy ograniczyć się do kilku przykładów, które dadzą ogólny obraz uroczystości. Zaczniemy od wiosennych świąt ognia, przypadających zazwyczaj na pierwszą niedzielę wielkiego postu (Quadragesima lub Invocavit), Wielką Sobotę lub pierwszy dzień maja.

Zwyczaj rozpalania ognisk w pierwszą niedzielę wielkiego postu panował głównie w Belgii, północnej Francji i wielu częściach Niemiec. W belgijskich Ardenach na tydzień lub dwa tygodnie przed "dniem wielkiego ognia" dzieci chodziły po gospodarstwach i zbierały paliwo. W Grand Halleux, jeśli ktoś odmawiał ich prośbie, był następnego dnia ścigany przez dzieci, które usiłowały posmarować mu twarz popiołem z wygaszonego ogniska. Gdy nadchodził właściwy dzień, ścinano krzaki, szczególnie jałowiec i szczodrzewicę miotlastą (*Cytisus scoparius*), a wieczorem na wszystkich szczytach płonęły wielkie ogniska. Powszechnie uważano, że dopiero wtedy, gdy .równocześnie widać siedem ognisk, wieś jest zabezpieczona przed pożarami. Jeśli w tym czasie Moza jest mocno zamarznięta, ogniska rozpała się również na lodzie. W Grand Halleux pośrodku stosu ustawia się pal, zwany *makral*, czyli "czarownica", a ogień zapala męczycyna, który się ostatni w tej wsi ożenił.

W prowincji Franche-Comte na zachód od Jury, pierwsza niedziela wielkiego postu znana jest jako Niedziela Głowni (*Brandons*) od ognisk w tym dniu rozpalanych. W sobotę lub niedzielę chłopcy zaprzęgają się do wozu i ciągną go po ulicach zatrzymując się przed drzwiami domów, w których są panny, i prosząc o pęk chrustu. Gdy już nazbierali dostateczną ilość, zaciągają wóz do pewnego miejsca niedaleko od wsi, budują stos i podpalają go. Wszyscy parafianie schodzą przyglądać się ognisku. W niektórych wioskach, gdy dzwony zaczynają dzwonić na Anioł Pański, okrzyki: "Do ognia, do ognia!", są sygnałem rozpoczęcia uroczystości. Chłopcy, dziewczęta i dzieci tańczą wokół ognia, a gdy

plomień przygasają, idą w zawody, kto lepiej skacze przez żarzące węgle. Ten, kto przeskoczy nie osmoliwszy sobie ubrania, wstąpi w ciągu roku w związki małżeńskie. Młodzi ludzie chodzą również po wsi i po polu z zapalonymi pochodniami i przechodząc obok sadu wołają: "Więcej owoców niż liści!" Do niedawna w Laviron w departamencie Doubs młode pary małżeńskie, które w tym roku się pobrały, zajmowały się urządzeniem ognisk. W środku stosu wbijano pal z drewnianą figurką koguta umocowaną na szczycie. Potem odbywały się wyścigi, a zwycięzca dostawał koguta w nagrodę. W Owernii ogniska rozpala się w pierwszą niedzielę wielkiego postu. Każda wieś, każda osada, każde odosobnione gospodarstwo ma swe ognisko, czyli *figo*, które zapala się, gdy zapada zmrok. Widać płonące ogniska na szczytach i równinach, ludzie tańczą wokół nich, śpiewają i skaczą przez płomień. Następnie rozpoczyna się uroczystość *Grannas-mias*. *Granno-miao* jest słomianą pochodnią umieszczoną na końcu pala. Gdy ognisko wypali się już do połowy, widzowie zapalają swe pochodnie od gasnących płomieni i zanoszą je do okolicznych sadów, pól, ogrodów, wszędzie gdzie są drzewa owocowe. Maszerując śpiewają pełnym głosem: "Granno, mój przyjacielu, Granno, mój ojciec, Granno, moja matko." Przechodzą z zapalonymi pochodniami pod gałęziami każdego drzewa i śpiewają: *Brando, brandounci tsaque brantso, in plan panei!*

To znaczy: "Płoń, pochodnio, z każdej gałęzi pełny kosz." W niektórych wioskach ludzie biegną przez zasiane pola i strząsają popiół z pochodni na ziemię. Wkładają również trochę popiołu do gniazd kurzych, by kury przez cały rok dobrze się nosły. Po tych ceremoniach wszyscy wracają do domu i uczują. Specjalami tego wieczoru są jabłka smażone w cieście i naleśniki. W tym wypadku ogień jest niewątpliwie magicznym środkiem mającym zapewnić płodność drzew owocowych, pól i gniazd drobiu, a Granno, do którego skierowane są inwokacje i którego imieniem nazwane są pochodnie, jest, być może, jak sugeruje dr Pommerol¹⁰³, nie kim innym, jak starożytnym celtyckim bogiem Grannusem, którego Rzymianie identyfikowali z Apollinem. O kulcie jego mówią napisy znajdowane nie tylko we Francji, lecz również w Szkocji i nad Dunajem.

W Niemczech, Austrii i Szwajcarii istniały o tej porze roku podobne zwyczaje. W górach Eifel w Nadrenii w pierwszą niedzielę postu młodzież chodząc od domu do domu zbierała słomę i chrust, zносиła je na wzgórze i układała wokół wysokiego smukłego buka, do którego przybijano kawałek drzewa pod kątem prostym tak, że tworzył krzyż. Nazywało się to "zamkiem" lub "chatą", a młodzi mężczyźni maszerowali wokół podpalonego "zamku" z obnażonymi głowami i z zapalonymi pochodniami, modląc się głośno. Niekiedy w "chacie" palono kukłę ze słomy. Ludzie obserwowali, w którym kierunku unosił się dym z ogniska. Jeśli wiatr zdmuchiwał płomień w kierunku pól, było to znakiem, że zbiory będą obfite. Tego samego dnia w niektórych okolicach Eifel sporządzano ze słomy wielkie koło, które trzy konie wciągały na szczyt góry. W nocy przychodzili tu młodzi chłopcy, podpalali koło i toczyli je z góry.

¹⁰³ Dr P o m m e r o l - antropolog i etnolog francuski.

W Szwajcarii wieczorem w pierwszą niedzielę wielkiego postu istniał także zwyczaj palenia ognisk na wysokich wzniesieniach. Dzień ten był powszechnie nazywany Niedzielą Iskier. Zwyczaj ten istniał na przykład w całym kantonie Lucerny. Chłopcy krążyli od domu do domu prosząc o drzewo i słomę, układali je na wysokiej górze czy pagórku wokół pala, na którym była kukła słomiana zwana "wiedźmą". Po zachodzie słońca stos zapalano, a młodzi ludzie tańczyli dziko wokół, niektórzy trzaskając z biczów, inni dzwoniąc dzwonkami. Gdy ogień opadał skakali przez płomienie. Nazywało się to "paleniem wiedźmy". W niektórych okolicach kantonu owijano również stare koła w słomę i chrust, zapalano je i puszczano po stoku. Im więcej widać było iskrzących się i płonących ognisk w ciemnościach, tym bardziej urodzajny zapowiadał się rok, a im wyżej tancerze skakali obok ognia czy przez płomienie, tym wyżej - wierzono - urośnie len. W niektórych okolicach osoba, która ostatnia wstąpiła w związki małżeńskie, musiała zapalać ognisko. Trudno oddzielić te ogniska palone w pierwszą niedzielę wielkiego postu od ognisk palonych mniej więcej w tej samej porze roku w ceremonii zwanej "wynoszeniem Śmierci". W Spachendorf na austriackim Śląsku rankiem w dzień św. Ruperta (Ostatki) chochoł ubrany w futrzany płaszcz i futrzaną czapę wynoszony jest do jamy za wsią i tam palony, a gdy płonie, każdy stara się uszczknąć kawałek kukły, by go przywiązać do gałęzi najwyższego drzewa w swym ogrodzie lub zakopać na polu, wierząc, że w ten sposób pomaga rosnać swym plonom. Ceremonia znana jest pod nazwą "grzebania Śmierci". Nawet w tych wypadkach, gdy chochoł nie nazywa się "Śmiercią", znaczenie obrządku jest przypuszczalnie takie samo, ponieważ, jak już wyjaśniłem, nazwa "Śmierć" nie wyraża pierwotnej intencji ceremonii.

Urządzano również te święta ognia w wilię Wielkanocy, w Wielką Sobotę. Tego dnia w katolickich krajach istniał zwyczaj gaszenia wszystkich świateł w kościołach, później krzesano nowy ogień, niekiedy za pomocą krzesiwa i stali, niekiedy zaś używając szkła powiększającego. Od tego ognia zapala się wielką, paschalną, czyli wielkanocną świecę, od której zapala się następnie od nowa wszystkie światła w kościele. W wielu okolicach Niemiec ten nowy ogień służy również do rozpalania ogniska urządzanego gdzieś w pobliżu kościoła. Ognisko zostaje poświęcone i ludzie przynoszą patyki z dębu, orzecha i buka, które zwęglają w płomieniu, a następnie zabierają z sobą do domów. Niektóre z tych zwęglonych patyków spala się następnie w domu w świeżo rozpalonym ogniu modląc się przy tym, by Bóg zachował gospodarstwo od ognia, piorunów i gradu. W ten sposób każdy dom dostaje "świeży ogień". Kilka patyków chowa się przez cały rok i kładzie się na palenisku w czasie wielkich burz, by piorun nie spalił domu, lub też z podobną intencją wtyka się je w dach. Inne pozostawia się na polach, w ogrodach i na łąkach, modląc się przy tym, by Bóg ochronił je przed zarazą i gradem. Uważa się, że takie pola rodzą lepiej niż inne, grad nie niszczy rosnących na nich zbóż i roślin, nie zjadają ich myszy, mrówki i robactwo. Nie może im zaszkodzić żadna wiedźma, a kłosa są gęste i pełne. Dotyka się również pługów zwęglonymi patykami. Popioły ogniska wielkanocnego wraz z popiołami poświęconych liści palmowych miesza się z ziarnem siewnym. Niekiedy na poświęconym ognisku spala się drewnianą

figurę zwaną Judaszem, a nawet w tych miejscowościach, gdzie zwyczaj ten zarzucono, ognisko nadal nazywa się "paleniem Judasza".

Zasadniczo pogański charakter święta ognia występuje dosyć jasno zarówno w sposobie, w jaki jest przez chłopów obchodzony, jak i w wierzeniach z nim związanych. W całych Niemczech północnych i środkowych od Altmark i Anhalt na wschodzie poprzez Brunswik, Hanower, Oldenburg i okręg harceński o jednej porze zapalają się wielkanocne ogniska na szczytach gór. Niekiedy można naliczyć ich aż czterdzieści w zasięgu oka ludzkiego. Na długo przed Wielkanocą młodzież zaczyna zbierać drzewo na podpałkę, każdy chłop przykłada się do zbiórki i dla uświetnienia ogniska znajdują się beczki smoły, całe blaszanki nafty i tym podobne. Sąsiadujące wioski idą w zawody, czyje ognisko jarzyć się będzie wspanialszym płomieniem. Rozpala się je co roku na tej samej górze, często noszącej w związku z tym nazwę Góry Wielkanocnej. Piękny to widok, gdy z wzniesienia ogląda się zapalające się jedno po drugim na szczytach okolicznych ogniska. Chłopi wierzą, że jak daleko sięga ich światło, tak daleko pola będą rodziły obficie, a domy, na których odbija się blask płomieni, chronione będą przed ogniem i chorobą. W Volkmarsen i innych miejscowościach Hesji ludzie bacznie przyglądali się, w którą stronę wiatr przechyla płomienie, i w tym właśnie kierunku siali len w przekonaniu, że ładnie obrodzi.

Tradycję ognisk wielkanocnych spotykamy również w Holandii, gdzie rozpalano je na najwyższych wzniesieniach, a ludzie tańczyli wokół płomieni i skakali przez nie. I tu, podobnie jak w Niemczech, drzewo na podpałkę zbierała młodzież krążąca od drzwi do drzwi. W wielu okolicach Szwecji w Wielką Sobotę strzela się z broni palnej we wszystkich kierunkach i wielkie ogniska rozpala na szczytach gór i wzniesień. Niektórzy ludzie uważają, że intencją tego obyczaju jest niedopuszczenie trolla i innych złych duchów szczególnie czynnych w tej porze roku.

W środkowej części Pogórza Szkockiego istniał w dawnych czasach zwyczaj rozpalania tak zwanych ognisk Beltane, w których szczególnie jasno i niedwuznacznie występowały ślady ofiar ludzkich. Ogniska te rozpalano w dniu pierwszego maja, a zwyczaj przetrwał w niektórych okolicach aż do późnych lat osiemnastego wieku. Opisy tych ceremonii pióra współczesnych pisarzy dają tak dziwny i ciekawy obraz starożytnego pogaństwa, które zachowało się w naszym kraju, że przytoczę je w słowach autorów. Najpełniejszy opis pozostawił John Ramsay, dziedzic majątku Ochertyre w pobliżu Crieff, mecenas Burnsa i przyjaciel sir Waltera Scotta. Oto co opowiada: "Ale największym z świąt druidzkich jest Beltane, czyli Dzień Majowy, do niedawna jeszcze bardzo uroczyście obchodzony w górach Szkocji... Podobnie jak inne oficjalne ceremonie druidów, święto Beltane urządzano na szczytach gór lub wzniesień. Druidowie uważali, że byłoby poniżające posądząć tego, którego świątynią jest wszechświat, że mógłby zamieszkać w domu wybudowanym przez ludzi. Ofiary składano wobec tego na wolnym powietrzu, zazwyczaj na szczytach gór, skąd roztaczały się najwspanialsze widoki i gdzie było najbliższej źródła ciepła i ładu. W ten właśnie sposób, jak głosi tradycja, obchodzono to święto w Szkocji przez ostatnie sto lat. Ale gdy przesady zaczęły wymierać, każda wioska obchodziła swe święto na jednej z gór wznoszących się w pobliżu, wokół której zazwyczaj wypasano owce. Tam udawała się

rano młodzież i wykopywała rów; na jego skraju układała darń i tam zasiadali uczestnicy uroczystości, a w środku ustawiano stos drzewa czy innego materiału opałowego i zapalano go przy pomocy *tein-eigin*, tzn. ognia wymuszonego czy też "ognia w potrzebie". Chociaż od wielu lat zadowolają się ogniem zwyczajnym, opiszemy jednakże sposób krzesania *tein-eigin*, ponieważ, jak później zobaczymy, posługują się nimi nadal przy specjalnych okazjach.

Poprzedniego wieczoru gaszono skrupulatnie wszystkie ognie w całej okolicy, a następnego ranka przygotowywano materiały do rozniecenia świętego ognia. Najbardziej prymitywne metody były chyba używane na wyspach Skye, Muli i Tyree. W środku dobrze wysuszonej deski dębowej wiercono otwór, a następnie krzesano ogień za pomocą czopa sporządzonego z tego samego gatunku drzewa. W niektórych miejscowościach posługiwano się innymi sposobami. Używano na przykład kwadratowej ramy ze świeżego drzewa, w środku której umieszczano oś. W pewnych miejscowościach trzykrotnie po trzy osoby na zmianę kręciły oś lub czop, w innych trzykrotnie po dziewięć osób. Jeśli któraś z nich popełniła cudzołóstwo, morderstwo, kradzież lub inną straszną zbrodnię, uważano, że albo ogień nie zapłonie, albo będzie pozbawiony swej mocy. Gdy na skutek gwałtownego tarcia pojawiały się iskry, przykładano pewien rodzaj łatwo zapalnej huby rosnącej na starych brzozech. Robiło to wrażenie ognia ściągniętego prosto z nieba i przypisywano mu wiele rozmaitych właściwości. Uważano, że chroni przed czarami i jest doskonałym panaceum na wszystkie choroby zarówno ludzi, jak i bydła. Pod wpływem tego ognia zmieniała się natura najsilniejszych jądów.

Po rozpaleniu ogniska za pomocą *tein-eigin* zebrane towarzystwo rozkładało przyniesione z sobą wiktuały. Po zakończeniu biesiady zabawiali się śpiewami i tańcami wokół ogniska. Pod koniec zabawy osoba, która pełniła funkcję mistrza ceremonii, przynosiła duże ciasto upieczone na jajkach i otoczone żąbkowanym ornamentem. Nazywało się ono *am bonnach beal-tine* - to znaczy ciasto Beltane. Krajano je na wiele kawałków i rozdzielano bardzo ceremonialnie pomiędzy uczestników. Jeden kawałek miał szczególne przeznaczenie. Osoba, która go dostawała, zwana była *cailleach beal-tine* - to znaczy starucha Beltane, nazwa wielce haniebna. Gdy się zorientowano, kto dostał ten kawałek, część towarzystwa chwyciła tę osobę i udawała, że chce ją wrzucić do ognia, ale większość obecnych wstawiała się za nią i chroniła ją od tego losu. W niektórych miejscowościach kładło się takiego człowieka na ziemię udając, że się go będzie ćwiartowało. Następnie obrzucano go skorupkami od jajek i przez cały rok zachowywał swe, przezwisko. Jak długo uroczystość była jeszcze świeża w pamięci ludzi, mówili o *cailleach beal-tine* jako o umarłym.

W Walii zwyczaj palenia ognisk Beltane również był przestrzegany na początku maja, ale data wahała się między wilią pierwszego maja a trzecim maja. Ogień krzesano czasami przez pocieranie dwóch kawałków dębowego drzewa, jak to wynika z następującego opisu: "Oto jak robiono ogień. Dziewięciu mężczyzn wypróżniało swoje kieszenie, wywracając je na zewnątrz, i uważali, by nie mieć przy sobie żadnych monet ani metalu. Udawali się następnie do najbliższego lasu i zbierali patyki dziewięciu różnych gatunków drzew. Zanoszono je na miejsce, gdzie miało zapłonąć ognisko.

Wycinano tutaj koło w darni, a patyki układano na krzyż. Wokół koła stali ludzie i przypatrywali się czynnościom. Jeden z mężczyzn brał wówczas dwa kawałki drzewa dębowego i pocierał je tak długo, aż wykrzesał z nich iskry. Niekiedy rozpalano dwa ogniska obok siebie. Ogniska te, bez względu na to, czy były to dwa, czy też jedno, nazywano *coelcerth*.

Okrągłe placki z owsianej i razowej mąki łamano na cztery części i chowano je w torebkach, a każdy z obecnych musiał wybrać swoją porcję. Kto wybrał kawałek placka z razowej mąki, musiał trzykrotnie skakać przez ognisko lub trzykrotnie biec między dwoma ogniskami, a ludzie uważali, że zapewnia im to bogate plony. Okrzyki i wrzaski tych, którzy mieli skakać przez ogień, rozlegały się daleko, ci zaś, którym przypadły kawałki placków owsianych, śpiewali, tańczyli i klaskali chwając skoki przez płomienie i biegi między ogniskami."

Znamienna jest ta wiara, że trzykrotny skok przez płomienie czy też bieg między ogniskami zapewnia bogate plony. Inny pisarz zajmujący się walijskim folklorem wyjaśnia, w jaki sposób osiągnano taki skutek. Jego zdaniem, wierzono, że "ogniska rozpalane pierwszego maja lub podczas letniego przesilenia chroniły ziemię przed czarami, a dzięki temu plony były dobre. Również popiół z ognisk uchodził za cenny talizman." Wydaje się więc, że żar ognisk miał użyżniać pola nie bezpośrednio przez przyspieszenie kiełkowania ziarna, lecz pośrednio: przez przeciwdziałanie niszczyielskim wpływom czarów, i być może, przez palenie wiedźm.

Ogniska Beltane były, jak się zdaje, rozpalane również w Irlandii. Cormac¹⁰⁴ "lub kto inny przybierający sobie to imię twierdzi, że *belltaine*, pierwszy maja, zwany był tak w związku z «szczęśliwym ogniem* czy też «dwoma ogniami», które druidowie Erinu zwykli byli rozpalać w ów dzień z wielkimi zaklęciami; i [jak dodaje] istniał zwyczaj sprowadzania bydła do tych ognisk względnie przeprowadzania go między nimi jako zabezpieczenie przed chorobami na cały rok". Zwyczaj pędzenia bydła przez ogień lub też między ogniami przetrwał w Irlandii jeszcze do czasów, które pamiętamy.

Najczęściej jednak w całej Europie odbywały się te święta ognia w czasie letniego przesilenia, tzn. w wilię letniego przesilenia, dwudziestego trzeciego czerwca, lub też w sam dzień przesilenia, dwudziestego czwartego. Świętom tym nadano z lekka chrześcijańskie zabarwienie mianując dzień dwudziestego czwartego dniem św. Jana Chrzciciela, ale nie ulega wątpliwości, że obrzędy te pochodzą z czasów znacznie wyprzedzających naszą erę. Letnie przesilenie jest wielkim punktem zwrotnym w karierze słońca. Po wspinaniu się coraz wyżej dzień po dniu po niebie światło niebieskie zatrzymuje się i odtąd zaczyna z powrotem schodzić coraz niżej. Na tego rodzaju chwilę musiał człowiek pierwotny spoglądać z lękiem, od kiedy zaczął obserwować bieg wielkich światłał po sklepieniu niebieskim i zastanawiać się nad nimi. A ponieważ jeszcze nie znał swojej bezsiły w obliczu olbrzymich cyklicznych zmian przyrody, być może, wyobraził sobie, że potrafi pomóc słońcu i ustrzec je przed pozornym upadkiem, podtrzymać je i swymi słabymi rękami rozniecić z powrotem czerwoną lampę.

Święta letniego przesilenia obchodzone przez naszych europejskich chłopów wzięły, być może, swój początek w podobnych rozważaniach. Bez względu na to jednak, jakie było ich źródło, święta te powszechnie obchodzono na całej naszej ćwierci kuli ziemskiej, od Irlandii na zachodzie do Rosji na wschodzie, od Norwegii i Szwecji na północy do Hiszpanii i Grecji na południu. Jak twierdzi pewien średniowieczny autor, trzema głównymi elementami obrzędów letniego przesilenia były: ogniska, procesje z pochodniami wokół pól i zwyczaj toczenia koła. Opowiada nam, że młodzi chłopcy palili kości i rozmaite śmieci, by wywołać cuchnący dym przepędzający szkodliwe smoki, które o tej porze roku, podniecone upałami, spółkowały w powietrzu i zatruwały studnie i rzeki zrzucając tam swe nasienie. Zwyczaj toczenia koła tłumaczy tym, że słońce, które osiągnęło punkt szczytowy swej ekliptyki, zaczyna odtąd schodzić coraz niżej.

Główne elementy świąt ognia podczas letniego przesilenia przypominają elementy wiosennych świąt ognia, a podobieństwo to występuje szczególnie jasno w następujących przykładach:

Autor z pierwszej połowy szesnastego wieku¹⁰⁵ opowiada o tym, że w każdej niemal wsi i każdym mieście niemieckim w wilię św. Jana rozpalano ogniska publiczne, a młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, gromadzili się przy nich i spędzali czas na tańcach i śpiewach. Przy tej okazji ludzie nakładali wianki z bylicy i werbeny, a na ogień patrzyli poprzez gałązki ostróżki, które trzymali w ręku wierząc, że to ochroni ich w ciągu nadchodzącego roku od chorób oczu. Odchodząc, każdy wrzucał wianek do ognia i mówił: "Niech moje niepowodzenia spalą się wraz z wiankami." W Dolnym Konz, wiosce położonej nad Mozela na wzgórzu, w ten oto sposób obchodzono doroczne letnie święto ognia: Na szczycie góry Stromberg gromadzono pewną ilość słomy. Każdy mieszkaniec, a przynajmniej Każdy gospodarz musiał dać swoją "porcję słońca" na ognisko. Po zapadnięciu zmroku cała ludność męska, dorośli i chłopcy, wspinali się na szczyt góry, kobietom nie wolno było im towarzyszyć, musiały zebrać się przy pewnym strumyku w połowie drogi na stoku. Na szczycie stało olbrzymie koło całkowicie owinięte w słomę wspólnie zebraną przez wieś, z reszty słomy robiono pochodnie. Po obu stronach koła wystawała na jakieś trzy stopy os tworząc w ten sposób uchwyty, za pomocą których chłopcy kierowali biegiem koła. Burmistrz pobliskiego miasteczka Sierck, który zawsze za pełnienie tej funkcji otrzymywał kosz czereśni, dawał znak. Do koła przytykano zapaloną pochodnię, a gdy wybuchało płomieniem, dwóch młodych chłopców, bystronogich i silnych, chwyciło za uchwyty i zaczynało zbiegać wraz z kołem po stoku. Rozlegał się głośny okrzyk. Wszyscy mężczyźni i młodzież wymachiwali pochodniami i starali się, by płonęły tak długo, dopóki koło nie znajdzie się u stóp góry. Młodzi ludzie, którzy kierowali kołem, mieli postarać się, by płonące koło znalazło się w Mozeli, ale rzadko im się to udawało, ponieważ winnice pokrywające większą część stoku przeszkadzały po drodze i koło często spalało się, zanim dotarło do rzeki. Gdy koło przelatywało koło niewiast, witały je radosnymi okrzykami, na które odpowiadali

¹⁰⁴ Cormac (853-908) - król Cashel w Irlandii. Panował od 900 do 908 r. Zginął w bitwie. Przypisuje mu się zestawienie spisu wyrazów irlandzkich, a więc coś w rodzaju słownika irlandzkiego.

¹⁰⁵ J. Boemus w *Mores, leges et Htus omnium gentium*, Lyons 1541.

mężczyźni stojący na szczycie. Wtórowali im mieszkańcy sąsiednich wiosek, obserwujący widowisko ze swych gór po przeciwnej stronie Mozeli. Jeśli udało się ogniste koło zapędzić do rzeki i zgasić je w niej, spodziewano się obfitego winobrania, a mieszkańcy Konz mieli prawo wyegzekwować od swoich sąsiadów wóz białego wina. Wierzyli równocześnie, że jeśli zwyczaju tego nie będą przestrzegali, będzie dostanie drgawek i zawrotów głowy i będzie tańczyło w oborach.

Co najmniej do połowy dziewiętnastego wieku ogniska z okazji letniego przesilenia rozpalano w całej Górnej Bawarii. Palono je szczególnie na górach, ale również po całej nizinie i dowiadujemy się, że w ciszy i mrokach nocy poruszające się grupy oświetlone płomieniami były widowiskiem pozostawiającym duże wrażenie. Przez ogień przeprowadzano bydło, by uleczyć chore zwierzęta i chronić zdrowe przed zarazami i wszelkimi nieszczęściami przez cały rok. Wielu gospodarzy gasiło w ten dzień ogień płonący na paleniskach domowych i zapalało go na nowo od płonącej szczapy przyniesionej z letniego ogniska. O wysokości lnu wróźono z wysokości płomieni, a ten, kto przeskoczył przez ognisko, mógł być pewny, że nie będą go bolały krzyże podczas zniw. W wielu okolicach Bawarii wierzono, że len urośnie tak wysoko, jak wysoko skakali chłopcy przez ogień. W innych znowu starsi ludzie wtykali na polu trzy zwęglone patyki z ogniska wierząc, że dzięki temu len będzie rósł wysoko. W innych miejscowościach patyki te wtykano w dachy, by strzec je przed pożarami. W miasteczkach w okolicy Wurzburga stosy rozpalano na rynkach, a młodzi ludzie, którzy przez nie skakali, nosili wieńce z kwiatów, w szczególności z bylicy i z werbeny, a w rękach trzymali gałązki ostróżki. Sądziło się, że ci, którzy patrzyli w ogień trzymając przed twarzą gałązki ostróżki, nie będą cierpieć na oczy przez cały rok. W szesnastym wieku istniał w Wurzburgu zwyczaj rzucania płonących drewnianych krążków⁴ przez ludzi biskupa w powietrze z góry wznoszącej się nad miastem. Krążki wyrzucano w powietrze za pomocą giętkich różdek, a gdy leciały w ciemnościach, robiły wrażenie ognistych smoków.

W Danii i Norwegii ogniska w wilię św. Jana rozpalano na drogach, w otwartych miejscach i na górach. Norwegowie uważali, że ogniska te zapobiegają chorobie bydła. Jeszcze dotąd płoną w Norwegii ogniska w wilię św. Jana. Rozpala się je, by przepędzić wiedźmy, co rzekomo zlatują się w tę noc z wszystkich stron świata na Blocksberg, górę, na której mieszka wielka wiedźma. W Szwecji wilia św. Jana (St. Hans) jest najweselszym wieczorem roku. W całym kraju, a szczególnie w prowincjach Bohus i Skania oraz w okolicach sąsiadujących z Norwegią, obchodzi się to święto częstą strzelaniną i olbrzymimi ogniskami, które dawniej zwano sobótkami Baldura (Balder's Balar), zapalonymi o zmroku na górach i wzniesieniach i rozświetlającymi swymi łunami całą okolicę. Ludzie tańczą wokół ognisk i skaczą przez nie. W niektórych okolicach Norrland w wilię św. Jana ogniska pali się na rozdrożach. Buduje się je z dziewięciu różnych gatunków drzewa, a widzowie rzucają w płomień trujące grzyby pewnego gatunku (*Baran*), by przeciwdziałać mocy trollów i innych duchów, które, jak głosi wierzenie, tej nocy są na wolności. Albowiem w tym tajemniczym okresie otwierają się góry i z ich głębin przepastnych wyrusza na świat niesamowita armia, by potaćzyć i pobawić się. Chłopi wierzą, że gdyby jakieś trolle zjawiły się w pobliżu, ludzie by je zobaczyli, a gdy na przykład koza lub cap zbliżą się do

płonącego ogniska, chłopcy są stanowczo przekonani, że to nie kto inny, jak Zły we własnej osobie. Warto jeszcze zaznaczyć, że wilia św. Jana jest w Szwecji nie tylko świętem ognia, lecz również i wody. Pewne święte źródła posiadają tej nocy niezwykle właściwości lecznicze i wielu chorych udaje się do nich, by wyleczyć się ze swych dolegliwości.

W wilię św. Jana ogniska rozpala się jeszcze obecnie w całych Czechach. Po południu chłopcy chodzą po domach z taczkami zbierając paliwo i grożąc sknerom straszliwymi następstwami. Niekiedy młodzież ścina młodą prostą jodełkę w lesie, dziewczęta przybierają ją bukietami, wieńcami z liści i czerwonymi wstążkami. Dookoła jodełki układa się chrust, a wieczorem wszystko to się podpala. Gdy płomienie wybuchają, młodzi chłopcy wspinają się na drzewo i zdejmują wieńce, które dziewczyny na nim zawiesiły. Potem chłopcy i dziewczęta stoją po obu stronach ogniska i patrzą na siebie przez wieńce, by zobaczyć, czy będą sobie wierni i pobiorą się w najbliższym roku. Dziewczęta rzucają również wieńce przez ognisko i biada niezgrabnemu kawalerowi, który nie złapie wieńca rzuconego mu przez jego bogdanę. Gdy płomienie zamierają, każda para bierze się za ręce i razem trzykrotnie przeskakują przez ognisko. Tym, którzy to zrobili, nie grozi przez cały rok febra, a len urośnie tak wysoko, jak wysoko skakali młodzi. Dziewczyna, która zobaczy dziewięć ognisk w ten wieczór, wyjdzie z pewnością za mąż w ciągu roku. Osmalone wieńce przechowywane są starannie przez cały rok. Podczas burzy spala się w ogniu kawałek wianka i odmawia przy tym modlitwę, kawałek daje się krowom, gdy chorują lub się ciela, a reszta służy do okadzania domu i obory, by ludzie i bydło byli zdrowi i dobrze im się wiodło. Czasami smaruje się stary wóz drabiniasty żywicą, podpala i puszcza po stoku góry. Często chłopcy zbierają wszystkie stare miotły, na jakie natrafią, zanurzają je w smole, zapalają, wymachują nimi w powietrzu i podrzucają wysoko. Niekiedy biegną całą gromadą z płonącymi miotłami po stoku góry wymachując nimi i krzycząc. Trzonki mioteł i popalone drewnienka przechowuje się, by następnie wetknąć je między kapustę chroniąc ją w ten sposób przed gąsienicami i owadami. Niektórzy wtykają zwęglone patyki z letniego ogniska na zasianych polach, łąkach, w ogrodach i na dachach jako talizman zabezpieczający przed piorunami i złą pogodą albo wyobrażają sobie, że popiół na dachu ochroni dom przed wszelkimi pożarami. W niektórych okolicach, gdy ognisko płonie, nakładają sobie na głowę i przepasują się wiankami z bylicy, uważając, że jest to środek chroniący przed duchami, wiedźmami i chorobą; wieniec z bylicy chroni w szczególności przed chorobami oczu. Niekiedy dziewczęta patrzą na ognisko przez girlandy polnych kwiatów, prosząc ogień, by dał im lepszy wzrok i mocniejsze powieki. Dziewczyna, która to uczyni trzykrotnie, nie będzie chorowała na oczy przez cały rok. W niektórych okolicach Czech pędzono krowy przez ognisko, by uchronić je przed złymi urokami.

W krajach słowiańskich letnie przesilenie obchodzone jest w podobny sposób. Wiemy o tym, że w Rosji w wilię św. Jana młodzież skacze przez ognisko parami z figurą Kupały w ramionach. W niektórych okolicach Rosji figurę Kupały pali się w noc św. Jana lub wrzuca do rzeki. W innych okolicach Rosji młodzież nosi wieńce z kwiatów i pasy z świętych ziół, gdy skaczą przez dym lub płomienie, a niekiedy pędzą przez ogień bydło, by ochronić zwierzęta przed czarownikami i wiedźmami, którzy w tym czasie

spragnieni są mleka. Na Ukrainie wbija się w ziemię drąg owinięty słomą i pali, a gdy płomień wzbija się do góry, kobiety wrzucają w niego gałązki brzozy mówiąc: "Niech mój len wyrośnie tak wysoko jak ta gałąź." Na Rusi Zakarpackiej ognisko rozpala się ogniem wykrzesanym za pomocą dwóch kawałków drzewa. Gdy starsi zajmują się "robieniem" ognia, reszta przypatruje się w uroczystym milczeniu, ale gdy płomień buchnie, zaczynają śpiewać radosne pieśni. Gdy tylko ognisko się zapali, młodzież bierze się za ręce i parami skacze przez dym, a nawet przez płomień. Następnie pędzi się przez ogień bydło.

W wielu okolicach Prus i Litwy rozpala się wielkie ogniska w noc letniego przesilenia. Płoną one na wszystkich wzgórzach, jak okiem sięgnąć. Ogniska te mają stanowić ochronę przed czarami, grzmotami, gradem, chorobami bydła, szczególnie jeśli przepędzi się je następnego ranka przez miejsca, w których palono ogniska. Ale przede wszystkim ogniska chronią chłopów przed podstępami czarownic, które usiłują kraść mleko krowom za pomocą uroków i zaklęć. Dlatego to można zobaczyć, jak młodzi ludzie, którzy zapalali ognisko, chodzą następnego rana od domu do domu i otrzymują dzbanki mleka. W tym samym celu wtykają rzepie i bylice we wrota lub żywopłot, przez które krowy idą na pastwisko, ponieważ i to ma służyć jako ochrona przed czarami. Na Mazurach, w dzielnicy Prus Wschodnich zamieszkałej przez Polaków, istnieje zwyczaj wygaszania wszystkich ogni w wioskach w wilię św. Jana. Wbija się następnie w ziemię dębowy pal i umieszcza na nim koło jak na osi. Koło to chłopci na zmianę szybko kręcą, aż na skutek tarcia wykrzeszą ogień. Każdy zabiera do domu zapaloną główkę i rozpala nią nowy ogień w domu. W Serbii w noc letniego przesilenia pasterze zapalają pochodnie z kory brzozy i obchodzą z nimi zagrody dla owiec i obory dla bydła. Idą potem na szczyt góry, gdzie pochodnie się dopalają.

Madziarowie na Węgrzech obchodzą letnie święto ognia w podobny sposób jak wiele innych krajów Europy. Zwyczaj rozpalania ognisk na wzniesieniach w wilię letniego przesilenia jest szeroko rozpowszechniony. Młodzi ludzie skaczą przez ogień, a widzowie wróżą z tego, czy skaczący szybko się ożenią. Tego również dnia wielu świniopasów krzesze ogień kręcąc koło osadzone na drewnianej osi owiniętej konopiem, a przez ogień w ten sposób rozniecony przeprowadzają swe trzody świń, by ochronić je przed chorobami.

Estończycy w Rosji należą, podobnie jak Madziarowie, do wielkiej turańskiej rodziny ludów i obchodzą letnie przesilenie tak jak i inni. Uważają, że ogień św. Jana chroni bydło przed wiedźmami, i mówią, że kto do ogniska nie przyjdzie, będzie miał mnóstwo ostu w jęczmieniu i chwastów w owsie. Na estońskiej wyspie Oesel wrzucając drzewo do ogniska wołają: "Chwasty do ognia, len na pole!", albo wrzucają w płomień trzy polana mówiąc: "Niech len rośnie wysoko!" Potem zwęglone patyki zabierają z sobą do domu, by bydło rozmnażało się. W niektórych częściach wyspy ognisko robi się z chrustu i innego paliwa ułożonego wokół drzewa, z chorągwią powiewającą ze szczytu. Ten, któremu uda się strącić tyką chorągiew, zanim tyka się zapali, osiągnie powodzenie. Dawniej uroczystości trwały do rana i kończyły się rozpusztą, która wyglądała jeszcze bardziej obrzydliwie w świetle letniego poranka.

Przechodząc ze wschodu na zachód Europy widzimy, że letnie przesilenie dnia i nocy obchodzone jest w podobny sposób. Prawie do połowy dziewiętnastego wieku zwyczaj palenia ognisk był tak rozpowszechniony we Francji, że nie było miasteczka, czy wioski, gdzie by go nie przestrzegano. Ludzie tańczyli wokół ognisk, skakali przez nie i zabierali z sobą zwęglone patyki, by chronić domy przed pożarami, piorunami i czarami.

W Jumieges w Normandii do połowy dziewiętnastego wieku przetrwało letnie święto ognia o szczególnych cechach świadczących o wielkiej starożytności tego obyczaju. Co roku dwudziestego trzeciego czerwca, w wilię św. Jana, bractwo Zielonego Wilka wybierało nowego wodza czy też mistrza, który zawsze musiał pochodzić z wioski Conihout. Po wyborze nowy mistrz bractwa przybierał tytuł Zielonego Wilka i ubierał się w specjalny kostium, składający się z długiego zielonego płaszcza i bardzo wysokiego zielonego stożkowatego kapelusza bez ronda. W tym przebraniu kroczył uroczyście na czele bractwa do miejsca zwanego Chouquet, śpiewając hymn św. Jana. Przed nim niesiono krucyfiks i chorągiew kościelną. W Chouquet na procesję oczekiwał ksiądz, kierownicy chóru i chór, którzy odprowadzali bractwo do parafialnego kościoła. Po wysłuchaniu mszy kompania udawała do domu Zielonego Wilka, gdzie spożywała skromny posiłek. W nocy rozpalano ognisko przy dźwiękach ręcznych dzwonków, którymi dzwonili młody kawaler i młoda panna przystrojeni kwiatami. Potem Zielony Wilk i bractwo, z kapturami opuszczonymi na oczy, biegli wokół ogniska za mężczyzną, który został wybrany Zielonym Wilkiem na rok następny. Chociaż jedynie pierwszy i ostatni człowiek w łańcuchu miał wolną rękę, zadaniem ich było trzykrotnie schwytać i otoczyć Zielonego Wilka, który usiłując wymknąć się okładał bractwo długim kijem. Gdy wreszcie udało im się go złapać, prowadzili go do ogniska i udawali, że chcą go wrzucić w płomień. Po ceremonii wracali do domu Zielonego Wilka, gdzie podawano im kolację, znowu bardzo skąpą. Do północy panował nastrój prawie religijnie uroczysty. Ale z uderzeniem godziny dwunastej wszystko się zmieniało. Wstrzemięźliwość ustępowała miejsca wyuzdaniu, nabożne pieśni zastępowano bakchicznymi piosnkami, a ostre, drżące dźwięki wiejskich skrzypek ledwie przebijały się przez wrzask rozweselonego bractwa Zielonego Wilka. Następnego dnia, dwudziestego czwartego czerwca, te same osoby z tą samą hałaśliwą wesołością obchodziły letnie przesilenie. Jedną z ceremonii polegała na obnoszeniu przy palbie muszkietów olbrzymiego bochna poświęconego chleba w kształcie tarasowatego stożka z ozdobioną wstążkami piramidą zieleni na szczycie. Następnie święte dzwonki złożone na stopniach ołtarza wręczano jako insygnia władzy człowiekowi, który miał pełnić funkcję Zielonego Wilka w nadchodzącym roku.

Zwyczaj zapalania ognisk przestrzegany był w naszym kraju i jak zwykle ludzie tańczyli wokół ognisk i skakali przez nie. W Walii dla zbudowania ogniska potrzeba było trzech lub dziewięciu różnych rodzajów drzewa i zwęglonych prętów przechowanych pieczołowicie od zeszłorocznego święta. Ognisko rozpalano zazwyczaj na wzniesieniu. W dolinie Glamorgan zapalano wóz owinięty w słomę i spuszczano go po stoku góry. Jeśli płonął przez całą drogę i jeszcze długo po dotarciu do stóp góry, wróżono z tego obfite zbiory. Mieszkańcy wyspy Man zwykli byli w wilię letniego przesilenia zapalać na

wszystkich polach ognie zgodnie z kierunkiem wiatru, by dym przeszedł nad zbożem. Spędzali również bydło i obchodzili je kilkakrotnie z płonącym kolcolistem i janowcem.

Obyczaj rozpalania ognisk w wilię letniego przesilenia był do niedawna rozpowszechniony w całej Hiszpanii i w niektórych okolicach Włoch i Sycylii. Na Malcie wielkie ogniska rozpalano na ulicach i placach miast i wiosek w wilię Św. Jana. Dawniej wielki mistrz zakonu św. Jana zwykł był tego wieczora podpalać stos beczek ze smołą przed budynkiem świętego Szpitala¹⁰⁶. Również i w Grecji zwyczaj palenia ognisk w wilię św. Jana był powszechny. Jedną z przyczyn, jak słyszymy, była chęć pozbycia się much. Według innej relacji, kobiety przeskakując przez ogień wołają: "Pozostawiam za sobą me grzechy!" Na Lesbos zazwyczaj zapala się po trzy ogniska świętojańskie, a ludzie przeskakują je trzykrotnie z kamieniem na głowie mówiąc przy tym: "Skaczę przez zajęczy ogień, moja głowa z kamienia." W Kalimnos ognisko w dniu przesilenia ma zapewnić obfitość w nadchodzącym roku i uchronić przed muchami. Ludzie tańczą i śpiewają wokół ognisk z kamieniami na głowie, a potem skaczą przez płomienie lub żarzące się węgle. Gdy ogień wygasa, robią znak krzyża na nogach i udają się prosto do morza, by się wykąpać.

Zwyczaj palenia ognisk w dniu przesilenia letniego rozpowszechniony jest szeroko u ludów mahometańskich w Afryce Północnej, szczególnie w Maroku i Algierze. Przestrzegają go zarówno Berberowie, jak i wiele plemion arabskich i używających języka arabskiego. W krajach tych letnie przesilenie (dwudziestego czwartego czerwca wg starego stylu) nazywa się *l'dnsara*. Ogniska rozpala się na dziedzińcach, rozdrożach, na polach, a niekiedy na klepiskach. Jako paliwo szczególnie poszukiwane są rośliny wydające silny, aromatyczny zapach i dające dużo dymu; należą do nich: koper, tymianek, ruta, trybulka, rumianek, pelargonja i mięta. Ludzie ustawiają siebie i dzieci w ten sposób, by dym wiał w ich kierunku, i pędzą go na sady i pola. W niektórych miejscowościach wszyscy muszą skakać przez ogień, gdziekolwiek należy skakać siedmiokrotnie. Zabierają również płonące gałęzie z ogniska, by wykadzić domy. Przenoszą przez ogień rozmaite przedmioty i sprowadzają do ogniska chorych, modląc się o ich powrót do zdrowia. Popioły ogniska również mają posiadać pozytywne własności. W niektórych miejscowościach ludzie nacierają sobie nimi włosy i ciała. W innych uważają, że skacząc przez ogień pozbywają się niepowodzeń i że bezdzietne pary doczekają się w ten sposób potomstwa.

Obchodzenie świąt letniego przesilenia przez ludy mahometańskie jest tym godniejsze uwagi, że w kalendarzu mahometańskim, wyłącznie księżycowym i nie skorygowanym przez wprowadzenie dodatkowych dni, oczywiście nie ma wcale świąt zajmujących stałe pozycje w roku słonecznym.

¹⁰⁶ Jednym z głównych celów i obowiązków zakonu joannitów (później zakonu rodyjskiego i maltańskiego) było - obok walki z niewiernymi - pielęgnowanie chorych. Na czele zakonu stał wielki mistrz "szpitala św. Jana w Jerozolimie i opiekun ubogich Jezusa Chrystusa". Gdy po utracie Rodosu, opanowanego przez Turków, joannici przenieśli się na oddaną im do dyspozycji przez cesarza Karola V Malte, przybrali nazwę rycerzy maltańskich. Jednym z ich pierwszych czynów było wybudowanie na Malcie pięknego i wielkiego szpitala, który zachował się po dziś dzień. W r. 1552 pod wielkim mistrzem

Wszystkie ściśle mahometańskie święta związane są z księżycem i wraz z tym światłem niebieskim wędrują przez cały okres obrotu ziemi wokół słońca. Już ten fakt dowodzi, że wśród ludów mahometańskich Afryki Północnej, podobnie jak wśród chrześcijańskich ludów Europy, święto letniego przesilenia jest zupełnie niezależne od religii wyznawanej oficjalnie, że jest ono pozostałością po znacznie wcześniejszym pogaństwie.

Z dotychczasowych wywodów możemy wyciągnąć wniosek, że u pogańskich przodków narodów europejskich najbardziej rozpowszechnionym i popularnym świętem były wielkie obrządki w wilię letniego przesilenia lub w sam dzień przesilenia. Zbieżność święta z letnim przesileniem nie może być dziełem przypadku. Musimy raczej uważać, że nasi pogańscy przodkowie celowo wyznaczali święto ognia na ziemi w takim terminie, by zbieżne było z osiągnięciem przez słońce najwyższego punktu w swej podróży po niebie. Wynikałoby z tego, że twórcy tych obrządków obserwowali przesilenia względnie zwrotne punktu pozornej drogi słońca po niebie i regulowali swój kalendarz świąteczny biorąc do pewnego stopnia pod uwagę względy astronomiczne.

Jest to raczej pewne w odniesieniu do większości pierwotnych mieszkańców znacznej części kontynentu europejskiego, ale chyba nie odnosi się do ludów celtyckich, które zamieszkiwały najdalsze zakątki Europy, wyspy i przylądki wcinające się w Ocean Atlantycki na północnym zachodzie kontynentu. Główne święta ognia Celtów, które przetrwały, co prawda tylko w pewnych okolicach, i obchodzone są z nie tak wspaniałym jak dawniej ceremoniałem do naszych czasów, pozornie nie miały nic wspólnego z położeniem słońca na niebie. Były dwa takie święta wypadające w odstępach sześciomiesięcznych. Jedno obchodzono w wilię pierwszego maja, drugie w Allhallow Even, pospolicie nazywane Hallowe'en, to znaczy trzydziestego pierwszego października, w przeddzień Wszystkich Świętych, czyli Allhallows' Day. Daty te nie są zbieżne z żadnymi z czterech zawiasów, na których obraca się rok słoneczny, to znaczy ze zrównaniami i przesileniami. Nie są również zbieżne z porami rolniczego roku, wiosennym siewem i jesiennymi żniwami. Pierwszego maja ziarno od dawna jest już zasiane, a na początku listopada pola już są nagie, plony dawno zebrane i złożone w spichrzach, drzewa owocowe оголоcone, a nawet żółte liście pośpiesznie zlatują na ziemię. Mimo to pierwszy maja i pierwszy listopada są punktami zwrotnymi roku europejskiego. Pierwsza data jest zapowiedzią miłego ciepła i bogatej roślinności lata, druga oznajmia, a nawet przynosi z sobą chłody i nagość zimy. Ale jeśli nawet te szczególne chwile roku, jak na to słusznie wskazał pisarz uczoney i inteligentny¹⁰⁷, nie mają większego znaczenia dla europejskiego rolnika, są bardzo ważne dla europejskiego hodowcy, ponieważ z nadejściem lata ma wypędzić swe trzody na łąki, by żywiły się świeżą trawą, a z nadejściem zimy musi je zaprowadzić z powrotem do bezpiecznej przystani zagrody. W związku z tym wydaje się rzeczą prawdopodobną, że celtyckie przepołowienie roku sięga czasów, gdy Celtowie zajmowali się

Janem de la Valette Parisot zdołali obronić się przed atakiem olbrzymiej armii tureckiej, a miasto powstałe w tym okresie nazwali na cześć mistrza La Yaletta.

głównie pasterstwem, gdy byt ich uzależniony był jeszcze głównie od trzód, toteż kluczowymi datami roku były dla nich dni, gdy wczesnym latem wyprowadzano trzody na pastwiska i gdy powracały na początku zimy. Nawet w Europie Środkowej, tak odległej od okolic zamieszkałych obecnie przez Celtów, można wyśledzić podobny podział roku w olbrzymim rozpowszechnieniu obchodów dnia pierwszego maja i jego wili (nocy Walpurgi), a z drugiej strony w dniu Wszystkich Świętych na początku listopada, w którym pod cienkim chrześcijańskim płaszczem kryje się starożytne pogańskie święto umarłych. Wolno nam z tego wyciągnąć wniosek, że w całej Europie niebieski podział roku według przesileni wyprzedzany był przez podział, który możemy nazwać ziemskim, a którego węzłowymi elementami były początek lata i początek zimy.

Oba te wielkie święta celtyckie, pierwszego maja i pierwszego listopada lub, ściślej, wiliie obu tych dni, bardzo są do siebie podobne, zarówno pod względem obowiązujących obrządków, jak i przesądów z nimi związanych, i oba zdradzają starożytne i pogańskie pochodzenie. Święto Majowe, czyli Beltane, jak je nazwali Celtowie, zostało już opisane. Pozostaje jeszcze przedstawić opis Hallowe'en, zapowiadającego nadejście zimy.

Hallowe'en było prawdopodobnie z dawna świętem ważniejszym, ponieważ Celtowie uważali, zdaje się, właśnie Hallowe'en, a nie Beltane za pierwszy dzień nowego roku. Na wyspie Man, jednej z fortec, w której język i obyczaje celtyckie najdłużej przetrzymały saksońskie oblężenie, pierwszy listopada starego stylu do niedawna jeszcze uważano za dzień noworoczny. W tym dniu zwykli byli chodzić kolędnicy śpiewając w miejscowym języku coś w rodzaju pieśni noworocznej, zaczynającej się od słów: "Dziś mamy wieczór noworoczny, Hogunnaa!" W dawnych czasach w Irlandii rozpalano w Hallowe'en, czyli wilię Samhain, nowy ogień, od którego zapalano wszystkie ogniska w Irlandii. Tego rodzaju zwyczaj wskazuje dobitnie na to, że Samhain, czyli Wszystkich Świętych, było dniem noworocznym, jest bowiem rzeczą zupełnie naturalną, że nowy ogień rozpala się z początkiem nowego roku, by błogosławieństwa jego trwały przez wszystkie dwanaście miesięcy.

Nie tylko Celtowie, ale wszystkie ludy europejskie uważały od najdawniejszych czasów tę noc stanowiącą przejście od jesieni do zimy za porę, gdy dusze zmarłych przychodzą w odwiedziny do swych dawnych domów, by ogrzać się przy ogniu i podjąć sobie dobrze z przygotowanych przez kochających ich krewniaków wiktuałów, wyłożonych w kuchni lub izbie mieszkalnej. Naturalna to była przecież myśl, że nadejście zimy wypędzi biedne drżące i głodne duchy z nagich pól i ogołoconych z liści lasów, że będą szukały schronienia w domach, przy znanych im ogniskach. Powraca przecież ryczące bydło z letnich pastwisk w lasach i na górach, by szukać schronienia i opieki w zagrodach, gdy w chwiejących się gałęziach gwizdzą ponury wiatr, a w kotlinach rosną zaspasne śnieżne. Czy może dobry gospodarz i dobra gospodyni odmówić duchom zmarłych gościnności, której użyczają swym krowom?

¹⁰⁷ Frazer mówi tu o sir Edmundzie Kerchever Chambersie (1866-1954), angielskim uczonym filologu i historyku dramatu, oraz o jego książce *The Mediaeval Stage*.

Ale nie tylko niewidzialne dusze zmarłych krążą w ten dzień, "gdy jesień zimie błądy dzień oddaje". Czarownice pędzą w swych niecznych sprawach, niektóre okrakiem na miotłach, inne galopując po drogach na burch kotach, które na ten jeden wieczór zamieniają się w czarne jak węgiel rumaki. Tej nocy krążą również swobodnie wróżki i najrozmaitsze skrzaty.

Celtyckie chłopstwo zawsze otaczało Halloween aurą tajemniczości i lęku, a przecież ludowe uroczystości, przynajmniej w nowszych czasach, nie odznaczały się zupełnie mrocznym nastrojem. Wręcz przeciwnie, towarzyszą im barwne obrządki i wesołe zabawy, dzięki którym staje się Halloween najweselszym wieczorem roku.

Jeśli jednak pogaństwo starożytnej Europy obchodzili, jak na to wskazuje wiele ważkich dowodów, letnie przesilenie wielkim świętem ognia, którego ślady przetrwały w wielu miejscach do naszych czasów, nasuwa się w sposób naturalny przypuszczenie, że podobne obyczaje były zapewne przestrzegane również przy zimowym przesileniu.

We współczesnym świecie chrześcijańskim starożytne święta ognia przetrwały, jak się zdaje, do ostatnich czasów w starym zwyczaju bożonarodzeniowej kłody. Zwyczaj ten był rozpowszechniony w całej Europie, lecz szczególnie rozkwitł w Anglii, Francji i u Słowian południowych, w każdym razie najpełniejsze opisy owego obyczaju pochodzą właśnie z tych krajów. Nasz znawca starożytności, John Brand¹⁰⁸, już dawno wskazał na to, że kłoda Yule była jedynie zimowym odpowiednikiem ogniska z okazji letniego przesilenia, rozpalanym w domu zamiast na wolnym powietrzu ze względu na zimno i niesprzyjającą pogodę. Jego pogląd podtrzymuje istnienie wielu dziwnych przesądów związanych z kłodą Yule, nie mających żadnego widocznego związku z chrześcijaństwem, ale noszących bardzo wyraźne piętno pogaństwa.

Opisane dotąd święta ognia obchodzone były regularnie w określonych porach roku. Ale poza tymi regularnie powtarzającymi się obrządkami chłopcy w wielu krajach europejskich zwykli byli od niepamiętnych czasów posługiwać się ogniem w wypadkach nieszczęść i klęsk żywiołowych, przede wszystkim zaś gdy było padało ofiarą zarazy. Relacja o europejskich świętach ognia nie byłaby pełna bez uwzględnienia tych niezwykłych obrządków, na które tym bardziej powinniśmy zwrócić uwagę, że, być może, one to właśnie są źródłem i początkiem wszystkich innych świąt ognia. Jest rzeczą niewątpliwą, że sięgają bardzo odległej starożytności. Wśród ludów teutońskich znane są powszechnie jako "ogień w potrzebie". Czasami nazywano je również "ogniami dzikimi", niewątpliwie w odróżnieniu od ognia poskromionego, wytwarzanego sposobami bardziej pospolitymi. Słowianie nazywają je "żywymi ogniami".

Historię obyczaju można wyśledzić już we wczesnym średniowieczu, kiedy to Kościół potępił go jako pogański przesąd. Przetrwał on do połowy dziewiętnastego wieku, kiedy to jeszcze bywał od czasu do czasu stosowany w rozmaitych częściach Niemiec, Anglii, Szkocji i Irlandii. Wśród ludów słowiańskich

¹⁰⁸ John Brand (1744-1806) - angielski historyk, badacz starożytności i topografii.

przetrwał, zdaje się, jeszcze dłużej. Okazją do krzesania takiego ognia jest zazwyczaj wybuch zarazy wśród bydła, na które, jak lud wierzy "ogień w potrzebie" jest lekarstwem niezawodnym.

Powszechnie przyjętą metodą wytwarzania "ognia w potrzebie" jest pocieranie dwóch kawałków drzewa. Nie wolno krzesać go za pomocą krzemienia lub stali. Wyjątkowo u niektórych Słowian południowych istniał zwyczaj krzesania "ognia w potrzebie" przez uderzenie w kawałek żelaza na kowadle. Tam gdzie używa się w tym celu drzewa, powinien to być dąb, ale w Dolnej Nadrenii ogień rozpalano trąc kawałki zarówno drzewa dębowego, jak i jodłowego. W krajach słowiańskich słyszymy o topoli, gruszy i dereniu. Często mowa jest po prostu o drzewie, niekiedy zaś potrzeba do tego celu dziewięciu różnych gatunków drzewa, ale raczej na to, żeby je spalić w ognisku niż żeby je pocierać w celu wytworzenia "ognia w potrzebie".

Istniały również najrozmaitsze przepisy określające, jacy ludzie mogą czy też powinni tym się zajmować.

Ogniem tym sposobem uzyskanym zapalano ognisko, a gdy tylko płomień nieco opadł, przeprowadzano przez żarzące się węgle chore bydło, niekiedy w ustalonym porządku - najpierw świnie, potem krowy i na samym końcu konie. Czasami przeprowadzano je przez ogień dwa, trzy i nawet więcej razy, zdarzało się więc, że poszczególne sztuki bydła zostawały śmiertelnie poparzone. Gdy tylko skończono przeprowadzanie zwierząt przez ogień, młodzi rzucali się dziko na popioły i nie dopalone węgle obrzucając się nimi i czerniąc. Ci, którzy byli najbardziej wysmarowani, maszerowali triumfalnie za bydłem przez wieś i przez długi czas potem się nie myli. Ludzie zabierali z ogniska płonące szczapy i rozpalali nimi ogniska w domu. Po zgaszeniu takiej szczapy w wodzie wkładało się ją czasami do żłobu, z którego jadło bydło, i pozostawiało ją tam na pewien czas. Popioły z "ognia w potrzebie" rozsypywano również po polach, by chronić zboże przed szkodnikami, niekiedy zaś zabierano je do domu. Używano ich jako lekarstwa przeciwko chorobom, posypywano nimi miejsce obolałe albo mieszano z wodą i dawano choremu do picia.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

INTERPRETACJA ŚWIĄT OGNI

Dotychczasowy przegląd ludowych świąt ognia w Europie nasuwa pewne spostrzeżenia natury ogólnej. Po pierwsze, trudno nie zwrócić uwagi na podobieństwa poszczególnych obrządków bez względu na to, w jakiej porze roku i w jakiej części Europy są obchodzone.

Po drugie, tak samo podobne są do siebie korzyści, jakich ludzie się po nich spodziewają. Ogień w każdej postaci, zarówno jako ognisko płonące w ustalonym miejscu lub jako pochodnie, z którymi się chodzi od domu do domu, jako żarzące się węgielki lub popioły pobrane z tłącego się ogniska, wywiera zawsze dobroczynny wpływ na plony i ludzi. Jest to albo moc pozytywna dodająca sił życiowych, albo też negatywna chroniąca przed takimi niebezpieczeństwami i klęskami, jak pioruny, błyskawice, pożary, wędnięcie roślin, pleśń, robactwo, bezpłodność, epidemie i bynajmniej niepoślednie miejsce w tym spisie zajmujące czary.

Możemy oczywiście zadać pytanie, jak to się stało, że tak różnorodnych korzyści oczekuje się od tak prostych środków? Jak mogli sobie ludzie wyobrażać, że uzyskają tyle łask i unikną tylu bied przez zastosowanie ognia i dymu, żarzącego się węgla i popiołu? Współcześni nam naukowcy dają na to dwie odpowiedzi. Jedni utrzymują, że są to czary słoneczne względnie magiczne obrządki mające na celu zapewnienie ludziom, zwierzętom i roślinom dostatecznego zasobu promieni słonecznych przez rozpalanie ognia, które naśladują na ziemi wielkie źródła światła i ciepła na niebie. Taki był pogląd Wilhelma Mannhardta. Można to nazwać teorią słoneczną. Inni natomiast utrzymywali, że ognie obrzędowe niekoniecznie związane są ze słońcem, lecz mają po prostu intencję oczyszczającą, mają na celu spalenie i zniszczenie wszystkich szkodliwych sił bez względu na to, czy przybierają one fizyczne kształty czarownic, demonów lub potworów, czy też w formie bezosobowej zakażają jedynie i zatrują w jakiś sposób powietrze. Takie poglądy głosił dr Edward Westermarck¹⁰⁹ i, zdaje się, prof. Eugen Mogk¹¹⁰. Można je określić jako teorię puryfikacyjną. Obie teorie postulują oczywiście zupełnie odmienne koncepcje ognia, odgrywającego główną rolę w obrządkach. Według jednego więc poglądu ogień, podobnie jak słońce na naszej szerokości geograficznej, jest przyjazną siłą twórczą sprzyjającą rozwojowi roślin i wszystkiego, co stanowi o zdrowiu i szczęściu; według zaś drugiego poglądu ogień jest siłą straszliwą i niszczycielską, pochłaniającą wszystkie szkodliwe elementy, duchowe i materialne, zagrażające życiu ludzi, zwierząt i roślin. W pierwszej koncepcji ogień jest bodźcem, w drugiej środkiem oczyszczającym, według jednej teorii skutki jego są pozytywne, według drugiej negatywne.

Być może jednak oba te wyjaśnienia dadzą się pogodzić mimo zasadniczych różnic w definiowaniu właściwości ognia. Jeśli przyjmiemy, że ognie rozpalane podczas tych świąt miały przede wszystkim na celu naśladowanie ciepła i światła słonecznego, to czyż nie możemy uważać oczyszczających i puryfikacyjnych właściwości, które z całą pewnością zostały im przypisane w ludowych wierzeniach, za

¹⁰⁹ Edward Westermarck (1862-1939) - fiński socjolog i filozof. Napisał m. in. *The History of Human Marriage*.

atrybuty zaczerpnięte bezpośrednio z oczyszczających i puryfikacyjnych właściwości słońca? W ten sposób moglibyśmy dojść do wniosku, że podczas gdy naśladowanie słońca w tych uroczystościach było elementem pierwotnym i głównym, przypisywane im właściwości oczyszczające były wtórne i drugorzędne. Do takiego wniosku zajmującego stanowisko pośrednie między obydwoma teoriami i uznającego ziarno prawdy w obu doszedłem we wcześniejszym wydaniu tej pracy, tymczasem jednak dr Westermarck przytoczył ważne dowody przemawiające wyłącznie za teorią puryfikacyjną i muszę przyznać, że argumenty jego są bardzo przekonujące i że po pełniejszym rozpatrzeniu faktów szala zdaje się przechylać na jego stronę. Mimo to przypadek nie jest bynajmniej tak jasny, by bez dalszej dyskusji zrezygnować z teorii słonecznej, wobec czego postanowiłem przytoczyć dodatkowe względy przemawiające za nią, nim przejdę do tych, które przemawiają przeciwko niej. Teoria ciesząca się poparciem badacza tak uczonego i rozważnego jak W. Mannhardt zasługuje na pełne szacunku rozważenie.

W poprzednich rozdziałach niniejszej książki widzieliśmy, że człowiek dziki stara się uzyskać światło słoneczne za pomocą czarów, i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby pierwotni mieszkańcy Europy czynili to samo. Zaiste, jeśli uwzględnimy, że przez znaczną część roku w Europie panuje klimat chłodny i niebo zakrywają chmury, wyda nam się rzeczą zupełnie naturalną, że zaklinanie słońca zajmowało znacznie donioślejsze miejsce w przesądnych praktykach ludów europejskich aniżeli u tych dzikich plemion, które mieszkaly bliżej równika i które wobec tego miały słońca nawet więcej, aniżeli potrzebowały. Tego rodzaju pogląd wspierają liczne dowody oparte częściowo na datach świąt, częściowo zaś na ich charakterze, a także na wierze w ich wpływ na pogodę i roślinność.

Po pierwsze, jeśli idzie o daty, nie może być zwykłym przypadkiem, że dwa najważniejsze i najbardziej popularne święta zbiegają się mniej lub więcej z letnim i zimowym przesileniem, to znaczy z dwoma punktami zwrotnymi w pozornej trasie słońca na niebie, gdy w południe osiąga jej najwyższy i najniższy punkt.

Ale nie tylko daty, lecz również sposób obchodzenia niektórych świąt wskazuje na świadome naśladowanie słońca. Zwyczaj toczenia zapalonych kół po stokach gór, który często napotykamy podczas tych obrządków, może z powodzeniem być naśladowaniem biegu słońca po niebie, a naśladowanie to będzie szczególnie właściwe podczas letniego przesilenia, kiedy to słońce zaczyna schodzić coraz niżej. Tak też tłumaczy ten zwyczaj wielu autorów, którzy go zapisali.

Sposób, w jaki pierwotnie rozpalano ogień przy takich okazjach, również uchodzi za poparcie teorii głoszącej, iż mamy tu do czynienia z naśladowaniem słońca. Zdaniem niektórych uczonych jest rzeczą wielce prawdopodobną, że ogień podczas okresowych świąt uzyskiwano zazwyczaj przez pocieranie dwóch kawałków drzewa. Nadal jest rozpalany w ten sposób w wielu miejscowościach podczas świąt wielkanocnych i letnich i wyraźnie jest powiedziane, że w ten sposób ogień rozpalano podczas

¹¹⁰ Eugen Mogk (1854-1939) - niemiecki etnolog.

obrzędów Beltane zarówno w Szkocji, jak i Walii. Analogia zaś z "ogniem w potrzebie", prawie zawsze rozpalanym przez pocieranie dwóch kawałków drzewa, a czasami kręcenie koła, pozwala niemal z pewnością stwierdzić, że był to sposób stosowany prawie niezmiennie podczas okresowych świąt ognia. Wielce prawdopodobny wydaje się domysł, że koło używane w tym celu jest podobizną słońca, i jeśli ogniska podczas regularnie powtarzających się świąt były dawniej rozpalane w ten sam sposób, możemy uważać to za potwierdzenie poglądu, że pierwotnie były one formą zaklęcia słońca.

Musimy jednak pamiętać, tak jak we wszystkich podobnych przypadkach, że koło mogło mieć jedynie mechaniczne zastosowanie jako sposób ułatwiający wykrzesanie ognia i mogło być zupełnie pozbawione jakiegokolwiek znaczenia symbolicznego.

Zobaczmy teraz, co można przeciwstawić tej teorii na potwierdzenie poglądu, że w obrzędach tych ogień nie jest elementem twórczym, *lecz* jedynie oczyszczającym, puryfikującym ludzi, zwierzęta i rośliny przez spalanie i pochłanianie szkodliwych elementów, zarówno fizycznych, jak i duchowych, zagrażających wszystkiemu, co żyje, chorobami i śmiercią.

Po pierwsze, należy stwierdzić, że ludzie praktykujący obrzędy ognia nigdy, jak się zdaje, nie tłumaczyli ich teorią słoneczną, a wręcz przeciwnie, często i z naciskiem powoływali się na teorię puryfikacyjną. Jest to poważny argument na rzecz teorii puryfikacyjnej i przeciwko słonecznej, ponieważ nigdy nie należy odrzucać przyjętego powszechnie ludowego tłumaczenia zwyczaju bez poważnych powodów. A w danym wypadku powodów takich chyba nie ma. Pojmowanie ognia jako czynnika niszczącego, który można z pożytkiem wykorzystać dla usunięcia złych rzeczy, jest tak proste i oczywiste, że nie może nawet ująć uwagi prymitywnego chłopca, któremu to święto zawdzięcza swe istnienie. A przy tym koncepcja ognia jako emanacji słońca czy też elementu połączonego ze słońcem więzami fizycznego powinowactwa jest znacznie mniej prosta i oczywista. I chociaż użycie ognia jako zaklęcia dla wywołania światła słonecznego wydaje się nie podlegać żadnej wątpliwości, to jednak próbując wytłumaczyć obyczaje ludowe nie powinniśmy nigdy uciekać się do bardziej zawitej koncepcji, jeśli mamy pod ręką prostszą, popartą wyraźnym świadectwem samych ludzi. W przypadkach świąt ognia aspekt niszczący jest nieustannie przez ludzi podkreślany i, rzecz wielce znamienita: głównym złem, które ogień ma zwalczać, są czary. Raz po raz dowiadujemy się, że ogień ma na celu przepędzenie wiedźm, a intencję tę wyraża się czasami plastycznie przez palenie kukły wiedźmy. Pamiętając więc o tym, jak bardzo ludy europejskie wszystkich epok boją się czarów, możemy uważać, że głównym zadaniem tych świąt ognia było po prostu niszczenie czy też wypędzanie wiedźm, uchodzących za źródło wszystkich niepowodzeń i klęsk spadających na człowieka, jego trzody i plony.

Urodzajność, wynikająca z zastosowania ognia w postaci ognisk, pochodni, krążków płonących, kół itp., nie jest zgodnie z tym poglądem rozumiana jako bezpośredni wynik ciepła słonecznego, które ogień magicznie wywołał, *lecz* jedynie jako pośredni wynik wyzwolenia płodnych sił roślin i zwierząt od szkodliwych czarów. To zaś, co odnosi się do płodności roślin i zwierząt, może się również odnosić do płodności ludzi. Ogniska mają pomagać w zawieraniu małżeństw, a bezdzietnym małżeństwom zsyłać

potomstwo. Szczęśliwy skutek nie musi bezpośrednio wpływać z zapładniającej mocy ognia, może być pośrednim wynikiem siły ognia, która pozwala na usunięcie przeszkód, jakie w postaci uroków wiedźmy i czarownicy stale stawiają na drodze związku męża i żony.

Tak więc w sumie teoria oczyszczającej mocy obrzędowych ogni wydaje się bardziej prawdopodobna i bardziej zgodna z istniejącymi dowodami aniżeli teoria przeciwna, wiążąca te święta ze słońcem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

PALENIE ISTOT LUDZKICH W OGIU

Musimy jeszcze odpowiedzieć na pytanie, co oznacza palenie figur w ogniu podczas tych obrządków. Po przeprowadzonych badaniach odpowiedź jest chyba oczywista. Ponieważ ogniska często są rozpalane w celu palenia wiedźm, a palona w nich figura zwana jest "wiedźmą", możemy pozwolić sobie na wyciągnięcie wniosku, że ginące w płomieniach figury przedstawiają wiedźmy lub czarowników i że zwyczaj palenia tych figur jest jedynie substytutem palenia żywych złych mężczyzn i kobiet, jako że zgodnie z zasadami magii powinowactwa, czyli homeopatycznej, spalając wizerunek pali się faktycznie samą wiedźmę. W zasadzie jest to zapewne najbardziej bliskie tłumaczenie palenia słomianych kukieł o ludzkich kształtach podczas świąt ognia.

Być może jednak, że to tłumaczenie nie stosuje się do wszystkich przypadków. Niektóre można by, a nawet należy, wyjaśniać inaczej. Albowiem palone w ten sposób wizerunki trudno oddzielić, jak już na to wskazałem, od wizerunków Śmierci, które pali się czy też niszczy w inny sposób na wiosnę. A przedstawiliśmy już powody skłaniające nas do uważania tzw. wizerunków Śmierci za faktyczne wyobrażenia ducha drzew względnie ducha roślinności. Czy można również w ten sposób wytłumaczyć inne wizerunki palone w ogniskach wiosennych i letnich? Wydaje się, że tak. Podobnie bowiem jak szczątki tak zwanej Śmierci wtykane są w ziemię, by plony urosły, tak też zwęglone szczątki figury palonej na wiosennych ogniskach pozostawiane są niekiedy na polach w przekonaniu, że uchronią plony od robactwa. Zwyczaj nakazujący świeżo upieczonej mężatce skakać przez ognisko, na którym spala się w tłusty wtorek chochoła, ma prawdopodobnie na celu uczynienie jej płodną. Ale jak wiemy, moc błogosławienia kobiet potomstwem jest szczególnym atrybutem ducha drzew. Wobec tego wolno nam wysunąć przypuszczenie, że płonąca kukła, przez którą skacze młoda mężatka, jest wizerunkiem zapładniającego ducha drzew względnie roślinności. Ponad wszelką niemal wątpliwość nosi kukła charakter wizerunku ducha roślinności, gdy sporządzona jest z nie wymłóconych kłosów zboża lub pokryta od stóp do głowy kwiatami. Należy również zwrócić uwagę, że niekiedy zamiast kukieł pali się drzewa, ścięte lub jeszcze żywe, na wiosennych i letnich ogniskach. Otóż biorąc pod uwagę fakt częstego występowania ducha drzewa w postaci ludzkiej nie jest bynajmniej pochopne przypuszczenie, że w wypadkach, gdy drzewo lub kukła palone są na tych ogniskach, uważane są one za wymienne i z sobą równorzędne, każde z nich jest w danym wypadku przedstawicielem ducha drzewa. Potwierdza to obserwacja, że po pierwsze, w niektórych wypadkach kukłę, którą ma się spalić, obnosi się razem z maikiem, z tym że kukłę noszą chłopcy, a maik dziewczęta. Po drugie, że kukła bywa niekiedy przywiązywana do żywego drzewa i razem z nim palona. W tych przypadkach nie mamy żadnych prawie wątpliwości, że duch drzewa występuje tu w podwójnej postaci, jak to już mieliśmy okazję stwierdzić poprzednio, zarówno jako drzewo, jak też jako kukła. Nie ma w tym nic dziwnego, że prawdziwy charakter kukły jako substytutu dobroczynnego ducha roślinności ulega niekiedy

zapomnieniu. Zwyczaj palenia dobroczynnego boga jest zbyt obcy późniejszemu myśleniu, by interpretacja zwyczaju nie uległa zniekształceniu. Jest rzeczą dosyć naturalną, że ludzie, którzy nadal palili wizerunek boga, z czasem zaczęli kukłę identyfikować z osobami, do których z różnych względów czuli awersję, takimi jak Judasz, Luter i wiedźma. Ogólne powody zabijania boga lub też jego wcielenia omawialiśmy we wcześniejszym rozdziale. Ale gdy bóg jest bóstwem roślinności, istnieją specjalne powody, dla których musi zginąć w ogniu. Ciepło i światło potrzebne są, by rośliny rozwijały się, a według zasad magii sympatycznej poddając osobistego przedstawiciela roślinności działaniu tych elementów uzyskuje się pewność, że drzewa i plony będą ich miały pod dostatkiem. Innymi słowy, spalając ducha roślinności w ogniu przedstawiającym słońce, zapewnia się roślinności obfitość słońca, w każdym razie na pewien czas. Można by tu wystąpić z pewnym zastrzeżeniem, a mianowicie, że jeśli intencją zabiegu jest jedynie zapewnienie roślinności dostatecznej ilości światła słonecznego, wystarczyłoby działając właśnie zgodnie z zasadami magii sympatycznej jedynie przeprowadzić przedstawiciela roślinności przez ogień. I tak też w niektórych wypadkach się dzieje. W Rosji, jak widzieliśmy, słomiana kukła Kupały nie jest palona w ognisku podczas letniego przesilenia, lecz jedynie przenoszona przez nie tam i z powrotem. Ale z podanych już wyżej powodów jest rzeczą konieczną, by bóg umarł, wobec tego następnego dnia zdejmuje się z Kupały wszystkie ozdoby i rzuca się go do rzeki. Przeprowadzanie przez ogień w tym rosyjskim obyczaju, jeśli nie jest po prostu oczyszczeniem, może być zaklęciem słońca. Zabijanie boga jest czynnością oddzielną, a sposób zabijania - topienie - prawdopodobnie zaklinaniem deszczu. Zazwyczaj jednak ludzie nie uważali przeprowadzenia tych subtelnych rozróżnień za konieczne. Z rozmaitych, przedstawionych już powodów uważają, że jest rzeczą pożyteczną wystawić boga roślinności na działanie wysokiej temperatury, a także zabić go, wobec czego łączą obie korzyści, spalając go bez większych ceregieli.

W ludowych zwyczajach towarzyszących świętom ognia w Europie są pewne elementy wskazujące na istniejący dawniej zwyczaj składania ofiar ludzkich. Mamy powody przypuszczać, że w Europie żywi ludzie często występowali jako wcielenie ducha drzewa i ducha zboża ponosząc w tej postaci śmierć. Nie istnieje więc przyczyna, dla której nie mieliby być paleni, jeśli uśmiercając ich w ten sposób można było osiągnąć jakieś szczególne korzyści. Człowiek pierwotny nie liczy się z takimi względami jak cierpienie ludzkie. Otóż w omawianych przez nas świętach ognia udawanie palenia ludzi posuwa się niekiedy tak daleko, że możemy nie bez racji uważać je za złagodzone naśladowanie dawniejszego zwyczaju faktycznego ich palenia.

W Jumieges w Normandii człowiek cały przybrany w zieleń, noszący tytuł Zielonego Wilka, był ścigany przez swych kompanów, którzy udawali, że wrzucają go do ognia. Podobnie przy ogniskach Beltane udawano, że wrzuca się ofiarę do ognia, i ludzie przez pewien czas mówili o nim jako o nieboszczyku.

W niektórych okolicach Bawarii chłopcy, którzy chodzą po domach zbierając paliwo na ognisko letniego przesilenia, spowijają jednego ze swej grupy w zielone gałęzie jodły i prowadzą go na sznurze

przez całą wieś. W Moosheim w Wirtembergii obchody Ognia św. Jana trwały zazwyczaj dwa tygodnie i kończyły się w drugą niedzielę po letnim przesileniu. Ostatniego dnia ognisko pozostawiano pod opieką dzieci, dorośli zaś udawali się do lasu. Tutaj owijali młodego człowieka w liście i gałązki, on zaś w tym przebraniu udawał się do ognia, rozdeptywał go i gasił. Wszyscy obecni uciekali na jego widok.

Ale bywały też wypadki, że posuwano się dalej. Najbardziej niedwuznaczne ślady ludzkich ofiar odnajdywano jeszcze przed stu laty w zwyczaju palenia ognisk Beltane praktykowanym przez ludy celtyckie. Zamieszkałe w odległym kącie Europy, niemal całkowicie izolowane od obcych wpływów, do owej pory zachowały lepiej aniżeli jakkolwiek inny lud Europy Zachodniej dawne pogańskie obyczaje. Jest wobec tego rzeczą znamioną, że istnieją niewątpliwe dowody systematycznego składania ofiar ludzkich u Celtów. Najwcześniejsze opisy tych ofiar przekazał nam Juliusz Cezar. Jako zdobywca niepodległych dotąd Celtów galijskich miał Cezar wiele okazji obserwowania religii Celtów i ich obyczajów w oryginalnej i świeżej postaci, prosto z krajowej mennicy, nie przetopionych jeszcze w tygłu rzymskiej cywilizacji. Do swych własnych notatek włączył Cezar, jak się zdaje, spostrzeżenia greckiego podróżnika Posidoniusa¹¹¹, który podróżował po Galii jakieś pięćdziesiąt lat, zanim Cezar poprowadził rzymski oręż nad Kanał Angielski. Wydaje się również, że grecki geograf Strabo¹¹² i historyk Diodorus niezależnie od siebie i także od Cezara zaczerpnęli swe opisy ofiar składanych przez Celtów z dzieła Posidoniusa, ponieważ w każdym z tych trzech pochodnych opisów są pewne szczegóły, których nie można znaleźć w pozostałych dwóch relacjach. Łącząc je możemy z pewnym prawdopodobieństwem odtworzyć oryginalny opis Posidoniusa i w ten sposób otrzymać obraz ofiar składanych przez Celtów galijskich w drugim wieku przed naszą erą. A oto główne zarysy obyczaju: Celtowie przechowywali skazanych przestępców, by złożyć ich w ofierze bogom podczas wielkiego święta, odbywającego się raz na pięć lat. Im więcej było ofiar, tym życzliwsze miały być pola. Jeśli nie było dosyć przestępców, uzupełniano ich liczbę wziętymi do niewoli jeńcami. Gdy nadchodziła wyznaczona pora, ofiary składali druidowie, czyli kapłani. Niektóre ofiary zabijano z łuku, inne wbijano na pal, jeszcze inne palono żywcem w następujący sposób: robiono olbrzymie figury z trzciny lub drzewa i trawy, które wypełniano żywymi ludźmi bydłem i innymi zwierzętami. Następnie figury podpalano wraz z ich żywą zawartością.

Te trzcinowe olbrzymie druidów miały do niedawna, a może nawet jeszcze do teraz swoje odpowiedniki na wiosennych i letnich świętach Europy. W Douay aż do wczesnych lat dziewiętnastego wieku odbywała się co roku w niedzielę najbliższą dnia 7 lipca procesja, w której głównym elementem była olbrzymia postać wysokości dwudziestu lub trzydziestu stóp, zrobiona z łożyny i zwana "olbrzymem". Poruszała się ona przez ulice za pomocą mechanizmu złożonego z łożysk i sznurów uruchamianych przez ludzi ukrytych w figurze. Przebrana była za rycerza, miała lancę i miecz, hełm i tarczę. Za nią kroczyła żona i troje dzieci, figury w ten sam sposób zrobione z łożyny, ale mniejszych

¹¹¹ P o s i d o n i u s z Apamei w Syrii (I w. p. n. e.) - grecki filozof stoik, nauczyciel Cyncerona; autor wielu prac historycznych i przyrodniczych, z których żadna się nie zachowała.

wymiarów. W Dunkierce procesja olbrzymów odbywała się w dzień letniego przesilenia, dwudziestego czwartego czerwca. Święto to znane było pod nazwą "Szaleństw Dunkierki" i ściągało tłumy widzów. Olbrzym był zrobiony z trzciny, dochodził często do czterdziestu pięciu stóp wysokości, miał na sobie długą błękitną szatę w złote pasy, sięgającą mu do stóp i ukrywającą dwunastu lub więcej ludzi siedzących w środku figury i poruszających nią tak, że tańczyła i kiwała głową widzom. Olbrzymia ta kukła zwała się Papa Reuss, a w kieszeni miała dziecko rozmiarów brobdingnagiańskich. Za nią kroczyła córka olbrzyma, podobnie jak ojciec zrobiona z trzciny i niewiele lub wcale nie ustępująca mu wzrostem.

W Anglii sztuczne olbrzymy były, jak się zdaje, stałym elementem letnich obrządków. Szesnastowieczny autor mówi o "widowisku w dniu letniego przesilenia słońca, które ludzi wprawiało w zdumienie. Pokazują I się wielkie i brzydkie olbrzymy maszerujące, jak gdyby były żywe, I uzbrojone po zęby, ale wypchane w środku szarym papierem i konopiem, I które bystrzy chłopcy odkrywają podglądając i wyśmiewają bez litości."

W opisanych przypadkach olbrzymy jedynie prowadzone były w procesji. Ale niekiedy palono je na ogniskach letnich. Tak więc mieszkańcy Rue aux Ours w Paryżu co roku robili wielką figurę z trzciny przebraną za żołnierza, z którą spacerowali przez kilka dni po ulicach. Trzeciego lipca palono ją uroczyście, a tłum widzów śpiewał *Salve Regina*. Ceremonii przewodniczyła osoba z zapaloną pochodnią w ręce, nosząca tytuł Króla. Płonące szczątki figury rozrzucano między ludzi, którzy je skrzętnie zbierali. Obyczaj ten zniesiono w 1743 roku. W Brie, w Isle de France, co roku palono w wilię letniego przesilenia olbrzyma uplecionego z trzciny, mającego osiemnaście stóp wysokości.

Praktykowany przez druidów zwyczaj palenia żywych zwierząt zamkniętych w koszu ma swe odpowiedniki w świętach wiosennych i letnich. W Luchon w Pirenejach w wilię letniego przesilenia ustawia się na środku głównego przedmieścia pustą kolumnę z trzciny wysokości sześćdziesięciu stóp. Do samego szczytu opleciona jest zielonymi liśćmi. Na dole zaś układa się artystycznie najpiękniejsze kwiaty i krzewy, które tworzą jak gdyby tło. Następnie napełnia się kolumnę łatwopalnym materiałem. O wyznaczonej godzinie, około ósmej wieczór, wielka procesja złożona z duchowieństwa, za którym kroczą młodzi kawalerowie i panny w świątecznych strojach, wyrusza z miasta śpiewając pieśni nabożne i ustawia się wokół kolumny. A tymczasem na okolicznych górach zapala się ogniska tworzące piękny widok. Do środka kolumny wrzuca się żywe węże, ile tylko udało się ich nazbierać, i podpala się ją, a potem pięćdziesięciu chłopców i mężczyzn z zapalonymi pochodniami tańczy wokół kolumny wymachując gwałtownie ramionami. Węże uciekając od ognia wiją się po kolumnie do szczytu, widać, jak pędzą po bokach, aż wreszcie spadają w ogień. Ich walka o życie jest źródłem entuzjastycznych wybuchów radości wśród tłumu widzów. Jest to ulubiony doroczny obrządek mieszkańców Luchon i okolicy, a miejscowa tradycja przypisuje mu pogańskie pochodzenie. W ogniskach rozpalanych dawniej

¹¹² S t r a b o z Amazji w Poncie (ok. 63 p. n. e. - ok. 24 n. e.) - geograf grecki; wiele podróżował. Napisał dzieło

na Place de Greve w Paryżu palono zazwyczaj pełne żywych kotów, kosz, beczkę lub worek, które zawieszano na wysokim maszcie pośrodku ogniska. Czasami palono żywego lisa. Ludzie zbierali popioły i żarzące się węgle i zanosili je do domu wierząc, że to przynosi szczęście. Królowie francuscy często przypatrywali się tym widowiskom, a nawet własnoręcznie zapalali ognisko. W 1648 roku Ludwik XIV, z wiankiem róż na głowie i bukietem róż w dłoni, zapalił ognisko, tańczył wokół płomieni i brał udział w bankiecie, który się potem odbył na ratuszu. Ale wtedy właśnie po raz ostatni król przewodniczył w Paryżu ognisku z okazji letniego przesilenia.

Pozostaje więc odpowiedzieć na pytanie: Jakie było znaczenie tych ofiar? Dlaczego podczas tych uroczystości palono ludzi i zwierzęta? Jeśli słusznie interpretujemy europejskie święta ognia jako próby złamania mocy czarów przez palenie lub wypędzanie wiedźm i czarowników, to wydaje się, że w podobny sposób powinniśmy tłumaczyć ludzkie ofiary składane przez Celtów, to znaczy, musimy założyć, że ludzie, których druidowie palili w trzciniowych figurach, byli skazani na śmierć jako wiedźmy lub czarownicy, a wybrano ten właśnie rodzaj egzekucji, ponieważ palenie żywcem wydawało się najpewniejszym sposobem pozbycia się tych szkodliwych i niebezpiecznych istot. To samo tłumaczenie stosuje się do bydła i rozmaitych dzikich zwierząt palonych przez Celtów wraz z ludźmi. I one, jak się domyślamy, uważane były za istoty zaczarowane, względnie wcielenia wiedźm i czarowników, którzy przybrali ich kształty, by zrealizować swe piekielne zakusy na pomyślność i dobrobyt swych bliźnich.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

BALDUR I JEMIOŁA

Czytelnik, być może, pamięta, że relacja o ludowych świętach ognia w Europie nawiązywała do mitu o skandynawskim bogu Baldurze, zabitym gałęzią jemioli i spalonym na wielkim stosie. Obecnie zorientujemy się, jak dalece opisane uprzednio obyczaje pozwalają nam wyświecić sam mit. Wygodnie nam będzie zacząć od jemioli, która spowodowała śmierć Baldura.

Od niepamiętnych czasów jemiola była przedmiotem przesądnego kultu w Europie. Czcili ją druidowie, jak się o tym dowiadujemy ze słynnego fragmentu Pliniusza. Po wyliczeniu rozmaitych gatunków jemioli pisze on: "Mówiąc o tym przedmiocie nie należy pominąć czci otaczającej jemiolę w całej Galii. W oczach druidów, tak bowiem nazywają oni swych czarowników, nie ma nic świętszego nad jemiolę i drzewo, na którym ona rośnie, pod warunkiem, że jest to dąb. Niezależnie od tego wybrali oni gaje dębowe na swe uroczyszcza i nie dokonują żadnych świętych obrzędów bez liści dębu. Tak więc nawet samą nazwę druidów można uważać za greckie określenie wywodzące się z ich kultu dębu. Wierzą bowiem, że wszystko, co rośnie na tym drzewie, zesłane jest z nieba i jest znakiem, że drzewo to zostało wybrane przez samego boga. Rzadko przytrafia się na nim jemiola, ale gdy ją znajdą, zdejmują ją bardzo uroczyście. Robią to przede wszystkim szóstego dnia księżyca i od tej daty rozpoczynają swe miesiące, lata i cykl trzydziestoletni, ponieważ w szóstym dniu księżyc jest pełen energii i nie przebiegł jeszcze połowy drogi. Po poczynieniu odpowiednich przygotowań do ofiary i uczty pod drzewem, sławią je jako uzdrowiciela i przyprowadzają na miejsce dwa białe byki, których rogi nigdy dotąd nie były związane. Kapłan w białej szacie wspina się na drzewo i złotym sierpem ścina jemiolę, którą zbiera w białe płótno. Potem składają ofiary modląc się do boga, by dar jego mnożył się wraz z tymi, którym go zesłał. Wierzą, że napój przygotowany z jemioli uczyni zwierzęta płodnymi i że roślina ta jest lekarstwem na wszystkie trucizny."

W innym fragmencie Pliniusza opowiada, że za najbardziej skuteczne lekarstwo uchodziła jemiola rosnąca na dębie, a niektórzy przesądni ludzie uważali, że skuteczność jej wzrasta, gdy zbiera się ją pierwszego dnia księżyca bez użycia żelaza i gdy nie zetknęła się z ziemią. Zebrana w ten sposób jemiola dębowa miała leczyć epilepsję, kobietom pomagać począć, leczyła też jak najskuteczniej wrzody, jeśli chory żuł kawałek rośliny, a inny kawałek przykładał do owrzodzonego miejsca. Ponadto, powiada, jemiola, podobnie jak ocet i jajko, była doskonałym środkiem na gaszenie pożaru.

Jeśli w tych ostatnich zdaniach Pliniusza nawiązuje najwyraźniej do wierzeń w Italii jego czasów, wynikałoby z tego, że druidzi i mieszkańcy Italii w pewnej mierze zgodni byli co do tego, że jemiola rosnąca na dębie posiada cenne zalety. Jedni jak i drudzy uważali ją za skuteczne lekarstwo na pewne choroby i przypisywali jej działanie pobudzające; druidowie wierzyli, że wywar z jemioli zapładnia jałowe bydło, natomiast mieszkańcy Italii uważali, że kawałek jemioli, który kobieta będzie przy sobie nosiła, pomoże jej począć. Ponadto oba ludy były przekonane, że po to, by roślina mogła roztaczać swe

lecnicze własności, należy ją zrywać w określony sposób i w określonym czasie. Nie wolno jej ścinać żelaznym narzędziem, dlatego też druidowie używali do tego celu złota, i nie wolno, by dotknęła ziemi, dlatego też zbierano ją w białe płótno. Przy wyborze czasu ścinania jemioli oba ludy kierowały się obserwacją księżyca, różnica polegała jedynie na wyborze określonego dnia, w Italii był to pierwszy dzień księżyca, u druidów szósty.

Z tą wiarą starożytnych Galów i Italiców w cudowne właściwości lecznicze jemioli możemy porównać podobne wierzenia współczesnych Ajnów w Japonii. Dowiadujemy się mianowicie, że "tak jak wiele ludów północnych, otaczali oni jemiolę szczególną czcią. Uważali ją za lekarstwo skuteczne w niemal każdej chorobie. W niektórych wypadkach jest ona spożywana wraz z jedzeniem, w innych zaś sporządza się z niej wywar i pije oddzielnie. Częściej używane są liście aniżeli jagody, ponieważ te ostatnie są tak kleiste, że nie nadają się do powszechnego użytku [...] Ale wielu uważa również, że dzięki tej roślinie ogrody przynoszą obfite plony. W tym celu liście tnę się na drobne kawałki i po odmówieniu nad nimi odpowiednich modlitw sieje się je wraz z prosem i innymi nasionami, a trochę zjada z jedzeniem. Znane są także wypadki, że kobiety bezdzietne jedzą jemiolę, by mieć potomstwo. Za najskuteczniejszą uchodzi jemiola rosnąca na wierzbie. A to dlatego, że wierzbę uważają za szczególnie święte drzewo."

Tak więc Ajnowie, podobnie jak druidzi, uważali jemiolę za lekarstwo na niemal wszystkie choroby i, podobnie jak starożytni mieszkańcy Italii, aplikowali ją kobietom jako środek pomagający przy rodzeniu dzieci. Podobnie jak u druidów wyobrażenia o jemioli jako "panaceum" mieli Wolofowie z Senegambii. "Lud ten szczególną czcią otaczał gatunek jemioli zwany *tob*. Noszą na sobie liście tej jemioli, gdy wybierają się na wojnę, ponieważ mają ich one ochronić przed ranami, tak jak gdyby liście te były prawdziwymi talizmanami (*gris-gris*)." Autor francuski, który tę praktykę opisał, dodaje: "Czyż nie jest dziwne, że jemiola w tej części Afryki odgrywa tę samą rolę co w przesądach dawnych Galów? Być może, przesąd ten w obu krajach wynika z tego samego źródła. Niewątpliwie biali i czarni, niezależnie od siebie, dopatrywali się czegoś nadprzyrodzonego w roślinie żyjącej i rozwijającej się bez korzeni zapuszczonych w ziemię. Być może, wierzyli, że spadła z nieba jako dar bóstwa."

Tę hipotezę co do źródła przesądu potwierdza wspomniane przez Pliniusza przeświadczenie druidów, że wszystko, co rosło na dębie, było zesłane z nieba i oznaczało, że drzewo jest wybrane przez samego boga. Tłumaczy ono również, dlaczego nie ścinano jemioli żelaznym, lecz złotym sierpem, i dlaczego nie wolno było jej upaść na ziemię. Uważali prawdopodobnie, że niebiańska roślina będzie sprofanowana i straci swe cudowne właściwości przez zetknięcie się z ziemią. Z rytuałem stosowanym przez druidów przy ścinaniu jemioli możemy porównać obrządkie obowiązujące w podobnym przypadku w Kambodży. Ludność tego kraju uważa, że gdy orchidea rośnie jako pasożyt na tamaryszku, należy przywdziać białe szaty, wziąć nowy gliniany garnek, wejść w południe na drzewo, włożyć orchideę do garnka i następnie opuścić go na ziemię. Po tym zabiegu gotuje się w garnku wywar, który człowieka chroni przed wszelkimi ranami.

Poglądy współczesnych chłopów, a nawet ludzi wykształconych na lecznicze właściwości rośliny odpowiadają w pewnej mierze wierzeniom starożytnych. Jak się zdaje, druidowie nazywali roślinę, a być może, dąb, na którym rośla, "leczącym wszystko" i nazwa ta nadal jest stosowana w odniesieniu do jemioli we współczesnym języku celtyckim w Bretanii, Walii, Irlandii i Szkocji. Rano w dzień św. Jana (dzień letniego przesilenia) chłopci piemonccy i lombardzcy wyruszają na poszukiwanie liści dębowych dla "oleju św. Jana", który rzekomo leczy wszelkie rany cięte. Pierwotnie "olej św. Jana" był zapewne jemiolą lub wywarem sporządzonym z tej rośliny. W Holsztynie bowiem jemiola, a szczególnie jemiola dębowa, nadal jeszcze uchodzi za panaceum na świeże rany i jest niezawodnym talizmanem zapewniającym pomyślne łowy. W Szwecji chorzy na padaczkę wierzą, że można zapobiec atakom padaczki nosząc przy sobie nóż, którego trzonek zrobiony jest z jemioli, a w Niemczech w podobnym celu zawieszano dzieciom jemiolę na szyi. W prowincji Bourbonnais we Francji wywar z jemioli zdjętej z dębu w dzień św. Jana i zagotowany z mąką żytnią jest rozpowszechnionym lekarstwem na epilepsję - podobne zastosowanie ma jemiola w Bottesford w hrabstwie

Lincoln. Co więcej, poważne autorytety medyczne w Anglii i Holandii zalecały jemiolę jako lekarstwo na padaczkę aż do osiemnastego wieku.

Jednakowoż poglądy stanu lekarskiego na lecznicze właściwości jemioli uległy radykalnej zmianie. Podczas gdy druidowie uważali, że leczy ona wszystko, współcześni lekarze są chyba zdania, że nie leczy ona niczego. Jeśli się w tym względzie nie mylą, wówczas musimy dojść do wniosku, że starożytna i rozpowszechniona wiara w lecznicze właściwości jemioli jest zwykłym przesądem opartym wyłącznie na wyimaginowanych wnioskach, do których ludzie ciemni i niewykształceni dochodzili rozważając pasożytniczą naturę rośliny, i na przekonaniu, że skoro znajduje się wysoko na gałęzi drzewa, chroni ją to od niebezpieczeństw grożących zwierzętom i roślinom dotykającym ziemi. Pozwala to nam również zrozumieć, dlaczego jemiola tak długo i uporczywie uchodziła za lekarstwo na padaczkę. Podobnie jak jemiola nie może spaść na ziemię, ponieważ wyrasta z gałęzi na drzewie wysoko nad ziemią, tak samo chory nie może upaść na ziemię, gdy ma przy sobie w kieszeni kawałek jemioli lub wywar z niej sporządzony w żołądku. Tego rodzaju rozumowanie jeszcze dziś znaczna część ludzkości uważałaby za przekonujące.

Wiarę starożytnych mieszkańców Italii, że jemiola gasi pożary, dzielą widocznie szwedzcy chłopci, którzy zawieszają na suficie pęki jemioli jako ochronę przed wszelkimi szkodami, a w szczególności przed pożarami. Pewną wskazówką tłumaczącą, w jaki sposób jemiola została obdarzona tą właściwością, jest epitet, którym mieszkańcy kantonu Aar w Szwajcarii ją obdarzają: "miotła piorunowa". Miotła piorunowa jest bowiem strzępiastą krzaczastą naroślą na gałęziach drzew, która w powszechnym mniemaniu powstaje na skutek uderzenia pioruna. Stąd też w Czechach spalenie miotły piorunowej w ogniu chroni dom przed pożarami. Jako wytwór piorunu chroni oczywiście na zasadzie homeopatycznej przed piorunami i jest czymś w rodzaju piorunochronu.

Jemioła jest nie tylko piorunochronem, służy również jako wytrych, otwierając rzekomo wszelkie zamki. Ale najcenniejszą jej właściwością jest, być może, to, że stanowi skuteczną ochronę przed czarami i urokami. Niewątpliwie dlatego właśnie w Austrii gałązkę jemioły kładzie się na progu domu, by chroniła przed zmorami. I być może, z tego samego powodu na północy Anglii daje się pęk jemioły pierwszej krowie, która się ocieli po Nowym Roku, jeśli pragnie się, by w mleczarni dobrze się wiodło, wiadomo bowiem, że nic tak nie szkodzi mleku i masłu jak czary. W Szwecji pilnie poszukuje się jemioły po willi Św. Jana, ponieważ "ludzie wierzą, że posiada ona potężne i tajemnicze właściwości, a gdy zawiesi się gałązkę jemioły na suficie domu mieszkalnego, w stajni lub wsadzi ją w koryto w oborze, troll nie będzie mógł wyrządzić żadnej szkody ani ludziom, ani bydłu".

Różne są poglądy na to, kiedy należy zbierać jemiołę. Druidowie wybierali przede wszystkim szósty dzień księżycy, mieszkańcy Italii pierwszy. W naszych czasach niektórzy woleli pełnię w marcu, inni zmniejszający się księżyc w zimie, gdy słońce jest pod znakiem Strzelca. Ale ulubioną porą była chyba wilia letniego przesilenia względnie sam dzień przesilenia letniego. Tak więc wierzone, iż jemioła jest jedną z wielu roślin, których magiczne lub lecznicze właściwości osiągały swój punkt kulminacyjny równocześnie z punktem szczytowym słońca w najdłuższym dniu roku. Można więc z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że w oczach druidów, którzy tak wielką czią otaczali tę roślinę, święta jemioła była podwójnie wyposażona w tajemnicze właściwości podczas czerwcowego przesilenia i dlatego też ścinali ją stale podczas uroczystości odbywających się w wilię letniego przesilenia.

Nie ulega w każdym razie wątpliwości, że jemioła, przyczyna śmierci Baldura, była ścinana w ojczyźnie Baldura, w Skandynawii, ze względu na jej tajemnicze właściwości w dzień letniego przesilenia. Rośnie ona zazwyczaj na gruszach, dębach i innych drzewach w gęstych, wilgotnych lasach bardziej umiarkowanych stref Szwecji. Tak więc jedna z dwóch głównych okoliczności śmierci Baldura była odtwarzana w obrządkach letniego przesilenia w Skandynawii. Ale druga główna okoliczność, spalenie zwłok Baldura na stosie, również miała swój odpowiednik w ogniskach nadal, a w każdym razie do niedawna jeszcze płonących w Danii, Norwegii, Szwecji w wilię letniego przesilenia. Co prawda nie wydaje się, by na ogniskach tych palono jakieś figury, ale palenie wizerunku jest elementem, który łatwo mógł zostać pominięty, gdy zapomniano o znaczeniu tego obrządku. Natomiast nazwa ognisk Baldura (Balder's Balar), nadawana dawniej tym ogniskom w Szwecji, wskazuje ponad wszelką wątpliwość na ich związki z Baldurem i na to, że prawdopodobnie dawniej żywe wcielenie Baldura albo jego wizerunek palone były na stosie. Letnie przesilenie było datą poświęconą Baldurowi, a szwedzki poeta Tegner pisząc, że zwłoki Baldura spalono w czasie letniego przesilenia, prawdopodobnie opierał się na starej legendzie głoszącej, że przedwczesna śmierć dobrego boga nastąpiła podczas letniego przesilenia.

Tak więc dowiedliśmy, że główne elementy mitu Baldura mają swe odpowiedniki w świętach ognia naszego chłopstwa europejskiego pochodzących niewątpliwie z czasów znacznie wyprzedzających

wprowadzenie chrześcijaństwa. Udawanie wrzucania wyznaczonej przez ciągnięcie losów ofiary do ognia Beltane i normandzki zwyczaj podobnego traktowania człowieka, późniejszego Zielonego Wilka, przy ogniskach rozpalanych podczas letniego przesilenia można uważać za ślady starszego zwyczaju rzeczywistego palenia ludzi przy tych okazjach. Zielona zqś szata Zielonego Wilka i zielone liście, w które przybierano młodzieńca w Moosheim, gaszącego ognisko, wskazują przypuszczalnie na to, że osoby ginące podczas tych świąt spotykał ten los jako duchy drzew względnie bóstwa roślinności. Wolno nam z tego wszystkiego wyciągnąć wniosek, że mit Baldura i święta ognia oraz zbieranie jemioli stanowiły niegdyś jedną całość, z czasem rozbitą na dwie oddzielne części. Innymi słowy, możemy z pewnym prawdopodobieństwem uważać, że mit o śmierci Baldura jest nie tylko mitem, to znaczy opisem zjawisk fizycznych w obrazach zapożyczonych z ludzkiego życia, ale że równocześnie jest to bajka opowiadana przez ludzi dla wytłumaczenia dorocznego spalania człowieka jako uosobienia boga i uzasadnienia uroczystego ścinania jemioli.

Jeśli więc się nie mylę, to opowieść o tragicznej śmierci Baldura należy uważać za tekst religijnego dramatu odgrywanego co roku jako magiczny obrządek odprawiany po to, by słońce świeciło, drzewa rosły, plony obradzały, a ludzie byli chronieni przed złowieszczymi podstępami wrózek i trollów, wiedźm i czarowników. Należy więc tą opowieść do kategorii mitów przyrodniczych, uzupełniających obrządek i, jak to często bywa, mit pozostawał w takim stosunku do magii jak teoria do praktyki.

Jeśli jednak ofiary - ludzcy Baldurowie - które ginęły w ogniu wiosną czy też w czasie letniego przesilenia, zabijane były jako żywe wcielenia duchów drzew względnie jako bóstwa roślinności, wówczas wynikałoby z tego, że sam Baldur musiał być duchem drzewa lub bóstwem roślinności. Należałoby wobec tego w miarę możliwości ustalić, jakie to drzewo czy też drzewa spalane były w postaci ludzkich zastępców podczas świąt ognia. Możemy bowiem całkowicie wyłączyć możliwość, że ofiara ponosząca śmierć była ucieleśnieniem roślinności w ogóle. Koncepcja roślinności w ogóle jest zbyt abstrakcyjna, by mogła powstać w prymitywnym umyśle. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ofiara reprezentowała pierwotnie szczególny rodzaj świętego drzewa. Spośród jednak wszystkich europejskich drzew dąb ma najwięcej praw do tytułu najważniejszego świętego drzewa Ariów. Ślady kultu dębu znajdujemy we wszystkich głównych odgałęzieniach rodziny aryjskiej w Europie. Możemy z tego wyciągnąć nie podlegający wątpliwości wniosek, że drzewo to czczone było przez wszystkich Aryjczyków na długo przed ich rozproszeniem i że ich pierwotna siedziba musiała znajdować się w kraju pokrytym dębowymi lasami.

Otóż biorąc pod uwagę prymitywny charakter i uderzające podobieństwo świąt ognia obchodzonych przez wszystkie odgałęzienia rasy aryjskiej w Europie, możemy wysnuć wniosek, że święta te były częścią wspólnego zasobu obrządków religijnych, które poszczególne ludy zabrały z sobą ze swych dawnych domów na wędrówki. Jeśli się jednak nie mylę, głównym elementem tych prymitywnych świąt ognia było palenie człowieka, który uosabiał ducha drzewa. Biorąc wobec tego pod uwagę rolę, jaką dąb odgrywa w religii Ariów, możemy uważać, że drzewo uosabiane podczas świąt ognia musiało być

pierwotnie dębem. Jeśli idzie o Celtów i Litwinów, wniosek ten wydaje się bezsporny. Potwierdza to zarówno w ich przypadku, jak i u Germanów ciekawy przejaw religijnego konserwatyizmu. Najprymitywniejszą znaną człowiekowi metodą rozniecania ognia było pocieranie o siebie dwóch kawałków drzewa, a widzieliśmy, że metoda ta nadal jest stosowana w Europie przy rozpalaniu świętych ognisk, takich, jak "ogień w potrzebie", i że prawdopodobnie stosowana była dawniej podczas wszystkich omawianych świąt ognia. Otóż niekiedy wymaga się, by "ogień w potrzebie" i wszystkie inne rodzaje świętego ognia rozniecane były przez pocieranie kawałków drzewa określonego rodzaju, a w takich wypadkach zarówno u Celtów, jak Germanów czy Słowian drzewem tym jest zazwyczaj dąb. Jeśli jednak święty ogień bywał zawsze rozpalany przez pocieranie drzewa dębowego, możemy z tego wyciągnąć wniosek, że pierwotnie ogień podsycany był również tym samym materiałem. W istocie okazuje się, że w wiecznym ogniu Świątyni Westy w Rzymie płonęło drzewo dębowe i że dąb palono w świętym ogniu stale płonącym pod świętym dębem w wielkim litewskim sanktuarium w Romowe. A to, że dąb był pierwotnie palony w ogniskach letniego przesilenia, można również wywnioskować ze zwyczaju, podobno nadal jeszcze praktykowanego w Niemczech, rozpalania ogniska domowego w dzień letniego przesilenia za pomocą wielkiej kłody drzewa dębowego. Kłoda tak jest umieszczona, że tli się powoli i ostatecznie zwęglą się dopiero pod koniec roku. Podczas następnego przesilenia letniego popioły starej kłody usuwa się, by zrobić miejsce dla nowej, i miesza się je z ziarnem siewnym albo rozsypuje w ogrodzie. Ma to strzec strawę gotowaną na ognisku przed urokami, zachowywać szczęście w domu, zapewnić obfite plony i uchronić je przed robactwem i zarazą roślinną. Jest to więc zwyczaj niemal dokładnie odpowiadający kłodzie Yule będącej w niektórych okolicach Niemiec, Anglii, Serbii i w innych krajach słowiańskich drzewem dębowym. Wynika z tego ogólny wniosek, że podczas tych okresowych i doraźnych obrządków Aryjczycy rozpalali i podsycali ogień drzewem świętego dębu.

Jeśli jednak podczas tych uroczystych obrządków ogień był zawsze z dębu, wówczas człowiek palony jako wcielenie ducha drzewa mógł być jedynie wcieleniem dębu. Tak więc święty dąb spalany był w podwójnej postaci: w ogniu płonęło drzewo i równocześnie płonął żywy człowiek jako wcielenie ducha drzewa. Wniosek ten odnoszący się do europejskich Aryjczyków w ogóle potwierdza się w szczególnym zastosowaniu do Skandynawów dzięki związkowi, jaki zdaje się istnieć u nich między jemiolą a ofiarą paloną na ognisku podczas letniego przesilenia. Wiemy już, że Skandynawowie ścinali jemiolę w dniu letniego przesilenia. Jak dotąd jednak nic nie łączy tego zwyczaju z ogniskami podczas letniego przesilenia, na których palono żywych ludzi względnie ich wizerunki. Jeśli nawet ogniska były zawsze, co się wydaje prawdopodobne, z drzewa dębowego, po co zrywano jemiolę? Ostatniego ogniwa między ścinaniem jemioli a paleniem ognisk dostarcza mit o Baldurze, którego przecież nie można oderwać od omawianych zwyczajów. Z mitu wynika, że niegdyś mogło istnieć przekonanie o żywotnym związku między jemiolą a ludzkim uosobieniem dębu, palonym na ognisku. Baldura - zgodnie z mitem - zabić nie mogło nic na ziemi i na niebie poza jemiolą, i jak długo jemiola pozostawała na dębie, Baldur był nie tylko nieśmiertelny, ale też nie można było mu zadać żadnej rany. Otóż jeśli założymy, że

Baldur był dębem, źródło mitu staje się zrozumiałe. Jemiołę uważano za siedlisko życia dębu i dopóki nic się nie stało jemiole, dopóty dębu nie można było ani zabić, ani zranić. Myśl o jemiole jako siedlisku życia dębu nasunęło oczywiście ludom prymitywnym to, że nawet wtedy, gdy dąb zrzuca liście, jemioła pozostaje zielona. Dla czcicieli dębu widok świeżego listowia między nagimi w zimie gałęziami musiał być znakiem, że boskie życie, które opuściło dąb, pozostało jednak w jemiole, podobnie jak serce śpiącego człowieka bije nawet wtedy, gdy ciało spoczywa bez ruchu. Tak więc, jeśli bóg miał zostać zabity - gdy święte drzewo miało być spalone - należało rozpocząć od zerwania jemioły. Jak długo bowiem jemioła była nietknięta (tak mogli ludzie uważać), dębowi nic nie groziło, noże ich i topory ześliznęłyby się bezsilnie po jego powierzchni. Z chwilą jednak gdy wyrwie się drzewu jego święte serce - jemiołę, skłoni się ono ku upadkowi. A gdy w późniejszych czasach żywy człowiek był wcieleniem ducha dębu, logicznie nasuwała się konieczność założenia, że podobnie jak drzewu, które uosabiał, dotąd nic mu się nie stanie, dopóki jemioła będzie nie uszkodzona. Zrywanie jemioły było więc sygnałem i przyczyną jego śmierci.

Z tego punktu widzenia nienaruszalny Baldur jest niczym innym, jak uosobieniem dębu, na którym rośnie jemioła. Tego rodzaju tłumaczenie potwierdza starożytne, jak się zdaje, wierzenie italskie, że jemioły nie można zniszczyć ani ogniem, ani wodą. Skoro więc pasożyt jest niezniszczalny, nietrudno przypuścić, że swą niezniszczalność przekazuje drzewu, na którym rośnie, jak długo jest z nim związany. Albo, wyrażając to samo w języku mitu, możemy mówić o tym, jak to dobry bóg dębu przechowywał bezpiecznie swe życie w niezniszczalnej jemiole rosnącej między jego gałęziami, jak to obecność jemioły na drzewie czyniła nienaruszalnym samego boga, jak wreszcie podstępny wróg zdobył tajemnicę nienaruszalności boga, zerwał jemiołę, zabijając tym boga dębu, jak w końcu spalił jego zwłoki na ogniu, który przedtem nie mógł mu żadnej krzywdy wyrządzić, gdy na gałęziach był jeszcze ognioodporny pasożyt.

Ponieważ jednak koncepcja istoty, której życie znajduje się w pewnym sensie poza nią, musi wydawać się wielu czytelnikom dziwna, i, co więcej, nie doceniono jeszcze w pełni jej wpływu na prymitywne przesady, warto przytoczyć kilka przykładów takiego rozumowania zaczerpniętych z historii i obyczajów. Udowodnią one, że przyjmując tę koncepcję jako wytłumaczenie powiązania Baldura z jemiołą przyjmują koncepcję głęboko wrytą w umysłowość człowieka prymitywnego.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

DUSZA ZEWNĘTRZNA W BAŚNIACH LUDOWYCH

W poprzednich rozdziałach niniejszej pracy widzieliśmy, że w przekonaniu ludów prymitywnych dusza może chwilowo opuszczać ciało nie powodując w ten sposób śmierci. Tego rodzaju chwilowa nieobecność duszy związana jest częstokroć z poważnym ryzykiem, albowiem na wędrującą duszę czyhają rozmaite pułapki zastawione przez wrogów itp. Ale ta zdolność wyswabdzania się duszy z ciała posiada jeszcze inny aspekt. Skoro można zapewnić bezpieczeństwo duszy podczas jej nieobecności w ciele, to dlaczego nie miałaby jej nieobecność trwać bezterminowo? W istocie może się nawet tak złożyć, że człowiek będzie sobie życzył, by dusza jego, dla jego osobistego bezpieczeństwa, nigdy nie powróciła. Dziki nie mogąc wytłumaczyć sobie życia w kategoriach abstrakcyjnych, jako "stałej możliwości wrażeń" czy też "nieustannego dostosowania wewnętrznego ładu do zewnętrznych stosunków", uważa je za konkretny materialny przedmiot, o określonej masie, który można oglądać, poruszać, trzymać w pudełku lub dzbanku, zranić, złamać lub rozbić na kawałki. Życie tak pojmowane nie musi przebywać w człowieku, może przebywać poza nim i nadal go ożywiać dzięki pewnemu powinowactwu czy działaniu na odległość. Człowiek jest zdrow tak długo, jak ów przedmiot, który zwie swym życiem lub swą duszą, pozostaje cały i nienaruszony; jeśli zostanie uszkodzony, człowiek cierpi, jeśli ulegnie zniszczeniu - człowiek umiera. Ujmując to inaczej, można powiedzieć, że gdy człowiek choruje lub umiera, materialny przedmiot zwany życiem, bez względu na to, czy przebywa w jego ciele, czy też poza nim, został uszkodzony względnie zniszczony. Ale istnieją okoliczności, w których życie względnie dusza pozostając w człowieku narażone są w większym stopniu na uszkodzenie, aniżeli gdyby były przechowane w jakimś bezpiecznym i ukrytym miejscu. Zgodnie z tym człowiek prymitywny w podobnych okolicznościach wyjmując duszę z ciała i przechowuje ją bezpiecznie w jakimś ukrytym miejscu, by przywrócić ją ciału, gdy niebezpieczeństwo minie. Albo, gdyby udało mu się znaleźć miejsce absolutnie bezpieczne, gotów jest pozostawić tam duszę na zawsze. Korzyść z tego jest taka, że jak długo dusza pozostaje nie uszkodzona w miejscu, w którym ją złożono, sam człowiek jest nieśmiertelny, nic nie może zabić jego ciała, ponieważ nie ma w nim jego życia.

Opowieść o zewnętrznej duszy powtarza się w rozmaitej postaci u wszystkich ludów aryjskich od Hindustanu po Hebrydy. Bardzo rozpowszechniona jest następująca jej forma: Jakiś czarownik, olbrzym albo inny mieszkaniec krainy baśni jest nienaruszalny i nieśmiertelny, ponieważ duszę ukrył gdzieś daleko w jakimś tajnym miejscu. Ale piękna księżniczka, którą uwięził w swym zaczarowanym zamku, wydobywa z niego tajemnicę i przekazuje ją bohaterowi, który odnajduje duszę, serce, życie lub śmierć (nazwy są różne) czarownika i niszcząc je zabija równocześnie czarownika. Baśń hinduska opowiada o czarodzieju zwanym Punczkin, który przez dwanaście lat więził królową i bardzo pragnął ją poślubić, ale ona go nie chciała. Wreszcie przybył na ratunek syn królowej i we dwójkę uknuli spisek, by zabić Punczkina. Pięknie więc przemówiła królowa do czarodzieja i udawała, że się wreszcie zdecydo-

wała go poślubić. "Ale powiedz mi - rzekła - czy naprawdę jesteś nieśmiertelny? Czy nigdy śmierć nie może cię spotkać? Czy jesteś aż tak wielkim czarownikiem, że nigdy nie możesz doznać ludzkich cierpień?" "To prawda - odpowiedział - że jestem inny. Daleko, daleko, o setki tysięcy mil od tego miejsca znajduje się bezludna kraina cała pokryta dżunglą. W środku dżungli rośnie krąg palm, w środku zaś tego kręgu stoi sześć *chattees*¹¹³ pełnych wody. Jedno na drugim; na dole pod szóstym *chattee* jest mała klatka, a w niej mała zielona papużka. Od życia tej papużki zależy moje życie i jeśli zginie papużka, ja będę musiał umrzeć, ale nic złego nie może stać się papużce, zarówno dlatego, że kraina jest niedostępna, jak też dlatego, że na mój rozkaz tysiące dżinnów otacza palmy i zabije każdego, kto się zbliży." Ale młody syn królowej pokonał wszystkie trudności i zdobył papużkę. Przyniósł ją pod drzwi pałacu czarownika i zaczął się nią bawić. Punczkin czarodziej zobaczył to, wyszedł do chłopca i starał się go przekonać, by dał mu papużkę. "Daj mi moją papużkę!" - zawołał Punczkin. Wtedy chłopak oderwał papużce jedno skrzydło, a równocześnie odpadła prawa ręka czarownika. Punczkin wyciągnął lewą rękę i zawołał: "Daj mi moją papużkę!" Królewicz oderwał drugie skrzydło i potoczyła się lewa ręka czarownika. "Oddaj mi papużkę!" - wołał Punczkin na klęczkach, a królewicz oderwał prawą nóżkę papużki i prawa noga czarownika odpadła, potem oderwał lewą nóżkę papużki i odpadła lewa noga czarownika. Nic nie pozostało poza kadłubem i głową, ale on wciąż jeszcze wywracał oczyma i wołał: "Oddaj mi moją papużkę!" A wtedy chłopak zawołał: "Masz tu więc swoją papużkę!" - ukreślił jej głowę i rzucił czarownikowi, a gdy to uczynił, wykręciła się głowa czarownika i umarł ze straszliwym jękiem.

W baśniach Grecji starożytnej i nowożytnej idea duszy zewnętrznej jest dosyć powszechna. Gdy Meleager był siedmiodniowym niemowlęciem, wróżki przybyły do jego matki i zapowiedziały jej, że Meleager umrze, gdy spali się doszczętnie głównia płonąca na ognisku. Chwyciła więc matka głównię i zamknęła ją w skrzyni. Ale w późniejszych latach, rozgniewana na syna, który zabił swoich wujów, spaliła głównię, a Meleager umarł w męczarniach, jak gdyby płomienie pochłaniały jego trzewia. Nisus, król Megary, miał na środku głowy czerwony czy też złoty włos i przepowiedziano mu, że umrze, gdy włos ten zostanie wyrwany. Gdy Megarę oblegali Kreteńczycy, córka króla, Scylla, zakochała się w Minosie, królu Krety, i wyrwała niosący zagładę fatalny włos z głowy swego ojca, który w wyniku tego umarł. W pewnej współczesnej greckiej baśni ludowej siła człowieka znajduje się w trzech złotych włosach na jego głowie. Gdy matka je wyrwa, traci siły, staje się słaby i bojaźliwy i ginie z rąk swych nieprzyjaciół. W innej greckiej opowieści, współczesnej życie czarownika zależne jest od trzech gołębi znajdujących się w brzuchu dzika. Gdy pierwszy gołąb zostaje zabity, czarownik zaczyna chorować, gdy drugi ginie, stan jego bardzo się pogarsza, a po zabiciu trzeciego czarownik umiera. W innej podobnej bajce greckiej siła potwora zależna jest od trzech śpiewających ptaków znajdujących się w dziku. Bohater zabija dwa ptaki, a następnie po przybyciu do domu potwora znajduje go na ziemi

¹¹³ dużych glinianych dzbanów (hind.)

skręcającego się w straszliwych boleściach. Pokazuje trzeciego ptaka potworowi, który prosi, by puścił ptaka wolno albo dał mu go zjeść, ale bohater ukręca łeb ptaszce i potwór umiera na miejscu.

We współczesnej rzymskiej wersji baśni *O Aladynie i jego czarodziejskiej lampie* czarownik mówi księżniczce, którą trzyma w zamknięciu na pływającej skale pośrodku oceanu, że jest nieśmiertelny. Księżniczka powtarza to księciu, swemu małżonkowi, który przybył, by ją uratować, a on jej na to odpowiada: "Musi jednak być coś takiego, co śmierć jego spowoduje. Zapytaj go o to." Księżniczka zapytała wobec tego czarownika, on zaś jej odpowiedział, że w pewnym lesie znajduje się hydra siedmiogłowa, w środkowej głowie hydry przebywa zajaczek, w głowie zajaczka - ptak, a w głowie ptaka jest klejnot. Jeśliby klejnot ten położono mu pod poduszkę, wówczas natychmiast umrze. Książę zdobył klejnot, a księżniczka włożyła go czarownikowi pod poduszkę, czarownik zawył straszliwie trzy razy, trzykrotnie obrócił się wkoło i umarł.

Znają podobne opowieści również ludy słowiańskie. Opowiada więc bajka rosyjska o czarowniku zwanym Kościejem Wiecznym, który porwał księżniczkę i trzymał ją w zamknięciu w swym złotym zamku. Pewnego dnia udało się jednak księciu przedostać do niej, gdy samotna i niepokieszona spacerowała po zamkowym ogrodzie. Księżniczka, uradowana, mając nadzieję, że uda się jej uciec, poszła do Kościeja i, przymilając się, podstępnie zapytała go: "Czy to prawda, najdroższy mój przyjacielu, że nigdy nie umrzesz?" "Tak, to prawda" - odpowiedział czarownik. "No, dobrze - rzekła księżniczka - a gdzie to znajduje się twoja śmierć? Czyżby była tu w zamku?" "Zaiste - odpowiedział czarownik - jest tutaj, w miotle pod progiem." Chwyła więc księżniczka miotłę i wrzuciła ją do ognia, ale Kościejowi nic się nie stało, nawet włos mu z głowy nie spadł, chociaż miotła spłonęła w ogniu. Zawiedziona, sprytna i rezolutna niewiasta nie dała za wygraną, wydeła wargi i powiedziała: "Widocznie nie kochasz mnie naprawdę, skoro nie powiedziałaś mi, gdzie znajduje się twoja śmierć, ale nie gniewam się na ciebie, bo kocham cię z całego serca." Tak oto przymilnymi słowami chciała nakłonić czarownika, by zdradził swoją tajemnicę. Zaśmiał się Kościej i zapytał: "A dlaczego chcesz wiedzieć, gdzie moja śmierć się znajduje? Ale powiem ci, bo cię kocham. Stoją na pewnym polu trzy zielone dęby, a pod korzeniami największego dębu jest robak. Jeśli ktoś znajdzie tego robaka i zdusi go, wówczas ja umrę." Gdy tylko księżniczka to usłyszała, poszła natychmiast do swego księcia i opowiedziała mu wszystko, on zaś szukał tak długo, aż znalazł dęby i zdusił robaka. Gdy pośpiesznie wrócił do zamku, dowiedział się od księżniczki, że czarodziej nadal żyje. Zaczęła więc księżniczka od nowa przymilać się do czarownika starając się wycygnąć od niego tajemnicę; tym razem Kościej ustępując dał się jednak oszukać, otworzył przed nią swe serce i powiedział jej całą prawdę: "Śmierć moja przebywa daleko stąd i trudno ją znaleźć, na rozległym oceanie. Jest na tym morzu wyspa, a na wyspie dąb zielony, a pod dębem jest skrzynia żelazna, a w skrzyni miały koszyczek, a w koszyczku jest zajac, a w zajacu jest kaczką, a w kaczkę jajko; ten zaś, kto znajdzie jajko i stłucze je, spowoduje moją śmierć." Znalazł oczywiście książę złowróżbne jajko i trzymając je w ręku stanął przed straszliwym czarownikiem. Potwór chciał go zabić, ale książę zaczął ścisnąć jajko. Wtedy czarownik zawył z bólu i zwracając się ku prze-

wrotnej księżniczce, która stała obok chichocząc i śmiejąc się, powiedział: "Czyż to nie z miłości do ciebie powiedziałem ci, gdzie śmierć moja się znajduje? I tak mi za to odpłaciłaś?" Chwyił za miecz, który wisiał na ścianie, ale zanim udało mu się wziąć go do ręki, książkę rozbił jajko i w tej samej chwili czarownik zginął na miejscu.

Ludy teutońskie znają wiele baśni o duszy zewnętrznej. Saksończycy w Transylwanii opowiadają o młodzieńcu, który kilkakrotnie strzelał do czarownicy. Kule przeszywały ją na wskroś, ale nie wyrządzały jej żadnej krzywdy. Śmiała się tylko z niego i drwiła. "Głupi robaczku - zawołała - strzelaj sobie do woli. Mnie to żadnej szkody nie wyrządzi. Wiedz bowiem, że życie moje nie jest we mnie, lecz znajduje się daleko, bardzo daleko stąd. Jest na pewnej górze jezioro, po jeziorze pływa kaczka, w kaczce jest jajko, w jajku płonie ogień, a w tym ogniu jest moje życie. Jeśli potrafisz zgasić ten ogień, wówczas umrę. Ale tego nigdy, przenigdy nie dokonasz." Udało się jednak młodzieńcowi jajko zdobyć, rozbił je, zgasił płomyk, i tym samym skończyło się życie czarownicy.

W skandynawskiej bajce o "olbrzymie, który nie miał serca", olbrzym opowiada uwięzionej księżniczce: "Daleko, za siedmioma górami, za siedmioma rzekami jest na jeziorze wyspa, na wyspie tej stoi kościół, w kościele jest źródło, a w źródle pływa kaczka, w kaczce jest jajko, a w tym jajku spoczywa moje serce." Bohater bajki dzięki pomocy pewnych zwierząt, którym okazał dobroć, zdobywa jajko, ściska je, a olbrzym krzyczy żałośnie i prosi, by mu darowano życie. Ale bohater rozbija jajko, a olbrzym pada martwy. W innej skandynawskiej baśni potwór górski mówi uwięzionej księżniczce, że nigdy nie będzie mogła powrócić do domu, jeśli nie znajdzie ziarenka piasku, które leży pod dziewiątym językiem dziewiątej głowy pewnego smoka. Jeśli jednak ziarenko to znajdzie się na skale, w której żyją potwory, wówczas pękną wszystkie, a skała zamieni się w złoty pałac, jezioro zaś w zieloną łąkę. Bohater odnajduje ziarenko i zanoszi je na szczyt wysokiej skały, w której żyją potwory. A wtedy wszystkie potwory pękają i wszystko dzieje się tak, jak to potwór górski księżniczce powiedział.

W celtyckiej baśni zapisanej na zachodnim Pogórze Szkoockim uwięziona królowa pyta olbrzyma, gdzie on chowa swą duszę. Olbrzym kilka razy oszukuje ją, ale w końcu wyznaje jej złowieszczą tajemnicę: "Jest pod progiem duża płyta kamienna, pod płytą jest skop. W brzuchu skopa jest kaczka, a w kaczce jajko, a w jajku jest moja dusza." Następnego dnia, gdy olbrzym sobie poszedł, królowej udaje się zdobyć jajko, zgniata je w rękę, a w tej samej chwili olbrzym, który o zmroku wracał do domu, pada martwy.

Siady koncepcji duszy zewnętrznej odnaleziono obecnie w bajkach ludowych wszystkich ludów aryjskich od Indii po Irlandię. Pozostaje jeszcze do udowodnienia, że ta sama myśl rozpowszechniona jest w baśniach ludów nie należących do rasy aryjskiej. W starożytnej egipskiej opowieści o "Dwóch Braciach" zapisanej za panowania Ramzesa II ok. 1300 r. przed Chr. czytamy, jak to jeden z braci zaklął swe serce i umieścił je w kwiecie akacji i jak padł martwy, gdy za namową jego żony kwiat ścięto. Ale wrócił do życia, gdy brat jego znalazł zagubione serce w groszku akacji i wrzucił je do kubka ze świeżą wodą.

W opowieści o Seif-el-Muloku w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy* dzinn opowiada uwięzionej córce króla Indii: "Gdy się urodziłem astrologowie powiedzieli, że dusza moja zniszczona będzie rękami jednego z synów ludzkiego króla. Wziąłem więc moją duszę, uwięziłem ją w gardle wróbla, wróbla w małym pudełku, które włożyłem do innego małego pudełka, a to z kolei do siedmiu innych pudełek, które włożyłem do siedmiu skrzyń, a skrzynie włożyłem do kufra marmurowego na brzegu otaczającego nas oceanu, daleko od krajów zamieszkałych przez ludzi, i żaden człowiek nie może tam się dostać." Ale Seif-el-Mulok zdobył wróbla, zadusił go, a dzinn upadł na ziemię i zamienił się w kupę czarnego popiołu. W kabylskiej historii potwór oświadcza, że los jego zależy od ukrytego daleko jaja, które znajduje się w gołębiu, gołąb zaś znajduje się w wielbłądzie, a wielbłąd w morzu; bohater zdobywa jajo, dusi je w ręce i potwór ginie. W madziarskiej bajce ludowej stara wiedźma trzyma w zamknięciu w sercu ziemi młodego księcia Ambrożego. W końcu wyznaje mu, że na jedwabistej łące ma dzika, a gdyby dzika zabito, w środku znalazłoby się zająca, w zającu gołębia, w gołębiu małe pudełko, w pudełku jednego chrząszcza czarnego i jednego lśniącego, w czarnym zamknięta jest jej siła, w lśniącym - jej życie. Gdy oba chrząszcze zostaną zabite, ona również umrze. Gdy stara wiedźma wyszła, Ambroży zabił dzika i wyjął z niego zająca, z zająca wyjął gołębia, z gołębia pudełko, z pudełka dwa chrząszcze. Zabił czarnego, ale lśniącego zostawił przy życiu. Wiedźmę natychmiast opuściły siły i po powrocie do domu musiała położyć się do łóżka. Gdy Ambroży wydobył od niej sekret, jak wydostać się ze swego więzienia na powierzchnię ziemi, zabił lśniącego chrząszcza, a wiedźma od razu wyzionęła ducha. W kałmuckiej opowieści mowa jest o tym, jak pewien chan wyzwiał mędrca, by dowiódł swych umiejętności i ukradł drogocenny klejnot, od którego zależało życie chana. Mędrzec zdobył klejnot, gdy chan i jego straż spali, ale nie zadowolając się tym dał jeszcze jeden dowód swojej zręczności i włożył na głowę śpiącego chana pęcherz. Tego było już chanowi za dużo. Następnego ranka powiedział mędrcom, że wybaczy mu wszystko z wyjątkiem tego, że go wystawił na pośmiewisko ubierając w pęcherz, i nakazał natychmiast stracić swego przyjaciela-kawalarza. Mędrzec zrażony niewdzięcznością królewską cisnął talizmanem o ziemię i w tej chwili krew popłynęła z nosa chana, który wyzionął ducha.

W poemacie tatarskim walczą z sobą dwaj bohaterowie Ak Mołot i Bułat. Ak Mołot przeszywa swego wroga strzałą, zмага się z nim, rozkłada go na ziemi, ale wszystko na próżno. Bułat nie umiera. Wreszcie, gdy walka trwa już trzy lata, przyjaciel Ak Mołota widzi złotą szkatułkę zawieszoną na białej nitce z nieba i przychodzi mu na myśl, że może w tej szkatułce jest dusza Bułata. Przeszywa więc białą nitkę strzałą i skrzynka spada. Gdy ją otworzył, w środku było dziesięć białych ptaków, a w jednym z ptaków dusza Bułata. Bułat rozplakał się, gdy zobaczył, że znalazł jego duszę w skrzynce. Ptaki zabito po kolei i Ak Mołot bez trudu zabił swego wroga.

Malajski poemat opowiada, jak to pewnego razu w mieście Indrapura żył sobie pewien bogaty kupiec, któremu dobrze się powodziło, ale nie miał dzieci. Pewnego dnia spacerując z swą żoną nad rzeką znalazł dziewczynkę piękną jak anioł. Adoptowali dziecko i nadali mu imię Bidasari. Kazał kupiec zrobić rybę ze złota i w tej rybie umieścić duszę swej przybranej córki. Potem złotą rybę włożył do złotego

pułta wypełnionego wodą i ukrył ją w stawie w środku swego ogrodu. Dziewczynka wyrosła na piękną kobietę. A oto król Indrapury miał piękną młodą żonę, której spokoju nie dawała myśl, że król mógłby wziąć sobie drugą żonę. Słyszając o urokach Bidasari królowa postanowiła usunąć ją z drogi. Zwabiła ją do swego pałacu i torturowała okrutnie, ale Bidasari nie mogła umrzeć, ponieważ jej dusza znajdowała się poza nią. Wreszcie nie mogąc już dłużej znieść tortur powiedziała Bidasari do królowej: "Jeśli chcesz mnie zabić, musisz dostać skrzynkę, która znajduje się w stawie w ogrodzie mego ojca." Przyniesiono więc skrzynkę i otworzono ją, a w wodzie była złota ryba. "Dusza moja jest w tej rybce - powiedziała dziewczyna. - Rano musisz rybę wyjmować z wody, a wieczorem kłaść ją z powrotem. Nie zostawiaj jej, ale zawieś ją na szyi, a jeśli to uczynisz, ja wkrótce umrę." Królowa wyjęła rybę z wody i zawiesiła ją na szyi, a gdy tylko to uczyniła, Bidasari straciła przytomność, ale wieczorem, gdy ryba znalazła się z powrotem w wodzie. Bidasari wróciła do siebie. Królowa widząc, że ma dziewczynę w swej mocy, odesłała ją do domu do jej przybranych rodziców. Ci zaś chcąc ją uratować od dalszych prześladowań postanowili wysłać ją z miasta. Wybudowali więc w miejscu oddalonym i samotnym dom dla Bidasari. Mieszkała tam samotnie przechodząc te same losy co złota ryba, w której była zamknięta jej dusza. Przez cały dzień, gdy ryba wyjęta była z wody, Bidasari leżała nieprzytomna, ale wieczorem, gdy królowa wkładała rybę z powrotem do wody, dziewczyna powracała do życia. Pewnego dnia król wybrał się na polowanie i trafił do domu, w którym Bidasari leżała bez przytomności. Król, uderzony pięknnością dziewczyny, na próżno starał się ją obudzić. Następnego dnia przed wieczorem wrócił do niej, ale ona wciąż jeszcze leżała bez zmysłów. Dopiero gdy zmrok napadł, wróciła do siebie i wyznała królowi tajemnicę swego życia. Powrócił więc król do pałacu, zabrał żonie rybę i włożył ją do wody. Bidasari natychmiast powróciła do życia i król ją poślubił.

Barongowie w Afryce Południowej opowiadają o tym, jak życie całej rodziny znajdowało się w jednym kocie. Gdy dziewczyna z tej rodziny, zwana Titiszan, wyszła za męża, poprosiła, by pozwolono jej zabrać bezcennego kota z sobą. Ale rodzice odmówili: "Wiesz przecież, że od tego kota zależy nasze życie." Ofiarowywali jej w zamian za to antylopę lub nawet słońca. Ale nic nie mogło jej zadowolić poza kotem. Wreszcie zabrała go ze sobą i zamknęła w miejscu, o którym nikt nie wiedział. Nawet jej mąż nic o tym nie wiedział. Pewnego dnia, gdy wyszła do pracy w polu, kot uciekł z ukrycia, wszedł do chaty, nałożył na siebie strój wojenny jej męża i tańczył sobie, i śpiewał. Dzieci, zwabione hałasem, dostrzegły kota i zobaczyły, jakie sztuki wyprawia, a gdy wyraziły swe zdziwienie, zwierzę wywijalo koziółki i wyczyniało jeszcze większe łamańce, i w dodatku obraziło dzieci. Poszły więc do właściciela chaty i powiedziały: "Jest tam ktoś u ciebie w domu, tańczy i obraża nas." "Zamknijcie dzioby - odpowiedział im na to gospodarz - zaraz położę kres waszym kłamstwom." Poszedł więc do domu, skrył się za drzwiami i zaglądał do środka. I oto rzeczywiście kot w środku tańczył i śpiewał. Wystrzelił wtedy i zabił kota. W tej samej chwili żona w polu upadła na ziemię i powiedziała: "Zostałam zabita w domu." Ale miała dosyć jeszcze sił, by poprosić męża, żeby poszedł z nią do wioski jej rodziców i zabrał z sobą zabitego kota zawiniętego w matę. Zebrali się wszyscy krewni i gorzko jej wyrzucali, że zabrała z sobą kota do wioski

swego męża. Gdy tylko rozwinięto matę i zobaczyli nieżywego kota, jeden po drugim padali nieżywi na ziemię. Tak oto zginął klan Kota, a owdowiały mąż zamknął gałęzią wrota wioski i po powrocie do domu opowiedział swym przyjaciołom, jak to zabijając kota zabił cały klan, ponieważ życie członków klanu związane było z życiem kota.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

ZEWNĘTRZNA DUSZA W OBYCZAJACH LUDOWYCH

Tak więc z teorią, że dusza może być przechowana przez dłuższy lub krótszy czas w bezpiecznym miejscu poza ciałem, a przynajmniej we włosach, można spotkać się w ludowych bajkach wielu ras. Pozostaje jeszcze dowieść, że koncepcja ta nie jest zwykłym wymysłem mającym na celu przyozdobienie baśni, lecz prawdziwym artykułem wiary pierwotnej, od której wywodzi się odpowiedni zespół obrządków.

Widzieliśmy już, że w bajkach bohater przygotowując się do walki usuwa niekiedy duszę z ciała, by ciało było nienaruszalne i nieśmiertelne. W podobnej intencji usuwa człowiek dziki duszę ze swego ciała przy rozmaitych realnych lub wymyślonych niebezpieczeństwach. Tak na przykład gdy minahasska rodzina na Celebesie przenosi się do nowego domu, kapłan zbiera dusze całej rodziny do worka i następnie przywraca je właścicielom, ponieważ chwila wkraczania do nowego domu jest rzekomo wyjątkowo niebezpieczna. Gdy kobieta kładzie się w położu na Południowym Celebesie, posłaniec, który udaje się po lekarza albo akuszerkę, zawsze ma przy sobie jakiś przedmiot z żelaza, na przykład tasak, który wręcza lekarzowi. Lekarz musi przedmiot ten zachować u siebie w domu aż do zakończenia porodu, po czym zwracając go otrzymuje ustaloną zapłatę. Tasak, czy też jakikolwiek inny przedmiot, jest w danym wypadku wcieleniem duszy kobiety, a dusza ta w krytycznej chwili będzie, ich zdaniem, bezpieczniejsza poza ciałem. Lekarz musi bardzo uważać na wręczony mu przedmiot, jeśli go bowiem zgubi, równocześnie zgubiona będzie dusza kobiety.

Mieszkańcy półwyspu Gazelle w Nowej Brytanii mają tajne stowarzyszenie noszące nazwę Ingriet czy też Ingiet. Każdy mężczyzna wstępując do tego stowarzyszenia dostaje kamień w kształcie człowieka lub zwierzęcia i odtąd dusza jego związana jest z tym kamieniem. Jeśli kamień pęknie, będzie to zły znak dla właściciela; uważają, że to piorun uderzył w kamień i człowiek wkrótce umrze. Jeśli jednak człowiek przeżyje pęknięcie kamienia, twierdzą, że kamień-dusza nie był taki, jak należy, i dają mu inny. Cesarzowi Romanusowi Lecapenusowi powiedział pewnego razu astrolog, że życie Symeona, księcia bułgarskiego, związane jest z pewną kolumną w Konstantynopolu i jeśli kapitel tej kolumny zostanie zdjęty, Symeon natychmiast umrze. Cesarz zrobił użytek z tej wskazówki, kazał usunąć kapitel i w tej samej chwili, jak później się dowiedział, w Bułgarii Symeon umarł na atak serca.

Wiemy również, że w wielu opowieściach ludowych dusza lub siła człowieka bywa niekiedy związana z jego włosami, a gdy włosy się obcina, człowiek ten umiera albo traci siły. Mieszkańcy Ambonu uważali, że siła ich znajduje się we włosach i straciliby ją ściągwszy włosy. Przestępca poddany torturom w holenderskim sądzie na tej wyspie uporczywie wypierał się wszelkiej winy do chwili, gdy go ostrzyżono, a wtedy przyznał się bez dalszego zwlekania. Pewien człowiek sądzony za zabójstwo wytrzymał bez zmrużenia powiek najwymyślniejsze tortury do chwili, gdy zobaczył lekarza z nożycami. Gdy dowiedział się, że sprowadzono go po to, by ściął mu włosy, zaczął błagać, by tego nie robić, i przyznał się do

wszystkiego. Odtąd, gdy tortury zawodziły, władze holenderskie ścinały włosy więźniowi i w ten sposób wydobywały z niego przyznanie się do winy.

W Europie uważano, że siły nieczyste wiedźm i czarowników znajdują się w ich włosach i jak długo włosów im się nie zetnie, nie można tym nikczemnikom nic zrobić. Toteż we Francji istniał zwyczaj golenia całego ciała osób oskarżonych o czary, zanim przekazywano je katu. Millaeus był świadkiem torturowania kilku osób w Tuluzie, których dopóty nie można było zmusić do przyznania się, dopóki nie rozebrano ich do naga i nie ogolono, a wtedy już dobrowolnie winę swą wyznali. Pewna kobieta wiodąca pozornie nabożne życie została oskarżona o czary. Znosiła wszystkie tortury z niezwykłą wytrzymałością i dopiero zupełna depilacja doprowadziła ją do przyznania się do winy. Sławetny inkwizytor Sprenger ograniczał się do golenia głowy osób podejrzanych o czary, ale jego bardziej skrupulatny kolega Cumanus ogolił całkowicie czterdzieści siedem kobiet, zanim je spalił na stosie. Miał bardzo poważne podstawy do przeprowadzenia tak surowych badań, ponieważ sam szatan w kazaniu wygłoszonym z ambony kościoła w North Berwick pocieszał swe liczne sługi zapewnieniem, że nic im złego stać się nie może, "jak długo włosy ich są na nich, i nikomu niechaj nie pozwolą ich ścinać".

Wiemy również, że w bajkach ludowych życie człowieka bywa niekiedy tak ściśle związane z rośliną, że wycięcie rośliny sprowadza natychmiast śmierć danej osoby. U M'Bengasów w Afryce Zachodniej w okolicy Gabonu, gdy dwoje dzieci rodzi się tego samego dnia, ludzie sadzą dwa drzewa i tańczą wokół nich. Wierzą, że życie dzieci jest związane z tymi drzewami, a jeśli jedno z drzew umrze lub zostanie ścięte, z pewnością wkrótce umrze jedno z dzieci.

Podobno zdarzają się jeszcze rodziny w Rosji, Niemczech, Anglii, Francji i Włoszech, w których istnieje zwyczaj sadzenia drzewa, gdy urodzi się dziecko. Drzewo to jest otoczone szczególną opieką, ponieważ żywią nadzieję, że będzie ono rosnąć wraz z dzieckiem. W pobliżu zamku Dalhousie niedaleko Edynburga rośnie dąb zwany Drzewem Edgewell i powszechnie utrzymuje się, że jest on związany z losami tej rodziny. Jeśli ktoś z rodziny umiera względnie ma umrzeć, z drzewa spada jedna gałąź. Gdy więc stary gajowy zobaczył, jak pewnego spokojnego pogodnego dnia w lipcu 1874 r. spadł z drzewa duży konar, zawołał: "Pan umarł teraz!" - i wkrótce nadeszła wiadomość, że Fox Maule, jedenasty hrabia Dalhousie, wyzionął ducha.

W praktyce jednak, podobnie jak i w bajkach, ludzie związani są węzłem fizycznego powinowactwa nie tylko z przedmiotami nieożywionymi i roślinami. Ta sama więź może istnieć między człowiekiem a zwierzęciem, losy jednego zależą od losów drugiego, a gdy umiera zwierzę, w ślad za nim umiera człowiek. Analogia między obyczajem a baśniami jest o tyle ściślejsza, że w obu wypadkach moc usuwania duszy z ciała przechowywania jej w zwierzęciu bywa często przywilejem czarowników i wiedźm. Jakuci na Syberii wierzą, że każdy szaman przechowuje swą duszę lub jedną z dusz w zwierzęciu starannie ukrytym przed ludźmi. "Nikt nie może znaleźć mojej zewnętrznej duszy - oświadczył eden z słynnych czarowników - jest ukryta daleko w skalistych górach Jedżygańska." Raz do roku, gdy ostatnie śniegi stopnieją i ziemia staje się czarna, zewnętrzne dusze czarowników ukazują się

w postaci zwierzęcej wśród ludzi. Wędrują wszędzie, ale widzi je tylko czarownik, silniejsze pędzą rycząc i głośno hałasując, słabsze przekradają się po cichu i ukradkiem. Często walczą między sobą, a wówczas czarownik, którego dusza zewnętrzna została pokonana, przewraca się lub umiera, najslabsi i najtchórzliwsi są ci czarownicy, których dusze wcielone są w kształty psa, pies bowiem nie daje spokoju swojemu ludzkiemu sobowtórowi, ale zjada jego serce i rozszarpuje jego ciało. Najpotężniejsi czarownicy mają dusze zewnętrzne wcielone w ogiery, łosie, czarne niedźwiedzie, orły lub dziki.

Teoria zewnętrznej duszy przechowanej w zwierzęciu była, jak się daje, bardzo rozpowszechniona w Afryce Zachodniej, szczególnie w Nigerii, Kamerunie i Gabonie, Fanowie z Gabonu wierzyli, że podczas inicjacji każdy czarownik łączy obrzędkiem braterstwa krwi swe życie jakimś określonym zwierzęciem. Pobiera krew z ucha zwierzęcia swego ramienia, zwierzęciu wstrzykuje swoją krew, sobie zaś krew zwierzęcia. Odtąd między człowiekiem a zwierzęciem związek jest tak ścisły, że gdy jedno z nich umiera, śmierć drugiego następuje natychmiast. Sojusz ten daje czarownikowi wielkie siły, które może wykorzystać w najrozmaitszy sposób. Przede wszystkim, podobnie jak czarownik w bajkach, który swe życie przechowuje poza sobą w jakimś bezpiecznym miejscu, czarownik z plemienia Fan uważa teraz siebie za nienaruszalnego. Co więcej, zwierzę, z którym dokonał zamiany krwi, stało się teraz jego krewnym i wykona wszelkie rozkazy, jakie mu wyda. Może więc użyć je do wyrządzenia szkody, a nawet zgładzenia swych wrogów. Dlatego też zwierzę, z którym zawiera braterstwo krwi, nigdy nie jest oswojone czy domowe, ale zawsze jest dziką i drapieżną bestią, na przykład panterą, czarnym wężem, krokodylem, hipopotamem, dzikiem albo sępem. Spośród tych wszystkich najczęściej spokrewnią się czarownik z panterą, po niej idzie czarny wąż, najrzadziej zdarza się sęp. Wiedźmy i czarownicy mają swoich krewnych, ale zwierzęta, z którymi na tej zasadzie związane są dusze kobiet, różnią się zazwyczaj od zwierząt, z którymi swe dusze zewnętrzne wiążą mężczyźni. Krewnym wiedźmy nigdy nie bywa pantera, często natomiast jakiś jadowity wąż, czasami żmija, innym znowu razem czarny wąż lub wąż zielony mieszkający na bananowcu. Może to być również sęp, sowa lub inny ptak nocny. W każdym wypadku czworonóg lub ptak, z którym wiedźma lub czarownik nawiązali tajemniczy sojusz, występują jako jednostki, a nie gatunek, a gdy zwierzę umiera, sojusz oczywiście się kończy, ponieważ śmierć zwierzęcia rzekomo pociąga za sobą śmierć człowieka.

Podobne są wierzenia mieszkańców doliny Cross River w Kamerunie. Grupy ludzi, zazwyczaj mieszkańcy jednej wioski, wybierają sobie rozmaite zwierzęta, z którymi, jak przypuszczają, łączy ich bliska przyjaźń lub pokrewieństwo. Do zwierząt takich należą hipopotamy, słonie, pantery, goryle, ryby i węże, stworzenia albo silne, albo łatwo kryjące się w wodzie lub w gąszczu. Umiejętność ukrywania się jest rzekomo niezbędnym warunkiem wyboru zwierzęcia na krewnego, ponieważ po zwierzęciu przyjacielu czy pomocniku oczekuje się, że ukradkiem wyrządzi szkodę wrogowi swego właściciela. Jeśli na przykład jest hipopotamem, wynurzy się nagle z wody i przewróci łódź wroga. Między zwierzęciem a jego ludzkim przyjacielem istnieje taki stosunek, że z chwilą gdy ginie zwierzę, ginie również człowiek, a gdy ginie człowiek, zwierzę spotyka ten sam los. Wynika z tego, że do przyjaciół

zwierzęcych nigdy nie wolno strzelać ani im dokuczać, żeby nie wyrządzić krzywdy lub nie zabić ludzi, których życie jest związane z życiem zwierząt. Nie przeszkadza to jednak ludziom z wioski, którzy mają za przyjaciół słonie, polować na nie. Nie szanują bowiem całego gatunku, lecz jedynie poszczególne zwierzęta, które pozostają w bliskich stosunkach z poszczególnymi ludźmi, i wyobrażają sobie, że zawsze potrafią odróżnić braci słonie od całego stada zwykłych słoni. Poznają się zresztą wzajemnie. Gdy myśliwy mający przyjaciela słonia spotyka słonia, że go tak nazwiemy, ludzkiego, szlachetne zwierzę unosi nogę na wysokość twarzy myśliwego, jak gdyby chciało powiedzieć: "Nie zabijaj mnie." Jeśli myśliwy jest tak niehumaniczny, że strzela i rani tego słonia, osoba, której życie związane było z owym słoniem, zachoruje.

Wśród Indian Gwatemali i Hondurasu *nagual* lub *naual* jest to "ów nieożywiony albo ożywiony przedmiot, zazwyczaj zwierzę, które w stosunku do poszczególnego człowieka znajduje się w odpowiednim, równorzędnym związku, tak że dobrobyt lub nieszczęśliwy los tego człowieka zależą od losu *naguala*".

Wśród wielu plemion południowo-zachodniej Australii każda płeć miała swój szczególny gatunek zwierząt, traktowany w podobny sposób jak *nagual* Indian Ameryki Środkowej, z tą tylko różnicą, że Indianin znał rzekomo indywidualne zwierzę, z którym jego życie było związane, Australijczyk natomiast wiedział tylko, że życie jego związane jest z jakimś zwierzęciem danego gatunku, nie umiał jednak powiedzieć, z którym. Rezultat był oczywiście taki, że każdy mężczyzna oszczędzał i ochraniał wszystkie zwierzęta gatunku, z którym związane było życie mężczyzn, natomiast każda kobieta ochraniała i oszczędzała wszystkie zwierzęta, z którymi życie kobiet było związane. Nikt bowiem nie mógł przewidzieć, czy zabicie któregoś zwierzęcia danego gatunku nie oznacza jego własnej śmierci.

Mężczyźni ochraniaли zazdrośnie nietoperze, kobiety - sowy (albowiem nietoperze przypadały zazwyczaj mężczyznom, a sowy kobietom). A nie wynikało to jedynie z czystego egoizmu, każdy z nich bowiem wierzył, że nie tylko jego życie, ale życie jego ojca, brata, synów i tak dalej zależne jest od życia poszczególnych nietoperzy i dlatego ochraniając cały gatunek, ochraniał nie tylko swe własne życie, ale i wszystkich mężczyzn. Podobnie każda kobieta wierzyła, że życie jej matki, sióstr, córek związane jest z życiem poszczególnych sów i że chroniąc cały gatunek sówi ochrania życie wszystkich swoich krewnych płci żeńskiej. Gdy więc życie ludzkie jest w ten sposób zawarte w pewnych zwierzętach, rzecz oczywista, trudno jest odróżnić człowieka od zwierzęcia i zwierzę od człowieka. Jeśli życie mego brata Jana jest w nietoperzu, wówczas nietoperz jest moim bratem tak samo jak i Jan, a równocześnie Jan jest w pewnym sensie nietoperzem, ponieważ życie jego jest w nietoperzu. Podobnie jeśli życie mojej siostry Marii jest w sowie, wówczas sowa jest moją siostrą, a Maria sową. Wniosek ten jest dosyć oczywisty i Australijczycy naturalnie go wyciągnęli. Gdy nietoperz jest zwierzęciem mężczyzny, zwie się go bratem, a gdy sowa jest zwierzęciem kobiety, zwie się ją siostrą. Toteż kobieta zwraca się 30

mężczyzny nazywając go nietoperzem, a mężczyzna do kobiety nazywając ją sową. Podobnie było z innymi zwierzętami przydzielonymi każdej z płci w innych plemionach.

Gdy dziki nadaje sobie nazwę zwierzęcia, uważa je za swego brata i nie zabija, wówczas zwierzę to jest jego totemem. Tak więc nietoperze i sowy możemy uważać za totemy płci we wspomnianych przez nas plemionach wschodnio-południowej Australii. Ale totemy płci spotyka się rzadko i jak dotąd, nie znaleziono ich nigdzie poza Australią. Znacznie bardziej rozpowszechniony jest totem właściwy klanowi, a nie płci i wówczas dziedziczny jest bądź to w linii żeńskiej, bądź też w męskiej. Stosunek jednostki do totemu klanu nie różni się od jej stosunku do totemu płci. Nie wolno go zabijać, mówi się o nim jako o bracie i przybiera się jego nazwę. Jeśli więc stosunki są podobne, wówczas muszą również odpowiadać sobie tłumaczenia totემów. Toteż wydaje się, że przyczyną, dla której jakiś klan czci szczególny rodzaj zwierzęcia lub rośliny (totemem klanu może być roślina) i przybiera jego nazwę, jest chyba wiara, że życie każdej jednostki w klanie jest związane z jakimś szczególnym zwierzęciem lub rośliną danego gatunku i że jej śmierć będzie wynikiem zabicia zwierzęcia lub zniszczenia rośliny danego gatunku.

Wydaje się, że opowieść o "olbrzymie, który nie miał serca w swoim ciele", może być kluczem do stosunku, jaki istnieje między człowiekiem a jego totemem. W tym wypadku totem jest po prostu miejscem, w którym człowiek przechowuje swoje życie, podobnie jak Punczkin przechowywał je w papudze, a Bidasari w złotej rybie. Nie podważa tego poglądu fakt, że dziki posiadający oddzielny totem płci i oddzielny totem klanu ma życie związane z dwoma zwierzętami i śmierć każdego z nich powoduje jego śmierć. Skoro człowiek ma kilka żywotnych miejsc na swym ciele, zdaniem dzikiego może również mieć ich kilka poza ciałem. Skoro może życie umieścić poza sobą, dlaczego nie miałby jednej części umieścić w jednym zwierzęciu, drugiej zaś w innym? Podzielność życia czy też wielość dusz jest koncepcją sugerowaną przez wiele znanych faktów i przychodziła na myśl zarówno Platonowi, jak i dzikim. Dopiero wtedy gdy dusza z pseudonaukowej hipotezy przekształca się w teologiczny dogmat, jej jedność i niepodzielność stają się zasadniczą sprawą. Dzikie, nie skrępowane dogmatami, może tłumaczyć sobie zjawiska życiowe taką ilością dusz, jaką uważa za konieczną.

Tego rodzaju pogląd na totemizm rzuca pewne światło na kategorię obrządków religijnych, dotąd jeszcze, o ile mi wiadomo, w sposób zadowalający nie wyjaśnionych. U plemion dzikich, szczególnie tych, które uznają totemizm, istnieje zwyczaj, by chłopcy w wieku dojrzewania przechodzili pewne obrządki inicjacyjne, z których najbardziej rozpowszechnionym jest pozorne zabijanie chłopca i przywracanie mu następnie życia. Tego rodzaju obrządki staną się zrozumiałe, jeśli założymy, że ich celem jest wydobyć na zewnątrz duszy chłopca w celu przeniesienia jej do odpowiedniego totemu. Wydobyć bowiem duszy ma zabić chłopca lub przynajmniej spowodować, że znajdzie się w podobnym do śmierci transie, którego dziki nie odróżnia od śmierci. Jego powrót do zdrowia będzie następnie tłumaczony jako stopniowe odzyskanie sił po wstrząsie, który przeszedł, albo, co jest bardziej prawdopodobne, jako wchłonięcie nowego życia z totemu. Istotą więc tych obrządków inicjacyjnych,

wówczas kiedy składają się z naśladowania śmierci i powrotu do życia, byłaby wymiana życia lub duszy między człowiekiem a jego totemem.

Ualorajowie znad Upper Darling River twierdzą, że podczas inicjacji chłopak spotyka ducha, który go zabija, a następnie przywraca do życia jako młodzieńca. Plemiona znad rzeki Lower Lachlan i Murray wierzyły, że nowicjuszy zabijał i wskrzeszał Thrumalun (Daramulun). W plemienu Unmatjera w Australii Środkowej kobiety i dzieci wierzą, że duch zwany Twanyirika zabija młodych chłopców, a potem przywraca ich do życia w okresie inicjacji. Obrzędy inicjacyjne polegają tu, podobnie jak u innych środkowoaustralijskich plemion, na obrzezaniu i *sub-incisio*. Natychmiast po drugim zabiegu młodzieniec otrzymuje od swego ojca święty patyk (*churinga*), z którym, jak mu mówią, duch jego związany był od najdawniejszych czasów. Gdy w buszu goją się jego rany, musi nieustannie kręcić warkotką, by nie porwała go wielka istota żyjąca na niebie. U niektórych plemion północnej Nowej Gwinei - Jabim, Bukaua, Kai i Tami - podobnie jak u wielu innych plemion Australii, każdy młodzieniec, zanim zostanie uznany za dorosłego mężczyznę, musi zostać obrzezany. Inicjacja plemienna, w której obrzezanie stanowi główny punkt, jest tu pojmowana, podobnie jak u innych plemion australijskich, jako proces połykania i wyrzucania z siebie młodzieńca przez mitycznego potwora, którego głos naśladuje buczenie warkotki.

Jest rzeczą wielce znamiennej, że wszystkie te plemiona posługują się tym samym słowem na określenie warkotki i potwora, który rzekomo zjada młodzieńca podczas inicjacji i którego straszliwy ryk przedstawiają niewinne instrumenty drewniane. Warto również zwrócić uwagę na to, że w trzech spośród wymienionych wyżej czterech plemion słowo określające warkotkę i potwora oznacza również duchy względnie dusze zmarłych, w czwartym zaś (Kai) "dziadka". Wynikałoby z tego, że istotą połykającą i wyrzucającą z siebie nowicjusza podczas inicjacji jest potężny duch lub dusza przodka, a warkotką nosząca jego imię jest jego materialnym wcieleniem.

U plemion indiańskich Ameryki Północnej istnieją pewne stowarzyszenia religijne, do których mogą wstąpić jedynie kandydaci po przejściu pozornego zabicia i wskrzeszenia. W 1766 lub 1767 roku kapitan Jonathan Carver był świadkiem przyjmowania kandydata do stowarzyszenia zwanego "przyjacielskim towarzystwem Ducha" (*Wakon-Kiczewah*) u Naudowessów, plemienia Sjuksów lub Dakotów w rejonie Wielkich Jezior. Kandydat klękał przed wodzem, a ten mówił mu, że "on sam ożywiony jest teraz przez Ducha, którego za kilka minut mu przekaże. Duch ten go zabije, ale natychmiast zostanie wskrzeszony, dodał przy tym, że chociaż wiadomość ta jest straszna, jednakże stanowi niezbędne wprowadzenie do korzyści, jakimi obdarzone jest towarzystwo, do którego właśnie ma wstąpić. Gdy to mówił, robił wrażenie człowieka bardzo podnieconego. W końcu tak był przejęty, że twarz mu się wykrzywiła, a całe ciało przeszywały konwulsje. Wówczas rzucał w młodego człowieka czymś, co kształtem i kolorem przypominało groch, ten, jak się zdaje, połykał to i natychmiast padał na ziemię jak przeszyty kulą." Przez pewien czas leżał bez ruchu jak martwy, ale pod gradem uderzeń

zaczynał powracać do przytomności, aż w końcu, po wypluciu grochu czy też czego innego, czym wódz w niego cisnął, powracał do życia.

Istotą tych obrządków było, jak się zdaje, zabijanie nowicjusza w charakterze człowieka i przywracanie go do życia w postaci zwierzęcia, które odtąd będzie, jeśli nie duchem opiekuńczym, to w każdym razie istotą sprzęgniętą z nim bardzo ścisłym związkiem.

Wynikałoby z wysuniętej powyżej teorii, że wszędzie tam, gdzie napotykamy totemizm i gdzie naśladuje się zabijanie i wskrzeszanie nowicjuszy podczas obrządków inicjacji, może istnieć względnie istniała nie tylko wiara w możliwość stałego przechowywania duszy w jakimś zewnętrznym przedmiocie - zwierzęciu, roślinie czy też czymkolwiek innym - ale rzeczywista intencja postępowania w taki sposób. Na pytanie, dlaczego ludzie pragną przechowywać swą duszę poza swymi ciałami, istnieje tylko jedna odpowiedź, że, tak jak olbrzym w bajce, uważają, że jest to bezpieczniejsze aniżeli noszenie jej przy sobie; podobnie jak ludzie wolą przechowywać pieniądze w banku aniżeli mieć je stale przy sobie. Widzieliśmy, jak w krytycznych chwilach życia dusza bywa chwilowo składana na przechowanie, dopóki nie minie niebezpieczeństwo. Ale instytucje takie jak totemizm nie są obliczone jedynie na okresy niebezpieczeństwa; są to systemy, w których każdy, a przynajmniej każdy mężczyzna, musi przejść inicjację w pewnym okresie swego życia. Zazwyczaj odbywa się to w okresie dojrzewania, z czego by wynikało, że szczególne niebezpieczeństwo, któremu totemizm i podobne mu systemy pragną zaradzić, nie powstaje przed dojściem do dojrzałości płciowej. Co więcej, że niebezpieczeństwo to związane jest ze stosunkiem wzajemnym płci. Łatwo można by udowodnić za pomocą licznych przykładów, że w umyśle człowieka pierwotnego stosunek płciowy połączony jest z wieloma poważnymi niebezpieczeństwami, ale dotąd jeszcze nie udało się wyjaśnić natury tych niebezpieczeństw. Miejmy nadzieję, że dokładniejsze poznanie sposobu myślenia człowieka dzikiego pozwoli z czasem wyjaśnić tę główną tajemnicę społeczeństwa pierwotnego, dostarczając klucza nie tylko do totemizmu, ale i początków instytucji małżeństwa.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY

ZŁOTA GAŁĄŻ

Tak więc pogląd, że życie Baldura znajdowało się w jemioli, odpowiada całkowicie pierwotnemu sposobowi myślenia. Może co prawda wydać się sprzecznością, że został on zabity właśnie uderzeniem jemioli, skoro życie jego było w tej roślinie, ale gdy życie człowieka wcielone jest w jakiś szczególny przedmiot, z którego istnieniem jego własne istnienie jest nierozzerwalnie związane, a którego zniszczenie powoduje jego własną śmierć, o przedmiocie tym można mówić bez różnicy jako o jego życiu lub śmierci, jak też często dzieje się w bajkach. Jeśli więc śmierć człowieka jest przedmiotem, nie ma w tym nic dziwnego, że człowiek ginie od uderzenia tego przedmiotu. Koscieja Wiecznego zabija w bajkach uderzenie jajkiem lub kamieniem, w którym ukryte jest jego życie lub śmierć. Potwory pękają, gdy pewne ziarnko piasku, zawierające niewątpliwie ich życie lub śmierć, znajdzie się nad ich głowami, czarownik umiera, gdy kamień, w którym jest jego życie lub śmierć, włoży się mu pod poduszkę, a bohater tatarski zostaje ostrzeżony, że zginie od złotej strzały lub złotego miecza, w którym ukryta jest jego dusza.

Myśl o tym, że życie dębu ukryte jest w jemioli, prawdopodobnie wynikała, jak już wspomniałem, z obserwacji, że jemiola pozostaje zielona na bezlistnym dębie. Ale położenie rośliny - to, że wyrasta nie z ziemi, lecz z pnia lub gałęzi drzewa - może tę myśl potwierdzać. Człowiekowi pierwotnemu może się zdawać, że, podobnie jak on sam, tak też i duch dębu przechowuje swe życie w jakimś bezpiecznym miejscu i że w tym właśnie celu wybrał jemiolę, która, nie będąc na ziemi ani na niebie, nie jest narażona na żadne prawie niebezpieczeństwa. Z wcześniejszego rozdziału wiemy, że człowiek prymitywny stara się ochronić życie swych ludzkich bóstw zawieszając je między niebem a ziemią, ponieważ tam najmniej wystawione są na zetknięcie się z niebezpieczeństwami zagrażającymi życiu człowieka na ziemi. Możemy więc zrozumieć, skąd wzięła się zasada zarówno starożytnej, jak i nowej medycyny ludowej, nakazująca chronić jemiolę przed zetknięciem się z ziemią. Z chwilą gdy jej dotknie, straci swe lecznicze właściwości. Może to być pozostałością starego wierzenia, że roślina, w której mieści się życie świętego drzewa, nie powinna być wystawiona na ryzyko związane z kontaktem z ziemią. W hinduskiej legendzie stanowiącej paralelę z mitem Baldura, Indra przysiągł demonowi Namuci, że nie zamorduje go nocą ani dniem, pałką czy z łuku, dłonią ani pięścią, mokrym ani suchym. Zabił go w półmroku świtu skrapiając pianą morską. Piana morska jest właśnie takim przedmiotem, w którym w przekonaniu dzikiego można ukryć życie, ponieważ zajmuje pozycję pośrednią i nieokreśloną między ziemią lub morzem a niebem, którą człowiek dziki uważa za bezpieczną. Nie dziwi nas wobec tego, że piana rzeki jest totemem klanu w Indiach.

Hipotezę, że jemiola była nie tylko narzędziem śmierci Baldura, lecz również zawierała jego życie, potwierdza analogia z pewnym szkockim przesądem. Legenda głosiła, że los rodziny Hayów z Errol, właścicieli majątku w hrabstwie Perth w pobliżu Firth of Tay, związany był z jemiolą rosnącą na pewnym

dębie. Członek rodu Hayów tak oto zapisał to stare wierzenie: "Rodziny zamieszkujące nizinę zapomniały już przeważnie o swych godłach, ale jak wynika ze starożytnego rękopisu i legend powtarzanych przez kilka starych osób w hrabstwie Perth, godłem Hayów była jemiola. Istniał dawniej w pobliżu Errol i niedaleko od kamienia Falcon rozłożysty dąb, nie wiadomo, ile lat liczący, na którym roślina ta bujnie rosła. Z drzewem związane były liczne czary i legendy, a losy rodziny Hayów związane były rzekomo z istnieniem tego drzewa. Wierzano, że gałązka jemioli ścięta przez Haya w wilię Wszystkich Świętych nowym sztyletem, po trzykrotnym okrążeniu drzewa w kierunku ruchu słońca i odmówieniu pewnego zaklęcia, jest niezawodną ochroną przed wszelkimi urokami i czarami oraz talizmanem skutecznym w dniu bitwy. Gałązka ścięta w ten sam sposób i umieszczona w kołysce chroniła przed zamianieniem dziecka przez elfy lub wróżki. Wreszcie twierdzono, że gdy zginą korzenie dębu, «trawa porośnie ognisko domowe Errol, a kruk zasiądzie w gnieździe sokoła*. Dwa najbardziej niefortunne uczynki, jakich mógł się dopuścić ktokolwiek z Hayów, to było zabicie białego sokoła i ścięcie gałęzi dębu w Errol. Nie wiem, kiedy zginął stary dąb. Posiadłość rodzina Hayów sprzedała i oczywiście mówiono, że niedługo przedtem fatalny dąb został ścięty." Zapisany jest ten stary przesąd w wierszach przypisywanych tradycyjnie Thomasowi Rhymerowi:

*Gdy lśni jemiola na errolskim dębie,
Któremu zdrowie wciąż służy –
Hayowie kwitną, a ich szary jastrząb
Nawet nie zadrży wśród burzy.
Lecz kiedy dębu próchnieją korzenie
I więdną na nim jemiola –
Trawa porośnie na errolskich progach,
Kruk siądzie w gnieździe sokoła.*

Przekonanie, że Złota Gałąź była jemiolą, nie jest nowe. To prawda, że Wergiliusz nie identyfikuje jej, ale jedynie przyrównuje do jemioli. Ale może to być jedynie chwyt poetycki, by tajemniczą chwałą opromienić skromną roślinę. Lub, co bardziej prawdopodobne, opis jego oparty był na ludowym przesądzie głoszącym, że w określonych porach roku jemiola płonęła nadziemską złotą poświatą. Poeta opowiada, jak to dwa gołębie prowadząc Eneasza do mrocznej doliny, w której głębi rosła Złota Gałąź, usiadły na drzewie,

*...Kędy złoto przez liście blask rzuca wesoly,
Jak pośród mrozów zimy krzew bujny jemioly
Zielenią błyska nową z nie swojego drzewa
I smukłe pnie okiścią złocistą odziewa:
Tak z dębu gałąź złota blask sieje wspaniały,
Tak blaszki liści z wiatrem lekko szeleściły.¹¹⁴*

Opisuje tu Wergiliusz z całą pewnością Złotą Gałąź rosnącą na skalnym dębie i porównuje ją z jemiolą. Wniosek stąd niewątpliwy, że Złota Gałąź nie była niczym innym, jak jemiolą widzianą przez poetycką mgiełkę lub ludowe wierzenie.

Mamy więc teraz podstawy, by uwierzyć, że kapłan w gaju arcyjskim - Król Lasu - uosabiał drzewo, na którym rosła Złota Gałąź. Jeśli więc drzewem tym był dąb, Król Lasu musiał być uosobieniem ducha

¹¹⁴ Wergiliusz, *Eneida*, ks. VI, w. 204-209. Tłum. T. Karyłowskiego.

dębu. Łatwo wobec tego zrozumieć, dlaczego trzeba było odłamać Złotą Gałąź, zanim można było Króla Lasu zabić. Życie jego lub śmierć jako ducha dębu znajdowały się w jemioli na dębie i jak długo jemiola była nienaruszona, tak długo on, podobnie jak Baldur, nie mógł umrzeć. Po to więc, by go zabić, trzeba było ułamać jemiolę i prawdopodobnie, jak w przypadku Baldura, cisnąć w niego gałęzią. Dla uzupełnienia analogii trzeba jeszcze założyć, że Król Lasu bywał dawniej palony żywcem lub po zabiciu go podczas wiosennych bądź letnich świąt ognia, które, jak się dowiedzieliśmy, były corocznie obchodzone w gaju arycyjskim. Wieczny ogień płonący w tym gaju, podobnie jak ogień w świątyni Westy i pod dębem w Romowie, był prawdopodobnie podsypany świętym drzewem dębu; tak więc dawniej ginął Król Lasu na wielkim ognisku z polan dębowych. W późniejszych czasach, jak już na to wskazywałem, jego roczna władza była przedłużana względnie skracana na podstawie prawa zezwalającego mu żyć tak długo, jak długo potrafił siłą swego ramienia dowieść swych boskich praw. Ale uniknął ognia jedynie po to, by zginąć od miecza.

Tak więc w odległej przeszłości w sercu Italii, nad cichym jeziorem Nemi, rozgrywała się co roku ta sama ognista tragedia, którą w późniejszych czasach obserwowali rzymscy kupcy i żołnierze u swych prymitywnych krewniaków Celtów galijskich i którą z małymi odmianami znaleźliby wśród barbarzyńskich Aryjczyków na Północy, gdyby orły rzymskie spadły na Norwegię. Obrządek ten był prawdopodobnie zasadniczym składnikiem starożytnego aryjskiego kultu dębu.

Pozostaje jeszcze odpowiedzieć na pytanie: Dlaczego jemiola zwana była Złotą Gałęzią? Nazwy tej nie tłumaczą białozółte jagody jemioli, Wergiliusz bowiem mówi, że cała gałąź była złocista, łodyga i liście. Być może, nazwę zawdzięcza bogatej złotej żółtości, którą okrywa się gałązka jemioli ścięta i przechowywana przez kilka miesięcy. Kolor ten nie ogranicza się do liści, lecz przechodzi również na łodygę, tak że zaiste podobna się staje cała do Złotej Gałęzi. Chłopi bretońscy zawieszają wielkie pęki jemioli przed swymi chatami i w czerwcu odznaczają się te kiście swym jasnozłotym kolorem. W niektórych okolicach Bretanii, szczególnie w pobliżu Morbihan, gałęzie jemioli zawieszają się nad drzwiami stajni i obór, by chronić konie i bydło przed czarami.

Żółty kolor uschłej gałęzi może też częściowo wytłumaczyć przypisywaną jemioli moc ujawniania skarbów znajdujących się w ziemi. Na zasadzie bowiem magicznego powinowactwa istnieje naturalny związek między żółtą gałęzią a żółtym złotem. Potwierdza to analogia z cudownymi właściwościami mitycznego "kwiatu" paproci, który, jak głosi ludowe wierzenie, kwitnie jak złoto lub ogień w wilię letniego przesilenia. W Czechach więc opowiadają, że "w dzień św. Jana paproć rozkwita złotymi kwiatami lśniącymi jak ogień".

Co więcej, kwiat paproci ma taką moc, że każdy, kto go zdobędzie lub wejdzie na górę trzymając go w ręku w noc świętojańską, odkryje żyłę złota albo zobaczy skarby ziemi lśniące niebieskawym płomieniem. W Rosji twierdzą, że wystarczy znaleźć w noc świętojańską o północy cudowny kwiat paproci i rzucić go w powietrze, a spadnie w kształcie gwiazdy na miejsce, gdzie ukryty jest skarb.

Tak więc na zasadzie podobieństwa kwiat paproci ma wykrywać złoto, ponieważ sam jest złocisty, i dla tego samego powodu wzbogaca swego właściciela niewyczerpanym zasobem złota. Ale kwiat paproci bywa nie tylko złoty, lecz również ognisty. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że dwa wielkie dni zbierania bajecznego kwiatu przypadają na noc świętojańską i na Boże Narodzenie, a więc dwa przesilenia (Boże Narodzenie jest bowiem niczym innym, jak pogańskim świętem zimowego przesilenia), dochodzimy do wniosku, że ognisty aspekt kwiatu paproci jest pierwotny, złoty zaś wtórny i pochodny. Kwiat paproci byłby w takim wypadku emanacją ognia słonecznego w dwóch punktach zwrotnych jego drogi, podczas letniego i zimowego przesilenia. Potwierdza to przypuszczenie baśń niemiecka o myśliwym, który zdobył kwiat paproci strzelając do słońca w południe dnia św. Jana; trzy krople krwi spadły, złapał je w białe płótno, a te krople krwi były kwiatami paproci. Krew jest tu oczywiście krwią słońca, z którego kwiaty paproci bezpośrednio się wywodzą. Można więc uważać za prawdopodobne, że kwiaty paproci są złote, ponieważ pochodzą ze złotego ognia słońca.

Podobnie jak kwiat paproci, jemiola jest zbierana bądź to w dzień św. Jana, bądź też w Boże Narodzenie, to znaczy podczas letniego albo zimowego przesilenia, i, podobnie jak kwiat paproci, ma moc ujawniania ukrytych skarbów ziemi. W wilię letniego przesilenia Szwedzi robią różdżki z jemioli albo z czterech rodzajów drzewa, z którego jednym musi być jemiola. Poszukujący skarbów kładzie różdżkę na ziemi po zachodzie słońca, a gdy różdżka znajdzie się bezpośrednio nad skarbem, zacznie się poruszać jak żywa. Jeśli więc jemiola odkrywa złoto, czyni to z pewnością w charakterze Złotej Gałęzi, a skoro zrywa się ją podczas przesileni słonecznych, podobnie jak kwiat paproci, czyż nie jest wobec tego Złota Gałąź emanacją ognia słonecznego? Na to pytanie nie można odpowiedzieć zwykłym potwierdzeniem. Wiemy, że starożytni Aryjczycy zapalali ogniska w związku z przesileniami i z okazji innych uroczystości częściowo jako zaklęcie słońca, a więc z intencją dostarczenia słońcu świeżego ognia. Ogniska te rozpalano zazwyczaj przez pocieranie względnie spalanie drzewa dębowego, mogło więc wydawać się starożytnym Aryjczykom, że słońce było co pewien czas zasilane z ognia znajdującego się w świętym dębie. Innymi słowy, mogli uważać dąb za pierwotną składnicę względnie zbiornik ognia, który od czasu do czasu stamtąd czerpano, by zasilić nim słońce. Ale życie dębu miało znajdować się w jemioli, która wobec tego powinna była zawierać załączek ognia wydobywanego za pomocą tarcia z drzewa. Tak więc bardziej poprawnym byłoby stwierdzenie, że to nie jemiola była emanacją ognia słonecznego, lecz że ogień słoneczny uchodził za emanację jemioli. Nic dziwnego, że jemiola jarzyła się złotym splendorem i zwana była Złotą Gałęzią. Prawdopodobnie jednak, tak jak paproć, miała ona swój złoty wygląd przybierać tylko w określonych porach, szczególnie podczas letniego przesilenia, gdy pobierano z dębu ogień, by zasilić słońce.

Łatwo więc zrozumieć, dlaczego tytuł Złotej Gałęzi, tak mało odpowiadający powszedniemu wyglądowi małego pasożyta na drzewie, został mu jednak przyznany. Być może pozwoli to nam również zrozumieć, dlaczego w starożytności przypisywano jemioli cudowny dar gaszenia ognia i dlaczego w Szwecji nadal jemiola chroni przed pożarami. Jej ognisty charakter czyni ją na zasadzie homeopatii

najlepszym lekarstwem względnie środkiem zapobiegawczym przed szkodami wyrządzonymi przez ogień.

Względy te tłumaczą poniekąd, dlaczego Wergiliusz każe Eneaszwowi nosić promienistą gałąź jemioli, gdy schodzi w mroki podziemnego świata. Poeta opisuje, jak to przy samych bramach piekielnych rozpościerał się rozległy i mroczny las, a bohater idąc w ślad za prowadzącymi go dwoma gołębiami zawędrował w głąb odwiecznego boru, aż zobaczył prześwitujący z daleka między gałęziami blask Złotej Gałęzi oświetlającej splątane nad nią konary. Jeśli jemiola jako zielona uschnięta gałąź w smutnym jesiennym lesie miała zawierać w sobie załazek ognia, to czyż mógł zabłąkany w podziemnych mrokach wędrowiec znaleźć lepszego towarzysza aniżeli gałąź, która oświetli mu drogę, będzie różdżką prowadzącą go i kijem, na którym się oprze? Uzbrojony w ten sposób mógł stawić czoło strasliwym widmom napotkanym podczas tej niebezpiecznej wędrówki. Gdy więc Eneaszw wynurzając się z lasu trafia nad brzegi Styksu wijącego się powoli w wężowych skrętach wśród piekielnych bagien, a grubiański przewoźnik nie chce go przewieźć w swej łodzi, wystarczy, że wyciągnie z zanadru Złotą Gałąź i uniesie ją, a natychmiast awanturnik ustępuje i pokornie przyjmuje podróżnika na pokład swej rozkołysanej barki, głęboko zanurzającej się w wodzie pod niezwykłym ciężarem żywego człowieka. Nawet w nowszych czasach, jak się o tym przekonaliśmy, jemiola uchodziła za ochronę przed wiedźmami i trollami, a starożytni zapewne przypisywali jej taką samą moc magiczną. A jeśli pasożyt może, jak w to wierzą nasi chłopcy, otwierać wszelkie zamki, to czyż nie mógł być w ręku Eneasza cudownym kluczem, otwierającym mu bramy śmierci?

Możemy teraz również odgadnąć, dlaczego Virbiusa z Nemi mylono ze słońcem. Jeśli Virbius był, jak to próbowałem udowodnić, duchem drzewa, musiał wobec tego być duchem dębu, na którym rosła Złota Gałąź, legenda bowiem mówi o nim jako o pierwszym z Królów Lasu. Jako duch dębu musiał w regularnych odstępach czasu rozpalać ogień słońca, wobec czego łatwo go można było pomylić z samym słońcem. W podobny sposób możemy sobie wytłumaczyć, dlaczego Baldur, duch dębu, przedstawiany był jako "tak pięknowolny i tak promienisty, że światło biło od niego", i dlaczego tak często uważano go za słońce. Możemy stwierdzić ogólnie, że w społeczeństwie prymitywnym, gdy jedynym znanym sposobem rozniecania ognia było pocieranie dwóch kawałków drzewa, dziki musiał być przekonany, że ogień był własnością zmagazynowaną w drzewie jak soki roślinne i że trzeba go z dużym wysiłkiem stamtąd wydobyć.

Drzewo, w które uderzył piorun, jest oczywiście, zdaniem dzikiego, naładowane podwójną lub potrójną porcją ognia, bo czyż na własne oczy nie widział, jak potężny płomień wstąpił w pień? To zapewne tłumaczy wiele przesądnych wierzeń związanych z drzewami, w które uderzył piorun. Gdy Indianie Thompson chcieli podpalić domy swych nieprzyjaciół, używali strzał zrobionych z drzewa uderzonego przez piorun albo przyczepiali do strzał drzazgi takiego drzewa. Wendyjscy chłopcy w Saksonii nie palili tego rodzaju drzewem w swych piecach w przekonaniu, że od takiego paliwa cały dom się spali. Podobnie Tongowie z Południowej Afryki nie używają takiego drzewa i nie będą grzali się przy

ogniu, który rozpalono za pomocą drzewa trafionego przez piorun. Wręcz przeciwnie postępują Winamwangowie z Północnej Rodezji. Gdy piorun zapali drzewo, gaszą wszystkie ognie w wiosce, lepią na nowo wszystkie paleniska, a przywódcy przynoszą rozpalony przez piorun ogień do wodza, który nad nim odprawia modły. Następnie wódz rozsyła świeży ogień do wszystkich swych wiosek, a chłopcy wynagradzają posłańców. Świadczy to o tym, że otaczają pioruny szacunkiem, a szacunek to rozumieli, gdyż o piorunie i grzmocie mówią jako o samym Bogu zstępującym na ziemię.

Całkiem prawdopodobna jest teoria głosząca, że szacunek, którym starożytni otaczali dąb, i związki, jakich dopatrywali się między drzewem a ich bogiem na niebie, wywodziły się stąd, że, jak się zdaje, pioruny znacznie częściej biły w dęby aniżeli w jakiekolwiek inne drzewa w naszych lasach europejskich. Tę szczególną cechę dębu potwierdziły rzekomo obserwacje przeprowadzone w ostatnich latach przez naukowców, którzy nie opierają się przecież na żadnej mitologicznej teorii. Bez względu na to, skąd to zjawisko się wzięło, czy to na skutek tego, że elektryczność łatwiej przechodzi przez drzewo dębowe, czy z innego powodu, sam ten fakt mógł zwrócić uwagę naszych barbarzyńskich przodków, zamieszkujących rozległe lasy pokrywające podwówcześnie znaczną część Europy. Tłumaczyli to oczywiście na swój uproszczony religijny sposób, a mianowicie, że wielki bóg nieba, którego czcili i którego straszny głos rozlegał się w łoskocie grzmotów, umiłował sobie ponad wszystkie inne drzewa dąb i często wstępował weń z gęstej chmury w ogniu błyskawicy, pozostawiając dowód swej bytności w poczernionym pniu lub spalonym listowiu. Drzewa takie odtąd otaczał nimb chwały, jako widoczne siedliska grzmiącego boga nieba. Jest rzeczą pewną, że podobnie jak niektóre ludy dzikie, Grecy i Rzymianie identyfikowali wielkiego boga nieba i dębu z piorunem, który uderzał w ziemię. Miejsce uderzone zawsze ogradzali i uważali je za święte. Bynajmniej nie pochopte jest przypuszczenie, że przodkowie Celtów i Germanów w lasach Europy Środkowej z podobnych powodów podobnym szacunkiem otaczali dąb, w który uderzył piorun.

Takie wytłumaczenie czci okazywanej przez Ariów dębowi i powiązania drzewa z wielkim bogiem grzmotów i nieba proponował już dawno Jacob Grimm, a w ostatnich latach poparł je przekonywająco W. Warde Fowler¹¹⁵. Wydaje się ono prostsze i bardziej prawdopodobne od tłumaczenia, które przyjąłem uprzednio, a mianowicie, że dąb czczony był przede wszystkim jako źródło wielu korzyści, jakie przynosiło naszym barbarzyńskim przodkom to drzewo, a przede wszystkim z powodu ognia rozniecanego przez tarcie drzewa dębowego. Sądziłem, że powiązanie dębu z niebem było późniejszą refleksją opartą na przekonaniu, iż błysk piorunu był niczym innym, jak iskrą, którą bóg nieba otrzymywał przez pocieranie dwóch kawałków drzewa dębowego, w podobny sposób, jak to czynił jego wyznawca na ziemi w lesie. Według tej teorii bóg grzmotu i nieba wywodził się z pierwotnego boga dębu. Według obecnej teorii, która w tej chwili bardziej mi odpowiada, bóg nieba i grzmotu był wielkim pierwotnym bóstwem naszych aryjskich przodków i o jego związku z dębem wywnioskowano jedynie z

¹¹⁵ William Warde Fowler (1847-1921) - angielski ornitolog i historyk.

faktu, że pioruny bardzo często biły w to drzewo. Jeśli Ariowie, jak to niektórzy uważają, przewędrowali w pierw stepy Rosji i Azji Środkowej ze swymi trzodami i tabunami, zanim zanurzyli się w mroki europejskich borów, to, być może, czcili boga pogodnego i pochmurnego nieba i błyskawic na długo, zanim pomyśleli o powiązaniu go z porażonymi dębami w swej nowej ojczyźnie.

Teoria ta ma prawdopodobnie jeszcze tę zaletę, że rzuca światło na szczególną świętość przypisywaną jemioli rosnącej na dębie. Rzadkie pojawianie się tej rośliny na dębie nie wystarcza, by wyjaśnić uporczywość i zakres rozpowszechnienia się tego przesądu. Być może, na prawdziwe jego źródło wskazuje stwierdzenie Pliniusza, że druidowie czcili roślinę, ponieważ wierzyli, że spadła z nieba, co dowodziłoby tego, iż drzewo, na którym rośnie, zostało wybrane przez samego boga. A może sądzili, że jemiola spadła na dąb w błysku pioruna? Domysł ten potwierdza nazwa "miotła piorunowa" nadawana jemioli w szwajcarskim kantonie Aar, wskazuje ona bowiem na ścisły związek między pasożytem a grzmiotem. "Miotła piorunowa" jest rozpowszechnioną w Niemczech nazwą krzaczastej, przypominającej gniazdo narośli pasożytniczej, która w przekonaniu nieuków jest wytworem błyskawicy. Jeśli jest jakiś ślad prawdy w tej hipotezie, wówczas prawdziwą przyczyną czczenia przez druidów dębu, na którym rośnie jemiola, jest wiara, że dąb taki nie tylko został uderzony przez piorun, ale też, że wśród jego gałęzi znajduje się widoma emanacja niebieskiego ognia. Ścinając jemiolę z zachowaniem mistycznego obrządku przywłaszczali sobie wszystkie magiczne właściwości piorunu. W takim wypadku musimy wyciągnąć wniosek, że jemiola uważana była za emanację piorunu, a nie, jak dotąd tłumaczyłem, słońca w chwili letniego przesilenia. Być może, udałoby nam się połączyć oba te pozornie sprzeczne poglądy zakładając, że w wierzeniach starożytnych Ariów jemiola zstępowała ze słońca w dniu letniego przesilenia w uderzeniu piorunu, ale połączenie tego rodzaju jest sztuczne i, obawiam się, jak dotąd, nie oparte na żadnych realnych podstawach. Nie potrafiłbym powiedzieć, czy te dwie interpretacje dadzą się ze sobą pogodzić na płaszczyźnie mitycznej, ale jeśli by nawet okazały się rozbieżne, brak konsekwencji nie musiał powstrzymywać naszych przodków od przyjęcia obu z równie głębokim przekonaniem. Podobnie jak większość ludzkości, dziki człowiek jest wyższy ponad więzy pedantycznej logiki. Próbując wyśledzić kręty tok jego rozumowania w dżungli jaskrawej ignorancji i ślepego strachu, musimy zawsze pamiętać, że kroczymy po łądzie zaczarowanym i wystrzegać się przyjmowania za twardą rzeczywistość mglistych kształtów napotykanym po drodze lub też unoszących się nad nimi i bełkocących w mroku. Nigdy nie potrafimy w pełni rozumować w sposób właściwy człowiekowi pierwotnemu, patrzeć jego oczami i uderzeniami naszego serca reagować na wrażenia, które jego wzburzały. Dlatego też wszystkie nasze teorie o nim i o jego życiu zawsze będą dalekie od pewności, w najlepszym wypadku możemy spodziewać się, że osiągnęliśmy w tych sprawach rozsądny stopień prawdopodobieństwa.

Na zakończenie tych dociekań możemy powiedzieć, że jeśli Baldur był rzeczywiście, jak przypuszczam, wcieleniem dębu, na którym rośnie jemiola, wówczas nowa teoria może wytłumaczyć jego śmierć na skutek uderzenia gałęzią jemioli jako śmierć z powodu uderzenia piorunu. Jak długo osmalona ogniem piorunu jemiola pozostawała między gałęziami, tak długo nic złego nie mogło się stać dobremu i łagodnemu bogu dębu, który życie swe przechowywał dla bezpieczeństwa między niebem a ziemią w tajemniczym pasożycie. Z chwilą jednak gdy siedlisko jego życia lub śmierci zerwane zostało z gałęzi i ciśnięte o pień, drzewo padało - bóg umierał, porażony piorunem.

A to, co powiedzieliśmy o Baldurze w lasach Skandynawii, być może, da się zastosować, z wszelkimi zastrzeżeniami należnymi sprawie tak zawilej i niepewnej, do kapłana Diany, Króla Lasu, w dębowym gaju w Arycji włoskiej. Był on może wcieleniem z krwi i kości wielkiego włoskiego boga nieba, Jupitera, który w dobroci swej zstąpił z nieba w błysku piorunu, by zamieszkać między ludźmi w jemioli, miotle piorunowej - Złotej Gałęzi - rosnącej na świętym dębie w dolinie Nemi. Jeśli tak było naprawdę, nie zdziwi nas wówczas, że kapłan z obnażonym mieczem strzegł mistycznej gałęzi, w której znajdowało się życie boga i jego własne. Bogini, której służył i którą poślubiał, była, jeśli moje przypuszczenia są słuszne, nie kim innym, jak Królową Niebios, małżonką prawdziwego boga nieba. Ona bowiem również umiłowała samotność lasów, i gór i płynąc w bezchmurnej nocy po niebie pod postacią księżycy spoglądała z przyjemnością na swe piękne odbicie w spokojnej połyskującej powierzchni jeziora, lustrze Diany.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIERWSZY

POŻEGNANIE NEMI

Dotarliśmy do kresu naszych dociekań, ale jak to się często zdarza, poszukując prawdy, udzielając odpowiedzi na jedno pytanie, postawiliśmy równocześnie wiele innych. Idąc jedną drogą do domu minęliśmy inne, które prowadziły od niej lub zdawały się prowadzić do znacznie dalszych celów aniżeli święty gaj w Nemi. Po niektórych ścieżkach zrobiliśmy kilka kroków, inne, jeśli los będzie sprzyjał, być może, autor i czytelnik razem przemierzą pewnego dnia, ale wspólnie przebyta długa droga skończyła się i czas się rozstać. Przedtem jednak, być może, wolno nam zadać sobie pytanie, czy nie da się jakiegoś ogólniejszego wniosku, jakiejś pociechy i zachęty wyczytać z smutnej historii ludzkich pomyłek i fantazji, które zajmowały naszą uwagę w tej książce.

Jeśli uwzględnimy z jednej strony zasadnicze podobieństwo głównych potrzeb człowieka wszędzie i we wszystkich czasach, a z drugiej rozległe różnice dzielące sposoby, którymi starał się je zaspokoić w różnych epokach, być może, skłonni będziemy wówczas do wyciągnięcia wniosku, że rozwój wyższej myśli, o tyle, o ile możemy to prześledzić, przebiegał zazwyczaj od magii przez religię do nauki. W magii człowiek zdaje się na własne siły, gdy chce pokonać trudności i niebezpieczeństwa osaczające go z wszystkich stron. Wierzy w pewien ustalony, niezawodny ład przyrody, którym może pokierować dla swych własnych celów. Gdy odkrywa swój błąd, gdy ze smutkiem zdaje sobie sprawę, że wymyślony porządek rzeczy i uzurpowana władza nad nim są jedynie wykwitem wyobraźni, przestaje polegać na własnym rozumie i nie wspieranych przez nikogo siłach i pokornie zdaje się na łaskę pewnych wielkich istot, niewidzialnych za zasłoną natury, i im z kolei przypisuje te wszystkie dalekosiężne siły, do których niegdyś rościł sobie prawo. Tak oto w bystrzejszych umysłach magia stopniowo ustępuje miejsca religii, wyjaśniającej następstwo zjawisk przyrody wolą, namiętnościami i kapryсами istot duchowych podobnych do człowieka, znacznie jednak od niego potężniejszych.

W miarę upływu czasu i to tłumaczenie okazuje się niezadowolające.

Zakłada ono bowiem, że następstwo wydarzeń w przyrodzie nie jest uwarunkowane niezmiennymi prawami, lecz jest w pewnej mierze zmienne i nieregularne, a ściślejsza obserwacja tej hipotezy nie potwierdza. Wręcz przeciwnie, im ściślej następstwo to badamy, tym bardziej jesteśmy zaskoczeni sztywną jednolitością, punktualną precyzją, z jaką działa natura wszędzie, gdzie ją możemy wyśledzić. Każdy wielki postęp nauki rozszerzał zakres ładu i odpowiednio ograniczał zakres pozornego chaosu na świecie i w tej chwili wolno nam przewidywać, że nawet w tych dziedzinach, gdzie dotąd jeszcze zdają się rządzić przypadek i zamieszanie, pełniejsza wiedza przemieni pozorny chaos w kosmos. Tak więc bystrzejsze umysły, nadal dążące do głębszego rozwiązania tajemnic wszechświata, dochodzą do odrzucenia religijnej teorii przyrody, jako niedostatecznej, i powracają w pewnym stopniu do starszego punktu widzenia magii postulując *explicite* to, co magia jedynie *implicite* przyjmowała, to znaczy niewzruszalną regularność ładu przyrody, której skrupulatna obserwacja pozwala nam przewidzieć

ściśle następstwo wydarzeń, a wobec tego odpowiednio postępować. Krótko mówiąc, religia jako wyjaśnienie przyrody zostaje zastąpiona przez naukę.

Podczas jednak gdy nauka tyle ma wspólnego z magią, że obie opierają się na wierze w ład jako głównej zasadzie wszystkiego, nie trzeba chyba przypominać czytelnikom tej książki, że ład, który zakłada magia, różni się bardzo od ładu leżącego u podstaw nauki. Różnica wypływa oczywiście z odmiennych dróg, którymi do obu tych ładów się dotarło. Ład, na którym opiera się magia, jest jedynie przedłużeniem na mocy fałszywej analogii porządku, w którym myśli pojawiają się w naszej głowie, ład natomiast ustanowiony przez naukę wynika z cierpliwej i szczegółowej obserwacji samych zjawisk. Liczebność, ważkość i świetność osiągniętych wyników w pełni pozwalają nam żywić zaufanie do metod stosowanych przez naukę. Tu wreszcie, po błądzeniu w ciemności, trafił człowiek na wyjście z labiryntu, złoty klucz otwierający wiele zamków w skarbcu przyrody.

Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że przyszły rozwój, moralny, intelektualny i materialny, związany jest z losami nauki i każda przeszkoda stawiana na drodze odkryć naukowych jest krzywdą wyrządzoną ludzkości.

Ale historia myśli ludzkiej powinna przestrzec nas przed zbyt pochopnym wyciągnięciem wniosku, że skoro naukowa teoria świata jest najlepsza z wszystkich dotąd sformułowanych, wobec tego jest też oczywiście pełna i ostateczna. Nie wolno nam zapominać, że w końcu wszelkie uogólnienia nauki, zwane w mowie potocznej prawami natury, są jedynie hipotezami sformułowanymi w celu wyjaśnienia stale zmiennych fantasmagorii umysłu, które zaszczycamy dumnie brzmiącymi nazwami świata i kosmosu. Po dokładnej analizie magia, religia i nauka okazują się jedynie teoriami stworzonymi przez umysł ludzki. I tak samo jak nauka zajęła miejsce swych poprzedniczek, tak i ją w przyszłości może zastąpić hipoteza doskonalsza, wynikająca, być może, z zupełnie odmiennego spojrzenia na zjawiska - odnotowywania cieni na zasłonie - którego nasze pokolenie nie potrafi sobie nawet wyobrazić. Postęp wiedzy jest nieustannym marszem w kierunku stale oddalającego się celu. Nie wolno nam narzekać na ten nieustanny pościg:

*Nie przeznaczono wam żyć jak zwierzęta,
Lecz poszukiwać i wiedzy, i cnoty.*

Pościg ten może przynieść wspaniałe wyniki, chociaż nie zawsze powitamy je z radością. Jaśniejsze gwiazdy zabłysną nad przyszłym podróżnikiem - jakimś wielkim Ulisesem w królestwie myśli - aniżeli te, które świecą nad nami. Sny magii mogą pewnego dnia okazać się na jawie naukową rzeczywistością. Ale smuga cienia kładzie się w poprzek odległego kresu tej pięknej perspektywy. Bez względu bowiem na to, jak rozległe postępy poczyni wiedza i jakimi siłami obdarzy przyszłość człowieka, nie ma on nadziei, że uda mu się stawić czoło tym wielkim siłom, zda się w milczeniu i nieustępliwie zmierzającym ku zniszczeniu gwieździstego wszechświata, w którym nasza ziemia pływa jak pyłek lub plamka. Być może, w wiekach przyszłych potrafi człowiek przewidzieć, a nawet opanować kręte drogi wiatrów i chmur, ale należy wątpić, czy potrafi swymi wątlými rękami przywrócić szybkość

planecie zwalniającej bieg po swej orbicie lub rozpalic na nowo wygasający ogień słońca. Ale filozof przerażony perspektywą odległych katastrof może pocieszyć się myślą, że te ponure przewidywania, podobnie jak sama ziemia i słońce, są jedynie częścią niematerialnego świata, który myśl ludzka wy-czarowała z pustki, i że widma, wywołane dziś przez subtelny wróżkę, jutro mogą być przez nią przepędzone. One również, jak tyle innych rzeczy wydających się oku ludzkiemu stałą materią, mogą rozplątać się w powietrzu, w przejrzystym powietrzu.

Nie sięgając zbyt daleko w przyszłość możemy bieg dotychczasowej naszej myśli porównać do sieci utkanej z trzech różnych nici. Czarnej nici magii, czerwonej nici religii i białej - nauki, jeśli terminem "nauka" obejmujemy proste prawdy, zaczerpnięte z obserwacji natury, których ludzie wszystkich czasów tyle nagromadzili. Gdybyśmy więc mogli obejrzeć tę sieć myśli od początku, dostrzeżlibyśmy wpiersz czarno-białą szachownicę, wzór złożony z prawdziwych i fałszywych pojęć, w którym nie pojawia się jeszcze czerwona nić. Ale patrząc dalej na tkaninę myśli zauważycie, że chociaż czarno-biała szachownica biegnie przez nią nadal, jednak pośrodku, tam gdzie religia przeniknęła najgłębiej w naturę sieci, pojawia się plama głębokiej czerwieni, niepostrzeżenie rozjaśniająca się, w miarę jak częściej wplata się w tkaninę biała nitka nauki. Do takiej sieci przeplatających się pól i plam, przetykanej nićmi różnych kolorów, ale stopniowo zmieniającej kolor, im dalej się ją odwija, można porównać stan współczesnej myśli ludzkiej, z wszystkimi jej rozbieżnymi celami i zwalczającymi się tendencjami. Czy w najbliższej przyszłości trwać będzie nadal ów wielki ruch, od wieków zmieniający stopniowo charakter myśli? Czy też może zrodzi się reakcja, która powstrzyma postęp i zniszczy wiele z tego, co zostało dokonane. By pozostać przy tej przenośni: jaki będzie kolor sieci, którą Parki przędą teraz na brzęczących krosnach czasu? Biały czy czerwony? Nie potrafimy dać na to odpowiedzi. Słabe migotliwe światełko rozjaśnia dawną część sieci. Chmury i głęboka ciemność skrywają drugi jej koniec.

Zakończyła się nasza długa podróż odkrywcza i barka zwinęła nareszcie swe zmęczone żagle w porcie. Raz jeszcze wybieramy się do Nemi. Jest wieczór. Wspinamy się po długim stoku Drogi Appińskiej ku Góróm Albańskim i oglądając się widzimy za sobą niebo płonące o zachodzie słońca, złotą poświatę jak aureolę umierającego świętego rozciągającą się nad Rzymem, dotykającą znakiem ognistym kopuły Św. Piotra. Niezapomniany to widok, ale odwracamy się od niego i nadal kroczymy po drodze, tonącej w coraz głębszym mroku, aż docieramy do Nemi i spoglądamy w dół na jezioro w głębokiej kotlinie, szybko już teraz znikające w cieniach wieczoru. Niewiele zaszło tu zmian od czasów, gdy Diana przyjmowała hołdy swych wiernych w świętym gaju. Znikła co prawda świątynia leśnej bogini, a Król Lasu nie stoi już na straży przy Złotej Gałęzi, ale lasy Nemi nadal są zielone, a gdy na zachodzie gaśnie nad nimi słońce, powiew wiatru przynosi nam z Rzymu dźwięk dzwonów kościelnych na Anioł Pański. *Ave Maria!* Słodko i uroczyście płyną dźwięki dzwonów z odległego miasta i zamierają powoli nad rozległymi bagnami Kampanii. *Le roi est mort, vive le roi! Ave Mana!*